

RAFAËLE
GERMAIN



Przełożył
Tadeusz Markowski

Prószyński i S-ka

Do: Frederica
Od: Marinę Vandale
Temat: Test

W porządku?

Do: Marinę
Od: Frederica Vandale
Temat: Triumf techniki

W porządku. Nawet ładnie dźwięczy, kiedy odbieram twój mejl. Takie głośne „ping”, ale w tonacji radosnej. Zacząłem się zastanawiać, jakim cudem uchowałem się tutaj przez dwa lata bez dostępu do sieci.

Do: Frederica
Od: Marinę Vandale
Temat: Uzależnienie od sieci

Przesiadując w kafejce internetowej na dole. Teraz chodzi tylko o to, żebyś nie przesadził w drugą stronę i nie uzależnił się od Internetu. Przypominam ci, że od dwóch lat udajesz mnicha, żeby stworzyć nieśmiertelne dzieło. Ale jak do tej pory nie zobaczyłam jeszcze nawet pierwszej strony.

Do: Marinę
Od: Frederica Vandale
Temat: Sieciomaniaczka

Od kiedy to stałaś się obrończynią sieciomaniaków? Masz rację. Na razie tylko gapię się w ekran laptopa i marzę o sławie. A ty, co porabiasz?

Do: Frederica

Od: Marinę Vandale

Temat: Dzwonienie w uchu

Usiłuję wyleczyć bębenek w prawym uchu po tym, jak przez bite osiem godzin próbowałam wytłumaczyć mamie przez telefon, jak działa jej komórka. Poza tym musiałam jeszcze dać jej do zrozumienia, że nie zajdę w ciążę z Christophe'em do końca tego tygodnia. I nic tutaj nie pomoże fakt, że jest taki miłutki i czyściutki, i w ogóle.

Do: Marinę

Od: Fredsrica Vandale

Temat: Szczegóły

Wciąż jesteś z Christophe'em? Dobrze pamiętam naszą niedawną rozmowę telefoniczną, podczas której twierdziłaś, że bliżej mu do drzwi niż do łóżka.

Do: Fredsrica

Od: Marinę Vandale

Temat: Szczegóły

Przedwczoraj jakoś tak się złożyło, że było mu bliżej do łóżka. Czyż naprawdę muszę ci wszystko tłumaczyć jak pastuch krowie? Myślałam, że takie proste sprawy jesteś w stanie zrozumieć.

Do: Marinę

Od: Frederica Vandale

Temat: Refrenik

Jasne, że rozumiem. Christophe jest w porządku. Może dla ciebie nie jest to TA wielka miłość, ale przynajmniej jest czuły i miły. Nie można przy najmniejszym niepowodzeniu od razu kapitulować. Nie masz już dwudziestu lat, a w miłości jak w życiu - trzeba się czasem trochę przymusić. Poza tym chyba sam nie jestem bez winy...

Do: Frederica

Od: Marinę Vandale

Temat: Szczere do bólu

No właśnie! Jak chcesz, to świetnie rozumiesz.

Do: Marinę
Od: Fréderica Vandale
Temat: Nieszczere

Niech ci będzie. Ale gdzie się podziała ta dziewczynka, która marzyła o uczuciu i WIELKIEJ MIŁOŚCI?

Do: Fréderica
Od: Marinę Vandale
Temat: Odmowa

Ta dziewczynka schowała głowę w piasek. I byłaby ci bardzo wdzięczna, gdybyś - jak to robią ludzie dobrze wychowani - udawał, że tego nie widzisz. A skoro jesteśmy przy dobrym wychowaniu, to muszę już kończyć, bo moje chłopaki czekają.

Uważasz, że jestem śmieszna, prawda?

Do: Marinę
Od: Fréderica Vandale
Temat: Odmowa

Kocham cię.

: -)

Rozdział 1

- Madame Vandale, pod oknem czekają na panią jacyś panowie.

Po raz kolejny zastanawiałam się, dlaczego Olivier uparcie tytułował mnie „madame”. Miał takie zawodowe skrzywienie portiera z wieloletnim stażem. Zawsze miałam ochotę powiedzieć mu coś takiego:

- Daj spokój, Olivier. Przestańmy bawić się w te fałszywe uprzejmości. Mam trzydzieści dwa lata i wciąż jeszcze nie jestem pewna, czy już dorosłam, a to twoje „madame” mnie postarza.

A poza wszystkim faceci czekający na mnie na ławce również niezbyt pasowali do określenia „panowie”.

Zaczęłam długi i męczący zabieg rozbierania się z mojej zimowej zbroi-palto, szalik, czapka i rękawiczki. Tylko gdzie schować czapkę i rękawiczki? Szalik - wiadomo, zawsze mieści się w rękawie. Ale czapka i rękawiczki? Odwieczny problem. Kiedy staram się upchnąć je w kieszeniach palta, zawsze lądują na podłodze, gdzieś między czyjąś zapomnianą od jesieni parasolką a starymi tenisówkami któregoś z moich byłych. Więc zawsze wpycham je do torby, choć dobrze wiem, że w chwilę później - kiedy zacznę grzebać między wrzuconymi tam batonikami, zapomnianą rękawiczką bez palców wciśniętą w głąb, portmonetką, telefonem komórkowym, notesem i ośmioma nigdy nieużywanymi szminkami - i tak wylądują w rosole jakiejś szacownej klientki. Prawdziwa tragedia!

Chłopcy machali do mnie tak zamasyście, jakby istniała w ogóle możliwość, by można było ich nie zauważyć.

Czyżby myśleli, że o nich zapomnę, chociaż od pięciu lat przesiadują w południe zawsze przy tym samym stoliku i na tych samych krzesłach? Laurent puścił do mnie oko, a siedzący obok Julien miał minę słodkiego cielęcia i kiwał z uznaniem głową. Laurent musiał mu wszystko wygadać, co zresztą było do przewidzenia.

Usadowiłam się na swoim miejscu po przeciwnej stronie. Na wprost miałam Laurenta. Patrzyłam na jego miłą twarzyczkę, mimo że w wieku czterdziestu lat na ogół nie ma się już miłej twarzyczki, tylko raczej męskie rysy. Wkrótce minie dziesięć lat, odkąd się znamy. Przez dziesięć lat patrzyłam w tę twarz prawie codziennie, a nawet przez pięć lat spałam z nią każdej nocy. I zawsze patrzyłam z przyjemnością. Laurent był dla mnie dowodem na to, że miłość nigdy nie wygasa do końca. Nawet jeżeli komuś się wydaje, że wychylił z jej kielicha wszystko do ostatniej kropli. Uśmiechnęłam się do niego radośnie i lekko pociągnęłam za ucho.

- Dzień dobry, pieścioszku.
- Gratuluję mistrzyni. Jednak do niego wróciłaś.
- Daj spokój! Po prostu jestem szczęśliwa...

Starałam się, aby to zabrzmiało przekonująco, co przecież było karkołomnym zadaniem wobec tych badawczych oczu. Znał mnie na wylot i z reguły wiedział lepiej ode mnie, co myślę i najczęściej wiedział to przede mną. Ale tym razem wyglądałam przynajmniej na osobę zadowoloną, choć jeszcze nie na taką, którą spotkały najwyższe uniesienia. Nie znaczy też wcale, że nie troszczyłam się o swój związek. A jakże! Odrabiałam wszystkie zadane lekcje. Sporządziłam wszystkie zalecane zestawienia na „za” i „przeciw”, przeszłam każdy etap wynajdywania dziury w całym, spędziłam długie godziny na rozmowach telefonicznych z moją siostrą Elodie (zazwyczaj udzielającą złych rad). Starałam się nawet pilnie wsłuchiwać w siebie, jak mi radził Julien. Łatwo powiedzieć „wsłuchaj się w siebie”, kiedy od urodzenia jestem niezdecydowana i zawsze każdemu mojemu „tak” towarzyszy jakieś asekuracyjne „ale”. Więc takie „wsłuchiwanie” było okropnie irytujące. Wreszcie po bardzo skomplikowanych i dogłębnym przemyśleniach doszłam

do wniosku, że siedem miesięcy z Christophe'em to było bardzo pięknych siedem miesięcy, a jedyne, co mnie niepokoiło, to tylko to, że chyba nie jestem w nim absolutnie, bez pamięci i do szaleństwa zakochana, ale (zawsze mam jakieś „ale”) naprawdę go lubiłam i było mi z nim dobrze. Kiedy się rozstaliśmy, przez ostatni miesiąc bez niego okropnie było nudno, a pewnie też trochę bałam się zostać sama. Co było ważniejsze? Nad tym należało się zastanowić. Jednak te rozważania zostawiałam chłopakom, którzy aż się do nich palili. Zaczęli wymieniać kolejne argumenty na „nie”, jakby to była sprawa życia i śmierci.

- Przecież wam się nie układało - stwierdził Laurent.
- A co ty możesz o tym wiedzieć?
- Ma rację - poparł go Julien.
- A co ty możesz o tym wiedzieć?

„A co ty możesz o tym wiedzieć” - to zdanie w naszym gronie wypowiedało się najczęściej. Z reguły odpowiedzią było wydęcie ust i wydanie dźwięku „pfy...” lub - w wypadku Juliana - pogardliwe wzruszenie ramion, oznaczające, że i tak on ma rację. Obaj zresztą nie mieli ani cienia podstaw do udzielania mi rad, bo wiadomo było, że sami tkwią w mało satysfakcjonujących związkach. Zastanawiałam się nawet, czy ktoś w tej restauracji albo - powiem więcej - ktokolwiek w całym mieście jest w stu procentach zadowolony ze swojego związku. Może przekonanie, że istnieje wielka i odwzajemniona miłość to taki żart natury, marny zresztą, którego celem było wprowadzenie nas i naszych uczuć (zbyt często przypominających wygodnictwo) w stan żałostnego użalania się nad sobą.

- Zamówiliśmy dla ciebie kieliszek białego wina - oznajmił Julien, a w jego głosie brzmiała fałszywa nuta współczucia - przyda ci się.

Miałam ochotę im powiedzieć, iż nie przypominam sobie, abym kogokolwiek informowała, że trapi mnie jakaś poważna, a co gorsza zaraźliwa choroba. Wprost przeciwnie. Powinniśmy cieszyć się życiem, z optymizmem patrzeć w przyszłość, oglądać świat przez różowe okulary i do wszystkich naszych spraw podchodzić z większą dozą romantyzmu,

słowem - zachowywać się jak ludzie szczęśliwi, którzy odkryli swoją miłość.

- To prawda, Christophe jest wspaniały - oznajmił Julien, niższy od Christophe'a o dobre dwadzieścia centymetrów. - Ma takie apetyczne pośladki, że aż by się chciało je ugryźć...

Laurent z oburzoną miną zamachał gwałtownie ręką.

- Julien! Tyle razy cię prosiłem, zostaw dla siebie tego typu spostrzeżenia. To nieeleganckie. Bardzo nieeleganckie. Przeżywaj swoje fantazje erotyczne, ale po cichu. Zgoda? Ja dzisiaj jeszcze nic nie jadłem.

- Zgoda. Ja też jestem głodny - oznajmił Julien. - Gdzie jest Jeff?

- Kiedy rano wychodziłam z domu, Jeffa jeszcze nie było. Nie wrócił na noc.

Obaj zrobili lekko zdziwione miny.

- No, no - krótko skwitował Julien.

Tymczasem ja, patrząc na niego, po raz kolejny pomyślałam sobie, jakie to marnotrawstwo, że tak przystojny facet nie chce mieć do czynienia z kobietami. Julien nie wyglądał na geja. Może tylko te okropnie kolorowe koszule, które wystawały mu spod swetra, swetra przeważnie w kolorze czerwonym albo ciemnego granatu. Upierał się, że to, co nosi, to ostatni krzyk mody, a my cierpimy na nieuzasadniony wstręt do pięknych barw, choć zwracaliśmy mu jedynie uwagę, że różowe spodnie mogą u niektórych osób wywołać nieoczekiwane reakcje. Julien miał duże, niebieskie oczy, które zdawały się hipnotyzować. Dochodził do czterdziestki, ale wciąż wyglądał na dziesięć lat mniej. Lubił dać się podrywać dziewczynom, co z kolei doprowadzało Laurenta do głębokiej frustracji. Uważał, że to ironia losu i jawny przejaw niesprawiedliwości i nawet kiedyś w złości tak się zagalopował, że prawie dał się poderwać młodemu przystojniakowi, którego zmyliły eleganckie maniere Laurenta i oryginalny gust w dobieraniu koktajli. Laurent zszedł na ziemię, dopiero gdy usłyszał stwierdzenie tego przystojniaczka, wypowiedziane ścisłym, lubieżnym tonem, że „zawsze go rajcowali tacy olbrzymi łysielcy”. Laurent prawie się

rozpłakał, bo rzeczywiście zaczynał łysieć i ta uwaga była kroplą, która przelała jego kielich goryczy. Wrócił do siebie załamany, ale przedtem zapewnił, że wkrótce pokaże nam, jak wygląda prawdziwy samiec. Dwa dni później zjawił się w restauracji z czapką na głowie.

- Dobra. Czekamy jeszcze kwadrans i zamawiamy żarcie - oznajmił Julien, spoglądając na zegarek - ale muszę się jeszcze napić.

Zamachał ręką w stronę kelnerki, która nawet nie musiała podchodzić, bo wiedziała, że on, stały klient, zamawia zwykłą szkocką.

- Zanim zostaniemy obsłużeni - oznajmił Laurent - Marinę wyjaśni nam dokładnie, co jej chodzi po głowie. Bo o ile pamiętam, już dużo mówiliśmy na temat Christophe'a, a nawet bardzo dużo.

- Długo też rozprawialiśmy na temat Carole i Mathiasa, z którymi - przypominam - obaj nadal jesteście. Więc ciszej nad tą trumną z łaski swojej.

- To nie to samo, Marinę, ty byłaś wolna i wykonałaś konkretny ruch, a mogłaś postąpić inaczej i cieszyć się teraz wolnością. Wolność to przecież wspaniała rzecz. Och, co ja mógłbym zrobić, gdybym był wolny...

- Co mógłbyś zrobić, zachowaj dla siebie - uciał krótko Laurent.

- Dobrze, już dobrze, chciałem tylko wam uzmysłwić, że Marinę udało się to, czego my do tej pory nie byliśmy w stanie zrobić. A teraz jeszcze mocniej wlaźła w ten swój związek.

- Po pierwsze, byłabym wam bardzo wdzięczna, gdybyście chociaż spróbowali dać mi odrobinę wsparcia. Po drugie, przestańcie mówić o moim związku, jakby to było jakieś niebezpieczne grzędawisko. Po trzecie, nie zwracajcie nikomu głowy swoimi wyimaginowanymi problemami, bo gdyby wam było tak źle z tymi waszymi blondynami...

- Z kumplem - poprawił Julien.

- Nieważne - Mathias w przeciwieństwie do Julienu był tak zniewieściały, że z trudem przychodziło mi mówić o nim jak o mężczyźnie. - Gdyby wam było z nimi aż tak źle, to dawno byście się rozstali.

- To nie takie proste - stwierdził Laurent - ja nie mogę tego zrobić Carole.

- Ale nie możesz też ciągle jej zwodzić.

- Wcale nie zwodzę...

- Marnujesz jej czas, Laurent. Ona ma już trzydzieści osiem lat.

Laurent uderzył głową w ścianę. Rozumiałam jego rozterki. Przynajmniej po części. I lubiłam też Carole będącą adwokatem. W zachowaniu trochę oschła, ale za to bardzo zdolna, miała za sobą liczne nieudane związki z facetami, którzy nie tylko nie byli skłonni zaangażować się na dobre, ale jeszcze panicznie bali się ojcostwa. To zmieniło tę niemłoda już dziewczynę przed czterdziestką w kobietę mocno spanikowaną, że jeszcze nie ma dzieci. Prawdę mówiąc, trudno było za to winić ją samą, ale czułam się przy niej nieswojo, bo wyobrażałam sobie, że jej sytuacja to jeden z możliwych wariantów mojej własnej przyszłości i niezbyt mi się taka perspektywa podobała. Carole nerwowo poszukiwała ojca dla swoich dzieci, Laurentowi natomiast w takim stopniu chciało się zostać ojcem, jak mniej więcej posiedzieć na kaktusie.

Teraz cicho jęknął, ale dalej opierał głowę o ścianę.

- No nie! Dlaczego ja nie mogę poderwać jakiejś dwudziestolatki jak każdy facet w moim wieku i udawać, że wciąż jestem młody? To takie miłe...

- Dwulicowiec!

- Co? Nawet ty chodzisz z facetem młodszym od siebie.

- Christophe jest młodszy ode mnie o osiem miesięcy, a nie o dziewiętnaście lat.

- Miauuuu - miauknął Julien.

- Co to za miauczenie? - Laurent spojrzał na niego ze znużeniem.

- Bo to cudowne tak popatrzeć sobie na trzydziestojednoletnie pośladecki. Musi mieć taką jędrną dupcię... - Julien najwyraźniej czekał, aż zareaguję. - No, Marinę, opowiedz trochę szczegółów... zrób przyjemność swojemu przyjacielowi... Opowiadaj... Chociaż jeden mały szczegółólik.

- Jeżeli zapytasz ją, jak smakuje jego nasienie, to rzygnę ci do drinka - oznajmił Laurent.

Zaczęłam chichotać. Ci dwaj już od ośmiu lat kłócili się tak samo, czyli od chwili, kiedy ich ze sobą poznałam. Wtedy właśnie zaczęłam chodzić z Laurentem, a Julien był księgowym, który mi pomagał rozkręcić własny interes, bo postanowiłam rzucić posadę dekoratorki w jakiejś sieci pubów. Polecił mi go Jeff. („To prawdziwy geniusz - powiedział - a przede wszystkim zupełnie nie myśli jak księgowy”). Dopiero później zrozumiałam, dlaczego miała to być pochwała. Julien był prawdziwym profesjonalistą w swojej dziedzinie, a przy tym potrafił być nieprzyzwoicie frywolny.

Obaj z Laurentem stale się kłócili, obrażali nawzajem, nieustannie rozstawali i wciąż byli nierozłączni. Chwilami w cichości ducha wyobrażałam sobie, że któregoś dnia Laurent zjawi się w restauracji (w czapce lub bez) i wyjawi nam wreszcie swoje skrywane ciągoty homoseksualne. A potem rzuci się Julienowi na szyję. Julien natomiast zawsze uważał, że ja i Laurent powinniśmy ponownie się zejść.

- Pasujecie do siebie idealnie - powtarzał nam - niby gdzie zamierzacie znaleźć kogoś, z kim umielibyście się tak cudownie porozumieć?

I to było bardzo dobre pytanie, nad którym sama wiele razy się zastanawiałam i na które dotąd nie znalazłam zadowalającej odpowiedzi. Z Christophe'em nie umiałam znaleźć takiej prawdziwej więzi, podobnie zresztą jak ze wszystkimi innymi facetami, którzy przewinęli się przez moje życie od czasu rozstania z Laurentem. Ale na taką więź wciąż miałam nadzieję. Wmawiałam sobie, z mniejszym lub większym przekonaniem, że w tym celu należy owinąć się dookoła drugiej osoby jak powój, a tego nie można zrobić z dnia na dzień, bo to po prostu wymaga więcej czasu. Stąd wziął się pomysł, że damy sobie z Christophe'em jeszcze jedną szansę i przekonywałam sama siebie, że nam się uda.

- Może niekoniecznie dwudziestolatkę - Laurent dalej snuł swoje marzenia, bardziej w przestrzeń niż do nas - może być dwudziestopięciolatka. Dwudziestopięciolatki chyba nie myślał jeszcze o dzieciach?...

- Nie. Podobają im się szczeniaki - wtrącił Jeff, wciskając się na krzesło obok mnie. - Bardzo przepraszam za spóźnienie, ale miałem drobne problemy.

- Problemy? - zdziwiłam się. - Nie było cię w domu do dziewiątej rano. Mogłeś przynajmniej zadzwonić. Wiesz przecież, że się denerwuję.

Z Jeffem mieszkaliśmy razem od trzech lat. Kiedy rozstawałam się z Laurentem, Jeff zaproponował, że pomieszka ze mną „do jego powrotu”. Minęły trzy lata i nie doczekał się tego. Ale mieszkało nam się idealnie, tym bardziej że mieszkanie było olbrzymie, a poznaliśmy się na tyle dobrze, by nie wchodzić sobie w drogę. Pierwszy raz spotkałam go na uniwersytecie - miałam wtedy osiemnaście lat, a on dwadzieścia trzy. Nie był specjalnie urodziwy, ale miał w sobie coś interesującego, „promieniował”, jak mawiała moja mama. Miał ten rodzaj urody, która z wiekiem szlachetnieje, co - według mnie - było jawną niesprawiedliwością, jako że dawno zrozumiałam, że czas zbytnio mnie nie lubi.

Kiedy go poznałam, był z jakąś trzydziestojedynolatką, ja w tym czasie byłam z facetem o dziesięć lat starszym ode mnie (w tamtym okresie miałam wrażenie, że dzielą nas od siebie dwa, a nawet trzy stulecia). Gadaliśmy ze sobą o głupotach, śmiejąc się i dobrze wiedząc, że ta bajka wkrótce się skończy. Od tamtej pory Jeff „żeglował” z jednego łóżka do drugiego, a ja od Laurenta do „czegoś” tam.

- I kto to mówi? - zapytał. - Mogę wiedzieć, co o dziesiątej rano robił w mojej kuchni Christophe w samych bokserkach?

- Uuuu... - rozmarzył się Julien - Christophe w bokserkach...

Te słowa natychmiast spowodowały grymas na twarzy Laurenta.

- Wyszedł dopiero o dziesiątej?

- Nie. O dziesiątej jeszcze wcinał jakieś warzywa, czytał gazetę i bawił się z kotem - Jeff oparł łokcie na stole i spojrzał mi badawczo w oczy. - Bądź tak uprzejma i wyjaśnij mi, co ci strzeliło do głowy? To znaczy... Lubię go, ale sądziłem, że ten temat jest już zamknięty. Przecież dobrze wiesz, że nic

nowego tu nie zyskasz. A nie cieszyła cię myśl, że mogłabyś rozpocząć coś dla odmiany bardziej konstruktywnego?

Nie mogłam mieć Jeffowi za złe tych słów. Od trzech lat kolekcjonowałam krótkie i burzliwe miłości, które są fajne, kiedy się ma dwadzieścia lat, ale w wieku lat trzydziestu wszyscy naokoło zaczynają się tym nieco niepokoić. W tej kolekcji byli rozmaici faceci - mocno starsi ode mnie, żonaci, drżący na myśl o trwałym związku, byli też młodsi ode mnie, którzy chcieli się żenić po dwóch tygodniach znajomości, byli niewyrobieni, ale romantyczni. Byli też aż nadto wyrobieni.

- Czy on chociaż wie, że spałaś z jego najlepszym kumplem, kiedy się rozstał?

- Jeff!!!

- A więc nie wie.

Ledwo zdążyłam udać wielkie zdziwienie, kiedy Laurent wykrzyknął:

- A więc to tak? Brawo!!! - Nawet w trzy lata po rozstaniu z Laurentem źle znosił myśl, że mogę mieć jakieś życie seksualne. Julien zaczął bić brawo zachwycony, że dowiedział się o kolejnym małym skandaliku.

- Nie byliśmy wtedy razem - bąknęłam pod nosem - a Patrick nie jest najlepszym przyjacielem Christophe'a, to tylko kolega.

- Ale wciąż się widują - zauważył Jeff.

- Nie...

- Nie są, to prawda. Skoro Patrick jest teraz z jakąś blondynką, to nie jest z Christophe'em.

Miałam wrażenie, że Julien za chwilę pęknie z zachwytu. Zatkałam usta Laurentowi dłonią, zanim zdążył krzyknąć kolejne „brawo”, i walnęłam głową w stół.

- OK - powiedział Julien - jestem naprawdę z ciebie dumny. Gdybyś była facetem, to wszyscy uznaliby cię za prawdziwego *macho*.

- Ale ponieważ tak się składa, że jestem dziewczyną, to pewnie teraz wszyscy uważacie mnie za największą dziwkę w mieście.

- Ależ skąd - oburzył się Julien - tak mogłbyśmy sądzić, gdybyśmy cię nie lubili, a my cię lubimy.

- Wielkie dzięki. To mnie uspokoiło.

Próbowałam kpiąco się uśmiechnąć, ale jego słowa naprawdę mnie uspokoiły. Znałam tych trzech na wylot i lubiłam takich, jacy byli razem z ich rozlicznymi wadami i nielicznymi zaletami. I miałam pewność, że oni w ten sam sposób lubią mnie. Przy nich mogłam być taka, jaka jestem naprawdę, bez obawy o to, że będę surowo osądzana (choć w rzeczywistości większość czasu spędzaliśmy na ocenianiu jedno drugiego i naśmiewaniu się z siebie nawzajem. Nawet kiedyś zażartowałam, że wszystkim nam wyrośnie dodatkowy organ osądzania, ale nigdy bym nie chciała prosić któregoś z nich, żeby próbował się zmienić choćby w najmniejszym stopniu, bo każdy był przecież wyjątkowy, cudowny i niezastąpiony).

Moje przyjaciółki miały zwyczaj osądzać wszystkich dookoła, a moja matka zachowywała się jak prawdziwy Sąd Najwyższy. Osądzała moje działania, inklinacje, przekonania, choć to wszystko było przecież „z miłości do mnie”. Powtarzałam jej do znudzenia, że jeżeli jeszcze raz usłyszę „mówię ci to dla twojego dobra”, to sama sobie wyrwę rękę i będę się nią biła do nieprzytomności. Moje prośby nie dawały rezultatu (matka nie była głupia, a moje wzdychania, wywracanie oczami i pomruki nie robiły na niej najmniejszego wrażenia. Mając trzy córki, natrzyła się już na wszystko).

- Oooo! - odezwał się Julien. - Czy to przypadkiem nie twoja przyjaciółka Flavie?

Spojrzałam za siebie i... No nie, pytać, czy to moja przyjaciółka akurat w odniesieniu do Flavie było mniej więcej tym samym, co pytać się o wieżę Eiffla, stojąc naprzeciw wieży Eiffla. Wystarczyło tylko raz, nawet przelotnie, zetknąć się z Flavie, żeby zapamiętać ją na całe życie. Była wysoką Francuzką, miała metr osiemdziesiąt wzrostu. Zawsze ubierała się wyjątkowo krzykliwie, długie rude włosy zaplatała w warkocz, który sięgał jej do pasa. Miała zwyczaj przez każde pomieszczenie kroczyć jak królowa z głową uniesioną do góry (kiedy zadzierała głowę tak wysoko i szła powoli z dostojną miną, zawsze obawiałam się, że może potknąć się o kogoś niższego, kogo po prostu nie zauważy ze swoich

wyżyn). Nosiła szerokie, kolorowe spódnice, zimą zakładała obszerny płaszcz koloru musztardy i przedziwne kapelusze ozdobione albo sztucznymi różowymi kwiatkami, albo lniąną opaską z umieszczonymi na niej pomponami w kolorze białym i niebieskim.

- Czołem, kurczaczku! - ryknęła, sadowiąc się wraz ze swoim płaszczem na krześle obok mnie. - Witam! Jak się cieszę, że cię widzę. Jestem wykończona. Normalnie wykończona.

Flavie zawsze była wykończona. A to z powodu pracy, pogody, a to z powodu mężczyzny, z którym była ałbo akurat z powodu braku jakiegokolwiek mężczyzny w jej życiu. Powody stale się zmieniały.

- Co u ciebie słyhać? - zapytałam.

Chłopaki wymienili ze sobą rozbawione spojrzenia, tylko Jeff uśmiechnął się do niej serdecznie. Wiedziałam, że Flavie jest w jego guście. Dla Jeffa nic nie było straszne.

- Co słyhać? Och!... Aaa, czołem, chłopaki - powiedziała takim tonem, jakby dopiero teraz ich zauważyła. Podała im na powitanie niedbale rękę w szarej skórzanej rękawicze i natychmiast zwróciła się w moją stronę, jakby przestali istnieć.

- Mam już dość tego Guillaume'a, znowu mi zakosił pięćset piastrow na czynsz. Cholera. Kto dziś w wieku dwudziestu pięciu lat nie potrafi zarobić na czynsz?

- Poczekaj chwilę... Wróciłaś do Guillaume'a?

- Coś ty?... No... może trochę... Chyba. Kurcze, Marinę! To jedyny facet, który mnie doprowadza do orgazmu w mniej niż dwadzieścia sekund, i to za każdym razem, i to pochwowego, zwracam ci uwagę.

Kątem oka dostrzegłam, jak Laurent i Jeff wymienili ze sobą spojrzenia pełne podziwu, zupełnie jakby byli świadkami jakiegoś wielkiego wydarzenia.

- Pochwowego... - szepnęła z rozmarzeniem Julien.

- Możliwe, ale to już piąty raz rzucasz go i wracasz do niego. Bawi cię taka zabawa w jojo?

- Marinę, cholera, nie umiem znieść samotności. Odkąd odszedł Thierry, jestem zupełnie sama.

- Thierry odszedł miesiąc temu.
- Ależ to szmat czasu. Cały miesiąc. Wiesz, ile mam lat? Trzydzieści dwa. Marinę! Przecież muszę pomyśleć o rodzinie, o dzieciach.

- Masz dzieci? - spytał naiwnie Laurent.

Flavie spojrzała na niego jak na przygłupa.

- Ależ skąd. Nie mam dzieci. Mówię o przyszłych dzieciach. Gdybym miała dzieci, to przecież nie wykręcałabym sobie kręgosłupa na tych cholernych krzesłach - zaczęła się wiercić i wdychać, jakby to ją naprawdę bolało. O mało nie wybuchnęłam śmiechem, kiedy Julien wstał i oddał jej swoje miejsce, tłumacząc cichym głosem, że z przyjemnością sobie posiedzi na innym krześle.

- Milutki jesteś - odparła Flavie - ale zostanę tylko chwilę.

Została jednak dobre pół godziny, podczas których uzałała się nad swoim losem, nad losem swoich przyszłych dzieci oraz, co uznałam za szczególnie obraźliwe, również nad moim.

- Marinę, pomyśl, nie mamy już dwudziestu lat.

- Wiem, że nie mamy. Wierz mi, czuję to każdego ranka.

- A ja czuję też, że to nic zabawnego znaleźć się w naszym wieku ponownie na rynku - wskazała palcem za siebie. - Widzisz tych wszystkich frajerów na zewnątrz?

Laurent i Jeff zaczęli oczywiście protestować.

- Ale ty sobie nie pomagasz, głuptasie. Myślisz, że facetów rajcują kobitki, które spędzają życie co rusz z innymi facetami? Nie żebym miała coś przeciwko wam, chłopaki. Jesteście milutcy. A gdyby was porównać z tymi tabunami debili, którzy nam się zwykle trafiają, to nawet jesteście całkiem, całkiem. - Powstrzymałam się od śmiechu, widząc, jak chłopaki nie mogą się zdecydować, czy należałoby się obrazić, czy raczej powinni poczuć się docenieni. - W ten sposób nie znajdziesz faceta, Marinę.

Zacząło się. To był również ulubiony refren mojej mamy, która tak bardzo pragnęła znaleźć mi jakiegoś faceta, że przez kilka miesięcy, zanim poznałam Christophe'a, namawiała mnie na noszenie minispódniczek, atrakcyjnych rajstop i wychodzenie na miasto w towarzystwie koleżanek

brzydszych ode mnie, co miało być dla mnie zapewnieniem sobie większych szans.

- Przecież nie znajdziesz nikogo, jedząc wciąż kolacje w domu ze swoim byłym. Wiesz przecież, że lubię Juliana. Jest wspaniały. Nie mam nic przeciwko homoseksualistom, ale to niezbyt normalne. Czemu nie zaczniesz gdzieś wychodzić? Możesz chociażby zadzwonić do Sarah lub Carole.

- Kim są Sarah i Carole?

- No przecież wiesz. Mieszkały na tej małej uliczce naprzeciwko naszego domu, kiedy byłaś mała.

- Mamo! Ostatni raz widziałam je, kiedy razem oglądałyśmy „MiniMini”. Nie rozpoznałybyśmy się dzisiaj, nawet gdybyśmy na siebie wpadły na ulicy.

- Może, ale dobrze by ci zrobiło, gdybyś ruszyła się gdzieś z przyjaciółkami z dzieciństwa. Myślisz, że znajdziesz faceta, który odważy się podrywać dziewczynę siedzącą z innymi facetami?

Odpowiadałam jej wtedy z potwornym znużeniem, że właśnie kogoś takiego szukam. Ze nie chcę płacziwego maminsynka bojącego się podejść do dziewczyny tylko dlatego, że zadaje się z kilkoma facetami.

- Musi mieć trochę męskości - powtarzałam jej - naprawdę ktoś z jajami i całą resztą.

Moja mama kręciła wtedy głową z politowaniem i doskonale wiedziałam, co sobie myśli: „To biedne dziecko skończy w samotności, jeśli dalej będzie się upierać przy tych bzdurach o jajach i prawdziwej miłości”, potem skupiała się na moich młodszych siostrach. Mając dwadzieścia trzy i dwadzieścia pięć lat, nie stanowiły jeszcze w jej oczach przypadków beznadziejnych i miały szansę dać jej wnuki, o których marzyła i na które czekała z coraz większym niepokojem.

- Mam już sześćdziesiąt dwa lata - mówiła. - Twój ojciec ma sześćdziesiąt dziewięć. Tak bardzo chcielibyśmy zobaczyć, jak dorastają nasze wnuki... - dodawała żalnym urywanym głosem, jakby oboje z ojcem mieli po dziewięćdziesiąt pięć lat i po jednym rozruszniku serca.

Naiwnie wierzyłam, że uspokoi się na wieść o moim związku z Christophe'em, ale stało się akurat odwrotnie.

Mimo że znałam go zaledwie od ośmiu miesięcy, to powinniśmy już mieć trójkę dzieci, limuzynę i hipotekę na dom niedaleko rodziców. Co tydzień wydzwaniała do mnie z pytaniem, kiedy jej przyprowadzę tego Christophe'a. Odsuwałam ową chwilę w nieskończoność, wiedząc jednocześnie, że powinnam się nad nim ulitować, że na to nie zasługuje i tak dalej. Tak naprawdę to nie przedstawiałam rodzicom nikogo od czasu Laurenta i bałam się, że nie Kocham Christophe'a wystarczająco i że matka to zaraz zauważy. Bo gdyby mamusia zauważyła, że jestem z facetem, chociaż za nim nie szaleję i nie jestem gotowa urodzić mu dzieci, to nie tylko musiałabym wysłuchiwać jej utyskiwań do końca życia, ale co gorsza musiałabym stawić czoło kilku sprawom, o których wolałam myśleć pokrętnie lub wręcz kłamliwie albo w ogóle o nich nie myśleć.

- Zresztą - westchnęła Flavie - zrobisz, co zechcesz. Jednak jeżeli będziesz wciąż sama po czterdziestce, to nie mów, że cię nie uprzedzałam.

- No... właśnie...

- Co? Właśnie..?! - wyprostowała się na krześle z wrażeń. - Spotkałaś kogoś? Naprawdę?... Ona spotkała kogo!!! - Tym razem zwróciła się do chłopaków z udawaną radością. Znałam ją na tyle dobrze, żeby wiedzieć, jak ważne dla niej było posiadanie przyjaciółki równie samotnej co ona. Patrzyła na mnie, jakbym się dopuściła największej zdrady.

- Znow się zeszała z Christophe'em - oznajmił Julien.

- Żartujesz sobie ze mnie? - spytała.

- Chłopaki, nie moglibyście dodać mi wreszcie trochę otuchy? Przypominam, że mieliście mnie zawsze wspierać.

- Zawsze masz nasze nieograniczone poparcie - stwierdził Jeff i poklepał mnie po plecach.

- Mów za siebie - wtrąciła się Flavie. - Marinę, cholera jasna, co ty wyprawiasz ze swoimi uczuciami? Naprawdę chcesz popaść w oziębłość? Wiesz, co się dzieje z ludźmi, którzy popadli w oziębłość?

- Wysychają od środka - odpowiedziałam szybko, zanim zdążyła to głośno oznajmić całej sali.

- Właśnie, wysychają od środka.

- Między nami nie ma oziębłości. Nie byłabym z nim przecież, gdyby tak było. Wiesz, że taki stan mnie przeraża.

Naprawdę nie cierpiałam na oziębłość. Można by wręcz powiedzieć, że związek z Christophe'em był raczej burzliwy. Po prostu nie byłam siebie pewna, ale ja nigdy nie miałam pewności. Nie byłam nawet pewna, czy kiedykolwiek stanę się czegoś pewna. To mnie dręczyło tak samo, jak peszyli mnie ludzie zbyt pewni siebie. Uważałam zresztą, że moje powątpiewanie było jednak uczciwsze.

- I dlatego cały zeszyły tydzień zadawałaś się z jego najlepszym kumpłem? - Flavie wzruszyła ramionami.

- Nie byliśmy wtedy z Christophe'em!

- To trwało cały tydzień? - zaciekawił się Julien - oho-ho...

- No dobra - wtrącił się Laurent mocno zde gustowany - co ma znaczyć to „ohoho”?

- Jak to co ma znaczyć? Po prostu ohoho. Sam bym chciał przez cały tydzień zadawać się z takim chłopczykiem jak Patrick.

- Tym razem naprawdę się porzygam.

Flavie spojrzała na jednego i drugiego z nieskrywaną niechęcią, po czym odwróciła się do obu plecami, jakby ich w ogóle nie było.

- No dobra - powiedziała po chwili - wiesz, co teraz zrobimy? Pójdziemy coś zjeść i wytłumaczysz mi, co właściwie robisz jeszcze z Christophe'em. Może mnie przekonasz, kurczaczku.

To był dobry pomysł, bo ja także chciałam ją zapytać, czy Patrick zdążył już wszystko wygadać.

- Posłuchaj, piękna Flavie - włączył się Jeff - muszę cię zapoznać z kilkoma elementarnymi prawdami o męskiej psychice. Patrick nie piśnie słowa Christophe'owi o tym wszystkim, nawet gdyby Christophe przyłapał go z nią w łóżku.

Fłavie zmrużyła oczy i założyła nogę na nogę.

- Poczekaj, mój ty piękny. Twierdzisz, że mnie możesz jeszcze nauczyć czegoś na temat męskiej psychiki?

Uśmiechała się do niego i wyglądało na to, że Jeff raczej przypadł jej do gustu. On skrzyżował ramiona i przybrał zboląłą minę. Lubił te przekomarzania z Flavie.

- Innym razem, piękniutki - oznajmiła teraz, podnosząc się z krzesła - muszę już iść.

Cała nasza czwórka zadarła głowy.

- Zdzwonimy się, kurczaczku. Nie wywiniesz mi się tak łatwo.

- Zdaję sobie z tego sprawę, zapewniam cię.

- Dobra, muszę lecieć. Mam spotkanie w zoo. Jest tam nowy koczodan i muszę zrobić rozeznanie. Nikt nie zna przypadkiem zawodowego Świętego Mikołaja? Szukam takiego do programu na przyszły tydzień.

Nawet nie udawała, że czeka na odpowiedź; od dawna wiedziała, że większość jej pytań („Macie może jakiegoś kuzyna chasyda? Szukam faceta, pół chasyda, pół baranka”; „Wiecie może, gdzie się spotykają w Montrealu sataniści?”) napotykała milczenie z objawami pełnego zakłopotania. Zabrała się więc, zamaszycie zawijając furkoczącymi płaszczem i spódnicą.

- Och! - westchnął Jeff. - Co to za kobieta!

- To prawda.

- Zaproś ją któregoś dnia do siebie na kolację.

- Mnie to nie przeszkadza, ale... - przerwałam, bo kelnerka przyniosła właśnie dwa tuziny ostryg - musisz wiedzieć, że to kompletna wariatka.

- To widać - przyznał, przełykając ostrygę - ale wspomniała wariatka, gdyż panicznie boi się oziębłości. Chyba to rozumiesz.

- Jasne, że rozumiem - uśmiechnęłam się do Jeff a. Gdybym była facetem, to chyba też marzyłabym o kimś tak wyjątkowym, jak Flavia. Wyjątkowym w dosłownym tego słowa znaczeniu. - Dobra, zaproszę ją, ale powiedz mi, gdzie byłes zeszłej nocy, casanowo.

- Ja?... Właściwie nigdzie. U jednej dziewczyny. Nie znacie jej... - Miał dość niepewną minę i zaczął nerwowo pukać w mój kieliszek. Tym razem Julien skrzyżował ręce na piersi.

- Byłeś u Marie-Lune, prawda?
- I co z tego? - uciął krótko Jeff. - Czego się napijecie, bo ja mam ochotę na całą butelkę wina.

Marie-Lune była w wieku moich siostr. Milutka i piękna, ale głupia jak but i próżna. Czasami podejrzewałam, że Jeff ją kocha, tylko nie potrafi sam się przed sobą przyznać, że jest mu z nią po prostu dobrze.

- Mogłeś mi o tym powiedzieć - oburzyłam się - a naśmiewasz się ze mnie, że wróciłam do Christophe'a.

- Nie wracałem do Marie-Lune.

- Może mi się tylko tak wydawało...

- Farciarz... To był miły wieczór? - spytał Laurent, który odkąd zaczął się zastanawiać nad rzuceniem Carole dla młodszej i, co ważniejsze, mniej wymagającej kobiety, usiłował siebie przekonać, że sprawy sercowe i wymagania intelektualne nie muszą iść w parze. Zresztą niewiele brakowało, żebym przyznała mu rację.

- Miły wieczór?... - Jeff z zastanowieniem powtórzył pytanie. - No... cóż, w sumie tak. Poprawny.

- Nie mogę uwierzyć, że wróciłeś do Marie-Lune - dziwiłam się nadal.

- A myślisz, że mogę uwierzyć, że wróciłeś do Christophe'a?

- Nie wierzę już wam obojgu - stwierdził Julien.

- A co ty możesz wiedzieć? - wyrwało się i mnie, i Jeffowi prawie jednocześnie. Laurent prawie się zadławił, popijając ze swojego kieliszka, i na koniec wszyscy wybuchliśmy śmiechem.

- Cholera, ale z nas twardziele... - stwierdził Jeff.

- To by nie było złe - dodałam, a wszyscy wciąż jeszcze zanosili się od śmiechu - jednak my tylko próbujemy udawać twardzieli...

- Może - zgodził się Julien - na razie przyda nam się jeszcze jedna butelka wina. - Podniósł głowę i nagle zaczął uważnie przyglądać się komuś u wejścia do restauracji. - Ooo..., dopiero teraz trzeba będzie udawać twardziela.

- Kto tym razem - zapytał Laurent - kto dokładnie? I czy chcemy o nim wiedzieć?

- To twój facet - stwierdził Julien.

Zadałam wtedy najgłupsze pytanie w swoim życiu.

- Który?

Ledwo palnęłam, a już zrozumiałam ogrom swojej głupoty. Najpierw uświadomiłam sobie, że moich trzech mężczyzn siedzi obok mnie. Później przemknęła mi przez głowę dość nieprzyjemna myśl, że to Patrick ze swoją blondynką, i miałam ochotę schować się w mysią dziurę. Wreszcie pomyślałam, że to może być Christophe, i poczułam się żałosna.

- Który - powtórzyłam przez zaciśnięte zęby. Jeff z Laurentem patrzyli na mnie, jakbym była debilem, a Julien siedział pochylony, mrużąc z zadowolenia oczy, a na jego ustach pojawił się sprośny uśmiezek.

Doktor Gabriel Champagne właśnie wszedł do sali.

Do: Freda

Od: Marinę Vandale

Temat: Bezsensowność

Myślisz, że palnęłam głupstwo, wracając do Christophe'a?

Do: Marinę

Od: Fred Vandale

Temat: Instykt przetrwania

Rozsądniej będzie, jeśli nie wypowiem się na ten temat, bo mam mocne przeczucie, że cokolwiek powiem, niedługo mi to wypomnisz. Zechcesz mi natomiast wyznać, co takiego spowodowało twój niepokój?

Do: Freda

Od: Marinę Vandale

Temat: Medycyna niekonwencjonalna

Wspominałam ci już o Gabrielu Champagne? To taki piękny lekarz, który często jada w tej samej restauracji co ja.

Do: Marinę

Od: Freda Vandale

Temat: O słodki pedziu!

Chyba nie próbujesz mi powiedzieć, że zdążyłaś spotkać się jeszcze z kimś? Bo wiesz, Marinę, nagle poczułem się okropnie znużony.

Do: Freda

Od: Marinę Vandale

Temat: Chwała ludzkiemu ciału

A gdybym ci powiedziała, że to najprzystojniejszy samiec, jakiego kiedykolwiek widziałam? Że ma czarne włosy, które aż się proszą o pieszczotę, oczy ciemnoniebieskie jak nocne niebo nad Neapolem i uśmiech człowieka, który z całą świadomością prezentuje swój cudowny urok osobisty?

Do: Marinę

Od: Freda Vandale

Temat: Neapolitańska nutka

Byłaś kiedyś w Neapolu?

Do: Freda

Od: Marinę Vandale

Temat: Nieważny szczegół

Bądź miły i nie czepiaj się jakichś geograficznych drobiazków.

Do: Marinę

Od: Freda Vandale

Temat: Do rzeczy

Dobra. Więc któż to taki ten pan Champagne? I czego właściwie jest doktorem?

Do: Freda

Od: Marinę Vandale

Temat: Ratowania ludzkości

To do końca nie jest jeszcze jasne. To kelnerka nas poinformowała, że on jest doktorem. Może ratuje ludzkie życie jako kardiochirurg albo pracuje nad oczyszczaniem kanałów miejskich. Ja lubię sobie wyobrazić, że jest lekarzem bez granic.

Do: Marinę

Od: Freda Vandale

Temat: Granice medycyny

Nie chciałbym zajmować się jakimiś szczegółami, ale czy doszło już do jakiegoś bliższego kontaktu z rzeczonym doktorkiem?

Do: Freda
Od: Marinę Vandale
Temat: Fuli contact

Po pierwsze, wymieniliśmy ze dwa razy uprzejme „dzień dobry”, wprawdzie nie werbalnie, tylko skinieniem głowy, ale w jego oczach zobaczyłam drobną iskierkę zainteresowania. A w zeszłym tygodniu Julien zwrócił mu uwagę, że szalik spadł mu na podłogę. Czyli bardzo niewiele brakuje do jakiejś bezpośredniej rozmowy.

Do: Marinę
Od: Freda Vandale
Temat: Fuli contact

W ogóle kiedykolwiek z nim rozmawiałaś?

Do: Freda
Od: Marinę Vandale
Temat: Fuli contact

Ani razu.

Do: Marinę
Od: Freda Vandale

Temat: Doktor ek wyskakujący z kapelusza jak królik
Chcesz mi powiedzieć, że siedzisz o czwartej nad ranem przed komputerem, śniesz o doktoru, o którym nawet nie wiadomo, czy jest doktorem, bo nikt jeszcze nie zamienił z nim ani słowa? A co w tym wszystkim robi ten biedny Christophe?

Do: Freda
Od: Marinę Vandale
Temat: Niedowiarek

Skoro już mowa o tym biednym Christofie, to przypominam, że ty pierwszy radziłeś mi posłać go na drzewo. A więc oszczędź mu swojego fałszywego współczucia, bo nie spałam pół nocy. A od kiedy się zesłaliśmy ponownie z Christophe'em, to mam nieustający festiwal przedstawiania mi przez chłopaków wątpliwości i niewiele więcej pociechy z twoich mejli. Nie pomagacie mi wcale.

Do: Marinę

Od: Freda Vandale

Temat: Dzielenie włosa na czworo

Być może. A ty uważasz, że sobie pomagasz? Nie chciałbym występować w roli adwokata diabła, ale moje solidne doświadczenie życiowe podpowiada mi, że kiedy dziewczyna zaczyna marzyć o nieznanym - nieważne, czy jest on noblistą, czy lekarzem bez granic - oznacza to, na sto procent, że nie czuje się zadowolona ze swojego związku.

Do: Freda

Od: Marinę Vandale

Temat: Nobel za przenikliwość

A sądzisz, że dłaczę sterczę tu do czwartej nad ranem? Przecież ja wiem o tym wszystkim, Fred. Uwielbiam Christophe'a. I wiem lepiej od innych, że nie powinnam mieć takich myśli. Ale czasem próbuję sama siebie przekonywać, że to może zupełnie normalne tak zdrowo unurzać się w pożądaniu do nieznanego, zwłaszcza jeśli ma oczy jak Morze Egejskie. Uprzedzam - nigdy nie byłam w Grecji.

Do: Marinę

Od: Freda Vandale

Temat: Bez tematu

Wciąż marzysz o Wyspach Szczęśliwości?

Do: Freda

Od: Marinę Vandale

Temat: Bez tematu

Marzę. I nie mogę przestać.

Rozdział 2

Christophe spał na plecach z jedną ręką złożoną na piersi. Delikatnie wyswobodziłam swoją lewą nogę uwięzioną między jego nogami i przyglądałam mu się przez chwilę. Jak zwykle stwierdziłam, że jest fajny. Nie uważałam, że jest wybitnie przystojny - tak jak na przykład Julien - ale milutki. Poza tym był pociągający. Miał zawsze śmiejące się brązowe oczy, usta dziecka i dwa pieprzyki - jeden na lewej skroni, a drugi po prawej stronie szyi, obok jabłka Adama. Uważałam, że te znamiona nadają mu pewną elegancję jak wąsy.

Nasze ubrania rozrzucone były po całej podłodze i nadały sypialni specyficznie sympatyczny wygląd, który mi się bardzo podobał. Wstałam z łóżka, powoli wsuwając stopy w jego tenisówki Pумы i podniosłam jego T-shirt, który leżał na podłodze obok butów. Obrazek na T-shircie był sztucznie robiony na postarzały i przedstawiał jakąś grupę rockową, która prawdopodobnie przestała istnieć na długo przed urodzeniem Christophe'a. W jaki sposób wplątałam się w związek z kimś takim?

Zaczynało się zmierzchać i zastanawiałam się, co będziemy robić wieczorem. Pewnie obejrzymy jakiś film i zjemy trochę domowego ciasta. Wczoraj i przedwczoraj mieliśmy męczące wieczory poza domem i wiedziałam, że podobnie jak mnie, marzył mu się spokojny odpoczynek w domu. Przemknęło mi również przez myśl, że tak naprawdę wołałabym zostać sama, usadowić się wygodnie w starym fotelu Jeffa i obejrzeć bez oporów pięć razy z rzędu ten sam odcinek serialu *Seks w wielkim mieście*.

Ponownie spojrzałam na Christophe'a. Wyglądał tak młodo. O mały figiel nie wskoczyłam ponownie do łóżka, żeby go obudzić i przytulić się do jego piersi - uśmiechnąłby się, trochę byśmy pogadali, popieścili się i wreszcie wstali. Ale podeszłam do drzwi. Wiedziałam, że będzie spał jeszcze dobre pół godziny i zamierzałam to wykorzystać.

Z mojej sypialni wychodziło się wprost do olbrzymiego pokoju połączonego z kuchnią, który pełnił funkcję salonu, jadalni, gabinetu Jeffa i mojej pracowni jednocześnie. Po cichu zamknęłam drzwi i kiedy się odwróciłam, zauważyłam Jeffa siedzącego przy stole i udającego, że czyta książkę. W rękę trzymał koszulę.

- Cholera - mruknęłam. Przez chwilę zastanawiałam się, co mam zrobić, ale uświadomiłam sobie śmieszność swojego zachowania. Poczłapałam więc niezdarnie do Jeffa i wyrwawszy mu koszulę z ręki, starałam się szybko ją na siebie wciągnąć.

- Co ty tu robisz? - zapytałam cicho pod nosem, siłując się z lewym rękawem. To była jedna z tych jego koszul, które sięgały mi do połowy ud.

- Może przypadkiem jestem u siebie - odparł, nie odrywając nosa od książki. - Czyżbyś zapomniała, że ja tu mieszkam?

- W porządku, możesz już patrzeć.

Podniósł głowę i przyglądał mi się z uśmiechem.

- Czy nie chodziła ci po głowie myśl, żeby na przykład sprawić sobie szlafrok?

- Lubię chodzić nago, kiedy jestem sama.

- Skoro się upierasz, to jestem gotów pogodzić się z faktem, że całymi dniami chodzisz nago po mieszkaniu. Nawet wtedy - a właściwie zwłaszcza - kiedy jestem w domu. Ale...

- Przecież miałeś być w Quebecu.

- Owszem. Do szesnastej dnia dzisiejszego.

- Myślałam, że wracasz w piątek.

- Dzisiaj jest piątek.

- No tak. - Zaczęłam się śmiać sama z siebie i ciężko

opadłam na krzesło stojące naprzeciwko Jeffa. I nagle uświadomiłam sobie nieprzyjemną dla mnie sytuację. - O matko, jak długo tu jesteś?

- Wystarczająco długo - odparł z uśmiechem. - Udało mi się wrócić w najlepszym momencie.

Zakryłam twarz dłońmi. Znaliliśmy się z Jeffem jak łysze konie, ale i tak było to dla mnie trochę kępujące.

- Uuuuu...

- Daj spokój - znowu uśmiechnął się do mnie i mówił tak cicho, jak ja. Miałam wrażenie, że też nie ma zamiaru obudzić Christophe'a. Bezszelestnie wstał z krzesła i pokazał palcem na kuchnię.

- Chcesz drinka? Mały gin z tonikiem? Mam też ogórki.

- W świetle tego, co...

- Gin z tonikiem i ogórkiem. *Very, very good*. To jest doskonały drink na lato, mój najnowszy wynalazek - stosuję go jako lekarstwo na zimową szarówkę.

- Jak uważasz.

Jeff był znanym twórcą pomysłów koktajli. Obszedł dookoła kuchenny blat, który od strony salonu służył za barek.

- A może wolałabyś coś bardziej konkretnego, żeby się zregenerować po tym... no... po tym wysiłku?

Podparł brodę rękami, trzymając łokcie na blacie, i cały czas cichutko chichotał.

- Co mam powiedzieć... przykro mi, że musiałeś być świadkiem...

- Dobrze, że przynajmniej drzwi były zamknięte.

- Dobrze, że nie robiliśmy tego na stole.

Gwałtownie unióśł ręce do góry, jakby go coś ugryzło.

- Marinę! Robiliście to tu, na blacie kuchennym? Zresztą nic nie mów, nie chcę wiedzieć.

- OK. Teraz przypominasz mi Laurenta. On też lubi udawać świętoszka.

Zaczął się cicho śmiać, odchylając głowę do tyłu. W innej sytuacji ryknąłby śmiechem na cały głos, ale teraz wyraźnie się hamował. Ja również się śmiałam i po-

myślałam o mojej mamie i Flavie. Miały rację, najlepiej czuję się w towarzystwie swoich chłopaków, i to nie jest normalne.

Kiedy nadal tak chichotał za barem, wzięłam do ręki książkę, którą czytał. Były to *Życzliwe* Jonathana Littella*. Opasłe tomisko wyglądało na mocno podniszczone od intensywnego czytania (mojego, bo dla książek nie mam litości). Razem z Jeffem stworzyliśmy nieformalny klub biblioteczny. Jeżeli ja kupiłam książkę, zaraz po przeczytaniu przekazywałam ją Jeffowi i odwrotnie. Mieliśmy podobny gust i żadne z nas nie potrafiłoby powiedzieć, czy ta zasada obowiązywała tylko dlatego, że razem mieszkamy, czy też bardzo dobrze się poznaliśmy i dokładnie wiemy, co które z nas lubi czytać.

Zagłębiłam się więc w lekturze, ale zdążyłam przeczytać zaledwie parę zdań, gdy zjawił się Jeff z kieliszkiem napełnionym trunkiem i jasnymi kawałeczkami ogórka.

- Czuję się, jakbym była na wakacjach.

- Tylko bez *jokes*, bo zaraz wyciągnę swoje hawajskie koszule i płyty Beach Boysów.

- Prawdę mówiąc, to byłoby straaaasznie *cool*.

Znów się zaśmiał i usiadł obok mnie.

- Dobrze się czujesz? - spytał.

- Jasne, że dobrze - spojrzałam w stronę sypialni - naprawdę dobrze. Jeff sprawiał wrażenie, jakby wątpił w moją szczerość i dopiero po chwili wszystko zrozumiałam. - *My God*, gadałeś z moim bratem!

- Nie możesz zasnąć do czwartej nad ranem - odparł Jeff - nieustannie zadajesz sobie kretyńskie pytania. Jasne, że niepokoję się o ciebie.

- Przekłęty Frśderic...

Roześmialiśmy się oboje.

- A wiesz, że dotąd mu nie napisałam, że wróciłeś do Marie-Lune?

- Nie... - zrobił zrezygnowaną minę - OK, *whatever*. Sam już nie wiem...

* *Życzliwe* - w oryginale *Les Bieveillantes* (wszystkie przypisy tłumacza).

Przez chwile milczeliśmy. Kot, który jak zwykle spał w misie na owoce, postanowił teraz wstać. Przeciągnął się i podszedł do Jeffa pocierać się o jego podbródek.

- Uważasz, że z powodu problemów, które stwarza miłość, powinniśmy wpadać w delirkę? Jak myślisz, czy gdzieś jeszcze istnieją tacy normalni ludzie, którzy wmawiają sobie, że są do szaleństwa zakochani w swoich facetach czy dziewczynach i nie zawracają sobie głowy jakimiś przystojnymi doktorkami, bywającymi w tych samych knajpach co oni?

- Uważam, że zamartwiasz się samymi głupotami, Marine. - Uśmiechnął się i pocałował mnie w czoło.

Przez chwilę miałam ochotę poprosić go o przepis na pewność siebie. Niech mi powie, jak zrobić, żeby po obudzeniu się każdego poranka nie zadawać sobie stale tych samych głupich pytań. Wstał z krzesła, bo zadzwonił telefon, i na odchodnym pogłaskał mnie po szyi. Skąd u tego wielkoluda tyle delikatności? To chyba skutek ćwiczeń całymi latami. Ja, gdybym miała jego posturę, poruszając się po mieszkaniu, na pewno co rusz rozwalalabym jakieś meble.

- Tak - mówił Jeff do słuchawki. - Jak to? Od dziesięciu dni mówiłem ci, że mam wrócić dzisiaj... dzisiaj jest piątek. Daj spokój! Słyszałeś może kiedyś o czymś, co nazywamy kalendarzem? - zaczął się głośniejszym śmiać.

To musiał być Laurent. Laurent odziedziczył po ojcu okazałą sumę, która stawiała go w tym samym szeregu, co bogaczy z Saguenay*. Tak więc praktycznie nie musiał pracować (dlatego nazywaliśmy go rentierem - choć gorąco przeciwko temu protestował), ograniczając się do robienia co dwa lata błyskotliwych i zabawnych filmów dokumentalnych, które niestety miały dość ograniczony krąg odbiorców. To dawało mu średnio sześć miesięcy w roku na odpoczynek. Spędzał ten czas na mrzonkach i wymyślaniu fantastycznych projektów, które nigdy nie miały zostać zrealizowane. Skutkiem ubocznym tego stylu życia było pewne oderwanie od rzeczywistości. Obecnie zajmował się zbieraniem materiału do następnego filmu dokumentalnego z cyklu *Road movie*,

* Saguenay - mitycznie bogata kraina we wschodniej Kanadzie.

pokazującego na przykładzie rue Saint-Laurent wydarzenia związane z historią miasta i z samą La Main*.

Jeff wesoło gadał z Laurentem jeszcze przez chwilę, po czym wręczył mi słuchawkę.

- Dzień dobry, Loulou!
- Dzień dobry...
- Jak leci?
- OK, a co u ciebie?
- W porządku. Dzień doooobry...
- Dzień doooobry...

Jeff wznosił oczy do nieba i zabrał się do czytania. Odbywaliśmy z Laurentem taką niekończącą się i bezsensowną konwersację prawie codziennie. Inne dziewczyny prowadziły takie rozmowy z własnymi matkami. Carole nie lubiła tego z całego serca i chyba mogłam ją zrozumieć. Mówiliśmy sobie „dzień dobry” po tysiąc razy, wymienialiśmy uwagi, komentowaliśmy na bieżąco programy radiowe i długo się rozwodziliśmy na temat naszych grafików dziennych (co było szczególnie absurdalne, jako że ja pracowałam na własny rachunek, a Laurent zapominał nawet, która godzina, jeśli nie kręcił swoich filmów), analizowaliśmy szczegółowo nasze lęki („myślę, że coś mi się zrobiło na łokciu...”), opisywaliśmy także szczegółowo widoki za oknem („Ooo! Właśnie odholowują jakiegoś facetowi auto...”), ogólnie robiliśmy to, co robią przez telefon ludzie sobie bliscy: powtarzaliśmy żarty, kawały, opowiadaliśmy o problemach, milczeliśmy.

- Co porabiasz? - spytał Laurent tonem, który sugerował, że nie chce tego wiedzieć, natomiast z chęcią usłyszałby radę, co on mógłby zrobić, ale tak, żeby się nie narobić.

- Pijemy gin z tonikiem.
- Farciarze... dodał ogórki?
- Co jest? Wszyscy oprócz mnie już wiedzą o tych ogórkach?

- Bardzo smaczne. Julien uważa nawet, że są praktyczne,

*** La Main - potoczna nazwa znanej ulicy w Quebecu. Właściwa nazwa brzmi rue Saint-Laurent lub bulwar Saint-Laurent.**

bo potem można je sobie zaaplikować na oczy, jeśli ma się podkrążone.

- Julien się wygłupia.
 - Laurent, dlaczego mówisz szeptem?
 - Mhm... może dlatego, że ty też mówisz szeptem.
- Nie mogłam się powstrzymać od śmiechu.
- Jesteś śmieszny.
 - Być może. Ale dlaczego ty mówisz szeptem?
 - Bo Christophe jeszcze śpi i nie chcę go budzić.
 - Aha.

Prawie poczułam jego zniechęcenie. Laurent lubił Christophe i znał go dłużej ode mnie. Kilka razy nawet spędzaliśmy wspólnie wieczór. Wiedziałam jednak, że czuł się niezręcznie, kiedy był u mnie Christophe, i jakoś nie mogłam go za to winić. To było brzemie wszystkich eks-kochanków, którzy zostawali przyjaciółmi, sama też czułam się trochę nieswojo w towarzystwie Carole. Wynikało to pewnie z faktu, że obydwójce doskonale zdawaliśmy sobie sprawę, że nasi faceci czy dziewczyny, obecni i przyszli, zawsze będą patrzyli podejrzliwie na takie kontakty. Wszyscy zastanawiali się - tak samo jak Julien - dlaczego się właściwie nie zejdziemy ponownie.

- Chcesz wpaść? - spytałam.
- Nie... Carole wyjeżdża.
- Jak sobie życzysz, Loulou.

Gadaliśmy jeszcze przez kwadrans, potwierdziliśmy wspólny obiad na następny dzień i rozłączyliśmy się. Miałam właśnie wrócić na swoje miejsce koło Jeffa, kiedy pojawił się Christophe. Był przezorniejszy ode mnie - włożył bokserki i T-shirt. Najpierw dostrzegł mnie i uśmiechnął się radośnie, a potem zobaczył Jeffa. Pracowali razem od wielu lat i bardzo się lubili.

- Cześć, boski ogierze - powiedział Jeff, klepiąc go w dłoń w geście powitania (niezrozumiały i przedziwny zwyczaj przybijania sobie nieustannie piątki).

Christophe uśmiechnął się, podszedł, objął mnie i pocałował w szyję. Miał nadzwyczaj rozwiniętą umiejętność, którą nazywałam łatwością bycia. Jego gesty były łagodne

i niewymuszone, jego decyzje naturalne i najwyraźniej nie przejmował się przeciwnościami lub nadmierną analizą własnego zachowania, która była tak charakterystyczna dla innych osób w jego wieku (nie wyłączając niestety i mojej skromnej osoby). Emanował z niego pewien rodzaj spokoju i często zastanawiałam się, czy nie bierze się to właśnie z braku rozterek i potrzeby rozdzielania włosa na czworo. Może bezproblemowe podejście do życia ma jednak jakieś zalety?

- Długo spałem? - spytał, ziewając i drapiąc się po głowie.

Jego zmierzwione włosy sterczały w różne strony, co dodawało mu tylko uroku. Mógł sobie mieć te swoje trzydzieści jeden lat, ale sposobem poruszania się, gestami i bardzo żywą mimiką twarzy nadal bardziej przypominał podrostka, choć bardzo zmysłowego i pełnego gracji. Siedzący obok niego Jeff wyglądał jak dostojny posąg wykuty w skale. Dobrze wiedziałam, dlaczego i dojrzałe kobiety, i młode dziewczyny lgnęły do niego jak muchy do lepu. Czuły wyraźnie jego siłę i to, że z łatwością mógł unieść kobietę jedną ręką. Miał też taką solidną pierś, do której przyjemnie się było przytulić. Ja bardzo lubiłam mieć go przy sobie. Nazywałam go swoim Shrekiem i mogłam spać spokojnie, wiedząc, że jest w pokoju obok.

- Chcesz ginu z tonikiem? - spytał Christophe'a.

- Może zwykłej whisky...

Podszedł do barku. Po drodze pogłaskał kota, który znów spał w misie na owoce, owinięty wokół cytryny. Zaczął przeglądać zawartość barku. Znajdowało się tam mnóstwo butelek, więc zadanie nie było łatwe. Oprócz zwyczajnych wódek, rumów, ginów, whisky i tequili stojących zawsze po lewej stronie (najszybsza rotacja towaru) były tam jeszcze curacao (na margarity), baileys (irlandzki likier na bazie whisky ze śmietaną, kakao i wanilią, ofiarowany Jeffowi przez jego ciotkę), kremy miętowe (dla mojej matki), frangelico (na desery), godet (okropny likier z białej czekolady, którego Jeff używał do polewania

niektórych ciast), amaretto (likier migdałowy do gorzkich orzechów uwielbianych przez Marie-Lune), sambuca (likier anyżkowo-owocowo-ziołowy do kawy dla Juliana), grand marnier (whisky z oranżadą, nikt nie śmiał nawet na nią spojrzeć, od kiedy razem z Jeffem opróżniliśmy prawie całą butelkę, żeby ocknąć się następnego dnia z wrażeniem, że przy tym kacu zwyczajny kac był stanem znakomitego samopoczucia), burbon (kupiony dwa lata wcześniej pod wpływem impulsu, żeby odtworzyć u nas w mieszkaniu święto Mardi Gras), canada dry (nie wiadomo dlaczego), a na samym końcu, przy ścianie, stał jeszcze likier bananowy (jego obecność w tym zacnym gronie wydawała się mniej niepokojąca niż to, że butelka była prawie całkowicie opróżniona).

- Co polecasz? - spytał Christophe, wyjmując dwie butelki single malt i wyciągając je w kierunku Jeffa. Jeff w milczeniu wskazał palcem jedną z nich. Sądzę, że decyzja była przypadkowa, bo raczej nie pijał whisky. Wtedy znów zadzwonił telefon.

- Witam, pani Vandale - powiedział uradowanym głosem Jeff.

Uwielbiał moją matkę. Potrafił rozmawiać z nią godzinami. Obgadywali moje życie uczuciowe oraz wymieniali się przepisami kulinarnymi. Rozmawiali kilka minut, a ja stałam za Christophe'em, bawiąc się odruchowo jego włosami. Słuchałam, jak Jeff krytykował obie moje siostry za ich koncentrowanie się na nieistotnych drobiazgach, każda na innych, a także narzekał na kretyńskie przepisy w programach telewizyjnych („To wcale nie ma takiego smaku, pani Vandale, nie można już zupełnie wierzyć temu, co mówią w telewizji”). Z tą uwagą akurat trafił jak kulą w płot, gdyż moja matka od czterdziestu lat w kuchni nie rozstawała się z telewizorem. Zupełnie jakby mówił siostrze zakonnej, że nie ma Boga.

- Kiedy pani sobie życzy - usłyszałam na koniec. - Poniedziałek? Dobrze. Zdzwonimy się, pa!

Odwróciłam się, żeby wziąć słuchawkę, ale Jeff już się rozłączył.

- No wiesz co! Nie chciała ze mną rozmawiać? - zawołałam, a Christophe z trudem powstrzymywał śmiech.

- Naprawdę - tłumaczył się Jeff - chciała tylko mojego przepisu na gremolatę.

Ręce mi opadły, co wywołało głośny już śmiech Christophe^.

- To bardzo dziwne - stwierdziłam, ale sama też nie mogłam powstrzymać się od śmiechu. - OK, idę się ubrać. Twoja koszula, Jeff, gryzie.

- Mówiłem ci, że możesz chodzić nago.

- Bardzo, bardzo śmieszne...

Ledwo ruszyłam w stronę sypialni, kiedy kot, który był o mnie straszliwie zazdrosny, obudził się i odkleił od swojej cytryny.

- Chodź do mnie, Claude-Francois* - powiedziałam do kota.

Zeskoczył z barku i podbiegł w moją stronę. Zadarł głowę do góry i gapiąc się nieruchomo w moją twarz, chyba czegoś ode mnie oczekiwał. Może pochwały, może całuska, kto to może wiedzieć...

- Claude-Francois? - zdziwił się Christophe.

Rzadko wołaliśmy naszego kota po imieniu. Zwykle „chodź, kocie” wystarczyło w zupełności. Ale niekiedy, zwłaszcza gdy wypadało podkreślić naszą wzajemną więź, uroczyście używaliśmy tego dostojnego miana.

- Ma sierść koloru włosów Claude'a-Francois - wyjaśnił Jeff.

- I fałszuje, kiedy miauczy - dodałam - przysięgam, że fałszuje.

- Chodź do mnie, Claude-Francois - powiedział Jeff, cichutko cmokając (dlaczego właściwie zawsze cmokamy, przywołując do siebie zwierzęta?).

Nie tylko zignorował jego zaproszenie, ale jeszcze mocniej okręcił się wokół mojej nogi, podkreślając naszą wzajemną więź.

*** Claude-Francois - nazwisko piosenkarza popularnego we Francji w latach siedemdziesiątych XX wieku.**

- Cóż... - Jeff wznosił kieliszkiem toast - na zdrowie, panowie. Też bym tak zrobił, gdybym był na jego miejscu. Marinę jest dużo bardziej *cute* niż ja.

- Nie, mamó. Nie przyprowadzę Christophe'a. Dlaczego? Bo... bo ma dziś dyżur w redakcji. Niby skąd miałam wiedzieć, że mu dadzą dyżur? Słucham... Laurent? Dlaczego chcesz, żebym o tym porozmawiała z Laurentem? Mamó, od trzech lat nie jestem już z Laurentem. Jestem teraz z Christophe'em. Nie, mamó, nie mogę przyprowadzić Christophe'a! Maamoo!

Rozmowy z moją matką niekiedy nasuwały mi na myśl dwanaście prac Asteriksa. Zwłaszcza ten motyw, kiedy Asterix z Obeliksem są uwięzieni w labiryncie i cały czas wracają w to samo miejsce.

- Mamó - powiedziałam wreszcie stanowczo - muszę skończyć, bo zmarła mi ręka i właśnie jestem już na miejscu. Nie martw się, przyjdę w przyszłym tygodniu. Nie. Nie, mamó. Nie przyprowadzę Christophe'a. Cześć!

Rozłączyłam się i stanęłam prośrodku chodnika, żeby się uspokoić. Jakiś facet przechodzący obok mnie musiał usłyszeć moje ostatnie zdanie z rozmowy, bo zaczął się do mnie uśmiechać.

- *Ifeelyour pain* * - stwierdził.

Najwyraźniej nie ja jedna miałam matkę, która powinna prowadzić biuro matrymonialne. Uśmiechnęłam się do nieznanomego i weszłam na schody prowadzące do mojego atelier. Tak naprawdę nie miałam żadnego ważnego spotkania, ale skłonna byłabym nawet udać atak malarii, żeby wreszcie zakończyć tę rozmowę. Lecz ręka zmarła mi naprawdę.

Drzwi były uchylone, co oznaczało, że moja siostrzyczka jest w środku. Przychodziła trzy razy w tygodniu, żeby odpowiadać na telefony, składać zamówienia i zajmować się biurowymi sprawami. Wzięłam ją do pracy w zeszłym roku, kiedy straciła posadę, bo zaczynałam mieć już dość telefonów od matki, żebym „wykazała odrobinę solidarności ze swoją

*** *Ifeelyour pain* — wiem, co czujesz.**

biedną siostrzyczką". Tak naprawdę nie potrzebowałam pomocy, bo wszystkie projekty i tak robiłam sama i głównie w domu. Atelier służyło mi przede wszystkim za magazyn i czasami jako galeria. Ale cóż, i tak zapłaciłabym każdemu za jakikolwiek sposób uspokojenia mojej matki.

- Elodie! - zawołałam. Cisza. Moje atelier było w istocie loftem z pobielonymi ścianami, zagraconym, z walającymi się rulonami, stosami papieru i mnóstwem niepotrzebnych rzeczy, które zgromadziłam w ciągu tych kilku lat, a które od dłuższego czasu zamierzałam uporządkować. Przy biurku nie było nikogo, przy stole plastycznym tak samo.

- Elodie! Do diabła!

Wreszcie otworzyły się drzwi od łazienki i pojawiła się w nich zapłakana blondynka. Miałam właśnie dorzucić następne wymówki, ale podniosła dłoń w obronnym geście i zrobiła tę swoją słynną umęczoną minkę. Ćwiczyła ją od czwartego roku życia, gdy Ariane, moja druga siostra, zabierała jej lalki. W wieku dwudziestu pięciu lat doszła do perfekcji w robieniu miny będącej mieszaniną niewinnego spojrzenia, ust ściśniętych w żałosny dziobek i drgającego histerycznie podbródka.

Prawdziwy cud polegał na tym, że zawsze potrafiła tym sposobem rozczerzyć naszego ojca i innych naiwnych mężczyzn. Ze mną ten numer już się nie udawał, przynajmniej od czasów naszego dzieciństwa, kiedy pilnowałam obu młodszych sióstr i Elodie wmówiła mi, że Ariane wyrwała jej pukiel włosów z głowy. Frederic na szczęście zobaczył, jak sama je sobie obcinała, bo chciała oglądać „Robin Hooda”, a nie „Piękną i Bestię” (spór ten zresztą toczyły z Ariane również siedemnaście lat później, bo nie mogły dojść do porozumienia, który z tych filmów jest bardziej budujący). Ja miałam wtedy piętnaście lat i byłam strasznie dumna z tego, że to mnie, a nie bratu (miał wtedy osiemnaście lat) rodzice powierzyli opiekę nad młodszym rodzeństwem. Nie była to najlepsza decyzja, bo rozżaloszona kłótniami całej trójki włączyłam „Milczenie owiec”. Ariane płakała potem przez trzy dni i nigdy już nie tknęła żadnego mięsa, a Elodie miała chyba szesnaście lat, kiedy

wreszcie uwierzyła, że Hannibal Lecter nie podgląda jej zza drzwi szafy.

- Już dobrze, powiedz, co się stało? - westchnęłam zrezygnowana.

Elodie zaszlochała cichutko, ruszyła w moją stronę z rozłożonymi rękoma, jak dziecko, które chce, żeby je przytulić i pocieszyć.

- Elodie, jestem tu od pięciu minut. Wiem, że byłoby raczej dziwne, gdyby jakiś rywalizujący ze mną rysownik włamał się tutaj, żeby ukraść ilustracje do mojej książki, ale i tak mogę stracić ewentualne zamówienie, bo moja siostrzyczka beczy w kiblu.

Pociągnęła nosem, patrząc na mnie, jakbym ją spoliczkowała. Potem zrobiła urażoną minę i powiedziała:

- Przestań wreszcie mnie szykanować!

- Elodie - postanowiłam być nieco łagodniejsza. Mimo że moja młodszą siostrą była rozpuszczona i niezdolna, jednak szczerze wyrażała swoje uczucia w każdej sprawie, cokolwiek by to było, nawet coś bardzo błahego. - To moja praca. Wszystko, co mam, jest w tym komputerze. I cieszę się, że tutaj jesteś... mimo wszystko. Ale każda praca wymaga minimum odpowiedzialności, nie muszę ci chyba tego przypominać. To, że jesteś moją siostrą, nie oznacza, że wolno ci wszystko olewać... Wiesz, ile mnie to kosztuje?

- Dobrze, dobrze. Nie powtarzaj mi w kółko o pieniądzach. - Znowu wykonała dłonią ten swój gest oburzenia. Jak cudownie potrafiła go odgrywać z naturalnością dziecka złapanego na gorącym uczynku! Jak jej się to udawało, to już było wielką tajemnicą. Potem zaczęła tak zabawnie szlochać, że prawie mnie rozśmieszyła. Bywało, że doprowadzała mnie do wściekłości, ale często też umiała mnie rozbroić.

Frederic nawrzeszczał na mnie, kiedy mu oznajmiłam, że zatrudnię ją na pół etatu. Twierdził, że zbankrutuję i prawdopodobnie zniszczę i tak nikłą harmonię rodzinną w wypadku próby siostróbóstwa z mojej strony, co przewidywał.

- No dobra. Może mi wreszcie powiesz, co się stało?

Spojrzała na mnie swoimi wielkimi niebieskimi oczami, w których powinienem wyczytać cały smutek świata,

a dostrzegałam tylko przebiegłą chęć manipulacji zrecznie połączoną z uzalaniem się nad sobą.

- Elodie, o co chodzi?

- To Felix.

- Jaki Felix?

- Mój chłopak.

- Elodie, nigdy o nim nie słyszałam. Dwa tygodnie temu chodziłaś z kamerzystą o imieniu Charles-Antoine.

Dopiero teraz rozszlochała się na dobre. Elodie zawsze chciała zostać aktorką. Chodziła na castingi do telenowel, reklam, a nawet do prawdziwych filmów. Czasem Laurentowi udawało się ją wcisnąć w jakąś małą rolę. Na planie regularnie zakochiwała się kolejno we wszystkich młodych technikach. Najczęściej byli to weseli chłopcy o wspaniałych poślądkach, które z upodobaniem oglądałam, gdy byłam w jej wieku. Niestety żaden chłopak nie zostawał z nią dłużej. Elodie tłumaczyła to sobie ich niedojrzałością i lękiem przed poważnym zaangażowaniem się. Dla mnie zaś wyglądało to raczej na zwykłą z ich strony chęć zabawienia się i zrozumiałą panikę z chwilą pojawienia się u Elodie chorobliwego dążenia, by za wszelką cenę utrzymać partnera przy sobie. Gwałtowność tego pragnienia można by porównać do ataku astmy, kiedy chory dusi się, ale z całych sił próbuje złapać odrobinę powietrza.

- Jestem pewna, że mówiłam ci o Feliksie. Zresztą znałaś go już, bo chodził z Ariane.

- Chodzisz z byłym Ariane? - Uważałam, że to śmieszne i nieodpowiednie, ale uzmysłowiłam sobie, że skoro ja zadawałam się z najlepszymi kumplami moich byłych, to równie dobrze Elodie może zadawać się z byłymi naszej młodszej siostry.

Piękna rodzinka, pomyślałam sobie, a głośno dodałam:

- Który to z jej byłych? Ten mały *cute* w dredach? Ten, który lubił tak się napuszać?

- No wiesz... a czy kiedykolwiek widziałas Ariane z kimś, kto się nie lubił puszyć?

Miała rację. Ariane, odkąd w wieku dwunastu lat odkryła na wakacjach harmonię natury, pograżyła się bez reszty

w ruchu pseudohipisowskim o tak radykalnym zabarwieniu, że sama Laure'a Waridel* poczułaby się zawstydzona swoją zbyt mało wojowniczą postawą. Ariane była oczywiście wegetarianką, uwielbiała kilometrowe wyprawy (oczywiście nigdy w butach z prawdziwej skóry) po swój ulubiony produkt ekologiczny, mieszkała w jakimś kurniku i była alterglobalistką. W lecie pracowała społecznie na farmach ekologicznych i kilka razy jeździła do Ameryki Południowej, by pomagać przy budowie szkół w rejonach szczególnie zacofanych. Poza tym grała na lutni, znała na pamięć wszystkie piosenki Cowboys Fringants***, i po dwóch minutach rozmowy potrafiła doprowadzić każdego słuchacza do głębokiego poczucia winy za wszystkie grzechy tego świata. Zawsze uważałam, że bycie Ariane to zajęcie tak wyczerpujące, jak praca na pełnym etacie. Już zaraz po wstaniu rano z łóżka musiała skupić się na tym, by w jej duszy zmieściły się te niezmierzone pokłady współczucia mającego przynieść ulgę całemu światu. Było to zadanie trudne, bo potrzebujących współczucia stale przybywało, a w duszy brakowało już miejsca. Niekiedy zazdrościłam jej tej niezachwianej pewności jasno wytyczonego celu w życiu. Na szczęście trwało to zawsze tylko chwilę, bo owa pewność i oczywistość obranej drogi napawała mnie niepokojem. Tak więc ja dalej kroczyłam swoją wątpliwą drogą, a Ariane walczyła o zlikwidowanie kolejnego czegoś tam raketowego na świecie.

- Tak czy inaczej - Elodie znów pociągnęła nosem - to i tak już skończone.

- Z pewnością - potwierdziłam z takim brakiem przekonania w głosie, żeby nawet Elodie to zauważyła, ale ona kontynuowała tym swoim płaczliwie oburzonym głosikiem, który był maestrią w dobieraniu tonów:

- A było nam po prostu super. Superdobrze. A teraz

*** Laure Waridel - znana kanadyjska bojowniczka o ekologię i autonomię Quebecu.**

**** Cowboys Fringants - francuskojęzyczna grupa folkowa, popularna w Quebecu, we Francji i w Szwajcarii.**

już nie dzwooniiii! Bo mu nagrałam wiadomość, żeby się odcepił, i teraz to już na pewno nie zadzwoni!

Przytuliła się do mnie, co było dobre, bo nie mogła za-
uważyć, że trochę się z niej śmieję.

- Elodie, mówię teraz poważnie, musisz z tym skończyć!
Czy zdajesz sobie sprawę, że każdy twój kolejny facet jest
gorszy od poprzedniego?

- I kto to mówi? Tak jakbyś sama od czasu Laurenta miała
jakiegoś faceta z klasą. Gdyby to mnie się trafił taki Laurent,
to nigdy, przenigdy bym go nie rzuciła.

O mało nie palnęłam, że oboje byliśmy tak znerwicowa-
ni, że nie przetrwalibyśmy razem nawet dwudziestu minut
dłużej. Z jakiegoś niezrozumiałego powodu i zupełnie bez-
podstawnie Elodie uznała, że jest kobietą, która wie, co robi,
że jest wręcz archetypem współczesnych wyzwolonych
kobiet. Nie chciałam w tej chwili burzyć tego przekonania.
Do sprawy należało się zabrać powoli.

- Kooochaam gooo...

- Nie. Nie kochasz.

- Marinę, nie potrafię być sama...

- Och! - w to na pewno mogłam uwierzyć.

Miała w oczach tyle cierpienia, że teraz sama ją przytu-
liłam. Zdawałam sobie oczywiście sprawę, że ta „choroba”
minie bez śladu do końca tygodnia, ale teraz było mi przykro,
że moja siostra tak cierpi z powodu braku kogoś bliskiego,
z kim mogłaby dzielić życie.

Beczała przyciśnięta do mojej piersi. Czułam zapach jej
słodkich perfum i jakiegoś specyfiku, który każdego ranka
wcierała sobie we włosy przed ich prostowaniem. Pomy-
ślałam, że jej tusz do rzęs pobrudzi mi sweter. Zawsze była
starannie umalowana. Nosiła krótkie, obcisłe sweterki i du-
że błyszczące kolczyki w uszach. Wypracowała sobie taki
nowy perlisty śmiech, który stosowała za każdym razem,
gdy któryś z facetów powiedział coś, co miało być śmiesz-
ne, a także nowy sposób patrzenia na mężczyzn szeroko
otwartymi oczami, żeby pokazać, że to, co facet mówi, jest
dla niej fascynujące. Pracowała nad sobą naprawdę ciężko
z tą wzruszającą, choć często daremną chęcią podobania

się, bo przeważnie nie jej się nie udawało. Chyba za bardzo się starała. Była stałą czytelniczką rubryk porad z kobiecych magazynów, które studiowała bez żadnej selekcji i bez cienia krytycyzmu.

Wszystkie jedziemy na tym samym wózku, pomyślałam, kołysząc ją delikatnie w ramionach. Sama nie byłam w lepszej sytuacji. Nawet Flavie, tak obnosząca się ze swoją wolnością, szukała przecież tego samego co my, czyli prawdziwej miłości. Czy można mieć komukolwiek za złe, że chce być kochany bez względu na wszystko?

- Weź się w garść, ślicznotko. - Poklepałam ją delikatnie po plecach. - *The show must go on**.

- Jaki show? Sama mówisz tylko o facetach!

Roześmiałam się i delikatnie wytarłam jej łzę usiłującą sobie znaleźć drogę między warstwą pudru na jej policzku.

- Ktoś dzwonił do ciebie - odezwała się znowu, siakając nosem - jakiś facet, ale raczej nie w sprawie pracy.

- Christophe?

- Nie... poczekaj chwilę - zaczęła grzebać w stercie czasopism leżących na biurku. - Mam. To Patrick.

Julien stał przed olbrzymim lustrem w moim pokoju i poprawiał sobie kołnierzyk jaskrawożółtej koszuli. W pięknym odcieniu, to prawda, ale wyglądałaby o wiele lepiej, gdyby nie musiała przebywać w bliskim towarzystwie szafirowej marynarki i spodni w kolorze brudnego różu.

- Czy wyglądam trochę jak Stephan Bureau**?

- Słucham?

- Czy ta niebieska marynarka nie jest odrobinę *too much* do żółtej koszuli? - raz jeszcze przyjrzał się swojemu odbiciu w lustrze.

Całe szczęście, że jest szczupły, pomyślałam, gdyby był grubasem, wyglądałby jak klaun w cyrku. Mimo wszystko

*** *The show must go on* - przedstawienie musi trwać.**

**** Stephan Bureau - znany dziennikarz i dokumentalista telewizyjny w Quebecu.**

potrafił to nosić. Ja wprawdzie nie zwróciłabym na niego uwagi na budowie czy w knajpie, ale miał dużo uroku.

- Sama nie wiem, Julien. Uważam, że Stésphan Bureau jest strasznie *cute*, jeśli już chcesz wiedzieć.

- No tak, ale ubiera się trochę zbyt krzykliwie. Widziałem go któregoś dnia w restauracji i wyglądał jak tęcza w okularach.

- Już nie nosi okularów.

- Nieważne. Dla mnie wyglądał, jakby wciąż je miał na nosie. Tak samo jak ten facet, który prowadzi audycje O sporcie w RDI*. On zgolił sobie wąsy, ale dalej wyglądał i zachowywał się, jakby się ich nie pozbył. Rozumiesz?

Najgorsze było to, iż naprawdę rozumiałam, co chce powiedzieć.

- Jesteś śliczny, Julien.

Uśmiechnął się i puścił do mnie oko.

Znowu naszła mnie ochota, żeby z tych jego „oczek” zrobić sobie piękny wisiorek. Były tak cudownie niebieskie, jak morze w *Błękitnej lagunie*.

- I co dalej? - zapytał.

- Dalej z czym?

- Co dalej z twoją opowieścią. Najpierw mówisz, że dzwonił do ciebie Patrick, a potem nie chcesz mi nic więcej opowiedzieć. Sądzę, że ta sprawa jest warta mojego zainteresowania. Oddzwoniłaś?

- Nie, nie oddzwoniłam. Daj już temu spokój...

Ostatnie dziesięć dni spędziłam u Christophe'a, odstępując pokój bratu Jeffa, który zjawił się w mieście. Było nam naprawdę wspaniale. Trwało to oczywiście trochę krótko, ale doceniłam prostotę naszych relacji, dostępność i szczerłość Christophe'a, który w przeciwieństwie do mnie nie myślał i nie mówił jednocześnie o kilku różnych sprawach. Był wspaniały, kochał życie i mnie, i wiedział, czego chce. Czego mogłam jeszcze więcej chcieć?

- Mhmm... czyżby to było poważniejsze, niż podejrze-

* RDI - rozgłośnia radiowa w Quebecu, zajmująca się informacjami tylko o tej prowincji Kanady.

wam? - spytał Julien. - Bo to dobre pytanie. Nawet bardzo dobre pytanie...

- Masz rację - odparłam. - Nawet nie wiesz, jak bardzo. Jestem śmieszna...

Roześmiałam się. Miałam wrażenie, że właśnie dokonałam nowego odkrycia. Może nie tak ważnego, jak odkrycie Ameryki, ale dla mnie ważnego. Julien miał oczywiście rację. Nie tylko uważałam, że każda miłość musi być skomplikowana, ale na dodatek jakaś część mnie pławiła się w tej myśli, bo dzięki niej mogłam mieć pewność, że moje porażki miłosne są uzasadnione.

Julien odwrócił się do mnie. Uśmiechał się mądrze i tajemniczo, jak to zwykle czynił, kiedy zamierzał wygłosić jakieś ważne oświadczenie lub kiedy pragnął podzielić się „jedną ze swoich wielkich prawd”. Położył mi dłoń na ramieniu.

- Życie jest krótkie, Marinę. Policz te wszystkie chwile, które straciłaś na zadawanie durnych pytań.

- No wiesz! - poczułam się urażona, ale jednocześnie uświadomiłam sobie, że znowu ma rację. Było coś poniżającego w wysłuchiwanie tej oczywistej prawdy od faceta w różowych spodniach, kogoś o moralności dalekiej od filozofii Dalaj Lamy, ale jednocześnie potrafiącego traktować rozmaite wydarzenia jak coś całkowicie naturalnego w życiu i przyjmującego wszystko to dojrzałe, co mnie zawstydzalo. Pomyślałam o Laurencie, o moich siostrach, o Flavie i zaczęłam zadawać sobie pytanie, dlaczego właściwie całe nasze życie przepełnione jest nieustannym zastanawianiem się, debatami z niekończącymi się pytaniami i wątpliwościami. Julien natomiast podążał przed siebie prostą drogą, kpiąc z naszych poszukiwań jakiejś wyjątkowej ścieżki, która miała nas doprowadzić do stanu nirwany, całkiem niepotrzebnego komuś takiemu jak on, kto po prostu kroczył radośnie swoją drogą przyjemnego i łatwego życia.

- A może to jest całkiem naturalne - dodał - masz do tego prawo.

- Zamierzasz założyć sektę? - spytałam, wymierzając lekkiego kuksańca.

- O tak, pani! - Uniósł ręce, naśladując gest boga Sziwy.
- Sekta rozkoszy i...

- Dobra, dobra, znalazł się Stephan Bureau dla ubogich. Spóźnimy się.

Dalej udawałby Sziwę, ale weszliśmy wreszcie do lokalu Lulli, gdzie byliśmy umówieni i gdzie później miał dołączyć do nas Christophe. Laurent z Jeffem siedzieli już przy barze i zanosili się śmiechem.

- Czemu znowu tu się spotykamy? - spytałam Juliena.

- Bo dobrze wam zrobi wyrwanie się z domu co jakiś czas. Spędzanie wieczorów w salonie i usiłowanie zbawienia świata nie jest najzdrowsze w waszym wieku. Potrzeba wam trochę powiewu młodości.

- Powinieneś dostać G.O.*.

- Wiem...

Niezbyt lubiłam tego typu bary, ale czasami ulegaliśmy namowom Juliena. Lulli okazał się być przyzwoitym kompromisem naszych upodobań. Było tu przytulnie i spokojnie, a barman - olbrzymi Australijczyk chińskiego pochodzenia - wprost rozpływał się na widok Juliena.

- Witaj, Andrew - przywitałam go, podchodząc do baru.

- Hej, Marinę! - wymawiał moje imię z angielskim akcentem i poczułam się jak *marines*. - Chcesz białego winka?

- Poproszę.

- Och, Andrew... - westchnął Julien - wiesz, czego mi dzisiaj brakuje do szczęścia?

- *You did tell him I was straight, didn't you?* * * - zapytał mnie Andrew.

Wzruszyłam ramionami i z uśmiechem pocałowałam Laurenta w czoło. Jakaś dziewczyna - dobre dwadzieścia centymetrów wyższa ode mnie i jeszcze z dziesięć kilo lżejsza - znalazła się właśnie w naszym rejonie, wywołując zaciekawione spojrzenie Jeffa. Zatrzymała się i z odrobinę

*** G.O., czyli Grand Officier - honorowy tytuł przyznawany przez rząd Quebecu obywatelom i obcokrajowcom za szczególne zasługi dla prowincji. Jedna osoba może otrzymać kilka G.O. w różnych dziedzinach.**

**** *You did tell him I was straight, didn't you?* - Mówiłaś mu, że jestem normalny, prawda? - ang.**

przesadnym, według mnie, zachwytem w oczach obejrzała go sobie od stóp do głów, pochyliła się, szepcząc mu coś do ucha (przysięgłabym, że również liźnęła go w ucho), wyprostowała się i na pożegnanie posłała wiele mówiące spojrzenie, po czym się oddaliła. Lekko klepnęłam Jeffa w plecy, śmiejąc się z tego, co zobaczyłam, a Laurent uderzał głową o blat.

- Jak ty to robisz, Jeff? Musisz mnie tego nauczyć! - potem zwrócił się do mnie: - Widziałas to? Widziałas?

- *Dude, that was ho** - stwierdził Andrew, powodując, że Laurent ponownie zaczął walić głową o ladę, a Jeff dostał napadu śmiechu.

- Kto to właściwie był? - spytał Julien.

- Ma na imię Delphine.

- Ile ma lat? - Laurent sprawiał wrażenie, jakby właśnie przestali go torturować. Było to raczej śmieszne.

- Nie wiem. Dwadzieścia pięć, dwadzieścia sześć - Andrew, który cały czas przysłuchiwał się naszej rozmowie, z trudem zdążył podsunąć Laurentowi czystą podkładkę pod drinki, gdy ten znów zaczął uderzać głową o blat.

- Zapomnij o niej - powiedział Jeff - przysięgam, że lepiej ci będzie zostać z Carole. Naprawdę. To piękna dziewczyna ta Delphine, ma urok, ale... prochu to ona nie wymyśli, jeśli rozumiesz, co mam na myśli. - Laurent wybełkotał coś niezrozumiałego.

- Co on powiedział?

- Ze prochu to on sobie sam wymyśli.

- Daj spokój - przekonywał go Jeff - zanudziłbyś się na śmierć. Nie byłbyś szczęśliwy z taką dziewczyną. Zadawanie się z takimi tępymi wymaga odpowiedniego podejścia. To nie jest zabawa dla każdego.

- Naucz mnie tego - Laurent złapał go za koszulę - **zostanę** twoim uczniem, proszę.

- *You think he's got the chops for it?** - Jeff spytał Andrew,

* *Dude, that was ho* - Chłopie, to było ostre - ang.

** *You think he's got the chops for it?* - Sądysz, że jest w stanie przełknąć taki kasek? - ang.

który pokręcił z powątpiewaniem głową. Wszyscy zaczęli się śmiać. Nastrój zrobił się miły i odprężający, choć była to środa i byliśmy w dużym mieście.

Potem zaczęło się, kiedy Julien pierwszy coś zauważył.

- Niech mnie diabli! To znowu on. Zaczynam podejrzewać, że śledzi nas po całym mieście.

- O, cholera! - Ja również zauważyłam Gabriela Champagne, który ze swobodnym wdziękiem zmierzał w moją stronę. Potem kątem oka dostrzegłam Christophe'a wchodzącego właśnie do środka. I w tej samej chwili Laurent pochylił się do mnie, szepcząc na ucho:

- Nie odwracaj się, ale właśnie idzie tu Patrick.

Do: Freda

Od: Marinę Vandale

Temat: Komedia pomyłek

Przypominasz sobie takie scenki z wodewilu, kiedy na scenie jednocześnie spotykają się mąż, żona, jej kochanek, a potem zza kanapy wychodzi nagle jeszcze jakiś facet, jakby do tej pory na scenie było za mało pikanterii?

Do: Marinę

Od: Freda Vandale

Temat: Deja vu

Niech zgadnę. Chyba nie rzuciłaś niespodziewanie wszystkiego, żeby zrobić doktorat z wodewilu? Prawdopodobnie sama siebie wpędziłaś w opisaną wyżej sytuację, co mnie zresztą specjalnie nie dziwi.

Do: Freda

Od: Marinę Yandale

Temat: Diagnoza

Załóżmy, że masz dziewczynę. I nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności dowiadujesz się, że kiedy byliście ze sobą pokłóceni, ona miała, jakby to powiedzieć, przygodę z twoim najlepszym przyjacielem.

Do: Marinę

Od: Freda Yandale

Temat: Zdaniem profesjonalisty

Naprawdę chcesz szczerej opinii czy raczej wolisz wersję pozytywną w stylu *La vie en rose*?

Do: Freda

Od: Marinę Vandale

Temat: Należy spojrzeć prawdzie w oczy
Nie oszczędzaj mnie.

Do: Marinę

Od: Freda Vandale

Temat: Ponura prawda

Marinę, zdaję sobie sprawę, że Montreal to nie Meksyk, jeżeli chodzi o zaludnienie na kilometr kwadratowy. Czy nie mogłabyś jednak rozważyć podrywania facetów spoza kręgu najbliższych przyjaciół Christophe'a? Nie chcę przez to powiedzieć, że większość facetów nie zrobiłaby tego samego co ty, gdyby tylko nadarzyła im się taka okazja. W twoim jednak wypadku nie jestem pewien, czy powinnaś się wzorować na normach moralnych samców.

Do: Freda

Od: Marinę Vandale

Temat: Telefon do Simone de Beauvoir

Dlaczego wciąż odnoszę wrażenie, że gdybym była facetem, to nie dość, że moje życie byłoby prostsze, ale na dodatek dziewięćdziesiąt procent moich zachowań uznano by po prostu za śmieszne. A tak są one zwyczajnie żałosne.

Do: Marinę

Od: Freda Vandale

Temat: Tragikomedie

Nie należy przesadzać, siostrzyczko. Nie jesteś jednak Damą Kameliową. I prawdę mówiąc, z mojego punktu widzenia, twoje działania są nie tyle tragiczne, ile raczej trącą burleską.

Do: Freda

Od: Marinę Vandale

Temat: Tragikomedie

Wiesz, co ci odpowie Król Burleski, Fred? Piszę to całkiem szczerze. Ten cały cyrk przestaje mnie śmieszyć. Z dokładnością do jednego zasranego związku zamieniam się

w trzydziestodwuletnią kobietę, która utyskuje, że niebo nad nią zaciągnęło się czarnymi chmurami i na horyzoncie nie widać już nawet promyka nadziei na przyszłość.

Do: Marinę

Od: Freda Vandale

Temat: Bez paniki

OK, walnij sobie kieliszek wina, puść jakąś wesołą piosenkę, pogłaszcz kota za uszami, pomyśl o słonecznej plaży i zakasz rękawy. Marinette, nie pozwolę ci stać się zgorzkniałym babsztylem.

Do: Freda

Od: Marinę Vandale

Temat: Środki nadzwyczajne

Kieliszek wina już wypiałam, prawdę mówiąc, niepostrzeżenie zamienił się w prawie całą butelkę. Jeff zaraz wyskoczy oknem, jeśli jeszcze raz usłyszy gitarę Jacka Johnsona. A Claude-Francois prawie już nie ma sierści za uszami od tego mojego głaskania. Co zaś się tyczy słonecznych plaż, to podobają mi się one tylko wtedy, gdy jest obok mnie jakiś facet.

Do: Marinę

Od: Freda Vandale

Temat: re: Środki nadzwyczajne

A rękawy? Próbowałaś zakasać rękawy?

Do: Freda

Od: Marinę Vandale

Temat: re: re: Środki nadzwyczajne

Próbowałam. Trochę pomaga. Albo to raczej ty mi pomagasz.

Do: Marinę

Od: Freda Vandale

Temat: Znowu wodewil

A jak się skończyła historia tego faceta, który wyszedł zza kanapy?

Do: Freda

Od: Marinę Vandale

Temat: Gówniany wodewil

Opowiem ci, ale za chwilę. Mam w nosie Jeffa. Puszczam jeszcze raz Jacka Johnsona. Tym razem w kółko. I obalę ostatnią butelkę wina. Ta historia jest tak załosna, że nie umiem jej opowiedzieć na trzeźwo.

Do: Marinę

Od: Freda Vandale

Temat: re: Gówniany wodewil

Nie ruszam się od komputera. Najwyżej zrobię sobie popcorn. Czekam na ciąg dalszy tej historii.

-)

Rozdział 3

Całe wieki później Julien wciąż utrzymywał, że wszystko odbywało się tak, jak to oglądamy na filmach. Mnie niestety nic z tego nie kojarzyło się z kinem. W kinie po pierwszej scenie reszta zostałaby ładnie pocięta i zmontowana. Ja z rozbrajającym uśmiechem na ustach spjrzałabym najpierw na doktorka. Potem na ekranie ukazałaby się moja trochę zmieszana mina na widok Christophe'a. Następnie widz zobaczyłby już przerażenie w moich oczach na widok wchodzącego Patricka. Na koniec w rytm skocznej muzyki pokazano by szybko następujące po sobie ujęcia, które prezentowałyby miny i krzyżujące się ze sobą spojrzenia poszczególnych bohaterów. To wszystko przeplecione by zostało widokiem zatroskanych twarzy Jeffa, Juliana i Laurenta. A na sam koniec kamera najechałaby tak, by z bliska pokazać jeszcze moją twarz. Zamiast tego wyreżyserowanego obrazka scena wyglądała bardziej absurdalnie. Po pierwsze dlatego, że nie miałam ani jednej tak niezbędnej mi wtedy sekundy, żeby dotarło do mnie, co się naprawdę dzieje. Po drugie dlatego, że nawet kiedy to już do mnie dotarło, i tak nie przestawałam uśmiechać się głupkowato do doktorka. Nie byłam w stanie oderwać oczu od jego roześmianej twarzy (zauważyłam nawet, że kolor jego oczu nie miał nic wspólnego ani z neapolitańskim niebem, ani z Morzem Egejskim, przypominał raczej kolor soczystych dolin Toskanii lub równin Irlandii, czyli był zielony. I kiedy mój facet szykował się do konfrontacji z moim przejściowym kochankiem, ja nerwowo szukałam

w myślach, do czego można by przyrównać kolor oczu Gabriela Champagne'a).

Co zaś się tyczy szybkich ujęć w kadrze, przeplatanych rytmiczną muzyką, z których mogłaby być zrobiona cała sekwencja filmu, to w rzeczywistości zamiast tego trwała niekończąca się chwila, podczas której nikt niczego nie był w stanie zrozumieć lub wręcz rozumieć nie chciał. Co zmusiło Juliana do interweniowania, co z kolei popchnęło Jeffa do powstrzymania go. Później nastąpił nieznośny i całkowicie pozbawiony filmowego charakteru bełkot wywołany przez ludzi, którzy postanowili mówić jednocześnie. Laurent starał się zwrócić na siebie uwagę Delphine. Andrew nerwowo robił shootera za shooterem, sądząc, że po wypiciu zapanuje zgoda i spokój. A to był bardzo zły pomysł. Jak fachowy barman mógł tego nie pamiętać, że im więcej ludzie wypiją, tym bardziej są pijani i jeszcze bardziej głupieją? Jeden doktorek niczego nie pojmował. Ja starałam się ułagodzić bardzo zdezorientowanego całą sytuacją Christophe'a, jednocześnie zaś powstrzymać Patricka (któremu tak naprawdę miałam ochotę wyprać flaki). Jeff próbował coś powiedzieć, by przywołać całe towarzystwo do jako takiego porządku.

W końcu znalazłam się przy barze kompletnie oszołomiona, ale własną głupotą. Pozwalałam się pocieszać chłopakom, a Andrew serwował mi wódkę za wódką, do której wciskał cytrynę - co powodowało, że z minuty na minutę nastrój mój stawał się coraz bardziej lekki i radosny. Niestety poranek następnego dnia (który i tak zapowiadał się nie najlepiej) zamienił się w prawdziwy koszmar. Ocknęłam się w swoim łóżku w samej bieliźnie. Na stoliku przy łóżku stała miska z wodą, a obok miski - wiadro. Przyznać muszę, że Jeff potrafił stanąć na wysokości zadania. Nawet kompletnie pijany wiedział, co trzeba robić w sytuacji, w jakiej znalazła się jego współlokatorka. Od tamtej pory zamęczałam chłopaków, żeby opowiedzieli mi dokładnie, co naprawdę zdarzyło się tamtego wieczoru w barze Lulli. Chciałam wiedzieć, co wtedy nawygadywałam i co powinienam teraz powiedzieć Christophe'owi, by uratować nasz

związek, a przede wszystkim, co robić, żeby zachować resztki własnej godności.

- Jeżeli będziesz mi kazała opowiadać to po raz kolejny, pogryzę własną rękę - zagroził Julien. - Czy to jasne? Wsadzę sobie całą dłoń w usta i będę ją gryzł, dopóki sobie nie pójdiesz.

- Nigdzie nie pójde. Gryź się, w co chcesz, ale opowiedz mi wszystko dokładnie.

Julien zwrócił się w stronę Jeffa z błaganiem:

- *KM me. KM me now**.

- Ja z nią mieszkam. Znajdź sobie kogoś innego.

- Laurent? Może ty? - nalegał żałośnie Julien.

- Ja nic nie widziałem. Cały czas gapiłem się na słodką Delphine.

Laurent od wielu dni upajał się tą historią. Oczywiście obserwował wszystko dokładnie i widział do najdrobniejszego szczegółu, jak przebiegały wypadki. Kiedy Andrew rozdawał drinki, Jeff próbował jakoś opanować sytuację, a Julien, korzystając z okazji, że jest świadkiem wspaniałego przedstawienia, dolewał oliwy do ognia. Laurent miał nadzieję, że nie dojdzie do bójki, bo to by oznaczało, że będzie musiał opowiedzieć się po którejś stronie, a tego naprawdę nie lubił. Od tamtej pory udawał, że nic nie wie. Dobrze go jednak znałam i podejrzewałam nawet, że zrobił sobie notatki. Drażnił się ze mną, bo prawdopodobnie uważał całe to zajście za śmieszne i błahe, a gdybym ja sama spojrzała na wszystko bez emocji, musiałabym mu przyznać rację. Poza tym Laurent miał takie podejście, że każde zdarzenie, które niczego mu nie odbiera ani niczego mu nie daje, nie jest warte jakiejś szczególniejszej uwagi.

- Julien - odezwałam się groźnie. Popijałam wino, ale nie spuszczałam zeń wzroku. Moje naleganie było zupełnie niepotrzebne, bo cała nasza czwórka doskonale wiedziała, że Julien uwielbiał powtarzać takie historie *ad nauseam* * *. Lubił też, aby go o to długo prosić.

* *KM me. Kill me now - Zabij mnie. Zabij mnie teraz - ang.*

** *Ad nauseam - do znużenia.*

- Dobrze już, dobrze... Ale Laurent będzie musiał uzupełniać szczegóły.

- Nic nie widziałem - upierał się Laurent. Siedzący obok mnie Jeff miał wyraźnie zmęczoną twarz. Dał znak kelnerce, żeby przyniosła mu jeszcze jeden kieliszek wina.

Wszyscy zgodzili się co do jednego - pierwszą osobą, którą zauważyliśmy, był Gabriel (poza Jeffem, który nikogo nie zauważył, bo był zajęty rozmową z Andrew o swoim nowo wymyślonym koktajlu). Natomiast Laurent z Julienem widzieli, jak Gabriel Champagne zmierza wyraźnie w moją stronę z uśmiechem z rodzaju tych gorących uśmiechów, które roztopiają wszelkie lody.

Słyszałam, jak Julien mówił za moimi plecami:

- Do licha, zaczynam podejrzewać, że on śledzi nas po całym mieście. Od kiedy przychodzi do tego lokalu?

Wtedy właśnie odwróciłam się i spojrzałam w kierunku pięknego doktora. Zmierzał ewidentnie w naszą stronę i prawdopodobnie mógł - tak samo jak Julien - pomyśleć: „Do licha, zaczynam podejrzewać, że oni wszędzie za mną łążą”. Ale minę miał, jakby był z tego zadowolony i - może to była moja chorobliwa wiara w cuda czy też naoglądałam się za dużo komedii romantycznych - wydawał się szczerze ucieszony moim widokiem. Przez kilka pięknych niezakłóconych niczym sekund (zanim pojawili się Christophe z Patrickiem) nie myślałam o niczym, bo naprawdę w takich chwilach człowiek nie jest w stanie myśleć o czymkolwiek.

Nawet nie zdążyłam porozkoszować się tą chwilą i nie miałam czasu sobie uświadomić, że ten piękny mężczyzna, o którym myślę od dłuższego czasu, stoi przede mną i coś do mnie mówi. Stoi tu przede mną (choć w najśmielszych marzeniach nie mogłam się tego spodziewać) z rękami w kieszeniach, ubrany w dżinsy, białą koszulę i tweedową marynarkę (wszystkie szczegóły ubioru podaję za Julienem, ja nie zapamiętałabym, nawet gdyby był w skafandrze kosmonauty, bo wpatrywałam się wyłącznie w jego oczy).

- Dzień dobry - powiedział z uśmiechem.

Często się mijamy, pomyślałam... Możliwe, że jeszcze coś powiedział, ale wtedy usłyszałam Julienu mówiącego: „O, fuck”, i dostrzegłam zbliżającego się Christophe'a. Potem zobaczyłam twarz Laurenta, który właśnie spostrzegł, że nadchodzi Patrick.

- Czy ty nie masz zwyczaju do kogokolwiek oddzwaniać, czy tylko do mnie? - zapytał Patrick.

- O czym ty mówisz? - zaśmiałam się i od razu sama usłyszałam, że mój śmiech zabrzmiał wyjątkowo kretyńsko, jakby głupia reakcja mogła cokolwiek zatuszować. Patrick mógł powiedzieć, że żartował, i wszyscy wróciliby na swoje miejsce, jakby nic się nie stało.

- Dzwoniłem do ciebie ze dwadzieścia razy, Marinę.

- Co?... - Wciąż się głupkowato śmiałam. W tym momencie doszło do mnie, jak Julien mruczy pod nosem:

- *This is too good to be true* *.

- *Shut up** * - jednocześnie wypowiedzieli Jeff i Andrew.

- Co?... Dzwoniłeś do Marinę? - zdziwił się Christophe.

- Nie mogłem przestać o tobie myśleć - ciągnął Patrick, jakby nie widział i nie słyszał stojącego obok Christophe'a. Nogi się pode mną ugięły, ale Julien, wiedziałam, uwielbiał takie sytuacje.

- Zaraz, zaraz! Ty o niej myślisz? - Christophe nie posiadał się ze zdziwienia. Wreszcie spojrzął na mnie i zapytał: - Czy ja o czymś nie wiem?

- Andrew - wtrącił się Jeff. - Daj nam kilka wódeczek, proszę.

Przez chwilę panowała kompletna cisza i mogłabym przysiąc, że słychać było, jak każdy gwałtownie zastanawia się w myślach, jak tę ciszę należy przerwać. Pierwszy zrobił to Patrick. Wciąż patrząc na mnie, wskazał palcem na Christophe'a i zapytał:

- Czy wy znowu jesteście razem?

* *This is too good to be true* - To jest zbyt piękne, żeby było prawdziwe - ang.

** *Shut up*\ - Zamknij się! - ang.

Gdzieś czytałam, że małe dzieci, bombardowane zbyt dużą ilością bodźców zewnętrznych, zasypiają. Nazwano to odruchem wyłączenia czy jakoś tak. Ogólnie chodziło o to, że jeśli otrzymujesz zbyt wiele danych, to ich nie przerobisz i zamykasz interes. Tamtego wieczoru chyba zamknęłam interes już w chwili, gdy spoglądałam w oczy (o ustalonym zielonym kolorze) Gabriela Champagne, który przypadkiem znalazł się w samym środku tego zamieszania i najwyraźniej niewiele z tego rozumiał. Spoglądał to na Patricia, to na Christophe'a, a także na Julię, który z boku popiskiwał z radości.

Wreszcie znów spojrzął na mnie, wciąż się uśmiechając, ale minę miał odrobinę zdziwioną. Zrozumiałam, że całe zdarzenie uznał za dość zabawne. Pamiętam jeszcze, że otworzyłam usta, żeby coś powiedzieć, ale właściwie co? Może na przykład: „Cześć, to tylko mój chłopak i jego najlepszy przyjaciel, z którym się przespałam, kiedy się pokłóciłam z moim chłopakiem”, a może: „Cześć, cały czas wydawało mi się, że masz niebieskie oczy” lub (to byłoby najlepsze) „Na Boga! Zabierz mnie gdzieś daleko stąd!”. Pamiętam jeszcze jego spojrzenie i grymas, który mógł być czymś w rodzaju uśmiechu. Wreszcie skinął głową, odwrócił się na pięcie i odszedł. I trudno było się dziwić. Zobaczyłam, jak wtopił się w tłum, i właśnie wtedy wydawałoby się zbawienny odruch wyłączenia przestał działać. Świat zewnętrzny znów brutalnie dał znać o sobie. Tym razem w osobach dwóch mężczyzn w kółko powtarzających moje imię i najwyraźniej oczekujących jakichś wyjaśnień.

- Biedny Christophe - stwierdził Jeff, kiwając smutno głową - naprawdę żal mi go... - Spojrzął z wyrzutem na twarzy w moją stronę. Tak robił od wielu dni.

- Przestań tak na mnie patrzeć!

Ukryłam twarz w dłoniach i poczułam, jak mnie obejmuje. Jedyną pociechą, że nasze wzajemne relacje nie uległy zmianie. Zawsze miałam wrażenie, że szczerze współczuje mi, że z taką łatwością nieustannie wplątywałam się w rozmaite sytuacje bez wyjścia. Zwykle kończyły się raczej komicznie,

ale tym razem jednak ktoś przeze mnie naprawdę cierpiał. I nie było w tym nic śmiesznego.

- Co teraz zrobisz? - Laurent zadawał mi to pytanie już po raz czwarty. Było to niezbyt mądre pytanie, ale jakie inne w mojej sytuacji mógł zadawać Laurent.

- Nie wiem, co zrobię... - odparłam już z irytacją, bo co ni-
by miałam zrobić.

Christophe zabrał się i odszedł, kiedy dotarło do niego, co naprawdę się stało. Złapałam go jeszcze na ulicy, żeby powiedzieć: „Przecież nie byliśmy wtedy razem”. Miałam tak żałosny ton, że prawie poczułam, jakbym była jednym z tych śmieci upakowanych w worki, odstawionych na bok i czekających, aż ktoś się zlituje i wywiezie je daleko stąd. Christophe spojrzął na mnie z taką miną, jak gdyby chciał powiedzieć, że przekroczyłam granice swojego zakłamania.

- Szkoda, że jeszcze nie powiedziałaś, że to wyłącznie wina Patricka - powiedział z ironią w głosie.

Na te słowa nie zareagowałam, choć miał trochę racji, bo o mały włos właśnie to bym powiedziała. Chciałam jeszcze dodać coś głupiego, ale Christophe mi przerwał:

- Wiesz co? Teraz nie mam ochoty o tym rozmawiać. Cześć! - a ja pozwoliłam mu odejść.

Weszłam z powrotem do sali zła jak osa, ze szczerym zamiarem zamordowania Patricka, który patrzył na mnie z całkiem spokojną miną.

- Przynajmniej obeszło się bez rękoczynów - stwierdził.

- Obeszło się bez rękoczynów - odparłam lodowato - ale ktoś, pacanie, powinien ci przywalić za przyłapanie tutaj.

Zrzucenie winy na kogoś innego najwyraźniej podziałało na mnie leczniczo.

- Nie wiedziałem, że Christophe też tu przyjdzie - tłumaczył się, jakby chciał przeproszać. Teraz już miał minę nieszczęśliwą, i to mi nawet sprawiło przyjemność. - Mogłaś chociaż oddzwonić. Nagrałem ci się mnóstwo razy. Mogłaś oddzwonić chociażby po to, żeby poinformować mnie, że znów jesteście razem z Christophe'em. Czy to było takie trudne?

- Trafiona - stwierdził Julien i gdyby Jeff mnie nie powstrzymał, to walnęłabym go stołkiem.

- No wiesz? - obruszył się Julien - Przecież mam rację. Zresztą sam ci mówiłem, żebyś zadzwoniła, pamiętasz?

- OK, Julien - stwierdził Jeff - nie pomagasz, naprawdę nikomu nie pomagasz.

- Ale mam rację!

- Powtarzam ci, że twoja gadka nikomu nie pomaga.

- Ufff... - Julien zrobił nadaśaną minę i zabrał się do wędzonego węgorza. Bardzo nie lubił, kiedy nie doceniano jego zdania, gdy wypowiadał je w tego typu sytuacjach. Zwykle mnie to śmieszyło, ale nie tym razem. Nie można było o niczym pomówić, żeby Julien zupełnie nieproszony nie wtrącił swoich trzech groszy, owszem, okraszonych nawet niezłym dowcipem, który wymyślił, czy jakąś błyskotliwą puentą.

- Posłuchajcie - powiedziałam wreszcie - czy uważacie, że zachowałam się jak skończona idiotka?

- Tak! - zawołali chórem.

- Czy uważacie też, że dostało mi się to, na co zasłużyłam?

-Tak!

-I że Patrick mógł jednak być trochę bardziej dyskretny...

Cisza.

- No, powiedzcie, że tak!

Laurent się skrzywił. Julien jakby się wahał, tylko Jeff się odezwał:

- Przyznaj wreszcie Marinę, że sama, z własnej woli wdepnęłaś w to gówno. Ani razu nie pomyślałaś o innych ani o konsekwencjach swojego zachowania.

- Nooo... wiem...

-I może wreszcie nadeszła pora, żebyś przestała się uzalać nad sobą - dodał Laurent.

-I kto to mówi? - Laurent był mistrzem w uzalaniu się nad sobą. Doprowadził tę umiejętność do perfekcji. Nikt nie uzalał się nad sobą z taką lubością jak Laurent.

- Tym razem każdy ma prawo do swojego zdania, Marinę.

- OK, OK.

- I może wreszcie porozmawiamy na inny temat niż ta kretyńska historia?

- Najwyższy czas.

Przyjęłam to z zadowoleniem, wypijając duży łyk wina. Chłopcy natomiast trochę przesadzili w ostentacyjnym okazywaniu ulgi z powodu przyjęcia przeze mnie tej propozycji.

- Pomyślałam sobie, że najwyższy czas, żebyśmy porozmawiali trochę o Gabrielu. Co o tym myślicie? Chodzi mi o to, byście wymyślili jakiś inteligentny sposób na nawiązanie zwyczajnej rozmowy, żebym nie musiała uciekać się do wizyty w jego gabinecie. - Laurent zaczął cicho chichotać, Jeffa skręcało ze śmiechu, a Julien zareagował bardziej rzeczowo, bo podniósł rękę do góry, przywołując kelnerkę.

- Halo! Potrzebna będzie kolejna butelka - zawołał w jej kierunku.

Jakiś czas później, kiedy wreszcie wychodziliśmy z restauracji, wciąż jeszcze dyskutowaliśmy o Gabrielu i o moich przygodach. Julien odłączył się od nas pierwszy i już prawie niewidoczny za gęsto padającym śniegiem zawołał jeszcze na całe gardło:

- Jesteś nam dłużna przysługę, Marinę Vandale!

Wilk groźnie wyciągnął łapę w kierunku Czerwonego Kapturka. Przez pewien czas przyglądałam się tej ilustracji dość krytycznie. Niedomknięty pysk chytrze uśmiechniętego wilka, kaptur opadający na plecy małej dziewczynki, jej potargane włosy. Po raz dziesiąty usuwałam tę łapę. Nie chciałam, by wilk był przerażający, wolałam, żeby był trochę uwodzicielski i żeby wzbudzał tylko odrobinę niepokoju. Miałam poczucie, że i tak nikt tego nie zauważy ani nie doceni, ale mimo wszystko nie byłam w stanie oddać tej ilustracji bez przedstawienia właściwego - z mojego punktu widzenia - ujęcia. Zaczęłam grzebać w kredkach - projekt robiłam pastelami - i wreszcie znalazłam właściwy niebieski kolor, który idealnie pasował do pelerynki Czerwonego Kapturka.

Miałam ochotę pójść na łąkę i sama nazrywać takich kwiatków, jakie miał Czerwony Kapturek.

Pomysł edytorski był bardzo interesujący. Pewna francuska autorka książek dla dzieci napisała pięć wersji bajki o Czerwonym Kapturku. Niebieski Kapturek, Różowy Kapturek i tak dalej. Osobowość dziewczynki zmieniała się wraz z tytułowym kolorem. W niebieskim była marzycielką, w zielonym bojowniczką o ekologię. Taki Kapturek w kratkę o pokręconej osobowości. Fabuła wymagała ilustracji raczej klasycznych, ale historyjki były dobrze napisane i podobał mi się świat, który przedstawiały. Tajemniczy las, jednocześnie piękny i groźny, perwersyjny i dwulicowy wilk, pełen uroku domek babci.

Dużo pracowałam, odkąd rozstaliśmy się z Christophe'em. Od dziesięciu dni nie miałam z nim żadnego kontaktu mimo moich niekończących się prób telefonicznych i trzech niezapowiedzianych wizyt w jego mieszkaniu. Nie odpowiadał ani na moje telefony, ani na dzwonki do drzwi. Chociaż Julien uważał, że powinnam zadzwonić do jego przyjaciół, nie zdobyłam się na to. Julien twierdził, że Christophe uznałby to za oznakę odwagi i dowód prawdziwej miłości. Wmawiałam sobie, że może pojechał odwiedzić matkę w Nowym Jorku, gdzie czasami się zasywał, kiedy chciał mieć święty spokój. Tam właśnie się schronił po naszym pierwszym rozstaniu, podczas gdy ja zostałam tutaj i pocieszałam się w ramionach jego najlepszego przyjaciela.

Od kilku dni starałam się nie myśleć za dużo o tej sprawie. Właściwie to starałam się w ogóle nie myśleć. Po pierwsze dlatego, że przeważnie myślałam głośno i chłopcy byli już na granicy wytrzymałości. Po drugie dlatego, że moje próby znalezienia sposobu, by pozbierać wszystko do kupy, po raz kolejny doprowadziły mnie do konkluzji, że właściwie sama nie wiem, czego chcę. Ale przecież nigdy nie wiedziałam, czego chcę, i był to u mnie stan permanentny. Niekiedy nawet próbowałam tym się przechwalać, zwłaszcza kiedy trochę wypijałam. Wtedy taka postawa wydawała mi się bardzo odpowiednia, bo niezwykle romantyczna, właściwa malowniczej bohemie.

O tym, jak powinno wyglądać szczęście, miałam mgliste wyobrażenie. W myślach układałam swoją historię szalonej miłości według własnego pomysłu - głęboka zażyłość i zrozumienie, zwiedzanie z ukochanym miejsc z przepięknymi krajobrazami, prawdziwa miłość, ale i wolność jednocześnie. Ta moja wizja kolidowała nieco z prozą dnia codziennego i wymagałaby zbudowania wszystkiego od nowa. W rzeczywistości, w której jakoś istniał jeszcze Christophe, nie byłam w stanie podjąć żadnej decyzji. Może z powodu tchórzostwa, a może z powodu lenistwa. W chwilach lepszego nastroju wmawiałam sobie, że wszystko jest w porządku, a ja pozostaję wierna swoim ideałom. I prawie w to wierzyłam.

W tym konkretnym wypadku czułam się po prostu fatalnie, co tym bardziej nie pozwalało mi na nagłe uzyskanie pewności siebie i mocy decyzyjnej. Nie byłam już nawet pewna, czy zależy mi na powrocie Christophe'a. Ponieważ go kochałam. Ponieważ czułam się winna. Dość powszechne schorzenie psychiczne, ale i tak wredne. Tak więc schroniłam się w pracowni, w świecie zaczarowanych lasów oraz wilków i myślałam o swoim dzieciństwie.

Siedzący obok mnie Laurent obrysowywał moje stare szkice ludzikami. Pochylał się nad deską i robił wrażenie, jakby wykonywał jakiś niesamowicie skomplikowany projekt. Tymczasem zajmował się rysowaniem ołówkiem facetów, którzy robili różne rzeczy dziewczynom lub po prostu spacerowali sobie z psami. Wszyscy byli uśmiechnięci, nawet psy. Kobiety miały po jednym długim włosie z każdej strony głowy, sięgającym do ramion. Za dwie minuty zabierze się do malowania słończek z piękną buźką.

- W porządku, mistrzu? - spytałam tak na wszelki wypadek. Pochłonięty swoją pracą nawet na mnie nie spojrzął, tylko wyciągnął rękę z pustą szklanką. Podeszłam do lodówki stojącej w kącie pracowni, gdzie trzymałam zawsze kilka butelek wody i białego wina.

- Taka praca twórcza wywołuje pragnienie - oznajmił.

- Pewnie masz rację. - Podałam mu napełnioną szklankę. Rzeczywiście na desce pyszniło się czerwono-żółte słończko z uśmiechniętą buzią, rozświetlające postacie ludzików.

- Wiesz, co jest w tym najgorsze? - spytał.
- Co?
- Ze naprawdę się wysilałem - zaśmiał się i mnie to również rozśmieszyło.
- Zachowam twoje rysunki - oznajmiłam - przytwierdzę je magnesem do lodówki.
- Ufff... jeszcze chwila, a narysowałbym zamieć śnieżną, używając na przykład czarnego koloru. Wszyscy moi znajomi, którzy mają dzieci, poprzyklepiały sobie do lodówek albo powiesili w biurze po kilka takich bohomasów. Wszystkie dzieci namalowały coś, co nazwały zamiecią śnieżną.
- Córeczka moich przyjaciół jest jeszcze bardziej pomysłowa, bo o swoim malunku mówi, że to zamieć śnieżna na wodzie.
- I to jest nie do zniesienia.
- Przestań wreszcie uważać, że wszystko, co wiąże się z dziećmi, jest nie do zniesienia.
- Bo jest.
- Sam jesteś nie do zniesienia.
- Być może.

Laurent od czasu do czasu odwiedzał moją pracownię, jeżeli wiedział, że tu akurat będę, żeby wypić ze mną kieliszek wina, pogadać trochę, a czasami po prostu zdrzemnąć się pół godziny na starej, szarej sofie. (Ciekawe, czy ona zawsze była szara? Wydawało mi się, że kiedyś była biała, i to mnie trochę martwiło). Wiedziałam, że zagłada do mnie tylko wtedy, gdy jest mu smutno albo dręczą go jakieś pytania, na które sam nie znajduje odpowiedzi. Twierdził, że biel ścian pracowni i bezmyślne rysowanie dziwnie go uspokajają i pozwalają mu lepiej przyjrzeć się swoim problemom. Wiedziałam, że to ja tak na niego działałam, a nie moje ściany, i to nie dlatego, że sama byłam przepełniona spokojem, ale ponieważ znaliśmy się jak łyse konie i nie musiał przy mnie niczego udawać. Wiedziałam o tym doskonale, bo mnie również uspokajała jego obecność. Uważaliśmy, że jest to (parafrazując Sienfelda):

*The next best thing to being alone **.

*** *The next best thing to being alone* - druga najlepsza rzecz po siedzeniu w samotności - ang.**

- Jak tam sprawy z Carole? - spytałam, bo wiedziałam, że coś gdzieś nie jest tak, jak powinno.

- Hmm...

- Hmm?

- No dobrze - odparł tonem, jakim posługujemy się, gdy ktoś nas zirytuje. Przy mnie od dawna nic nie musiał udawać.

- Znowu rozmawialiśmy o dzieciach?

- Czy zostało jeszcze trochę tego wina? - Zdażył już opróżnić swój kieliszek. Uśmiechnęłam się, ponownie napełniłam kieliszek winem i lekko pociągnęłam Laurenta za ucho.

- Kochasz ją, Loulou?

- Co?

Ogólnie jego reakcja na miłość była dziwna i bardzo złożona. Na przykład nigdy mi nie powiedział, że mnie kocha. O ile wiem, nie powiedział tego nikomu. Odnosiło się wrażenie, że miał duże trudności z rozpoznawaniem tego uczucia u samego siebie. Tym razem był wzburzony, a potem wzruszył ramionami. Wiedziałam, że mi nie odpowie.

- Wieczorem idziesz do rodziców?

- Owszem. Mamy urodziny Elodie. Chcesz pójść ze mną?

- Przecież nie jestem już twoim chłopakiem.

- Przecież wiem. - Wstał z krzesła, podszedł do stołu, przy którym teraz ja rysowałam swoje ilustracje.

- Mały Kapturek jest podobny do ciebie - stwierdził.

- No wiesz? To jest dziesięcioletnia dziewczynka.

-Aha.

- Nie znasz się na tym. - Faceci wielokrotnie mówili mi, że wyglądam na szesnaście lat i od biedy można to było uznać za komplement. Ale dziesięć? To już wydawało się grubą przesadą i co nieco mnie zaniepokoiło.

- I tak mam rację. Zarys oczu, usta, czoło. Zrobisz z niej blondynkę?

- Nie, będzie ruda.

- Coś ty? Wszyscy wiedzą, że Czerwony Kapturek był blondynką. Nawet kiedy go robią na niebiesko czy zielono, to i tak zawsze jest blondynką.

- No dobrze, już dobrze. I tak miałam z niej zrobić blondynkę.

- Sama widzisz, że rysujesz siebie.

Wzruszyłam ramionami i pochyliłam się nad rysunkiem. Na tym, który oglądał, dziewczynka była uśmiechnięta, miała złożone rączki i bił z niej zachwyty nad wielkimi żębkami wilka, który wyglądał komicznie w czepku babuni. Przyjrzałam się dokładniej swojemu rysunkowi i doszłam do wniosku, że być może Laurent tak do końca się nie mylił. Rzeczywiście mogłabym z tego zrobić fajny autoportret, pomyślałam.

- Którego wilka tak się boisz, Marinę?

Szłam do domu rodziców dróżką wyłożoną z pietyzmem drobnymi kamykami. Nasz ojciec, który od czasu przejścia na emeryturę stał się maniakiem nikomu niepotrzebnych prac porządkowych, na pewno odśnieżał ją co najmniej ze trzydzieści razy. Śnieg padał od samego rana, ale ścieżka była starannie oczyszczona. Odrzucony śnieg leżał daleko poza linią lampek halogenowych, zainstalowanych co kilka metrów. Było ich co najmniej czterdzieści. W lecie i w zimie miały za zadanie oświetlać okoliczny krajobraz i najwzyczajniejsze dzieło architektury, w którym się wychowałam. Musiałam przyznać, że to było wzruszające. Całe osiedle składało się z podobnych do siebie domów, a zieleń wokół zaprojektował ten sam, średnio uzdolniony pod tym względem fachowiec. Dlatego właściciele odczuwali potrzebę rzęsiściego oświetlenia swojej działki, jakby to były ogrody wersalskie.

Przed drzwiami zawsze odliczałam „jeden, dwa, trzy...” i przy „cztery” prawie na całą ulicę rozlegał się niezawodnie głos mojej mamy:

- Raymond! Otwórz!

I po chwili faktycznie ojciec otworzył mi drzwi. Zawsze przy tej okazji uśmiechał się z taką samą uprzejmością do każdego, komu otwierał, ktokolwiek to był.

- Marinę! - zawołał i wyciągnął do mnie ramiona.

Parę razy powtarzał moje imię, może chciał pokazać wszystkim, że z jego pamięcią nie jest tak źle. Musiałam wspiąć się na palce i prawie położyć na jego dość wydatnym brzuchu, żeby mógł mnie objąć. Nie palił już od piętnastu lat, ale ja wciąż czułam od niego tytoń zmieszany z old spice'em i te zapachy zawsze mnie rozrzewniały, bo przypominały dzieciństwo.

- Czołem, papciu. - Uśmiechał się do mnie serdecznie i już zamierzał coś mi odpowiedzieć, ale pojawiła się mama z wielką kuchenną rękawicą na jednej ręce i szufelką do ciast w drugiej. Usiłowała przekazać mi naraz dziesięć różnych informacji i jednocześnie zabrać palto. Potem powiadomiła mnie, że nasz kuzyn, Samuel, znów dostał awans i jest teraz szefem sekcji (sekcji czego, nie miałam zielonego pojęcia, ostatni raz widziałam Samuela, gdy miał trzynaście lat i chciał zostać mistrzem gameboya). Na koniec zaprosiła mnie do salonu, gdzie czekały przygotowane przekąski.

Poklepałam tatę po plecach, żeby go pocieszyć, że zmuszony był zrezygnować z powiedzenia czegokolwiek, i weszłam do salonu, gdzie była już Elodie i paliła papierosa z miną znudzonej cierpiętnicy, a Ariane pogryzała kawałek surowego selera.

- Jak leci? - zapytałam.

Elodie wyduła wargi, jak to robią często zblazowane nastolatki, a Ariane wskazała na trzymany w ręku seler.

- Muszę coś zjeść - oznajmiła - a to jest chyba jedyna tutaj rzecz nadająca się do zjedzenia. Reszta przygotowana przez mamę zrobiona jest z całego stosu różnych mięs.

- Ty wciąż chcesz się załapać na tytuł Świętego Wegetarianina?

- Wegetarianki - poprawiła z uśmiechem.

Wiedziała, że razem z Frederickiem naśmiewaliśmy się z jej wojującego alterglobalizmu. Wstała z kanapy, prezentując legginsy w różnokolorowe paski, czerwone conversy na nogach, spódniczkę z weluru w kolorze brązowym i wielki luźny sweter z czystej wełny. Dredy na głowie podtrzymała fioletowa opaska.

- Jak leci, staruszko?
- Świetnie. A co u zdrowej młodzieży?
- Też dobrze. - Pachniała paczulą.
- Dlaczego mnie nigdy nie nazywasz zdrową młodzieżą?
- spytała Elodie.

- Bo nie! - odpowiedziałyśmy chórem z Ariane i jednocześnie wybuchnęłyśmy śmiechem.

Tata przyniósł dla mnie i dla Elodie piwo, a Ariane szklanekę soku z warzyw, który po spróbowaniu natychmiast odstawiła na bok z grymasem obrzydzenia. Było w nim za wiele sodu i ponoć jego picie przypominało lizanie kryształków soli.

- Muszę wracać do kuchni. Wasza matka potrzebuje pomocnika - poinformował nas ojciec.

- Zostań, tato, ja pójdę - powiedziała Ariane.

- Nie, nie. Ty zostań z siostrami. Asystowanie mamie sprawia mi przyjemność.

Zastanawiałam się, czy moje siostrzyczki też zdawały sobie z tego sprawę, że ojciec najprawdopodobniej nie bardzo chciał z nami zostać sam na sam. Kochał nas prawdziwie, ale uważał, że jako zwykły kierowca nie bardzo wie, jak ma z nami rozmawiać. Jego ukochane małe dziewczynki dorosły i zmieniły się w kobiety, co powodowało u niego pewną treść.

- Wszystkiego najlepszego - powiedziałam.

- Pffu!

- Do licha, co ci jest?

Ariane spojrzała na mnie znacząco i wykonała ruch ręką, bym dała spokój, ale niestety dostrzegła ten gest nasza siostrzyczka.

- No właśnie! - wrzasnęła. - Bardzo proszę, naśmiewajcie się ze mnie! Tobie to dobrze. Masz dopiero dwadzieścia trzy lata. Ja jutro skończę dwadzieścia sześć i wciąż nie mam faceta. Jestem skończona! - mówiła z takim przekonaniem, że brzmiało to dość komicznie i nie potrafiłam powstrzymać się od śmiechu.

- Elodie... Przestań gadać bzdury, dobrze?

Wciąż nie mogłam powstrzymać śmiechu, ale moja średnia siostra wyglądała na naprawdę wzburzoną. I znając

ją, wiedziałam, że tak jest. Ariane również patrzyła na nią ze szczerym rozbawieniem w oczach.

- Elodie... spójrz na mnie. Jestem sześć lat starsza od ciebie i też nie mam faceta. I nigdy nie przyszło mi do głowy pomyśleć, że jestem skończona.

Czy w to wierzyłam? Sama nie wiem. Ariane dawała mi desperackie znaki, żebym posłuchała tego, co słychała z kuchni. Kiedy wreszcie zorientowałam się, o co jej chodzi, odwróciłam się i zobaczyłam naszą mamę wciąż z tą wielką rękawicą. Mama wrzeszczała. Teraz dopiero ją usłyszałam i choć później Ariane starała się mnie przekonać, że nie wrzeszczała, tylko po prostu mówiła, to w mojej pamięci wciąż rozbrzmiewał jej krzyk:

- Cooo? Nie masz już faceta?!!!

Później nastąpiło zwyczajowe na tę okoliczność łajanie mnie, zakończone stałym, niezmiennym od dłuższego czasu stwierdzeniem:

- Tyle razy ci powtarzałam, że powinnaś się trzymać Laurenta.

Na zakończenie wystąpienia mamy rozległ się radosny śmiech moich siostr, a ojciec delikatnie pogładził mnie po plecach.

- Potrzebujesz mężczyzny, żeby rozkwitnąć, mój kwiatuszku - powiedział mi cicho do ucha.

Jak zwykle mama była bardzo zmartwiona, bardziej niż na to zasługiwała sytuacja, w której się znalazłam. Wprawdzie nie wiedziała, co się stało, a co gorsza nie mogłam jej przecież wytłumaczyć. Za to Elodie po tym wszystkim nabrała lepszego humoru. Nawet nieśmiertelny łośoś w sosie serowym w wykonaniu naszej mamy nie był w stanie popsuć teraz dobrego samopoczucia mojej siostry. Okazało się, że niechcący znalazłam sposób na zapewnienie jej wesółych urodzin. Bez przerwy śmiała się i mrugała do mnie porozumiewawczo, trzepocąc swoimi starannie pomalowanymi rzęsami. Trącąc mnie co rusz łokciem, powtarzała do znudzenia:

- Właściwie to masz rację. Dwadzieścia sześć lat to jeszcze nic strasznego.

Ariane starała się, jak mogła, jedząc tony patatów. Gdyby wiedziała, ile masła mama używa do zrobienia z nich puree, z pewnością zastanowiłaby się, czy może pochłaniać takie ilości.

- Jeff - mruknęłam. W pokoju panował półmrok, ale słyszałam jego ciche chrapanie. - Jeff! - powtórzyłam głośniejszym głosem.

- Mhm? - Dostrzegłam jego sylwetkę unoszącą się na łóżku. - Która godzina?

- Jeszcze nie ma północy.

- Mhm...

- Sam jesteś? - Pod tym względem z Jeffem nigdy nie było wiadomo.

- Co? Sam.

Błyskawicznie weszłam do środka i położyłam się obok niego.

- Ty też uważasz, że moje życie jest przesrane?

-Co?

Zachowałam się tak, jak najbardziej nienawidziłam się zachowywać, czyli zaczęłam płakać. Byłam niczym mała dziewczynka, która przestraszyła się ciemności. Jeff odwrócił się w moją stronę i mnie przytulił. Nic nie mówił. Chyba nawet znowu zasnął. A ja płakałam, bo czułam się głupio i byłam nieszczęśliwa. Około pierwszej w nocy Jeff obudził się i mruknął mi w ucho:

- W porządku?

- Nie. - Nie miałam ochoty go przeproszać. Nie miałam ochoty wstawać z jego łóżka. A na myśl, że tylko jego ramię ratuje mnie w tej chwili od popadnięcia w bezdenną depresję, zaczęłam znowu płakać.

- Będzie dobrze - mruknął, głaszcząc mnie niezdarnie po dzinsach.

No jasne, pomyślałam, może będzie dobrze, przecież zawsze jakoś jest. Odwróciłam się do niego i poczułam jego twarz bardzo blisko mojej. I wtedy naszła mnie ochota, okropna ochota, żeby znowu zrobić jakieś głupstwo.

Do: Freda

Od: Marinę Vandale

Temat: Biedni bogacze

Co właściwie sądzisz o rozpieszczonych panienkach, które zawsze potrafią znaleźć powód, żeby się skarżyć, że życie je zaskakuje swoją ponurą niedoskonałością?

Do: Marinę

Od: Freda Vandale

Temat: Rozeznanie terenu

Przypominam ci, że mam trzy siostry. Więc jeśli chodzi o przesadę, jestem ekspertem. Co ci się stało?

Do: Freda

Od: Marinę Vandale

Temat: Wstydlive zarozumialstwo

Dlaczego uważasz, że myślę o sobie?

Do: Marinę

Od: Freda Vandale

Temat: Rozpoznanie terenu

Czy za każdym razem muszę udawać faceta, który nie umie czytać między wierszami? Czy zawsze musisz prowadzić ze mną te swoje gierki? Mam wrażenie, że moglibyśmy zaoszczędzić sobie mnóstwo czasu, gdybyśmy od razu przeszli do meritum.

Do: Freda

Od: Marinę Vandale

Temat: Dar jasnowidzenia

Mógłbyś być trochę miłszy i chociaż przez dwie sekundy poudawać, że nie wiesz, o co chodzi. A może chodziło mi o Elodie? Nawiasem mówiąc, miała dzisiaj urodziny. Podkreślała nawet, że było mnóstwo telefonów z życzeniami, ale wśród nich ani jednego od własnego brata. Nie wiem, co z tym zrobisz, bo ja sądzę, że Elodie jest z tego powodu przykro.

Do: Marinę

Od: Freda Vandale

Temat: Niewdzięczny brat

Cholera. Jak myślisz, jeśli jej powiem, że akurat miałem wenę i metafory cisnęły mi się do głowy, więc musiałem je zapisywać, i dlatego nie mogłem w żaden sposób oderwać się od komputera, to mi uwierz i przebaczy?

Do: Freda

Od: Marinę Vandale

Temat: re: Niewdzięczny brat

Chyba sobie żartujesz...

Do: Marinę

Od: Freda Vandale

Temat: re: re: Niewdzięczny brat

No dobra, w porządku. Zadzwoń do niej i zaleję ją przeprosinami. Obiecuję jej nawet, że kiedy tylko do mnie przyjedzie, ugoszczę ją tak, że będzie czuła się jak w niebie.

Do: Freda

Od: Marinę Vandale

Temat: Gówniane zarobki

Chyba nie sądzisz, że płacę jej tyle, żeby uzbierała na bilet do Paryża.

Do: Marinę

Od: Freda Vandale

Temat: Trzeźwość umysłu

Jasne, że nie. A ty chyba nie sądzisz, że zaprosiłbym Elodie, gdybym choć przez chwilę podejrzewał, że naprawdę może przyjechać? Aż tak głupi nie jestem.

Do: Freda

Od: Marinę Vandale

Temat: Kobieca solidarność

No dobra, pisarzyno od siedmiu boleści. Jest nieznośna, ale to nasza siostrzyczka i znowu jest w psychicznym dołku. Więc potraktuj ją delikatnie i bez wygłupów.

Do: Marinę

Od: Freda Vandale

Temat: Starszy brat na pomoc

Jasne. Zgoda. Zobaczysz, że potrafię być wzorem braterskiej miłości. Przypominam ci, że miałas mi opowiedzieć, co dolega tej rozpieszczonej panience.

Do: Freda

Od: Marinę Vandale

Temat: Duch starej panny

Co dolega? Jest to związane bezpośrednio z faktem, że dziwnym zrządzeniem losu udało mi się popsuć dwa związki i, co gorsza, spłoszyć mężczyznę, w którego oczach odbija się cała zieleń Szkocji. Reasumując: mam trzydzieści dwa lata i skończę życie w samotności, siedząc na fotelu koło wypchanego Claude'a-Francois.

Do: Marinę

Od: Freda Vandale

Temat: Preparowanie zwierząt

Masz na myśli kota czy piosenkarza?

Do: Freda

Od: Marinę Vandale

Temat: Preparowanie zwierząt

Głupek,

Do: Marinę
Od: Freda Vandale
Temat: Lekkość bytu

Wyluzuj, Marinette. Pisałaś, że nie chcesz, żebym był zbyt poważny. Jesteś przecież genialna i piękna jak nie wiem co i nie potrafię sobie wyobrazić ciebie w staropanieństwie obok wypchanego i śmiesznego piosenkarza.

Do: Freda
Od: Marinę Vandale
Temat: re: Lekkość bytu

Sam widzisz. Moja lekkość się ulotniła i zupełnie nie wiem, gdzie się podziała. Nie potrafię już działać racjonalnie i czuję się brzydka i samotna. I chora jestem od tego, że czuję się brzydka, a przecież nic mi nie jest. No i tak powstaje błędne koło. Brak wiary w siebie i te wszystkie bzdury. A moje życie przebiega od gafy do gafy.

Do: Marinę
Od: Freda Vandale
Temat: Gaston Gafowicz

A co tym razem nabroiłaś?

Do: Freda
Od: Marinę Vandale
Temat: (brak)

Nie rozmawiałaś czasem z Jeffem? Tak tylko pytam...

Do: Marinę
Od: Freda Vandale
Temat: (brak)

No nie. Tylko nie to. Marinę, coś ty zrobiła?!?!

Do: Freda
Od: Marinę Vandale
Temat: (brak)

Cholera, muszę kończyć. Właśnie wrócił do domu. Opowiem ci wszystko. Nie będziesz mnie osądzał?

Do: Marinę

Od: Freda Vandale

Temat: INFORMACJE

Chyba mnie nie zostawisz tak w pół zdania?

Do: Freda

Od: Marinę Vandale

Temat: Hiena

Sama nie mogę uwierzyć, że ty zostawiłeś mnie na lodzie.

-)

Rozdział 4

- Mój Boże - wyrwało mi się na głos, kiedy usłyszałam szcęk klucza w zamku wejściowym.

Zatrzasnęłam laptopa, poderwałam się na równe nogi i podbiegłam sterczeć pod drzwiami. Nie widzieliśmy się od tamtej nocy i czułam... czułam mnóstwo rzeczy. Byłam smutna i skonfundowana, a przede wszystkim przerażona. Przez cały dzień chodziłam zdjeta potwornym strachem, który trudno byłoby mi opisać, ale naprawdę był paraliżujący. Bałam się utracić przyjaźń Jeffa. Bałam się, że nasze relacje, które dotąd były stałe i niezmiennie pewne jak opoka, teraz ulegną zniszczeniu. Bałam się wszystkiego po trochu. I miałam nadzieję, że Jeff mi pomoże.

- Co to? - zdziwił się Julien. - Zawsze tak stoisz przy drzwiach jak jaka głupia, czy może nie mogłaś się doczekać, żeby mnie zobaczyć?

- Do diabła. - Byłam na niego naprawdę wkurzona. Żeby mi napędzić takiego strachu!

Szybko się rozebrał z tego swojego wielkiego białego palta z futrzanym kołnierzem (jak na mój gust zbyt wyszukany i dosyć dziwacznym), został w czerwonych džinsach, karmazynowej koszuli i fioletowej kamizelce wkładanej przez głowę. Na taki widok dostawałam bólu głowy.

- Przyszedłem natychmiast, jak tylko się dowiedziałem - oznajmił, kierując się prosto do kuchni, żeby zrobić sobie koktajl. Po drodze na powitanie ścisnął mnie za ramię. Powiedziałyby przynajmniej, jak się dowiedział, a przede wszystkim, czego się dowiedział. Ale skądże! Zajęty był sta-

rannym mieszaniem trunków w tyłu kolorach, że aż kręciło się w głowie. Tylko kot spokojnie obserwował to wszystko ze swojego stałego miejsca, czyli misy na owoce.

- Daiquiri bananowe? Odpowiada ci? - spytał i przy okazji wyjaśniła się tajemnica, po co był likier bananowy w naszym barku.

- Wolę kieliszek wina. Ale to ma być porządny kieliszek.

Szybko nalał mi do pełna i wrócił do mieszania. Doprowadzał mnie do furii i wpadałam w coraz większą rozpacz połączoną z histerią, że nie będę umiała wymyślić żadnego wytłumaczenia na swoje zachowanie, a przecież Jeff mógł wrócić lada chwila. Zobaczyłby mnie w swoich własnych kalesonach i podkoszulce stojącą na środku kuchni w towarzystwie istnego kłowna i popijającą szalony koktajl. A ja, chociaż cały czas myślałam gorączkowo, i tak nie umiałam teraz nic wymyślić.

- Julien. - Złapałam go rękę.

- Słucham.

- Co tu robisz?

- Daiquiri bananowe.

- Nie pieprz głupot.

Wlał przynajmniej dwanaście miarek rumu do miksera i dopiero wtedy na mnie spojrzął.

- Jeff do mnie zadzwonił. Powiedział, że będziesz potrzebowała towarzystwa.

O mało znów się nie popłakałam. Jeff nawet w takiej chwili o mnie pomyślał.

- Gdzie on jest?

- Nie wiem.

- Julien...

- Poszedł spać do Laurenta. Twierdził, że to najlepszy pomysł na dzisiejszy wieczór. No i Laurent wpadł w zachwyty, że będzie mógł wreszcie wypróbować na kimś ten swój nadzwyczajny, niewykorzystany pokój gościnny.

Zachichotałam nieco nerwowo. Julien oparł się o barek i postawił przed sobą olbrzymią szklankę koktajlu, w którym pływały liczne, jakieś poszarpane kawałki bananów.

- Co tu się stało? - spytał.

- Och...

- Och znaczy co? Niczego mi nie powiedział, Marinę. Stwierdził tylko, że znając cię, na pewno jesteś teraz kłębkim nerwów, a on dzisiejszego wieczora woli położyć się spać w towarzystwie kogoś dorosłego.

- On jest nadzwyczaj delikatny.

Julien westchnął teatralnie i pociągnął olbrzymi łyk ze swojej szklanki.

- OK, Marinę. Wiem, że jest delikatny. I bardzo się z tego cieszę. W jego i twoim imieniu. A teraz może mi wreszcie opowiesz, co się tu wydarzyło? Bo dosłownie zżera mnie ciekawość i żeby się ratować, wpędzę się w końcu w alkoholizm. Jeżeli nie opowiesz mi wszystkiego, zanim skończę to świństwo, zmuszę cię do wypicia jeszcze większej szklanki tego samego. Czy wyraziłem się jasno?

- Dobra, dobra - nawet jeżeli nie dominowała u mnie chęć wyspowiadania się ze wszystkich grzechów, to ostatecznie przekonała mnie groźba wypicia daiquiri.

Usiłowałam sobie wszystko poukładać w pamięci. Ale to „wszystko” było raczej mętne, zważywszy na to, ile wypiałam u swoich rodziców. A piłam, żeby nie słyszeć, jak mama powtarza w kółko, że takie samotne życie nie ma sensu, że jestem sama, bo mam prawdopodobnie trudny charakter. Nieustająco posługiwała się tą ulubioną teorią, chociaż była ona dla mnie wyjątkowo niesprawiedliwa. Moja własna matka uważała, że mam za wysokie wymagania i gdyby to ona była na moim miejscu, już dawno zesłaby na ziemię.

Ojciec dolewał mi co chwilę wina. Wiedział z doświadczenia, że z matką, która najwyraźniej w takich okolicznościach popadała w swego rodzaju trans, dyskutować się nie da i jedynie sposób, żeby to wytrzymać, to albo dać się upić, albo dać się zwariować. Wróciłam do domu mocno wstawiona i w tym stanie ducha, który Laurent nazywał „użalaniem się nad własnym pijaństwem”. Byłam nieszczęśliwa do granic wytrzymałości. Moje rozżalenie rozciągało się na cały

świat, choć to, że jestem sama, dokonało się na moje własne życzenie. Byłam wściekła na samą siebie, że nie potrafię się tym nie przejmować, nie umiem żyć w celibacie, nie potrafię zadowolić się sprawami duchowymi. Wymyślałam rozmaite usprawiedliwienia własnej postawy, a za chwilę oskarżałam się o wszystkie grzechy, nawet te niepopelnione. A najbardziej o to, że byłam kobietą złą, która zdradzała każdego faceta. To znów przychodziło mi do głowy, że może jest wprost przeciwnie, może jestem normalna, a skoro tak, to taka „norma” prowadziła mnie do większego jeszcze załamania. Kiedy lazałam przez salon, zataczając się, by nie nadepnąć i nie stratować kota, pomyślałam sobie, że przecież każdy człowiek ma jeszcze szansę na odkupienie grzechów w czyścicu, ale zaraz się przeraziłam na myśl, jak musiałyby wyglądać mój czyściec.

Krótko mówiąc, byłam zgorzkniała, pijana i smutna - niebezpieczna mieszanka dla trzydziestolatki wątpiącej w siebie. Gdybym zachowała jeszcze odrobinę zdrowego rozsądku, to zatoczyłabym się w stronę swojej sypialni, ale to już było ponad moje siły. W stanie, w jakim się znajdowałam, szukałam silnego ramienia. Jeff ze swoim metrem dziewięćdziesiąt oraz setką kilogramów w tym momencie bardzo się nadawał na moją przystań ratunkową. Poza tym - jak zapewne zauważyliście - był akurat pod ręką. I nie można powiedzieć, że długo sobie łamałam głowę szukaniem innego rozwiązania. To fakt.

Pamiętam jeszcze dość dobrze, że weszłam do jego pokoju, że położyłam się obok niego i beczałam jak dziecko, pytając go, czy moje życie naprawdę jest już przegrane. Potem się chyba zdrzemnęłam. I tu moje wspomnienia zaczynają wariować. Przez jakiś czas patrzyłam w jego twarz. Miał wyjątkowo długie i gęste rzęsy, które lekko drgały na zamkniętych powiekach. Pewnie obserwowałabym dalej po pijaku tę jego twarz (to naprawdę fascynujące zajęcie obserwować twarz, którą się zna na pamięć od wielu lat), gdyby Jeff nie otworzył oczu. Nie wiem, jak długo leżeliśmy wpatrzeni w siebie, jakbyśmy się nigdy wcześniej nie widzieli. Julien naciskał mocno, żebym sobie przypomniła, czy trwało to minutę

czy dwadzieścia minut, ale ja teraz kompletnie tego nie wiedziałam. Czekałam, aż Jeff coś powie. Zawsze coś mówił. Był lekarstwem na wszystkie smutki, na każdą zbyt długo trwającą i kłopotliwą ciszę, w ogóle na wszystko. Ale wtedy milczał. Milczenie i jego niebieskie oczy. Mówię niebieskie, bo wiem dokładnie, jaki jest kolor jego oczu. W ciemności, która nas otaczała, wszystko wydawało się niebieskie. Za to, co wtedy zrobiłam, miałam wielką ochotę zwalić winę na ten błękit, który był w mojej głowie i wszędzie dookoła.

- Pieprzyliście się? - spytał bez ogródek Julien, sącząc swoje daiquiri.

Zastanawiałam się, jakim cudem tak długo wytrzymał z zadaniem tego oczywistego pytania i prawie mi go było żal, kiedy odpowiedziałam:

- Nie. Nie pieprzyliśmy się.

Julien był bardzo rozczarowany.

Ale niestety całowałam się z Jeffem. Nie myślałam wtedy o niczym. Byłam przecież pijana. Poza tym nie wierzę, że ktokolwiek na świecie zastanawia się w takiej chwili i cała (tu w moim wypadku absurdalna) rzecz dzieje się mimowolnie. Wciąż pamiętam jego rękę leżącą na moim biodrze. To właśnie ta ręka wywołała u mnie nagłe i nieodparte pożądanie i chęć oddania mu się całkowicie. A tak na marginesie, chyba każdy mi przyzna rację, takie napady pożądania z reguły są instynktowne i niekontrolowane, zwłaszcza po pijaku. I jest to doświadczenie, którego za nic nie chcemy powtarzać.

Zbliżyłam się do niego. Najpierw nieśmiało i powoli. Miałam nawet krótki okres pełnej świadomości, pozwalający mi spostrzec bezmierną otchłan, w którą się staczam, oraz astronomiczny wymiar problemów, które będą następstwem mojego działania. I rozmiar świństwa, które zamierzałam zrobić. Kiedy kochasz dwóch różnych mężczyzn i doskwierają ci z tego powodu wyrzuty sumienia oraz samotność, to próba utopienia tych uczuć w łóżku trzeciego faceta, a żeby było jeszcze gorzej, w łóżku swojego najlepszego przyjaciela, urasta do rozmiarów superświństwa do nieskończoności. Taka właśnie jestem. Kiedy mi źle, szukam męskiego ramienia jak

inni butelki wina. (Choć uczciwie muszę przyznać, że tamtej nocy szukałam jednocześnie męskiego ramienia i butelki. Problem polegał na tym, że znalazłam jedno i drugie).

Ten błysk samoświadomości trwał zaledwie kilka sekund, ale pozwolił mi jasno uświadomić sobie konsekwencje swego czynu. Niestety uświadomił mi również, że i tak mi wszystko jedno. Liczyła się tylko dłoń Jeffa na moim biodrze i całą wieczność później jego usta na moich. Nie robił wrażenia zdziwionego moim zachowaniem. Jego usta również przywarły do moich delikatnie i poczułam, jak zaciska dłoń na moim pośladku, co mnie tak podnieciło, że przywarłam do niego całym ciałem, pragnąc wreszcie poczuć na sobie jego ciężar.

Julien patrzył na mnie, można powiedzieć, z rozdziawioną gębą, i w tym momencie bardziej przypominał swoją karykaturę niż siebie samego. Wiedziałam, że za chwilę powie swoje charakterystyczne „*Oh my God!*”.

- *Oh my God* - usłyszałam i zaśmiałam się, ale on tego nie zauważył. - Nie mogę uwierzyć, że Jeff nic mi nie powiedział.

- Naprawdę? - Mnie też było trudno w to uwierzyć.

- Nic! Nie chciał mi nic powiedzieć. Oświadczył tylko, że coś się stało - nic poważnego - a ty jesteś w okropnym stanie. Jeśli chcesz wiedzieć, to według mnie on również był w strasznym stanie.

- Tak myślisz? - Chociaż było to kompletnie bez sensu, ta informacja sprawiła mi przyjemność.

- O Boże! - wrzasnął nagle Julien - na pewno opowiedział wszystko Laurentowi - zaczął wygrażać nieobecny przyjaciom. - Cholerne zwierzenia hetero...

- Julien, nie ma czegoś takiego, jak zwierzenia hetero. Przynajmniej nie wśród facetów hetero. Faceci zwierają się swoim kochankom, czasami swoim kumplom gejom, ale najczęściej gadają o takich sprawach ze swoimi dobermanami lub samochodami.

- Upraszczasz.

- Niewiele.

Zaczął obierać następnego banana do kolejnego koktajlu.

- I tak Laurent będzie o tym wiedział więcej ode mnie.

- Zamyślił się i położył banana na blacie. - A teraz może mi powiesz, dlaczego nic nam nie powiedział? Jaki facet nie pochwaliłby się taką historią? Może on jest nienormalny?

- Nie. - Podeszłam, aby sobie dolać wina. To był główniany tydzień. - Nie powiedział wam nic, bo jest dyskretny i dobrze wychowany.

- Coś takiego! - Julien przez chwilę marszczył brwi i wywracał oczami, zastanawiając się nad tym, co powiedziałam. Wreszcie pojął i przytaknął: - Aha.

Przyłgnęłam do Jeffa, całowaliśmy się w taki sposób, że nawet jeszcze teraz czuję tę namiętność. Wtedy w ogóle już nie myślałam, tylko całowałam go w zapamiętaniu. Jedynie, co chodziło mi po głowie, to nieodparte pragnienie, żeby wreszcie mnie wziął. Wtedy się chyba obudził.

Mówię „obudził”, bo takie właśnie odniosłam wrażenie. Zastanawiałam się nawet, czy nie całował mnie przez sen. Może jest lunatykiem. Jeśli tak, to w czasie takich ataków powinien się zajmować tylko całowaniem kobiet.

- Marinę - powiedział tonem, który od razu wzbudził mój niepokój.

To „Marinę” zabrzmiało stanowczo, choć było w tym i szalone pragnienie, i jednoczesne opieranie się mu. Usłyszałam już kiedyś takie „Marinę” z ust innego mężczyzny, który zaraz potem dodał „jestem żonaty”. Krótko mówiąc, nie wróżyło to nic dobrego.

Jeff odsunął się ode mnie zaledwie na kilka centymetrów, ale już wiedziałam, że tak zostanie. Czułam, jak prostuje plecy, do których wciąż jeszcze byłam przytulona. Powoli zaczął odsuwać ode mnie ręce.

- Przepraszam - powiedziałam, odwracając się od niego i chowając twarz w dłoniach.

Szczerze pragnęłam, żebym się teraz obudziła we własnym łóżku i stwierdziła, że to był tylko sen. Podniecający i poniżający, ale tylko sen.

- Daj spokój. - Wyciągnął rękę w moją stronę, lecz teraz to ja gwałtownym ruchem odsunęłam się od niego.

- Nie zaczynajmy tego od nowa - powiedziałam, chociaż wciąż jeszcze czułam, że dlaczego by nie... - Masz rację, to nie ma sensu.

- Nie o to chodzi, Marinę... problem nie leży w braku ochoty.

Po tych słowach wstałam z łóżka. Nie wiem dlaczego, ale jego słowa obrażały mnie i dotykały do żywego. Zaczęłam poprawiać na sobie sweter, co było czynnością daremną i zamierzałam jeszcze powiedzieć coś rozsądnego, ale gdy spojrzałam na półnagiego Jeffa przecierającego oczy w szaroniebieskim półmroku, zdołałam tylko wykrztusić:

- Jestem pijana, tak? Przykro mi. - A przecież nieraz byliśmy razem pijani, mnóstwo razy i nigdy nie przyszło mi do głowy, że mogę zrobić coś takiego. - Pójdę już spać.

- Twoje życie naprawdę nie musi być tak pokręcone. - Usłyszałam na odchodne. A kiedy zamykałam drzwi, dotarło do mnie jeszcze głośne:

- *Fuck!*

- *Ooooo...* - odezwał się Julien.

- Możesz powstrzymać się z tym swoim oo? To nic nie wnosi.

- Phi! - parsknął.

- Jak chcesz - jeżeli przez resztę wieczoru miałam wysłuchiwać tych jego onomatopei i monosylab, to lepiej było nalać sobie do pełna. Podeszłam do barku, szerokim łukiem okrążając Juliena. Po drodze pocałowałam Claude'a-Francois w kark.

- Gniewasz się na niego? - spytał Julien.

- Na Jeffa? Coś ty? Musi być świętym, skoro wam nie powiedział. - Wypiłam trochę wina, a Julien przyglądał mi się, oceniając bez wątpienia, czy byłam z nim szczerą. - Miałabym się na niego obrazić za to, że... nie zrobił... no wiesz... nie pozwolił mi... nie pozwolił mi na... No nie wiem. Za to, że mi nie uległ czy nie chciał... Boże! Co ja gadam?! Pomóż mi wreszcie!

- Nie potrafię ci pomóc, Marinę, bo nie wiem, co się wtedy

działo w głowie Jeffa. Osobiście wydaje mi się, że po prostu rozsądnie pomyślał. Powiedział sobie, że to nie ma sensu, że może tylko zrujnować wiele spraw i - nie obraź się, słoneczko - nie potrzeba było jasnowidza, żeby się zorientować, że od pewnego czasu dziwnie się zachowujesz i że może twoje intencje nie są takie zupełnie czyste.

- Sama dobrze o tym wiem. Dlatego uważam, że zachowałam się świetnie. Mimo że... O cholera! Miałam ochotę go zabić.

- Rozumiem.

Sama nie wiedziałam, czy moja reakcja była spowodowana urażoną dumą. Raczej wynikała z tego, że nawet będąc w psychicznym dołku i mocno pijana, wiedziałam, że Jeff lepiej ode mnie zrozumiał (i wcześniej niż ja) powody, które przywiodły mnie do jego łóżka.

- Nie powinnaś się tym przejmować - stwierdził Julien.

- Łatwo powiedzieć.

- Naprawdę. Nie musisz się przejmować. Nie wiem, dlaczego ty i Laurent *zawsze* zaczynacie się martwić, dopiero kiedy wykazujecie jakieś naprawdę ludzkie odruchy. Słabość jest ludzka. W końcu zaczniesz się martwić tym, że jesteś człowiekiem.

Miałam ochotę powiedzieć mu, że ten tok rozumowania pozwalał usprawiedliwić każde świństwo na całym świecie. Wszystko przecież było takie ludzkie i powinniśmy być z tego dumni. Otwierało to drogę do wszystkich głupot i mnóstwa niebezpieczeństw. Przychylając się do teorii Juliana, można byłoby pozwolić sobie na wszystko, zwalając winę na ludzką naturę. Wyobraziłam sobie samego Hitlera w jego bunkrze, jak wzrusza lekceważąco ramionami i mówi z rozbrajającą szczerością. „Cóż mam powiedzieć, *Meine Herren*, narozrabiałem, to prawda, ale przecież jestem tylko ułomnym człowiekiem”.

- Wiem, co sobie myślisz - ciągnął Julien - uważasz, że tak mówię, bo jestem gejem. Myślisz, że uświadomienie sobie w 1980 roku w Perce, że kocham mężczyzn, to była bułka z masłem? To wymusza całkowitą zmianę myślenia

i zachowania tylko po to, żeby przeżyć w takiej mieścinie. Musisz też stać się twardszy niż inni. Ale dzięki temu uświadomiłem sobie, że wszystko, co robię, absolutnie wszystko, jest jak najbardziej normalne, bo jestem człowiekiem. Nie ma nieludzkich zachowań. To słowo wymyślono, żeby uciec przed strachem. Jeżeli matka zabija swoje dziecko, to jest to nieludzkie? To zwykłe mydlenie oczu. To nie jest nieludzkie, bo jednak ktoś to uczynił. To potworne, ale nie nieludzkie. W najgorszym wypadku można to nazwać zaprzeczeniem człowieczeństwa, co nam pomoże oceniać takie fakty. A w zupełnie innej skali na przykład zdradzanie żony, spanie z kim popadnie, okradanie kasy w knajpie, obsmarowywanie swojej najlepszej przyjaciółki, niezadzwonienie do matki w jej urodziny, próba uwiedzenia po pijanemu współlokatora, kiedy ma się chandrę, to wszystko są, owszem, raczej złe o nas świadczące, ale przejawy naszego człowieczeństwa. Nie twierdzę, że należy się nimi szczyścić, ale przynajmniej nie powinnaś się tak samobiczować. Bo spędzanie życia na czynieniu sobie wyrzutów jest tylko próbą ucieczki, a nie naprawianiem swoich błędów.

Skończył swoją tyradę z głośnym westchnieniem ulgi i zadowolenia jak po spełnieniu jakiegoś trudnego obowiązku. Potem podniósł butelkę po kremie bananowym do oczu i zajrzał, żeby sprawdzić, czy jeszcze coś w niej zostało. Zostały jakieś resztki, które wlał sobie do szklanki i natychmiast wypił jednym haustem. Zastanawiałam się, co też takiego mogło go spotkać w życiu, co spowodowało wygłoszenie do mnie takiego przemówienia, po którym duszkiem wypił resztę bananowego drinka?

Zrozumiałam, co chciał mi powiedzieć, choć absolutnie się z nim nie zgadzałam. I byłam przytłoczona, słysząc, jak przemawiał do mnie lekko drżącym głosem. Zawsze podejrzewaliśmy, że jego życie kryje coś smutnego i szarego. Laurent i Jeff uważali, że chodzi o rodzinę Julienu, która uważała homoseksualizm za grzech śmiertelny. Ja zaś byłam przekonana, że jest coś jeszcze. Coś o wiele gorszego, z czego musiał się jakoś wykaraskać. To coś na przekór uczyniło go nie tylko tak ostentacyjnie wesołym i zawsze

pozytywnie nastawionym, ale wyeliminowało z jego życia wszystkie odcienie szarości aż do ostatniej skarpetki, zastępując wszelkimi możliwymi kolorami, które zestawiał, dobierając garderobę.

Nie patrzył na mnie zajęty grzebaniem w barku. Bałam się, że tym razem sięgnie po drambuie (likier na bazie szkockiej whisky).

- Przepraszam - powiedział z głową pochyloną nad barkiem. - Czasami mnie ponosi. To dlatego, że... - tym razem wetknął do środka całą głowę. Gdyby mógł, to chyba sam by tam wlaźł - ... że kiedy samemu miało się poważne kłopoty, to czasami denerwuje cię, jak ludzie, których kochasz, wpadają w nerwicę z powodu błahostek, które naprawdę są całkiem nieistotne.

- Co ci się stało, Julien?

Wynurzył się wreszcie z barku z pękatą butelką w dłoni.

- Peach schnaps* - oznajmił z triumfem. - Właśnie tego potrzebowałem. Robię z tego doskonałe Fuzzy Navel.

Uśmiechnął się radośnie, a jego piękne oczy zaświeciły wesoło, jakby w życiu nigdy nie poznały niczego przykrego. Wiedziałam, że dzisiaj nie odpowie na moje pytanie. A może nigdy nie poznam na nie odpowiedzi...

- Posłuchaj - wyciągając z lodówki karton soku pomarańczowego, żeby przyrządzić to cholerne Fuzzy Navel, które tym razem miałam pić razem z nim. - Chcę tylko powiedzieć, że nie ma nic złego w pożądanym męskiego ciała, kiedy ci źle. Ja też miewam ten problem.

- Tak, ale ty masz swojego kumpla.

Nagle znieruchomiał i ręka z kartonem soku zawisła mu w powietrzu.

- Co ci jest? - spytałam.

- Sok pomarańczowy! - wykrzyknął, jakby się właśnie ocknął. - Nie ma już soku! - Musiałam swoim spojrzeniem wyrazić nieme pytanie, bo dodał pośpiesznie, udając, że tylko koktajl go interesuje: - Grejpfrut! To powinno załatwić sprawę. - Potem zaczął grzebać w lodówce. - Co jeszcze chcesz wiedzieć,

* **Peach schnaps - likier brzoskwiniowy.**

Marinę? - Chyba powrócił do właściwego tematu. - Jesteśmy w środku życia. A temu towarzyszą plusy i minusy.

- Może... ale na razie mam na karku współlokatora, który musiał szukać noclegu na mieście, mam też horrendalnego kaca moralnego i gówniane Fuzzy Navel do wypicia.

- Spróbuj. Mówię ci, że to niezłe.

Rzeczywiście dawało się wypić, ale posmak tego peach schnapsa przeniósł mnie w czasy mojego pierwszego kaca i zaraz zachciało mi się rzygać, słuchać Depeche Mode i wypisywać debilne slogany o zabarwieniu anarchistycznym na plecakach. Słowem, przypomniały mi się moje szesnaste urodziny. Dlaczego nie mogliśmy się upijać winem lub piwem jak wszyscy normalni ludzie?

- Julien...

- Pij, pij. Jak skończysz, zrobię ci Blue Lagoon. Chyba macie tu gdzieś curacao?

Spojrzałam spanikowana w stronę barku. Zastanawiałam się, czy dam radę w razie czego doskoczyć przed Julienem, żeby rozbić to cholerne curacao w drobny mak.

- Nie zmienia to faktu - kontynuował jak gdyby nigdy nic - że Jeff zachował się przyzwoicie.

- O tak, był przyzwoity aż do bólu. Czy naprawdę był tym wszystkim przejęty?

Julien musiał dostrzec mój uśmiech, bo odpowiedział mi również z uśmiechem pełnym niedomówień.

- Miał bardzo zmieszaną minę. Może po prostu bał się, że coś takiego zmieni dotychczasowe wasze relacje?

- Może. - A jeśli to prawda? Ta myśl smuciła mnie do granic możliwości. Tak bardzo chciałam, żeby moje relacje z chłopakami nigdy się nie zmieniły. A przecież zdawałam sobie sprawę, że wszystko kiedyś się zmieni. Któregoś dnia musimy przecież dorosnąć.

- Zastanawiałaś się, czy on ci asem nie jest w tobie zakochany?

- Słucham?

- No, sam nie wiem. Tak mi przyszło do głowy.

- Nie! Na Boga, nie, Julien!...

- Tylko nie Jeff. Owszem szalenie chciałam się z nim

przespać, ale jeśli zaczniemy w to mieszać jeszcze miłość - tę prawdziwą - to nic nie będzie już takie jak dawniej i wszystko stanie się bardziej skomplikowane. *You could kiss simplicity goodbye**, jak mawiają Anglicy.

- OK, OK - zaśmiał się Julien. - Tak tylko palnąłem... Niczego nie insynuuję. Boże, to byłoby naprawdę groźne.

- Przede wszystkim byłoby absurdalne. To by znaczyło, że od trzech lat mieszkam z facetem, który jest we mnie zakochany *i... oh my God*, czy on wam coś mówił?

- Ani słowa. - Wciąż śmiał się ze mnie, bo musiałam wyglądać śmiesznie tak okropnie podenerwowana, bardziej niż wypadało. - Naprawdę nic nam nie mówił. Powtarzam ci to po raz czterdziesty. O ile go znam, to teraz siedzą sobie z Laurentem i oglądają ligę hokeja na lodzie. Laurent chyba ma bzika na tym punkcie. Może nawet zwierają się sobie trochę, ale nie zapominaj, Marinę, że Jeff jest najmniej stuknięty z nas wszystkich.

- No właśnie. - Mój ton oscylował między wstrzeźliwością a emocjami, co nie wróżyło niczego dobrego. - Ci, co wyglądają na najmniej stukniętych, często okazują się najbardziej zwariowani.

- Widzę, że naprawdę musisz się napić - powiedziała łagodnym tonem jak do dziecka.

Musiał doskonale sobie zdawać sprawę z mojej głupoty i miał rację co do Jeffa, on naprawdę najmniej z nas wszystkich komplikował sobie życie. Był prawie nieskazitelny, pozbawiony kompleksów, szczery i stały w uczuciach. Ja ze swoimi skokami nastrojów mogłam co najwyżej lekko go zaciekać. On zawsze wiedział, w którą stronę zmierza. Był opoką w naszym życiu, mimo że nie zawsze rozumiał, na czym polegają nasze rozterki.

- Wybacz. Masz rację. Wiem, że Jeff nie jest porąbany. *It's the Fuzzy Navel speaking* * * - mówiąc to, zdałam sobie

* *You could kiss simplicity goodbye* - można pożegnać się z prostotą - ang.

** *It's the Fuzzy Navel speaking* - to takie Fuzzy Navel gadanie - gadanie pod wpływem nadużycia koktajlu Fuzzy Navel - ang.

sprawę, że naprawdę jestem już podchmielona - pilnuj się, Julien. Jeżeli teraz się upiję, to mogę zacząć się dobierać do ciebie.

- Przecież wiesz, że o tym marzę - odrzekł z chichotem. Wtedy ktoś zadzwonił do drzwi.

Zaciekawiona podeszłam otworzyć i do środka wpadła jak huragan Flavie ubrana w musztardowy płaszcz, szare martensy i frygijski berecik, który uparcie nazywała kapeluszem, choć wszyscy dookoła mówili na to „patriotka”.

- Czołem, pchełko - przywitała się ze mną, zdejmując płaszcz. Pod spodem miała długą, niebieską sukienkę uszytą z czegoś, co przypominało sukno. Przebywając z Julienem i nią w jednym pokoju, nie musiałam się już martwić końcem świata.

- Rzuciłam Guillaume'a - oznajmiła.

- Kogo? - Nie bardzo wiedziałam, kim jest Guillaume, nie miałam więc pojęcia, czy właściwie usłyszałam dobrą wiadomość czy raczej złą. Nie miałam więc żadnego zdania na ten temat.

- No właśnie, cholera. Właśnie tak. O! Julien! - Natychmiast znalazła się przy barku, zerkając na Claude'a-Francois, który jak zwykle był przerażony widokiem tak nienaturalnie wielkiej kobiety, i opadła na krzesło z westchnieniem słyszalnym chyba aż na ulicy. - Co tam szykujesz, mój drogi - spytała Juliana.

- Blue Lagoon.

- Nie mam pojęcia, co to jest. A czy to zawiera choć trochę alkoholu?

- Prawie wyłącznie.

- No to zrób trzy takie.

Westchnęła głęboko raz jeszcze, zdjęła beret i spojrzała na mnie uważniej.

- A co ty tak ganasz w kalesonach? Stało się coś?

Julien dawał jej znaki ręką, żeby mówiła spokojniej.

- O rany! Co się stało? - spytała Flavie zamieniona nagle w uosobienie współczucia.

Musiałam więc opowiedzieć jej wszystko od początku. Starałam się przedstawić całe zajście możliwie najdelikatniej,

bo wiedziałam, że Jeff miał do niej słabość, i nie chciałam przez swoją głupotę znowu czegoś zepsuć, może czegoś, co było między nimi. Ale Julien oczywiście musiał uzupełniać moją opowieść najdrobniejszymi detalami. Flavie słuchała, śmiejąc się, i co chwila spoglądała na mnie chyba z fałszywym współczuciem.

- Biednaś ty, mała - powtarzała w kółko. - A o czym ty właściwie myślałaś? - zapytała mnie, kiedy wreszcie Julien skończył.

- Jak to, o czym myślałam? A sądzisz, że w ogóle o czymś myślałam?

- Pytam, o czym myślałaś, gdy już poszłaś do swojej sypialni.

- A o czym niby miałam myśleć?

- Powinnaś go uwieść, biedaczko. Nawet zgwałcić, gdyby zaszała taka konieczność. Ale na pewno powinnaś zakończyć noc, zdobywając tego pięknego zwierzaka.

- Uważasz, że jest pięknym zwierzakiem? - Julien z shakerem w dłoni, tak się nachylił do Flavie, że jeszcze chwila, a spadłby ze stołka.

- Jasne - stwierdziła takim tonem, jakby to była najbardziej oczywista rzecz na świecie - ten chłopak jest wspaniały.

- On uważa, że to ty jesteś wspaniała - stwierdziłam.

- To już wiem od dawna. Przecież nie jestem głupia. Widzę, jak na mnie patrzy.

Nagle zaczęłam jej zazdrościć. Nie tego, że tak na nią patrzył, ale tego, że umiała się do tego przyznać i uznawała to za jak najbardziej naturalne. Ja przy swoich trzydziestu dwóch latach wciąż miałam ochotę przeproszać, jeśli spodobałam się jakiemuś mężczyźnie.

- Może wpadniesz do nas na kolację? - spytałam. - Będzie fajnie.

- Czy ja wiem. Może. Chociaż może lepiej poczekać, aż wszystko sobie wyjaśnicie?

Julien z zapałem kiwał głową, żeby się zgodziła.

- Może rzeczywiście trochę poczekać, tak będzie lepiej, a wyjaśnienie musi wkrótce nastąpić. Zresztą przecież na szczęście nic takiego wielkiego się nie stało.

- Jasne, że nie - przytaknęła Flavie, głaszcząc *mnie* po ramieniu. - To nigdy nie jest aż tak poważne, jak nam się wydaje.

- To nigdy nie jest też aż tak proste.

- Nie - potwierdził Jułien, stawiając przed nami gotowy koktajl. - To nigdy nie jest proste.

- *Thank God* - dodałam z uśmiechem.

Flavie podniosła swoją szklankę i wszyscy w milczeniu stuknęliśmy się, wznosząc toast za złożoność życia. Miałam nadzieję, że wszystko nadal będzie tak cudownie proste już na zawsze.

Nazajutrz o siódmej rano obudził mnie głośny telefon. Drgnęłam rozbudzona i dobre piętnaście sekund zastanawiałam się, gdzie, a nawet kim jestem. Potem przypomniałam sobie Blue Lagoon. Moja głowa chyba czekała tylko na pierwsze oznaki świadomości, żeby zacząć boleć jak diabli. Podniosłam słuchawkę, żeby wreszcie przerwać ten uporczywy dźwięk. Usłyszałam melodyjny i grzeczny głos Mathiasa, kumpla Julienu.

- Ach, to ty, Mathias?

Spojrzałam na łóżko. Julien spał na brzuchu, w ubraniu, cicho pochrapując. Powoli zaczynałam sobie przypominać zdarzenia z poprzedniego wieczora. Myśli wydobywały mi się z głowy powoli, tak jak powoli uchodzą bąbelki powietrza z wody, i to bardzo mętnej. Leżeliśmy na łóżku, kończąc kolejne koktajle, które nie miały już nawet nazw, i chichotaliśmy jak kilkunastoletnie niedorostki. Zanim zasnęłam, mówiłam coś do Julienu o tym, że może ze mną spać, ale on i tak już chrapał, jeśli dobrze pamiętam.

- Wybacz, jeśli cię obudziłem - powiedział Mathias - chciałem tylko... Czy jest u ciebie jeszcze Julien?

Czułam w jego głosie zażenowanie, że ośmielił się do mnie dzwonić. I coś w rodzaju wstydu, że musi mnie pytać o Julienu. Było oczywiste, że wolałby nie wydzwaniać z samego rana po przyjaciółkach swojego chłopaka, ale musiał to zrobić, bo nie mógł wytrzymać.

- Jasne, że tu jest. Julien! - Zaczęłam go mocno tarmosić za ramię, ale budzenie Julienu było nie lada wyzwaniem.

Przysunęłam więc słuchawkę blisko twarzy Juliena, żeby Mathias mógł przynajmniej usłyszeć jego chrapanie.

- Przykro mi. Powinniśmy do ciebie zadzwonić. Gada-
liśmy trochę o życiu i w ogóle, trochę wypiliśmy i Julien
zasnął tutaj u mnie.

- Ależ to ja przepraszam, Marinę.

- Daj spokój. To nasza wina.

- Jak on się czuje?

- Myślę, że będzie miał solidnego kaca, ale poza tym jest
OK.

- No to dobrze.

- Halo, Mathias, wszystko w porządku? - Wciąż jeszcze
otaczały mnie wczorajsze opary alkoholu i nie bardzo
byłam przytomna, by rzeczowo rozmawiać. Chciałam mu
wszystko wyjaśnić. Upewnić go, że wszystko w porządku,
że piliśmy koktajle bananowe i jeszcze coś, czego nawet
nie umiem nazwać, ale te wszystkie słowa gdzieś mi umy-
kały.

- W porządku - odparł. - Jak najbardziej. Tylko przykro
mi, że cię obudziłem.

- Przestań wreszcie się sumitować. Nie musi ci być przy-
kro, jasne?

Chciałam dodać, że to Julienowi powinno być przykro,
ale doszłam do wniosku, że Mathias nie musi mieć ochoty
na rozmowę ze mną o sprawach jego i Juliena. Lubiłam
Mathiasa. Miał duże, ciemne oczy, był delikatny i miły,
co inni faceci często uznawali za zniewieściałość. Rozma-
wialiśmy jeszcze przez kilka chwil. Mathias zaproponował
nawet, żebyśmy urządzili sobie seans zwierzeń, ale raczej
na kozetce niż przy barku.

- Jeszcze raz dziękuję ci, Marinę, że go pilnowałaś - po-
wiedział na pożegnanie.

Runęłam z powrotem na poduszkę i spojrzałam na Juliena,
który dalej chrapał w najlepsze ze swoim nieujawnionym
wielkim sekretem.

- Pieprzony głupek - oznajmiłam na głos. Pomyślałam,
że gdybym to ja miała takiego faceta jak Mathias, pilnowa-
łabym go jak żrenicy oka.

Potem jeszcze zasnęłam na trochę, ale znowu obudził mnie ten przeklęty telefon. Tym razem elektroniczny wyświetlacz uprzedził mnie litościwie, że po drugiej stronie znajduje się moja mamusia. Nie odbierałam. Próbowałam zgadnąć, ile minut upłynie, zanim znowu do mnie zadzwoni. Po niecałych trzydziestu sekundach odezwała się moja komórka leżąca w salonie. Po kolejnych piętnastu ponownie rozdzwonił się telefon stacjonarny „na wypadek, gdybyś nie słyszała dzwonka za pierwszym razem”. Zawsze tak robiła. Po dziesięciu minutach historia zaczęła się powtarzać. Tym razem zdecydowałam się odsłuchać nagraną wiadomość.

- Marinę. Tu twoja matka, Monia. - Zawsze miałam ochotę odpowiedzieć jej: Aha. To chodzi o tę matkę. - Jeżeli przypadkiem będziesz rozmawiała ze swoim bratem, to czy mogłabyś go poprosić, żeby do nas zatelefnował? Już długo nie dawał znaku życia. Nie chcemy, żeby się wykosztowywał na rozmowę międzynarodową, więc niech zadzwoni sygnałnie dwa razy i potem może się rozłączyć. Wtedy my oddzwonimy. Bo rzeczywiście jeżeli to on będzie telefonował z tej Francji, to na pewno się zrujnuje. I tak ledwo przędzie. Przypomnij mu nasz numer: 450-555-8321... i jeszcze jedno, Marinę... - Jestem przekonana, że nawet nie przemknęło jej przez głowę, że mogła sama zadzwonić do Frederica. Trudno to zrozumieć, ale moja mama nie jest w stanie stosować prostych posunięć w rozwiązywaniu codziennych problemów. Z podziwu godną konsekwencją komplikowała wszystko, co tylko się dało.

Reszta jej wiadomości dotyczyła jakiejś niekończącej się historii o pewnej klientce, która pomyliła książeczkę czekowe w banku, przez co mama straciła pół godziny!!! Obawiałam się, że mnie również będzie przypominała numer telefonu do rodziców - który się nie zmienił od trzydziestu pięciu lat - jakby wątpiła, czy znam go na pamięć. Zajęta wsłuchiwaniami się w tyradę mamusi, dostrzegłam Jeffa. Nie zauważyłam nawet, jak wchodził.

Patrzył na mnie z wyraźnie rozbawioną miną. Leżałam na plecach. Wciąż byłam ubrana we wczorajsze kalessony i podkoszulkę. Jedną rękę oparłam o plecy Julienu, drugą wło-

żyłam pod głowę. Westchnęłam głośno co najmniej dwa razy i cisnęłam telefonem o podłogę. Potem wstałam, ale zrobiłam to o wiele za szybko i natychmiast złapałam się za głowę.

- Auuu... Boże. - Wreszcie na niego spojrzałam.

- Cześć. Jestem... - Nie bardzo wiedziałam, co mam powiedzieć. Miałam mu za złe, że mnie nie uprzedził i nie dał mi czasu na przygotowanie się, a przynajmniej na łyknięcie aspiryny.

- Jak się czujesz? - zapytałam, choć czułam, że w tym momencie to pytanie jest dość głupkowate.

- Ja dobrze, ale widziałem w kuchni trupy licznych butelek... Musicie mieć niezłą kondycję... Nawet nie wiedziałem, że mieliśmy gdzieś curacao.

- Likier... fuuu. - Mgliste wspomnienie uduziwnionych koktajli podchodziło mi do gardła.

Jeszcze raz spróbowałam wstać, tym razem powoli, żeby przejść do salonu, gdzie mogłam wypić szklanek wody. Jeff poszedł do siebie.

- Posłuchaj! - powiedziałam, leżąc na kanapie w salonie.

- Marinę! - Stał w drzwiach swojego pokoju. - Wszystko w porządku. Naprawdę OK.

- Nie, nie jest OK.

Usiadłam i ukryłam twarz w dłoniach. Trochę chciało mi się płakać. Może dlatego, że miałam zdrętwiały język z przepicia, a może dlatego, że po raz setny w ciągu dwóch tygodni poczułam się potwornie głupia i beznadziejna. Stałam się jak te wszystkie dziewczyny, których nienawidziłam.

- Marinę! - powtórzył ze śmiechem.

Usłyszałam, jak zbliża się do mnie, i poczułam, że mnie przytula. Moja twarz z trudem sięgała do jego piersi. Miałam wrażenie, że jestem liliputką i gdybym mogła, to schowałabym się w kieszeni jego koszuli. Chciałam być maleńka i niewidoczna jak pisklą w inkubatorze lub kociak na brzuszku swojej mamy. Gdzieś na świecie musiały istnieć szczęśliwe robaczki pochowane w swoich kokonach albo ukryte przed całym światem między gęstymi liśćmi drzew.

- Marinę! - Wciąż się śmiał. - Jest naprawdę OK. Cholera, przecież nie popełniliśmy żadnej zbrodni. No dobra. Było trochę macania. Myślisz, że w historii mieszanych współlokatorów jesteśmy pierwsi, którzy się dopuścili takiego przestępstwa?

- No nie, ale dlaczego wyszedłeś?

- Bo wiedziałem, że zaczniesz to przeżywać. Poza tym Laurent był naprawdę szczęśliwy, że ktoś wreszcie chce skorzystać z jego pokoju gościnnego.

-Aha.

- Popatrz na mnie. - Wziął mnie pod brodę i uniósł twarz do góry. - Ciągłe przejmujesz się sprawami, którymi nie warto się przejmować. Wiem, że miałaś raczej ciężkie dwa tygodnie. Ta historia z Christophe'em. Ten twój doktorerek uważa pewnie, że urwałaś się z wariatkowa. Ale to, co się wydarzyło między nami, na pewno nie jest powodem do zmartwień. Jasne?

- Jestem śmieszna?

- Odrobinę. Ale teraz muszę już lecieć. O dwunastej muszę być w Quebecu.

- Po co?

- Mówiłem ci, mam wywiad z premierem.

- Aha. - Czasami z trudem nadażałam za meandrami kariery Jeffa. Niekiedy robił wywiady z gwiazdami pop albo reportaże o szkołach wokół zatoki Ungava, a dzisiaj miał wywiad z premierem.

- Muszę już gnać - powiedział i pocałował mnie szybko w czubek nosa, jakbym miała nie więcej niż dziesięć lat.

- Na pewno uważasz, że nic się nie stało?

- Na pewno. A przede wszystkim nie chcę, żebyś się znowu zamartwiała.

- W porządku.

Posłał mi jeszcze na koniec ten swój szeroki uśmiech i wyszedł równie szybko, jak się pojawił. Kontemplowałam w zamyśleniu barek zawalony pustymi butelkami i brudnymi szklankami, kiedy usłyszałam za plecami Juliana.

- Akurat - powiedział, opierając się głową o framugę drzwi. - Nie wierzę w ani jedno jego słowo.

- Czyje?
- Jeffa. Nie wierzę mu.
- Dlaczego?

- Nieważne - głośno wypuścił z siebie powietrze - zresztą, co ja tam wiem... - Potarł palcami twarz. Na jego niebieskiej koszuli widniały plamy, które paradoksalnie czyniły go bardziej normalnym. Zawsze musiał być ubrany bez zarzutu, jak przystało na mistrza dobrego smaku i wyrafinowania.

- Ten pierwszy telefon był od Mathiasa?

- Owszem, martwił się o ciebie...

- Wiem.. Niech to diabli...

Miałam wrażenie, że zbroja mojego nieskazitelnego króla elegancji zaczyna nieco pękać. Wydał z siebie coś na kształt szlochu albo głębokiego westchnienia. Taki dźwięk wydajemy, gdy bardzo litujemy się nad sobą. Kiedy zobaczył, że do niego idę, zrobił ręką gest, jakby chciał mnie zatrzymać. Zakrył twarz ramieniem i stał tak w milczeniu. Po chwili zauważyłam, że drgają mu lekko plecy i zrozumiałam, że płacze. Mój Boże, pomyślałam, ale z nas twardziele od siedmiu boleści. Miałam nieodparte wrażenie, że widok przygnębionego Juliana wywołuje u mnie jeszcze bardziej odczuwalną świadomość moich własnych porażek, a jego słabość zwielokrotnia moją. Bo jeżeli on, tak znakomicie podtrzymujący mnie na duchu, załamie się nagle, to ja wtedy z całą pewnością utonę w morzu własnych zmartwień i głupot.

- Julien - odezwałam się cicho - powiedz, co się stało?

- Czułam, że mój głos przypomina głos dziecka. Dziecka bezradnego i przerażonego, które właśnie zobaczyło po raz pierwszy, że jego matka płacze.

- Mathias odszedł - oznajmił wreszcie stłumionym głosem.

- Cooo?!

- Odszedł. Zniknął - Julien podniósł głowę. Miał żałosną i smutną twarz, choć przez moment zdawało mi się, że się uśmiechnął. - Wiesz, że przez trzy ostatnie lata byłem na zmianę to wyznawcą celibatu, to zwolennikiem spania z kim popadnie. - Podbródek drżał mu lekko. Znowu usiłowałam podejść bliżej. - Nie - powiedział - nie teraz.

- Dobrze.

Usiadł z nisko opuszczoną głową na krześle przy barku.

- Wiem, że zawsze dużo gadam, ale... teraz... - Usiadłam obok niego, starając się nie być za blisko - nie potrafię żyć bez niego - dodał i spojrzał mi w twarz.

Rozumiałam doskonale, co chciał powiedzieć. Rozumiałam przede wszystkim, jak głęboki był jego ból i to, że chyba musiał go w sobie nosić już od dłuższego czasu, nie chcąc albo nie mogąc podzielić się nim z kimkolwiek. Zawsze mnie pocieszał, wysłuchiwał cierpliwie wszystkich naszych kłopotów i tak zabawnie udawał, że zaleca się do Andrew.

- Zostało jeszcze trochę tego ogórka? - zapytał, spoglądając na mnie smutnymi oczami. Uśmiechnęłam się współczująco, bo co innego mogłam zrobić?

Dłuższą chwilę siedzieliśmy nic nie mówiąc. Wreszcie delikatnie dotknęłam ręką jego dłoni.

- Chcesz mi opowiedzieć?

Kiwnął potakująco głową, ale nie odezwał się ani słowem. I dalej siedzieliśmy w milczeniu. Ja w kalesonach i podkoszulce. On w poplamionej koszuli.

Do: Freda

Od: Marinę Vandale

Temat: Samoumartwianie

No więc muszę się przyznać, że w tym tygodniu pobiłam wszystkie rekordy narcyzmu i niewdzięczności. Czy możesz uwierzyć, że ten biedny Julien od tylu dni chodzi ze złamanym sercem, a ja przez cały czas zanudzałam go swoimi debilnymi niepokojami?

Do: Marinę

Od: Freda Vandale

Temat: re: Samoumartwianie

Pozwól, że ja też cię zmartwię. Ostatnim razem zostawiłaś mnie w środku bardzo obiecującej historyjki. Czy dasz wiarę, że dopiero Jeff musiał mi opowiedzieć resztę?

Do: Freda

Od: Marinę Vandale

Temat: Akt skruchy

Masz rację. Moja wina. Zrozum, że byłam za bardzo przejęta problemami Juliena. Wiesz, że on rzadko kiedy rozmawia o swoich sprawach. Ale jak się już przełamie, to daję ci słowo, wypływa z niego całe morze zwierzeń.

Do: Marinę

Od: Freda Vandale

Temat: Klaun jest smutny

A co dolega naszemu wielobarwnemu przyjacielowi?

Do: Freda
Od: Marinę Vandale
Temat: Klaun jest samotny
Mathias odszedł.

Do: Marinę
Od: Freda Vandale
Temat: re: Klaun jest samotny
Cóż. Chyba nie zemdleję ze zdziwienia.

Do: Freda
Od: Marinę Vandale
Temat: Festiwal „tak, ale”
Wszyscy to powtarzają od dwóch dni. On już też się nie dziwi. Ale w ten sposób nie leczy się dzieci, wiesz przecież. Trzeba pogłaskać po głowie, wysłuchać, przygotować koktajl - jestem jak Florence Nightingale od kłopotów miłosnych.

Do: Marinę
Od: Freda Vandale
Temat: Paryż chce wiedzieć
Co się właściwie stało? Mathias po prostu się znudził czy była jakaś kropla, która przepełniła czarę?

Do: Freda
Od: Marinę Vandale
Temat: Monumentalna kropelka
To mogę ci opowiedzieć przez telefon, bo ta kropla nie zmieści się w zwykłym mejlu. Kiedy twój przyjaciel płacze, to nie wolno się śmiać. Uprzedzam jednak, że w trakcie tej opowieści może ci przyjść na myśl słowo „pocieszny”. A teraz, może będziesz łaskaw powiedzieć, czego się dowiedziałeś od Jeffa. Bo od kilku dni obserwuję u niego gejer dobrego humoru i bezmiar beztroski. Nawet zaprasza co wieczór Marie-Lune. Zanim Julien się całkiem rozkleił, zdążył mi jeszcze przekazać, że on za grosz nie wierzy w ten dobry humor Jeffa.

Do: Marinę

Od: Freda Vandale

Temat: Zaufanie, zaufanie

Opowiedział mi wszystko. I tyle. Może faktycznie trochę przesadza z tą demonstracją samozadowolenia, ale ty z kolei mogłabyś się postarać i zachować więcej dystansu, zamiast węszyć wszędzie podstęp. Zgoda, zapraszanie Marie-Lune każdego wieczoru może świadczyć o tym, że coś go gnębi. I to może być jakiś weale niebanalny problem, który ty musisz koniecznie dodatkowo komplikować.

Do: Freda

Od: Marinę Vandale

Temat: Napad mądrości

Po to wyjechałeś do Paryża? Żeby stamtąd pisać mi takie dyrdymały? Jak to jest, że u mnie nic nie jest tak proste jak u ciebie. Jak to robisz? Naucz mnie tego.

Do: Marinę

Od: Freda Vandale

Temat: Z paryskiej perspektywy

Zgoda co do dyrdymałów, ale co do mojego pisania w ogólności, to bardzo proszę o więcej dyskrecji, zwłaszcza odnośnie do mojej książki. Do dziś mam już trzy akapity. Oczywiście niczego nie powiesz mamie, bo ona myśli, że pod koniec miesiąca dostanę Nagrodę Goncourtów. A więc dziękuję.

Do: Freda

Od: Marinę Vandale

Temat: Mama

Mama usilnie cię poszukuje. Nie zdziwię się, jeżeli wyśle twoim tropem kogoś z Interpolu. Bardzo pragnie, żebyś do niej zadzwonił z wykorzystaniem kodu, którego nie rozumiem. Po dwóch sygnałach masz się rozłączyć, a wtedy ona oddzwoni. Nieważne. Zadzwon.

Do: Marinę
Od: Freda Vandale
Temat: re: mama

Mama nigdy nie chciała, żebym dzwonił, a jeszcze mniej pragnie sama do mnie dzwonić. Boi się rozmów międzynarodowych. Przecież wiesz, że cały czas wysyła do mnie listy tradycyjną pocztą. Czy coś się stało?

Do: Freda
Od: Marinę Vandale
Temat: re: re: Mama

Chce po prostu z tobą porozmawiać.

Do: Marinę
Od: Freda Vandale
Temat: re: re: re: Mama

Nie myślisz chyba znów porzucić pisania do mnie w połowie historii? Marinę, co tam się u was dzieje?

Do: Freda
Od: Marinę Vandale
Temat: Tata

Tylko bez paniki. Zadzwoń. Odczekaj dwa sygnały. Rozłącz się i znów poczekaj. I nie panikuj. I nie mów mamie, że cokolwiek ci powiedziałam.

Rozdział 5

- Dobrze rozumiem, że cierpi, jest nieszczęśliwy i w ogóle - powiedział Laurent - ale i tak zachowuje się cholernie dziwnie - dodał, stawiając na stole niebieską tackę z miseczkami pełnymi oliwek, solonych orzeszków, z cienko pokrojonymi plasterkami *Rosette de Lyon* * oraz osobny pojemnik na bułki margeritki. Wszystko to pochodziło ze sklepu za rogiem. Laurent nie potrafiłby ugotować bez wywołania pożaru ani pokroić bez skaleczenia się w palec. Tym bardziej doceniłam jego wysiłki. Przyciemnił nawet światło i nastawił cicho muzykę w tle, żeby zrobić nastrój.

Przez pięć lat żyłam w tym świecie, który dziś już nie nosił nawet śladu mojej obecności. Fotografie na ścianach były inne, inne meble, a nawet zastawa. Ale we mnie ciągle mocno tkwiła pamięć tego miejsca, w którym byłam i szczęśliwa, i smutna. Tu nawet nudząc się, potrafiłam być zadowolona. Chyba działo się ze mną coś dziwnego, skoro zaczynałam snuć sentymentalne wspomnienia o miejscach i ludziach. Laurent cierpliwie, ale i z ledwo zauważalnym znudzeniem na twarzy wysłuchiwał moich wynurzeń, że pamiętamy o różnych miejscach dłużej niż one o nas.

- Doszłam do wniosku, że to nie fair - zakończyłam i roześmiałam się na głos, ale natychmiast się zreflektowałam.

- Nie powinnam się śmiać, kiedy biedny Julien... Zawsze nas wysłuchiwał, a gdy wreszcie się zdecydował zwierzyć nam ze swoich poważnych problemów, to my jesteśmy w najlepszych humorach.

* *Rosette de Lyon* - rodzaj kiełbasy z wieprzowiny.

- Nie w najlepszych!
- Ależ tak - Jeff prawie spadł z krzesła ze śmiechu.
- Chyba rzeczywiście. - Laurent też wybuchnął śmiechem.

Julien nadał nowe znaczenie powiedzeniu „Złapać kogoś z gaciami na kostkach”. Odkąd poznaliśmy tę historię, mój szacunek dla Mathiasa ogromnie wzrósł. Mathias nie był naiwny i od dawna zdawał sobie sprawę, że Julien raczej luźno podchodził do ich związku. Mieli ze sobą niepisana umowę i Mathias wiedział w głębi duszy, że Julien go wprawdzie kocha, ale tej miłości nie zawsze towarzyszy wierność ciała; i usiłował się z tym jakoś pogodzić. Często powtarzał, że w ich związku to on jest kobietą. A na swoje nieszczęście, gej czy nie gej, był zatwardziałym monogamistą.

Następnego dnia po naszym bananowym wieczorze Julien powiedział mi, że kilka razy poważnie rozmawiali. Wiedział, że te jego jednodniowe przygody bardzo boją Mathiasa, który często niby żartobliwie dawał mu to wyraźnie do zrozumienia. Żal narastał i narastał, aż wreszcie nadeszła chwila, że musiał oznajmić Julienowi, iż dłużej tego nie znieśie. Julien długo się zastanawiał i wreszcie zrozumiał, że mimo swojego pozowania na *macho* i ciągot do tak zwanych szybkich numerków za bardzo kocha Mathiasa, żeby go stracić. Obiecywał, że się zmieni.

Po kilku miesiącach Julien znowu zaczął podejrzanie znikać i Mathias złapał go na kilku kłamstwach. Mimo wewnętrznego oporu zdecydował się zajrzeć do komputera Julienu. Na portalu, na którym sami zawarli znajomość kilka lat wcześniej, odkrył nową tożsamość Julienu - Hotjules. Hotjules prowadził ożywioną korespondencję z różnymi facetami (Julien twierdził, że tylko po prostu sobie flirtował, ale znając go, można było podejrzewać, że ta korespondencja mocno przekraczała granice takiego sobie po prostu flirtowania). Mathias przybrał imię Badboy69 i zaczął mejlować do Hotjulesa.

- Pytał mnie, co lubię - opowiadał Julien. - Opowiadał, co go podnieca, opisywał siebie - przecież znał mnie tak

dobrze, że co mam ci mówić. Zwrócił moją uwagę - zaśmiał się smutno - nawet zapytał mnie, czy mam jakiegoś kolegę i czy go kocham.

- I co mu odpisałeś?

- Nie umiałem powiedzieć, że nie kocham. Napisałem, że nie chcę rozmawiać o miłości.

A ja uważałam, że moje życie erotyczne jest wyjątkowo skomplikowane, pomyślałam.

Hotjules i Badboy69 wyznaczyli sobie w końcu spotkanie w dalekiej dzielnicy, gdzie Julien miał pewność, że nikt go nie rozpozna. Czekał na Badboya69 w swoim samochodzie, z bijącym sercem („Mhm... raczej chodzi ci o pałacę jaja” - brutalnie zażartował Jeff i nawet Julien się roześmiał). O umówionej godzinie drzwi samochodu się otworzyły i do środka wszedł Mathias.

- To naprawdę nie jest śmieszne - powiedziałam do Laurenta - cała ta historia przypomina film, w który i tak się nie wierzy.

Kiedy Julien doszedł do sedna opowieści, Jeff zaczął bić brawo.

- Cóż, Julien jest moim najlepszym kumplem, ale nie wiem, czy nie pogratulowałbym Mathiasowi, gdybym go spotkał na ulicy.

Ja mu pogratuluję. Lubię szalenie Julienna i wiem, że nie ma co mu tego powtarzać po raz setny, ale tak naprawdę zasłużył na to.

- Myślisz, że wrócą do siebie?

- Nie wiem. Chyba jeszcze za wcześnie na tego typu pytania. Jasne, że się kochają... ale gdybym był Mathiasem, to jeszcze długo byłbym obrażony.

Biedaczek. Dzwonił nawet do nas któregoś dnia. Martwił się. Westchnęłam i łyknęłam trochę wina. - Mówię ci, Loulou, wciąż pamiętam, jak tamtego wieczora leczyliśmy kaca z Julienem i w jakim on był stanie. Jak to się mogło stać? Dwóch inteligentnych przecież ludzi, a jednak udało im się koncertowo spieprzyć swój związek.

Laurent uśmiechnął się do mnie i podniósł wysoko brwi. My również spieprzyliśmy nasz związek.

- Marinę... widzisz teraz, jakie masz szczęście? - powiedział chyba trochę po to, żebym wreszcie zamilkła. - Narzekasz, że nie masz nikogo, że wszystko zepsułaś, ale zaznajesz odrobiny szczęścia.

Powtarzał to coraz częściej. Uświadomiłam sobie, że Laurent chyba nigdy nie był naprawdę nieszczęśliwy. Nie umiał też nigdy być naprawdę szczęśliwy. Zanim docenił coś dobrego, najpierw zawsze szukał dziury w całym.

- Nie powinnaś się skarżyć - powtórzył.

To była prawda. Od jakiegoś czasu ciągle narzekałam. Pomstowałam na swój los, na życie w celibacie, a po pijaku użalałam się nad sobą. Następnego dnia chłopcy przy wspólnym drinku z lubością i radośnie przytaczali co lepsze moje teksty.

- Ty też narzekasz - odparłam.

- Ale nie więcej niż zazwyczaj - odpowiedział, wruszając ramionami i zagryzając kiełbaskę. Przynajmniej był tego świadom. Narzekał na swoje relacje z Carole i coś mi mówiło, że narzekał tak samo na swoje życie ze mną. Tylko do innych osób.

- Myślisz, że szukamy wymówek?

- Co?

Szukanie wymówek - to było powiedzenie Freda, kiedy ktoś narzekał na nic nieznaczące drobiazgi, które rzekomo nie pozwalały odważnie stawiać czoła prawdziwym problemom.

- Mój jedyny problem polega na tym, że nie umiem być szczęśliwy w żadnym związku, a nie potrafię żyć samotnie.

To był zdecydowanie dzień trzeźwości Laurenta.

- To bardzo zawile.

Laurent wypił łyk wina i prychnął, co miało znaczyć: I kto to mówi? Zaczęłam się zastanawiać, dlaczego do niego przyszłam. Najwyraźniej żadne z nas nie miało ochoty na zwierzenia. Mimo to dobrze mi było w tym salonie, który już zupełnie o mnie zapomniał. Inni, by o wszystkim zapomnieć, wracają do matki. Ja wracam do Laurenta.

- Dzisiaj jesteś absolutnie szczery przynajmniej wobec samego siebie.

- Jestem pewien, że każdy potrafi być szczery wobec

siebie, tylko nie zawsze zdradza się z tym na zewnątrz. Wiesz, na czym polega twój problem?

Zastanowiłam się przez chwilę. Miał rację. Zawsze miałam takie wrażenie, że inni ludzie (nie wyłączając mnie) o wiele lepiej wiedzą, co naprawdę im dolega, ale nie zawsze chcą przyjąć to do wiadomości. Pewnie dlatego, że ucieczka w pewien rodzaj nieświadomości jest łatwiejsza i mniej bolesna (przynajmniej na krótką metę) niż odważne spojrzenie prawdzie w oczy.

- Myślę... - to co chciałam o sobie powiedzieć, wydawało mi się wyjątkowo niepochlebne, by nie rzec, że wręcz poniżające, ale wyglądało na szczerą prawdę, której nie dało się dłużej ignorować - myślę, że mój problem polega na tym, że nie mam problemu.

- Mhm...

- Sama już nie wiem. Nazwij to jak chcesz, ale ja naprawdę nie mam poważnych problemów. Mam dużo wolnego czasu, więc wymyślam sobie jakieś zmartwienia, które rozdmuchuję do horrendalnych rozmiarów. Przykre, prawda?

- Mhm...

- Za dużo tych „mhm”.

- A co niby chcesz, żebym ci powiedziała? Że to nieprawda? Masz rację, ale wszyscy tak robią. No może z wyjątkiem ludzi, którzy ledwo są w stanie przeżyć gdzieś w Darfurze czy w Sudanie...

- Darfur leży w Sudanie.

- Naprawdę?

Nikt nie wiedział, jak funkcjonuje umysł Laurenta. Naturalnie oglądał wiadomości, ale jedynymi informacjami, które pozostawały w jego głowie, były dane o pogodzie w Saskatoon*, liczba koni mechanicznych w najnowszym mercedesie i może jeszcze kolor krawata premiera.

Kiedyś już przesłuchiwał mnie na temat Indii Zachodnich, powątpiewając, czy taki rejon w ogóle istnieje. Miał bardzo zaskoczoną minę, kiedy mu powiedziałam, że nie

* Saskatoon - największe miasto kanadyjskiej prowincji Saskatchewan.

tylko w Indiach jest zachód, ale nawet w jego mieszkaniu jest zachodnia strona,

- Nieważne - kontynuował - chciałem ci tylko powiedzieć, że nie ty jedna tak się zachowujesz. Każdy wariuje, jeżeli ma za dużo czasu, i zaczyna wtedy myśleć tylko o sobie. Właśnie dlatego ludzie tak dużo pracują ...

- Ty na przykład pracujesz cztery miesiące w roku.

- Formalnie. Resztę czasu pracuję tu. - Popukał się palcem w głowę, co mnie bardzo rozśmieszyło. - Właśnie dlatego ludzie spędzają tyle czasu w pracy i dlatego tak bardzo chcą się w kimś zakochać. Żeby nie zwariować.

Ostatnie zdanie powiedział z ustami pełnymi orzeszków. Potem dołożył sobie kolejną garść, ale już nic nie mówił.

- O rany! - Musiałam się napić wina, żeby jakoś przetrwać tę niespodziewanie mądrą myśl płynącą z ust kogoś, kogo znałam na wylot. Przynajmniej tak mi się dotąd wydawało.

- Ty naprawdę w to wierzysz?

- No tak. Przecież wszyscy to robimy. A niby co teraz robi Jeff z Marie-Lune?

- Jak to, co Jeff z nią robi? Mam ci to narysować na obrazkach?

- Przecież wiesz, o co mi chodzi. Poza tym i tak nie mogę uwierzyć, że całowaliście się z jęczyczkim.

- Loulou...

Powtarzał tę samą melodię od dwóch tygodni, podkreślając przy tym, że nic do tego nie ma i że Jeff zrobił doskonale, nocując u niego tamtego dnia.

- No co? W porządku, możesz całować się z jęczyczkim z kim chcesz, ale to jednak trochę *spicial*.

Kiedy używał określenia *spicial*, należało tłumaczyć je nie jako „szczególne”, ale jako „okropne”.

- Loulou... Jeff jest z Marie-Lune. Tamta sprawa to była moja wina. Strzeliłam gafę. Przecież wszystko ci opowiedział.

Laurent nigdy mi nie powiedział, czego się dowiedział od Jeffa tamtego feralnego wieczoru. I chociaż z jednej strony podziwiałam ich męską solidarność, to z drugiej strony

miałam ochotę wyprać mu flaki, żeby tylko jakoś wydusić z niego tę tajemnicę. Wierzyłam, kiedy mnie zapewniał, że nic wielkiego się nie stało i że w tym względzie Jeff jest całkiem *cool*. Ale chciałam usłyszeć na przykład nagranie tej rozmowy albo przynajmniej przeczytać jej stenogram.

- Powtórzyłem ci wszystko, co mi powiedział. Co i tak tylko potwierdza moją teorię. To, co ty robisz, i to, co on robi, opiera się na tej samej teorii. Sama z nim pogadaj. Jestem pewien, że się zgodzi.

- Problem w tym, że ostatnio nie bardzo mamy okazję ze sobą rozmawiać. Od dwóch tygodni prawie go nie widuję, nie mówiąc już o tym, żebym mogła spokojnie z nim pogadać.

Wiedziałam, że stałam się przeczulona na punkcie małego znaczących szczegółów. Od czasu mojego kretyńskiego wyczynu, którego cały czas żałowałam, dosłownie mogłam policzyć, ile słów zamieniliśmy z Jeffem i mimo jego pozornej jowialności i niefrasobliwości niepokoiłam się coraz bardziej. Miałam wrażenie, że jest aż nazbyt jowialny i nazbyt niefrasobliwy. Może naprawdę zaczynałam wariować. Chodziłam w kółko po mieszkaniu, pytając go po dwadzieścia razy, czy wszystko jest OK. A on zawsze odpowiadał z uśmiechem, że tak. Mimo że pragnęłam, żeby między nami nic się nie zmieniło, to jednocześnie brak jakiegokolwiek zmiany w zachowaniu Jeffa wywoływał mój niepokój. Sama byłam okropnie rozkojarzona i doprowadziłam się do takiego stanu, iż wydawało mi się, że to wszyscy inni zaczęli się zachowywać nienormalnie.

No i jeszcze ta Marie-Lune. Odnosiłam wrażenie, że Jeff chce przy pomocy jej osoby zmienić dotychczasowy styl przebywania na naszym wspólnym terytorium w mieszkaniu. Kiedyś by mnie to rozśmieszyło, ale teraz doprowadzało do depresji. Teraz pragnęłam zdobyć nowe bodźce do życia i zapomnieć o wszystkim w ramionach mężczyzny, ale zachowałam na tyle zdrowego rozsądku, żeby wiedzieć, że jeszcze na to za wcześnie.

- Możesz myśleć, co chcesz - stwierdziłam w końcu - ale nie kupuję tej twojej teorii. Jest za smutna.

- Tylko tak wygląda.

- Niby dlaczego? Wytłumacz mi, jeśli łaska.

- Sam nie wiem... - Wzruszył ramionami. - Po prostu... nie uważam jej za smutną. Jest w porządku. To dzięki niej chce nam się w ogóle ruszyć dupsko.

Nie należało od niego wymagać zbyt wiele. Był skupiony głównie na sobie, podobnie zresztą jak ja na własnych horoskopach. Poklepałam go po plecach.

- Nie chciałam cię rozczarować, ale jeśli to ruszenie dupska owocuje wyciem z tęsknoty za jakąkolwiek blondyneczką, narzekaniem, że nie ma się faceta, albo szukaniem okazji, żeby stracić takiego faceta jak Mathias, czy też spaniem z Marie-Lune, to wybaczone, ale twoja teoria jest do chrzanu.

- Przynajmniej jest zabawna.

- A co w niej zabawnego? - Miałam ochotę zapytać go, czy naprawdę sądził, że cokolwiek konstruktywnego wyniknie z tego marazmu, w którym kisiła się cała nasza czwórka. Naprawdę myślał, że odrodzimy się nagle jak Feniks z popiołów, szczęśliwsi i mądrzejsi? Potem przypomniałam sobie o problemach Laurenta z Indianami Zachodnimi i postanowiłam nie męczyć go swoimi pytaniami, na które na pewno nie zna odpowiedzi.

- Jak się czuje twój tata? - spytał nagle.

- Mhm...

- Sądziłem, że to ja wyczerpałem limit „mhm” na ten wieczór.

- Dalej nic nie wiadomo. To może jeszcze potrwać wiele miesięcy, zanim coś będziemy wiedzieli na pewno.

- Robili mu jakieś badania?

- Mnóstwo, a potem zaczęli od początku, tylko w innej kolejności. Ma wizyty u psychiatrów, neurologów, specjalistów od terapii zajęciowej... biedaczek.

- Ale przecież sam się zdecydował na leczenie, to przynajmniej dobry znak.

- To prawda, ale i tak mi go żal.

Miesiąc wcześniej mój ojciec zdecydował się pójść do szpitala na badania, żeby ewentualnie wykluczyć alzheimera. Powtarzał nam, że to jego własna decyzja, ale byłam pewna,

że mama maczała w tym palce. Matka od wielu lat starannie wypominała mu wszystkie „zapominania”. Za każdym razem, kiedy byli u nich znajomi, nie omieszkała w którymś momencie oznajmić wszystkim. „Ach, ten mój Raymond zrobił się taki zapominalski”.

O całej sprawie dowiedzieliśmy się przypadkowo. Mój ojciec od czterdziestu lat dzielił życie z najbardziej zaborną kobietą w historii ludzkości. Musiał więc od samego początku nauczyć się zachowywania dla siebie swojego „tajnego ogródka” (przyznam, że jak na emerytowanego kierowcę TIR-ów sformułowanie to brzmiało ładnie, a nawet poetycko). Któregoś dnia, o ironio, zapomniał wyjąć z kieszeni spodni kawałka papieru, na którym zanotował godzinę wizyty u lekarza. Mama, która sprawdzała przed praniem wszystkie kieszenie, znalazła zapisany numer i oczywiście zadzwoniła do tego lekarza. Ten udzielił informacji o stanie zdrowia naszego taty i wtedy wpadła w histerię, która trwała dobry tydzień. Tata tymczasem zachowywał stoicki wręcz spokój. Śmiejąc się, opowiadał mi, że mama przewidziała już wszystko. Dzwoniła nawet do swojej siostry do Quebecu, zawiadamiając ją z płaczem, że nie ma nawet czasu na jakieś przygotowania i w ogóle co ona teraz zrobi jako wdowa z czwórką dzieci.

- Może u taty to po prostu miażdżycy, czyli starość - powiedział Laurent.

- Jasne, że po prostu starość. - Powtarzamy to sobie od początku i ja się tego trzymałam. Być może wykazywałam tu zbyt ni optywizm, ale wolałam już to niż skrajny defetyzm matki, która, odkąd pamiętam, uwielbiała przewidywać wszystkie nieszczęścia i za każdym razem roztaczała najgorsze wizje, zanim cokolwiek się wydarzyło. („Twoja siostra jeszcze nie wróciła. Musieli mieć wypadek. Boże! Co to będzie... mieć sparaliżowaną szesnastolatkę w domu!”). Spodziewając się zresztą najgorszego, zabroniła mi mówić cokolwiek siostrom, bo „trzeba tego oszczędzić biednym maleństwom”. Nie bardzo wiedziałam, dlaczego należało je oszczędzać bardziej niż mnie czy Freda. Zawsze jednak mogłam oszczędzić im niekończących się rozmów telefonicznych z mamą, która

nabrała zwyczaju codziennych pogaduszek telefonicznych ze mną. Gdyby moje siostry wiedziały o wszystkim, wydzwaniałaby i do nich. W ten sposób przynajmniej na kilka tygodni odsuwałam od nich tę groźbę, co już samo w sobie było pięknym gestem świadczącym o siostrzanej miłości. Na pociechę powtarzałam sobie w duchu, że nie ma potrzeby denerwować się przedwcześnie, bo pewnie badania wykażą, że z tatą wszystko w porządku, tylko po prostu się starzeje. I wszystko znowu będzie szło jak najlepiej na tym świecie najlepszym z możliwych, przynajmniej najlepszym z dostępnych nam.

- No tak - westchnął Laurent - Niezbyt udany początek roku.

- Bywało lepiej.

- W dwa tysiące piątym...

- Ach! Dwa tysiące piąty! - to był nasz rok! Fred był jeszcze wtedy z nami. Wszyscy byliśmy wolni. I chyba każdy miał owo nieodparte przeczucie, że to ostatni rok naszej niefrasobliwości (choć Julien upierał się, że wszystko to za sprawą wyjątkowego układu planet). Jakikolwiek byłby powód, żyliśmy wtedy w poczuciu absolutnej wolności i euforii potęgowanej przez drzemiącą gdzieś w głębi każdego z nas świadomość ulotności i przemijania. Prawie nigdy się nie rozstawaliśmy. Żeglowaliśmy od knajpy do knajpy, organizowaliśmy wycieczki do Nowego Jorku, Las Vegas, a nawet na festiwal w Saint-Tite*. I chyba przez cały ten rok nikt z nas nie zaprzętał sobie głowy myśleniem na poważnie o jutrze. Od tamtej pory przywoływaliśmy z nostalgią wspomnienia tego czarownego okresu.

- To był rok... - westchnął rozmarzony Laurent.

- To prawda... - Zamierzałam coś jeszcze dodać, kiedy zadzwonił telefon. Odebrał go i kilka razy zamruczał „mhm” do słuchawki.

- Musisz wyjść tylnymi drzwiami - oznajmił obcesowo.

- Carole będzie tu za dwie minuty.

*** Festiwal w Saint-Tite - coroczny festiwal kowbojski z pokazami rodeo, koncertami muzyki country, konkursami sprawnościowymi kowbojów.**

- Przepraszam? - myślałam, że udławię się ze śmiechu.

- Wraca Carole. Jeżeli cię tu zobaczy, zrobi mi scenę - oznajmił i natychmiast zajął się wyrzucaniem do śmieci zawartości tacy, pilnując, żeby przykryć wszystko z wierzchu innymi śmieciami, zupełnie jakby kilka plasterków kiełbasy i trochę solonych orzeszków mogło doprowadzić do poważnego kryzysu w związku.

- Laurent...

Wiedziałam, że Carole nie robi mu sceny. Tak samo jak wiedziałam, że gdy wyjdę tylnymi drzwiami, będę wyglądała jak kochanka, którą nie byłam. Laurent wbił sobie w tę swoją pustą łepetynę, że Carole jest zaborczą zazdrośnicą, a to nieprawda. Inaczej straciłby pretekst do utyskiwania, zamartwiania się i zatruwania sobie życia. To była wyjątkowo absurdalna forma masochizmu. Laurent nawet nie zauważał tego, bo codziennie obawiał się jakichś potencjalnych problemów, które nie miały cienia szansy na zaistnienie, jako że tkwiły jedynie w jego głowie. Carole oczywiście nie była zachwycona faktem, że jej chłopak jest tak blisko ze swoją dawną dziewczyną, ale też nie robiła z tego dramatu. Laurent natomiast starał się nam wmówić, że ryzykuje życie za każdym razem, kiedy się ze mną spotyka. I od dawna już przestaliśmy mu zaprzeczać.

Włożyłam kozaczki, a on przyniósł mi palto. Był mocno spanikowany. Doszłam do wniosku, że tak naprawdę wszyscy jechaliśmy na tym samym wózku. Laurent mimo swoich trzeźwych przemyśleń wcale nie był lepszy ode mnie. Ja natomiast mimo zachowania resztek pewnego rodzaju rozsądku też stosowałam jakąś odmianę masochizmu, wyobrażając sobie ciągle nowe dramaty, których zaistnienie pozbawione było podstaw.

- Cześć - powiedział, przesyłając mi całusa - *sony*.

- Wiesz, że zachowujesz się komicznie? - Jakoś nie umiałam się obrazić.

- Jasne, jasne.

Przytaknęłyby, cokolwiek bym powiedziała, bylebym tylko już sobie poszła.

- Cześć, Loulou. - Złapałam go za koniuszek ucha i wyszłam na schody pożarowe przez balkon. Po drodze zastanawiałam się, jak Laurent wytłumaczy Carole świeże ślady na leżącym na balkonie śniegu. Chyba nie był zbyt szybki.

Wieczór dopiero się zaczynał i w bocznej uliczce, na którą wyprowadziły mnie te pożarowe schody, bawiły się dzieci z chasydzkiej gminy. Rozlegały się odgłosy, które Laurenta zawsze drażniły, a które ja uwielbiałam, bo nasuwały mi myśli o moim własnym dzieciństwie. Przypomniałam sobie pewną rodzinę mieszkającą na rogu tej ulicy. Było tam siedmioro dzieci, w tym trzy pary bliźniaków, wszyscy rudzi jak młode liski, przyjaźnie często do mnie machali, kiedy tamtędy przechodziłam. Zza nierównego drewnianego płotu dochodziły ich krzyki. Będąc na ulicy, zobaczyłam, jak dzieciaki obrzucają się śnieżkami i - nie wiadomo dlaczego - pustymi kartonami po mleku. Jeden z nich zauważył mnie, potem spojrzał z lekkim niepokojem w stronę domu, uśmiechnął się i pomachał mi ręką. Starszy brat kuksańcem usiłował przywołać go do porządku. Zobaczyłam jeszcze bawiącą się młodszą parę bliźniąt, pomachałam wszystkim i ruszyłam w kierunku głównej ulicy. Nie uszłam dwóch kroków, gdy nagle wyrósł przede mną jak spod ziemi ni mniej, ni więcej tylko mój piękny doktorek. Przez ostatnie tygodnie niewiele o nim myślałam. Teraz stał przede mną, uśmiechając się swobodnie i z wdziękiem. Ja oczywiście byłam daleka od swobodnego samopoczucia. Udało mi się tylko powiedzieć „Och!”.

- No, doprawdy! - powiedział wesoło, a ja zaśmiałam się trochę nienaturalnie. Natychmiast przypomniały mi się okoliczności naszego ostatniego spotkania i postanowiłam tym razem zrobić na nim lepsze wrażenie. Ten facet magicznie na mnie działał nawet teraz, stojąc na śniegu w narciarskiej kurtce i z zaczerwienionym nosem.

- Pan mieszka w tej okolicy? - spytałam.

- Dwie ulice stąd. A pani?

Byłam nawet oczarowana tym oficjalnym „pan” i „pani”, tworzącym atmosferę takiej subtelnej elegancji z innej epoki. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz zwracałam się per

„pan” do mężczyzny, który mi się podobał. Chyba to było jeszcze w dzieciennych marzeniach, kiedy wyobrażałam sobie, że jestem panią de Chevreuse i po długim rozstaniu czekam na powrót mojego ukochanego Atosa.

- Jakiś czas mieszkałam tutaj - powiedziałam. - A teraz... przyjaciel.

- Widzę, że ma pani sporo przyjaciół w tej okolicy. - Wskazał jakiegoś malca machającego jeszcze do mnie przez ogrodzenie ręką w rękawiczce. Ktoś głośno zawołał chłopca w języku jidysz i rękawiczka znikła.

- A tak, w tym zaułku prowadziłam kiedyś chasydzką ligę hokeja.

Roześmiał się tak życzliwie, że miałam poczucie, jakbym powiedziała coś mądrego i ciekawego.

Niechże coś powie, pomyślałam, bo inaczej za trzy sekundy palnę jakąś głupotę.

- Wie pani - odezwał się - spotykamy się w różnych miejscach już tak wiele razy, więc pomyślałem, że miło byłoby poznać panią bliżej. Przynajmniej następnym razem, kiedy na siebie wpadniemy, będziemy mogli powiedzieć sobie „dzień dobry” jak znajomi.

Może ze dwa lub trzy razy w życiu zdarzyło mi się mieć uczucie, że szczęście naprawdę się do mnie uśmiechnęło. Teraz, kiedy rozmawiałam z nieznanym doktorkiem, poczułam to samo.

- Może więc pójdziemy do tej kawiarni obok? - spytałam.

- Podają tam grzany rum.

- Ach, tak? Grzany rum? - powtórzyłam z najładniejszym uśmiechem, na jaki mnie było stać.

Ruszyliśmy razem, a ja w duchu błogosławiłam małych chasydów, którzy mnie zatrzymali na tyle długo, żebym mogła akurat trafić na Gabriela. Błogosławiłam też Carole, która miała dobry pomysł, żeby wcześniej wrócić do domu. Byłam tak bardzo przekonana, że to szczęście już mnie nie opuści, że kiedy zadzwoniła moja komórka, odebrałam ją bez zastanowienia.

- Halo - powiedziałam radośnie.

- To ja - zamruczał Laurent i od razu wiedziałam, że nie powinnam odbierać tego telefonu - musisz tu przyjść.

- Co? Nie ma mowy.

- Boże. Przecież nie mogłaś daleko odejść.

- Nie da rady, Laurent - spojrzałam na doktora, który siedł obok grzecznie, udając, że nic nie słyszy - teraz naprawdę nie mogę.

- Marinę, wyszłaś pięć minut temu, musisz wrócić.

- Posłuchaj, zadzwonię do ciebie niedługo, OK?

- Nie! Zostawiłaś czapkę. Carole znalazła ją w przedpokoju.

Nie spodziewałem się takiej sytuacji, więc powiedziałem, że wyszłaś na chwilę kupić białe wino. Nie możesz mi tego zrobić.

Machinalnie dotknęłam głowy, jakby ten gest mógł spowodować, że czapka w jakiś magiczny sposób trafi na moją głowę. Myślałam gorączkowo, jak wybrnąć z tej głupiej sytuacji. Szczęście mogło okazać się trochę łaskawsze i towarzyszyć mi chociaż trzy minuty dłużej.

- Laurent, wybacz, ale teraz naprawdę nie mogę.

- Słuchaj, już za późno, powiedziałem jej, że zaraz wrócisz.

- No to teraz jej powiedz, że przypomniałam sobie o ważnym spotkaniu i nie wrócę.

- Marinę!

- Laurent!

- Przecież jeszcze jesteś blisko. Będę ci dłużny, zrobię wszystko, co zechcesz, ale wyciągnij mnie z tego...

Westchnęłam. Carole nie była taka głupia, jak twierdził Laurent, i czułam, że tym razem może stać się coś poważnego. Wiedziałam, że nie potrafiłabym zostawić go w takiej sytuacji bez pomocy.

- Niech cię wszyscy diabli!

- Wrócisz? Ona właśnie się przebiera.

- Dobra. Muszę tylko gdzieś kupić to cholerne białe wino, żeby wszystko wyglądało wiarygodnie. Będę.

Wyłączyłam telefon i klnąc w duchu, spojrzałam na Gabriela. Od jakiegoś czasu staliśmy w miejscu na chodniku, a on przestał udawać, że nie słucha mojej rozmowy. Przy-

słuchiwał się jej z rozbawieniem. Zważywszy na okoliczności naszego ostatniego spotkania, nie mogłam mu mieć tego za złe.

- Wie pan... - zaczęłam układać w myślach jakiś załosny i idiotyczny wykręt. Coś związanego z moją rodziną (mniej groźne) lub z zagrożeniem czyjegoś życia (które mogła uratować jedynie butelka białego wina). Później uświadomiłam sobie dwie rzeczy. Od kilku tygodni pozwalałam się unosić na fali wydarzeń jak bezwolna kukła. Facet, który stał obok, a którego dopiero poznałam, musiał z powodu ostatnich wydarzeń mieć już jakoś wyrobione zdanie na mój temat, czego dowodził rozbawiony wyraz jego twarzy. A ponieważ jeszcze ode mnie nie uciekł, więc zasługiwał na coś lepszego niż tak mało wymyślny wykręt - ja...

- Tak?... - Wciąż się uśmiechał, ale tym razem zachęcająco, żeby mi dodać odwagi. Pomyślałam sobie, że raz kozie śmierć.

- Czy pójdzie pan ze mną do SAQ*? Mój były chłopak jest w tarapatkach i potrzebuje pomocy.

Znowu mi się wydało, że powiedziałam coś nadzwyczajnego, bo zostałam nagrodzona jego szczerym śmiechem.

- Wszystko panu wyjaśnię po drodze - dodałam.

- Z przyjemnością.

Westchnęłam głęboko z ulgą. Mężczyzna, który tak po prostu akceptuje tak absurdalną propozycję, musi naprawdę być niezwykły.

- Mam na imię Marinę - powiedziałam, kiedy ruszyliśmy dalej.

- Wiem. Ja mam na imię Gabriel.

- Wiem.

Carole otworzyła nam drzwi w różowym dresie z szarymi paskami po bokach spodni. Wciąż miała świetną figurę i nawet jej stroje domowe były dopracowane i gustowne. Lakier na paznokciach był idealnie położony i zadziwiała mnie swoją nienaganną fryzurą.

* SAQ - nazwa sieci sklepów z alkoholem w Kanadzie.

- Czołem - powiedziałam. Wciąż czułam się przy niej jak mała dziewczynka, która do jej otoczenia nie bardzo pasuje. Nie odpowiedziała od razu, wyraźnie zdziwiona, widząc mnie z mężczyzną, a nie samą, jak się spodziewała.

- Carole, przedstawiam ci mojego znajomego - i dodałam - to Gabriel, spotkaliśmy się w SAQ i zaproponowałam, żeby wpadł do was na kieliszek wina.

Laurent obiecał mi wszystko, czego zapragnę, i lepiej byłoby dla niego, żeby dotrzymał słowa. Gabriel natomiast momentalnie wczuł się w rolę. Wyjaśnił mi wcześniej, kiedy staliśmy przed rzędem butelek sauvignon z Nowej Zelandii, że zaobserwował naszą czwórkę już od roku.

- Wyglądacie na świetnie czujących się w swoim towarzystwie. Patrząc na was, uświadamiam sobie, że żyję w świecie śmiertelnej nudy. Rzadko można spotkać taką zgraną paczkę, naprawdę rzadko. Twój były chłopak to ten wielki facet, który zaczyna łysieć?

Przeszliśmy na „ty” zupełnie spontanicznie. Zapytałam go, bo byłam ciekawa, czy jest lekarzem czy doktorem, a jeśli tak, to w jakiej dziedzinie.

- W tej knajpie wszyscy wszystko wiedzą - zaśmiał się.
- Wiem, że ty robisz ilustracje. Od dawna?

Potem kazał mi zgadywać swoją specjalizację. Po odrzuceniu pediatrii, chirurgii szczękowej, doktoratu z filozofii i weterynarii w stylu Doktora Dolittle okazało się, że pracuje jako lekarz w pogotowiu ratunkowym.

- OK - mówiłam, wchodząc na schody prowadzące do mieszkania Laurenta. - Znamy się od dawna, ale ostatnio rzadko się widzimy. Spotkałam cię przypadkiem i z radości zaprosiłam do Laurenta.

- Gdzie się poznaliśmy?

- Gdzie chcesz.

Zastanawiał się przez chwilę. A ja przez sekundę walczyłam z chęcią pocałowania go - naprawdę o tym myślałam. To wszystko było zbyt nierealne, żeby nie skorzystać z okazji, a ten piękny facet, zdaje się, lubił niespodzianki. Wpatrywał się w sufit, jakby stamtąd miało nadejść natchnienie, a jego oczy nabierały nowego blasku w świetle jarzeniówek świe-

cających w korytarzu. Przecież w jego życiu musi być jakaś kobieta, pomyślałam z niepokojem. Jakaś blondynka, a może nawet pięć blondynek. Taki facet nie może przechadzać się po mieście zupełnie sam. Któraś już musiała go usidlić i jeśli jej się to udało, a nie jest kompletną idiotką, to już na pewno nie wypuści go z rąk.

- Na Maine? - zaproponował.

- Maine?

- Tak - i zaczął mi wszystko tłumaczyć, jakby to się wydarzyło naprawdę - jakieś dwa miesiące temu spotkaliśmy się tam na plaży.

- Carole często tam bywa. Na której plaży? Lepiej, żeby to było w okolicach Biddeford Pool*. Tylko to znam jako tako.

- Niech będzie Biddeford Pool. Tam się spotkaliśmy, dobrze nam się gadało i poszliśmy na piwo całą paczką. Dopiero teraz, i to jest naprawdę piękne, spotkaliśmy się przypadkiem w Montrealu. - Najwyraźniej mój piękny doktor marzył o niezwykłych przygodach od zawsze.

- Nie sądzisz, że poznanie się u wspólnych znajomych jest bardziej prawdopodobne?

- Jak chcesz. Ale wiem z doświadczenia, że ludzie szybciej uwierzą w piękną historię niż w szczerą prawdę.

- Myślisz? - Była to tak piękna historia, że sama w nią uwierzyłam. Uśmiechnął się ze zrozumieniem, ale pokiwał głową, że pozostaje przy swoim.

- No dobra, niech będzie Maine - zgodziłam się i już miałam zadzwonić, kiedy zapytał:

- Marinę?

- Tak?

- Ty zawsze tak żyjesz?

- Słucham?

- Takie sytuacje często ci się zdarzają?

No... Czy ucieknie gdzie pieprz rośnie, jeśli mu powiem, że nie zawsze, ale na tyle często, żebym nie musiała się dziwić?

*** Biddeford Pool - nadmorska miejscowość niedaleko Toronto.**

- Nie. Nie zawsze - odrzekłam, a on zrobił zadowoloną minę. Może się nudził albo szukał nie wiadomo czego. Jakiegoś urozmaicenia w monotonnej codzienności. Wszyscy szukaliśmy czegoś takiego, ale po raz pierwszy spotkałam kogoś, kto się z tym zupełnie nie krył, by nie powiedzieć, że wręcz się afiszował. Zadzwoiłam i usłyszałam za sobą jego szept.

- Biddeford Pool.

Szliśmy za różowo-szarym dresem Carole aż do salonu, gdzie Laurent ustawiał taką samą niebieską tacę z tymi samymi składnikami co poprzednio. Dostrzegł moje spojrzenie, bo wzruszył lekko ramionami. Potem zobaczył Gabriela.

- Eee..

- Pamiętasz Gabriela? Pamiętasz, spotkaliśmy się w Maine. Potem jakoś długo się nie widywaliśmy, przez pewien czas... Zresztą chyba widzieliśmy się kiedyś w naszej restauracji...

Carole stała tuż za moimi plecami, więc mogłam robić różne miny do Laurenta, który stał jak zamurowany z niebieską tacą w ręku. No dalej, durniu, pomyślałam, nie łapiesz czy co?

- Wpadliśmy na siebie w SAQ na dole - dodałam.

- Gabriel! - Laurent wreszcie zaskoczył. - O mój Boże, wybacz. - Postawił tacę na stoliku i wyciągnął dłoń na powitanie.

- Szmata czasu - stwierdził mój doktor.

- To prawda - gorliwie przytaknął Laurent - ostatnio widziałem cię chyba, jak kończyłeś studia? - najwyraźniej jeden i drugi lubili taką grę. Zaczęli na przemian konfabulować, a ich opowieści byłyby całkiem banalne, gdyby były prawdziwe. Wreszcie Gabriel zauważył, że Laurenta zanadto ponosi fantazja, więc zszedł na bezpieczniejszy grunt i zaczął go pytać, co się stało z jego starym renaultem. Potem zadał kilka grzecznościowych pytań Carole. Skorzystałam z okazji i poszłam do kuchni pod pozorem pomagania Laurentowi w otwieraniu butelek z winem, które właśnie przyniosłam.

Kuchnia była połączona z salonem, ale stojąc za lodówką, można było się trochę schować.

- OK. *What thefuck** - mruknął Laurent.

- Mówiłeś, że zrobisz dla mnie wszystko.

- To prawda... ale sprowadzasz tu faceta, którego nawet nie znasz.

- Przecież wiemy, kto to jest, prawda?

- A może to seryjny zabójca?

Spojrzałam na niego z wyrzutem.

- No dobra... - i zaczął się śmiać.

- Loulou, wszystko ci wyjaśnię na spokojnie. Możesz mi teraz zaufać?

- Jasne... uwielbiam burleski.

O, bardzo dobrze to wiedziałam. Tak samo jak to, że cała ta sytuacja bardzo mnie pociągała.

- Teraz będziesz z nim chodzić? - Jego zbędna, ale stała zazdrość sprawiła mi znowu przyjemność.

- Nie bądź śmieszny. Podaj wreszcie to wino, masz gości w salonie. - Uśmiechnęliśmy się do siebie, odnajdując dawną nić porozumienia.

Z salonu dobiegł nas głośny śmiech Carole. Gabriel sprawiał wrażenie, jakby znał ją od dawna, co normalnie uznalabym za niewybaczalne. W jego wypadku zaś uznawałam całą sytuację za uroczą. Podziwiałam nawet to, jak ochoczo wczuł się w rolę i wystąpił w zaaranżowanym przeze mnie przedstawieniu. Ubrany był w stare džinsy i brązowy sweter z wywijanym kołnierzem, który wisiał mu na ramionach. Próbowałam właśnie wyobrazić sobie jego ciało bez tej całej wełny, kiedy jego wzrok napotkał mój i od razu wiedziałam, że doskonale wiedział, o czym myślę. Nieomal zapragnęłam, żeby sobie poszedł, a ja miałabym czas na przeanalizowanie każdego jego gestu i każdej chwili, którą przeżyłam tego wieczoru. Mogłabym wreszcie zadzwonić do Julienu i zrobić to, co Jeff nazywał nadanalizą. Polegało to na maniakałnym roztrząsaniu najmniejszych, nawet nic nieznaczących szczegółów. Bo jak twierdził Julien, „nigdy nie wiadomo, co może

* *What thefuck* - tu: Co jest grane? - ang.

się kryć za mrugnięciem powieką lub gustowaniem w pinot noir". Jeżeli każdy detal coś oznaczał, to czekały mnie lata pracy przy analizowaniu tego wieczoru.

Usiadłam na kanapie obok Gabriela i gadaliśmy tak jeszcze dobrą godzinę. Laurent wydawał się wreszcie w swoim żywiole. Najpewniej dlatego, że nie musiał się już martwić, jak zareaguje Carole na moją obecność. Wreszcie był ze mną facet. Laurent starał się nawet być bardziej czuły i głaskał Carole delikatnie po plecach. Trochę nieporadnie, ale zobaczyłam po raz kolejny, że kocha ją bardziej, niż chciał się do tego przyznać. Jej uwaga, mimo że trzymała jedną dłoń na udzie Laurenta, praktycznie cała była skupiona na rozmowie z Gabrielem. Wydawało mi się, że obydwójka są jedynymi dorosłymi w tym pomieszczeniu i gdyby nam pozwolić, to pobieglibyśmy z Laurentem zbudować namiot z prześcieradeł lub poskakać na łożku w sypialni.

Rozmowa była miła, a ja zaczynałam dopiero poznawać „mojego dawnego przyjaciela”, tak samo jak Carole i Laurent. Urodził się w domu nad jeziorem Saint-Jean. Zapragnął zostać lekarzem w wieku ośmiu lat, kiedy jego kuzyn Harold spadł z drabiny i doznał otwartego złamania nogi, a on nie potrafił mu pomóc. Mieszkał w starej części Montrealu. Był już żonaty. Miał trzydzieści dziewięć lat i kochał morze.

Kiedy zadzwonił telefon i Carole poszła odebrać, oczekaliśmy, aż zniknie w drugim pokoju, a wtedy wszyscy troje mogliśmy okazać prawdziwe rozbawienie tym teatrem, który odstawiliśmy bez mrugnięcia okiem.

- Winna mi jesteś wielką przysługę - powiedział cicho Laurent.

- Ja? To ty mi jesteś winien.

- Nie masz racji.

- Przecież obiecałeś.

Gabriel zaczął się śmiać.

- Posłuchajcie - odezwał się - może lepiej już pójdę, zanim z czymś przesadzimy - zawahał się na moment i patrząc na mnie, zapytał: - Czy poszłabyś ze mną na kolację? Chyba że już coś zaplanowałaś. Twoje życie jest... wydaje się trochę skomplikowane... - Laurent zaczął się głośno

śmiać, najwyraźniej przypomniał sobie nasze niefortunne spotkanie w Lulli.

- Z przyjemnością - mówiąc to, starałam się nie wyglądać na zbyt uszczęśliwioną. Kątem oka zauważyłam nadąsaną minę Laurenta i radosny błysk w oku Gabriela. Zaczęłam się trochę bać, że moje szczęście nie może trwać zbyt długo i nagle wszystko okaże się tylko miłym snem. Życie bywało szczodre, ale żeby do tego stopnia? Już dawno przestałam wierzyć w cuda.

Gabriel zdążył się podnieść z kanapy, gdy wróciła Carole.

- Chyba nie masz zamiaru wychodzić - powiedziała.

- Noo... właściwie to tak.

- Nie ma mowy. Poczekaj, proszę, jeszcze pięć minut.

Rozmawiałam z Jeffem. Już tu jedzie. Bardzo się ucieszył, gdy mu powiedziałam, że jesteś u nas.

Masz babo placek. Teraz się zacznie, pomyślałam. Laurent gapił się na mnie ze złośliwym uśmiechem. Gabriel miał trochę niepewną minę. Może i lubił przygody, ale zaczynał rozumieć, że długo tej gry nie pociągniemy. To przedstawienie miało być adresowane tylko do Carole.

- Sama nie wiem.

- Nie ma sprawy - powiedziała Carole. - Jeff powiedział, że już ładnych parę lat nie widział Gabriela i że strasznie się cieszy, że go wreszcie zobaczy.

Ten to ma tupet, pomyślałam. Gabriel popatrzył na mnie, najwyraźniej czekając na jakąś podpowiedź. Miałam ochotę powiedzieć mu, że to, co mu się podobało w naszych porąbanych relacjach, ma mnóstwo podtekstów, nawarstwionych sekretów, których lepiej było nie wyciągać na światło dzienne; istne węzły gordyjskie, których żadną miarą nie dawało się rozplatać.

- Wiesz co, wychodzimy już - zdecydowałam, a on skinął głową na zgodę.

Ale Jeff zastał nas jeszcze w przedpokoju, kiedy wkładaliśmy palta.

Do: Marinę

Od: Frederica Vandale

Temat: Czołem, doktoru!

Dzwoniłaś do niego?

Do: Freda

Od: Marinę Vandale

Temat: Lekcja taktu

Nigdy cię nie uczono, że zadawanie pewnych pytań jest po prostu niegrzeczne? Gdyby nastąpiła jakaś łączność, a biorę pod uwagę i taką jak telepatia albo wystrzelenie świetlnych rac, to pierwszy byś się o tym dowiedział. Nie dzwoniłam, a dobrze wychowany brat nie zadaje głupich pytań.

Do: Marinę

Od: Frśderica Vandale

Temat: *Brother knows best**

Twój brat jest dobrze wychowany, a jeżeli chodzi o komplikowanie sobie życia, to jego siostra jest w tym mistrzynią. Powiesz mi wreszcie, co cię powstrzymuje przed zadzwonieniem do niego? Spędziliście razem wieczór. Miałaś „mężczyzną swojego życia” w zasięgu ręki. Teraz twoje wahanie wygląda mi na zwykły brak konsekwencji.

* *Brother knows best* - brat wie najlepiej - ang.

Do: Freda

Od: Marinę Vandale

Temat: Brat gównno wie

Wysłałam mu SMS. Tydzień temu. Od tamtej pory moja skrzynka odbiorcza jest pusta, jak nigdy dotąd. Sam sobie dopowiedz resztę.

Do: Marinę

Od: Frederica Vandale

Temat: Błąd rachunkowy

Jaja sobie robisz czy co? Człowiek cię prosi o telefon, a ty mu wysyłasz SMS? A potem jeszcze wpadasz w histerię, że nie przysłał ci kwiatów?

Do: Freda

Od: Marinę Vandale

Temat: Męska psychika

Ciekawe, co to za facet, który wciska kobiecie swój numer telefonu, kiedy ona aż się pali, żeby najpierw się z nim spotkać, a dopiero potem wziąć numer telefonu. Dorośli tak nie postępują.

Do: Marinę

Od: Fródórica Vandale

Temat: Męska logika

Może facet, który zauważył, że rzeczona kobieta ma wrodzony dar wpłatywania się w śmieszne sytuacje i który zdążył już być świadkiem kłótni jej chłopaka z jej kochankiem, a potem jeszcze był z wizytą u jej byłego, gdzie na dodatek wpadł z wizytą stukilowy niedźwiedź. Nie mam zamiaru udawać, że jestem najmądrzejszy, ale też umiem zadawać sobie różne pytania.

Do: Freda

Od: Marinę Vandale

Temat: Stukilowy niedźwiedź

To akurat nie było najgorsze. Szkoda, że nie widziałeś. To był prawdziwy festiwal niedomówień i spojrzeń pełnych

podtekstów. Gabriel kompletnie zgłupiał i nie wiedział już, na którym poziomie absurdu ma się poruszać. Tych dwóch idiotów wszystko popsuło. No i nie mam pojęcia, co takiego mógł mu nagadać Julien, kiedy odebrał telefon u mnie w domu. To na pewno nie pomogło, bo od tamtej pory Gabriel chichotał na mój widok zupełnie otwarcie. Teraz może wreszcie zrozumiesz, że jego milczenie po moim SMS-ie należy traktować jako „Dziękuję bardzo i do widzenia”.

Do: Marinę

Od: Frederica Vandale

Temat: Diagnoza

Nie przyszło ci na myśl, że może przesadzasz? Tak mi się teraz wydaje.

Do: Freda

Od: Marinę Vandale

Temat: re: Diagnoza

Czyli mam nie doszukiwać się podtekstów, jak rozumiem. Przypominam ci, że to Jeff wymyślił słowo „nadanaliza”, więc się nie wysilaj. I nie wmawiaj mi, że to nadanaliza. Jeżeli facet jest zainteresowany kobietą i nie odpowiada natychmiast na jej SMS, to jest nadto czytelne. Ja bym mu odpisała natychmiast.

Do: Marinę

Od: Frśdśrica Vandale

Temat: re: re: Diagnoza

Dobra. Sama tego chciałaś. Twój problem polega na tym, że ciągle myślisz, że inni myślą tak samo jak ty. I chcą tego samego co ty. To znakomicie ułatwia życie, ale jest fałszywe. Więc przestań mi opowiadać, co ty byś zrobiła na czyimś miejscu. Przestań nadanalizować i dzielić włos na czworo. I przede wszystkim skończ z jakimikolwiek gierkami. Doktorrek prosił cię, żebyś zadzwoniła, to zadzwoń do faceta i tyle.

Do: Freda
Od: Marinę Vandale
Temat: Stupor

Ta rada to wszystko, na co cię stać?

Do: Marinę
Od: Frederic Vandale
Temat: Krótka pamięć

Nie. Ale przypominam, że już kiedyś nie posłuchałaś mojej rady. Kiedy próbowałem cię przekonać, że dolewanie wody do butelki z wódką, którą podkradałaś rodzicom z zamrażarki, nie jest najlepszym pomysłem.

Mówię poważnie, Marinę. Jeżeli doktorek z pogotowia ci się podoba, skończ z tymi swoimi gierkami. Jesteśmy już dorośli.

Do: Freda
Od: Marinę Vandale
Temat: Kompleks hobbita

Po tamtej stronie Atlantyku jakoś tego nie widać.

Do: Marinę
Od: Frederica Vandale
Temat: Hobbit też musiał dorosnąć

Ten doktorek robi na mnie wrażenie rozsądnego faceta. Przestań się bać, Marinę. Zadzwoń do niego. Zadzwoń-
niesz?

Do: Freda
Od: Marinę Vandale
Temat: Gandalf

A ty byś zadzwonił na moim miejscu?

Do: Marinę
Od: Frederica Vandale
Temat: Gandalf przemówił

Jeżeli dobrze pamiętam, to Gandalf powiedział do Frodo: „Ali you have to decide is what to do with the time thafs been

given to you*". Więc musisz zdecydować. Ostrzegam cię tylko, że jeżeli chcesz jeszcze zobaczyć Gabriela, to musisz zadzwonić do niego. To nie jest takie trudne.

Do: Freda

Od: Marinę Vandale

Temat: Wszystko zależy od punktu siedzenia

To miłe, co piszesz, ale to nie ty ryzykujesz daremne stanie przed zamkniętymi drzwiami bez cienia drogi odwrotu. Może wystarczyłoby mu wysłać jeszcze jeden SMS - „Być może nie dotarł do ciebie mój poprzedni SMS...” - czy coś w tym guście?

Do: Freda

Od: Marinę Vandale

Temat: (brak)

Fred?

Do: Marinę

Od: Frederica Vandałę

Temat: (brak)

Nie odzywaj się do mnie, dopóki do niego nie zadzwonisz.

: -)

*** Musisz tylko zdecydować, co zrobisz z czasem, który został ci ofiarowany - ang.**

Rozdział 6

Otworzyłam drzwi lodówki i od razu rzuciła mi się w oczy wielka kartka oparta o karton soku grejpfrutowego z odręcznym napisanym rozkazem: „Zadzwoń!!!”. Trzy wykrzykniki na końcu wyglądały jak kłujące szpilki. Więc już nawet Jeff się w to wtrącał? To zaczynało być śmieszne. Nalałam sobie szklankę soku i starannie odstawiłam kartkę na miejsce. Dopiero wtedy dotarł do mnie absurd takiego działania. Potem sprawdziłam, po raz tysięczny, czy nie mam jakiegoś SMS-a i czy numer telefonu Gabriela dalej widnieje w spisie telefonów.

- Nikt ci nie ukradł numeru? - spytał Jeff, wychodząc z łazienki. Był owinięty tylko w ręcznik i widok kropelek wody lśniących na jego torsie przypomniał mi znowu naszą łózkową historię. Nie było to nieprzyjemne wspomnienie, choć może trochę... Szybko otrząsnęłam się z tych myśli.

- Nie. Wciąż tam jest - odpowiedziałam.

- Marinę - zaczął znudzonym głosem, jakiego używa się, tłumacząc rzeczy oczywiste ludziom, którzy nic nie potrafią albo nie chcą zrozumieć.

- Przestań! Wiem, co chcesz powiedzieć. Znam to na pamięć, słowo w słowo. Fred nie odpowiada na moje mejle, nawet Laurent twierdzi, że powinnam zadzwonić. A jeśli już on mnie namawia, żebym zadzwoniła do faceta, to znaczy, że jest naprawdę zmęczony moim gadaniem. Nie bój się, panuję nad tym. Wiem, że powinnam zadzwonić. Julien zadzwonił o trzeciej w nocy i nagrał na sekretarkę automatyczną jedno słowo: „zadzwoń”. Wiadomość jest cały czas na kasecie. Piękna.

Irytowali mnie wszyscy po kolei. Sama zresztą byłam poirytowana swoim uporem. Czułam się jak w dzieciństwie, kiedy mama mówiła mi, żebym przestała się dąsać na Freda za to, że mi dokuczał.

- Porozmawiaj z nim - naciskała - wiem, że nie masz na to ochoty, ale teraz dąsas się bez sensu. I robisz więcej krzywdy sobie niż komukolwiek innemu.

Miałam ochotę na nią nakrzyczeć. Po pierwsze dlatego, że miała rację. Po drugie dlatego, że chciałam, żeby uznała, że rację mam ja.

- Przecież moja matka - powtarzałam sobie - zawsze powinna być po mojej stronie. Nawet gdybym popełniła zbrodnię. A co dopiero, kiedy być może niesłusznie dąsam się na brata.

Dwadzieścia lat później wciąż pragnęłam, żeby moi przyjaciele nie byli jak chodzące głosy rozsądku i mądrości, tylko wspierali mnie, gdy doskwiera mi strach pomieszany z urażoną ambicją.

- Chyba nie chodzisz po ziemi - powiedział Jeff i podszedł do barku. Wyjął butelkę wódki i dolał mi do soku niemąłą porcję - gdybyś poczekała chociaż trzy sekundy z tą swoją tyradą, to może zdążyłbym ci powiedzieć, że może, ale powtarzam, tylko może, masz w sumie rację.

- Co? - Tym razem dał o sobie znać mój odwieczny duch przekory. Z trudem powstrzymałam się, żeby nie wrzasnąć na Jeffa. Trzeba być naprawdę wrednym przyjacielem, żeby zniechęcać dziewczynę do zadzwonienia do faceta, który może być miłością jej życia.

- No dobrze. - Znowu ten znudzony ton. Podejrzewałam nawet, że Jeff ma już gdzieś przygotowany, tak na wszelki wypadek, kaftan bezpieczeństwa. Chyba naprawdę stawałam się nie do wytrzymania. - A teraz - kontynuował jeszcze spokojniejszym głosem - chcę ci coś powiedzieć i proszę cię, żebyś się nie obrażała. - Teraz mówił jak ktoś, kto trzyma za sobą schowaną strzykawkę ze środkiem uspokajającym, choć ma nadzieję, że nie będzie musiał jej użyć. - Wysłuchasz mnie? - spytał.

- Przecież jeszcze do końca nie zgłupiałam.

Jego kiwnięcie głową i spojrzenie mówiły mi, że uważa to za wątpliwe.

- Dobra. Zaczynamy. Myślę, że może... i nie wiem już, jak mam ci powiedzieć, myślę, że... ale to tylko przypuszczenie, że może wmówiłaś sobie tę miłość życia i teraz wcale nie boisz się tego, że on rzuci słuchawką, kiedy do niego zadzwonisz, tylko boisz się, że... - podniósł palec do góry, żebym mu nie przerywała - mówiłem przecież być może. Moożee...

- Starczy już tych „być może”. Powiedz wreszcie, o co ci chodzi. Boisz się mnie czy co?

- Jestem przerażony. Naprawdę.

Starałam się uśmiechnąć i zastanowić się chwilę nad jego słowami. Jego dolewka wódki do soku była niemała i poczułam, że alkohol już zaczyna działać.

- OK, rozumiem, co chciałaś powiedzieć - Jeff westchnął z ulgą i udał, że ociera sobie pot z czoła - ale się z tym nie zgadzam.

- Nie ma sprawy. Nie musisz się zgadzać. Chciałem ci tylko powiedzieć, że taka myśl przemknęła mi przez głowę. *Atmosfera stawała się już tak dusząca, że pomyślałem sobie: a może... i podkreślałam...*

- W porządku.

- Dobra, ale przyznaj sama, że to był zabawny wieczór.

- Owszem, ale musisz przyznać, że trochę popsułeś mi szyki.

Kiedy Jeff dotarł do Laurenta, liczyłam, że Gabriel będzie umiał znaleźć wyjście z tej dziwacznej sytuacji - Sama miałam szczerzy zamiar uciec schodami pożarowymi po raz drugi. Teraz bym nie zapomniała o czapce. Gabriel lekko zmrużył oczy, jakby pytał, o co mi chodzi. Dopiero wtedy zdałam sobie sprawę, że przecież my się zupełnie nie znamy („przegapiłaś dobry moment”, stwierdził później Julien przez telefon).

- No chyba nie zamierzacie teraz wychodzić - zapytał Jeff przesadnie zmartwionym głosem. Bałam się, że zaraz wyskoczy z jeszcze bardziej przesadnymi serdecznościami.

- Gabriel! Kopę lat! - zawołał Jeff z entuzjazmem.

W oczach Laurenta zobaczyłam lekką panikę. Jeff z całą pewnością był lekko wstawiony i jeśliby przestał się kontrolować, mogło się to źle skończyć dla naszej historyjki i tak już dosyć mocno naciąganej. Uściskał najpierw Gabriela, który mimo słusznego wzrostu wydawał się nieduży w ramionach mojego współlokatora wielkoluda. Potem przywitał się ze mną, podnosząc mnie w górę jak piórko.

- Prawda, że wypiękniała od tamtego czasu, kiedy widziałeś ją ostatni raz? - zapytał.

- O, to na pewno - odparł Gabriel elegancko. Gdybym mogła, zabiłabym Jeffa wzrokiem, ale on klepnął mnie lekko w tyłek, co spowodowało, że i Laurent, i ja wybuchnęliśmy śmiechem.

- Klepnąłeś mnie wtedy w tyłek - powiedziałam poważnym głosem. - Jak mogłeś sobie na to pozwolić!?

- No przecież miałem się zachowywać normalnie.

- A od kiedy to klepanie mnie po tyłku jest twoim normalnym zachowaniem?

- No... może trochę przesadziłem - przyznał Jeff ze śmiechem.

- Jeff! Gdybyś tylko mógł, to pewnie byś jeszcze bardziej się rozzuchwiał!

- No wiesz...

- Żadnych „no wiesz”! Twoje zachowanie to był pierwszy temat, który poruszył Gabriel, kiedy wyszliśmy.

Musiałam wreszcie zakończyć to przedstawienie, które stawało się nie do zniesienia. Powiedziałam do wszystkich, że Gabriel zrobił rezerwację w restauracji na dwudziestą trzydzieści i byłoby głupio to stracić. Prztaknął natychmiast głośno i gorliwie, po czym poznałam, że on też zaczynał mieć dość. Przecież mieliśmy tylko pokazać Carole, że jej podejrzenia są bezpodstawne, a tymczasem wszystko zamieniło się w nie lada szopkę.

- O rany! - westchnął głośno, kiedy tylko znaleźliśmy się na ulicy. Spojrzał na mnie rozbawiony z tym swoim charakterystycznym uśmiechem, który od początku nie zniknął

z jego twarzy, i dodał: - Ten twój współlokator to niezły numerant...

- Wiem, wiem. Chyba był trochę wstawiony.

- Nie w tym rzecz. Miałem takie dziwne wrażenie, że przyszedł tam, żeby sprawdzić, co się dzieje z jego współlokatorką, a może chciał trochę bronić swojego terytorium.

- Terytorium...?

- Terytorium z... - Wskazał palcem na mnie.

- Co? No nie... - Próbowałam się zaśmiać, ale przypomniałam sobie niektóre szczegóły z tego spotkania. Jeff gadał do Gabriela jak najęty. Specjalnie opowiadał mi o mnie dużo, żeby tamten dowiedział się, jak dobrze Jeff mnie zna. Chyba ze trzy razy powtórzył „gdybyś tylko ją znał tak jak ja”. Nawet Laurent, który zwykle brylował w tego typu przedstawieniach dla obcych, zauważył, że Jeff chyba przesadza, i parę razy rzucił mi znad kieliszka zaniepokojone spojrzenie.

- Posłuchaj - mówił dalej Gabriel - może się mylę, ale... nie chciałbym, żeby to źle zabrzmiało, bo prawie wcale się nie znamy...

- Wiem.

Musiałam się powstrzymać, żeby nie powiedzieć: Jak to? Ja tyle czasu o tobie myślałam. Nie chciałam się zdradzić ze swoimi uczuciami. Potem przyszło mi do głowy, że skoro Gabriel przejrzał zachowanie Jeffa, to musiał także zrozumieć, że moje intencje nie były takie czyste i że gadałam o tym z przyjaciółmi. Biedak. Może odniósł wrażenie, że został wciągnięty w jakąś zasadzkę, w jakąś grę dotyczącą damsko-męskich relacji. Wciągnięty przez dziewczynę, która do tej intrygi wzięła sobie do pomocy swojego byłego chłopaka oraz zaborczego współlokatora.

-Ja...

Chciałam powiedzieć coś mądrego, ale głowę miałam pełną paplaniny Jeffa. Na dodatek martwiłam się, że spędziłam aż dwie godziny z mężczyzną swoich marzeń, którego nie pozwolono mi nawet powierzchownie poznać. I co gorsza, ten mężczyzna mógł odnieść wrażenie, że ja i moi przyjaciele jesteśmy bandą nastolatków opóźnionych w rozwoju. Mieszkał przecież w Starym Montrealu, był już raz żonaty, ratował

na co dzień ludzkie życie i dawno musiał stać się dorosłym poważnym człowiekiem. Problemy podobne do naszych, a właściwie problemy nastolatków, miał już za sobą.

- Gabrieliu. - Zupełnie nie wiedziałam, co mam powiedzieć. Ściągnęłam czapkę z głowy i ze wstydu zakryłam sobie twarz. - Tak mi przykro - mówiłam przez czapkę, co znów wywołało jego śmiech. - Nie sądzę, żeby w historii całej ludzkości udało się komuś w tak krótkim czasie zrobić gorsze wrażenie na pierwszym spotkaniu. Przepraszam.

- Przestań. Proszę! Mogę ci coś zaproponować?

Odsłoniłam twarz i spojrzałam na niego.

- Zrobimy *deal**? OK? Pójdziemy na kolację i wyjaśnisz mi kilka spraw, dobrze? Bo jakoś po tych dwóch godzinach nie mogę zrozumieć, o co właściwie tu chodzi. To jakbym czytał powieść z kluczem, nie wiedząc, gdzie ten klucz się znajduje. Przeczytać można, ale nie łapie się sensu.

- A potem dałaś mu swój klucz do mieszkania? - wrzasnął Jeff ze swojego pokoju.

- Dałam.

- Wszystkie klucze? - Wyszedł dopinając na sobie spodnie, które wreszcie postanowił włożyć.

- Wszystkie klucze.

Moje myśli biegły podobnym torem jak wtedy, kiedy go spotkałam na rogu. Doszłam do wniosku, że w podobnych sytuacjach najlepiej trzymać się prawdy, jakakolwiek by była. Opowiedziałam mu więc wszystko od początku, może trochę nieskładnie, ale za to szczerze. Przedstawiłam swoją historię z Laurentem i jego niepokoje o Carole, mówiłam o moim związku z Christophe'em i późniejszej przygodzie z Patrickiem, żeby Gabriel zrozumiał scenę w Lulli, której przecież był świadkiem. A kiedy mnie spytał, czy chodziłam z Jeffem, wyjawiałam mu, co się wydarzyło w sypialni Jeffa przed kilku tygodniami. Powiedziałam mu, że nie widziałam się z Christophe'em od tamtego feralnego wieczora i że czasami, nocą, kiedy budziły mnie jęki rozkoszy Marie-Lune,

* *Deal* - tu: zrobimy interes - ang.

zastanawiałam się, czy mimo wszystko nasze relacje z Jeffem nie uległy zmianie.

- No cóż! - stwierdził Gabriel - przynajmniej masz barwne życie i nie jesteś znudzona.

Ja zaś pomyślałam, że jakkolwiek żałosne by ono było, to jednak można znaleźć w nim coś pozytywnego. Spotykałam czasami dawne przyjaciółki, które opowiadały mi o potwornej nudzie, która zakradła się niespodziewanie do ich związków, zanim się spostrzegły. Mówiły, jak nagle uświadamiały sobie, że zbyt często przesiadują na kanapach, oglądając do późna ulubiony serial czy byle co w telewizji.

- Nie - przyznałam, patrząc w zielone oczy Gabriela. - Nie nudzę się. A ty się nudzisz?

- Jak wszyscy diabli.

- Och. - Moje „och” zabrzmiało trochę bezbarwnie. Pomyślałam sobie, że Gabriel zgodził się pójść ze mną do Laurenta nie dla moich pięknych oczu czy wyjątkowego czaru, ale po prostu dlatego, żeby zabić nudę, a ja mu w tym trochę pomogę.

„Wiesz, dziecko - mówił mi kiedyś ojciec - wszyscy ludzie tak naprawdę zawsze oczekują od innych pomocy”. Wtedy myślałam, że to subtelnie przekazana aluzja do sytuacji naszej mamy przy boku sfrustrowanego i zamkniętego w sobie męża. Teraz wiem, że chciał mi powiedzieć coś o wiele ważniejszego, coś, co zrozumiał dawno temu i chciał się tym podzielić z córkami.

Gabriel zaczął mi opowiadać o swoim życiu, którego inni mu zazdrościli, nie wiedząc, że dla niego samego jest niewytłumaczalnie przepełnione jakąś pustką. Opisał mi swoje mieszkanie, szpital, w którym pracuje, i chwile prawdziwych dramatów na pogotowiu. To nadawało jego życiu sens. Większość czasu jednak spędzał na biurokratycznym wypełnianiu formularzy, leczeniu starszeków angażujących całą służbę zdrowia, gdy zapanuje grypa, lekomanów udających dowolne choroby i wszelkie dolegliwości, byle tylko wyłudzić jakiś środek uspokajający. Leczył też zwyczajnych hipochondryków przerażonych myślą, że może rozboleć ich serce, którym przepisywał aspirynę i zalecał odpoczynek, zamiast dać porządnego kopa w tyłek.

Mówił mi także o swojej żonie lekarce, starszej o pięć lat, z którą rozstali się po siedmiu latach małżeństwa, kiedy wdarła się w ich związek nuda nie do zniesienia. Od tamtej pory przewinęło się przez jego życie wiele kobiet. Żadna nie umiała sprawić, żeby znów zaczął się śmiać. Zrozumiał, że wina leży też po jego stronie, bo bardziej interesował się ich cielesnością, a sprawy umysłu czy duszy schodziły na dalszy plan.

Był piękny w świetle złotych restauracyjnych lamp. Mówił z taką otwartością o swoich uczuciach, że miałam ochotę przerwać mu i poprosić, żeby mnie zabrał na koniec świata i do kresu życia nie wypuszczał ze swoich ramion. Żeby mogła wziąć od niego choć odrobinę tej siły i spokoju, które być może były wynikiem pogodzenia się z własnymi wadami. Jego prostolinijność i jasność umysłu niezwykle mnie zainteresowały. Ja na swojej drodze życia stale błądziłam, uciekałam od wszystkiego co trudne, a on potrafił stawić czoło takim przeciwnościom, o których nawet nie miałam zielonego pojęcia, a co gorsza nie chciałam mieć.

- Pewnie uważasz, że jestem okropnym ponurakiem? - spytał.

- Nie. A ty pewnie uważasz, że jestem kompletnie stuknięta?

- Nie mam jeszcze zdania na ten temat. - Spojrzał na mnie z zagadkowym uśmiechem, ale tak czarującym, że mogłam kompletnie zapomnieć o zimie.

Chłopcy dali mu przydomek Książę Ciemności, choć tłumaczyłam im, że nie jest ponurakiem, ma poczucie humoru i potrafi uroczo żartować w sposób inteligentny i niebanalny.

- Nie może być tak dowcipny jak my - drażnił się ze mną Laurent z wielką aprobatą Jeffa i Juliena, którzy na te słowa potakująco kiwali głowami. Chcieli, żebym wbiła sobie do głowy, że: „facet, który by cię rozśmieszył bardziej niż my, jeszcze się nie narodził”, i to jest fakt, z którym - czy chcę, czy nie chcę - muszę się pogodzić. Zaprzeczałam z całych sił, choć jak zwykle mieli trochę racji. A może nie

mieli. A może byłam bardzo przywiązana do tych trzech klaunów, za bardzo ich kochałam?

- W każdym razie - stwierdził Jeff - facet, który spędza wieczór na gadaniu o swoich sprawach, nie przedstawia się zbyt interesująco.

- W przeciwieństwie do tych nadzwyczajnych i jak cholera interesujących pańienek, które sprowadzasz do domu. One nawet nie muszą się odzywać.

- No nie! - oburzył się, ale z głośnym śmiechem dał mi kuksańca w bok - to był tani chwyt.

- Mam prawo tak cię traktować - oddałam mu kuksańca - twoje przyście do Laurenta to był dopiero tani chwyt. Mogę sobie gadać na matkę, ale ma rację, kiedy mnie przestrzega, że wasze towarzystwo odstrasza porządnych mężczyzn. I w wypadku spotkania z Gabrielem to się sprawdziło.

- Ooo! Daj spokój. Gdyby facet naprawdę się nas bał, to w życiu nie zaczęłyby z tobą rozmawiać i nie zaprosiłyby cię natychmiast na drinka. To jedno trzeba oddać temu twojemu Księciu Ciemności. Nawet takie trzy piękne okazy jak my nie były w stanie go onieśmielić.

- Świetnie powiedziane... „okazy"... Dlaczego sądzisz, że w końcu się do mnie odezwie?

- Boże! Znowu...?

- A nie sądzisz, że mogliście go jednak trochę przestraszyć? I jeszcze ten Julien! Możecie mi wreszcie powiedzieć, co on mu nagadał przez telefon?

Jeff zaczął się śmiać.

- Dobra. Jeff, pytam poważnie! Co on mu nagadał?

- Daj spokój. Był super w porządku - odparł i dalej się śmiał.

- Jeff, do cholery... - chwyciłam go za ucho. To był jedy-ny mój sposób na niego. Akurat pochylał się w przeciwną stronę, co dawało mi przewagę długości ramienia. Zanim mnie złapie, miną dobre dwie, trzy sekundy.

- Dobra, dobra. - Śmiał się i jednocześnie próbował złapać mnie za rękę. Nie było to dla niego aż tak bardzo trudne.

- No dobra - powiedział, wciąż trzymając moją rękę - jeżeli już chcesz wiedzieć wszystko... Powiedział, że już

od wielu miesięcy kłóciłaś się z nim o Gabriela. I że gdyby to on był wtedy u Laurenta, to Gabriel nie zwróciłby już uwagi na nikogo innego.

- *Oh my God...* - Wolną ręką zasłoniłam sobie twarz. Jeff ścisnął mnie za rękę coraz mocniej.

- To takie poniżające!

- Raczej śmieszne.

- OK. Już nigdy do niego nie zadzwonię. Pewnie myśli, że żyjemy jak w serialu *Degrassi**. Boże! Zabiję drania! A ja myślałam, że ma depresję. Podły dwulicowiec. Naprawdę go zabiję! Jeżeli w najbliższym czasie będziesz z nim rozmawiał, to uprzedź go, że długo nie pożyje!

Jeff chichotał mi prosto w szyję.

- Zdajesz sobie sprawę z tego, że całkowicie zrujnowaliście mi życie?

- Przestań gadać głupoty - Jeff wreszcie mnie uwolnił.

- Szczerze mówiąc, oddaliśmy ci przysługę. Facet ma przy najmniej jasność, jaka jesteś i z kim się zadajesz.

- Zbytnią jasność.

Przypomniałam sobie, jak wyszliśmy z Gabrielem z restauracji i ruszyliśmy spacerem po nieodśnieżonym chodniku. Uparł się, że zapłaci za kolację, twierdząc, że sprawi mi to przyjemność. Ja zaś uważałam, że przyjemność powinna być po mojej stronie, i to ja będę płaciła. Spieraliśmy się tak przez dłuższą chwilę, aż wreszcie stanęło na tym, że każde z nas płaci za siebie. Potem wstał i powiedział, że idzie do toalety, a kiedy wrócił, rachunek był już uregulowany.

- Oszukałeś mnie, ustaliliśmy, że płacimy razem.

Jego słowa i uśmiech sprawiały, że na ulicy w środku mroźnej zimy czułam się, jakbym była w zaciszu domowym i siedziała w wygodnym fotelu, przy gorącym rozpalonym kominku.

Na pożegnanie ucałował mnie w oba policzki i tyle. Stałam jak wryta, nie byłam zdolna zrobić żadnego ruchu i czeka-

*** *Degrassi* - kanadyjski serial dla młodzieży, poruszający problemy seksu, wykorzystywania seksualnego, kłopotów z pracą etc. z perspektywy młodzieży kanadyjskiej.**

łam na ten prawdziwy pocałunek, o którym marzyłam tak wiele razy. Ale nic z tego. Gabriel dotknął tylko lekko dłonią mojej skroni. Stałam dalej nieruchomo i niewiele myśląc, powiedziałam pierwsza:

- Chciałabym się jeszcze z tobą spotkać.

Uśmiechnął się i kiwnął głową. Ale kiedy zaproponowałam, że dam mu swój numer telefonu, usłyszałam zdanie, nad którym zastanawiam się do dziś:

- Nie. Ja ci dam swój numer. I to ty zadzwonisz do mnie.

Claude-Francois znów zajmował swoje ulubione miejsce w misie na owoce, tuż pod moim nosem.

- Wiem, co chcesz mi powiedzieć - odezwałam się do Jeffa, przytulając kota. - Może jestem zaślepiona, jak wiele kobiet, ale powtarzam ci, że boję się do niego zadzwonić jedynie dlatego, że nie będzie chciał odebrać mojego telefonu. Jeff, na Boga, od czasu Laurenta w moim życiu nie było niczego konstruktywnego albo chociaż obiecującego. Nie czarujmy się, wiedzieliśmy, że z Christophe'em to długo nie potrwa. A Gabriel... nie chciałam stawiać zakładów, ale wydaje mi się... - co mi się właściwie wydawało? Zastanowiłam się. Byłam zagubiona i jakaś część mnie lubiła z tym żyć. - Wydaje mi się, że to może jest ten naprawdę.

Jeff pokręcił głową z powątpiewaniem i też wyciągnął rękę do Claude'a-Francois.

- Dobra - powiedział, nie patrząc na mnie - skoro naprawdę tak uważasz, Marinę, to możesz na nas liczyć, jesteśmy z tobą.

- Jeff.

- Tak?

- Dlaczego przyszedłeś do Laurenta?

- Naprawdę nie chciał ci powiedzieć? - upewnił się Julien.

- Nie. Wzruszył tylko ramionami, uśmiechając się jakoś dziwnie i wyszedł, bo był już spóźniony. Wrócił dopiero wczoraj wieczorem.

- Dziwne - stwierdził Laurent.

Kelnerka przyniosła nam na tacy cztery kieliszki wina i postawiła po jednym przy każdym z nas. Spojrzała pytająco na miejsce, przy którym zwykle siedział Jeff.

- Będą państwo jak zwykle w czwórkę czy tylko w trójkę?

- W czwórkę - odparł Julien. - Proszę się nie martwić, czwarty przyjdzie.

Kelnerka uśmiechnęła się z zadowoleniem i postawiła czwarty kieliszek.

- Jak się czujesz? - spytałam Julienu.

- Dobrze.

- Pytam poważnie.

Płakał przez dwa dni po odejściu Mathiasa. Zgodził się nawet (chyba pierwszy raz w życiu), żeby trochę u niego pomieszkała.

Mieszkanie Julienu było zawsze w idealnym porządku. Nic nie zdradzało jego kryzysu duchowego. Widać było, że Julien umiał trzymać fason mimo ostatnich przeżyć. Przynajmniej dopóki nie zaczął o nich mówić. Ale opowiedział mi wszystko, a cierpienie zaczęło się wdzierać we wszystkie dziedziny jego uporządkowanego życia. Któregoś dnia o mało sama się nie rozpłakałam, kiedy rano wszedł do kuchni w czarnych spodniach i szarym swetrze.

Przełaził tak, nie zmieniając ubrania, cały dzień. Dla mnie było to jak wywieszenie białej flagi. Całymi godzinami rozmawialiśmy o Mathiasie, który pomimo wszystko dzwonił bardzo regularnie, żeby zapytać, co słychać. Jego praktyczne odzywki - w stylu: „nie zapomnij o tych czterech stekach w zamrażarce”, „pamiętaj, że masz jeszcze dwie koszule w pralni”, „telefon do gospośi zostawiłem na małej karteczce na biurku” albo „tylko się nie zaziębiaj” - jeszcze bardziej dobijały Julienu.

Julien opowiedział mi też o swojej pierwszej miłości. Rozstanie zraniło go tak głęboko, że chciał nawet umrzeć. Być może nie uświadamiał sobie, że okoliczności zakończenia związku przypominały jego obecną historię z Mathiasem, tylko że wtedy to dokładnie w stu procentach Julien przyłapał na zdradzie swojego ukochanego, który

(tak samo jak Julien Mathiasa) przekonywał, że to normalne i zdrowe.

- Zupełnie jak ja i Mathias - powiedział, gdy najwyraźniej to do niego dotarło. - Identyczna historia. Tamten też mnie przekonywał, też mi przyrzekał, ale nie mogłem już tego dłużej wytrzymać. - Zaśmiał się ponuro. - Potem znalazłem jakieś rachunki hotelowe... on twierdził, że jedzie na cały dzień do pracy do Quebecu, a tymczasem spędzał całe dnie w hotelu z jakimś dziewiętnastoletnim Tajlandczykiem. Czułem się upodlony jego ciągłymi kłamstwami. I co? Teraz zrobiłem Mathiasowi dokładnie to samo. I to facetowi, którego naprawdę pokochałem!

Delikatnie gładziłam go po plecach, ale sama nie wiedziałam, co mam mu powiedzieć. Nie chciałam wygłaszać jakichś banalnych pocieszeń w stylu: „będzie dobrze, nie przejmuj się” czy „stale uczymy się na swoich błędach”.

- Cholera! - wrzasnął nagle - mam czterdzieści lat! Dlaczego popełniam takie głupstwa? Powiedz, dlaczego sam sobie robię krzywdę? - Ostatnie pytanie zadał tak żałosnym głosem, iż poczułam, że teraz naprawdę się rozpłaczę.

Nazajutrz jednak założył nową koszulę w kolorze mocnego fioletu, który nawet współgrał ze szmaragdową zielenią spodni, a szary sweter znalazłam potem w koszu na śmieci. Od tamtej pory nie wracał już do tego tematu i odmawiał wszelkich rozmów o swoich przejściach. Na każde pytanie typu „no i jak tam?” niezmiennie odpowiadał, że już mu lepiej i wszystko jest w jak najlepszym porządku. Wahałam się, czy nie zadzwonić jednak po Mathiasa, bo wydawało mi się, że obecny stan Juliena jest bardzo nienaturalny i może groźniejszy niż bardzo naturalne łzy wylewane na szary sweter.

- Pytam poważnie, Julien, jak się czujesz?

- Właśnie - poparł mnie Laurent z właściwą mu niezręcznością - wszystko OK?

- Chyba wam mówię, że czuję się bardzo dobrze. Do licha, przecież nie wycieli mi nerki.

- Nie, ale na własne życzenie złamano ci serce, chciałam dodać, ale się powstrzymałam, żeby nie rozdrapywać jego ran.

- Gdzie podział się ten Jeff? - Julien nagle zmienił temat.
- Jestem głodny jak wilk.
- Chyba miał u siebie jakąś dziewczynę - oznajmiłam wszystkim. - Kiedy wychodziłam z domu, wciąż jeszcze był w swoim pokoju. Zwykle oznacza to, że nie jest sam.
- Marie-Lune?
- Nie. Marie-Lune pojechała z przyjaciółmi do Nowego Jorku. Wiem o tym, bo kilka razy mi powtarzała: „O, Boże! Będziemy pili cosmos w Nowym Jorku, wyobrażasz to sobie?”.
- Czyli kto jest u niego? - zainteresował się Julien.
- Nie wiem. Nie zaglądam przez dziurkę od klucza.
- Przeszkadza ci, że spotyka się z innymi dziewczynami?
- zapytał podchwytliwie Laurent.
- A czemu miałyby mi to przeszkadzać? - odpowiedziałam spokojnie, ale wiedziałam, że wrażliwe ucho wyczułoby w moim głosie pewną niewielką nutę agresji.
- Pogadacie sobie o tym innym razem, bo olbrzym właśnie nadchodzi - uprzedził nas Julien.
- Jeff usiadł obok mnie, szerokim gestem złapał butelkę i *nalai sobie wina do* kieliszka. Cmoknął mnie w policzek na przywitanie i zabrał się do wina.
- Całą swoją osobą dajesz nam do zrozumienia, że jesteś w dobrej formie - stwierdził Laurent.
- Jest mi bardzo dobrze.
- Wszystkim nam byłoby równie dobrze, gdybyśmy też spędzili całą noc na figlach - powiedziałam prosto z mostu.
- Halo! - Julien podniósł do góry palec wskazujący, że chce zabrać głos.
- No?
- Ja spędziłem noc na figlach.
- Co?
- No co! Mam tylko złamane serce, ale nic innego.
- Z wielką ochotą skomentowałabym to wyznanie, ale się powstrzymałam. Już samo publiczne przyznanie się do złamanego serca stanowiło w jego przypadku nie lada wyczyn.

- A więc figlowaliście obydwaj. Gratuluję - podsumowałam i zamilkłam zaszępiła, bo uświadomiłam sobie, że jestem bardzo samotna.

- Prawdę mówiąc, ja także - dodał Laurent, a moja zaszępiła mina zmieniła się już w całkiem żalowaną, co wywoływało radosny śmiech Jeffa.

- Nie przejmuj się tak - mruknął, klepiąc mnie po plecach - ja także nie figlowałam.

- Mówisz tak, żeby mnie pocieszyć. - Jakoś nie potrafiłam sobie wyobrazić Jeffa, który byłby tak wstrzemięźliwy przez dłuższy czas.

- Ale to prawda. Późno zasnąłem i długo spałem. - Miał jednak tak zadowoloną minę, że Julien nie wytrzymał i wykrzyknął. - Daj se spokój! Powiesz nam wreszcie, co robiłeś?

- Daj se spokój?

- Moja mama przyjechała na weekend. To mnie bardzo relaksuje.

- No ładnie - stwierdził Laurent - gdybym musiał udawać, że nie posiadam się ze szczęścia za każdym razem, kiedy widzę się z mamą, to by mnie nie relaksowało.

- Moja mama jest raczej z tych, co to „psiakrew”. Nawet nie wiecie, jak nienawidzę tego zwrotu. To takie przekleństwo kur domowych.

- Faktycznie, niezbyt mocne - zgodził się Laurent.

- Moja matka nie przeklęła chyba ani razu w swoim życiu - powiedział Jeff - ojciec natomiast owszem, ale mówił przeważnie „kurcze blade”.

- Kurcze blade?

- Kiedyś to było przekleństwo.

Obydwoje z Laurent pokiwaliśmy głowami z uznaniem. „Kurcze blade” brzmiało ciekawie, choć odrobinę pachniało KFC.

- I tak nic nie przebiję poczciwego „kurr...”.

- Starczy! - zaprotestował Julien. - Nawijacie tutaj bez sensu o jakichś kretyńskich przekleństwach, a ten olbrzym ma minę niedorostka, który po raz pierwszy w życiu odkrył, do czego służy dziewczyna w nocy. Dlaczego nie chcesz

się przyznać, co robiłeś? Ja, owszem, nie spałem całą noc i mam wory pod oczami i cerę zombi. Jeśli skończyliście już analizę porównawczą mieszczańskich przekleństw, to chcę teraz poznać prawdę.

- Naprawdę cierpisz - stwierdził Laurent. - A może uważasz, że już ci lepiej?

- Jasne, że lepiej. Wybaczcie. Źle sypiam ostatnio, z powodu... sami wiecie... po prostu mam kłopot z samoakceptacją.

- Może gdybyś mniej się wcinał w sprawy innych...

Wybuchnęliśmy z Jeffem śmiechem. Julien też się uśmiechnął, ale z przymusem i smutno, i przypomniałam sobie, jak leżał na kanapie w tym swoim szarym swetrze, gapiąc się w sufit.

- Tak naprawdę to nie wydarzyło się nic nadzwyczajnego - oznajmił wreszcie Jeff - po prostu mam dobry humor. Spotkałem wczoraj w Lulli twoją przyjaciółkę, Flavie.

Przypomniałam sobie wszystkie jego spojrzenia rzucone w kierunku Flavie i jej słowa na jego temat: „Ten chłopak jest prześliczny”.

Tylko tego mi teraz brakowało, pomyślałam, wszyscy moi przyjaciele się pożenią, a w dodatku mój współlokator z moją najlepszą przyjaciółką, i zostanę sama jak palec.

- Plotkowaliśmy przez dobrą godzinę - kontynuował Jeff. - Ludzie, co to za kobieta!

- Czy ktoś kiedyś o mnie tak powiedział? Raczej nie. Przypominałam sobie wprawdzie jakieś „ona jest naprawdę cool” albo „ona jest dowcipna”, a tylko w moich najśmielszych marzeniach byli tacy, co o mnie mówili „super cute”. Natomiast wyrażenie „co to za kobieta” było zarezerwowane najwyraźniej dla istot dobrze zbudowanych jak Flavie. Na pewno nie dla tych, które mają metr sześćdziesiąt wzrostu i nie mogą się powstrzymać od przebierania rytmicznie nogami po usłyszeniu pierwszych taktów piosenki Ricka Astleya, i przeżywają swoją wiosnę życia już dobrze po trzydziestce.

- No nie wiem - odparł Laurent - ja jej się trochę boję.

Uśmiechnęłam się do niego z wdzięcznością. Nie wiem, czy kiedykolwiek będzie drugi taki mężczyzna, który zdoła

tak mnie rozczulić, jak Laurent. Może to będzie mój syn, jeśli uda mi się doczekać syna. Wszystko jest wielką niewiadomą.

- Plotkowaliście? - oburzył się Julien. - I chcesz mi powiedzieć, że będę musiał plotkować z babą, która ubiera się we flanelowe bladoniebieskie kiecki? - przerwał, gdy zobaczył ironiczne spojrzenie Laurenta lustrującego jego spodnie w fioletowo-zieloną kratę: - Co się gapisz? - zwrócił się do Laurenta. - Przecież to nie flanela!

Aż się zatoczyłam ze śmiechu i oparłam na ramieniu Jeffa. Kiedy byłam z nimi, prawie w ogóle nie myślałam o Gabrieli. A nawet jeżeli już myślałam, to bez gorczy i niepokoju. Ot, takie mgliste strzępki, które przelatowały mi czasami przez głowę.

Może tak naprawdę obawiałam się tylko tego, że stracę tych trzech mężczyzn, od których byłam uzależniona, bo potrafiли mnie zawsze podtrzymać na duchu. Czy oni również mieli podobne obawy? Przypomniałam sobie, jak Laurent pytał mnie o Gabriela: „To co, będziesz z nim chodziła?”, czy kretyńskie zachowanie Jeffa. Pośród morza obaw chyba nie byłam jednak sama na tej łodzi.

Jeff dodał jeszcze, że jego „fascynująca” rozmowa z Flavie zakończyła się formalnym zaproszeniem na kolację. Flavie oczekiwała teraz telefonu z mojej strony, żeby potwierdzić wszystko i ustalić szczegóły. Ja zaś czekałam, aż Jeff sobie pójdzie, żeby spytać Laurenta i Julię, jakim cudem awansowałam do roli swatki. Wtedy dopadła nas Ariane.

Przez chwilę patrzyłam na nią, nie bardzo wiedząc, co mam zrobić. Nie do pomyślenia była jej obecność w tej jaskini niezdrowej żywności, produktów genetycznie poprawianych i - co już było największym przestępstwem z wszystkich możliwych - miejscu, gdzie bez żadnych obiekcji serwano mięso.

- Ty... - Wskazała na mnie oskarżycielsko palcem wystającym z bezpalczastej rękawiczki. - Ty... - powtórzyła, ale znałam ją przecież i wiedziałam, że nie potrafi się gniewać dłużej niż pięć sekund. Policzyłam więc w myślach do pięciu.

- Lo! - krzyknęła, kiedy zobaczyła Laurenta. Znów zamieniła się w moją ukochaną młodszą siostrzyczkę. - Ale jest nudno bez ciebie - oznajmiła mu, a jej śliczne oczy błyszczały jak dwa ogniki spod peruwiańskiej czapki.

- Mnie też nudno bez was - odparł Laurent. Wiedziałam, że to prawda. Pochyliła się, żeby go pocałować w policzek na powitanie, kiedy dostrzegła zawartość jego talerza. Oskarżycielski palec znowu pojawił się nad stołem. - Laurent, to tatar! Daj spokój, chyba zdajesz sobie sprawę, jak fatalne w skutkach dla twojego organizmu jest spożywanie czegoś takiego?

- Mniam, mniam! - zamlaskał.

- Pamiętaj, że jesteś tu wśród wrogów - wtrącił się Julien. - „Kiedy jesteś w Rzymie...”.

- Dobra, dobra. - Jego również pocałowała i zaraz potem wpadła w objęcia Jeffa.

- Słuchaj - powiedziała do mnie, wyswobodzając się z jego uścisku - ja sobie żartuję, ale jestem na ciebie obrażona.

Po zamówieniu herbaty, której skład chemiczny został dokładnie sprawdzony pod kątem ewentualnych uchybień dietetycznych, co trwało dobre dziesięć minut, wyjaśniła mi, że kiedy wychodziła ze szpitala, gdzie pracowała jako wolontariuszka, spotkała naszego tatę. Tata nie potrafił kłamać, więc wyznał jej prawdę o stanie swojego zdrowia.

- Nie mogę uwierzyć, że nic mi nie powiedziałaś, Marinę! Przecież to jest nasz wspólny ojciec! - Ariane posiadała wielki zasób urażonych min, które zwykle wykorzystywała w czasie protestów i demonstracji.

- Wiesz co, mała? - odparłam. - Powinnaś mi za to podziękować, bo przez to tylko ja od miesiąca mam codzienne nieznośne telefony od naszej mamy...

- Marinę, w końcu to twoja matka! Ona cię urodziła! Winna jesteś...

- Naprawdę? Chciałabyś, żeby mama dzwoniła do ciebie codziennie?

W oczach Ariane pojawiła się wyraźna panika. Zamilkła. Jeff i Laurent patrzyli na siebie znacząco.

- Czy Elo i Fred już wiedzą?

- Fred owszem. Ale wam mama chciała tego oszczędzić.

- Jak to, oszczędzić? Przecież my też jesteśmy ich córkami...

- Ariane!... możesz na trzy sekundy schować tę urażoną dumę? Nawet nie wiemy jeszcze dokładnie, co dolega tacie. Może to nic groźnego. Gdyby to zależało od niego, nikt z nas niczego by nie wiedział do czasu zakończenia badań. Nie sądzisz, że to rozsądne?

Wydała z siebie nieco obrażone burknięcie, które sprawiło, że znów zaczęła wyglądać jak szesnastolatka. Z czwórki naszego rodzeństwa tylko ona odziedziczyła naturalną dobroć po naszym ojcu. Elodie i ja nie byliśmy może złe, ale żadna z nas nie miała w sobie takiego altruizmu, często naiwnego, ale z najlepszymi intencjami. Nasz ojciec, można powiedzieć, był mistrzem doskonałym altruizmu, a Ariane jeszcze nie, bo często spodziewała się jakiejś wdzięczności od ludzi. Ojciec uważał, że pomaganie bliźnim jest jego zwyczajnym obowiązkiem i część tego przekonania przekazał właśnie Ariane.

- Trzeba to powiedzieć Elo - powiedziała.

- O rany... - jęknęli jednocześnie Julien i Laurent. Próbo-
wałam sobie wyobrazić Elodie miotającą się bez ładu i składu na myśl o tym, że może tacie coś jest. Elodie odziedziczyła wiele cech po mamie.

- Powinniśmy teraz być przy nim wszyscy - stwierdziła.
- Fred musi wrócić.

- Fred już o tym myślał. Ale najpierw poczekajmy na wyniki badań, żebyśmy wiedzieli, jak sprawy stoją.

- Biedny tatko... - przerwała nagle, bo rozległ się dźwięk telefonu. Zaczęła grzebać w przepastnej torbie, którą wszędzie ze sobą zabierała. Nosiła w niej zawsze kilkadziesiąt traktatów i petycji i nigdy żadnych pieniędzy. Ariane nie wierzyła w siłę pieniądza. Funkcjonowała prawie wyłącznie dzięki recyklingowi i wymianie przysług, a to zajmowało większość czasu w jej działalności. Wygrzebała wreszcie swój telefon, posłuchała przez chwilę rozmówcy i odpowiedziała krótko:

- Będę za dziesięć minut.
- O la la! - zdziwiłam się. - Co się stało, że masz komórkę?

Spuściła wzrok jak ktoś zmuszony do mówienia o rzeczach przykrych.

- Wiem, że to dziwne - odrzekła - ale właśnie organizujemy demonstrację przeciwko paleniu papierosów i jestem odpowiedzialna za transport... - Dopiero teraz spojrzała mi w oczy, radosna i dumna z siebie. - Ściągamy ludzi aż z Vancouver. Każda trasa będzie zapisana i przeliczymy emisję dwutlenku węgla, do której się przyczyniliśmy. Potem skompensujemy to wszystko zasadzeniem odpowiedniej liczby drzew.

- Niech skonam - jęknął Julien, kładąc się ze śmiechu na stole.

- Oczywiście zachęcamy do używania rowerów, a jadących samochodami namawiamy do brania współpasażerów, ale czasami my też nie mamy wyboru...

Jeff spoglądał na nią z niedowierzaniem i kręcił z wrażenia głową.

- Muszę już iść. A z tobą, Marinę Vandale, jeszcze sobie porozmawiam. Zadzwoń najpierw do Elodie i umówmy się na herbatkę, dobrze?

- Dobrze. - Spieranie się z Ariane wymagało silnych nerwów i retoryki na o wiele wyższym poziomie, niż byłam w stanie teraz z siebie wykrzesać.

- A co u ciebie? - spytała - jak twoje miłości?

- Mój Boże... też sobie znalazłaś temat...

Chłopcy zaczęli na wyścigi, jeden przez drugiego, streszczając jej w wersji komicznej dzieje swojego życia uczuciowego. Uzupełniali się nawzajem doskonale i przedstawili całą historię z taką dokładnością, że zaczęłam podejrzewać, iż musieli to potajemnie ćwiczyć.

- Koniecznie musisz do niego telefonować - oznajmiła Ariane takim tonem, że zadzwonienie do Gabriela wydało mi się tak oczywiste, jak oczywiste by było, gdyby powiedziała, że zimą nie należy chodzić z gołymi nogami. Miałam ochotę wrzasnąć, że wszystko w porządku, a ja nie jestem

taka głupia i doskonale wiem, że muszę wreszcie zadzwonić. Chłopcy robili miny, kiwali głowami i rozkładali bezradnie ręce, żeby jej pokazać, że moje zachowanie wobec Gabriela to nie ich wina. Dawali do zrozumienia, że stanowiłam przypadek nieuleczalny.

- Trzymaj! - Ariane podała mi swój telefon. - Masz dwie minuty! Mam nadzieję, że ten telefon posłuży wreszcie do czegoś dobrego.

- Cooo? W życiu! Zadzwonię, jak wrócę do domu.

- Marine! - zabrzmiał groźny chór. Spojrzałam na drobną dłoń w beżowej rękawiczce, trzymającą telefon komórkowy i wyciągniętą wprost w moją stronę. Wobec takiej stanowczości wynikającej, jak zwykle u Ariane, z dobroci nic nie mogłam poradzić. Wzięłam telefon i wyszłam z restauracji.

Do: Marinę

Od: Frederica Vandale

Temat: Sagrada Familia*

Obiecałem, że się nie odezwę, ale właśnie spędziłem godzinę na rozmowie z Ariane. Czułem, jak podczas tej rozmowy cały przechodzę stopniowo zapachem paczuli. I niczego nie zrozumiałem. Mówiła o tacie i o tobie, że twoje życie może się zmienić, kiedy zdecydowałeś się wziąć do ręki telefon komórkowy, który zresztą nie był twój, tylko jej. Poza tym wygląda na to, że można odkupić ciężki grzech posiadania samochodu sadzeniem odpowiedniej liczby drzew. Możesz mi to wszystko wytłumaczyć?

Do: Freda

Od: Marinę Yandale

Temat: Święta Paczuła

Od czego mam zacząć?

Do: Marinę

Od: Frederica Vandale

Temat: Wielki wysiłek

Naprawdę chcesz, żebym udawał, że interesuje mnie cokolwiek innego niż szczegółowe informacje o twoim telefonie do doktora?

*** Sagrada Familia - Świątynia Pokutna Świętej Rodziny, kościół w Barcelonie (Hiszpania) uważany za główne osiągnięcie Antoniego Gaudiego.**

Do: Freda

Od: Marinę Vandale

Temat: Szacunek

Niech ci będzie. Ale przejmuję się również tatą. A jeszcze bardziej tym, że jutro spotykam się z siostrami. Będę musiała położyć na szali cały autorytet starszej siostry, użyć wszystkich rezerw, jeśli jeszcze jakieś mam, spokoju i powagi, żeby odwieść Elodie i Ariane od zamiaru towarzyszenia tacie podczas jego następnej wizyty w szpitalu.

Do: Marinę

Od: Fredsérica Vandale

Temat: Dyskryminacja młodszego

A dlaczego nie mogą z nim iść?

Do: Freda

Od: Marinę Vandale

Temat: Portret rodzinny

Fred. Spróbuj się wczuć w sytuację starszego człowieka, który się boi, że jest chory na alzheimera, a jeszcze bardziej boi się okazania słabości przed rodziną. Chciałbyś w takiej sytuacji mieć obok siebie dwie najmłodsze córki? Zwłaszcza jeżeli jedną z nich jest Elodie, a druga może w każdej chwili zacząć palić wokół ciebie kadzidełka i nacierać ci nadgarstki olejkami zapachowymi?

Do: Marinę

Od: Frsédérica Vandale

Temat: Masz w połowie rację

Rozumiem twoje rozumowanie, ale ja także mam pewną sugestię. Nie uważasz, że za bardzo wcielasz się w rolę obrończyni taty? Może po prostu nie chcesz się dzielić tą chwalebną funkcją z innymi?

Do: Freda

Od: Marinę Vandale

Temat: Kulą w płót

Z przyjemnością się podzielę. Gdybyś nie był zbyt zajęty niepisaniem książki w Paryżu, za pieniądze pożyczone od taty, to zapewniam cię, że z radością patrzyłabym, jak sam

z nim idziesz zamiast mnie. Tylko że ja tu robię za kmiotka z prowincji, a ty udajesz poważnego pisarza z wielkiej metropolii. Czy i za to mam cię przeproszać?

Do: Marinę

Od: Frederica Vandale

Temat: Sedno sprawy

Nie odezwał się?

Do: Freda

Od: Marinę Vandale

Temat: re: Sedno sprawy

Nie. Nie odezwał się.

Do: Marinę

Od: Frederica Vandale

Temat: Powód do śmiechu

Ale przynajmniej zadzwoniłaś?

Do: Marinę

Od: Fróderica Vandale

Temat: (brak)

Marinę, zadzwoniłaś?

Do: Freda

Od: Marinę Vandale

Temat: re: (brak)

Zadzwoniłam. Odbiorca - skrzynka głosowa. Teraz stałam się dziewczyną, która nie dość, że wysyła SMS-y, to jeszcze nagrywa wiadomość, a odpowiedzią jest w każdym wypadku milczenie. Ariane przynajmniej ratuje świat, sadząc drzewa. Ja nie jestem nawet w stanie przejąć się poważnie dramatem mojego ojca. Mam już taką wątpliwą moralność.

Do: Marinę

Od: Frederica Vandale

Temat: Karuzela

Kręcisz się w kółko, Marinette.

Do: Freda
Od: Marinę Yandale
Temat: Oczywistość

I kto to mówi?

Do: Marinę
Od: Frederica Vandale
Temat: Piękne karuzele Paryża

Dlaczego do mnie nie przyjedziesz?

Do: Marinę
Od: Frśderica Yandale
Temat: (brak]

Marinę? Pytałem, dlaczego tu nie przyjedziesz?

Do: Freda
Od: Marinę Vandale
Temat: (brak)

To on. Dzwoni na moją komórkę!

Do: Marinę
Od: Fredśrica Vandale
Temat: Skacz

Odbierz! Marinę, do jasnej cholery, odbierz ten telefon!

Rozdział 7

- Skacz... - powiedziałam do Claude'a-Francois, jakby to było takie proste.

Sam skok był szybki i nie wymagał wiele myślenia, pod warunkiem że wykonywało się go odruchowo. W moim wypadku proces myślenia paraliżował mnie i hamował skok. Od dwóch tygodni analizowałam każdy swój gest, uczucie albo jego brak, każde słowo Jeffa i milczenie Gabriela.

Wreszcie wyłącznie odruchowo, tak jak odruchowo przełykam ślinę czy oddycham, moje ciało bez udziału myśli skierowało mnie w stronę telefonu, a ręka podniosła słuchawkę. Serce waliło mi jak szalone i przez ułamek sekundy, zanim powiedziałam obojętne „halo”, naprawdę zobaczyłam siebie stojącą nad brzegiem przepaści.

- Marinę Vandale? - Usłyszałam grzeczny i pogodny głos Gabriela.

- Tak, we własnej osobie. A to doktor Champagne, jak mniemam?

Zaczął się głośno śmiać, a ja zaczynałam powoli znowu oddychać. Pomyślałam nagle, czy gdzieś tu w mieszkaniu nie ma papierosów. Byłam taka spięta i poczułam, że teraz okropnie potrzebuję dymka, choć nie paliłam już przecież od siedmiu lat.

- Twoja siostra jest czarująca - stwierdził.

- Moja siostra?

- Tak, Ariane. Oddzwoniłem na numer, z którego dzwoniłaś do mnie przedwczoraj. Okazało się, że to numer twojej siostry.

- Och... - Podrapałam się po głowie i popatrzyłam bezmyślnie w sufit, szukając ratunku w niebiesiech, choć nigdy nie byłam specjalnie wierząca. Może chciałam znaleźć odpowiedź na pytanie, dlaczego zostałam stworzona jako osoba bezmyślna albo za jakie grzechy jestem ukarana własną głupotą.

- Wszystko w porządku. Ona jest naprawdę czarująca. Dowiedziałem się od niej wszystkiego o spalaniu gazów, efekcie cieplarnianym i objętości dwutlenku węgla, jaką przeciętnej wielkości liść może przetworzyć w ciągu roku. Dlaczego nie powiedziałaś mi, że twój ojciec jest chory?

Zaczęłam planować różne wymyślne sposoby zamordowania Ariane, i to na odległość. Czy naprawdę musiała wtajemniczać Gabriela w nasze rodzinne sprawy? Wiedziałam, że zrobiła to przez grzeczność i z dobroci serca, ale ta jej dobroć przyprawi mnie kiedyś o zawał serca.

- ...Bo twój ojciec jest chory, prawda? - powtórzył Gabriel, który wcześniej zapewne przekonał się, że należy weryfikować wszystkie informacje pochodzące od mojej rodziny czy przyjaciół.

- Owszem, jest chory. Zresztą nie. To znaczy, jeszcze nie wiadomo.

Rozglądałam się gorączkowo wokół siebie, szukając cze-gokolwiek nadającego się do zapalenia. Szperałam, gdzie mogłam, w nadziei, że może Jeff zostawił gdzieś chociaż starego skreta.

- Co się dzieje? - zapytał Gabriel miłym, szczerym, a przede wszystkim pokrzepiającym tonem. Na dodatek zadawał pytania jak profesjonalista. Wtedy zrobiłam coś, co już zawsze będzie mi się kojarzyło z tą rozmową. Odsunęłam słuchawkę daleko od ucha i pozwoliłam sobie wydać westchnienie na cały regulator, jakbym wypuściła z siebie balon, w którym przez całe tygodnie kumulowały się wszystkie moje zmartwienia. Po tym wreszcie zaczęłam oddychać normalnie.

- Ojciec od pewnego czasu zaczął mieć poważne kłopoty z pamięcią - wyjaśniłam.

Usadowiłam się na sofie. Gadaliśmy przez dwie godziny. Mogłam już trzymać słuchawkę normalnie, przy uchu. Prze-

stałam rozglądać się za papierosem, bo bez reszty pograżyłam się w rozmowie, która ostrożnie stawiała się stopniowym poznawaniem nawzajem i której cały przebieg wypływał z ewidentnego rozumienia się dwojga obcych sobie do tej pory ludzi.

- Co słyszała? - zapytał Jeff, wchodząc do domu kilka godzin później. Siedziałam wygodnie na sofie, ubrana w jeden z jego wielkich swetrów, i oglądałam na HBO po raz tysięczny ten sam serial, który kiedyś wspólnie kupiliśmy.

- Hej! - zawołałam z radością w głosie. Spodziewałam się go już od dawna i zdążyłam sobie przygotować całe wystąpienie. Podniosłam do góry jego kartkę z poleceniem „Zadzwoń”. Potem pokazałam to, co było na odwrocie, a mianowicie informację: „Zadzwoń!”.

Jeff podszedł do mnie ze zmrużonymi oczami, udając, że niedowidzi, choć wiadomo było, że wzrok ma świetny.

- O! - tylko tyle powiedział, robiąc skrzywioną minę. Wyglądało to, jakby bagatelizował całą sprawę, choć prawdopodobnie miało oznaczać uznanie.

- No wiesz! Mógłbyś przynajmniej ucieszyć się ze względu na mnie. Od dwóch tygodni trujecie mi za uszami najpierw, żebym zadzwoniła, a potem, żebym porozmawiała!

- Jasne, że się cieszę i jestem zadowolony, jeśli to ma ci sprawić przyjemność. - Mówiąc to, podszedł do lodówki po piwo. Potem rozsiadł się na krześle. - Bo jesteś pewna, że tego pragnęłaś?

- Tak. Właśnie tego pragnęłam - odparłam natychmiast - a ty mnie wkurzasz. Gdybym tego nie chciała, to czy byłabym w takim humorze?

- Fakt. - Znowu miał minę pełną powątpiewania.

- Czy to ci w czymś przeszkadza?

- Nic a nic. - Wreszcie coś do niego zaczęło docierać - Coś ty! Chyba nie myślisz, że... Skądże!

- Niczego nie myślę - skłamałam - po prostu...

Popatrzyłam w bok, a kiedy ponownie spojrzałam na niego, zobaczyłam, że on też odwraca wzrok. Po raz pierwszy w ciągu piętnastu lat naszej przyjaźni odnio-

słam wrażenie, że czujemy się skrępowani w swoim towarzystwie.

- Chodzi mi o to, że zwykle cieszysz się razem ze mną. W najgorszym wypadku nabijasz się ze mnie. A teraz mam wrażenie, że w ogóle nie pochwalasz tej znajomości. Nie rozumiem tego. Po raz pierwszy od czasu Laurenta czuję taką radość.

Uśmiechnął się. Tym razem szczerze.

- Wiem. Wybacz, proszę. Może właśnie o to chodzi. Widzę, że jesteś cała w skowronkach i boję się, że się sparzysz.

- Czy zawsze musisz szukać dziury w całym?

- Nie. Tylko boję się o ciebie. Wiesz przecież. Nie mów hop, zanim nie przeskoczysz.

- Właśnie. Nie dziel skóry na niedźwiedziu.

- Ani skóry Gabriela, zanim jej nie spróbujesz.

- Hej! Skóra Gabriela jest bezpieczna.

- Chyba nie za bardzo...

Śmiejąc się, rzuciłam w niego poduszką. Złapał ją bez trudu i wstał.

- Dobra... Idę do Lulli. Przejdziesz się ze mną?

- O wpół do pierwszej w nocy?

- Przypominam ci, że bary zamykają o trzeciej.

- To prawda, ale... nie. Jest mi tu dobrze. Dziękuję panu.

- *As you wish**. Gdybym spotkał Flavie, to czy mogę ją zaprosić na kolację?

Nie wiedziałam, co mam mu odpowiedzieć. Myśl, że może się spotkać z Flavie sam na sam, tak mnie rozkojarzyła, że o mały włos nie zgodziłam się z nim pójść. Moja reakcja była równie irracjonalna, co jego. Teraz to pewnie Jeff zastanawiał się, co mi się stało i dlaczego nie mogłam udzielić odpowiedzi na banalne pytanie.

- Wiesz... powiedz jej, że do niej zadzwonię - odrzekłam wreszcie.

- Tak zrobię. - Puścił do mnie oko i wyszedł. Ledwie zdążył zamknąć za sobą drzwi, kiedy uprzytomniłam sobie, że nawet nie zapytał, czy umówiłam się z Gabrielem.

*** *As you wish* - Jak sobie życzysz - ang.**

- Ta sytuacja była nadzwyczaj *bizarre**- powiedziałam Julienowi. - Naprawdę byliśmy zawstydzeni. Obydwoje.

- Możesz iść szybciej?

- Julien... - Wzniósłam błagalnie oczy do nieba, ale przyspieszyłam kroku. Od kilku tygodni na poważnie przejął się ideą *Powerwalking*** . Przez pięć minut pozwolił mi podziwiać widok rozciągający się ze stromych schodów, podczas gdy sam schodził i wchodził po nich pięć razy z rzędu.

- Niedługo skończę czterdzieści lat - wyjaśnił mi po skończeniu czwartej rundy. Ledwo dyszał, ale zaraz zaczął następną. Tym razem towarzyszyłam mu, jak umiałam. Ubrany był idealnie do takich wyczynów z uwzględnieniem panującego zimna oraz swojej słabości do jaskrawego błękitu. Ja byłam w dzinsach, starym swetrze, czapce z pomponem i trzymetrowym szaliku wokół szyi.

- Nawet nie spytał, jak się zakończyła nasza rozmowa.

- Jest rzeczywiście *weird**** - stwierdził.

- Owszem. A to, że ja i Jeff czuliśmy się po raz pierwszy nieswojo we własnym towarzystwie, nie jest *weird*? Endorfina chyba uderza ci do głowy, mój kochany.

- *Niet.* - Od pewnego czasu nabrał niczym nieuzasadnionego zwyczaju mówienia *niet* i *da, da*. Laurent podejrzewał go o romans z jakimś Rosjaninem. - To normalne, że jesteście nieco zażenowani. Przecież o mało ze sobą nie spaliście. I oczywiście musi to dotyczyć was obojga. Zastanawialiście się, czy przypadkiem nie trzeba było tego zrobić.

- Gadasz, byle gadać.

- Marinę, naprawdę musimy o tym rozmawiać?

- Naprawdę. Ale przestań gadać, żeby gadać - zatrzymałam się, mając nadzieję, że i on stanie, ale nie, tylko tym razem krzyczał do mnie: - Gdyby to było wyłącznie gadanie, to byś się tak nie zdenerwowała. No! Dalej! Nie odzyskasz pośladek dwudziestolatki, stercząc tak w połowie drogi.

* *Bizarre* - dziwaczna, groteskowa - ang.

** *Power walking* - szybkie chodzenie, kontrpropozycja dla joggingu.

*** *Weird* - tajemniczy, niesamowity - ang.

Westchnęłam i ruszyłam za nim biegiem.

- Mam twarde pośladki, sam zobaczysz - krzyknęłam prawie w nos jakiemuś joggerowi, który nie mógł powstrzymać się od śmiechu i nie omieszkał zlustrować tej części mojego ciała. - Wcale nie zastanawiałam się nad tym, czy powinnam się przespać z Jeffem - dodałam, dobiegając do Julienu. To było śmieszne. Zasapałam się już po trzydziestu krokach. - Co wam się wszystkim stało? Jeff z kolei sądzi, że nie mogłam się tak długo zdecydować, żeby zadzwonić do Gabriela, bo tak naprawdę nie chciałam tego. Ty uważasz, że chcę się przespać z Jeffem. Laurent dzwonił wczoraj, żeby mi powiedzieć, że jego matka i siostra przekonały go, że wciąż jestem w nim zakochana.

- Tak powiedział? - Julienu zamurowało. Przez sekundę myślałam nawet, że się zatrzyma.

- Często to robi - powiedziałam. - Jak tylko ktoś mu to powie, to sam zaczyna wierzyć, że w gruncie rzeczy dalej go kocham.

- A może naprawdę jeszcze go kochasz?

- Może się zdecydujesz. Jak mogę jednocześnie kochać Laurenta, chcieć się przespać z Jeffem i marzyć o Gabrielu. Nawiasem mówiąc, możesz do kompletu dodać jeszcze chrapkę na ciebie.

- No cóż, jeżeli już musiałbym się przespać z jakąś dziewczyną, to faktycznie wybrałbym ciebie.

- Jesteś słodki. Gdybym musiała się przespać z gejem, to wiesz przecież, że wybrałabym ciebie... no... chyba żebym spotkała tego wielkiego blondyna z Lulli, który tam pracuje w środy.

- O rany! Garretha? On jest tak bardzo *hot*.*

Temat napalenia Garretha najwyraźniej był wystarczającym powodem, żeby Julian wreszcie się zatrzymał. Stał przede mną, pokazując mi szczególnie wulgarny gest, oznaczający jego zamiary wobec Garretha, zrobił rozmarzoną minę i dopiero wtedy pomaszerował dalej.

- W każdym razie - kontynuował - usiłuję ci powiedzieć

* *Hot* - tu: sexy, napalony - ang.

coś, o czym sama dobrze wiesz. Kiedy raz otworzysz drzwi rojeniom o seksie z jakąś osobą, to potem jest szalenie ciężko wypłenić takie myśli z głowy.

- Niby tak, ale...

- Ciii! - przerwał mi, podnosząc rękę do góry - nie traćmy czasu, Marinę. Wiesz, że mam rację.

Wiedziałam. Od dawna znałam te drzwi otwierające się w umyśle na różne fantazje. Miały tę wadę, że nigdy potem nie chciały się do końca zamknąć. Ale z drugiej strony drzwi, które otworzyły się w czasie spotkania z Gabrielem na zaśnieżonej ulicy, bardzo mi się spodobały. Wiele takich drzwi z mojej przeszłości wciąż było uchylonych, przez niektóre bałam się nawet zajrzeć, na inne nie miałam już ochoty. Wiedziałam jednak, że z drzwiami Gabriela muszę zaryzykować, bo inaczej będę tego żałowała.

- Czy chociaż tym razem nie moglibyście mnie dla odmiany wesprzeć? - powiedziałam to trochę zbyt głośno, ale nie mogłam się powstrzymać. I po raz pierwszy od dobrych dwudziestu lat zaczęłam się zastanawiać, czy mama jednak nie ma racji, powtarzając mi, że spędzanie całego czasu z trzema chłopakami nie jest dobrym pomysłem. - Wspieraliście mnie tylko wtedy, kiedy doskonale wiedzieliście, że moje związki nie mają szans na przetrwanie. - Zatrzymałam się i *wykrzyczałam* to w płatki padającego śniegu, przez które prawie nie było widać sylwetki idącego przede mną Juliana.

- Będiesz płakała? - zapytał zaniepokojonym głosem.

- Nie - odpowiedziałam bardzo cicho i niepewnie.

W rzeczywistości nie byłam smutna, tylko urażona. Od dziecka zawsze zaczynałam płakać, kiedy poczułam się obrażona (poważna wada jak na kogoś, kto chce być traktowany serio w negocjacjach - zawodowych i uczuciowych).

Julien wahał się przez kilka chwil. Miał zaczerwienione policzki kontrastujące z nasuniętą na głowę niebieską czapką. Wreszcie westchnął ostentacyjnie i trochę rozzłoszczony wrócił po mnie.

- Marinę... To, co Jeff próbuje ci tak nieporadnie powie-

dzieć, i to, co ja ci mówię z wrodzoną sobie zręcznością, te wszystkie pytania, które wynajdujemy, słowem - wszystko to wynika z faktu, że nigdy nie widzieliśmy, żebyś była kimś tak zauroczona. Wszystko, co... Znaczący to twoje zauroczenie przyszło trochę za wcześnie po rozstaniu z Christophe'em. Chodzi nam też o to, co było potem... i przedtem... no i w trakcie...

W końcu sam zaczął się śmiać ze swojego wystąpienia. Dałam mu kuksańca w bok.

- To było piękne. Przepraszam. - Wciąż się śmiał, kiedy szliśmy już normalnym krokiem, ramię w ramię. Mijaliśmy inne pary i zastanawiałam się, czy tancerki biorą nas za parę. A może mówili potem do siebie:

- Widziałaś tego gościa w niebieskim dresie? Miał piękne niebieskie oczy. Ciekawe, dlaczego zadaje się z tą blondynką, która nie potrafi nawet porządnie włożyć czapki i szalika.

Miałam to w nosie. Lubiłam to uczucie bycia parą, nawet jeżeli był to tylko duet złożony z samotnej dziewczyny i samotnego homoseksualisty. Wreszcie dotarło do mnie, co chłopcy chcieli mi powiedzieć.

- Boicie się, że buduję sobie zamki na lodzie, prawda?

- Boję się, że zapomniawszy, że miłość buduje się w codziennym życiu ze sobą.

- Wiem o tym. Wiem też, że jestem za mocno zauroczona, jak powiedziałaś. Gabriel może chcieć tylko przyjaźni. Może się okazać któregoś dnia, że na co dzień jest nie do zniesienia. Ale przecież nie zestarzeliliśmy się jeszcze do tego stopnia, żebyśmy się bali wszystkiego. - Tu Julien spojrzął na mnie i smutno się uśmiechnął. - Czy mamy zacząć chodzić w kaskach na głowie? - mówiłam dalej. - I sprawdzać, czy pod nami jest siatka bezpieczeństwa?

- To prawda. Ale wiem, że tym razem sama się boisz.

- To prawda. Boję się jak cholera. Ale będę się jeszcze bardziej bała za rok, a jak skończę czterdziestkę, to będę się bała dziesięć razy bardziej. Mam coraz mniej czasu do stracenia i coraz wrażliwsze serce... więc odpuść sobie...

Julien mocno mnie przytulił.

- Spoko, mistrzyni. Ścigamy się?

- Dobra. Poczekam na ciebie góra pięć minut.

Zaczęliśmy biec. Po pięciu minutach straciłam go z oczu i dostałam zadyszki. Odpoczywałam, stojąc wśród radośnie joggujących ludzi, którzy najwyraźniej nie mieli pojęcia, że można od tego dostać zadyszki.

Kiedy wreszcie go dostrzegłam, stał i spokojnie mierzył sobie puls. Miał skupioną minę; wydawał się całkowicie skoncentrowany na swoim nadgarstku. Wyglądał jak uosobienie zdrowia. Zawsze wystrzegałam się takich typów, którzy o siódmej rano wychodzą z psem na spacer i piją wyłącznie zieloną herbatę, i to w wielkich ilościach. Miałam nadzieję, że Gabriel nie należał do tego typu ludzi.

- Masz serce jak dzwon - powiedziałam, opierając się o pobliską balustradę.

- Ty też.

- Ja? Lazłam tu prawie godzinę.

- Myślałem o sercu w trochę innym sensie. I tak ci zazdrozczę.

Oparł się plecami o barierkę, a ja podziwiałam panoramę miasta. I nie mogłam się powstrzymać przed daniem mu lekkiego kuksańca.

- Wiem, że mi zazdrościcie - stwierdziłam.

- Wiemy. I wiemy, że ty wiesz. Na twoim miejscu też byśmy się bali. A ty, będąc na naszym miejscu, bałabyś się o nas.

- Trochę to pogmatwane, ale chyba rozumiem.

Przez chwilę gapiliśmy się każde w swoją stronę, w milczeniu.

- A propos Jeffa... - powiedział Julien.

- Przestań wreszcie! Nie chcę już więcej słuchać na ten temat. To już nawet nie jest burleska.

- Jak sobie życzysz... chociaż upieram się przy wcześniejszym stwierdzeniu, iż jedyną rzeczą naprawdę dziwną w waszej rozmowie było to, że nie zapytał, czy umówiłaś się z Gabrielem.

- Ty też o to nie zapytałeś.

- Czekałem na odpowiedni moment... - mrugnął do mnie.

-1 co! Nie wyszło?

- A jeśli nie wyszło? - spytałam śmiejąc się.

- Czyli kłapa? No więc jak, spotkacie się czy nie?
- I tak nie masz prawa mnie osądzać, cokolwiek bym ci powiedziała.
- Przysięgam. No więc umówiłaś się z nim?
- *Da*, mój Julienie, *da, da, da*\

- Naprawdę powiedziałaś: „*da, da, da*”? - spytała Elodie.
- Owszem.
- Zdziecinniałaś na starość czy co? Jeszcze trochę, a za-
czniesz mówić tylko „*bla bla bla*”.
- Elodie, spotkałyśmy się tutaj w poważnej sprawie. Może
choć spróbujemy nie utrudniać sobie życia?
- Masz rację. Tak jest zawsze lepiej. Zapalę sobie papie-
roska. Zgoda? Zaraz wrócę. - Ariane spóźniła się już pół
godziny.

Umówiła się z nami w małej kawiarence w Mile End*, bo tylko w takich bywała. Patrzyłam na otaczający nas tłumek. Elodie torowała sobie drogę między dziewczynami ubranymi w wyblakłe T-shirty kupione na wyprzedazach. Panienki były umalowane szminkami w kolorze matowej czerwieni i każda miała na nosie olbrzymie czarne okulary. Chłopcy wysocy i okropnie chudzi ubrani byli w poncha albo przeciwnie - w za ciasne marynarki w krzykliwych kolorach. Nosili również wielkie czarne okulary. Wyglądali jak statyści, jakby właściciel lokalu robił casting pod hasłem: „Otwieram małą kawiarenkę w Mile End. Potrzebuję miejscowych bywalców na otwarcie”.

Mogli być inżynierami, nauczycielami, kierowcami autobusów lub pielęgniarkami. Nie byli do mnie podobni. Robili wrażenie wiecznych studentów, przyszłych artystów lub raczej ludzi, którzy oczekiwali wiele od życia. Prawdopodobnie większość z nich ślęczała nad scenariuszami lub tomikami poezji. Ale wszyscy mieli taką samą pewność swoich racji jak Ariane - żadna wątpliwość nie zakłócała atmosfery tej kawiarni. Miałam do czynienia z ludźmi,

* Mile End - dzielnica Montrealu skupiająca artystów i intelektualistów.

k którzy byli w stu procentach przekonani, że stoją po właściwej stronie barykady, bo zrozumieli wszystkie rzeczy, które należało zrozumieć, a które znajdowały się poza moim zasięgiem pojmowania. Jak to często podkreślała Ariane, byłam raczej nieczysta, zbyt indywidualistyczna, nie dość ideowa i rewolucyjna. Moja kultura i wiedza w tym miejscu mogła wywołać jedynie śmiech politowania wszystkich tych oświeconych.

Najśmieszniejsze zaś było to, że oni mnie onieśmielali. Te dziewczyny w chusteczkach na włosach i ci chłopcy chodzący w pareo. Podejrzywałam, że każdy z nich prowadził swój blog i zastanawiał się nad przyszłością planety. Ja musiałam walczyć z nudą, starając się pisać pamiętnik. Zastanawiałam się w nim głównie nad swoim życiem uczuciowym lub nad ilością wódki, która pozostała w zamrażarce po uzupełnieniu butelki wodą.

Miałam ochotę wstać i krzyknąć: Tak. Robię zakupy w GAP, a raz nawet zahaczyłam o Wal Mart. Jadam wołowinę, bo ją lubię. Ostatni raz byłam na koncercie U2, przestałam czytać „Vice Magazine”* dawno temu. Czytałam go i tak tylko dlatego, żeby mieć czyste sumienie (inni też dlatego czytali). Staram się nieustannie, ale bez rezultatu, przejmować rzeczami ważnymi i nadal w głębi duszy bardziej się martwię nagłym zniknięciem mojego kota niż bombami spadającymi na Bagdad. I nie potrafię w sposób bezkompromisowy i instynktowny uwierzyć, że „mój głos robi różnicę”. Zamierzałam właśnie zakończyć okrzykiem „jestem zwyczajna”, kiedy wreszcie zjawiła się Ariane.

- Elodie pali na zewnątrz! - oznajmiła na dzień dobry tonem tak zgorszonym, jakby jej siostra co najmniej wyszła na ulicę, żeby poszukać klienta.

- Przecież ona pali już dziesięć lat. - To miejsce pozbawiło mnie nawet cienia poczucia humoru.

*** „Vice Magazine” - czasopismo hipstersów, alterglobalistów itp. założone w Montrealu i wydawane w wielu krajach na Zachodzie. Obecnie ma siedzibę w Nowym Jorku. Dystrybuowane bezpłatnie. W Polsce nie ma odpowiednika.**

- Wiem! - oburzyła się Ariane. - Od dziesięciu lat potwarzam ci, że chyba nie zdajesz sobie sprawy z tego, jaką szkodę wyrządzają człowiekowi papierosy.

- Opuść sobie.

Zamilkła i uśmiechnęła się, a ja po raz kolejny zastanawiałam się, jakim cudem tak prawa i urocza istota mogła urodzić się w mojej rodzinie.

- Przepraszam - powiedziałam i też się uśmiechnęłam.

- W porządku. Mówiłaś jej o tacie?

- Nie, Wolałam zaczekać na ciebie.

- Dziękuję, najstarsza siostrze.

Westchnęłam jak zwykle, kiedy mnie tak nazywały. Tymczasem Ariane zamawiała herbatę o wyszukanej i szalenie zawiłej nazwie. Elodie wróciła na swoje krzesło, roztańczając lekki zapach papierosów i silniejszy syntetycznych perfum.

- No dobra - odezwała się - o co chodzi?

Ariane spojrzała na mnie i po raz pierwszy w życiu zrozumiałam, że jestem odpowiedzialna za te dwie dziewczyny, moje siostry, które, o dziwo, znałam przecież tylko powierzchownie.

- Dziewczyny... - zaczęłam, czując się, jakbym naprawdę miała tysiąc lat. - Zauważyłyście pewnie, że od jakiegoś czasu tata jest trochę... - co mam właściwie powiedzieć? Trochę jaki? Gdybym użyła sformułowania mamy „zapominalski”, zabrzmiałoby to jak zdrada (choć nie wiedziałabym dlaczego). Wyrażenie „z głową w chmurach” było zbyt bagatelizujące problem, a stwierdzenie „trochę się gubi”, brzmiało lekceważąco.

- Trochę jaki? - spytała Elodie, tupiąc lekko lewą nogą. Zawsze tak robiła, kiedy się denerwowała.

- Czasami zapomina o różnych rzeczach - dokończyłam.

Ariane zrobiła smutną minę, co dostrzegłam kątem oka, bo całą uwagę skupiałam na Elodie, która milczała. Obydwie najwyraźniej oczekiwały, że powiem coś jeszcze, że wyjaśnię, że powiem im coś konkretnego. Czułam się dziwnie. Z reguły to ja miałam tysiące pytań i żadnych odpowiedzi, a teraz one oczekiwały ode mnie wyjaśnień.

- Nie wiemy...

- Czy tata ma alzheimera? - zrozumiała Elodie. - *Oh, my God*, tata ma alzheimera!

Nie wiadomo, czy powtórzone przez Elodie zdanie było powtórzeniem pytania, czy stwierdzeniem już bez znaku zapytania.

- Nie! Absolutnie nie. Tata nie ma alzheimera. Nie wiadomo, co mu jest. Dlatego postanowił pójść na badania. To trochę potrwa...

- Czy on o nas zapomni? Zapomni nawet nasze imiona? - Jej pytanie było tak naiwne w swojej szczerości, że prawie się rozpłakałam. Wiele lat temu oglądałam film pod tytułem *Pamiętać o pięknych rzeczach* * i zrobił na mnie wielkie wrażenie. Przez wiele tygodni tworzyłam absurdalne listy rzeczy, których nie chciałam zapomnieć. Na wszelki wypadek. Nazwiska, obrazy, zdjęcia, opisy spojrzeń, których nie potrafiłam opisać. Takie pozornie nic nieznaczące sprawy, które dla mnie oznaczały chwile szczęścia. Jakieś popołudnie spędzone z Laurentem na rozwieszaniu zdjęć na ścianach; długie brunchy z chłopakami, kończące się po osiemnastej oglądaniem *Ojca chrzestnego* na DVD; wizyta taty w letnim domku wujka, kiedy razem bieглиśmy po moło i o mato nie wpadliśmy do jeziora w ubraniach, zatrzymaliśmy się nad krawędzią w ostatniej chwili. Tata zapytał wtedy: „Czy zapamiętalibyśmy tę chwilę bardziej, gdybyśmy wlecieli do wody?”. Ostatnio dołączyłam swoje spotkanie z Gabrielem w zaśnieżonym zaułku i opisałam jego uśmiech, kiedy zgodził się pójść ze mną do Laurenta.

- Elodie - powiedziała Ariane, kiedy zorientowała się, że nie mam nic do dodania - tata zachował się w porządku, prawda? Musimy poczekać, aż skończą te badania.

- Wiedziałaś o tym? - spytała. Nie wyglądała na obrażoną. Raczej na dotkniętą. - Naprawdę sądzicie, że jestem za dziecinna, by mi mówić o poważnych sprawach?

- Nie, głuptasku... - Ariane przytuliła ją do siebie - sama

*** *Pamiętać o pięknych rzeczach* - tytuł oryg.: *Se sowerinir des belles choses*.**

się dowiedziałam przypadkiem. A jeżeli tak jest, to myślę, że wszyscy uważają, że obie jesteśmy niedojrzałe.

Elodie uśmiechnęła się niepewnie, a Ariane pocałowała ją w policzek. Na chwilę znowu poczułam do nich dawną miłość. Absolutnie bezwarunkową i wielką, która z czasem słabła z powodu coraz rzadszych spotkań.

- Posłuchajcie - powiedziałam najpoważniejszym tonem najstarszej siostry, na jaki potrafiłam się zdobyć. Opowiedziałam im ze szczegółami o prośbie rodziców, żeby wszystko zachować w tajemnicy. Uczuliłam je najlepiej jak potrafiłam, żeby niczego nie mówiły mamie, jeśli nie chcą spędzić następnych tygodni przy telefonie, wysłuchując jej biadolenia na temat wdowieństwa. Ariane cały czas trzymała Elodie za ramię, nawet kiedy ktoś podchodził do stolika, aby się przywitać.

- Chciałabym z nim pójść - oznajmiła Elodie na koniec.

- Co?

- Mówiłaś, że czasami chodzisz z nim na te badania. Ja też chciałabym z nim pójść.

Tym razem nawet Ariane nie wiedziała, co powiedzieć. Czyżby wszyscy nie doceniali Elodie? Bo zarówno Fred, ja, jak i Ariane uważaliśmy, że jest ono ostatnią osobą, której można by zaufać w wypadku kłopotów osobistych.

- W porządku - powiedziała teraz - nie musisz odpowiadać. I tak wiem, że jesteście zazdrosne, bo jestem najbardziej udana z całej rodziny. - Uśmiechnęła się figlarnie.

- Nooo... po prawdzie zawsze uważałam, że to Marinę jest najładniejsza z naszej trójki - stwierdziła Ariane.

- Jesteś milutka - odparłam - ale dawno już zdałam sobie sprawę, że to ty jesteś najładniejsza. Zważywszy na twoje pasje...

Elodie roześmiała się naprawdę serdecznie. Ile to lat minęło, odkąd ostatni raz bawiłyśmy się w ten sposób, udając, że w ogóle nie zauważamy Elodie, która z naszej trójki spędzała najwięcej czasu na dbaniu o urodę. Przemknęło mi przez głowę, że było coś smutnego i ironicznego w tym, że to właśnie choroba taty spowodowała nasz powrót do zabaw z dzieciństwa.

- A na poważnie - powiedziała Elodie - następnym razem, kiedy będziesz szła z tatą...

Nie skończyła, bo ktoś zawołał mnie po imieniu tonem najwyższego zdziwienia. Ja także byłam zdziwiona (bo kto oprócz Ariane mógł mnie znać w takim miejscu?). Odwróciłam się i zobaczyłam Carole. Szła w moją stronę ubrana w elegancką garsonkę.

- Co ty tu robisz? - spytałam.

- To najlepszy lokal w okolicy. A co ty tu robisz?

- Zaprosiła mnie moja siostra, Ariane. - Skinęłam głową w stronę średniej siostrzyczki.

- Aha - odparła Carole, kiwając głową z lekkim uśmiechem. Chyba pierwszy raz w czasie naszej znajomości miałyśmy ze sobą coś naprawdę wspólnego. W tym lokalu zawód adwokata do spraw cywilnych musiał być w równie wielkiej pogardzie, co mój sweter z mało ekologicznej wełny.

- Właściwie to moje obie siostry - dodałam. Czułam się dziwnie z nich dumna. Uważałam, że są piękne i wyjątkowe - te dwie istotki, które jeszcze nie tak dawno przecież przewijałam i karmiłam. - A to Carole - dodałam - dziewczyna Laurenta.

Elodie nie byłaby sobą, gdyby nie obrzuciła Carole bezlitosnym spojrzeniem oznajmiającym, że tamta nie może być dla Laurenta równie dobra, jak ktokolwiek z naszej rodziny. Natomiast Ariane podała jej rękę na powitanie, dodając (nie wiadomo po co), że „była zmęczona Laurentem”.

- Widujesz się czasem z Gabrielem? - spytała Carole, zmieniając temat. - Facet jest naprawdę genialny!

Przez sekundę byłam zła (może całkowicie bezpodstawnie i małostkowo) i chciałam jej poradzić, żeby poszperała w swoim notatniku, może znajdzie się tam numer Gabriela, skoro ma takie ciągoty do facetów, których kochałam przed nią. Potem doszłam do wniosku, że może stara się być miłą i chce jedynie dzielić z nami „dziewczyńskie chwile” (jak to nazywała Elodie). Poczułam takie wyrzuty sumienia, że o mało nie zaproponowałam, żeby do mnie wpadła na plotki przy kieliszku właśnie bez Laurenta. W końcu naprawdę słabo ja znałam.

- Owszem - odparłam - mamy się spotkać w tym tygodniu. Jutro lub pojutrze musimy się dzwonić.

- Auuu! - zawołała z zachwytem. - W każdym razie trzymam za was kciuki. Naprawdę. - Uśmiechnęła się do mnie miło i zaczęła wstawać.

- A może wpadniesz kiedyś do mnie na drinka bez Laurenta, żebyśmy mogły swobodnie pogadać?

Jej zadowolona mina świadczyła, że sprawiłoby to jej przyjemność. Przez chwilę pomyślałam, że może naprawdę pozbawiam się pewnych radości, spędzając wolny czas tylko z chłopakami. Może przyjaźniąc się z dziewczynami, poznałabym inny rodzaj porozumienia, właściwy kobietom, więcej wrażliwości, koleżeńskiej czułości i wspaniałomyślności?

- Zdzwonimy się? - zapytała.

- *Anytime**...

Ledwo zdążyła odejść od naszego stolika, kiedy Elodie (przejęła po mamie to przekonanie, że osoba, której ona nie widzi, nie może również jej usłyszeć) zapytała z oburzeniem:

- Chyba nie zamierzasz paktować z wrogiem?

- To nie wróg.

- To flama Laurenta!

Przez moment pomyślałam o Gabrielu. Jeżeli jakimś cudem nie uważa mnie za wariatkę, a moich przyjaciół za uciekinierów ze szpitala dla umysłowo chorych i jeżeli za przyczyną kolejnego cudu będziemy razem, to wtedy będzie musiał stawić czoło mojej rodzinie, która będzie go oceniała według jednego, jedynego kryterium: „to nie jest Laurent”.

- Jest jakaś smutna - stwierdziła Ariane.

- Kto?

- Ta blondynka Laurenta. Jest smutna.

Chciałam odruchowo zaprotestować, ale uświadomiłam sobie, że Ariane ma rację. Carole zawsze są uśmiechała, ale nie mogłam sobie przypomnieć, żeby kiedyś była naprawdę roześmiana. Usłyszałam ponownie głos Mathiasa,

*** *Anytime* - Kiedy zechcesz - ang.**

kiedy telefonował tamtego ranka, szukając Juliena. Przypomniałam sobie, ile razy mówiłam Marie-Lune, że Jeffa nie ma, podczas gdy siedział obok mnie z piwem w ręku. Dlaczego im to robiliśmy? Przecież to byli ludzie, których niby kochaliśmy. Czyżby nasza czwórka nie oszukiwała tylko siebie, w specyficzny sposób separując się od całego świata? Ta myśl tak mnie zasmuciła, że kiedy spojrzałam przez okno na szare niebo i zaśmiejoną ulicę, ogarnęła mnie dojmująca tęsknota za latem i słońcem.

- Muszę już lecieć - powiedziałam - umówiłam się z Laurentem i Jeffem na aperitif. Poza tym tu jest za dużo fluidów artystycznych i politycznych w powietrzu. Zaczyna mnie już boleć głowa.

- Jesteś zazdrosna, panno bez poglądów.

- Trafiona - odparłam z uśmiechem.

- Mogę iść z tobą? - spytała Elodie - zawsze trochę się bałam wełny z lamy. - Obok nas przechodziła właśnie dziewczyna w swetrze zrobionym z wełny lamy i w berecie a la Che Guevara. Spojrzała na Elodie złym wzrokiem. - Poza tym - kontynuowała Elodie, nie zwracając kompletnie uwagi na pannę Che - strasznie lubię pięknego Jeffa...

- OK - powiedziałam - Ariane, przytrzymaj ją przez moment. Już mnie nie ma.

Ariane udawała, że ją trzyma za ręce, a ja poszłam zapłacić.

- Zadzwońisz do nas po spotkaniu? - Elodie, tym razem niezwykle poważnie, co było do niej bardzo niepodobne, dodała: - Zadzwońisz do mnie, kiedy będziesz szła z tatą do szpitala?

- Tak - zgodziłam się bez wahania.

Kiedy już byłam w drzwiach, usłyszałam przestraszony okrzyk Elodie. Przystojny młody człowiek z dreadami co najmniej na metr długimi podszedł przywitać się z Ariane. W ręku trzymał coś zawiniętego, co z daleka wyglądało jak prosiak, a z bliska okazało się nim naprawdę.

Okropnie śmiać mi się chciało na wspomnienie reakcji Elodie, kiedy prosiaczek usiadł sobie na jej pięknych czerwonych kozaczkach z imitacji skóry krokodyla. Weszłam

do Lulli i od razu dostrzegłam przy barze Jeffa, który razem z Andrew dawał mi jakieś niezrozumiałe znaki. Ruszyłam w ich stronę, pokazując gestem, że nie rozumiem, o co im chodzi, kiedy zostałam złapana za ramię przez Laurenta.

- Możesz mi łaskawie powiedzieć, dlaczego nie odbierasz komórki? - spytał.

- Jak to? - wyjęłam telefon z torby. Miałam jedenaście nieodebranych połączeń. Siedem od Jeffa i trzy od Laurenta. Ostatnie pochodziło z numeru barowego i zostało zarejestrowane zaledwie minutę wcześniej. - Co się dzieje?

Laurent ustawił mnie brutalnie przed sobą, a potem pochnął w stronę Jeffa.

- Chcieliśmy cię uprzedzić - powiedział, wpatrując się w coś za moimi plecami - może nie chciałyś tu dziś przychodzić. A ponieważ nie powiedziałaś, gdzie będziesz...

- Ale co się stało? - Pomyślałam, że za moimi plecami Gabriel właśnie całuje się z dziewczyną, która nie jest mną.

- Trochę się zdziwił, kiedy nas zobaczył, ale uparł się, że poczeka na ciebie.

- Jeżeli nie wykrztusisz wreszcie jego imienia, to zacznę krzyczeć!

- Właśnie... - Jeff złapał mnie za rękę i spojrzał na mnie bardzo poważnie - musisz zachować spokój. I postaraj się być miła. Wygląda, jakby go coś mocno trzasnęło. Będziemy obok.

Zabierałam się właśnie do wrzasku, kiedy usłyszałam za plecami głos, którego oczywiście nie mogłam nie poznać.

- Jeżeli znowu zjawią się tu obaj - usłyszałam głos Andrew mówiącego do Laurenta - *I'm gonna die laughing**.

A ledwo godzinę wcześniej zastanawiałam się, czy nasza czwórka nie ma przypadkiem swistego daru unieszczęśliwiania innych. Odwróciłam się, żeby stawić czoło Christophe'owi, którego nie widziałam od prawie dwóch miesięcy. Teraz spoglądał na mnie wzrokiem pełnym bólu i niemych pytań.

*** *I'm gonna die laughing* ~ Umrę ze śmiechu - ang.**

Do: Freda

Od: Marinę Vandale

Temat: Bez wątpliwości

Znasz ten typ ludzi, którzy lubią powtarzać, że ich życie jest jak powieść? W moim wypadku to niestety raczej teatrzyk ogródkowy. Laurent wczoraj ujął to delikatniej, używając określenia „wodewil”. Po moim potrójnym występie w Lulli i numerze u Laurenta nie mam jednak żadnych wątpliwości, że to zwykła burleska. Lada chwila ktoś powinien do mnie zadzwonić po prawa autorskie.

Do: Marinę

Od: Frederica Vandale

Temat: Pisarz w potrzebie

No to bądź tak uprzejma i wszystko mi opowiedz. Już po raz trzydziesty zaczynam pisać tę moją książkę i wszystko wyrzucam do kosza. Brak mi weny twórczej. Więc równie dobrze mogę się wziąć do burleski.

Do: Freda

Od: Marinę Vandale

Temat: Nieszczęście jednych jest...

Wierzysz, że nieszczęście jednych jest szczęściem innych?

Do: Marinę

Od: Frederica Vandale

Temat: ...szczęściem innych

Jeżeli prorokujesz, że dzięki twoim przejściom mam szansę zaistnieć następnego lata w paryskich teatrzykach, to odpowiedź brzmi: tak.

Do: Freda

Od: Marinę Vandale

Temat: Przywołanie do porządku

Trochę powagi, proszę. Kiedy chcę się pośmiać, to mam na dwójce show Marcela Leboeufa*.

Do: Marinę

Od: Fréderica Vandale

Temat: Pamiętam Marcela

Pamiętasz chyba, że jedyny raz, kiedy byłem w teatrze ogródkowym, to spotkałem tam Marcela?

Do: Freda

Od: Marinę Vandale

Temat: re: pamiętam Marcela

Pamiętam. Byłeś przecież ze mną, z rodzicami i ciotką Emmą, która się śmiała jak głupia, co nas peszyło. Stąd moja aluzja. A teraz możesz już odpowiedzieć na moje pytanie?

Do: Mariney

Od: Frédérica Vandale

Temat: Brak jasności w tej kwestii

Nie pomogłabyś mi trochę? Bo nawet ja nie umiem sobie odpowiedzieć, dlaczego taki problem nagle zaprzatnął główkę mojej siostrzyczki.

Do: Freda

Od: Marinę Vandale

Temat: Wyjaśnienia

Żeby całą historię skrócić (o ile to możliwe, oczywiście), spotkałam Christophe'a. Był wręcz przesiąknięty zadziwiającym przekonaniem, że skoro jesteśmy dorośli, to powinniśmy porozmawiać o tym, co nazwał „prawdziwymi problemami”. I nie kłamał. Powiedział mi masę rzeczy, które są niestety prawdziwe i przez to trudne do przyjęcia. A ja jestem tchó-

* Marcel Leboeuf - aktor prowadzący popularny program rozrywkowy w kanadyjskiej TV.

rzem i nie chcę się przyznać nawet przed sobą, że mogłam mu sprawić tyle bólu.

Do: Marinę

Od: Frederica Vandale

Temat: Bolesny rozwój

Cóż mam ci powiedzieć, Marinę. Dorastanie zawsze jest bolesne. Sam mam kilka nieprzyjemnych wspomnień. Ale tak naprawdę, to chciałbym wiedzieć, jaki jest związek między nieszczęściem jednych, szczęściem innych i twoją osobą?

Do: Freda

Od: Marinę Vandale

Temat: Do rzeczy

A taki, że mam głowę zaprzątniętą myślą o spotkaniu z Gabrielem w przyszłym tygodniu. A mój były twierdzi, że wciąż cierpi, mimo że nie powinien. Może niezbyt jasno się wyrażam, ale to ty jesteś pisarzem, więc powinieneś sobie jakoś z tym poradzić. Mam tylko jedno pytanie: Czy sądzisz, że istnieje jakaś *kosmiczna* zależność w równowadze świata, która sprawia, że każdemu szczęściu musi towarzyszyć równoważne nieszczęście?

Do: Marinę

Od: Frederica Vandale

Temat: Rozwój zahamowany

Postaram się odpowiedzieć na twoje pytanie bardzo szczerze. Kocham cię bardzo, ale jakoś nie umiem sobie wyobrazić, żebyś miała aż taki wpływ na losy kosmosu. Odpowiedź brzmi więc: Nffi. Myśl nie jest taka nowatorska, ale osobiście zawsze byłem przekonany, że sami jesteśmy odpowiedzialni za nasze szczęście.

Do: Freda

Od: Marinę Vandale

Temat: Bolesna prawda

Niech ci będzie. Może naprawdę powinnam jeszcze trochę dorosnąć. Ale to bardzo złożony proces. Mogę zacząć od zaraz?

Do: Marinę

Od: Frederica Vandale

Temat: re: re: Bolesna prawda

Od czego?

Do: Freda

Od: Marinę Vandale

Temat: re: re: Bolesna prawda

Porozmawiam z Jeffem.

Rozdział 8

Oczywiście rozmowa z Jeffem stałaby się o wiele łatwiejsza, gdyby był w domu. No i gdybym wiedziała, o czym właściwie chciałabym z nim porozmawiać. Miałam na ten temat mgliste pojęcie. Chciałam mu powiedzieć, że od czasu mojej gafy nie jest jak dawniej. Ze wkradł się między nas wredny wirus niedopowiedzenia, który się rozmnażał, tworząc nowe niedopowiedzenia nakładające się na siebie. I w ten sposób pozornie nieistotne drobiazgi urastały do rangi rozdętych problemów. Zawsze sobie mówiliśmy o wszystkim. Byłam dumna z tego, że potrafiłam czytać z zachowań Jeffa jak z otwartej książki. Teraz odnosiłam wrażenie, że obcuje z istotą, o której wiedziałam wszystko, ale obecnie nie potrafię odtworzyć tej wiedzy z pamięci.

Nie bardzo wiedziałam, jak mam mu o tym powiedzieć i od czego w ogóle zacząć. Będąc sama w mieszkaniu, powtarzałam wszystko na głos. Taki nawyk z czasów dzieciństwa, kiedy korzystałam z każdej cennej chwili, żeby ćwiczyć monologi, zamiast doceniać piękno ciszy tak rzadkiej w naszym domu. Kot spoglądał na mnie nieporuszony, mimo że każdą kwestię kończyłam pytaniem: „co o tym sądzisz?“, skierowanym w jego stronę. Wyglądało jednak na to, że cała sprawa nic go nie obchodzi.

- Posłuchaj - teraz przemawiałam do kwiatów - może uznasz to za kretyńskie, ale mam wrażenie, że wszystko jest nie tak, jak było. Nie mów mi od razu, że to nieprawda - wyciągnęłam w stronę roślinki podniesiony palec jak rasowy mówca - jeżeli mi zaprzeczysz, to wołałabym, żeby to było szczere.

Właśnie tego pragnęłam najbardziej. Szczerego zaprzeczenia. Pragnęłam, żeby mnie przekonał, że jak zwykle się myślę. Żeby te słowa podtrzymały mnie na duchu, a jego obecność wyrwała mnie choć na chwilę ze szponów wątpliwości.

Kiedy dostrzegłam, jak kot mruży ślepią, przyglądając mi się, przyszło mi do głowy, że skoro chcę dorosnąć, to raczej powinnam przestać przemawiać do roślin. Christophe rozmawiał ze mną. Bezpośrednio. Cóż, może wcześniej też ćwiczył przed jakimś kaktusem, ale przynajmniej udało mu się przełożyć to później na rozmowę ze mną, czyli z żywą istotą. A to już niewątpliwie byłoby dla mnie jakieś osiągnięcie.

Wtedy w Lulli usiedliśmy z Christophe'em przy stoliku pod oknem z widokiem na ulicę. Zauważył chyba moje spojrzenie w stronę chłopaków, w którym mieszały się błaganie o pomoc i rozpacz, bo się uśmiechnął.

- Nie przyszedłem tutaj kłócić się z tobą - powiedział nadzwyczaj łagodnie.

Uśmiechnęłam się niemrawo i z przymusem. Chociaż nawet musiałam się powstrzymać, żeby nie pogłaskać go po twarzy. Nie widziałam go tyle czasu i teraz wydawał mi się jakby młodszy. I to mimo świeżo zapuszczonej brody, z którą mu było całkiem do twarzy. Wydawał się ładniejszy niż w moich wspomnieniach. Na początku naszego związku nie potrafiłam o nim mówić inaczej niż dodając, że jest taki *fucking cute**. Akcent był na słowie *cute*, jakby chodziło o jakąś rzecz, którą można zjeść. A Gabriel był po prostu piękny. Oba tych pojęć nie sposób pomylić, podobnie jak tych dwóch mężczyzn.

- Christophe... - zaczęłam, nie mając pojęcia, co chcę powiedzieć. Kilkanaście banałów kłębiło się gdzieś w mojej głowie. Na przykład „gdybym wiedziała...” i „tak mi przykro...”. Były puste i w sumie fałszywe. Bo przecież wiedziałam i nie było mi wcale tak przykro, jak powinno (i dopiero z tego powodu zrobiło mi się przykro).

*** *Fucking cute* - tu: cholernie fajny - ang.**

Zaśmiał się cicho, jakby wiedział, co myślę. I pewnie tak było, bo przecież trochę mnie znał. Miałam ochotę schować się gdzieś między Laurentem i Jeffem.

- Nie przyszedłem tu specjalnie - oświadczył - nie szukałem ciebie po wszystkich barach w mieście, nic z tych rzeczy. - Znów zaśmiał się nieco smutno. - Tak naprawdę nie byłem tutaj już od... - zrezygnowany machnął ręką - pewnie już czas zacząć coś z tym robić... nie mogę przecież być zły na ciebie w nieskończoność.

- Jesteś bardzo zły? - ledwie zaczęłam, a już uświadomiłam sobie, jak głupio to zabrzmiało. Zamiast odpowiedzieć, Christophe wzruszył lekko ramionami.

- Tak mi przykro - powiedziałam.

- Wiem. - Napił się piwa i zaczął się wpatrywać w podkładkę z czerwonym napisem *My Goodness My Guinness* *. Jak mogłam komuś takiemu wyrządzić krzywdę? Wyciągnęłam rękę niepewna, co w ogóle mam zrobić. Miałam ochotę go przytulić, ale przecież byłoby to nie na miejscu.

- Wiesz, co mnie najbardziej bolało?

- Co? - zapytałam, choć nie chciałam tego wiedzieć. Tak naprawdę chciałam, żeby to on mimo wszystko przytulił mnie do siebie. Zawsze uważałam go za nastolatka z rozczochranymi włosami i modnymi T-shirtami, emanującego zmysłową nonszalancją. A teraz dopiero rozumiałam, że zawsze zachowywał się jak trzydziestoletni mężczyzna, a to ja byłam za mało poważna i wciąż bujałam w obłokach, jakbym miała osiemnaście lat.

- Kiedy rozumiałem, że w głębi serca nigdy mnie nie kochałaś.

- Christophe... - zamilkłam, bo cóż mogłam powiedzieć. Nie byliśmy z sobą nawet rok. Nigdy nie doszliśmy do etapu wyznań w stylu „kocham cię”. A ja w swoim egocentryzmie nigdy nie pomyślałam, że on może mnie naprawdę kochać. Byłam ślepa. Chciałam tylko przyjemności i łatwego życia i nie potrafiłam zrozumieć, że życie czasami bywa skomplikowane.

*** *My Goodness My Guinness* - tu: O Boże! Toż to Guinness - ang.**

Próbowałam trochę protestować dla przyzwoitości, ale Christophe powstrzymał moje zapędy. Więc zamilkłam.

- Wiem, że i tak nie zostalibyśmy ze sobą - dodał - i nawet nie chodzi o to, że ty... że z moim przyjacielem... pewnie tak być musiało. Zrozumiałem przynajmniej, że dziewczyna, która to robi, nie jest zakochana. Tylko że ja byłem taki naiwny.

Milczałam, wpatrując się w dno kieliszka. Chętnie bym się tam schowała. Nawet chciałam udać, że się zaraz rozpłaczę, ale to byłoby jeszcze bardziej obraźliwe dla niego. I tak już mu wystarczająco mocno dokopałam.

- Wiesz - kontynuował - żebyś zrobiła to z kimkolwiek innym... ale z Patrickiem? - powiedział to takim tonem, że od razu zrozumiałam, że wciąż jest urażony. - Zakochana dziewczyna nigdy by nie zrobiła czegoś takiego facetowi, którego kocha.

- Jestem okropna. Naprawdę...

- Nie. Nie jesteś okropna. Po prostu mnie nie kochałaś.

- Nie spierajmy się. Jestem okropna.

- OK. Może to nie było w porządku, ale nie jesteś okropna.

- Jak możesz tak mówić?

- Bo to ja zakochałem się w tobie, w takiej, jaka jesteś, a przecież wiem, że nie jesteś okropna. Jesteś egocentryczna jak diabli, boisz się zaangażować, nie umiesz wydorosnąć... ale nie jesteś okropna.

- Nie boję się zaangażowania.

Zrobił nieokreślony ruch ręką, a ja nie nalegałam. W końcu nie siedzieliśmy tutaj, żeby leczyć moje kompleksy. To już byłby szczyt egoizmu z mojej strony.

- Jesteś wspaniały - powiedziałam.

- Proszę?

- Jesteś wspaniały. Każdy inny facet na twoim miejscu już dawno nie chciałby ze mną gadać.

- Ja też tak o tym myślałem. Cały miesiąc musiałem ze sobą walczyć, chciałem wyrzucić cię z myśli. Robiłem to pod prysznicem, przy śniadaniu, pijąc piwo, podpisując dokumenty, na lunchach z kumplami. Nawet kiedy kochałem się z inną kobietą. Dopiero wtedy do mnie dotarło, że muszę

wreszcie zacząć żyć normalnie. - Uśmiechnął się niewyraźnie. Próbował obrócić wszystko w żart, co było bardzo szlachetne z jego strony. Również starałam się uśmiechnąć.

- Rozumiem - powiedziałam. - Pewnie wylejesz mi to piwo na głowę, jeśli powiem jeszcze raz, że jest mi przykro?

- Warto rozważyć ten pomysł.

- Chciałabym ci podziękować. Za to, że jesteś... sama nie wiem... taki mądry i dojrzały? - Wstydziłam się siebie samej. Gadałam banały mężczyźnie, który mnie kochał, a którego nawet nie umiałam docenić. Powiedziałam więc jedynie to, w co szczerze wierzyłam:

- Jesteś naprawdę wspaniały.

- Ale nie dość wspaniały. - Wstał i uściśnął moje ramię. - cześć, Marinę.

- Cześć - powtórzyłam. Wyszedł, kiwnąwszy na pożegnanie ręką do Jeffa i Laurenta, którzy obserwowali nas, siedząc przy barze.

Od tamtej pory prześladowały mnie jego słowa. Niezbyt dotkliwie - ale cały czas tkwiły gdzieś w mojej podświadomości. Pojawiały się w najprzeróżniejszych momentach, przypominając mi o tym, co zrobiłam.

Po raz kolejny oblażłam całe mieszkanie, jakby to miało wywołać Jeffa. Znowu mi zaczynało odbijać. Chodziłam i gadałam do kota i roślin. Ale przynajmniej wydawało mi się, że mam teraz tysiąc rzeczy do powiedzenia Jeffowi i że są to sprawy nadzwyczaj poważne. Dalej jednak jakaś część mnie (niezainfekowana szaleństwem) zdawała sobie sprawę, że odpowiedzi na moje problemy nie znajdę u Jeffa czy w mejlach otrzymany od brata, tylko w mojej własnej głowie. Od lat lubiłam się wyręczać wszystkimi, zadając pytania całemu światu lub po prostu Jeffowi, Laurentowi, Julienowi. A teraz dołączył do nich Gabriel.

Konieczność polegania na innych była u mnie niezwykle silna. Laurent śmiał się z tego i za każdym razem, kiedy w moim życiu zjawiał się jakiś mężczyzna, pytał mnie z kpina w głosie, czy to kolejny zbawca. Ale wiem, że zaczęłyby się dziwić, gdybym przestała się tak zachowywać.

To, co łączyło całą naszą czwórkę, to była niezachwiana wiara w lepszą przyszłość, zgodną z naszymi marzeniami, których nie chcieliśmy stracić. Przez to żyliśmy w stanie ciągłego wyczekiwania. Na kogoś, na jakiś gest, na trochę uczucia, które i tak potem okazywało się bez znaczenia, bo przecież po nim miało nadejść coś, co było nieuniknione. Zastanawiałam się, czy to nas nie wykończy. Czy w wieku osiemdziesięciu czterech lat nie będziemy kiwali się razem na bujanych fotelach w domu opieki. Nadal nieugięci i nieskorzy do najmniejszego kompromisu.

- Ty także nie lubisz kompromisów, prawda? - spytałam kota, całując go w pyszczek. I przyszło mi do głowy, że on już przystał na kompromis, i to kompromis na całe życie, bo zgodził się zostać kotem domowym.

Wysłałam SMS do Laurenta:

„Czy sądzisz, że jesteśmy wolni?”.

„Jeśli chcesz, sesja pytań o 16.00” - odpisał po dwóch minutach.

„Pytam poważnie. Czy uważasz, że jesteśmy wolnymi ludźmi?” - odpisałam.

„Pytasz faceta, który od małego jest niewolnikiem własnych lęków i zachcianek. Co mam ci odpowiedzieć?”.

- Tego się obawiałam - powiedziałam do kota.

- I jak tam? - spytała Elodie, udając, że porządkuje kredki na biurku. Podejrzewałam, że kiedy mnie nie ma, moja siostra nie robi absolutnie nic. Ale jakoś nie mogłam mieć jej tego za złe. Nasza rodzina od pokoleń była obciążona lenistwem. Nasz pradziadek ze strony ojca szczylił się tym, że większość dnia udawało mu się przespać. Nasza babcia ze strony mamy wychowała swoje dzieci na TV Dinner, uważając ten program za największe odkrycie ludzkości od czasu wynalezienia koła. Sama byłam leniwa aż do bólu. Gdybym nie miała zamówień, umów i nieprzekraczalnych terminów, to pewnie zrobiłabym tak samo jak Frédéric. Siedziałabym w Paryżu od dwóch lat i udawała, że piszę książkę.

- W porządku - mruknęłam bez przekonania, rozbiegając się. Elodie przekładała kredki z jednego końca biurka na drugi

bez wyraźnego powodu. Obserwowałam ją przez chwilę, łudząc się, że jest w tym jakiś głębszy cel, ale musiałam się poddać. Flamastry, węgiel do rysowania, kredki - wszystko zostało pomieszane bez cienia szacunku dla koloru, marki czy przeznaczenia. Pewnie bym się roześmiała na ten widok, gdybym była w lepszym humorze.

- No dobra - odezwała się Elodie matczynym tonem - powiesz mi wreszcie, co się stało?

- Naprawdę chcesz wiedzieć?

- Jasne. - Jej ton mówił raczej: „za nic w świecie”.

- Mam trzydzieści dwa lata i właśnie zrozumiałam, że to, co do tej pory uważałam za wolność, w rzeczywistości jest jej przeciwieństwem. A więc nie dość, że nie jestem wolna, to na dodatek od lat sama się okłamywałam. Jakies pytania?

Elodie spojrzała na mnie i westchnęła z odrobiną przesady. Wyglądała na nieco zdezorientowaną i teraz już nie mogłam się powstrzymać od uśmiechu.

- Jaja sobie robisz? - spytała niepewnie.

- Sama chciałaś wiedzieć - odparłam, śmiejąc się nadal. Wzruszyła ramionami, uważając widocznie, że jestem zbyt ograniczona, żeby odróżnić pytanie z grzeczności od prawdziwego. Rozkładałam właśnie czysty arkusz bristolu na biurku, kiedy usłyszałam:

- Mogłam ci to powiedzieć już wieki temu. Ty i te twoje ideały! Kiedy byłaś z Laurentem, to przynajmniej zaczynałaś rozumieć, że nie wszystko zawsze jest idealne i że to właśnie czyni życie ciekawym... a teraz... pfff!!! - Popukała się znacząco w głowę. - Znowu coś sobie uroiłaś... Boże! Czasami zachowujesz się, jakbyś wciąż miała piętnaście lat.

- A ty może masz już umysł czterdziestolatki? - odparłam, niestety czując, że buntuję się jak piętnastolatka.

- Nie. - Elodie wzruszyła ramionami. - Ale przynajmniej nie robię sobie złudzeń na swój temat. Ty będziesz dalej śniła, kiedy będziesz musiała używać kilograma błyszczycy i tony sprayu.

- Wydawało mi się, że po to właśnie wymyślono szminkę i spray. Żeby podtrzymywać iluzję.

- To nie dotyczy ciebie. Ty i tak robisz wszystko na odwrót.

- Elodie... - brakowało mi tej pewności siebie, jaką ma dwudziestolatka, której niepotrzebne są żadne iluzje. Teraz musiałam sama je sobie tworzyć, a one mnożyły się jak chwasty i zagłuszały słabe roślinki zdrowego rozsądku.

Spodziewałam się kłopotów, rozczarowań i zrad. Zakładałam nawet, że te zdrady nie muszą być tragiczne w skutkach i że dalej będę mogła żyć w swoich iluzjach. Chociaż coraz częściej zastanawiałam się, czy te osty w ogrodzie nie mogą być pożyteczne, skoro są nieuchronne? Ale nie byłam jeszcze gotowa, żeby się poddać. Wciąż marzyłam i tworzyłam wspaniałe obrazy siebie z Gabrielem, jak roześmiani siedzimy w słońcu na plaży otoczeni moimi przyjaciółmi. Przyjaciółmi szczęśliwymi jak my, bo nasze szczęście koniecznie musi być zaraźliwe.

- Nie mogę uwierzyć, że pytam o to ciebie. Naprawdę uważasz, że żyję złudzeniami?

Elodie aż podskoczyła z wrażenia.

- Auuu... Trzeba zadzwonić do mediów, przygotować notatkę do prasy i w ogóle coś zrobić. Najstarsza siostra pyta mnie o poważne sprawy. Świat stanął na głowie!

- Sarkazm u ciebie to piękna rzecz... ale pytałam poważnie.

- Marinę - zaśmiała się ponownie, ale tym razem z niedowierzaniem - nie robisz sobie jaj?

- Tylko na tyle cię stać? - zabrałam się do rysowania konia. Z jakiegoś powodu ta rozmowa wprawiała mnie w zażenowanie. Chyba nie chciałam ujawniać swoich wad przed Elodie. Koń zaczynał nabierać kształtów.

- Marinę, nigdy ci tego nie mówiłam. Jak byłam mała, myślałam, że to jest normalne, ale kiedy zaczęłam wchodzić w świat dorosłych, to... - pokiwała palcem i głową jednocześnie - *noooooo way**.

- Szczerze mówiąc. - tak się rozpędziłam, że teraz mój koń dorobił się potężnego ogona, który wystawał już poza bristol - chyba nie jest aż tak źle?

*** *Noooooo way* - tu: Tak się nie robi - ang.**

- Nie mówię, że to złe czy dobre, czy jakieś tam. Zapytałaś, więc powiedziałam swoje zdanie. To wszystko. Zawsze marzyłam o rzeczach niemożliwych...

Przypomniałam sobie pewien wieczór, kiedy siedziałam w piżamie w pokoju dziewczynek. Musiałam mieć wtedy ze czternaście lat. One miały - jedna osiem, druga pięć. Opowiadałam im niesamowite historie, które wymyślałam całymi godzinami. Stawałam przed nimi jak na scenie i opowiadałam oszałamiające historie na przykład o miłości, którą spotkam w dniu swoich siedemnastych urodzin. Stanie się to w Meksyku, na plaży. On będzie Amerykaninem w wieku dwudziestu trzech lat. Zaprosi mnie do tańca i będzie przytulał i będziemy tańczyć w rytmie samby. Zmieniali się bohaterowie moich marzeń. Gwiazdy filmowe ustępowały miejsca postaciom z powieści (ileż to przygód miałam z hrabią Monte Christo!). Później bohaterami byli starsi chłopcy spotykani na korytarzu w szkole, którzy mi się podobali, a z którymi nigdy nie zamieniłam ani słowa.

- Wszyscy to robią - powiedziałam tonem zranionego dziecka.

- Ale nie w wieku trzydziestu lat, Marinę. I nie patrz tak na mnie. Wiem, że wciąż to robisz.

Koński ogon nabierał rozmachu, zamieniając się w spiralę oplatającą wierzchowca,

- To bardzo ładne - uznała Elodie.

- Czy ja wiem?

- Naprawdę. Będę mogła go wziąć?

- To zwykły bohomasz.

- No to co? Mnie się podoba. Będę mogła to wziąć?

- Chyba... tak.

Podeszła do mnie blisko i razem przyglądałyśmy się obrazkowi. Pachniała truskawką i cukierkami i zastanawiałam się, jak mężczyźni mogą lubić ten zapach, który w niczym nie przypominał woni istoty ludzkiej.

- Wiesz - powiedziała - czasami myślę, że wszyscy powinniśmy być tacy jak ty - marzyć i mieć szalone sny. To, co się wymyśli samemu, jest zawsze takie piękne.

Spojrzałam na nią, ale po chwili odwróciłam wzrok i skupiałam się na rysowaniu.

- Ale sama nie wiem - mówiła dalej - jakaś część mnie sądzi, że ty... no wiesz.

- Co? - spytałam, ale przecież naprawdę wiedziałam. Jeff mi to powtarzał. Julien o tym mówił. Sama to sobie tłumaczyłam wiele razy.

- Ze koniec końców, myśląc tak jak ty, można się okropnie rozczarować. Bo przecież rzadko kiedy udaje się urzeczywistnić marzenia.

Ostatnie słowa zabrzmiały jak zaklęcie, po którym rozległ się dzwonek do drzwi. Posłaniec przyniósł kwiaty. Wielki bukiet herbacianych róż wraz z liścikiem: „Powiedziałaś mi kiedyś, że nie ma nic zdrowszego, niż ulec czasami podszeptom wyobraźni. Moja wyobraźnia szepnęła mi: do poniedziałku - Gabriel. PS Nie umiałem znaleźć właściwej gry słów. Tak naprawdę chodzi o głos mojego serca”.

Popatrzyłyśmy na siebie obie szczerze zaskoczone.

- Ale jak ty to zrobiłaś? - zapytała Elodie. - Kazałaś facetowi czekać na jakiś sygnał?

Nie odpowiedziałam, bo usiłowałam otrząsnąć się z szoku. Po kilku sekundach zaczęłam skakać i tańczyć jak szalona, przyciskając bukiet do serca. I okazało się, że Elodie nie jest ani tak opanowana, ani tak rozsądna, jak chciała się wszystkim wydawać, bo zaczęła skakać razem ze mną.

Obie uznałyśmy, że to miłe wydarzenie właśnie dowiodło, iż snucie marzeń w życiu to jest postawa jak najbardziej właściwa.

Laurent potrząsał nerwowo pustą solniczką nad porcją tatara.

- To było naprawdę w bardzo starym stylu - oznajmił.
- Kto dziś wysyła kwiaty?

- Możesz trochę wysilić swój dowcip?

- Nie jestem dowcipny, tylko zastanawiam się, co będzie następnym etapem w stylu retro? Może trzeba się przepisać ze swoim trenerem od aerobiku?

- Mój trener jest fantastyczny. Ma superniebieskie oczy i zadeczek jak marzenie.

- Miauuu - ucieszył się Julien.

- Siusiu robi na siedząco - dodałam, żeby pozbawić Julię cienia nadziei.

- Mam to w nosie. Może sobie susiać uchem. Widziałem to ciało i mówię wam... miauuu... miauuu.

- Zaraz rzygnę - oznajmił Laurent.

Oboje z Julienem wybuchliśmy śmiechem. Po raz pierwszy od dwóch tygodni było nam naprawdę wesoło.

- Kwiaty?! Kto dzisiaj wysłał kwiaty? Też coś! - Tym razem kiwnęliśmy z Julienem głowami, mając szalenie poważne miny.

- Mógłbyś sam o tym pomyśleć.

- Właśnie - przytaknął Julien.

- Ale czemu akurat kwiaty? - Teraz słowo „kwiaty” zostało wypowiedziane z takim przekąsem, jakby nie wypadało ich pod żadnym pozorem komuś ofiarowywać. - Kwiaty... też coś...

- Ty kiedyś też wysłałeś mi kwiaty! - dodałam.

- Na urodziny! - Laurent westchnął przesadnie, ale wiedziałam, że jest niezadowolony z faktu, że głupi bukiet róż wnika w historię jego życia.

- A niech tam - mruknął wreszcie. - Ale kim on niby jest, żeby wysłać nam kwiaty?

Ta nagła zmiana formy z „wysłał ci” na „wysłał nam” jednocześnie zdziwiła mnie i rozczuliła. Zauważył to Julien, bo położył mi dłoń na ramieniu. Pomyślałam sobie, że gdybym była trochę pijana i odważniejsza, to powiedziałabym im, że już wkrótce „ja” i „my” będzie musiało zostać nieco rozdzielone. Ale jeszcze nie miałam odwagi. Takie wyznanie zmieniłoby moje życie radykalnie i trochę za wcześnie.

- Temat jest super - stwierdził Julien. - Ile godzin mamy nad nim debatować? To wielka rzecz. Podszepty duszy. Podszepty serca. Najpierw musimy streścić kontekst.

- Beze mnie - zaprotestował Laurent z dziwnym zdecydowaniem w głosie. Chciałam zaprotestować jak zwykle, ale on już wstawał od stołu.

- Loulou - miałam wrażenie, że jeżeli naprawdę teraz wyjdzie, lekceważąc próbę zatrzymania go, to moje różę z całą pewnością zwiędną. Nie chciałam, żeby zniszczył moje różę.

- Loulou! - powtórzyłam z cichą nutką błagania. Nie byłam jeszcze gotowa na rozstanie. - Spotkałam we wtorek Carole.

- Co? - Byłby chyba mniej zdziwiony, gdybym mu powiedziała, że przespałam się z Kaczorem Donaldem.

- Widziałam Carole. W takiej zwariowanej kawiarni niedaleko was. Miło mi było, że ją spotkałam.

Bystre oczy Julienu świdrowały to mnie, to Laurenta.

- Wydaje mi się - poprawił mnie Laurent dość ostrym tonem. - Powinnaś była powiedzieć: wydaje mi się, że miło mi było, że ją spotkałam. - Spojrzał na nas trochę zdziwiony i zaskoczony własnym wybuchem i natychmiast dodał już spokojnie: - Przepraszam, jestem zmęczony. Potwornie zmęczony. Wykończony.

Odwrocił się i wyszedł, pozostawiając na talerzyku porcję niezjedzonego tatara i mnóstwo frytek, które zwykle lubiłam mu podjadać. Ponieważ był jedyną osobą zdolną mi dokuczyć, zaczęłam płakać. Julien objął mnie delikatnie i serdecznie.

- Ja też jestem zmęczona - powiedziałam cicho i bez przekonania, choć naprawdę byłam zmęczona i było mi z tego powodu *wstyd*. *Kelner*, widząc moje łzy, przyniósł mi dyskretnie kieliszek wina. Ten miły i bezinteresowny gest sprawił, że rozbeczałam się na dobre.

- Nie mam prawa być wykończona.

- Przestań wreszcie przejmować się tym, co sobie pomyśla inni. Pieprzyć innych. Chociaż nie, większość Etiopczyków na przykład jest bardziej wykończona. Ale co możesz na to poradzić? Przestać odczuwać cokolwiek i czekać, aż na świecie zapanuje pokój? Nie chcę-eię martwić, ale to może trochę potrwać.

- Tak, ale...

- Ciii... - Napił się trochę wina i mówił dalej. - Nie wiem jak ty, ale gdybym był dzieckiem umierającym z głodu albo nastolatkiem z Sierra Leone zszokowanym marną grą Leonarda DiCaprio w ostatnim filmie, to ci zachodniacy udający zainteresowanych moim losem *tylko by mnie* wkurzali. Naprawdę wolałbym takich, którzy mają odwagę powiedzieć, że nic na to nie poradzą.

- Julien...

- Przestań - powiedział - przestań obwiniać się o wszystko. To do niczego nie prowadzi.

Stał się równie natarczywy, jak Laurent i zdałam sobie sprawę, że rozmawiamy bardzo głośno.

- Chodź - powiedział.

- A rachunek... nie zapłaciliśmy...

- Chodź!

Powiedział to tak stanowczym tonem, że zaczęłam rozumieć, co w nim widzieli inni faceci. Obejmował mnie ramieniem przez całą drogę do domu.

- Pogadaj z nim - powiedział, zostawiając mnie przed drzwiami mieszkania. - Tylko zrób się na bóstwo. - Uśmiechnął się i normalnie odszczeknęłabym mu, że sam chciałby być takim bóstwem, ale dzisiaj nie byłam w stanie.

- Dzień doooobry... - powiedziałam, wsuwając ostrożnie głowę do środka.

- Ooo!... Dzień dobry! - odparł Jeff. - To pani sprzedaje czekoladę?

- Nie...

- No to może wejdiesz?

Weszłam. Czułam się taka mała. Opatulona w strój zimowy i złudzenia dziewczynki, która nie potrafiła stać się kobietą.

- Co się stało? - spytał Jeff, kiedy w końcu przyszedłam do salonu. Siedział na kanapie ze szklanką piwa w ręku. W telewizji jacyś chłopcy w czerwonych strojach kłócili się o garnki z chłopcami w biało-niebieskich strojach. - Powiedz wreszcie, co się stało? - powtórzył.

- Jeff... - nie wiedziałam, jak zacząć.

- Co? - Zrobił zachęcającą minę kogoś, kto naprawdę chce usłyszeć, co ta druga strona ma do powiedzenia. No a ja jak zwykle stchórzyłam i spytałam:

- Czy sądzisz, że jesteśmy dorośli?

Zaczął się śmiać tym swoim triumfalnym śmiechem, który sprawiał, że chciało się żyć.

- Dorosłymi? Nie, Marinę. Nie jesteśmy.

- Nie?

- Nie.

Zwaliłam się jak kłoda na kanapę, a on podszedł i głaskał mnie po włosach, powtarzając, że to nic wielkiego i nie powinnam się przejmować.

- Chcesz drinka? - spytał.

- Jak cholera. Tylko żadnych udziwnień w stylu Julienu.

- Jak sobie życzysz. Wymyślę coś swojego.

Przestraszyłam się trochę, co takiego może wymyślić. Na wszelki wypadek wstałam z kanapy, gotowa do ingerencji.

- Spotykam się z Gabrielem we wtorek. - Chiałam to powiedzieć normalnym tonem, ale prawie wrzasnęłam.

- Oooo... - nalał do shakera o wiele za dużo wódki - *cool**. - Obrócił się, sięgając po lód i dodał: - Flavie przyjdzie na kolację w przyszłą środę.

- Oooo...

- Oooo? - Odwrócił się znowu do mnie. - Co się stało? Nie pasuje ci?

- Czemu miałyby mi nie pasować? - spytałam.

I po raz pierwszy w czasie piętnastu lat przyjaźni i trzech lat współmieszkania stanęliśmy twarzą w twarz i nie wiedzieliśmy, co powiedzieć.

* *Cool* - tu: fajnie - ang.

Do: Freda

Od: Marinę Vandale

Temat: Tapnięcie

Bądź szczerzy z własną siostrą. Czy istnieje jakieś uniwersalne prawo mówiące, że jeśli w twoim życiu zaczyna się coś dobrego, to wszystko wokół się wali i tylko ty jeden o tym nie masz zielonego pojęcia?

Do: Marinę

Od: Frédérica Vandale

Temat: Teoria chaosu

Osobiście wolałbym się nie wypowiadać w tej kwestii, ale faktycznie słyszałem takie plotki. Tak zresztą sądzi mój współlokator. Według jego teorii chodzi o to, żeby nie implodować jako jednostka. Dlatego każdemu szczęściu musi towarzyszyć nieszczęście, bo za dużo szczęścia okazałoby się nie do udźwignięcia.

Do: Freda

Od: Marinę Vandale

Temat: Witaj, optymistko

Ten współlokator wygląda na niezłego wesołka. Czy przyszło mu kiedykolwiek do głowy, że nadmiar nieszczęścia również może trochę przygniatać? Mam na myśli połowę ludzi z Bangladeszu, którzy to mogą potwierdzić.

Do: Marinę
Od: Frederica Vandale
Temat: Teoria bankierów

Zgadzam się, że ta teoria ma wiele braków. Myślę, że facet jest klasyczną ofiarą pomieszania judaizmu z chrześcijaństwem. Tacy ludzie sądzą, że powinno się cierpieć nie przeskadzając innym, ale z drugiej strony uważają nadmiar szczęścia za nieco nie na miejscu. To podobne uczucie jak przy płaceniu rachunków.

Do: Freda
Od: Marinę Vandale
Temat: Wielki dług

Chcesz mi wmówić, że muszę płacić, bo gdzieś tam przede mną zamajaczył koniec tunelu?

Do: Marinę
Od: Frederica Vandale
Temat: *Blame the coloc**

Poniosło cię trochę. Mój współlokator wierzy również w to, że ludzie szczęśliwi powinni zostać zesłani do obozów koncentracyjnych i że *Big Brother* to najlepszy program w telewizji. Nie ma więc powodów do denerwowania się.

Do: Freda
Od: Marinę Vandale
Temat: Wpływowi współlokator

Nie jest moim zamiarem chwalenie „Big Brothera”, ale w stanie, w jakim się teraz znajduję, skłonna jestem przychylić się do opinii, że za szczęście trzeba płacić.

Do: Marinę
Od: Fredsrica Vandale
Temat: Cena szczęścia

Gadałaś z Jeffem?

*** *Blame the coloc* - To wina współlokatora - ang.**

Do: Freda
Od: Marinę Vandale
Temat: re: Cena szczęścia

Owszem i nawet nie mam ochoty powtarzać, o czym rozmawialiśmy. Poza tym Laurent stroi fochy, a ja mam wrażenie, że nie umiem już z nimi rozmawiać. I żeby było śmieszniej (tylko się nie śmieję z tego), całe to szczęście, które znajduję na zewnątrz, przestaje mnie pociągać, skoro nie mogę go dzielić z tymi dwoma klaunami.

Do: Marinę
Od: Frederica Vandale
Temat: Kompleks klauna

Ci twoi klauni nigdy nie byli łatwi we współżyciu. I za to ich przecież kochasz, prawda? Co porabiałybyś z przyjaciółmi, którzy jadą zawsze na jedyńce i wszystkiego próbują tylko po wierzchu? Tylko głębia czyni nas pięknymi, Marinę.

Do: Freda
Od: Marinę Vandale
Temat: Pięść?

Zrób mi przyjemność i zachowaj tego typu opinie dla siebie. Zwłaszcza że odkąd sięgam pamięcią, trudno mi skojarzyć jakąkolwiek głębię z twoją osobą. Zacznę pisać pamflety w obronie siebie samej. Mam już po dziurki w nosie kompleksów. Kończę z nimi!

Do: Marinę
Od: Fréderica Vandale
Temat: Sięgnijmy głębi

Postanowiłem być dobrze wychowany i wspaniałomyślny i zignorować twoje obraźliwe uwagi, jakobym nie sięgał głębi, albowiem wszyscy wiedzą, że jestem wręcz batyskafem ludzkości. Cóż więc takiego powiedział ci Jeff, że przemieniłaś się w prostą sufrażystkę?

Do: Freda
Od: Marinę Vandale
Temat: Wnerwiona sufrażystka

Fred, to jest po prostu żenujące. Sama myśl o pisaniu o tym napawa mnie zniechęceniem. Gdyby chociaż ci moi klauni

byli skomplikowani jak dorośli, to może jeszcze bym się przemogła. Ale wszyscy zaczynamy się zachowywać jak rozkapryszone dzieciaki, a to nie jest już takie śmieszne.

Do: Marinę

Od: Frederica Vandale

Temat: W koło Macieju

Chyba nie weźmiesz mi za złe, jeśli ci zwrócę uwagę, że te twoje historie sprawiają wrażenie, jakby kręciły się w kółko.

Do: Freda

Od: Marinę Vandale

Temat: Zrzęda

Nic więcej ci nie napiszę.

Do: Marinę

Od: Frederica Vandale

Temat: re: Fochy

Wiesz, że jak byłaś mała, to stroiłaś fochy za każdym razem, kiedy nie miałaś racji. To znaczy, kiedy ja miałem rację. Coście sobie nagadali, Marinę?

Do: Freda

Od: Marinę Vandale

Temat: re: re: Fochy

Nic.

Do: Marinę

Od: Frederica Vandale

Temat: Wyciągnięta dłoń

Daj sobie pomoc, mała zrzędo.

Do: Freda

Od: Marinę Vandale

Temat: re: Wyciągnięta dłoń

Fred. Jestem pokręcona.

-)

Rozdział 9

Zamknęłam gwałtownie laptopa. Ostatnie zdanie mnie przestraszyło. Byłam zła, że napisałam to do Freda, i jeszcze bardziej zła na siebie, że się do tego przyznałam. W mieszkaniu było spokojnie i cicho. W ten sobotni rano padał gęsty śnieg. Siedziałam za biurkiem, zerkając na laptopa złym okiem, jakby to on był odpowiedzialny za moje zwierzenia. Claude-Francois spał w misce na owoce, drzwi pokoju Jeffa były jeszcze zamknięte. Wrócił wczoraj późno po tym, jak go wymiotło z domu zaraz po naszej rozmowie. Słyszałam, jak wchodził około trzeciej nad ranem, prowadząc ostrożnie jakąś dziewczynę. To musiała być Marie-Lune, bo zwykle do niej wracał, kiedy czuł się nieswojo.

Przez chwilę trwaliśmy nieruchomo. Ja przed kanapą, a on z wiaderkiem do lodu w ręku koło lodówki. Czekałam, aż odpowie na moje kretyńskie pytanie, a on najwyraźniej oczekiwał, aż je nieco rozwinę w swoje: „Czemu miałyby mi nie pasować?”. Zwłaszcza że wypowiedziałam to tonem raczej napastliwym, wręcz agresywnym i bardziej krzycząc, niż mówiąc.

- Mhmm... chcesz... napijesz się wódki z tonikiem?

Nie znosił milczenia. Czasami nawet okazywało się to przydatne. Byłam mu wdzięczna za przerwanie milczenia, ale wolałabym tym razem coś mniej alkoholowego, a bardziej skupionego na nas.

-Jeff...

- Gin z tonikiem?

-Jeff...

- Z ogórkiem? Prawda, miało być bez udziwnień... Może Ricarda?

-Jeff...

- Słucham! Naprawdę chcesz tej rozmowy?

- Jakiej rozmowy? Nie wiem nawet, o jaką rozmowę chodzi. Mam wręcz wrażenie, że nie rozmawiamy. Oświeć mnie więc wreszcie.

- Nie. Tym razem się nie wymigasz.

- Od czego?

Skończył wreszcie przyrządzać drinka składającego się z wódki i odrobiny soku z limonki, i poruszał shakerem z energią, jakiej u niego dawno nie widziałam. On, który ze spokoju i nonszalancji uczynił wręcz sztukę. Teraz trząsał shakerem nerwowo i gwałtownie jak szalony. Miałam ochotę powiedzieć, żeby o wszystkim zapomniał i usiadł obok mnie na kanapie, udając, że wszystko jest po staremu. Oczywiście nic już nie mogło być po staremu. I musiałam wreszcie przestać traktować to jak tragedię na miarę przedczesnego starzenia się, braku miłości czy możliwej choroby mojego ojca.

- Od czego? - zapytałam ponownie.

- Od czego... - powtórzył, stawiając przede mną kieliszek.

- Zawsze wszyscy muszą wszystko powiedzieć za ciebie. Ja, Julien czy nawet twój brat, który jest sześć tysięcy kilometrów stąd, wszyscy musimy zajmować się twoimi problemami. - Zaczął naśladować mój głos, udanie zresztą: „Jeff, co mam zrobić?”, „Co mam o tym myśleć, Fred?”, „Juuulien, co ty byś zrobił na moim miejscu?”, „Chłopaki, dlaczego wszystko jest tak skomplikowane?”. Koniec z odpowiadaniem za ciebie - oznajmił już normalnym tonem. - Jeżeli chcesz mi coś powiedzieć, to powiedz, ale nie proś mnie, żebym to sobie powiedział za ciebie.

Miałam ochotę chlusnąć mu w twarz alkoholem z kieliszka, ale jeszcze bardziej uciec do swojego pokoju i trzasnąć drzwiami. Mój brat miał rację. Kiedy coś robiłam źle, to zaczynałam stroić fochy.

- OK - policzyłam w myślach do pięciu, jakbym się

szykowała do skoku na głęboką i zimną wodę, a potem zaczęłam mówić bardzo szybko: - Mam wrażenie, że nie mogę już z tobą rozmawiać. Mam wrażenie, że z powodu tego, co zrobiłam, coś się zmieniło między nami. Mam wrażenie, że nie w smak ci mój związek z Gabrielem i...

- I co?

- Wkurza mnie, że podrywasz moją jedyną przyjaciółkę i mam wrażenie...

- Masz mnóstwo wrażeń, Marinę.

- Zamknij się. Chciałeś, żebym gadała, to gadam. I przestań mnie rozpraszać.

Wyglądał na zdziwionego. Dlaczego staliśmy się tak nieprzyjemni i nerwowi? Nigdy przedtem nie rozmawialiśmy ze sobą takim tonem. „Zamknij się” - przecież nie chciałam tego powiedzieć.

- Mam wrażenie - brnęłam dalej - że interesujesz się Flavie tylko dlatego, żeby mi zrobić na złość.

- Zawsze mi się podobała.

- No tak, ale... - Właśnie, jakie „ale”. Miał przecież rację.

- No dobra - zgodziłam się i upiłam spory łyk ze swojego kieliszka. - Niech ci będzie. - Przez dłuższy czas milczeliśmy zajęci studiowaniem wzorów na dywanie.

- Przepraszam - odezwałam się w końcu. - Nie wierzę, że naprawdę powiedziałam „zamknij się”.

- W porządku. - Uśmiechnął się sztucznie. - Ja chyba też przesadziłem.

- Sam widzisz. Właśnie o to mi chodzi.

Westchnął ciężko i przysunął się trochę do mnie.

- Zrozum, że nie zaprosiłem Flavie do nas po to, żeby ci zrobić na złość. Chyba że podświadomie...

- To ty masz podświadomość? - Ktoś musiał wreszcie zażartować. Jeff zaśmiał się z ulgą.

- Maleńką, ale gdzieś tam jest. Może podświadomie o tym pomyślałem. Bo rzeczywiście, trochę mnie wkurza, że latasz za takim... - poruszał dłonią, szukając odpowiedniego słowa - prawdziwym facetem. Tym razem to już nie są żarty... Wszyscy przecież wiedzieliśmy, że to nie potrwa długo z Christophe'em. A z Gabrielem? Nie wiem. Wydaje się właściwy.

Otworzyłam usta, żeby coś powiedzieć, ale Jeff mi przerwał.

- Może to ze strachu, że cię stracimy - ciągnął - poza tym, jeśli chcesz, żebym był szczery... chcesz, żebym mówił szczerze?

- Jasne, że chcę.

- To chyba oczywiste, że to, co się wydarzyło w moim pokoju, nie minęło bez śladu. Bo jeśli raz otworzysz drzwi do seksu z kimś, to...

- Spokojnie! To jest teoria Juliana!

- Co?

- Aha! Oczywiście gadałeś z Julienem,

- Ty też?

Oboje zaczęliśmy się śmiać. To jeszcze bardziej rozładowało atmosferę.

- A więc ty również myślisz, że to może mieć jakieś znaczenie?

- Może. - Uśmiechnął się jakoś tak kątem ust.

- Raczej mi o tym nie powiesz, prawda?

- Ty też mi nic nie mówiłaś.

- Próbowałam.

- Owszem, zamęczając wszystkich debilnymi pytaniami: „Jeeeff... czy wszystko w porządku?”, „Claude-Francois, czy myślisz, że tata obraził się na mamę?”, „Roślinko, czy coś się zmieniło?”.

- Skąd wiesz, że rozmawiam z roślinkami? - Wzruszył tylko ramionami jak zawsze, kiedy chciał mi powiedzieć: „Wiem wszystko”.

- No i co?

- No i nie musisz się o mnie martwić. Myślę, że jasno już sobie powiedzieliśmy, że nie chcemy żadnych głupot.

Zachciało mi się nagle płakać. Uśmiechnął się do mnie raz jeszcze, wstał i odstawił swój kieliszek na stolik.

- Idę się przejść - oznajmił.

- Jesteś pewien?

- Marinę... - Chciałam dodać, że zwykle „szedł się przejść”, kiedy miał zmartwienia. Doszłam jednak do wniosku, że może lepiej nie mówić za dużo. Skoro wszystko miało być tak jak

dawniej, to chyba powinniśmy się zachowywać również tak jak dawniej.

- Wiesz, że cię kocham - powiedział, całując mnie w czubek głowy.

- Wiem.

Dotknął mnie lekko w ramię i wyszedł. Długo siedziałam w milczeniu, przetrawiając naszą rozmowę. Im dłużej o tym myślałam, tym bardziej byłam przekonana, że tak naprawdę niczego sobie nie powiedzieliśmy. Te drzwi do seksu były stale uchylone, tylko teraz jakby nieco bardziej.

- Nie mogę uwierzyć, że nawet o tym nie wspomniał - wyznałam roślince. - Cholera! Już drugi raz robi mi ten sam numer!

Spojrzałam w kierunku sypialni Jeffa. Drzwi wciąż były zamknięte. Chciałam, żeby wreszcie wyszli i żebyśmy mogli znów wspólnie spędzać poranki i odzyskać chociaż trochę pozory normalności. Może obecność Marie-Lune pozwoli mi bez ciągłych utarczek z Jeffem pomarzyć sobie o Gabrielu, którego różę zdobiły stół w jadalni.

Odruchowo wyjęłam jedną z wazonu. Zaczynała już więdnąć, a jej płatki nie były już jędrne i przypominały policzki staruszki. Wzięłam swoją kawę oraz różę i usadowiłam się przy stole w jadalni.

Rozwiązywałam właśnie sudoku (to okropna, godna poćpienia łamigłówka powodująca bezproduktywną stratę czasu, ale ja akurat musiałam jakoś zabić dłużący mi się czas), kiedy z pokoju Jeffa wyszła jakaś dziewczyna. Spojrzałam na nią, ale to nie była Marie-Lune, chociaż wydawała się trochę do niej podobna. Musiała być w wieku Elodie i mogły być koleżankami. Była tak samo ładna, bardziej świeżością dziewczyny niż kobiety, i miała tak samo radosną, niewinną i figlarną minę. Wyglądała jak kanarek lub skowronek albo jakiś inny ruchliwy ptaszek. Sama nie wiedziałam, dlaczego odczułam ulgę, że to nie Flavie. Te młode dziewczyny przewijały się tylko przez życie Jeffa. Marie-Lune na przykład nigdy w nim nie zostanie. Zaczęłam rozumieć, co miał na myśli Jeff, mówiąc, że Gabriel był prawdziwy.

- Cześć - powiedziała jak na mój gust zbyt konfiden-
cjonalnie i wyciągnęła rękę na przywitanie - jestem Marie-
-Soleil.

- To musi być jakiś głupi żart*, pomyślałam.

- Marie-Soleil? - spytałam, ściskając podaną dłoń. -
Naprawdę?

- No... naprawdę.

- Zerknęłam ponad jej ramieniem, sprawdzając, czy
nie dojrzę gdzieś Jeffa, bo musiałam podzielić się z kimś
komizmem tej sytuacji. Drzwi były wciąż zamknięte, a Marie-
-Soleil stała przede mną, być może oczekując, że ją zabawię
lub nakarmię. Nosiła jego koszulę.

Dlaczego one wszystkie to robią? - zastanawiałam się.
Każda dziewczyna, którą Jeff zapraszał na noc, wychodziła
rano w jego koszuli. Co skłaniało je wszystkie do ubierania
się w jego rzeczy? Doskonale znałam zwyczaj zakładania
koszuli jednodniowego kochanka o poranku. Ale ja to robiłam
systematycznie. Pomyślałam, że będę musiała zapytać Ju-
liena. Na pewno miał na ten temat jakąś teorię.

- Myślę, że Jeff jest trochę wykończony - stwierdziła
Marie-Soleil. - Jeszcze trochę poleży.

Jeff mógł wypić morze wódki i nie był wykończony. Znałam
go przecież. Widziałam, jak wypijał skrzynkę wina i następnego
dnia wstawał zaledwie lekko tylko nieświeży. Przyrzekłam
sobie, że mi zapłaci za to oszustwo i za to, że zostawił mnie
sam na sam z dziewczyną, która promieniała dobrym hu-
morem od samego rana w sobotę (o dziewiątej). Zaczęłam sobie
wyobrażać, że resztę swojego życia spędzę przy porannych
kawach wypijanych wspólnie z jakimiś Marie-Noelle, Marie-
Mai, Marie-Quebec czy Marie-Sourire* **, podczas gdy Jeff będzie
się wylegiwał w łóżku, udając, że jest wykończony.

*** Gra słów: Marie-Lune znaczy dosłownie: Księżycowa Ma-
ria, a Marie-Soleil oznacza: Słoneczna Maria.**

**** Marie-Noelle, Marie-Mai, Marie-Quebec czy Marie-Sourire -
gra słów: Marie-Noelle znaczy: Bożonarodzeniowa Maria; Marie-
Mai - Majowa Maria; Marie-Quebec - Maria z Quebecu; Marie-
-Sourire - Uśmiechnięta Maria.**

- Chcesz kawy? - spytałam w końcu.
- Jesteś super.
- Kawa jest w pudełku obok. - Wskazałam na ekspres do kawy. - Młynek stoi po prawej stronie.

Wcale nie jestem „super”, moja panno. Nie dzisiaj. Ale zepsucie jej dobrego nastroju wymagało czegoś o wiele więcej. Czyżby Jeff tak dobrze się spisał? A może Marie-Soleil miała permanentnie dobry humor? Przeróżająca myśl. Podeszła do ekspresu, podśpiewując radośnie. Przez chwilę przyglądałam się jej. Była naprawdę bardzo ładna i umiała przyrządzać kawę, jakby urodziła się z ekspresem w rękę. Kelnerka albo barmanka, pomyślałam. Jeff miał niesamowite szczęście graniczące z magią do takich dziewczyn. Wchodził do baru, wybierał najładniejszą kelnerkę i zawsze wychodzili razem. Laurent ciągle go męczył o przeszkolenie w tej materii.

- Pracujesz w restauracji? - spytałam.
- W barze Lulli. Często cię tam widuję. Marinę, prawda?

Przyjrzałam jej się jeszcze raz, ale twarz dziewczyny nic mi nie mówiła. Poczułam się nieswojo. A ona dalej się uśmiechała, nie zwracając uwagi na moją minę.

- Zawsze masz towarzystwo super - dodała. - A wiesz, że mamy nawet podobny gust?

- Podobny?

- Tak. - Jej głos sugerował, że chodzi o najsłodszą wiadomość od czasu ogłoszenia, że wynaleziono czekoladę. - Wiesz... przez jakiś czas chodziłam z Christophe'em.

Nic nie odpowiedziałam. Nie chciałam wiedzieć, że chodziła z Christophe'em i nie mogłam zrozumieć, dlaczego uważała, że ta informacja może mnie interesować.

- Wiesz, który Christophe? Ten piękny mały. Ten, który ma pieprzyk i... no wiesz, twój były.

- Wiem, wiem.

- Najpierw Christophe, a teraz Jeff.

- Nie chodzę z Jeffem i nigdy nie chodziłam!

Powiedziałam to zbyt szybko i zbyt ostro, a sądząc po uszach Claude'a-Francois, za bardzo piskliwym głosem.

- Nigdy nie byliście razem? - Marie-Soleil wyglądała

na zdruzgotaną tą wiadomością - Dziewczyno! Nawet nie wiesz, co tracisz.

Cholera, pomyślałam, czy ją szkoliła jakaś wróżka, żeby mi mówiła dokładnie to, czego nie chciałam wiedzieć? Bałam się, że zaraz mi oświadczy, że była kochanką Gabriela.

- Bo wiesz, Jeff... - usiadła koło mnie i ściszyła głos, jak zwykły robić dziewczyny, kiedy chciały podkreślić, że zaraz wyjawia wielką tajemnicę z dna kobiecego serca - jest takim świntuchem... Wczoraj kazał mi...

Uratował mnie Claude-Francois, który wskoczył na stół, wywołując u Marie-Soleil radosny wybuch śmiechu i zachwyków, które uznałabym za uroczne o innej porze dnia. Kiedy kot spłoszony nadmiarem tej słodkiej czułości opuścił nas, usiadła znowu przy mnie. Na szczęście nie miała już warunków do wyjawienia mi nadzwyczajnych tajemnic o cudownych świństwach Jeffa, bo ten akurat wychodził z rozczochranymi włosami z sypialni ubrany w same szorty.

- No jak tam? - spytał.

- W porządku.

- Poznałaś już...

- Marie-Soleil. Owszem. - Uśmiechnęłam się od ucha do ucha i z trudem powstrzymałam od niewybrednych i złośliwych żartów przy Marie-Soleil.

Pięknie mówisz o zaletach silnych i płomiennych kobiet jak Flavie - chciałam mu powiedzieć. Nie wiedziałam, dlaczego nie chciałam się przyznać, że lepiej się czuje w towarzystwie młodych i słodkich panienek niż żywiołowych kobiet. Pewnie miał takie wyobrażenie o własnej osobie. Każdy tak sądził, ale żeby i Jeff? Zawsze uważałam, że jest najtrzeźwiej myślącym facetem na świecie. Trochę mnie rozczuliło odkrycie tej jego słabostki.

Trzy kwadransy później siedział z nami, z Marie-Soleil na kolanach, która próbowała go zainteresować jakąś krzyżówką. Usłyszeliśmy głos i w drzwiach pojawił się Julien.

- Jest tu ktoś? - Jeff spojrzął na mnie spanikowanym wzrokiem, a mnie aż poderwało z miejsca i ruszyłam na spotkanie Juliana.

- Witam, witam - powiedział, zdejmując palto i buty.

Ubrany był w czerwone dzinsy, fioletowy sweter z kaszmiru i zielone skarpetki. Wyglądał jak katalog informacji o wszystkich możliwych kolorach występujących w przyrodzie. Zamierzałam właśnie to skomentować, kiedy dostrzegłam Jeffa i zrobił wielkie oczy ze zdziwienia. Jeff postanowił niespodziewanie skupić się bez reszty na dziale sportowym leżącej na stole gazety. Marie-Soleil zeszła mu z kolan i stała teraz obok jak uosobienie promieniejącej radości.

- Co on tu robi? - spytał Jeff, nie przerywając uważnego studiowania jakiegoś zdjęcia.

- Zabrakło mi kawy.

- Nie ma w okolicy kawiarni? - spytałam.

To był zły pretekst, by wytłumaczyć wizytę u nas. Julien mieszkał dość daleko, ale wiadomo było, że nie był zdolny do dłuższej samotności i z reguły w każdą sobotę nas odwiedzał. Zawsze zresztą miał jakiś pretekst: brak mleka, soku pomarańczowego, gazety, tlenu i tak dalej. Jeff westchnął ciężko i zaczął przewracać strony gazety.

- Musimy bardziej się zastanowić i uważniej patrzeć, komu dajemy nasze klucze - oznajmił, nie podnosząc głowy.

- Julien - powiedziałam z zadowoleniem - chciałam ci przedstawić... - zrobiłam przerwę, żeby lepiej podkreślić efekt, ale on już wyciągnął rękę na przywitanie.

- Chyba się znamy? - stwierdził. - Czy ty nie pracujesz w Lulli?

- Tak, w weekendy. Marie-Soleil - dodała dziewczyna, uśmiechając się promiennie i odwzajemniając uścisk dłoni. Julien nawet tego nie zauważył, bo spojrzał na mnie z wyraźnym pytaniem w oczach.

- To prawda?

Marie-Soleil wydawała się nieco zaskoczona tym powątpiewaniem, ale i tak nie traciła rezonu i uśmiechnęła się radośnie do Juliana. Zastanawiałam się, czy jest coś, z czego by się nie ucieszyła. Pewnie kochała się równie radośnie i ze śmiechem na ustach.

- Nooo... mhm... - wybełkotał Julien i podał rękę Jeffowi i mnie. - A wy już rozmawialiście ze sobą? - Był patologicz-

nie niezdolny do dyskrecji. Ponieważ ani Jeff, ani ja mu nie odpowiedzieliśmy, postanowił drażyć temat do skutku. - No nie. Nie wierzę...

- Ciiiiii - przerwał Jeff, pokazując mu palcem, żeby zamilkł.

- Ciiiiii? - spytał Julien.

- No właśnie. Ciiiiii - potwierdziłam.

- Ciiii, cholera, ciiii - sprecyzował Jeff.

- Ciiii, ciiiiii - podśpiewywała Marie-Szczygiełek, robiąc sobie kolejną kawę. Julien westchnął rozczarowany i wiedziałam, że jest trochę urażony. Wyciągnął rękę w stronę gazety.

- Jeff, podasz mi część krajową? O, Mario Dumont!* Mówiłem wam już, że śniłem o nim trochę?

- Cholera.... - westchnął Jeff.

- No wiesz, nigdy nie mówiłem, że popieram jego linię polityczną. Boże uchronaj, ale... sam nie wiem... ma taki podniecający uśmiech.

- A ja lubię Marca Andre Grondina** - zaszcebiotała Marie-Soleil.

- Zostało jeszcze trochę kawy? - zapytał Laurent, który właśnie się pojawił. Ubrany był w czarne spodnie narciarskie, olbrzymie buty i wielką kurtkę rozpiętą pod szyją i odsłaniającą podkoszulek z gorateksu. Futrzany kaptur wciąż miał jeszcze na głowie.

- Wybierasz się na biegun?

- O co ci chodzi? - obruszył się. - Nie słyszałaś o jeździe rowerem górskim po śniegu?

- Mieszkasz trzy ulice dalej.

- Wiesz, ile śniegu napadało? - krzyknął z oburzeniem. - Cześć, Julien, dzień dobry Claude-Francois! - Dopiero teraz zauważył Marie-Soleil. - Dzień dobry...

Laurent również chyba ją zapamiętał i wyraźnie starał się przypomnieć sobie jej imię. Julien jednak nie wytrzymał i wyskoczył przed nią, wyciągając rękę w lekkim pokłonie, i zawołał śpiewnie:

* Mario Dumont - znany polityk kanadyjski.

** Marc Andr s Grondin - znany aktor kanadyjski.

- Marie-Sooooooooleiiii!

Laurent uśmiechnął się niepewnie. Spojrzał na mnie, potem na Julię i wreszcie na Jeffa, który z kamienną i nieodgadnioną twarzą nadal uparcie wpatrywał się w gazetę. Gdyby mógł, prawdopodobnie włożyłby ją sobie na głowę.

- Ojej - Laurent miał minę kogoś, kto wpadł na przyjęcie, błędnie myśląc, że to niespodzianka zorganizowana na jego cześć i teraz nie wie, czy ma nadal trzymać fason i mimo wszystko się cieszyć, czy się obrazić. - To prawda? - spytał wreszcie.

- Jak najbardziej - oznajmił rozanielony Julien.

Marie-Soleil, mimo swego wrodzonego daru nieustającej radości, uznała jednak chyba, że brak nam klasy. Podparła się pod boki i wciąż uśmiechnięta spytała:

- No dobra. O co chodzi?

Miała sporo racji. Musiała pomyśleć, że nasz dom jest otwarty dla różnego rodzaju oszołomów w narciarskich spodniach lub czerwonych dżinsach, którzy z niezrozumiałych powodów wybuchają śmiechem na wzmiankę o jej imieniu. Nasza czwórka była nie do wytrzymania dla kogoś z zewnątrz i zaczęłam się zastanawiać, jakim cudem Gabrielowi spodobała się ta na wpół kazirodcza i hermetyczna atmosfera. Gdybym sama nie należało do tej grupy, uznałabym, że jest w niej coś dziwnego, a jej członkowie, zadufani w sobie szydery, pewnie nie zdołaliby wzbudzić mojej sympatii.

- Nie przejmuj się tym zupełnie - wyjaśniłam dziewczynie. - Po prostu Jeff miał kiedyś kumpelę, która nazywała się Marie-Lune i była do ciebie podobna. Dlatego to wydało nam się trochę śmieszne. Tylko tyle. W sobotę rano nie potrzeba nam więcej do śmiechu.

- Aha - zaszczebiotała i usiadła znowu na Jeffie, wciskając mu gazetę w twarz. - Skąd wy... wszyscy... się znacie? - spytała.

No tak. Nikt jej nie wytłumaczył, dlaczego w mieszkaniu pojawiły się nagle dwie dodatkowe osoby zachowujące się, jakby tu mieszkały od zawsze. Starałam jej się to wyjaśnić. Jeff nie robił nic, ale to absolutnie nic, tylko gapił się w ga-

zetę i prawdopodobnie cicho odmawiał modlitwy, żeby Marie-Soleil wreszcie sobie poszła. Jednakże kompletnie na to się nie zносиło. Nagle zadzwonił telefon. Jeff rzucił się do słuchawki i spojrzawszy na wyświetlacz, zawołał radośnie:

- To twoja mama!

- Madame Vandale - powiedział do słuchawki. - Dzień dobry! Bardzo, bardzo dobrze, dziękuję. Mój przepis na golonkę po włosku? Oczywiście. Nie. Niestety, Marinę gdzieś wyszła.

Wzniosłam oczy do sufitu. Chłopaki nawet nie drgnęły, a Marie-Soleil wyglądała na jeszcze bardziej ogłupiałą niż poprzednio. Rozmawiał z moją mamą dobre dziesięć minut. O mnie (choć był dyskretny i w miarę potrzeby starannie zmyślał, żeby moja mama nie stała się jeszcze bardziej szalona niż zwykle), o sobie („mam sporo roboty ostatnio”), o golonce po włosku („nie, żadnych pomidorów, wiem, ale tak trzeba”) i o pogodzie („no właśnie, znowu minus dwadzieścia trzy stopnie”). Wreszcie skończyli i Jeff odłożył słuchawkę.

- Przyjadą tu twoje siostry - poinformował mnie - i musisz mi podziękować, możesz to zrobić na kolanach. Mama zamierzała zaciągnąć cię na siedemdziesiąte urodziny waszej ciotki w Quebecu.

- Dzięki Bogu. Nakłamałam jej, że mam superważne spotkanie z autorką z Francji, która przyleciała tylko na weekend.

- Uwierzyła ci? - zdziwił się Laurent.

Znał moją mamę i wiedział, że nie jest taka naiwna. Gdybym jej powiedziała, że nie mogę przyjść, bo miałam wypadek, to i tak uwierzyłaby mi dopiero wtedy, kiedy zobaczyłaby w mojej głowie siekiere. Laurent odezwał się do mnie po raz pierwszy od czasu wczorajszej scysji w restauracji. Spojrzałam na niego; odpowiedział mi uśmiechem, co oznaczało przeprosiny. Złożyłam usta w dziobek, co miało znaczyć, że przeprosiny przyjmuję. Pewnie po to właśnie przyszedł. Nie lubił, kiedy ktoś był na niego obrażony.

- Nie. Oczywiście, że nie, ale chyba zlitowała się nade mną. Sama wolałaby tam nie jechać. Gdybyś znał rodzinę

mojego taty... Dwie zakonnice, ksiądz, jeden fanatyk golfa i siedemdziesięcioletnia ciotka o moralności mogącej stanowić niedościgły przykład dla samego Dalajlamy. Jedna z zakonnice jest przynajmniej wesoła i dowcipna, ale akurat przebywa z jakąś misją gdzieś w świecie.

- Cóż, twoim siostronom się nie udało - stwierdził Jeff - po drodze do mamy wpadną do nas, żebyś podpisała się na kartce z życzeniami.

Godzinę później pojawiła się Ariane w spodniach z jedwabiu spadochronowego i czymś, co przypominało osiem sandałów obwiązanych wokół łydki. Na głowie miała nieśmiertelną peruwiańską czapkę.

- A ty skąd przyjechałeś? - spytała Laurenta, widząc jego strój. - Prosto z bieguna?

- A ty? Z Machu Picchu? - obydwójce zaczęli się śmiać i rzucili się sobie w objęcia.

- Mogłabyś się zmusić - powiedziała do mnie - przecież nie chodzimy tam co tydzień. A ciotka Livia nie jest już taka młoda.

- Mam spotkanie po południu.

- Ariane nawet nie próbowała udawać, że mi wierzy. Czasami miałam wrażenie, że jest jedyną dorosłą osobą w naszej rodzinie. Biedaczka. Wreszcie zaczęła się witać z Marie-Soleil, która była wyraźnie zszokowana taką ilością ekologicznej odzieży i odruchowo zrobiła to, co pierwsze przyszło jej do głowy, mianowicie podała kawę.

- Jest ekologiczna - powiedział Jeff, zanim Ariane zdążyła zadać swoje standardowe pytanie. W odpowiedzi skrzywiła się lekko i odmówiła.

- Elodie czeka na mnie w samochodzie.

Chłopcy spojrzeli na siebie z niepokojem, gdyż i oni, i ja mieliśmy nieodpartą wizję samochodu stojącego w poprzek ulicy pomiędzy dwiema zaspami śniegu.

- A właściwie - odezwała się Ariane - możesz mi wytłumaczyć, dlaczego twoja rodzona siostra nie ma klucza do twojego domu, a tu obecni chłopcy mają?

- To bardzo dobre pytanie - poparł ją Jeff.

- Bo jeżeli dam klucz tobie, to będę musiała dać klucz

również Elodie. A jeśli ona dostanie klucz, to będzie przychodziła tu nocować za każdym razem, kiedy zabaluje w jakiejś restauracji w okolicy.

- Julien też to robi - przypomniał Jeff.

- Jak sobie życzysz, Jeff, uprzedzam, że Elodie z całą pewnością spałaby w twoim łóżku.

Marie-Soleil nie mogła wyjść z osłupienia, bo Julien wyjaśniał jej właśnie, że on na przykład spał w moim łóżku. Jeff spojrzał na mnie wymownie, ale nie odpowiedziałam mu i odwróciłam głowę w drugą stronę.

- Masz - Ariane podała mi kartkę z pięknymi różowymi wywijasami po bokach i napisem złotymi literami o wspomniałym życiu solenizanta. Zaczęłam pisać: „Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin naszej pięknej Livii życzę siostrzenica Marinę. Gorąco całuję, często o Tobie myślę i do zobaczenia wkrótce”.

Ileż kłamstw na jednej karteczce, pomyślałam. „Piękna Livia”? Z tą zbyt dużą sztuczną szczęką i w za wielkich okularach wyglądała raczej jak Martin Scorsese. Nie myślałam o niej często. Co zaś się tyczy „wkrótce”, to miałam na myśli dwa, trzy lata. Było coś przykrego w tych zakłamanych relacjach rodzinnych (Livia zawsze w kartkach do mnie pisała „mojej ulubionej siostrzenicy”, chociaż wszyscy wiedzieli, że z siedmiorga siostrzeńców naprawdę lubi tylko Ariane). Na koniec, żeby stłumić wyrzuty z powodu swojej hipokryzji, w geście nadania życzeniom czegoś naprawdę osobiście ode mnie samej, dorysowałam obok podpisu małego szczeniaka puszczonego oko. Livia kochała psy do tego stopnia, że miała wycieraczkę z pieskiem, podstawki pod szklanki i serwis z psami oraz mnóstwo zdjęć na ścianach przedstawiających teriery, pudelki i inne psiaki.

- Ucałuję od ciebie ciotkę - oznajmiła Ariane na pożegnanie, a ja byłam w stu procentach pewna, że naprawdę to zrobi. Była bardzo uczciwa w tego typu obietnicach. To była między innymi jej metoda walki z obojętnością świata. Uważałam takie postępowanie za rozczulające i godne podziwu, mimo wszystko.

- A może poszlibyśmy na jakiś brunch? - zaproponowała Marie-Soleil zaraz po wyjściu Ariane.

Jeff, Laurent i ja spojrzeliśmy wymownie na Juliena. Skoro z rana nie zadziałało chłodne powitanie ani facet w stroju polarnika, ani klaun w kaszmirze, ani siostra w spadochronie zamiast spodni, był to przypadek dla Juliena. Westchnął ciężko, rozłożył ręce i powiedział:

- Posłuchaj, moja piękna Marie-Soleil...

- No dobra. Nie chciałybym zaczynać od nieprzyjemnych tematów - powiedział Laurent do Jeffa, który natychmiast wrócił, jak tylko odprowadził Marie-Soleil do wyjścia - ale to ty mi wbijałeś do głowy, że jeśli nie chce się spędzić reszty życia z dziewczyną, to nigdy, ale to przenigdy nie należy jej zapraszać do siebie i zawsze trzeba iść do niej.

- Wiem, wiem - odparł Jeff, siadając obok mnie. Rzuciłam w niego zwiniętą w kulę gazetą, którą przedtem niby to czytał.

- Poza tym - dodał Julien - zawsze to ja muszę odwalać brudną robotę.

- Dobrze ci to wychodzi.

- Dzięki za wszystko, śliczniutka.

Julien naprawdę pięknie to robił. Potrafił tak namącić każdemu w głowie, że ludzie zaczynali wierzyć, że sami wpadli na pomysł, który on im podsuwał. To się bardzo przydawało w jego zawodzie (ależ skąd, wcale nie tracisz tych dwudziestu pięciu tysięcy dolarów wpłaconych na REER. Zarabiasz na czysto dwa tysiące osiemset. Przecież chciałeś zarobić, a może się myłę?). Przy okazji mógł wykorzystać swoje zdolności do przekonywania panienek Jeffa, że muszą już iść do domu i że nie powinny dzwonić do niego przez kilka najbliższych miesięcy.

- Mógłbyś jednak trochę się postarać - rzuciłam w Jeffa kolejną kulą z gazety. - Któregoś dnia jakaś Marie-Rozanielona odpłaci ci pięknym za nadobne. Musisz to sobie wreszcie uświadomić, panie „Pociąga mnie Flavie”.

- I kto to mówi?

- Co, kto to mówi?

- Ciebie też trudno nazwać królową świadomego kierowania swoim życiem. - Uniósł brwi, co miało podkreślić

zawartą w tym stwierdzeniu oczywistą aluzję. Kątem oka dostrzegłam, jak Laurent odwrócił się do Julienu, bezgłośnie poruszając ustami: „świa-do-me-go”.

- Przepraszam?

- No... Gabriel... i w ogóle... - powiedział i zrobił nieokreślony gest dłonią.

- Pleciesz jak pokręcony!

- Dobra, już dobra - wtrącił się Julien - uspokajamy się po kolei.

- Dlaczego się nie prześpicie z sobą? - zaproponował Laurent.

- Przeginasz! - Wstałam z głębokim przekonaniem, że zaraz wydrę się na któregoś z nich, ale zadzwonił telefon.

- Halo! - powiedziałam ostro.

- Marinę? Mówi tata.

Od razu złagodniałam. Spędziłam z nim już wiele milczących popołudni, od kiedy zaczął badania. Nigdy nie mówił wiele, ale odnajdywałam przy nim spokój i beztroskę z czasów dzieciństwa. Dawał mi poczucie bezpieczeństwa i prawdziwą miłość, która nie potrzebowała słów, której wystarczył dotyk dłoni na ramieniu, pocałunek w czoło czy rozek łodów z pobliskiej lodziarni.

- Cześć, tato. Jak leci? Czy dziewczynki już dojechały? Przykro mi, że nie mogę jechać z wami. - Ciężko mi było akurat jego okłamywać.

- Dzwonię, żeby ci powiedzieć, że wpadną do ciebie dziewczynki - powiedział, jakby nie słyszał moich słów. - Zabierzesz się z nimi na urodziny Livii?

- Nie... tato, nie mogę jechać. - Już dwa razy mu o tym mówiłam. Serce mi się ścisnęło z żalu. Tak bardzo chciałam, żeby nie był chory. Jego słowa sprawiły, że już byłam gotowa wskoczyć w taksówkę, kiedy usłyszałam w słuchawce, jak mama tłumaczy mu łagodnie, że już ze mną rozmawiała, i że nie przyjadę. To znaczyło, że jest poważnie przestraszona jego stanem. Przestała mu wreszcie robić wymówki, że wszystko zapomina. Później dotarły moje siostry. Słyszałam w telefonie, jak tata się z nimi witał i je całował. Potem pożegnał się z mną i odłożył słuchawkę.

- Jak z nim? - spytał Laurent.

- Jakoś jest.

Przez pewien czas milczeliśmy, udając, że czytamy różne gazety, ale nikt z nas nie potrafiłby powiedzieć, co przeczytał.

- Przepraszam - odezwał się wreszcie Jeff.

- Tak? - Nie miałam ochoty znowu się obrażać. Poza tym miał trochę racji i nie było o co kruszyć kopii. Znowu zaczęłam czytać przegląd filmowy. Tym razem na poważnie. Jeff wciąż walczył z rubryką sportową. Laurent rysował swoje ludziki jak zapałki na reklamówce, a Julien pograżył się w niezrozumiałych dla nikogo kolumnach ekonomicznych.

Po kwadransie Laurent spojrzął na zegarek.

- Ojej, jest wpół do dwunastej - oznajmił - czy ktoś ma ochotę na Krwawego Cezara?

Ja i Jeff podnieśliśmy rękę do góry, nie odrywając oczu od gazety, potem dołączył do nas Laurent. Ale nikt nie drgnął, żeby się tym zająć.

- No dobra... - powiedział Julien po chwili - ja to zrobię... - Wstał i podszedł do barku. - Do licha! Ciagle ja... - mruzczał pod nosem.

- Dla mnie podwójny - powiedział Jeff, który wierzył, że nic tak nie przywraca formy po ciężkiej nocy, jak solidna wódka z rana.

- Naprawdę chciałbym spotkać się z Flavie - oznajmił nam Jeff, kończąc swój alkohol i odruchowo wyciągając rękę z pustym kieliszkiem w kierunku Julienu, który wstał niechętnie, ciężko wdychając, żeby przygotować mu to samo. - Wiem, że wciąż się zadaję z jakimiś milutkimi panienkami. Ale robię to, bo wiem, że są nieszkodliwe.

- Ty? Ty się czegoś boisz? - spytał Laurent, głaszcząc kota.

- Boję się kłopotów - Jeff skrzywił się nieco - chyba...

- No bo oczywiście Flavie kompletnie nie wygląda jak chodzący kłopot... - dodał Julien z kuchni.

- Wiem - odparł Jeff - i o to właśnie chodzi. Jest taka

teoria, że jeśli się czegoś boisz, to musisz to zrobić, żeby przełamać strach.

Popatrzył na trzy zdumione twarze, które najwyraźniej nie słyszały o takiej teorii.

- No wiecie? Przecież to nie Kierkegaard. Wszyscy o tym słyszeli.

- Czyli jeżeli się boję, że ktoś mnie zamorduje w ciemnej uliczce, to powinienem się w nią władować?

- Laurent...

-just saying...*

- Chcę tylko powiedzieć - kontynuował Jeff - wiem, że chcę być z taką kobietą jak Flavie. Niekoniecznie akurat z nią, bo ją znam. Tak samo jak wiem, że Marie-Lune czy Marie-Soleil, chociaż to wspaniałe dziewczyny, to stanowią jednak tylko przerywniki. Tak jak Christophe dla Marinę.

Zamilkłam. Laurent i Julien słuchali go uważnie, jakby im obwieszczał jakieś szczególne mądrości.

- Dobra. Wiem, że to może się wydawać absurdalne i może takie jest, bo zbliżam się do czterdziestki. Ale powtarzam sobie: „a, co tam!”. Trzeba przynajmniej spróbować. Zobaczyć, czy dam radę, postarać się zrozumieć, czego ja właściwie oczekuję.

- Rozumiem - powiedziałam, kiwając głową - i właśnie dlatego chciałabym, żebyś zrozumiał, że to, co ci mówię o Gabrielu... Boże! Naprawdę mam stracha...

- Jesteśmy dorośli - wtrącił Laurent.

- On wydaje się tak dojrzały i odpowiedzialny - Laurent przytaknął mi, kiwając głową - chcę tylko... nie darowała-bym sobie, gdybym nie spróbowała. Nawet jeżeli w głębi duszy jestem pełna obaw, że on szybko sobie uświadomi, że jestem do kitu...

Moja wypowiedź wywołała grzecznościowe „co ty gadasz?!”, „daj spokój”, „wcale nie!”.

- To może Gabriel i Flavie w tym tygodniu... - spytał Jeff. - Odważymy się?

- Odważymy - potwierdziłam. Pomyślałam o ojcu i po-

*** *Just saying* - Tylko tak powiedziałem - ang.**

wiedziałam sobie, że nie mamy prawa się nie odważyć. Ze względu na niego i na wielu innych. Póki jeszcze jest czas.

- Chcę być uczciwy - powiedział Julien - uczciwy wobec Mathiasa. Żeby mógł podjąć decyzję, nie opierając się na moim kolejnym kłamstwie. Chcę, żeby wrócił do mnie w pełni świadomie.

- Co? - razem z Jeffem otworzyliśmy oczy ze zdumienia.
- Naprawdę?

- A ja chcę wyjaśnić Carole, że nie chcę mieć dzieci - oznajmił Laurent. - Musi zrozumieć, że jeśli chce ze mną być, to tylko pod tym warunkiem. Nie chcę jej stracić, ale też nie chcę...

Przez chwilę patrzyliśmy na siebie w milczeniu. Nie byliśmy przyzwyczajeni do takich seansów i wszyscy zaczęliśmy się uśmiechać z lekkim zakłopotaniem.

No i proszę, pomyślałam, po tylu latach znaleźliśmy się na rozstajnych drogach. I po raz pierwszy przyznaliśmy się do tego. Świadomość, że tych trzech facetów, których kochałam jak własną rodzinę, jedzie na tym samym wózku co ja, pozwoliła mi czekać spokojniej i z większym zaufaniem na jutrzejsze spotkanie z Gabrielem.

Do: Marinę

Od: Frederica Vandale

Temat: Wybawienie

Zacząłem pisać. Zacząłem pisać i to nie jest kicz. Nic takiego, po czym miałbym ochotę wrywać sobie włosy z głowy czy wyć ze wstydu. Od dwóch dni czuję się jak pijany.

Do: Freda

Od: Marinę Vandale

Temat: Istota pijaństwa

Dla pełnej jasności pytam. To uczucie pijaństwa bierze się z szalu twórczego czy z flaszki Ricarda jak ostatnim razem?

Do: Marinę

Od: Fredśrica Vandale

Temat: Ricardyzm

Twórczość, Marinę, wyłącznie twórczość. Flaszki wywaliłem do kosza. Nie mogę się przyzwyczaić do tego uczucia. No i nie umiem uwierzyć w to, że idzie mi dobrze. Zastanawiam się nawet, czy nie jestem nieco zaślepiiony samozadowoleniem albo czy to nie jakiś objaw nadmiernej jasności umysłu spowodowanej brakiem Ricarda... Myślisz, że to możliwe?

Do: Freda

Od: Marinę Vandale

Temat: Przedawkowanie jasności umysłu

Byłby z tego niezły temat na komiks, nie sądzisz?

Do: Marinę
Od: Frederica Vandale

Temat: re: Przedawkowanie jasności umysłu

Do: Freda

Od: Marinę Vandale

Temat: re: re: Przedawkowanie jasności umysłu

No więc przepraszam. Owszem, uważam, że to możliwe. Nadmiar jasności umysłu. Nie twierdzę, że to coś złego, ale może powodować podobne zawroty głowy co Ricard. Takie widzenie wszystkiego z pełną jasnością umysłu może być deprymujące, nie sądzisz? Inaczej dlaczego spędzilibyśmy połowę życia na gmatwaniu wszystkiego?

Do: Marinę

Od: Frederica Vandale

Temat: Pogmatwanie

Sądziłem, że wszystko gmatwamy niechcący. Nie wiem, jak ty, ale mnie nie zdarza się siadać przed biurkiem i mówić do siebie: „No dobra! Pogmatwajmy trochę!”.

Do: Freda

Od: Marinę Vandale

Temat: Gmatwanie freudowskie

Raz na dziesięć lat udaje mi się wymyślić jakąś teorię. Żadna nie przeszła dotąd do historii, ale mogę się z tobą podzielić. Myślę, że gmatwamy rzeczy podświadomie, bo łatwiej jest być nieświadomym. I trzeba potwornie silnej woli, żeby wreszcie otworzyć oczy na prawdę.

Do: Marinę

Od: Fréderica Vandale

Temat: Oczy szeroko zamknięte

Całkiem niegłupia ta twoja teoria. W moim wypadku chodzi o to, że może tylko mi się wydaje, że myślę trzeźwo. Może w rzeczywistości tylko marzę jak niedorostek o napisaniu książki, która tak naprawdę okaże się równie zajmująca jak

instrukcja do montażu regału z Ikei. Tylko mi nie wmawiaj, że instrukcje z Ikei są tak naprawdę pasjonujące. Ten dowcip ma strasznie długą brodę.

Do: Freda

Od: Marinę Vandale

Temat: Cenzura

Jeśli dalej mnie będziesz tak traktował, to ci założę sprawę o nadmierne cenzurowanie przeciętnych dowcipów. I co to za facet, który się z góry obraża za dowcipy, które w końcu sam sobie opowiada?

Do: Marinę

Od: Frederica Vandale

Temat: Pierwszoklasista

Ktoś, kto ma wrażenie, że idzie do pierwszej klasy w krótkich spodenkach przytrzymywanych szelkami, z tornistrem, kredkami i gumką. Wiesz, o czym piszę, bez guzików i w ogóle. Ja, który miałem omdlewać z rozkoszy po przeczytaniu swoich pierwszych stron, boję się bardziej, niż kiedy nie mogłem niczego napisać. Kurcze, Marinę. Mam trzydzieści pięć lat i boję się, że będę miał to, czego chciałem. Czasami boję się sięść do komputera.

Do: Freda

Od: Marinę Vandale

Temat: Witamy w klubie

Jeśli to cię pocieszy, to wiedz, że nie boisz się sam. Szkoda, że nie widziałeś nas wczoraj. Czworo klaunów z kieliszkami w łapach, wyznających sobie, czego najbardziej obawiają się w życiu. Bo wszyscy boimy się, że nie wiemy, czego chcemy, a jeszcze bardziej, że nigdy się nie doczekamy spełnienia naszych poplątanych marzeń.

Do: Marinę

Od: Fréderica Vandale

Temat: Grzebanie w ranie

Masz dziwny sposób pocieszania ludzi. Naprawdę mistrzowski.

Do: Freda

Od: Marinę Vandale

Temat: Jedziemy na tym samym wózku

Ty się boisz usiąść do komputera, a ja od godziny mam ewidentny stan przedzawałowy, bo za godzinę mam się spotkać z Gabrielem. Jeff już przygotował nawet torebkę papierową, żeby mnie hiperwentylować.

Do: Marinę

Od: Frederica Vandale

Temat: Epidemia

Sądzisz, że to jakaś światowa epidemia czy tylko my lokalnie zaraziliśmy się bladym strachem jak idioci?

Do: Freda

Od: Marinę Vandale

Temat: Pandemia

Wszyscy jesteśmy zarażeni, braciszku. A teraz, jeśli pozwolisz, pożegnam cię, bo muszę opanować drżenie rąk. Mam spotkanie za pół godziny.

Do: Marinę

Od: Frederica Vandale

Temat: 28 dni później

Damy sobie radę, siostrzyczko. Trzymam kciuki za dzisiejszy wieczór. Tylko miej oczy szeroko otwarte.

Do: Freda

Od: Marinę Vandale

Temat: (brak)

Myślisz, że zauważy, jeśli schowam głowę w torbę?

-)

Rozdział 10

- Idź już - powiedział Jeff - bo się spóźnisz.

- Cholera... Nie poszedłbyś za mnie?

Zaplótł ręce na piersi i popatrzył na mnie z tym swoim ironicznym uśmiechem, który pojawiał się na jego twarzy zawsze, kiedy udawałam małą dziewczynkę.

- Spadaj - rzucił, pokazując palcem drzwi. Byłam pewna, że za drzwiami czeka na mnie przepaść, urwisko... w każdym razie coś szalenie głębokiego i bez dna.

- Kto wpadł na ten kretyński pomysł z randkami? Dlaczego nie można tego było zrobić jak zwykle. Przypadkowe spotkanie, jakieś winko, potem numerek i dopiero wtedy zobaczyć, co z tego wyniknie? Zawsze tak było. Ty dalej tak działasz.

- Przypominam ci, że przejście na wyższy poziom życia polega właśnie na tym, żeby to zmienić. To ty chcesz być dorosła.

- Aaaaaaaa! - Obróciłam się i oparłam o ścianę. - Zbyt wiele przygotowań - mruknęłam do cegieł - żadnej spontaniczności...

- Nigdy w życiu nie byłaś na prawdziwej randce?

- No nie! Przecież ci mówię. Zwykle to były przypadki. „Cześć, co za niespodzianka, ty tutaj? Bla, bla, bla, bla, fajnie byłoby się znowu spotkać; Może pochodzimy razem? ". Potem, jeśli miałam szczęście, okazywało się, że na dodatek może to przypominać miłość. Ale żeby zrobić to „po bożemu”, przez randkę... jak kiedyś... to trąciło hipokryzją... to wydawało się takie sztuczne. Trzeba wejść do restauracji, poszukać go, podejść, potem...

- Marinę, jest w pół do ósmej. Nie jestem jakimś guru od randek, ale jeżeli nie chcesz go zdenerwować półgodzinnym czekaniem na siebie, to może warto byłoby już wyjść.

Podał mi palto. Miałam ochotę rzucić mu się w ramiona i mocno się w nie wtulić. Coś mi jednak mówiło, że posunęłabym się za daleko. I tak już został w domu przeze mnie, bo wybłągałam, żeby nie zostawiał mnie samej. Wiedziałam, że sama zacznę wariować, wypiję za dużo wódki, zamęczone kota, a potem dostanę zawału serca na ulicy. Miałam nawet przez chwilę świadomość, że zachowuję się nieco egoistycznie. Potem przypomniałam sobie, że za dwa dni przychodzi do nas Flavie i będę musiała (w przeciwieństwie do niego teraz) pomagać im obojgu we wzajemnych zalotach.

- Dobra - powiedziałam, wkładając palto. - Dobra, dobra, dobra.

- Marinę, wyluzuj. Jeff przytrzymał mnie za ramiona. Wyglądał na rozbawionego, ale i nieco zdziwionego moim przerażeniem, które wydawało mu się całkiem nieuzasadnione.

- Dobra - powtórzyłam po raz ostatni. - Jeff?

- Co?

- Życz mi szczęścia. Naprawdę.

- Trzymaj się, dziecinko - powiedział i uśmiechnął się.

- Naprawdę?

- Jasne, że naprawdę - pocałował mnie w czoło - i nie zapomnij, o czym mówiliśmy wczoraj. Miej oczy szeroko otwarte.

- ...i pamiętaj też o sobie.

Wykończyliśmy całą butelkę wódki, rozmawiając o naszych obawach i pragnieniach, żeby w końcu dojść do konkluzji, którą wcześniej przekazałam mojemu bratu. Nawet kiedy już wytrzeźwiałam, wciąż uważałam, że udało nam się dokonać najbardziej konstruktywnego przełomu od bardzo długiego czasu. Pocałowałam Jeffa tam gdzie zwykle, oraz tam, gdzie nie śmiałam go całować od bardzo dawna. To znaczy w klatkę piersiową, której kawałek zawsze był

widoczny spod rozpiętych koszul, i nie musiałam wspinać się na palce.

- Cześć - powiedziałam.

- Cześć.

- Dziękuję - dodałam jeszcze i dostrzegłam w jego spojrzeniu poparcie i zaufanie, którego tak potrzebowałam. Otworzyłam drzwi i z szeroko otwartymi oczami wyszłam na ulicę, gdzie zamiast przepaści bieliły się tylko wielkie zasypy śniegu, które już kiedyś doprowadziły mnie do Gabriela.

Zauważyłam go, zanim on mnie dostrzegł. Przechodził przez ulicę. Zatrzymałam się i obserwowałam go przez chwilę. Wysoki brunet o długich nogach i eleganckiej postawie, którego bliżej jeszcze nie poznałam, ale którego zamierzałam poznać. Przypomniałam sobie z rozrzewnieniem inne spotkania po raz pierwszy i odkrywanie innych wcześniej nieznanymi postaci. I tamte wszystkie pierwsze chwile, kiedy wszystko było jeszcze możliwe i nic nie było przesądzone. Czy można przyzwyczaić się do miłości, która przestała nas oszałamiać? O mało nie zamknęłam oczu, żeby spróbować to sobie wyobrazić. Wolałam jednak patrzeć na zbliżającego się do mnie Gabriela.

- Hej! - powiedział na mój widok.

Poślizgnął się na jakimś kawałku lodu, ale zaraz odzyskał równowagę i roześmiał się w głos, a ja również się zaśmiałam. Wreszcie nasze oczy się spotkały. Zdarzyło się wtedy coś, czego nie oczekiwałam, myśląc, że już nigdy w swoim życiu czegoś takiego nie przeżyję. Coś, o czym marzą poważnie nastolatki i wierzą w to tak głęboko, że czasami może im się to przytrafić. Poczułam to, co zwykle się nazywa „ściskaniem w dołku” i co spowodowało, że całe moje ciało zalała fala gorąca. Moje serce, żołądek i nie wiem co jeszcze we mnie jakby eksplodowało, ale powoli i zmysłowo. Czuję taki ogień, iż miałam wrażenie, że cała zaczęłam świecić. W tamtej chwili wiedziałam, że zrobiłabym wszystko, absolutnie wszystko, żeby tylko Gabriel był ze mną i żeby wziął mnie w ramiona.

- Spóźniłam się - wymamrotałam trochę niewyraźnie.
- Cóż... - Pokazał palcem na siebie, a potem na zaśnieżony chodnik. On też trochę się spóźnił, tyle samo co ja. Uświadomiłam sobie, że gapię się w jego oczy tak uporczywie, że mnie samej zaczęło to przeszkadzać. Odwróciłam więc wzrok.

- Idziemy, mademoiselle? - zapytał, podając mi ramię. Uśmiechał się i zachowywał tak swobodnie, że natychmiast zaczęło mi się to udzielać. Był uroczo pewny siebie i spoglądał na mnie szczerymi, szeroko otwartymi oczami. Takiemu komuś trudno byłoby odmówić czegokolwiek.

To on wybrał restaurację. Przytulny i dość znany lokal, który ja słabo znałam. Byłam bardzo zadowolona z tego wyboru. Jakiś inny pogrążony w półmroku lokal dla zakochanych, w którym wszyscy szepczą do siebie zza świec, prawdopodobnie wykończyłyby mnie nerwowo.

- Aperitif? - zapytał, gdy ledwo usiedliśmy i po raz pierwszy przemknęło mi przez myśl, że może on również troszkę się denerwuje. Normalnie by mnie to ambicjonalnie ucieszyło, ale w tej konkretnej sytuacji wolałabym, żeby przynajmniej on nie był zdenerwowany. Jedno z nas powinno nad tym wszystkim panować. Inaczej zawsze będę dryfować z prądem przez życie aż do końca świata.

- Jasne - odparłam - z przyjemnością.

Lepiej było mówić prawdę.

- Masz jakiś ulubiony? - spytał.

Miałam ochotę odpowiedzieć „cokolwiek”, bo było mi wszystko jedno. Gdybym wierzyła, że to mi pomoże, wypiłabym nawet terpentynę.

- Może gin z tonikiem i z plasterkiem ogórka w środku - zaproponował, a ja musiałam spojrzeć na niego w niemym osłupieniu, bo zaraz dodał - wiem, to się bardziej nadaje do picia latem... ale jeśli pokroić w cienkie plasterki...

- Znam to... mam przyjaciela, który jest fanem ginu z tonikiem i ogórkiem.

- Musisz nas sobie przedstawić. Wygląda na to, że mamy podobny gust.

- To Jeff.

Uśmiechnął się porozumiewawczo i tak uroczo, że musiałam się powstrzymać, żeby nie palnąć jakiegoś głupstwa.

- Dobrze więc - powiedział - mam lepszy pomysł. Skoro już zabrnąłem w kwiaty, to mogę iść jeszcze dalej i teraz zamówię szampana. Może wtedy będę wyglądał nawet na faceta, który jest w stanie recytować wiersze?

Zaczęłam się śmiać. Może trochę zbyt kokieteryjnie jak na mój gust, ale nie mogłam się powstrzymać, bo naprawdę było mi wesoło.

- Nie ma sprawy - odparłam - bardzo lubię szampana. Jeśli będzie trzeba, wytrzymam też poezję, a nawet śpiewane telegramy.

- To dobrze - roześmiał się. Przypomniał mi się nagle tytuł książki, której nigdy nie czytałam: *Everything is IUuminated**. Żółte światło żarówek odbijało się w lustrach, tańczyło na jasnym blacie baru i na miedzianych kolumnkach, które go otaczały. No i oczywiście w oczach Gabriela, przyglądającego mi się tak, jak powinno się patrzeć na drugiego człowieka. Wszystko było oświetlone lub zawiane jak ja.

Dwie godziny później byłam już całkiem spokojna. Gabriel swoim zachowaniem mógł ukoić nerwy nawet notorycznego historyka. Emanował solidnością i spokojem, co kojarzyło mi się (kompletnie nie wiem dlaczego) z kołysaniem fal na spokojnym morzu. Jego spokój i siła zupełnie nie przypominały spokoju i siły Jeffa, który z kolei dla mnie uosabiał stabilną skałę, opokę trwającą zawsze w wiadomym miejscu, do którego zawsze można trafić. Tymczasem Gabriel kojarzył mi się raczej z drzewem o mocnych, rosnących głęboko korzeniach, a gałęzie tego drzewa pną się do góry w poszukiwaniu nieznanego.

Słuchałam, jak do mnie mówił, zastanawiając się, czy jego dar uspokajania ludzi wynika z wykonywanego zawodu, czy odwrotnie, wybrał ten zawód, bo od zawsze posiadał taki dar. Zapytałam go o to. Zaśmiał się skromnie jak ludzie trochę

*** *Everything is IUuminated* - dosłownie: Wszystko jest oświetlone. W tym wypadku chodzi również o grę słów. Ang. wyraz *IUuminated* w slangu może również oznaczać: zawiany, podchmielony.**

przyzwyczajeni do komplementów, bez tego zażenowania, które ogarnia osoby nieumiejące zachować się swobodnie, gdy słyszą pochwały na swój temat.

- Nie wiem - odpowiedział. - Nie mam pojęcia. Nigdy nie uważałem się za kogoś, kto potrafi wpływać uspokajająco na innych ludzi - znowu się zaśmiał i zaczął powtarzać - uspokajający... no, no, uspokajająco?

- Tak właśnie. Jesteś taki no... kojący, no...

- W porządku. Zbliżamy się niebezpiecznie do „usypiający”. Wolałbym poprzestać na „kojący”.

- Nie. Nie usypiający. Boże, czemu wszystkim się wydaje, że kojenie ma coś wspólnego z usypianiem. To tak, jakby każdy był zawsze nakręcony lub zdziadziały, lub pobudzo-ny... Specjalnie akcentowałam te przymiotniki śpiewnie, jakbym udawała występ w musicalu.

- Lub podniecający - dodał Gabriel tym samym tonem.

- Właśnie.

Bałam się, że spadnę z krzesła ze śmiechu.

Elodie z całą pewnością uznałaby Gabriela za podniecającego. Sama też tak uważałam. Podniecający i kojący. Wyobraziłam sobie, że jestem gwiazdą ekranu, która udziela wywiadu i pytają mnie: „Pani Vandale, jakich mężczyzn pani szuka?”. A ja daję właśnie taką, a nie inną odpowiedź: „Podniecających i kojących”.

- Sama nie wiem - mówiłam - może to zmęczenie, może trzydziestka na karku, ale zawsze szukałam w życiu czegoś odlotowego, a teraz wreszcie mam ochotę na coś... - zabrakło mi właściwego słowa i zaczęłam sobie pomagać machaniem dłonią - na coś, co mnie przygwoździ. To jakby... - znów zamilkłam, bo uświadomiłam sobie, że nigdy tak nie mówiłam do nieznajomych. A już na pewno nie do mężczyzn, których pragnęłam uwieść swoim poczuciem humoru i lekkością rozmowy. W oczach Gabriela dostrzegłam jednak autentyczne zainteresowanie, więc ciągnęłam: - Wszystko, co jeszcze dwa, trzy lata temu miało jakiś urok, teraz stało się całkiem pozbawione sensu. Najmniejszego. Nie wiem, czy mnie rozumiesz...

- O tak, jak najbardziej.

Nic więcej nie dodał, więc ciągnęłam ten wątek.

- Nie wiem, czy stało się coś konkretnego, czy po prostu tak już się dzieje na tym świecie, ale nagle poczułam ochotę, by zejść z obłoków i zacząć chodzić po ziemi. Bo bujanie w obłokach przestało mieć jakikolwiek sens.

Jakbym odsłuchiwała naszą wczorajszą rozmowę z chłopcami. „Ale czy to jest naprawdę to, czego chcemy?"; „Może wmawiamy to sobie ze strachu"; „Czy chodzenie obiema nogami po ziemi ma sens?“. Zastanawiałam się, czy nie gadaliśmy tak trochę na przekór. Po tych wszystkich latach nieudanych wlotów i bolesnych upadków nadal nie chcieliśmy uwierzyć, że podniebne uniesienia są już za nami, a ziemski padół jest w gruncie rzeczy lepszy niż pogoń za siódmym niebem.

- Byłaś już kiedyś zakochana? - spytał Gabriel.

- Proszę?

- Czy byłaś już kiedyś zakochana?

- No... tak - miałam absurdalne i nieuzasadnione wrażenie, że właśnie obraził Laurenta, o którym wiedział - byłam pięć lat z Laurentem i...

- OK, wierzę ci - powiedział - chociaż tu nie chodzi o ileś tam lat. Ja byłem jedenaście lat z Suzie...

- Suzie?

- Z moją żoną.

Aha, z żoną. Wiedziałam, że był żonaty, ale w związku usankcjonowanym tymi świętymi więzami jest coś monumentalnie wielkiego. Ja nigdy nie chciałam brać ślubu, teraz jednak uświadomiłam sobie, że sam fakt tych zaślubin dodawał wagi takiemu związkowi. Moja głowa już się ugięła pod ciężarem wyobrażenia sobie jedenastu lat miłości.

- Żyliśmy ze sobą jedenaście lat, ale nie sądzę, żebyśmy mogli powiedzieć, że jesteśmy naprawdę zakochani w sobie.

Nic nie mówiłam, bo nie miałam pewności, czy jego ostatnie zdanie było po prostu głupie, czy to raczej on jest poważnie upośledzony. Nie potrafiłam pojąć, jak można spędzić ze sobą jedenaście lat, nie kochając się.

- Nie patrz tak na mnie. Jestem pewien, że rozumiesz,

O czym mówię. Można czuć się z kimś świetnie bez miłości. Można się doskonale rozumieć. Można się nawet świetnie czuć z kimś w łóżku, nie będąc zakochanym. Tego jestem pewien.

W końcu mu przytaknęłam. Może rzeczywiście miał rację? Zaczęłam się nawet zastanawiać, czy naprawdę kochaliśmy się z Laurentem. Może po prostu przyjaźniliśmy się tak głęboko, z takim zrozumieniem i z takim zaangażowaniem, że i my, i nasi najbliżsi pomylili się, uznając to za miłość.

- Mam ochotę odpowiedzieć „tak, rozumiem” - odparłam. - A ty byłeś kiedyś zakochany?

- Raz. Miała na imię Laura. Miałem wtedy dwadzieścia pięć lat i widziałem się przy jej boku w wieku sześćdziesięciu lat, nawet osiemdziesięciu... zawsze chciałem z nią być. Nie bałem się, rozumiesz?

O tak. To rozumiałam. Pomyślałam ciepło o Jeffie. Bałam się go stracić. Ta myśl oderwała trochę uwagę od tego, co mówił Gabriel, ale na szczęście tego nie zauważył i mówił dalej:

- To była taka jej aura, może jej zapach. Wiesz, jej zapach doprowadzał mnie do szaleństwa. Byłem dosłownie uzależniony od niego.

- I co się stało?

- Miała pewien problem - uśmiechnął się smutno - była ciągle przerażona, Bóg jeden raczy wiedzieć, dlaczego. Może nie umiała mi zaufać, a ja kochałem ją jak wariat. Wracałem późno do domu, bo uczyłem się jak głupi, co jest konieczne na medycynie, a ona zaczęła mnie nawet śledzić, żeby się upewnić, czy jej nie zdradzam. I któregoś dnia nie wytrzymałem, miałem dość. Przesadziła z tą swoją podejrzliwością i zazdrością.

- To ty odszedłeś?

- Tak. I nigdy już jej nie spotkałem. Rok później dowiedziałem się, że wróciła do rodziny w Teksasie.

- Dziewczyna z Teksasu...

- Kowbojka!

Roześmialiśmy się oboje, patrząc i patrząc nawzajem sobie w oczy.

Nie jestem sama, pomyślałam; nie patrzymy w ten sposób na kogoś, kto jest nam obojętny. A ponieważ atmosfera sprzyjała zadawaniu pytań, których zwykle się unika, zapytałam: - Sądziś, że już się wyleczyłeś z tej kowbojki?

- Cóż... - Napił się szampana. - Nie chcę cię okłamywać, bo czyż można się tak całkowicie wyleczyć z prawdziwej miłości?

Tylko pokiwałam głową. Zawsze umiał znaleźć właściwą odpowiedź i nie było to czcze gadanie. Pomyślałam o Laurencie i uświadomiłam sobie, że myjeszce tak do końca nie wyleczyliśmy się z naszej miłości. To było w sumie smutne i piękne, że jest w jakiś sposób niezniszczalna, chociaż potrafiło czasami ciążyć na duszy.

- Najpierw myślałem, że nigdy się nie pozbieram - mówił dalej Gabriel - potem spotkałem Suzie i wszystko powoli zaczęło się układać. Chyba wiesz, jak to jest...

- Wszystko można jakoś poustawiać.

- Owszem.

- Ale właściwie nie mam zdania, czy to dobrze, czy źle. Chyba i jedno, i drugie.

- Ja też myślę, że jedno i drugie.

- Żałujesz czasami?

- Tego, że ją zostawiłem? Nie. Teraz już nie. Oczywiście, czasami się zastanawiam, jak mogłoby być. Ale nie żałuję. To i tak niczego nie zmieni.

- Łatwo powiedzieć.

- A ty? Żałujesz czegoś?

Zrobiłam w myślach szybki przegląd wszystkich potknięć życiowych, rozczarowań i tych niezliczonych przypadków, kiedy zastanawiałam się nad sytuacją, w której uda się coś ocalić albo nie warto niczego ratować.

- Nie - stwierdziłam wreszcie. - Nie żałuję.

I była to prawda. Uświadomiłam sobie, że powiedziałam to pogodnie. Te wszystkie błędy i katastrofy jakoś przecież mnie zmieniały. Zdałam sobie wreszcie sprawę z tego, że polubiłam je wszystkie, bo stworzyły mnie taką, jaka jestem. Zaprawiły mnie, czegoś nauczyły i dlatego były cenne. Zawsze wierzyłam, że ludzie stają się piękni wewnątrz dzięki

doświadczeniom, wzlotom i upadkom. Czasami patrzyłam na tych, których kochałam, i widziałam, jak miotają nimi ich własne demony, z którymi nie potrafią zerwać, i jak są przywiązani do swoich błędów i nałogów, których nie potrafili porzucić czy zmienić. Patrzyłam, jak podejmowali błędne decyzje, robili rzeczy, których natychmiast potem żałowali. Fakt, że wtedy kochałam ich jeszcze bardziej. Wzruszali mnie, bo wiedziałam, że jedziemy na tym samym wózku, a życie jest po prostu zarówno bolesne, jak i niesamowicie wspaniałe. Nigdy nie zwierzyłam się nikomu z tych myśli. Przynajmniej na trzeźwo. To były poglądy, które ujawniało się czasami psychologowi, nieznanemu w barze albo przyjacielowi po wypiciu dużej ilości wódki.

- Nie - powtórzyłam. - To prawda, chyba nie potrafię żałować. Nie mam dość zawziętości. Są rzeczy... albo takie chwile w moim życiu, które chciałabym przeżyć inaczej... ale nie potrafię żałować. Co było, to było.

Gabriel przyglądał mi się z powątpiewaniem.

- Naprawdę - powtórzyłam z naciskiem - to nie jest tak, że nie chcę żałować. To nie jest jakaś moja poza. Po prostu nie żałuję i już. To chyba jest właściwość charakteru zapisana w genach.

Zamilkłam, bo nagle pomyślałam o tacie. Czy on żałował? Nigdy ze sobą nie rozmawialiśmy na poważnie. Właściwie powinnam powiedzieć, że nigdy mi niczego nie mówił. Jeśli naprawdę ma tę straszną chorobę, to jakie tajemnice zabierze ze sobą? Jakie żale, bóle czy radości? Poczułam, że będę od niego bogatsza o własne wspomnienia i... zawstydziałam się. Zachowywałam się jak bogacz liczący banknoty w portfelu po spotkaniu ze spłukanym przyjacielem.

- Myślisz o ojcu? - spytał Gabriel.

- Ty... naprawdę jesteś taki doskonały? Piękny, bystry, szarmancki i na dodatek jasnowidz? - Poczułam, że się czerwienię. Wyznanie komuś, że uważa się go za pięknego, zawstydziło mnie. Gabriel roześmiał się, a jego zielone oczy odbijały tysiące świateł tańczących po sali.

- To chyba taki dar, który się rozwija w człowieku po kilku latach pracy w pogotowiu. Mówiłaś wcześniej o genach,

więc pomyślałem o twojej rodzinie i zaraz potem o twoim ojcu - nagle zaczął mówić bardzo rzeczowym medycznym tonem. - A czy on ma prawidłową opiekę lekarską?

- Tak sądzę... Szczerze mówiąc, nie wiem. Nie znam się na tym. Jutro idę z nim na wizytę do jakiegoś następnego psychologa... nawet nie rozumiem, dlaczego został do niego skierowany...

- To jest jak najbardziej prawidłowe. Musi porozmawiać z psychologiem. Kto go prowadzi?

- Ehh... - poszukałam wizytówki tego lekarza i mu ją podałam. Przyjrzał jej się uważnie i jakby się przez chwilę zawahał.

- Posłuchaj - powiedział spokojnym tonem - nie chcę się mieszać w sprawy, które mnie nie dotyczą, ale... kobieta, z którą się teraz spotykam, specjalizuje się w prowadzeniu tego typu schorzeń. Jeżeli zechcesz, mogę jej ciebie zarekomendować.

- Nie ma rumu! - krzyczał Julien. - Nie ma rumu!

- Ona już jest pijana - stwierdził Jeff, który właśnie przygotowywał kolejną kolejkę.

- Powiedziałem, że nie ma rumu.

- Nie ma rumu? - wrzasnęłam.

- Nie ma. Jesteś pewna, że nie chcesz, żebym mu obił mordę? - zapytał Jeff po raz setny od mojego powrotu. Wciąż trzymałam w ręku wizytówkę „kobiety, z którą się teraz spotykał”.

Gabriel pożegnał się ze mną na progu mojego domu słowami:

- Masz najdłuższe rzęsy, jakie w życiu widziałem.

Nic nie odpowiedziałam. Po tym „mogę jej ciebie zarekomendować” właściwie niewiele mówiłam. Czułam się tak oszołomiona i tak całkowicie zbита z tropu, że - i to chyba jedyny plus tego stanu - nie potrafiłam się obrazić, wściec czy nawet zadać choć paru stosownych pytań. Byłam na to zbyt zrezygnowana czy zbyt głupia? Faktem jest, że resztę wieczoru z Gabrielem spędziłam, pijąc może trochę za dużo,

ale rozmawiając chyba całkiem normalnie. Serce spało, ale głowę rozsadzało mi tysiące pytań bez odpowiedzi. Dlaczego przysłał mi róże? Dlaczego jestem taka pechowa? Czy wysyłałam fałszywe sygnały? Może byłam zbyt ślepa, żeby zauważyć, że on po prostu szuka przyjaciela? Kto, do licha, wymyślił tę bzdurę, że kobiety są bardziej skomplikowane i trudniejsze do rozszyfrowania niż mężczyźni? I co najważniejsze, czy jestem już na tym etapie, że wmawiam sobie miłość do każdego faceta, który mnie lubi, ale nie chce nic wiedzieć na mój temat?

Zanim całkiem zniknął w śniegu, odwrócił się jeszcze i powiedział:

- Marinę, jesteś najbardziej zadziwiającą dziewczyną, jaką poznałem w swoim życiu.

Zadziwiająca, cholera, co to znaczy „zadziwiająca”? Że jestem jedyną idiotką, która sobie coś ubzdurała, bo facet jej przysłał kwiaty?... Kwiaty... a do diabła z nimi!

- To już załatwione - zapewnił mnie Julien - wywaliłaś je za okno.

- Razem z wazonem - dodał Jeff.

- Przepraszam za wazon... - nawet nie płakałam. Byłam po prostu wściekła. Nawet nie czułam się poniżona, tylko wyłączyłam z siebie ze złości. Jeff przyniósł nam kolejne drinki, kiedy otworzyły się drzwi wejściowe i wszedł Laurent.

- No dobra - powiedział na przywitanie. - Wpadłem po uszy u Carole, bo nie potrafiłem jej wytłumaczyć, co to za ważna sprawa zmusza mnie do wychodzenia o jedenastej wieczorem z domu. Lepiej byłoby dla was, gdyby to było naprawdę coś ważnego.

Tym razem miał na sobie grubego sweter i czapkę, a w rękę ścisnął butelkę szampana.

- Przyniosłem szampana, bo wiem, że to ci pomaga na dołki. Co się stało?

Skoczyłam nagle na nogi i podbiegłam do niego, krzycząc „Loulou!”. - Nie miałam czasu się zastanowić, dlaczego to robię? Czy dlatego że był miły, czy dlatego, że przyniósł szampana. Rozczuliły mnie resztki śniegu, które zostawił

na wycieraczce z napisem: „Na waszą odpowiedzialność”. Potem rzuciłam mu się w ramiona i zaczęłam płakać.

Płakałam tak z pół godziny. Laurent nie był przyzwyczajony do tego typu wzruszeń i w przeciwieństwie do Jeffa nie miał daru uspokajania. Doprowadził mnie powoli do kanapy, mruczając jakieś banały, które mnie miały pocieszyć. Jeff i Julien streszczali mu w tym czasie sytuację.

- Chcesz, żebym mu obił ryja? - zapytał nasrożony i wtedy trochę się nawet uśmiechnęłam. Myśl, że Laurent będzie kogoś bił, wydała mi się tak niestosowna i nieprawdopodobna, że nie mogłam się nie roześmiać, choć i też wzruszyć.

Resztę nocy spędziłam na szlochaniu i złorzeczeniu w ramionach chłopców, którzy na zmianę mnie pocieszali, aż przestałam właściwie dokładnie pamiętać, dlaczego płaczę. Czy z powodu złudzeń, które sobie robiłam w związku z osobą Gabriela? Czy wzruszyła mnie miłość tych trzech facetów, którzy przecież nie byli moimi ukochanymi, a dawali mi więcej niż wszyscy moi „ukochani” razem wzięci.

Nazajutrz obudziłam się w łóżku Jeffa obok Juliana. Miałam dziwne wrażenie *deja vu*. Przesunęłam dookoła jednym otwartym oknem, czy nie dostrzegę gdzieś w pobliżu Jeffa. Zagadka rozwiązała się sama po paru minutach. Usłyszałam łomot spadającego na podłogę ciała, a zaraz potem głośno: „o, kurwa!”, i przenikliwie: „miauuu...”. A potem tupot uciekającego kota, który wskoczył do łóżka i położył się koło mnie z obrażoną miną.

- Wszystko w porządku? - zapytałam - upadłeś na kota?

- Co ja, do cholery, robię w salonie?

W jego głosie brzmiało takie zdumienie, że nie mogło to mnie nie rozśmieszyć.

- Nie wiem, ale możesz mi wyjaśnić, co ja robię z Julianem w twoim łóżku?

- Auuuu - jęknął Julien.

Pocałowałam go w ramię i powoli, bardzo powoli zaczęłam się podnosić. Wtedy zauważyłam, że jestem ubrana w różowy sweter z pomponami, należący do Juliana, a on

miał na sobie satynową bluzkę w kolorze ciemnego fioletu, którą nosiłam wczoraj. Ile razy już to robiliśmy?

Dziesiątki wspaniałych wieczorów i ponurych poranków przemknęły mi przez głowę. Ja przebrana w jego jedwabne spodnie i żółtą marynarkę, a on w mojej sukience i swetrze.

Zaśmiałam się raz jeszcze, chwytając się za skronie. Potem, powoli, kropelka po kropelce zaczęły do mojej głowy skapywać wspomnienia poprzedniego wieczoru.

Najpierw przypomniałam sobie Gabriela dającego mi wizytówkę tej nieznanym kobiecie, która od razu zajęła przedziwne ważne miejsce w moim życiu. Wieczorem dotoczyłam się do komputera, żeby znaleźć coś o niej w Internecie. Razem z chłopakami spędziliśmy pół godziny na oglądaniu jej zdjęć, zastanawiając się, czy jest ładna czy brzydka. Mimo obiekcji chłopaków, jakie wygłaszali z solidarności ze mną, musiałam przyznać, że jest wspaniała. No i pracowała w tej samej dziedzinie co Gabriel, i miała tę nieosiągalną dla mnie aurę dorosłości i powagi, której nie potrafiłam z siebie wykrzesać. Mruknęłam coś niezrozumiale do Jeffa, który próbował się podnieść na nogi.

- O rany! - mruknął, będąc wciąż na czworakach - Laurent będzie miał przechlapane.

- Czemu? Przecież wyszedł już po dwóch godzinach.

- Po czterech - usłyszałam szept Julienu tuż obok mnie - wiem, bo wtedy nie miałem jeszcze na sobie twoich ciuchów.

- Laurent zawsze wychodzi, kiedy zaczynamy się przebierać. Chyba boi się, że mu się spodobaś w babskich ciuchach.

- Ojejku! - pisnął Julien, komicznie chowając twarz w bluzce.

Usłyszałam, jak Jeff wkłada wczorajsze naczynia do zmywarki.

- Rany! - zauważył po chwili. - Wykończyliśmy nawet likier miętowy.

- To Laurent - odpowiedzieliśmy jednocześnie z Julienem.

Laurent spędził większą część wieczoru przekonując mnie, że w gruncie rzeczy jestem w lepszej sytuacji niż on, bo on właśnie mi zazdrości, że jestem wolna. Bo nie ma nic piękniejszego na świecie niż celibat. Razem z Julienem zaśpiewaliśmy mu *Love is the answer and you know that sure**. Aż w końcu Laurent oznajmił:

- No dobra, John Lennon. To trochę przereklamowane - i podał Jeffowi płytę, której słuchaliśmy potem przez godzinę.

Były na niej wszystkie najpiękniejsze kawałki Lennona. Około drugiej w nocy Laurent płakał razem z nami jak pannie. Twierdził, że został przygnieciony ciężarem związku dwojga ludzi, odpowiedzialnością, którą wymusza miłość, i stłamszony brzydota codziennych kompromisów. Julien wpadł w rozpacz i próbował się dodzwonić do dwóch przygodnych kochanków w nadziei zapamiętania się w bezuczuciowym seksie, bo alkohol przestawał działać. Jak na ludzi, którzy zaledwie dwa dni wcześniej deklarowali poważne postanowienia zmian w swoim życiu, trudno by było ten wieczór nazwać zwieńczeniem owych obietnic.

- Jeff? - krzyknęłam w stronę kuchni.

- Mhm?

- Czemu leżymy w twoim łóżku? - W odpowiedzi zapadła dłuższa cisza.

- Powiedziałaś, że chcesz spać z moim zapachem - wyjaśnił wreszcie.

Julien, który się wreszcie zaczął podnosić, pokiwał do mnie głową na potwierdzenie jego słów.

Dwie godziny później siedzieliśmy przy naszym stoliku w restauracji. Laurent nie przyszedł, tłumacząc się potężnym kacem, ale wiedzieliśmy, że to mogło tylko oznaczać poważną rozmowę z Carole.

- Nie rozumiem - powiedziałam - to znaczy rozumiem,

*** *Love is the answer and you know that sure* - Miłość jest odpowiedzią na wszystko i dobrze o tym wiesz - ang.**

że Carole może uważać za bardzo *wierd**, że Laurent i ja pozostajemy w tak bliskiej przyjaźni, ale, do licha... chyba musiała wreszcie pojąć, że po tylu latach inne sprawy są między nami dawno skończone...

- Czy pomyślałaś choć przez małą chwilę, że może Laurent nie wyprowadza jej do końca z błędu? - spytał Julien.

- No nie - wtrącił Jeff - po co miałyby to robić?

- Bo to cały Laurent.

- Cholera! Świat jest dla mnie zbyt skomplikowany.

Julien i ja szykowaliśmy się już do wypowiedzenia naszej tradycyjnej formuły: „I kto to mówi?”, ale Jeff pomachał nam przed nosem ręką, dając do zrozumienia, że już sam się pokapował.

Śliczna kelnerka, której jeszcze tu nie widziałam, przyniosła nam właśnie trzy cezary, a dla Jeffa dodatkowo czystą wódkę. Po dwóch dniach pijaństwa musiał sięgnąć po nadzwyczajne środki.

- Do licha - westchnęłam, odstawiając pustą szklaneczkę - czy ktoś mi wytłumaczy, co my właściwie robimy? Mam wrażenie, że ogarnęła nas bezsensowna stagnacja.

- No wiesz...

- Ależ tak. Tępijemy, żyjemy szybko, łapiemy, co się da, ale właściwie wokół nas absolutnie nic się nie dzieje. Niczego konstruktywnego nie robimy. A w moim wypadku na dodatek kompletnie nic się nie dzieje.

- Dobra. Daj sobie spokój - powiedział Jeff, podstawiając mi pełny kieliszek. - Wczoraj miałaś kryzys, bo jakiś facet, szczerze mówiąc, zachował się jak kretyn. Niech go diabli. Jutro też jest dzień.

- Jutro czekają mnie całe godziny rozkoszy... Po południu idę z tatą na badania do szpitala i jeszcze Elodie chce iść z nami. Nie wiem, jak wy, ale dla mnie szpitala i tak są okropne, a będę musiała jeszcze znieść moją siostrę, która zacnie histeryzować. To pewne.

Chłopcy pokiwali głowami ze współczuciem.

- Znajdziesz czas, żebyśmy rano wpadli na bazarek? -

* *Wierd* - tu: dziwne - ang.

zapytał Jeff. - Warto pamiętać, że jutro ma przyjść na kolację Flavie.

- Nie zapomniałam...

W rzeczywistości oczywiście zapomniałam i wolałabym sobie nie przypominać. Było mi wstyd, ponieważ ta kolacja doskwierała mi bardziej niż konieczność towarzyszenia tacie do szpitala. Myśl, że Flavie i Jeff mogą osiągnąć to, o czym marzyłam, a co mi się nie udało z Gabrielem, doprowadzała mnie do szału. Kiedy wyobrażałam sobie ich wzajemne czułości, miałam ochotę oblać Jeffa wódką. Starałam się jednak odpędzić te myśli, które świadczyły tylko i wyłącznie o moim egoizmie. Powtarzałam sobie, że będzie to pierwszy test na moją dorosłość, jeśli uda mi się znaleźć w sobie dość siły i wspaniałomyślności, żeby cieszyć się szczęściem przyjaciół. Ale gdzieś w głębi duszy coś mi mówiło, że to główniany test.

A ponieważ nieszczęścia nie chodzą parami, ale co najmniej trójkami, rozzwoniła się moja komórka. Zanim się odwróciłam, żeby sięgnąć po torebkę, ubiegł mnie Julien. Wyjął aparat, zerknął na wyświetlacz i usiadł na telefonie.

- Julien...

- Nie.

-Julien...

- Nie. Jeff, trzymaj.

- Julien, czy to Gabriel, powiedz?

- Co? Nie. To nie był Gabriel.

- Nie umiesz kłamać. Oddawaj telefon.

- Nie - wtrącił się Jeff. Zdaje się, że wczoraj coś ustaliliśmy? To nie jest facet dla ciebie.

Popatrzyłam mu w oczy, ale dostrzegłam w nich tylko szczerłość i troskę. Prawie się popłakałam ze wzruszenia.

- Dobra - powiedziałam.

- Dobra - powtórzył Julien, kładąc telefon na stole między nami. - Najpierw odsłucham sekretarkę, a potem zobaczymy. Nie mówiłem ci tego wczoraj, bo to był sztab kryzysowy, ale nie sądzę, że naprawdę on jest potworem. Może faktycznie powinien zrozumieć, że zachował się dwuznacznie, ale nie jestem do końca przekonany, czy to było aż tak obraźliwe, jak ci się wydaje.

- Dwuznacznie?

Julien rzucił mi swoje specjalne spojrzenie, przeznaczone na te okazje, kiedy przejmowałam się głupotami.

- Marinę, spokój. Może ty też dorobiłaś sobie za dużo ideologii. Kobieto! Nawet ze sobą nie spaliście, a ty już robisz plany na przyszłość.

Prawie słyszałam, jak w myślach Jeffa rozbrzmiewało: „a nie mówiłem”.

- Może masz rację - odrzekłam - a nawet na pewno. Przyrzekliśmy sobie mieć oczy otwarte, zachowywać się jak dorośli i przestać żyć złudzeniami. Niczego sobie nie dorobiłam. Poza tym jestem na niego obrażona.

Ale patrzyłam na mały aparat leżący na stole, czując jedynie głupią radość i ślepe przekonanie, że wszystko jest jeszcze możliwe.

Do: Freda

Od: Marinę Vandale

Temat: Co tam w literaturze?

Musisz opowiedzieć mi o tej swojej książce. Nawet jeśli napisałeś tylko trzy rozdziały, to po prostu opisz mi je, streść albo sparafrazuj.

Do: Marinę

Od: Frederica Vandale

Temat: Stopka

A gdybym miał napad wspaniałomyślności i wysłuchał twojej prośby? Pewnie zasnąłabyś z nudów przed laptopem i nikt nie potrafiłby cię obudzić. Naprawdę sądzisz, że to ukłucie igłą uspiło Śpiącą Królową. Właśnie sparafrazowałem ci jeden rozdział.

Do: Freda

Od: Marinę Vandale

Temat: Cień wątpliwości

Popraw mnie, jeżeli się mylę, ale dostrzegam w twoim mejlu cień ironii. Czyżbyś był w lepszej formie niż ostatnio?

Do: Marinę

Od: Frederica Vandale

Temat: Potok wątpliwości

Wciąż powątpiewam, Marinę. Dokładniej mówiąc, jestem uosobieniem wątpliwości, które wieczorami zmuszają moje

siedemdziesiąt pięć kilo żywej wagi do spacerów po cmentarzu Pere-Lachaise. Dostrzegasz ponury smutek tej przenośni? Pisarz z aspiracjami, który się doładowuje włączką po cmentarzu.

Do: Freda

Od: Marinę Vandale

Temat: re: Potok wątpliwości

Czekaj, czekaj. Ty teraz ważysz tylko siedemdziesiąt pięć kilo? Dzwonię do mamy.

Do: Marinę

Od: Fredérica Vandale

Temat: Za i przeciw

Jeżeli powiesz mamie, że ważę siedemdziesiąt pięć kilo, to pewnie stracę kolejne kilogramy i resztki spokoju, nawet jeśli mama zacznie wysyłać Fed-Eksem paczki żywnościowe. Proszę więc o dyskrecję. Przrzekam, że od jutra zacznę jadać na śniadania bułki z szynką. Ale jeżeli naprawdę chcesz pomóc swojemu bratu odbudować utracone komórki, to może zechciałabyś przeczytać to, co już zdążyłem napisać? Nawet jeżeli cię zemdli w trakcie czytania i mi to powiesz, to i tak twoje zdanie będzie się dla mnie liczyło,

Do: Freda

Od: Marinę Vandale

Temat: Zaszczyt

Z przyjemnością, moja ty chudzinko. Ale musisz mi przesłać rachunki za kanapki.

Do: Marinę

Od: Frederica Vandale

Temat: Powrót windy

Rachunki zostaną oczywiście przesłane. A teraz może ty zechcesz mnie zaszczycić informacją, coś znowu poszło nie tak, że zapragnęłaś streszczeń prozy?

Do: Freda

Od: Marinę Vandale

Temat: Mówiąc wprost

Krótko. Gabriel (dalej zwany dr Jekyll, bo ma podwójną osobowość) wykazał, że ma dziewczynę. Oznajmił mi to przy butelce szampana. Flavie przychodzi do nas wieczorem na kolację i w dodatku spędzę popołudnie z tatą w szpitalu razem z Elodie. Dr Jekyll zadzwonił i musiałam ratować się ucieczką w przenośnię, bo inaczej rzuciła-bym się na telefon i pobiła rekord świata w oddzwanianiu. Mam gówniany nastrój, a najbardziej wykańcza mnie fakt, że w centrum mojego świata znowu znajduje się dr Jekyll.

Do: Marinę

Od: Frederica Vandale

Temat: Wariant dyplomatyczny

Czy Julien lub Jeff mówili ci już, że być może zbyt nerwowo reagujesz? Czy ja pierwszy muszę ryzykować życie, żeby ci to powiedzieć?

Do: Freda

Od: Marinę Vandale

Temat: Burda dyplomatyczna

OK. Julien już mi to mówił. Przypominam ci, że świadomość logiczna oczywistości i racjonalności jakiejś rzeczy niekoniecznie znaczy, że naprawdę o tym wiemy. Nawet nie próbuj mi wmawiać, że nie wiesz, o czym mówię. Moja duma została urażona, Fred. Czuję się jak idiotka, która uwierzyła.

Do: Marinę

Od: Fredsrica Vandale

Temat: 110 procent

Rozumiem. Ale czy nie przyszło ci do głowy, że on może bać się spotkania z tobą tak samo jak ty z nim?

Do: Freda

Od: Marinę Vandale

Temat: Psycholog za dwa grosze

To by było zbyt proste, Fred.

Do: Marinę
Od: Frederica Vandale
Temat: Ale śmieszne

Tak sądzisz?

Do: Freda
Od: Marinę Vandale
Temat: re: Ale śmieszne

Zaraz do niego zadzwonię.

Do: Marinę
Od: Fróderica Vandale
Temat: ZASTANÓW SIE

Nie napisałem, żebyś zgłupiała do reszty, ale żebyś pomyślała przez chwilę. Jeżeli sądzisz, że to ci zaszkodzi, to skup się na tacie lub na Flavie. Poproś mnie, to coś ci jeszcze sparafrazuję.

Do: Freda
Od: Marinę Vandale
Temat: Produkty zastępcze

Nie jestem pewna, czy akurat dzisiejszy dzień jest w stanie przywrócić mi radość życia. Ale jeżeli prześlesz mi twoje wypociny, to kto wie? ©

Do: Marinę
Od: Frśderica Vandale

Temat: Nie należy pogardzać produktami zastępczymi
Załączam ci plik z tekstem. Jeśli ci się nie spodoba, to się nie zmuszaj do czytania. Jeśli nie będziesz mogła powstrzymać się przed zadzwonieniem do dr. Jekylla, i to cię zabolí, to zadzwoń. O każdej porze.

-)

Rozdział 11

Dwie godziny później byłam po piątym telefonie do swojego brata i właśnie szykowałam się do szóstej próby, kiedy Jeff wkroczył do mojego pokoju, żeby przypomnieć, że musimy zaraz wychodzić na bazarek, żeby zdążyć zjeść obiad i przygotować kolację.

- „Nie mogę ci pomóc przy kolacji, bo jadę do szpitala.

- *Oh, fuck.* Rzeczywiście..

- Poza tym, to ty się znasz na gotowaniu.

- No tak, ale kto mi poszatkuje warzywa? Ktoś musi pokroić w wiórki czekoladę i obrać czosnek.

- Potrzebujesz kogoś do prac pomocniczych. Byle miała drobne dłonie.

- Owszem, ale... - podszedł do mnie i wziął prawą dłoń w swoje ręce - widziałas kiedyś piękniejsze drobne dłonie?

Wzniosłam oczy do nieba, kiedy zaczął mnie całować po palcach.

- Tak nikczemne pochlebstwo nic ci nie pomoże, Jeffie Murphy. Na mnie to nie działa. I nie sądzę, żeby zadziałało na Flavie, to dla twojej wiadomości.

Puścił moją dłoń z komicznie przesadnym westchnieniem.

- Wy wszystkie macie serce z kamienia. I na dodatek jesteście z tego dumne.

- Świadom jesteś, że będziesz musiał zmienić swoje metody łowieckie?

-Co?

- Nie ze mną te numery, casanowo. Takich dziewczyn jak Flavie nie łapie się puszczaniem oka i pięknymi słówkami. Mistrz będzie musiał sam powiosłować.

- To tylko kolacja.

- Akurat.

Nie mogłam się powstrzymać od uśmiechu. Może Fred miał trochę racji. Samo myślenie o innych rzeczach już mi pomagało. Nawet jeśli chodziło o tę nieszczęsną kolację. Ostatnie dwie godziny przegadałam z nim przez telefon, zamiast oddać się lekturze jego książki. Skłamałam, że skończył mi się toner w drukarce, a nie jestem w stanie przeczytać na ekranie laptopa więcej niż jednej strony. Wysłuchiwał mnie cierpliwie przez większość tego czasu. Pękł dopiero wtedy, kiedy zaczęłam go pytać, po jakim czasie po telefonie należy oddzwonić, żeby nie robić wrażenia desperatki, a po prostu uprzejmie zainteresowanej.

- Przystaniesz wreszcie uprawiać te gierki, dobrze? Po prostu przestań. Nikt nigdy nie stał się szczęśliwy, grając w ten sposób.

- Odsłuchiwałam wiadomość od Gabriela - powiedziałam do Jeffa, który położył się na moim łóżku, gdy ja ubierałam się starannie. Ręce podłożył sobie pod głowę, a jego nogi mocno wystawały poza łóżko. Pomyślałam, że nie wiem, w jak udanych związkach powinny być osobne łóżka dla wielkich chłopów i filigranowych kobietek. Włożyłam duży sweter, który przykrywał mi pośladki, ale niestety odsłaniał jedno ramię.

- I co powiedział?

- Poinformował, że spędził superwieczór i spytał, czy nie moglibyśmy... Ale na końcu dodał: „A może jednak nie...”. „Może ty posłuchasz, proszę, bo ja puszczałam to już dwadzieścia razy.

Jeff spojrzał na mnie i miał minę, jakby się spodziewał, że poproszę go o to, bo bez słowa wyciągnął rękę. Szybko wystukałam numer swojej skrzynki głosowej i podałam mu aparat. Wysłuchiwał wiadomości z zamkniętymi oczyma raz, a potem jeszcze raz.

- Zastanawia się, czy nie powinien cię uprzedzić, że potrzebny mu psychoanalityk.

- Tego nie mówi.

- Niewiniątko. Ale to słychać między tymi jego „jeżeli” i „gdybyś kiedykolwiek zechciała się spotkać”. Kładzie nacisk na „kiedykolwiek”. Musiał się pokapować, że nie błysnął inteligencją, serwując ci tę informację o swojej kobiecie, i jest mu głupio.

- Och! - Przysiadłam na łóżku. - Jeżeli jest mu głupio, to znaczy, że może nie chodzi mu tylko o przyjaźń. Gdyby chciał się kumpłować, to nie przejmowałby się taką wpadką.

- Marinę, przestań. Jeżeli chcesz do niego zadzwonić, to dzwoń.

- Chryste, co wam dzisiaj odbiło? Fred mi powiedział dokładnie to samo.

- Bo może trzeba ci to powtarzać? Śmiało - dodał i klepnął mnie w pośladek - i włóż džinsy.

Wstałam z łóżka, przeklinając zimę, która zmuszała mnie do noszenia džinsów.

- Wiesz co? - spytał Jeff, kiedy starałam się wcisnąć w džinsy, które leżały za długo w suszarce i teraz bardziej pasowałyby na Pigmeja. - On tak naprawdę chciałby z tobą być. Muszę zresztą przyznać, że jest bardzo zręczny.

- A to niby dlaczego?

- Bo nic cię tak nie pociąga w facecie, jak myśl, że jest nieosiągalny.

- W życiu!

- To prawda. Gdybyście się przespali przedwczoraj, to nic by ci nie powiedział o żadnej innej kobiecie, tylko by się starał od razu z tobą umówić. A ty byś była miękka jak wosk.

- Gadasz głupoty - wrzasnęłam, rzucając w niego dzinsami dla Pigmeja.

- Prawda w oczy kole - wymamrotał spod spodni - zastanów się! Wszyscy faceci, z którymi chodziłaś albo się w nich zadurzyłaś, byli w jakiś sposób nieosiągalni - odsunął sobie dzinsy z twarzy - albo nic nie chcieli wiedzieć, albo mieli

jakaś babę, albo byli Bejond* skomplikowani, albo mieszkali w Los Angeles.

- W San Francisco.

- *Whatever***.

Skończyłam się ubierać w milczeniu, pod okiem Jeffa najwyraźniej zadowolonego ze swego wystąpienia. W rzeczywistości niewiele mogłam dodać. Uważałam, że co do formy moich związków, to może ma rację, bo rzeczywiście miałam za sobą całą serię romansów raczej niezbyt normalnych. Ale już dawno przekonałam samą siebie, że wynikało to z czystego przypadku, odrobiny pecha i mojej, może nawet niewielkiej, ale skłonności do sytuacji, które nie są proste, a ja umiałam je jeszcze bardziej skomplikować.

Kiedy szcztokowałam włosy, przyszło mi do głowy, że chociaż Jeff nie wymienił siebie, to może jednak myślał również o sobie, wyliczając listę moich związków. Czy gdybyśmy przespali się z sobą, to teraz również byłabym tak oburzona? Nie. Raczej nie. I zdałam sobie sprawę, że po raz pierwszy zaczęłam go kojarzyć ze słowem „oburzona” i poczułam, że mam ochotę znowu w niego czymś rzucić. Dżinsami, butem czy fotelem.

- I kto to mówi? - stwierdziłam wreszcie, wychodząc z pokoju.

- No! - krzyknął za mną. - Zastanawiałem się, dlaczego to trwało tak długo. Od dziesięciu minut czekałam na to koronne: „I kto to mówi”.

Bezmyślnie obracałam w ręku pomidory ze skrzynki, a Jeff ze skupieniem godnym lepszej sprawy wybierał kolejno po jednej pieczarce. Po przeciwnej stronie ulicy zobaczyłam Laurenta i Carole idących razem i trzymających się za ręce. Dałam kuksańca Jeffowi, żeby spojrzął za okno. Najwyraźniej ucieszył się na ten widok, bo od razu ruszył do drzwi, żeby ich zawołać.

- Nie - przytrzymałam go - poczekaj.

* *Beyond* - tu: ponad miarę - ang.

** *Whatever* - tu: bez znaczenia - ang.

Po raz pierwszy mogłam *przyjrzeć* się im razem z ukrycia. Jeff chyba zrozumiał moje intencje, bo się zatrzymał i przez dłuższą chwilę przyglądaliśmy się im w milczeniu. Carole opierała się o ramię Laurenta, który się do niej uśmiechał. Potem powiedział coś i ona się roześmiała, odchylając wdzięcznie głowę do tyłu.

- *God* - powiedziałam - wyglądają na... szczęśliwych.

- Bo są szczęśliwi - odparł Jeff - po prostu Laurent nie chce w to uwierzyć.

Spojrzałam uważnie na Jeffa, gdyż jego stwierdzenie mnie zaskoczyło. Głównie dlatego, że było jak najbardziej trafne. Laurent po prostu starał się usilnie ignorować ten fakt. Przy mnie zachowywał się zresztą podobnie. I wreszcie zrozumiałam, że on naprawdę kocha Carole.

- O rany - mruknęłam, obserwując splecione sylwetki, jedna w długim, czerwonym płaszczu (Carole), druga w szarym palcie (Laurent). Poczułam jakieś niewytłumaczalne wzruszenie, trochę jak matka, gdy nagle sobie uświadomi, że jej dzieci dorosły. Znowu spojrzałam na Jeffa, który chyba od dłuższego czasu wpatrywał się we mnie.

- Co robimy?

Uśmiechnął się i wiedziałam, że mnie rozumiał.

£ Zawołamy ich - odrzekł - ale dopiero za dziesięć minut, dobrze?

- Zgoda. - Spojrzałam na zegarek. Umówiłam się z Elodie o czwartej po południu na rogu ulic Jean-Talon i Saint-De-nis. - Jeżeli nie będą zajęci, to możemy razem zjeść lunch - powiedziałam - ale przedtem skończmy wreszcie grzebać w tych grzybach.

Jeff zaczął się śmiać. Objął mnie w pasie i pocałował w czoło.

- Dziękuję bardzo, mała, możesz wybrać przyprawę?

- Już się robi, wielkoludzie! - Mruknęłam do niego figlarnie i odwróciwszy się stanęłam przed żoną właściciela, którą spotykaliśmy tu właściwie co sobotę.

- Cześć, kochanie! - Ucieszyła się i pogłaskała mnie po policzku. - Zawsze miło na was patrzeć. Tyle miłości... Mam już piątego wnuka i zawsze się cieszę, kiedy młodzi się naprawdę kochają. Brawo, maluchy!

I zniknęła gdzieś w głębi sklepu. Jeff i ja spojrzeliśmy na siebie rozbawieni znad skrzynek z pieczarkami i kartonów zielonych bananów. Nie umiałabym powiedzieć, które z nas było bardziej zadowolone.

- Maluchy? - dopytywał się Laurent. - Wybacz, ale można cię nazwać wszystkim, tylko nie maluchem.

- To taki jej sposób mówienia - odparłam. - Nie uważasz, że to fajne, że uważa nas za parę?

- Nie. - Laurent wzruszył ramionami.

Byłam naiwna, sądząc, że niektóre rzeczy mogą się zmienić tylko dlatego, że oglądając go z daleka, wydawał mi się bardzo szczęśliwy z Carole. Mój wzrok musiał mu przypominać wiele spraw, jakby się widział na filmie. Laurent znów był pełen zahamowań i niepewności.

Siedzieliśmy w małej knajpce naprzeciwko bazaru i już żałowałam, że ich zawołaliśmy. Laurent spoglądał ponuro przez szybę i chyba był na mnie zły, że popsułam im spokojny dzień.

Zawsze źle się czułam w sytuacjach, w których dawne życie łączyło mu się z obecnym, najwyraźniej nie potrafił ich ze sobą pogodzić. Z zewnątrz cała sprawa wydawała się przecież prosta.

Ja i Carole prowadziłyśmy obojętną i niezobowiązującą konwersację, którą starałyśmy się wprowadzić miłą i lekką atmosferę, ale nasze wysiłki osiągały odwrotny skutek. Kiedy doszło do dłuższej i nużącej wymiany uwag na temat cen słoneczników bulwiastych, poddałam się i zamilkłam, patrząc w okno jak Laurent. On tymczasem rozsypał na stół trochę soli i zaczął rysować na niej jakieś esy-floresy. Jeff, który poddał się już trochę wcześniej, po raz dwudziesty wertował menu. Spoglądałam na Carole trochę przepraszająco. Myślałam, miałam nadzieję, że wreszcie zrozumie zachowanie Laurenta w sytuacji, kiedy obok niego jesteśmy obie, ona i ja. Powinna przestać się już dziwić, że zmieniał się wtedy w obojętny głaz. Odpowiedziała mi uśmiechem i uniesieniem brwi, potem wstała, rzuciła w powietrze: „przepraszam”, i *odeszła od stołu*. Laurent wciąż zajmował się rysowaniem, a Jeff studiował menu.

- Nie przeszkadzam ci, artysto? - zapytałam, gdy Carole się oddaliła.

- No nie, ale co to za pomysł, żeby nas tu zapraszać? Co chciałaś udowodnić?

- Jak to, co chciałam udowodnić? Zobaczyłam swojego najlepszego przyjaciela z narzeczoną, to wydawało mi się, że wypada się do nich odezwać, prawda?

- To nie był najlepszy pomysł. Do licha, Marinę! Przecież wiesz, że taka sytuacja nie jest najprzyjemniejsza dla Carole.

- Bullshit!*

Poczułam się bardziej obrażona niż powinienam. Chyba. Pomyślałam o Julienie, który miał naprawdę trudną sytuację, o moim tacie, a nawet o wszystkich obcych ludziach siedzących koło nas, którzy pewnie zmagali się codziennie z poważniejszymi problemami niż te wymyślane przez Laurenta.

- *Bullshit!* - powtórzyłam. - Mógłbyś mieć przynajmniej tyle odwagi, żeby nie zwałać winy na Carole.

Laurent spojrział wreszcie na mnie. Jeff również podniósł głowę z miną kogoś, kto właśnie zwietrzył zagrożenie.

- Co zamierzasz z tym zrobić? - spytałam Laurenta. - Wciąż będziesz się zachowywał jak debil za każdym razem, kiedy twoi przyjaciele i twoja dziewczyna znajdują się w tym samym pomieszczeniu?

- Nie chodzi o przyjaciół, tylko o ciebie.

- Tylko o mnie? Też coś! - zaśmiałam się i obrażona zaczęłam gapić się w okno. Nieduży łysy facet szedł i wykrzykiwał na głos, w przestrzeń, jakieś głupoty. - Masz rację! - zawołałam do niego w myślach.

- Boże! Zrozum wreszcie - powiedział Laurent. - To oczywiste, że dla Carole zawsze będziesz moją dziewczyną. I co z tego, że była?

- A dla ciebie nie?

Popatrzył na mnie w milczeniu. Carole wróciła z toalety i zaczęła się ubierać. Wyraźnie nie miała ochoty dalej

*** *Bullshit* - tu: Pieprzysz bez sensu - ang.**

tu siedzieć i zważywszy na ciężką atmosferę, trudno było jej mieć to za złe.

- No to... do zobaczenia - powiedział Laurent tak nie-naturalnym tonem, że Jeff o mało się nie zadławił, chcąc stłumić śmiech.

Patrzyłam, jak wychodzą w milczeniu, spięci i niezadowoleni. Zaczęłam mieć wyrzuty sumienia, że zepsułam im dzień; jeszcze godzinę wcześniej byli tacy szczęśliwi. Westchnęłam ciężko.

- To nie było przyjemne.

- To było nawet nieprzyjemne - odparł Jeff, wciąż czytając menu. Rzuciłam w niego torebką z cukrem, ale nie podniosł głowy, tylko się zaśmiał. Na zewnątrz łysy człowieczek szedł właśnie z powrotem, wciąż wymyślając całemu światu.

- Czasami mam wrażenie, że wszyscy możemy skończyć jak on - powiedział Jeff, nadal nie podnosząc wzroku znad menu.

- Przestań. Wiem o tym, ale nie możemy.

- Nie, nie możemy.

- Stąd cała nadzieja w miłości.

Uśmiechnął się ciepło.

- Tak - odrzekł - sądzę, że masz rację.

Dwie godziny później Elodie rozpoczęła próby zaparkowania samochodu przed domem rodziców.

- Po południu ja prowadzę - oświadczyłam - ty się do tego nie nadajesz. Gdzie załatwiałaś sobie prawo jazdy?

- W SAAQ*.

- Raczej w SAQ**, jak sądzę.

Uśmiechnęła się do mnie i wysiadłyśmy z samochodu. Ścieżka do domu była jak zwykle perfekcyjnie odśnieżona przez tatę.

- Jak myślisz, ile razy dziennie to robi? - zapytała Elodie.

* SAAQ - Société de Uassurance Automobile Québec - stowarzyszenie zajmujące się m.in. kursami na prawo jazdy.

** SAQ - gra słów. SAQ jest skrótem sieci sklepów z alkoholami.

- W dniu, kiedy pada śnieg, co najmniej dziesięć - odparłam, gdy czekałyśmy pod drzwiami.

Mama otworzyła nam drzwi z potwornie zasmuconą miną, którą z całą pewnością trenowała całymi godzinami.

- Nie czuje się dobrze - oznajmiła zamiast przywitania. Poczułam, jak stojąca za mną Elodie oparła się nerwowo o moje plecy.

- Jak to nie czuje się dobrze?

Odwrociłam się do niej, żeby ją zmitygować, bo na razie jeszcze nie ma powodów do zdenerwowania. Mama kochała tatę, oczywiście, ale prawdopodobnie podświadomie wolałaby, żeby nie był w najlepszej formie, bo ona sama czuła, że żyje tylko wtedy, gdy wokół działo się coś udratyzowanego. Frederic już kiedyś zauważył złośliwie, że mama rozkwitała szczególnie na pogrzebach. Płakała, ubolewała, współczuła, ścisnęła dłonie z nieskończoną empatią, a jej oczy błyszczały z zachwytu, bo uwielbiała być smutna.

- Cztery razy przypominał mi z rana, że ma dzisiaj badania.

- Mamo... to chyba dobrze, bał się, że zapomnisz.

- Jak to cztery razy? - pytała Elodie.

- Cztery razy - powtórzyła mama. - Cztery!

- W porządku mamo, rozumiemy. - Pocałowałam ją. - A tak przy okazji to sama już trzy razy nam powtórzyłaś, że tata ci przypominał cztery razy.

- Wszystko jedno. - Zrozumiała i nie mogła się powstrzymać od uśmiechu - wejdźcie na chwilę. Już jest gotowy. Tylko pomogę mu się ubrać.

- Monique - odezwał się tata, podchodząc do nas - jeszcze potrafisz sam się ubrać.

Mama westchnęła nieco zawiedziona, a Elodie skoczyła na tatę i zaczęła go ścisnąć, jak już od wielu lat tego nie robiła.

Mój Boże, pomyślałam. Jak one są do siebie podobne! Obie uwielbiają dramaty!

Tata puścił do mnie oko znad ramienia Elodie.

- OK. Czekamy już piętnaście minut - stwierdziła Elodie.

- Elodie, w dniu, kiedy nie będziesz musiała odczekać przynajmniej dwudziestu minut na wizytę u lekarza, sprawdź dokładnie wiadomości, bo musi to oznaczać, że nastąpił koniec świata.

Dokładnie siedem minut później lekarz zaprosił tatę do gabinetu.

- Wiecie - powiedział ojciec - to będzie po prostu pobranie krwi. Mogłem naprawdę przyjść sam.

- Nie! - prawie krzyknęła Elodie. Potem zrobiła jeszcze coś, co absolutnie nie było w jej stylu. Wzięła dłoń taty, przytuliła sobie do policzka, a potem ją ucałowała.

- O mój Boże! - jęknęła, kiedy zniknął za drzwiami gabinetu. - Tak bardzo bym chciała, żeby nic mu nie było.

Popatrzyłam na nią przez chwilę i zobaczyłam, że ma łzy w oczach.

- Daj spokój...

- To przecież nasz tata!

- Wiem przecież, wiem. - Przytuliłam ją i pomyślałam, że właściwie przyszłam tu, żeby się zaopiekować nie tatą, ale siostrą. Miałam też ochotę powiedzieć jej, że nie musiała czekać na pierwsze oznaki być może nieuleczalnej choroby, żeby okazać tacie swoją miłość. Powstrzymałam się jednak.

Wciąż ją przytulałam, kiedy usłyszałam, jak ktoś wymawia moje imię. Odwróciłam się i zobaczyłam Gabriela. Był jeszcze piękniejszy niż w mojej pamięci (czyżby piękniał i piękniał każdego dnia?). Zdawało mi się, że miał bardzo zadowoloną minę na mój widok.

- W porządku? - zapytał lekko dotykając ręką mojego ramienia, a ja poczułam jakby prąd przeszedł mi przez całe ciało.

- No... chyba tak... na razie... - Zrobiłam niepewną minę bardziej odnoszącą się do całego otoczenia, bo czyż w szpitalu może być coś w porządku oprócz oczywiście porodówki? - Co tu robisz? - spytałam tonem, który nawet mnie wydał się trochę obcesowy, ale Gabriel wyjaśnił bardzo uprzejmie.

- Mój najlepszy przyjaciel jest tutaj endokrynologiem.

- Aha. - Nie bardzo wiedziałam, co mogłabym odpowie-

dzieć. Wciąż się do mnie uśmiechał i rozumiałam, że brakowało mi tego uśmiechu, w którym mieszały się rozbawienie i czułość, i tej jego charakterystycznej reakcji na mnie, chociaż nie umiałabym jej nawet nazwać. Może było to trochę zdumienia połączonego ze szczerym zainteresowaniem. A ja, wariatka, mogłam mu tylko w myślach robić wyrzuty: „co z tego, że jesteś taki piękniutki, masz swoją dziewczynę, więc nic mi do ciebie”. Wyobrażałam sobie jednak, że jest inaczej, że będę miała okazję całymi godzinami wpatrywać się w jego twarz i roztapiać się pod jego spojrzeniem. „Roztapiam się pod jego spojrzeniem” to było określenie dosyć szmirowate, ale co zrobić? Mnie się podobało.

- Cześć - powiedział do Elodie - jestem...

- Gabriel, wiem - odrzekła krótko, i chcąc ucisnąć jego dłoń, potrafiła mnie tak mocno, że o mały włos nie zwała się jak długa na podłogę. - Miło mi. Bardzo mi przyjemnie.

Nagle znowu miałam piętnaście lat i musiałam się powstrzymać, żeby jej nie kopnąć w kostkę.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odparł Gabriel. - Ty jesteś Elodie, prawda?

- Właśnie - odpowiedziała, przewracając oczami i trzepocząc rzęsami.

Gabriel uśmiechnął się przyjaźnie, nie wypuszczając jej dłoni.

- No to... - Spojrzał na mnie i wiedziałam, że powinnam się odezwać, ale byłam jak sparaliżowana i mogłam jedynie patrzeć mu w oczy. - Zadzwonisz do mnie? - nieoczekiwanie zapytał.

Podobał mi się ten znak zapytania na końcu.

- Zadzwoń do mnie - dodał i ta kropka na końcu jeszcze bardziej mi się spodobała.

- O mój Boże! To było żenujące, prawda? - spytałam Elodie, przysiadając jej na kolanach.

- Szczerze?

- Jasne, że szczerze.

- To było bardzo żenujące. - I obie zaśmiałyśmy się na głos.

- Sama widzisz - powiedziałam, wyprostowując się - taki facet na pewno szuka kobiety, która ma prawdziwy zawód, jest dorosła i jeszcze chodzi do fryzjera.

- To śmieszne.

- No może.

- Marinę?

- Elodie?

- Co zrobimy, jeżeli się okaże, że tata naprawdę jest chory?

Spojrzałam na nią bacznie, ale pytała poważnie. Nie szukała sensacji jak zwykle.

- Będziemy musieli sobie pomagać - odparłam.

Zabrzmiało to bardzo patetycznie jak na moją wypowiedź, więc mogłam się spodziewać, że Elodie nie potraktuje serio moich słów, jednak byłam w błędzie, ponieważ w tej samej chwili zobaczyłam w jej oczach ogromną ulgę. Bo to prawda, musimy wszyscy liczyć na siebie nawzajem, i właśnie o to mi chodziło.

Po południu opady śniegu zamieniły się w deszcz i do domu wróciłam kompletnie przemoczona. Kiedy odwiozłyśmy tatę, Elodie uparła się, że usiadzie za kierownicą. Wysadziła mnie na rogu mojej ulicy, ponieważ bardzo jej się śpieszyło. A ja udawałam głupka, że niby wierzę, że się śpieszy do czegoś ważnego, choć dobrze wiedziałam, że po prostu musi się znaleźć szybko u siebie, żeby wyszykować się na kolejną ze swoich rozlicznych randek.

- Ojej - zawołałam z zachwytem po wejściu do mieszkania. - Ale tu pięknie pachnie!

Miałam wrażenie, że znalazłam się w jakimś przytulnym i ciepłym kokonie, gdzie panował spokój i czułam się szczęśliwa. To szczęście wynikało z poczucia bezpieczeństwa. W końcu to przecież było moje ognisko domowe, gdzie cieszyłam się nawet światłem odbijającym się od kieliszków z czerwonym winem, a tym bardziej obietnicą smacznego posiłku i obecnością tych, których kocham.

- Kurczak duszony z cytryną - oznajmił Jeff, uchylając pokrywę wielkiego garnka, z którego wydobyła się smakowita para.

Pięknie nakrył do stołu, ale przestałam się uśmiechać, gdy zauważyłam trzecie nakrycie wraz z trzecim kieliszkiem. Dlaczego zgodziłam się uczestniczyć w tej kolacji? Wszyscy wiedzieliśmy, że to głupi pomysł, a ja byłam o tym najbardziej przekonana. Zdjęłam palto z ciężkim westchnieniem i podeszłam do Jeffa, który od razu podał mi kieliszek wina.

Mamy tu piękne światło, pomyślałam. Dlatego właśnie lubiłam to mieszkanie bardziej zimą niż latem. O wczesnym zmierzchu cały salon wyglądał jak szkatuła z klejnotami rozświetlonymi resztką zachodzącego słońca. Promienie peływały po ścianach, po książkach ustawionych na półkach biblioteki, a szczególnie pięknie załamywały się na stole, na którym znajdowała się zastawa.

Jeff rozłupywał wielki blok czekolady, który zamieniał się potem w przepyszny gorący napój rozlewany do filiżanek. To był jego klasyczny poczęstunek, który nigdy nikogo nie rozczarował, a według Jeffa był silnym afrodyzjakiem (według niego wszystko było silnym afrodyzjakiem, może z wyjątkiem porów).

- Jak było? - spytał.

- Spotkałam Gabriela w szpitalu.

Odłożył nóż i oparł się o oblat.

- Marinę, do licha!

- Co?

- Przynajmniej mogłabyś udawać, że bardziej cię interesuje zdrowie taty.

Nie był jednak specjalnie zdegustowany czy zmartwiony moim w tym momencie niewłaściwym zachowaniem, bo uśmiechnął się przy tych słowach. Choć dawał mi do zrozumienia, że najwyraźniej uważa moje zachowanie za nie do przyjęcia.

- Cholera... - powiedziałam, siadając - nie mam za grosz klasy.

- No...

Spojrzałam na niego.

- Tak - potwierdził - to... prawda. Nie masz klasy. Ale to nic wielkiego. Wszyscy mamy ten problem. No więc?

- Co? Tata czy Gabriel?

- Gabriel! Oboje wiemy, że to on nas interesuje najbardziej. Gdyby z tatą było coś nie tak, krzyczałabyś o tym od progu.

Uśmiechnęłam się do niego z wdzięcznością.

- Wpadł na oddział odwiedzić jakiegoś kumpla. Nie wiem, czy rozmawialiśmy nawet pięć minut.

- I...? - pytał, nie patrząc na mnie, bo był zajęty oddzieleniem żółtka od białka.

- I nawet Elodie potwierdziła, że wypadło żałośnie.

- Żałośnie...? - Kiedy był mocno zajęty, miał taki zwyczaj powtarzania ostatniego wyrazu, dodając znak zapytania.

- No żałośnie. Gdy powiedział: „zadzwoń”, to czułam się jak dwunastolatka. O mało nie narobiłam w majtki. Boże! Nie wiem, co mi jest, ale przy nim totalnie infantylnieję.

- Infantylnieję...?

- Możesz przestać wreszcie?

- Przestać...?

- Boże, nie denerwuj mnie!

Oboje zaczęliśmy się śmiać. Wreszcie podniósł wzrok znad jajek i spojrzął na mnie.

- Czego? - spytałam.

- Cholera! Ale ty jesteś piękna!

Przez chwilę mnie zamurowało. Naprawdę zamurowało.

- Upiłeś się czy co? - wybełkotałam. Lekka agresja i zły ton wydawały się łatwiejsze. Jeff zaśmiał się i powrócił do swojej czekolady.

- Nawet nie.

Przyglądałam mu się, modląc się, żeby przyszła mi do głowy jakaś inteligentna albo przynajmniej miła odpowiedź. Niestety daremnie. I zaczęła między nami narastać cisza, do której nie byliśmy przyzwyczajeni. Ciężka i wypełniona niewypowiedzianymi myślami. Zapragnęłam, żeby Flavie przyszła przed czasem i wyzwoliła nas z tej sytuacji, która do nas zupełnie nie pasowała, bo zawsze lubiliśmy, żeby nasze relacje były lekkie i frywolne.

- To było o Gabrielu - odezwał się wreszcie Jeff. - A tata?

Nie miałam ochoty opowiadać mu o tacie. Wyszedł z gabinetu z dziwnym wyrazem twarzy, który nie opuszczał go od kilku tygodni. To, jak wyglądał, raniło mi serce, bo wiedziałam, że oznacza u niego zaniepokojenie. Na wyniki musieliśmy poczekać dwa, trzy tygodnie. Reszta badania przebiegła pod znakiem „być może”. Czepialiśmy się tego „być może” od wielu tygodni bez cienia szansy na jakąś konkretną informację. Powinnam być przyzwyczajona do niepewności, bo przecież to była moja specjalność. Nie pamiętałam już nawet, czy kiedykolwiek miałam do czynienia z jakimś konkretem. O ile jednak kiedyś mi to nie przeszkadzało, tyle teraz czułam, że wołałabym konkretnie wiedzieć. Może po prostu chciałam zacząć poważniej żyć. Odruchowo złapałam kawałek czekolady.

- Gabriel... - nie wiem, po co tak zaczęłam, bo wcale nie miałam ochoty o nim mówić. Cóż mogłam powiedzieć? Jest piękny i bla, bla, bla. Wyszłam przed nim na idiotkę i bla, bla, bla. Nie byłam już nastolatką. Co więcej, nie chciałam być nastolatką. Poczułam nagłe znużenie. Miałam ochotę wyjechać daleko, na przykład nad morze albo do wielkiego miasta, gdzie nikt mnie nie zna, gdzie będę mogła odpocząć niewidzialna i anonimowa.

Poszłam więc położyć się na kanapie obok Claude--Francois, który przeciągnął się na mój widok i zamiauczał z zadowoleniem. Stamtąd widziałam tylko plecy Jeffa zajętego mieszaniem, przestawianiem garnków, próbowaniem wszystkich potraw. Większość jego działań była zbędna, ale może chciał jakoś zatuszować tę ciszę między nami. Trochę mu miałam za złe, że nie rozwinął tematu mojej urody. I nie chciałam, żeby zbyt szybko o niej zapomniał. Jestem próżna. Odstawiłam kieliszek na stolik przy kanapie i zamknęłam oczy.

Kiedy się obudziłam, Jeff siedział w swoim fotelu i czytał książkę. Przez chwilę obserwowałam go zadowolona, że o tym nie wie. Złote promyki oświetlały jego twarz, nadając mu bardzo ludzki wygląd. Określanie czyjegoś wyglądu mianem „ludzki” było absurdalne, ale tak właśnie pomyślałam. Oczy-

Po kilku sekundach jednak spoważniał i podszedł do nas. Julien akurat brał mnie na ręce.

- Julien. Poważnie. Mamy dziś gości.

- Ty na poważnie? O nie, nie. To ja ci mówię na poważnie. Nie mogę być sam, bo wybuchnę.

- *Please*. - Nie za bardzo gorliwie poparłam Jeffa. Pomyślałam, że jeżeli Julien zostanie z nami, to będę miała przynajmniej jednego sojusznika, gdyby doszło do jakichś przytulaneek czy gruchania Flavie i Jeffa.

- Nie - odparł Jeff - poza tym nie starczy żarcia.

Tym razem Julien spojrział na niego wymownie. Jeff był znany z tego, że nie umiał gotować dla mniej niż dwunastu osób. Nawet jeśli przyrządzał coś dla siebie.

- Do diabła! - W tym momencie weszła Flavie, bo Jeff zapomniał zamknąć drzwi. Wyglądała wspaniale w czerwonym płaszczu i z rudym warkoczem upiętym w koczek na głowie.

- Będziemy mieli towarzystwo? - spytała z uśmiechem i przytuliła Julienu, który stał najbliżej drzwi. Poczułam ogarniające mnie bardzo lekkie współczucie dla Jeffa, ale wielkie zadowolenie, jeśli chodzi o moją osobę.

Dwie godziny później na stole stały już dwie puste butelki, a my ledwo zaczęliśmy przystawki. Byliśmy przepełnieni kiełbaskami, które przyniosła Flavie na zakąskę, oraz spekulacjami co do przyszłości uczuć Julienu. Flavie wydawała się być zafascynowana tematem. Doradzała, przestrzegała i zachęcała, a ja byłam bliska wycia z wściekłości, jeśliby choć raz jeszcze powtórzyła: „Nigdy nie wolno niczego przyjmować za pewnik, Julien. Nigdy. Niczego nie przyjmuj za pewnik”. Wygłaszała to tonem osoby, która ma swoje lata i wie, co mówi.

- A na poważnie - wtrąciłam - to nie należy zapominać o tym, że Mathias może mieć jednak poważny kłopot z ponownym zaufaniem tobie.

- Ale ja go kocham!

- Jasne, że go kochasz, biedaku - oświadczył Jeff - ale jeżeli jakiś facet zdradzi swoją dziewczynę czy faceta, to zwykle nie wystarcza samo „kocham cię”, żeby mu wybaczone.

- Niegłupio gada - stwierdziła Flavie. - Nie napalaj się zbytnio, słoneczko. Po kolei.

- Krok po kroku, jak z dzieckiem.

- Nie! - Julien walnął pięścią w stół, co poderwało na nogi kota śpiącego sobie smacznie na wolnym krześle.
- Nie! - powtórzył i Claude-Francois z lekko przestraszoną miną zeskoczył na podłogę. - Nie mam ochoty na robienie czegokolwiek krok po kroku! Zaraz skończę czterdziestkę i jestem zmęczony robieniem wszystkiego krok po kroku. Mam dość uważania na wszystko, życia nadzieją, bo zbyt duże nadzieje też są ryzykowne. Chcę wreszcie zrobić olbrzymi krok, jasne? Chcę skoczyć na głęboką wodę, rzucić się w przepaść. Chcę uwierzyć, że wszystko jest możliwe.

Mówił to w pozycji na pół leżącej i przerwał, bo chyba zauważył nareszcie nasze pełne zdumienia twarze i pojął, że zbliżył się niebezpiecznie do granicy własnej śmieszności. Zwłaszcza że jedną ręką wymachiwał nad stołem, w drugiej ścisnął serwetkę i gadał z niepodobną do niego zapalczewością, która w jego sytuacji wydawała się nieco żałosna. Spojrzałam na Jeffa, który - byłam tego pewna - szykował już jakąś złośliwą uwagę.

Zaraz się zaczniesz, pomyślałam. Ale Jeff, podniósłszy swój kieliszek do góry, powiedział całkiem szczerze:

- Brawo, Julien! To prawdopodobnie najgłupszy pomysł, jaki słyszałem, ale mnie się podoba. Za olbrzymie kroki!

Kątem oka dostrzegłam, jak Flavie zerka na Jeffa z rozanielonym uśmiechem. Ona również wzniosła kieliszek. Julien usiadł z powrotem zdziwiony własnymi słowami, ale przede wszystkim reakcją tych dwojga. Co miałam zrobić? Przyłączyłam się do nich, mówiąc sobie w myślach, że chyba niedługo zaczniemy wierzyć w coś, co warte jest wiary, bo tak bardzo tego chcemy. Kropka.

Przez resztę wieczoru miałam wrażenie, że oglądam spektakl teatralny, a sama jakimś cudem stanowią element dekoracji. Obserwowałam śmiejącego się i wznoszącego toasty Juliana. Patrzyłam, jak Flavie przysuwa się do Jeffa, który zaczyna ją głaskać po plecach mniej lub bardziej subtelnie.

Siedziałam obok nich, ale z nimi nie byłam. Tak naprawdę byłam zatopiona we własnych myślach. Dźwięczały mi jeszcze w uszach słowa „olbrzymie kroki” i przypominałam sobie Drogę Olbrzymów*, którą kiedyś oglądałam w Irlandii Północnej. Analogia była kretyńska, ale byłam zbyt zmęczona, żeby się nad tym zastanawiać.

Myślałam o Gabrielu i zastanawiałam się, czy nie byłoby rozsądniej rzucić się na głęboką wodę, niż kalkulować każde posunięcie mające mnie doprowadzić lub nie do szczęścia.

Około drugiej nad ranem Julien, który był już kompletnie pijany i roztaczał wokół optymizm związany z jego przyszłym szczęściem, oświadczył, że chyba powinien już wrócić do domu. Skonstatował nawet, że nie powinien być skacowany, skoro miał się spotkać z Mathiasem.

- Trochę za późno zacząłeś się o to martwić, dobry człowieku - stwierdził Jeff, co wywołało entuzjastyczny ryk obecnych, którzy byli równie mocno wstawieni i do wszystkiego podchodzili z pijacką radością.

- Myślisz, że dasz radę mnie podrzucić? - zapytał Julien Flavie, która mieszkała o jedną przecznicę od niego. Uśmiechnęła się trochę niewyraźnie, kobiecym gestem poprawiła swój koczek i spojrzała pytająco na Jeffa. Kiwnęłam na Juliana, żeby poszedł ze mną do kuchni, ale Jeff wtrącił się tonem jak najbardziej zadowolonym:

- Może to słuszny pomysł, Flavie. Jestem pewien, że ten facet w różowych butach nie da rady nie tylko prowadzić, ale nawet iść na nogach do domu.

- Mogę zawołać taksówkę - zabełkotał Julien.

- Nie trzeba, odwożę cię - powiedziała Flavie. I podpatrzyłam, jak puszcza oko do Jeffa, może dając mu do zrozumienia, że „nadrobili wszystko, jak już będą sami”. Uśmiechnęli się do siebie i pomyślałam, że oto byłam świadkiem cichej zmywy, która być może zmieni się w „olbrzymi krok”.

*** Droga Olbrzymów - powulkaniczna formacja skalna, składająca się z 37 tysięcy regularnych kolumn bazaltowych. Czasami nazywana jest nawet jednym z ośmiu cudów świata.**

- W porządku? - spytałam Jeffa, kiedy dopijaliśmy resztki białego wina, sprzątając kuchnię.

- W porządku. Ale co z tobą? Miałaś taką nieobecna minę.

- Tak? No może... Przepraszam. Ten jego *speech* o „krokach olbrzyma”. Gabriel, tata, sama już nie wiem. Może po prostu jestem pijana. - Skończyłam wycierać garnek. - Zepsułam ci wieczór? To z mojego powodu Flavie nie chciała zostać?

- No nie... Różowe buty mogą się denerwować tym swoim rzucaniem się na głęboką wodę, ale my nie musimy się tak przejmować, prawda? Znasz mnie przecież. Nie lubię niczego przyśpieszać.

- To było śmieszne.

- I kto to mówi?

Zaśmiałam się bez przekonania i zwróciłam głowę w jego kierunku. Patrzył na mnie, znów robiąc tę swoją minę pełną niezdecydowania i wahania. Trzymałam właśnie kolejny mokry garnek, kiedy mnie pocałował. Upuściłam garnek na podłogę z głośnym „bum!” i objęłam Jeffa za szyję. Podniósł mnie z podłogi i posadził na blacie.

- No właśnie - przemknęło mi przez opary alkoholu i pożądania - rzucanie się w przepaść.

Do: Freda
Od: Marinę Vandale
Temat: SOS

Śpisz?

Do: Freda
Od: Marinę Vandale
Temat: SOS!!!

ŚPISZ?

Do: Marinę
Od: Frederica Vandale
Temat: O naturze snu

Gdybym spał, to niby dlaczego mój komputer miałby pozostać włączony? Ciekaw jestem również, jak inaczej mógłbym usłyszeć ciche „ping” anonsujące nadejście nowej poczty? Zwłaszcza że komputer stoi w gabinecie, a ja mam dziwny zwyczaj spania w sypialni. Z drugiej strony, osobną zagadką jest dla mnie powód, dla którego miałbym spać o jedenastej rano? Co skłania mnie do następującego pytania: dlaczego jeszcze nie śpisz, skoro u ciebie jest piąta rano?

Do: Freda
Od: Marinę Vandale
Temat: Całkowity brak przenikliwości

Skoro skrót SOS nie naprowadził cię na żaden trop, to informuję, że wpadłam w najgorsze, ale to naprawdę najgorsze

z możliwych gównien. A poza tym kiedy ostatni raz wstałeś przed dwunastą, chodziliśmy jeszcze do liceum.

Do: Marinę

Od: Frederica Vandale

Temat: Człowiek odrodzony

Nie poznałabyś mnie, siostrzyczko. Od trzech tygodni stawiam litery od dziewiątej rano, bo wtedy najlepiej pracuje mi mózg, mam wenę i chęć do pracy. Jak w fabryce.

Do: Freda

Od: Marinę Vandale

Temat: Odrodzony, ale głuchy

Czego nie rozumiesz w skrócie SOS?

Do: Marinę

Od: Frédórica Vandale

Temat: Odbiór

OK. Co się stało?

Do: Freda

Od: Marinę Vandale

Temat: Dupa błada

Przypominasz sobie, że palnęłam głupotę z Jeffem? Cóż, ta głupota rozrosła się właśnie do astronomicznych rozmiarów. Dupa błada!

Do: Marinę

Od: Frederica Vandale

Temat: Semantyka bładości

Możesz to określenie troszeczkę rozwinąć? Bo jeżeli ta dupa błada jest tym, co podejrzewam, to chyba będę musiał skoczyć po piwo, bo i tak zbraknie mi słów.

Do: Freda

Od: Marinę Vandale

Temat: re: Semantyka bładości

Idź po piwo.

Do: Marinę

Od: Frederica Vandale

Temat: re: re: Semantyka bladości

Tylko nie to! Chyba tego nie zrobiłaś?!

Do: Freda

Od: Marinę Vandale

Temat: Sprostowanie

Nigdy ci nie przemknęło przez głowę, że może on to zrobić?

Nikt ci nie mówił, że do tego trzeba dwojga?

Do: Marinę

Od: Fréderica Vandale

Temat: Przeprosiny i zapytania

Przepraszam. A teraz pozwól, że cię zapytam z wrodzonym mi taktem i grzecznością: o czym ty właściwie myślałaś?

Do: Freda

Od: Marinę Vandale

Temat: Twoja głupota mnie powala

A myślisz, że o czym myślałam, durniu? Czy to ta Francja cię tak ogłupia?

Do: Marinę

Od: Frederica Vandale

Temat: Wiotki umysł

OK. Uznam twoją wypowiedź za przenośnię literacką. Oczywiście już wiem, o czym myślałaś, ale... Marinę... do licha...

Do: Freda

Od: Marinę Vandale

Temat: Do licha i kropka

Do licha? Na mnie klniesz „do licha”, a sam od miesiący nurzasz się w „kurwach” i „burdelach”. Czy coś jest ze mną nie tak?

Do: Marinę

Od: Frederica Vandale

Temat: Zachowajmy spokój

Sam nie wiem. Może to radość z nowo odkrytej miłości i cała ta otoczka bla, bla, bla. A może ucieszyłem się, że moja uwielbiana siostrzyczka będzie chodziła z moim najlepszym przyjacielem?

Do: Freda

Od: Marinę Vandale

Temat: Nie. Panikujmy

Nie będę chodziła z twoim najlepszym przyjacielem, Fred. A już na pewno nie będę chodziła ze swoim najlepszym przyjacielem. Nie wiem, co nas napadło, ale doskonale wiem, kto mnie napadł. No, przynajmniej kto mnie wziął, i to na stole... Boże! Fred! On jeszcze śpi, a ja jestem już tylko kłębkim nerwów i marzę, żeby się obudzić.

Do: Marinę

Od: Frederica Vandale

Temat: Nie. Zachowajmy spokój

Marinę, jest dopiero jedenasta rano. Mam pod ręką wielki zapas piwa. Uspokój się więc i zacznij mi opowiadać szczegóły. Jak to było?

Do: Freda

Od: Marinę Vandale

Temat: (brak)

Fred! Od dwóch godzin usiłuję gorączkowo zapomnieć o najmniejszym szczególe tego zajścia. Daj mi więc chwilę spokoju. Jakież trzy, cztery lata.

Do: Marinę

Od: Fredćrica Vandale

Temat: Ostateczna próba

Jak sobie życzysz. Ale powiedz przynajmniej, czy było dobrze?

Do: Freda

Od: Marinę Vandale

Temat: Próba oporu

Nie sądzisz, że o piątej rano staram się uniknąć takich myśli? Właśnie dlatego nie mogę zasnąć. Zastanawiałam się nawet, czy nie powinnam się cichaczem wyprowadzić.

Do: Marinę

Od: Fredśrica Vandale

Temat: Wytrwałość

Jeżeli zapytam jeszcze raz, czy było dobrze, to pewnie mi nie odpowiesz, prawda?

Do: Freda

Od: Marinę Vandale

Temat: re: Wytrwałość

OK. Sam tego chciałeś. Uwalaj się dalej tym swoim piwskim. Ja znikam!

Rozdział 12

I uciekłam w półmrok własnego pokoju, w którym nie mogłam zapalić żadnego światła, żeby nie obudzić Jeffa. Odruchowo wciągnęłam na siebie stary sweter z watowanym spodem i ocieplane spodnie, które pamiętały czasy liceum. Przy okazji powróciły niechciane wspomnienia z czasów, kiedy miałam szesnaście lat. Zobaczyłam się w sali gimnastycznej naszej szkoły, ubraną w te same spodnie i z raketką do badmintonu w dłoni. Patrzyłam na pięknego Mathieu Saint-Laurenta, który całował się pod *siatką* z piękną Clarą Toussaint.

- Gdzie są te problemy i kłopoty nastolatki - mruknęłam do siebie - i tamta niefrasobliwość.

Ale kiedy wkładałam kozaczki w towarzystwie Claude'a-Francois, który miaucząc, kręcił się koło moich stóp, żałowałam trochę, że nie doceniałam ówczesnych radości.

Spojrzałam raz jeszcze na mieszkanie przed wyjściem i powstrzymałam kota, który jak zwykle zamierzał iść ze mną. Chciało mi się trochę płakać. Odczuwałam taką nostalgię, jakbym miała tu już nigdy nie wrócić. Ale tak naprawdę dlatego, że uświadomiłam sobie, że to miejsce już nigdy nie będzie tak bez troskie, jak przedtem. Odtąd miało być już na zawsze i nieodwołalnie skażone piętnem tego, co tu dzisiaj zaszło.

- Może mi wytłumaczysz, co nas napadło? - powiedziałam na głos, będąc już na schodach i zastanawiając się, dokąd właściwie zamierzałam się wybrać. Co nas napadło?

Jeff podniósł mniej jak piórko. Poczułam, że mnie unosi w powietrze, a potem delikatnie sadza na blacie, przy

którym piliśmy tyle razy, zwyczajnie, bez požądania i jego straszliwych i pięknych konsekwencji. Znowu poczułam oszołomienie w duszy i w całym ciele. Czułam język Jeffa wędrujący po mnie powoli. I co? I nic! Zapomnienie. Najwyraźniej pragnęłam tego od dawna, a może od zawsze. Pomyślałam, że to zły pomysł. Okropny! I uśmiechnęłam się w duszy, bo właśnie to czyniło tę chwilę nie do odparcia.

- Zamknij drzwi - oświadczyła Elodie, kiedy do niej weszłam - zamknij i opowiadaj, co się stało. Bo musi to być coś naprawdę ważnego, żeby mnie budzić o tej porze!

W końcu wylądowałam u niej, bo nic innego nie przychodziło mi do głowy. Laurent mieszkał z Carole i nie odzywał się do mnie. Julien był całkiem pijany. Flavie miała najwyraźniej ochotę na Jeffa. Elodie otworzyła mi drzwi rozczochrana i ze źle zmytym makijażem, robiąc najwspanialszą głupią minę, jaką było mi dane kiedykolwiek zobaczyć.

- Przespałam się z Jeffem - wykrztusiłam wreszcie.

Wpuściła mnie do środka z oczami wielkimi jak spodki, ale nie pozwoliła się rozebrać, dopóki nie wysłuchała wszystkich szczegółów (zwłaszcza tych najbardziej pikantnych).

- Kochaliśmy się na białce - dodałam, mając wciąż jeszcze czapkę na głowie. - Potem robiliśmy mnóstwo rzeczy na podłodze w kuchni, a kiedy już myślałam, że skóra spali mi się z podniecenia, przenieśliśmy się do mojego pokoju.

- I co?

- A jak myślisz, świętoszko?

Przypominały mi się sceny jak w złym filmie, spoczone ciała, szalejące ręce, języki szukające się nawzajem i biodra łączące się w szaleństwie półmroku i pośpiechu, który prawie bolał.

- Oooo... - wykrztusiła z siebie Elodie - rany...

- Właśnie, o rany! - potwierdziłam.

- I co teraz zrobisz?

- Elodie... - Starałam się nie wybuchnąć, ale gdybym się nie powstrzymywała, to nawrzucałabym jej od idiotek za zadawanie tak kretyńskich i pustych pytań. - Naprawdę

sądzisz, że dzwoniłabym do ciebie o wpół do szóstej nad ranem, gdybym miała jakiegokolwiek pojęcie, co powinnam teraz zrobić? Uciekłam. Mam trzydzieści dwa lata i uciekłam z własnego mieszkania jak złodziejka, bo przeraziłam się tego, co zrobiliśmy z moim współlokatorem, który przecież jest moim najlepszym przyjacielem. No więc nie wiem! Nie wiem. Nie wiem, nie wiem! - Zaczęłam się okładać pięścią po głowie.

- OK, OK - powiedziała Elodie, zdejmując mi czapkę z głowy - mogło być gorzej.

Gwałtownie odwróciłam głowę i wymownie spojrzałam na moją siostrę. Zamilkła na wszelki wypadek.

- Chcesz coś? - spytała wreszcie. - Kawy?

- Nie...

- Kieliszek czegoś?

- Nie. Nie. Jest wpół do szóstej. Może szklankę wody. Postaram się przespać.

- To niezła myśl. Baaaardzo nawet dobra myśl. Chodź do mnie. Jest mnóstwo miejsca.

- Cudownie - pomyślałam, idąc do jej biało-niebieskiej sypialni. Idę się przespać do własnej siostry po tym, jak przespałam się z moim najlepszym kumplem, pokłóciłam się z moim byłym i wyszłam na idiotkę przed jedynym prawdziwym facetem, jaki mi się trafił w życiu od lat. Cu-do-wnie!

- Idę umyć zęby - powiedziałam, ale moja komórka zaczęła dzwonić przenikliwie i głośno. Wiedziałam, że to Jeff. Elodie oczywiście także. Gapiłyśmy się na siebie, nerwowo przestępując z nogi na nogę, mówiąc jednocześnie i wymachując rękoma w próbie przekazania sobie niezrozumiałych znaków.

- Odbierz! - wykrzyknęła.

- Nie.

- Odbierz. Poczujesz się lepiej!

- Nie. Nie! O Boże! Elodie, co mam zrobić?

- Odbierz, do cholery, albo ja to zrobię.

- No dobra! Nie! Nie!

Podaliśmy jej telefon. Wyciągnęła po niego dłoń, ale potem zrezygnowała i podniosła obie ręce do góry w geście poddania.

- Sama odbierz - wyartykułowała bezgłośnie.

Tkwiłyśmy w tym idiotycznym klinclu, kiedy telefon zamilkł. Obie zamarłyśmy w bezruchu, ona z rękoma w górze, a ja z jakiegoś powodu stojąc na jednej nodze i ściskając telefon w wysuniętej jak najdalej ręce.

- *Fuck!* - wyrwało nam się jednocześnie. Potem popatrzyłyśmy na siebie i wybuchnęłyśmy śmiechem.

- OK - powiedziałam, stając na dwóch nogach - to żenujące. - Elodie pokiwała głową, potakując. - Powinnam do niego oddzwonić, nie?

- Mhm... - dalej śmiałyśmy się w najlepsze, aż wreszcie usiadłam na podłodze.

- Przyniosę ci jednak coś do picia. Siła wyższa.

- Tak. Sądę, że to dobry pomysł.

Poszła do kuchni w tej swojej niebieskiej piżamie i słyszałam, jak wciąż się śmieje.

- Kobieto - zawołała - co to miało znaczyć, kiedy tak waliłaś się obiema rękoma po głowie, jakby cię obsiadło stado much?

- A kto trzymał ręce do góry? - zaśmiałam się raz jeszcze i popatrzyłam na telefon. Oczywiście, że powinnam oddzwonić. Jeff musiał się obudzić zaraz po moim wyjściu i pewnie mnie szuka. I jeśli nie odezwę się niedługo, zacznie wydzwaniać do Laurenta, potem do Julienu, do mojej matki i do Flavie. Niedobrze! Złapałam się za nos dwoma palcami, jakbym chciała przedmuchać uszy. Taki daremny gest, który ludzie robią często, kiedy chcą się skupić nad czymś ważnym. W moim wypadku zaowocowało to wyłącznie pytaniem, dlaczego ludzie to robią? Byłam za bardzo zmęczona i niezdolna do logicznego myślenia.

- Dobra - powiedziałam do siebie na głos, żeby trochę uporządkować myśli - trzeba zadzwonić. To prawda, że mogło być gorzej... Boże! Chyba nie mogło! Nie mogło... Ełodie!!

- Czego? - odkrzyknęła z kuchni.

- W skali od jednego do dziesięciu. Dziesięć to najgorzej najgorzej, a jeden to najmniej najgorzej, to gdzie teraz jestem?

Wróciła, niosąc dwie filiżanki.

- Na pewno uważasz, że gdzieś między jedenaście a dwanaście, ale obiektywnie rzecz biorąc... sama nie wiem... Trzy? Cztery? Jest oczywiście jeden haczyk, który może trochę zmienić wasze wzajemne stosunki. Ale spójrz na to z innej strony. Żadne z was nie zdradziło nikogo. A teoria, że seks psuje przyjaźń, jest trochę przereklamowana.

- Nie, nie. To akurat prawda. - Zrobiłam w myślach szybko listę mężczyzn, z którymi spałam, a którzy pozostali moimi przyjaciółmi mniej lub bardziej bliskimi i przytaknęłam bezgłośnie.

- Tak - powiedziałam. - Ale Jeff nie był po prostu kumplem. To współlokator. Mieszkamy razem. I jest moim najlepszym przyjacielem.

- To pewne. Może więc pięć? Wyżej niż pięć nie dam.

Pokiwałam w zamyśleniu głową, łyknęłam z filiżanki i o mały włos się nie zadławiłam.

- Boże, co tam wlałaś?

- Grog.

- Grog? Ktoś ci mówił, że grog należy rozcieńczyć wodą?

- Taaak? Ja po prostu podgrzałam rum.

- Cholera. Uczylaś się wieczorami u Julienu?

- A co u niego?

- Za dobrze. Mathias zgodził się z nim spotkać jutro... to znaczy dzisiaj, i Julien jest tak rozanielony, że boję się, co będzie, jeżeli dostanie wielkiego kopa.

- Może nie.

- Może nie. A może tak.

- Czy zauważyłaś, że zawsze przewidujesz najgorsze, żeby tylko się nie rozczarować?

- Nie żeby się nie rozczarować. To tylko taki przesąd. Jeśli się spodziewasz czegoś dobrego, to nigdy się nie sprawdzi.

- Idiotyczne.

- Owszem, wiem.

Przez jakiś czas siedziałyśmy w milczeniu. Tylko rum zaczynał mi wchodzić do głowy.

- Marinę?

- Tak?
- Dzwonimy?
- Co?
- Zadzwoń. Zadzwoń wreszcie! Im dłużej czekasz, tym to będzie gorsze!
- No dobra. Nienawidzę, kiedy jesteś bardziej cwana ode mnie. Niech ci będzie... zadzwonię.
- Sięgnęłam po telefon, kiedy znów zaczął dzwonić. Spojrzałam na Elodie, która patrzyła na mnie z tak poważną miną, że o mało znowu się nie roześmiałam.
- Jeżeli nie odbierzesz po dwóch sygnałach, to ja odbiorę za ciebie.
- Dobra.
- To jak zrywanie plastra z nogi, pomyślałam. Trzeba zrobić to szybko.
- Halo.
- Halo... - Usłyszałam monstrialne westchnienie ulgi.
- Halo - powtórzyłam. Tyle rzeczy do powiedzenia. Tyle rzeczy, że nie wiadomo, od czego zacząć. Odepchnęłam Elodie, która przysunęła się do telefonu, żeby lepiej słyszeć, co mówimy.
- Wysłaś - stwierdził Jeff. Stare przyzwyczajenie do robienia sobie złośliwych uwag o mało nie skłoniło mnie do powiedzenia: „Jaki przenikliwy Jeff!”.
- Przepraszam. Stchórzyłam. Zresztą dalej się boję.
- Gdzie jesteś?
- U Elodie.
- Jak się czujesz?
- Nie wiem. Nie wiem. - To akurat było prawdą. Sama nie wiedziałam, jak się czuję.
- Marinę, nic się nie stało. Nic poważnego. Nic takiego.
- No wiesz...
- Nie, nie i nie. Nie mówię, że to bez znaczenia, ale nic się nie stało.
- Nic takiego - poczułam się idiotycznie obrażona. Czyżbym wolała, żeby mi się rzucił do stóp i oznajmił, że to odmieniło całe jego życie? Czyżbym była aż do tego stopnia głupia? Chyba raczej nie.

- Nic, ale nie złe nic, tylko dobre nic!
- Jeff, to nic nie znaczy.
- Co? To, co się stało?
- Nie. To, co powiedziałaś.
- Co?

Milczeliśmy przez moment, a potem zaczęliśmy się śmiać. Nerwowo, ale jakoś tak szczęśliwie, bo wszystko było lepsze od milczenia i niedopowiedzeń, które powodowały napięcie nie do zniesienia.

- Jeff, cholera. Co nas napadło?

- Nie wiem... Od godziny sam się nad tym zastanawiam.

- Godzinę?

- Tak. Obudziłem się, jak wychodziłaś, ale byłem za bardzo skacowany i zbyt tchórzliwy, żeby cię zatrzymać.

- Miałaś rację.

Naszedł mnie obraz jego ciała nad moim na chłodnej posadzce w kuchni, potem przypomniałam sobie, jak siedziałam na nim już we własnym łóżku i zasłoniłam sobie oczy.

- Jeff... cholera...

- Wiem... wiem...

- Ale co nas napadło...

- Przestań się zastanawiać, co nas napadło, bo już ustaliliśmy, że nie wiemy. Ty jesteś pokręcona przez te twoje historie, a ja...

- A ty co? - Poczułam nagłą panikę. Chyba nie chciałam mi wyznać, że kocha mnie w tajemnicy od zawsze?

- A ja od lat miotam się z jednej skrajności w drugą. Od Marie-Lune do Flavie. Szukam czegoś, ale w pewnym momencie człowiek ma już dość, bo czuje się całkiem pusty. Uważaj, bo skończysz jak ja.

- Aaa... - Urażona miłość własna i ulga zalały mnie jednocześnie i jedno, i drugie nagłe i silne. Facet nie był we mnie zakochany, a ja byłam potwornie zarozumiała. - Jeff, czy powiemy chłopakom?

- Co? Mowić nie ma.

- Jeff, wszystko sobie mówimy. Kiedyś to i tak się wyda.

- Sami wybierzemy właściwą chwilę, dobrze?

- Dobrze. - Zerknęłam na Elodie, która słuchała naszej rozmowy z komicznym zaciekawieniem. Kiedy zobaczyła, że na nią patrzę, pokazała mi oba kciuki w geście zachęty.

- Czy to była moja wina? - spytałam. - Czy to przez to, co zrobiłam miesiąc temu?

- Nie zadawaj takich pytań, Marinę. I tak zakrawa na cud, że nic takiego nie zdarzyło się wcześniej.

- Nie rozumiem?

- Marinę, na Boga! Ty jesteś piękna, a ja jestem na to pazerny. Dodaj to sobie sama.

- Będzie dobrze?

- Nie mamy wyjścia. Nie chcę cię stracić.

- Ani ja.

- Może już wrócisz?

- Nie. Jestem padnięta. Położę się spać.

- Kocham cię.

- Ja też.

Rozłączyłam się i zobaczyłam to „kocham cię”, które zrozumiałam aż nazbyt dobrze. Wiedziałam też, że nie będzie tak dobrze, jak byśmy chcieli. Że jeszcze bardzo długo wspomnienie tego, co się stało, pozostanie między nami. Tego, co nie powinno się stać, co zrobiliśmy ze złych pobudek i czego będziemy żałowali z powodów jeszcze gorszych. Duma, pożądanie, strach przed utratą przyjaźni drugiej osoby, potrzeba zachowania twarzy i pozorów. To tworzyło niestrawną mieszankę.

- Dobrze się czujesz? - spytała Elodie.

Wzruszyłam ramionami. Jeżeli wszyscy dalej będą mnie męczyć tym kretyńskim pytaniem, to będę musiała kupić T-shirt z napisem: „Sama nie wiem, jak się czuję”.

- Nie czuję się bardzo niedobrze, jeśli wiesz, co to znaczy.

- Ale dobrze też nie?

- Dam ci wskazówkę. Jest szósta rano i piję u mojej siostrzyczki gorący rum zamiast herbaty.

- Ja tam się cieszę, że wpadłaś.

To było tak szczerze i urocze, że nie mogłam się powstrzymać i pogładziłam ją po głowie.

- A ty? Jak twoje miłości?
- Cóż... David chyba mnie zdradza...
- David...
- No, David. Wiesz chyba który. Chodzę z nim już trzeci tydzień.

Wiem? Zdziwiłam się, bo mój mózg nie zanotował informacji o żadnym Davidzie. Chociaż muszę przyznać, że już od dawna uparcie starałam się nie zapamiętywać kolejnych miłostek Elodie. To byłoby zbyt skomplikowane.

- David... - powiedziałam niepewnie.

- Któregoś dnia znalazłam na stoliku puste opakowanie po prezerwatywach. A przecież nie otwierał go przy mnie. Myślisz, że to coś znaczy?

-No...

- Też tak uważasz. Boże! Miałam rację!

- Jeżeli to ci poprawi humor, to zawsze można sobie wyobrazić, że robił z nich wodne balony i zrzucał je na przechodniów.

- I co mam teraz zrobić?

- Jeżeli zrzuca na ludzi wodne balony?

- Marinę! - spojrzała na mnie urażona. Jak można było zachować taką trzeźwość w ocenie miłości u innych i tak głupiec w wypadku własnych uczuć? Potem uświadomiłam sobie, że robię dokładnie tak samo i objęłam ją ramieniem.

- Rozmawialiście o wyłączności?

- To o tym trzeba rozmawiać? Żartujesz chyba!

- Czasami, jak sądzę. Teraz wszyscy stali się tacy nowocześni i otwarci.

- Nie można zakładać, że to oczywiste?

- Elodie, pozwól, że powiem ci jedyną oczywistość: nie można niczego zakładać! Pamiętaj o tym, a oszczędzisz sobie wielu kłopotów.

- A kto się obraził na Gabriela, kiedy powiedział, że ma dziewczynę? Ktoś, kto sobie założył, że on nie ma nikogo!

- Nie powiedziałam, że przyjmuję cokolwiek za pewnik. Powiedziałam, że tak nie należy robić. Bo sama widzisz, w co się wpakowałam.

- Mogło być gorzej.

Miałam nadzieję, że na T-shirty jest promocja dwa w cenie jednego. Ten z napisem „Mogło być gorzej” mógł się zużyć szybciej.

- Jesteś gotowa z tym żyć? - spytałam.

- Że śpi z innymi dziewczynami? Nie!

- No to wiesz już, co trzeba zrobić.

- Co?

- Powiedz mu o tym.

- I co dalej? Zostawi mnie, bo nie jest gotów na wyłączność?

- Raczej sądziłam, że to ty go zostawisz.

- Ale ja go kocham!

- Nie, nie i nie. Przestań wreszcie. Nie kochasz go. I powinnaś wreszcie zacząć uważać. Jeżeli facet wie, że może mieć ciebie i inne dziewczyny, to zawsze z tego skorzysta. Chyba nie jest głupi, prawda?

- Wredny kutas.

- Nie. Z tego, co wiem, niczego ci nie obiecywał. - Pomyślałam o Christofie. Ja jemu też niczego nie obiecywałam, ale przecież to zrozumiałe samo przez się.

- Nic mu nie powiem - mruknęła Elodie.

- Jak chcesz. Tylko potem nie miej do nikogo pretensji.

- To nie fair.

- OK - przytuliłam ją do siebie. - Jestem potwornie zmęczona, ale przynaj, że mam odrobinę racji.

- Twoja racja też jest nie fair.

- Ależ skąd! Jest bardzo fair. - Wciąż ją przytulałam do siebie. Za oknem zaczynało już świtać. - Chodźmy do łóżka. Spróbujemy trochę pospać. To był potworny dzień.

W wąskim łóżku Elodie śnił mi się Jeff. Stał na śniegu w samym T-shircie. Chciał mi coś powiedzieć, ale z ust wydobywały się tylko kolorowe spirale. Czerwone, niebieskie i zielone, które próbował łapać.

- Przepraszam - westchnęłam, siadając na łóżku - tak mi przykro. - Julien przyglądał mi się ponuro. Potem jego mina zmieniła się w pełną niepokoju.

- Co zrobiłaś z twarzą?
- Co? - Odruchowo dotknęłam dłonią twarzy - aaa... to...

Julien obudził mnie telefonem po pięciu godzinach nerwowego snu, przypominając, że czeka na mnie w restauracji, w której mieliśmy zjeść wspólny brunch przygotowujący go na spotkanie z Mathiasem. Nie dość, że całkiem o tym zapomniałam, to jeszcze nie mogłam uwierzyć, że udało mu się wstać z łóżka tak wcześnie.

- Jestem na nogach od dziesiątej rano - oznajmił - to przecież ważny dzień, wiesz o tym. Przychodź szybko. Zamówiłem już mimozy*.

Szybki rzut oka w liczne lustra wiszące u Elodie potwierdził moje najgorsze obawy. Wyglądałam jak zmokły pies po trzydniowej włóczędze. I miałam na sobie ocieplane spodnie i stary sweter. Obudziłam więc Elodie, trzęsąc nią niemiłosiernie, żeby mi pożyczyła jakieś dzinsy i sweter na wyjście. Wybrała mi również kilka kosmetyków ze swojego wielotysięcznego zapasu. Każdy jej róż do policzków miał wściekły odcień, a moja siostra jeszcze się uparła na korektor i puder opalający, które miały mi nadać zdrowy wygląd. Rezultat był taki, że wyglądałam jak Barbie ubrana w minisweterek, który musiałam bez przerwy obciągać, żeby nie odsłaniał piersi, oraz dzinsy kończące się jakieś dwadzieścia centymetrów pod pępkiem.

Powinnam zostać w waciakach, pomyślałam, kiedy zobaczyłam, jak Julien przechyla się na krzesło, żeby lepiej się przyjrzeć mojemu przebraniu.

- Od czego powinienem zacząć? - zapytał. Kelnerka, która nas zwykle obsługiwała, również rzuciła w moją stronę zaniepokojone spojrzenie.

- To długa historia. Spałam dzisiaj u Elodie.

- Właśnie sobie mówiłem, że skądś znam ten styl... Ale... dlaczego?

* **Mimoz** - koktajl, na który składa się szampan i sok owocowy, czasem z owoców krzewu mimozy.

Napiłam się trochę mimozy. „Zostaną oświeceni we właściwym miejscu i czasie” - powiedział Jeff. Jeszcze nigdy czas i miejsce nie pojawiły się tak szybko. I nagle Julienowi oczy rozszerzyły się ze zdumienia i ze zrozumienia, a potem aż przyłożył sobie dłoń do policzka, kręcąc głową w przesadnie udawanym zdumieniu. Miałam ochotę wybuchnąć śmiechem.

- Niiiiiiiiieeeeeeeeeeeee - to było najdłuższe „nie” w historii.

- No. - Moje „no” było za to najkrótsze.

- Niiieeeee...

- Tak.

- Nie.

- Długo tak zamierzasz?

- Tyle, ile będę potrzebował, żeby przetrwać taką informację. - Sięgnął po koktajl. - Niiieeeee.

- Oooo, taaaak.

- Co nie? - Podniosłam głowę i zobaczyłam Laurenta stojącego nad nami z niewyraźnym uśmiechem na ustach.

- No co? - dodał - to, że wczoraj się wygłupiłem, nie znaczy chyba, że mam sobie odpuścić nasze brunchy.

- Loulou! - powiedziałam. Wyglądał na uosobienie dobroci i pewności siebie.

- Zdążyła się już upić? - zapytał Juliana, siadając koło nas. - Rozmawiałem z Carole.

- Rozmawiałeś? O czym?

- Powiedziałem jej, że... Co ty masz na twarzy? Kto ci robił makijaż?

- To długa historia. O czym rozmawiałeś z Carole?

Julien wiercił się ze zniecierpliwienia zżerany przymożnym pragnieniem wykrzyczenia najnowszej nowiny.

- No wiecie, po wczorajszym spotkaniu pokłóciliśmy się trochę (na te słowa zrobiłam przepaszającą minę) - ale zamiast wykrzykiwać nieskładnie...

- Często wykrzykujesz nieskładnie?

- Oczywiście. Mogę ci nawet zademonstrować, ale to może wystraszyć klientów. Nieważne. Ostrzegłem ją, że jeśli chce, żebyśmy dalej byli razem, to musi przyjąć do wiadomości,

że ty jesteś częścią mojego życia i że w niedziele spotykam się z przyjaciółmi. Niektórzy mają swoje wieczory pokera, a ja mam brunch z kumplami.

- Męskie.

- Jak się uda - odparł, podnosząc kieliszek do ust.

- Jak to przyjęła?

- Niezbyt dobrze.

- Czyli?

- No rozmawialiśmy, rozmawialiśmy, potem znowu rozmawialiśmy, aż ochrypłem.

- Dlaczego jej nie powiedziałeś, że ją kochasz? To by z pewnością pomogło.

- No wiesz... powiedziałem, że mi na niej zależy.

Wymieniliśmy z Julienem spojrzenia. Nie było to zbyt błyskotliwe, ale zawsze stanowiło jakiś początek. W języku Laurenta oznaczało to prawie, prawie wyznanie miłości na śmierć i życie.

- Cholera! - dodał Laurent - wiem, że nie jest to łatwe, ale wszyscy muszą iść na jakieś kompromisy, prawda?

- A ty uznajesz kompromisy?

- Jasne. Przecież jestem z nią.

Położyłam mu dłoń na udzie. Wiedziałałam, że Laurent, gdyby tylko miał wybór, wolałby mieszkać sam. Wiedziałałam też, że byłby wtedy lepszym kochankiem i chłopakiem. Ale nie potrafił przekazać tej idei żadnej swojej dziewczynie, bo uważał, że żadna kobieta tego nie zaakceptuje. Tak więc wprowadzały się do niego, a on zaczynał się żalić. Kapitulował przed wymaganiami miłości, nie próbując nawet negocjować. Powtarzaliśmy mu, że to bardzo zła taktyka, chociaż sami robiliśmy to samo.

- W każdym razie - ciągnął - jestem zadowolony. Boże! Chyba straciłem z dziesięć kilo. Tak bardzo chciałem, żeby zrozumiała, wiecie? W tym punkcie nie mogłem ustąpić. Trochę, owszem, ale nie więcej. Tak się utrzymuje związki.

- *VII drink to that** - zgodził się Julien, unosząc kieliszek.

* *VII drink to that* - Wypiję za to - ang.

- A wracając do ciebie - powiedział Laurent, patrząc na mnie - a właściwie do twojej twarzy... wyglądasz jak Murielle Miliard*.

- Trochę chyba przesadziłeś.

Julien przypatrywał mi się z ubolewaniem, a Laurent zajrzał pod stół.

- A to co znowu! Przebrałaś się za Elodie?

- No właśnie! - potwierdził Julien, kiwając do niego palcem z wrażenia.

- Dlaczego? Mieliście mieć wczoraj gościa.

- Tak...

- I co? Jeff z Flavie, a ty musiałaś wyjść?

- No właśnie! Tobie to nie przeszło przez głowę - zwróciłam się do Juliana.

- Wyszedłem z nią. Flavie odwoziła mnie do domu.

- No i? - spytał Laurent, a Julien prawie położył się na stole, składając ręce jak do modlitwy w błagalnym geście. Laurent przez chwilę się wahał. Studiował moją twarz, a ja liczyłam w myślach sekundy. Wreszcie do niego dotarło. Wybałuszył oczy ze zdumienia i otworzył usta.

- Niiieeee!

- Tak

- Nie. To nieprawda.

- Tak. Prawda.

- Niiieeeee.

Popatrzył na Juliana zszokowany i zaczęli kręcić głowami, że tylko cudem im nie poodpadały. Musiałam podtrzymać podbródek Laurenta, bo obawiałam się, że zaraz odpadnie mu szczeka. Potem Julien zaczął coś mruzczyć i wskazał palcem na wejście. Nie musiałam się odwracać, żeby się domyślić, że wszedł Jeff.

- Wygląda na to, że nie udało się tego długo zachować w tajemnicy - odezwał się, siadając. - Cholera... tak się zastanawiałem... co ty masz na twarzy?

- Makijaż Elodie - wtrącił szybko Julien, który nie chciał

*** Murielle Miliard - znana piosenkarka i autorka tekstów, popularna w Kanadzie i USA w latach 40. i 50. ubiegłego wieku.**

tracić ani sekundy na tematy drugorzędne. - Jeff, na serio? Niiieeee.

- Chyba jednak tak.

- No nie - nie dawał wiary Laurent - nie mogę uwierzyć.

- To uwierz.

- Niiiee...

- Słucham tego już od pół godziny - powiedziałam do Jeffa.

Uśmiechnął się do mnie i popatrzył mi w oczy po raz pierwszy od... odkąd się ściskaliśmy po całym mieszkaniu dwanaście godzin temu.

- W porządku? - zapytał cicho. Odpowiedziałam uśmiechem i wzruszeniem ramion.

- Nie byłam pewna, czy przyjść, ale...

- Ja też nie byłem pewien - dodał Laurent - ale cieszę się, że przyszedłem.

- Ma dobry humor, bo rozmawiał z Carole - wyjaśniłam Jeffowi.

- Tak? I co?

- Jak to co? - włączył się Julien. - Kocham cię, Laurent, ale twoja sprawa nie ma dziś priorytetu. Najpierw pogadajmy o Shreku, a potem o Barbie. A jeszcze potem chcę, żebyście się wysilili i pomogli mi przetrwać czas przed spotkaniem z Mathiasem.

- Julien - powiedziałam. - Pomyśl chwilę, zanim coś palniesz. Naprawdę chcesz, żeby takie trzy indywidua jak my... wiesz przecież, kim jesteśmy i co robimy z naszymi własnymi sprawami, chcesz, żebyśmy maczali pałce w tej ważnej dla ciebie sprawie? Mnie to nie przeszkadza, ale...

- Jasne, że chcę! Zauważyłem, że im bardziej głupiejecie w życiu prywatnym, tym lepiej doradzacie innym.

- Święta prawda! - zgodziłam się radośnie. - Elodie świetnie mi doradzała dzisiaj rano, a potem ja jej świetnie doradzałam.

- Powinnaś jednak podchodzić do tych porad bardziej wybiórczo - mruknął Laurent znad kieliszka. Traciłam go w łokieć, śmiejąc się i zakrywając twarz dłońmi.

- Cześć, Marinę! - powiedział ktoś za moimi plecami. To był Gabriel. Wciąż trzymałam twarz w dłoniach, a pamiętając o tapecie, jaką mi nałożyła Elodie, ograniczyłam się do zerknięcia przez palce, czy to na pewno on. Te same czarne loki opadające na czoło, te same zielone oczy emanujące radością, ten sam uśmiech pełen wdzięku i pewności siebie.

- Cześć - powiedziałam przez palce - o rany, zacznę naprawdę wierzyć, że wszędzie masz wtyczki jak na filmach szpiegowskich. Zawsze wiesz, gdzie jestem.

- Przychodzę tu od lat, mademoiselle Vandale. Mam prawo do tego lokalu.

- A Lulli?

- Możesz sobie zatrzymać Lulli.

- A szpital?

- No wiesz - wtrącił Julien - bądź uczciwa, przecież jest lekarzem.

- To nie był jego szpital.

- Myślę, że ma prawo przebywać w różnych szpitalach - wytłumaczył Laurent.

- Nawet psychiatrycznych? - zainteresował się Julien i wdał się w jedną z tych sprzeczek z Laurentem, które ciągnęły się w nieskończoność i były całkowicie bezproduktywne, choć obaj uwielbiali je do szaleństwa. Gabriel uśmiechał się, a po chwili zobaczyłam nadal przez palce, jak skinieniem głowy pokazuje na mnie, jakby bez słów pytał, dlaczego cały czas zasłaniałam twarz dłońmi.

- Człowieku! Nie chcesz tego widzieć - stwierdził Laurent.

- No dobra. - Odsłoniłam twarz, świdrując oczami sufit.

- O rany! - wyrwało się Gabrielowi. - Co to? Dlaczego to zrobiłaś?

- Naprawdę chcesz, żebym ci opowiedziała całą tę historię?

Chłopaki zamilkli jak na komendę i wybałuszyli oczy, czekając w skupieniu i bezruchu.

- Nigdzie mi się nie śpieszy - oświadczył Gabriel - dzisiaj mam wolne.

Chłopcy najwyraźniej dalej byli w szoku, więc to ja musiałam wreszcie zaprosić go do stolika. Ledwo odszedł w poszukiwaniu swojego palta, kiedy trzy głowy jednocześnie pochyliły się nad stołem i zaczęły mrużyć do mnie na wyścigi.

- Oszołomiło cię zupełnie? Jeśli zależy ci na tym facecie, to zamknij wreszcie tę swoją jadaczkę! Poza tym to nie jego sprawa!

- Przecież nie powiem mu wszystkiego, barany.

- Skłamiesz? - spytał Julien lubieżnym i rozradowanym tonem.

- Nie. Trochę to zredaguję. - Mrugnęłam do Julienu.

Jeff podrapał się niepewnie w brodę, a Laurent wymruczał do kieliszka:

- Będzie ostro.

- No i? - spytał Gabriel, siadając między Jeffem i Laurentem. - Co to za historia?

- Jeszcze się nie poznaliśmy - oznajmił Julien, kładąc się na stole, żeby przywitać się z Gabrielem. - Julien McKay. Rozmawialiśmy raz przez telefon.

- Bardzo mi miło - powiedział Gabriel. - Wiele słyszałem o tobie.

- Ja również - odparł szybko Julien i zaraz podskoczył po bolesnym kopnięciu w piszczel.

Zerknęłam na Jeffa, najwyraźniej zastanawiał się, co tutaj robi. Wreszcie skinął na kelnerkę i zamówił podwójnego cezara. Laurent natomiast wodził swoimi orzechowymi oczkami od niego do mnie, starając się odkryć nasze myśli. Zwłaszcza to, czego nie mówiliśmy, no i oczywiście to, o czym nie rozmawialiśmy ze sobą.

Godzinę później skończyłam opowiadać swoją historię. Po odpowiedniej weryfikacji zdarzeń okazała się zupełnie cenzuralna i banalna. Później wszyscy zajęli się przypadkiem Julienu.

- Jeśli mogę coś poradzić - powiedział Gabriel - to nie próbuj wymóc wybaczenia *night awal**. Przyznaj się do błędów. Z szacunku dla niego. Potem powiedz, że nie musi

* *Right awal* - od razu - ang.

obdarzać cię zaufaniem natychmiast. Nie chcę być niemiły, ale jeśli kiedyś jeszcze ci zaufa, to będzie cud. No i będzie musiał się przekonać, że ty też to wszystko rozumiesz.

Julien słuchał go pilnie, przytakując od czasu do czasu jak ktoś, kto zaczyna rozumieć skomplikowaną teorię.

- Nie atakuj go - powiedział Gabriel, wstając, żeby pójść do toalety - pozwól mu się wygadać. Bo tak naprawdę... - Pomyślał chwilę, ale nic nie powiedział, tylko odszedł.

- OK - odezwał się nachylony do mnie Julien - jeśli moja teoria jest prawdziwa, to ten facet musi przechodzić ciężki kryzys uczuciowy, bo udziela bardzo dobrych rad.

- Tak sądzisz?

- O tak. Myślisz, że się obrazi, jeśli mu zaproponuję, żeby schował się za kanapą i mi podpowiadał podczas spotkania z Mathiasem?

- A wiesz - powiedziałam - to i tak cud, że my jeszcze tego nie robimy. To w naszym stylu. Chociaż to by świadczyło o twoim tchórzostwie.

- Gabrieliu! - wypalił Julien, widząc wracającego Gabriela - nie chciałbyś zostać moim Cyranem?

- Kim?

- To byłby pierwszy taki przypadek, żeby Cyrano był przystojniejszy od Christiana - zauważył Jeff.

Julien dał mu szturchańca łokciem, a ja zwijałam się ze śmiechu.

- Nie chcesz? Schowałbym cię za kanapą, żebyś mi podpowiadał.

- On to mówi poważnie? - spytał Gabriel.

- To jest, niestety, niewykluczone.

Jeff znowu podrapał się po brodzie. Wyglądał na zmęczonego i nieco znudzonego naszym gadaniem i ogólnie wszystkim. Pomyślałam, że musimy porozmawiać. Nie można przecież udawać, że nic się nie stało i liczyć na to, że wszystko pójdzie w zapomnienie. Zasługiwaliśmy na coś lepszego.

Ledwie przyniesiono dania główne, kiedy zadzwonił telefon Jeffa. Spojrzał zaintrygowany na wyświetlacz.

- To twoja matka - potem dodał już naprawdę spanikowany: - O Boże! To twoja mama!

No nie, pomyślałam, przecież nie może... Czyżby Frederic lub Elodie? Chyba nie...

Laurent i Julien również pomyśleli o tym samym i wpatrywali się w Jeffa, który wreszcie zdecydował się odpowiedzieć.

- Halo? Kto? A witam... Co? Tak, tak. Siedzi obok mnie. Jej komórka? Nie wiem, może... Marinę, gdzie masz komórkę?

Słuchaliśmy go w skupieniu z wyjątkiem Gabriela, który zajadał z apetytem.

- Co? - krzyknął Jeff. - Tak, tak. W którym szpitalu? - Spojrzał na mnie. - Twój ojciec jest w szpitalu.

- Co?

Wciąż patrzyłam na Jeffa, ale kątem oka dostrzegłam, jak Gabriel odkłada sztucce.

- W którym? - spytał Jeffa.

Okazało się, że to jego szpital. Wstał i zaczął się ubierać.

- Jakie rozpoznanie?

W czasie, kiedy Jeff robił za pośrednika między Gabrielem a mamą, wychwytywałam strzępy informacji. Chodziło o jakieś naczynko, które pękło w mózgu.

- Cholera - wyrwało mi się wreszcie. - Co mu jest?

- Chwileczkę - powiedział Gabriel. Dał znak Jeffowi, że chce sam porozmawiać z moją mamą.

- Pani Vandale, jestem przyjacielem Marinę. Pracuję na oddziale pogotowia w szpitalu, w którym leży pani mąż. Co pani powiedziano?

- Wreszcie zrobiło się ostro - stwierdził Julien, ale zamilkł po trzech jednoczesnych „zamknij się” i energicznym walnięciu w głowę przez Jeffa.

- Dobrze - oświadczył Gabriel, wyłączając telefon - jedziemy.

- Jak z nim jest?

- Zobaczymy. Weź palto. Zadzwońię po taksówkę.

- Stoję naprzeciwko - powiedział Laurent.

- To jedźmy! - Już stał ubrany, podczas gdy my wszyscy wciąż jeszcze patrzyliśmy na niego z niedowierzaniem. Wciąż nie potrafiłam przetrwać tej informacji. Nie powiedział, że będzie dobrze, tylko że zobaczymy.

- Ruszcie się! - warknął Gabriel. - Na co czekacie?
- Tak, tak. Ruszajmy - powtórzył Laurent, również wstając i wkładając palto. - Marine! Rusz się!

- Do licha! Jadę z wami - oznajmił Julien. - No, Marine, chodź!

Podał mi rękę, ale ja wciąż powtarzałam sobie to „zobaczymy” i tkwiłam nieruchomo. Prychnął z poirytowaniem i dosłownie podniósł mnie z krzesła.

- Marine! Szpital! Już!

- Dobrze, już idę. - Wstałam, wciąż czując się jak sparaliżowana, i zaczęłam się ubierać. Jeff wciąż siedział na swoim miejscu.

- Idziesz? - spytałam.

- Ja? Nie. Już jest was dosyć.

- Jeff... - Miałam ochotę powiedzieć mu, że go potrzebuję, że chcę, by pojechał z nami, ale słowa utkwily mi w gardle. Jakby stały się za ciężkie i zbyt naładowane napięciem.

- Jedźcie - rzucił - będę czekał w domu.

Otworzyłam usta, ale nie wiedziałam, co powiedzieć. Patrzyłam tylko na niego, a Julien ciągnął mnie za ramię. Kiedy wreszcie się odwróciłam, zobaczyłam, że Gabriel przygląda się nam i najwyraźniej coś zaczynało mu świtać w głowie.

- Chodźmy! - powiedział, biorąc mnie pod drugie ramię
- trzeba się zająć twoim ojcem.

Do: Freda

Od: Marinę Vandale

Temat: Komórka kryzysowa

Jestem. Rozmawiałeś z mamą?

Do: Marinę

Od: Frederica Vandale

Temat: Uszkodzony bębenek

Nie. To mama mówiła do mnie. Ponieważ byłaś z nią, nie muszę ci określać stopnia hysterii, w jaką wpadła. Krzyczała o wszystkim jednocześnie, ale skupiała się głównie na tym, że zostanie wdową w jej wieku jest niesprawiedliwe. W sumie nie wiem, co się stało tacie. Co się dzieje?

Do: Freda

Od: Marinę Vandale

Temat: Ból głowy

Jakieś naczynie krwionośne pękło w mózgu. Więcej ci nie powiem, bo żargon medyczny i ja to dwa różne światy. To nie jest alzheimer, na szczęście, ale jeszcze nie wiedzą, jaka była przyczyna. To mogłoby jednak tłumaczyć kłopoty z pamięcią.

Do: Marinę

Od: Frederica Vandale

Temat: re: Ból głowy

To w końcu tata wyzdrowieje czy po prostu nie wiesz? A może wolisz, żebym się martwił dalej?

Do: Freda

Od: Marinę Vandale

Temat: Dedukcja?

Gdybym coś wiedziała, tobym ci powiedziała. Wiem, co robią bracia z siostrami, które im kłamią na temat zdrowia najbliższych.

Do: Marinę

Od: Frederica Vandale

Temat: re: Dedukcja?

Masz rację. Przepraszam. Trochę panikuję. Sądziś, że powinienem przyjechać?

Do: Freda

Od: Marinę Vandale

Temat: Przesąd

W żadnym wypadku nie. Jeżeli zaczniesz przygotowania do powrotu, to będę miała wrażenie, że jedziesz zobaczyć ojca po raz ostatni.

Do: Marinę

Od: Frederica Vandale

Temat: Cierpka świadomość

Rozumiem. Ale jeśli to prawda? Gdyby tak było, to ostatnim wspomnieniem o ojcu byłaby wspólna kawa w Coffee Heaven na lotnisku.

Do: Freda

Od: Marinę Vandale

Temat: Czas litości

Kurcze, Fred... rozumiem. Jasne, że rozumiem. Nikt nie chce Coffee Heaven w takiej chwili. Ale zaraz wracam do szpitala. Wpadłam tylko się przebrać i zmyć ten przeklęty makijaż, zanim dostanę wyniki badań. Bo nie muszę ci chyba mówić, że to był długi dzień.

Do: Marinę

Od: Frederica Vandale

Temat: Subtelna zmiana tematu

Niech ci będzie... A w kwestii współlokatora, to aktualnie jesteśmy na jakim etapie? Poza tym, jaka córka odchodzi od łóżka ciężko chorego ojca, żeby zmyć makijaż?

Do: Freda

Od: Marinę Vandale

Temat: Murielle Miliard

Oszczędzę ci szczegółów dotyczących makijażu. Laurent zrobił mi zdjęcie, więc na pewno ci je przyśle. Dodam tylko, że to Elodie mnie tak wysmarowała, a pacjenci w izbie przyjęć uciekali z krzykiem na mój widok. I nic z tym nie mogłam zrobić, tkwiąc tam jak idiotka. Wystarczy, że pielęgniarki mają ochotę przywiązać do noszy mamę, żeby zyskać choć chwilę spokoju. Poza tym ojciec jest w dobrych rękach. Został przy nim Gabriel.

Do: Marinę

Od: Frederica Vandale

Temat: Superbohaterowie

No to może być tłok przy tych noszach. Udało ci się nie ulec czarowi doktora ratownika?

Do: Freda

Od: Marinę Vandale

Temat: Rynsztokowy humor

Świnia. Był cudowny. A ja akurat, co może cię zdziwi, nie jestem w nastroju do ulegania. Mój ojciec jest w komie, a ja w tym czasie przespałam się z moim najlepszym przyjacielem. A więc się pohamuj. Natomiast Julien brylował jak skowronek. Gdyby nie to, że był umówiony z Mathiasem, to pewnie próbowałby dopaść Gabriela w jakimś kącie.

Do: Marinę

Od: Frederica Vandale

Temat: Szczere pytania

Wybacz, siostruniu. Ja też jestem trochę wstrząśnięty, a sama wiesz, że mam wtedy wisielczy humor. Ale powiedz mi wreszcie, jak ty się czujesz?

Do: Freda

Od: Marinę Vandale

Temat: Trafiłeś w dziesiątkę

Sama nie wiem, żeby być szczerą. Jeffa nie ma. I chociaż nie mam prawa mu tego mówić, to miałam nadzieję, że będzie. Chciałabym również, żebyś i ty tu był.

Do: Marinę

Od: Frederica Vandale

Temat: Myślę o tobie

Wiesz, że możesz tu przyjechać, kiedy zechcesz. A jeśli chcesz, żebym to ja przyjechał, wystarczy mi dać znak. Jesteś tam całkiem sama? Uprzedziłaś siostrzyczki?

Do: Freda

Od: Marinę Vandale

Temat: Mieć dobrego kumpla

Nie. Laurent jest ze mną. Zaraz wracam do szpitala. Wolę poczekać na jakieś konkretne wieści, zanim cokolwiek powiem dziewczętom... Cholera! Fred! Ktoś dzwoni do drzwi. Spadam. Będę w kontakcie.

Do: Marinę

Od: Frederica Vandale

Temat: Wrażenie *deja vu*

Znasz historię faceta, którego siostra zawsze wystawia do wiatru w połowie sesji epistolarnej?

Rozdział 13

- Pięknie! - krzyknął Laurent z kuchni. - Otworzę!

Spędził całe popołudnie w szpitalu razem z nami. Potem przywiózł mnie do domu, kiedy Gabriel nam wyjaśnił, że jeśli chcemy trochę odpocząć (czyli zmyć makijaż), to teraz możemy to spokojnie zrobić, bo wyniki badań będą najwcześniej za parę godzin.

- Chodźmy - powiedział wtedy Laurent, ciągnąc mnie delikatnie za łokieć. - Podrzucę cię do domu.

- Nie. Zostanę... poza tym, nie uważasz, że trochę ryzykujesz? Wierzę, że rozmawiałeś z Carole, ale... być może nie zachwyci jej wiadomość, że spędzasz cały wieczór przy łóżku ojca swojej byłej dziewczyny?

- Nigdzie się nie ruszę - odparł i o mało się nie rozpłakałam. Czego dotąd jeszcze nie zrobiłam zresztą. (Całe szczęście, zważywszy ilość makijażu, którą miałam na twarzy. Nawet jedna łezka dałaby katastrofalny efekt).

Uparłam się, żeby zostać, ale zjawiła się mama, która nieprzerwanie coś gadała do personelu całego szpitala, włączając w to pracowników kawiarni i jakieś sekretarki. Żądała natychmiastowej i precyzyjnej diagnozy stanu zdrowia swojego męża, bo „miała przecież prawo wiedzieć, czy musi się psychicznie przygotować na zostanie wdową pod wieczór”. Mnie również bombardowała pytaniami na przemian z komentowaniem mojego makijażu, „który, szczerze mówiąc, nadawał mi wygląd łatwej dziewczyny”. Co do Gabriela, to zaraz po wyjaśnieniu się stanu zdrowia taty zamierzała go porwać do Las Vegas i zmusić do po-

ślubienia mnie. „Marinę! To lekarz! Dobrze by było mieć lekarza w rodzinie!”.

- Zgoda, Laurent - zdecydowałam się nagle - to mi dobrze zrobi.

- Nie śpiesz się - dodał Gabriel - zadzwonię, jak tylko dostanę wyniki.

Przytulił mnie do siebie. Moja głowa ledwo sięgała mu do brody i poczułam lekki pocałunek na włosach, który bez względu na okoliczności i tak przyprawił mnie o miły dreszczyk. Ten gest wydał mi się szalenie intymny mimo pozorowanej obojętności. I to wrażenie intymności mnie rozgrzało.

W tym zatłoczonym szpitalu spędziłam najdłuższe popołudnie swego życia. Przybyliśmy tu w okropnym pośpiechu. Gabriel na czele, za nim Julien trzymający mnie za rękę i Laurent, który krzyczał z tyłu, że idzie zaparkować samochód. Odnalazł nas później w poczekalni pełnej mówiących jednocześnie rodzin, gdzie najbardziej słyszalna była moja mama. Czekaliśmy tak we trójkę długie godziny, Gabriel wchodził i wychodził, a mama próbowała przekupić różnych pracowników, żeby ją wpuścili do ojca (biedaczek, myślałam sobie, szukają, co mogło spowodować pęknięcie tętniaka, a przecież powód siedział tu z nami, bo to na pewno była moja mama).

W samochodzie Laurent prawie się nie odzywał. Pogłaskał mnie tylko po policzku. Taki drobny gest, który znałam od czasu, kiedy byliśmy razem. Znałam Laurenta na pamięć i jego brak wylewności, więc tym bardziej uznałam, że to z jego strony bardzo czuły odruch.

- Powinieneś wracać do siebie, Loulou.

-Nie.

- Loulou... nie robię z siebie męczennicy - myślałam długo o naszym niefortunnym spotkaniu na bazarze i teraz nie chciałam pogarszać sprawy. - Przykro mi było wtedy po tym nieudanym spotkaniu - dodałam.

- Naprawdę spałaś z Jeffem?

- Powiedziałam, że mi przykro za tamto na bazarze.

- To ja zachowałem się jak palant. - Otworzył okno i zwyślał bez przekonania kierowcę samochodu, który i tak już

był daleko przed nami. - Wiem, że to moja wina. I ty wiesz, że ja wiem, prawda?

Zamiast zwyczajowego: „Coś ty? W życiu!”, które o mało mi się nie wyrwało odruchowo, powiedziałam:

- Wiem, Loulou. - Ostatnie dwadzieścia cztery godziny odarły mnie z jakiegokolwiek chęci do kłamstwa czy hipokryzji.

- Wiem, że wiesz, że ja wiem.

Uśmiechnęłam się bez przekonania i pogłaskałam go za uchem.

- Wiesz, że nie mam ci tego za złe. Nie oceniam cię, bo cię kocham.

- No dobra. Bez wielkich słów... - Miałam prawo do jego uśmiechu jednym kącikiem ust, do westchnienia i ponownego:

- No tak, ale z tym Jeffem... co ci odbiło?

- Jeżeli jeszcze raz usłyszę to pytanie, to sobie palnę w łeb, jasne? Nic mi nie odbiło. Stało się. Kropka.

- Dobrze się czujesz?

- Jasne, że dobrze. Przecież nikt nie umarł, no nie? - zagryzłam ze złości wargę. Laurent odruchowo poklepał mnie po udzie.

- Będzie dobrze - powiedział - wszystko będzie dobrze.

W ustach najbardziej znerwicowanego pesymisty, jakiego znałam, takie słowa zabrzmiały wyjątkowo uspokajająco.

- Zaczekaj! - powiedziałam jakimś dziwnym tonem, jakbym miała zaraz zacząć krzyczeć lub płakać.

- Dlaczego? Boisz się, że to Jeff?

- Przecież Jeff ma klucze. Ale jeśli to któraś z moich sióstr?

- Marinę, i tak będziesz musiała przez to przejść.

- Jeszcze nie teraz...

- Słyszysz was - zabrzmiał głos Gabriela zza drzwi. Laurent otworzył je na oścież i zobaczyliśmy Gabriela opartego o poręcz z rękoma założonymi jedna na drugą. Mieliśmy głupie miny. - Wasze drzwi nie są dźwiękoszczelne - oznajmił.

- Co z tatą? - Uznałam, że skoro przyszedł tutaj osobiście, to nie miał dobrych nowin.

- Jego stan jest stabilny.

- Stabilny? To było bardzo niepokojące, pozbawione sensu słowo, które często czytałam w gazetach lub słyszałam w wiadomościach. Oznaczało zwykle, że ktoś jest zawieszony między życiem a śmiercią, ale nie dostał jeszcze drgawek.

- Dobrze się czuje - dodał Gabriel, widząc moją minę - stabilny oznacza dobry. Jutro będzie miał operację mózgu...

- Jak to? - Poczułam, że mdleję. Pamiętałam mgliście, że Laurent złapał mnie w ostatniej chwili, kiedy chciałam usiąść na oparciu kanapy, ale wycelowałam nie w nią, tylko dobre trzy kroki obok.

- Spokojnie, spokojnie... - uspokajał mnie Gabriel. Miał minę ojca zmartwionego kłopotami swojego dziecka. - Wiem, jak się czujesz. - Jasne, że wiedział. Na tym polegał jego zawód. Kiedy Laurent prowadził mnie do kanapy, siedł za nami, tłumacząc spokojnym głosem, co się stało w mózgu taty.

- Gabriel - odezwałam się wreszcie - możesz mi powiedzieć szczerze, jak jest teraz? W porządku czy nie? - Zapadła oczywiście cisza. - Wiem, że macie to gdzieś zapisane w tej przysiędze Hipokratesa...

- Hipokryty? - zażartował Laurent, ale nikt nie zwracał na niego uwagi.

- ... że nie możesz kłamać ani dawać fałszywych nadziei. Ale czy mógłbyś ją trochę nagiąć i dać mi ją?

- Dać ci co?

- Fałszywą nadzieję.

- Chcesz, żebym ci dał fałszywą nadzieję?

-Tak.

- Nawet jeżeli będziesz wiedziała, że to może nie być prawda?...

- Czego właściwie nie rozumiesz?

Przemknęło mi przez myśl idiotyczne zdanie, którego o mało nie wypowiedziałam. Że tak właśnie zrobił, wysyłając pewnej dziewczynie kwiaty, mimo że zupełnie mu

na niej nie zależało. Potem spuściłam głowę i ukryłam twarz w dłoniach, bo zrobiło mi się wstyd, że myślę o sobie, a nie o tacie. Usłyszałam, jak Laurent idzie do kuchni i zaczyna grzebać w barku z alkoholami i poczułam, że Gabriel siada obok mnie.

- Posłuchaj - oznajmił spokojnym tonem, kładąc swoją dłoń na moim ramieniu - będzie dobrze.

- Naprawdę?

Spojrzał na mnie wymownie, jakby chciał powiedzieć, żebym nie przeciągała struny.

Laurent wlewał w kuchni różne płyny do miksera.

- Przestań, Marinę. Chciałaś fałszywej nadziei, to ją masz. A jeśli będziesz miała szczęście, to może stanie się tak naprawdę. Nigdy nie wiadomo, prawda, doktorze?

- No tak. Rzeczywiście - odrzekł przyjaznym tonem. - Nie są to może zwroty używane w oficjalnej medycynie, ale można to i tak ująć.

Laurent przyniósł nam dwie szklanceczki.

- Co to? - zapytał Gabriel - nie mam dzisiaj dyżuru, ale wolałbym zachować trzeźwy umysł, żeby kontrolować stan pana Vandale.

- Long Island Iced Tea* - wyrecytował Laurent.

- Przecież nie umiesz tego robić!

- Spróbuj najpierw...

Spróbowałam. Było ohydne.

- Świetne - powiedziałam Laurentowi.

Gabriel również spróbował i skrzywił się okropnie po pierwszym łyku.

- Cholera, coś ty tam wlał, człowieku?

- Sam nie wiem. Mają tu świetnie zaopatrzone barek. Dużo Drambuie**... piłeś kiedyś Drambuie?

*** Long Island Iced Tea - rodzaj koktajlu, na który składają się (między innymi): wódka, gin, tequila i rum, odrobina syropu lub cukru i coli albo soku pomarańczowego (czasami zastępowanego mrożoną herbata).**

**** Drambuie - likier na bazie szkockiej whisky z dodatkiem miodu wrzosowego i przypraw (m.in. gałki muszkatołowej i szafranu).**

- Bardzo mi przykro - powiedziałam.

Efekty Laurentowego cudownego drinka zaczynały już dawać znać o sobie. Prawdopodobnie było to też wynikiem mojego podenerwowania przez dłuższy czas oraz tego, że od rana właściwie nic nie jadłam. Co mi tam! Po raz pierwszy od chwili, kiedy usłyszałam tę straszną nowinę, nie czułam w sobie agresji. Cały dzień miałam pretensje do całego świata. Do matki, że przez nią wariuję. Do Gabriela, że nie miał żadnej cudownej recepty. Do mojego ojca, że potrzebował takiej recepty. Do Elodie, że wpakowała mi kilogram rózu na policzki. Do Jeffa, przez którego miałam niespokojną noc. Do Juliana, że być może odnajdywał prawdziwą miłość swego życia, czego mu zazdrościłam. Nawet do Laurenta o to, że jego ojciec nie był w komie, bo już zmarł (co było z pewnością smutne, ale pozwalało jego synowi nie przeżywać więcej katuszy, które czekały mnie).

- Wiesz, Marinę - odezwał się Gabriel - wcale nie chcę cię pocieszać, ale widziałem już ludzi reagujących gorzej w takich przypadkach niż ty. Nikt nie jest przygotowany na zmartwienia związane z chorobą najbliższych. I również od ciebie wcale się tego nie oczekuje.

Milczałam. Z mojego pokoju dobiegło ciche „miau” i Claude-Francois wyszedł z niego powolnym krokiem, mrużąc oczy i zadzierając do góry ogon w kształcie znaku zapytania. Usiadł przed nami i przyjrzał się nam spokojnie, po czym ziewnął przeciągle i położył się w tym samym miejscu, w którym siedział.

- Nie pamiętam dokładnie szczegółów śmierci swojego ojca - odezwał się nagle Laurent - moja matka twierdzi, że w ogóle na to nie zareagowałam. Po prostu nic. Nie płakałam, nie było mi żal, siedziałem w kącie, czytając jakiś komiks. A na pogrzebie zacząłem się wygłupiać z kuzynem Raymondem. Moja matka powtarzała mi bez przerwy, że bym się nie hamował, ale naprawdę nie rozumiałem, o co jej chodzi.

- Ile miałeś lat? - spytał Gabriel.

- Jedenaście.

Niczego więcej nie dodał, ale wiedziałam, że przestał się hamować dopiero w wieku trzydziestu sześciu lat. Któregoś

wieczoru między świętami Bożego Narodzenia a Nowym Rokiem. Nikt z nas nie był na to przygotowany, a jego akurat naszły wspomnienia. Spędził wiele godzin, klęcząc przy kanapie i płacząc jak dziecko. Potem wyjechał do matki, żeby jej powiedzieć, że wreszcie przestał się hamować i że odtąd razem będą nosić żałobę po ojcu. Jak twierdził Jeff, „to było niesamowite przeżycie”, ale tak zareagował Laurent.

- Wiem - powiedziałam i napiłam się okropnego koktajlu, który przygotował - może przesadzam. W końcu tata jeszcze nie umarł.

- Daleko mu do tego - dodał Gabriel.

- Ludzie z tego wychodzą?

- Przeważnie tak.

- Naprawdę?

- Naprawdę.

Zobaczyłam w szybie odbicie Laurenta pochylającego się nad Gabrielem. Pytał go bezgłośnym ruchem warg „To ta fałszywa nadzieja?”, Gabriel zaśmiał i pokręcił przecząco głową.

- Wszystko widzę w oknie, cwaniaki.

Roześmieli się obaj. Gabriel klepnął mnie po plecach.

- Dobrze, że już nie masz tamtego makijażu - powiedział - odzyskałaś właściwą twarz. Podoba mi się.

Miałam ochotę zapytać go, czy to też fałszywa nadzieja, ale ugryzłam się w język.

- Co teraz zrobimy? - spytałam poważnie, zamiast sobie żartować.

- Poczekamy jeszcze trochę. Mam przy sobie pager i komórkę, a twoja rodzina zna wszystkie numery telefonów. I jeśli mogę ci coś radzić, to zawsze lepiej czekać na takie wiadomości w domu niż w poczekalni szpitala.

- Ale jak się obudzi, to natychmiast wpadnie w szpony mamy i wtedy może zapaść znowu w śpiączkę.

- Jeśli jest mądry - odparł Laurent - to zaczniesz symulować śpiączkę.

Stłumiłam wybuch śmiechu. Te Iced Tea Laurenta powinny zostać opatentowane i sprzedawane we wszystkich szpitalach tak jak kawa. Doskonałe odprężały.

- Nawet jeśli się zaraz wybudzi, to i tak nie będzie wiele rozumiał. Będziesz miała mnóstwo czasu na dojazd do szpitala

- powiedział Gabriel. Zastanowił się przez chwilę i dodał:

- a nawet gdybyś tam była, to wątpię, czy masz tyle siły, żeby się przepchnąć przed swoją matką.

- Ona to jest ktoś, no nie? - stwierdził Laurent.

- Jak cholera...

- Starczy tej solidarności! Nikt nie ma prawa obrażać mojej matki oprócz mnie, jasne?

- Stwierdziliśmy tylko, że to jest ktoś.

- Właśnie... - Miałam coś dodać, ale nagle zabrzmiał sygnał mojego telefonu oznajmiający nadejście SMS-a. To był Julien: „M. poszedł do toalety. Zalewa mnie wyrzutami. Dobry znak?”.

Westchnęłam i pokazałam wiadomość chłopakom.

- Czy w ogóle warto odpowiadać na coś takiego?

Laurent popatrzył na mnie, jakby chciał powiedzieć: „Czy w ogóle warto zadawać takie pytania?”, ale Gabriel już zaczął coś pisać na swoim telefonie.

- Co robisz?

- Odpisuję mu, że to może być dobry znak. Zwłaszcza jeżeli on sam będzie trzymał głowę na kłódkę.

Popatrzyliśmy z Laurentem na siebie.

- Do licha - powiedziałam. - Mówisz tak z własnego doświadczenia?

- Może trochę - wciąż był zajęty pisaniem - na samym początku z moją żoną. Zanim jeszcze została moją żoną. Popełniłem... jakby to ująć... pewną gafę. I im bardziej próbowałem się usprawiedliwiać i błagać o przebaczenie, tym bardziej ona się ode mnie oddalała. Wreszcie któregoś dnia zadzwoniłem do niej i powiedziałem, że ma rację i nie mam nic na swoje usprawiedliwienie. A zwłaszcza nie mam prawa prosić ją o cokolwiek. Trochę to trwało, ale po roku byliśmy małżeństwem.

- A jedenaście lat później się rozwiedliście.

- Osiem lat później - wyjaśnił, nie podnosząc głowy znad telefonu - osiem lat. Byliśmy razem przez jedenaście lat.

Dostrzegłam w szybie Laurenta cmokającego z uznaniem. Oboje mogliśmy się śmiać, ale żadne z nas nie przeżyło

z nikim jedenastu lat. Nawet się nie zbliżyliśmy do takiego wyniku.

- To, że nasze małżeństwo skończyło się kląpą, nie oznacza, że nie było w nim niczego dobrego - dodał Gabriel.

- Gdyby można to było powiedzieć o medycynie, pomyślałam. „Pani mąż umarł, ale w czasie operacji przeżył kilka niebiańskich chwil. Nie należy więc tego traktować jako zupełnej klęski”. Ta myśl przypomniała mi natychmiast o tacie, ale przede wszystkim o mamie.

- Nie wydaje się wam dziwne, że mama jeszcze nie dzwoniła?

- Naprawdę skarżysz się na fakt, że twoja mama jeszcze nie dzwoniła?

- Nie wiem. Powinam?

- Pager - powiedział Gabriel, pokazując na swój pasek od spodni. Potem pomachał telefonem: - Komórka. Nikt w mieście nie jest lepiej przygotowany na nagły kontakt.

Spojrzałam na niego i nagle wydało mi się, że znam go tak samo dobrze jak resztę chłopaków. Wynikało to z jego swobody bycia, a może dlatego, że siedział obok mnie na kanapie, jakby to robił już po raz tysięczny. Głaskałam kota, a Gabriel żartował z Laurentem, jakby się znali od wieków. A może to wszystko tylko mi się wydawało, bo byłam zmęczona? Sama nie wiedziałam. Po prostu pasował do salonu. Zaczęłam się śmiać sama z siebie. Naszła mnie ochota, aby wziąć go za rękę lub pogłaskać po udzie czy pocałować w szyję, jakbyśmy byli parą od dawna.

- „Wilaya”? - zdziwił się Laurent - jak to „wilaya”? Nie ma takiego słowa.

Gabriel z kamienną twarzą liczył swoje punkty.

- „W” liczy się potrójnie... „a” w wyrazie jest dwa razy... to razem 33, 34, 44... 88.

- Może jednak uwzględnimy fakt, że takie słowo nie istnieje - upierał się Laurent.

- Jest to oznaczenie jednostki administracyjnej w Algierii.

- No wiesz!?

Złapałam słownik i zaczęłam sprawdzać. Spojrzałam na Laurenta ze współczuciem.

- Ma rację. Wilaya. Jest tu napisane czarno na białym.

- Kto używa takich wyrazów?

- Ktoś, kto dużo grał w scrabble - odparłam,

- To nie moja wina - Gabriel zachichotał. - Ostatnie miesiące mojego związku z żoną... powiedzmy, że nie mieliśmy sobie wiele do powiedzenia.

- I wtedy wyszperałeś takie słowo jak „wilaya”?

- Nie tylko. Także „kumys”. Uwielbiaaaam słowo „kumys”.

- I pewnie nigdy nie byliście kujonami?

Spojrzelśmy z Gabrielem na siebie, udając, że się zastanawiamy.

- Hmm... raczej nie - odrzekliśmy jednocześnie. I wszyscy troje wybuchnęliśmy śmiechem.

- Poza tym - dodał Gabriel - staram się grać fair i nie wyciągam żadnych terminów medycznych. Inaczej wszyscy by mówili, że niektóre z tych nazw wymyślono tylko po to, żeby zdobywać punkty w scrabble. Kiedy kończyliśmy studia, czasami graliśmy używając tylko i wyłącznie wyrazów z niektórych naszych podręczników. Mieliśmy zasadę, że należało podać jak najwięcej terminów medycznych... - Przerwał i spojrzał najpierw na Laurenta, a potem na mnie.

- No dobra, dobra - przyznał - to faktycznie przypominało trochę kucie na pamięć.

- Trochę? - zaczęłam się śmiać. Laurent w tym czasie tak się skoncentrował na wymyślaniu wyrazu, że aż poczerwieniał na twarzy.

Wreszcie zaczął ustawiać klocki i wyszedł mu wyraz „zdziwiony”.

- Niestety - stwierdził Gabriel - nie ma takiego słowa.

- Jak to? - zaperzył się Laurent, popatrzył uważniej i skrzywił się ze złości - no tak, zjadłem „z”. Przepraszam.

- Nie szkodzi.

- Ale przynajmniej nigdy nie byłem kujonem - pocieszał się Laurent.

- Jak to? Przez całą szkołę nagrywałeś codziennie, co się

wydarzyło danego dnia. Uprzedzam, że wiem, gdzie leżą te kasety. A twoim ulubionym bohaterem był Robin. Nie Batman, tylko Robin!

Gabriel parsknął w swój koktajl.

- O rany, naprawdę Robin? Wesoły kujon! Nawet na medycynie było to zabronione.

Laurent kłął pod nosem, przestawiając litery na plan-szy.

- Nie śmieję się - warknął do mnie. - A kto zawiesił na ścianie mapę Śródziemia i zaznaczał drogę każdej postaci w miarę czytania?

- Robiłaś to? - spytał Gabriel.

- Owszem. Wpisywała sobie też w kalendarzu spotkania w stylu „Marinę i Edmond”.

- Kim był Edmond?

- Hrabia Monte Christo - wyznałam cicho.

- Co? *Oh My God*! Wpadłem w największe gniazdo frajerów w Montrealu. - Teraz zaczął się śmiać już na cały głos.

- Miałam wtedy dwanaście lat! - krzyknęłam trochę zła.

- Piętnaście - sprostował Laurent, a ja rzuciłam w niego poduszką, która chybiła o dobre pół metra.

- A na poważnie - spytał Gabriel - jaka byłaś?

- Jako nastolatka?

- Tak.

- Nooo... - zaczęłam się zastanawiać po cichu, jaka byłam wtedy.

Słabo pamiętałam ten okres. Właściwie to wszystko przypominałam sobie jak przez mgłę, że to był czas burz i kłopotów. Czasami z tej mgły wspomnień wyłaniały się jakieś szczegóły. Pierwszy pocałunek, pierwsze pożądanie, pierwsze wrażenie bycia nieśmiertelną i niepokonaną. W zasadzie byłam grzeczną dziewczynką. I raczej kujonem. Miałam kilkoro przyjaciół, głównie chłopców, robiliśmy wspólne wycieczki w okoliczne lasy, udając odkrywców i poszukiwaczy przygód. Ale centrum mojego świata stanowił brat. Założyliśmy nawet wspólny klub książki, który uległ rozwiązaniu w dniu, w którym Fred postanowił zostać *cool*. Zostawił mnie samą z książkami i rysunkami. Lubiłam

malować to, o czym czytałam. Byli więc muszkietierowie, zepsuta księżniczka, elfy, czarnoksiężnicy, a także zamki i okrutne więzienia na środku oceanu. Miałam niewielu przyjaciół. Lubiłam rozmawiać o Quasimodo, Ekskaliburze, rycerzach i poezji, którą pomału odkrywałam. Dziewczęta w moim wieku gadały tylko o chłopcach i o miłości, a ja miłości się bałam. Aż któregoś dnia przestałam się bać. Znalazł się chłopak, który mnie oczarował. Poczułam zawrót głowy. On był taki duży i tak mnie pociągał, i choć trochę się tego bałam, zrobiłam ten pierwszy krok. I wszystko przewróciło się do góry nogami. Książki i bloki rysunkowe wylądowały na długi czas w piwnicy obok starej kanapy, na której obściskiwaliśmy się nieprzytomnie. Podchodziłam do tego tak poważnie, że aż trochę komicznie, naprawdę, jak sobie przypomnę, autentycznie omdlewałam w jego objęciach. Kiedy skończyłam szesnaście lat, zaczęłam wacać do swoich książek i rysunków, ale dalej czekałam na to uczucie, którego smak już trochę poznałam, czyli uczucie omdlewającej miłości. I zdaje się, nadal czekam.

- Powiedz, bałaś się miłości? - zapytał Gabriel, wrywając mnie z zamyślenia. Chyba przy tych wspomnieniach za bardzo się rozmarzyłam. Otworzyłam usta, żeby coś powiedzieć, ale milczałam. Jak to było? Bałam się czy nie? Chyba tak. Nawet z Laurentem na początku byłam przerażona. Ale po latach dzięki jego charakterystycznemu podejściu do spraw uczuć stałam się pewniejsza siebie. Czyżby dlatego wygasła nasza miłość? Jeżeli tak było, to miałam marne perspektywy na przyszłość.

- Nie wiem - odparłam wreszcie - nie wiem, czy to dobrze bać się miłości. Ja się boję. To wiem.

- Czy ci to trochę nie przeszkadza?

- Uważam, że to wyborne.

Zamyślił się.

- A ty?

- Co ja?

- Boisz się?

- Miłości? - Znowu się zamyślił i po chwili spojrzał mi prosto w oczy: - Nigdy.

Chciał dodać coś jeszcze, ale Laurent wykrzyknął:

- Mam! Mam! „Aranżacja”. Cztery „a”! Dwadzieścia jeden punktów, panie i panowie!

Dopadł do kartki i zaczął z triumfalną miną zapisywać wynik.

- W każdym bądź razie, *man* - oświadczył, licząc swoje punkty - jeżeli mówisz prawdę, to jesteś moim idolem.

Wtedy rozdzwonił się mój telefon. Mało brakowało, a rozdeptałabym planszę na podłodze, żeby sięgnąć komórkę.

- Cholera! Mogliście mnie uprzedzić, że już nie jesteście w szpitalu. Zamknąłem się w toalecie, żeby uciec przed twoją matką. Nie chce mnie wypuścić i zaczynam mieć poważnego stracha - to był Julien.

- Co z tatą?

- Szykują go do operacji. Twoja matka wyjaśniła mi wszystko po kolei, co chirurg będzie robił. Ja nic z tego nie rozumiem, ale chyba chirurg jest przystojny i czysty, co zdaje się dobrze podziałało na twoją mamę. Gdzie jesteście, do diabła?

- W domu. Wolałam czekać tutaj niż z mamą.

- A sądzisz, że ja bym nie wolał? Spróbuję jakoś jej uciec. Jeśli będzie trzeba, ukradnę ten ich zielony fartuch i prysnę przez okno. Marine! Ona jest nie do zniesienia! Histeryzuje, ale o wiele gorzej niż zwykle.

Zaśmiałam się współczująco i spojrzałam na Laurenta i Gabriela.

- Julien wrócił do szpitala. Dopadła go mama.

- Kto jest z tobą?

- Laurent i Gabriel.

- Gabriel, mówisz. Hm... Doktorek się...

- Zamknij się lepiej. Jak poszło z Mathiasem?

- Myślę, że może da mi szansę...

- Naprawdę?

- Naprawdę. - Miał taki radosny i podekscytowany głos, że aż zawołałam z zadowoleniem: - No, no, no... Przyjedź opowiedzieć szczegóły. Ogłusz jakiegoś pielęgniarza i wracaj.

- Już jadę. Och! Jaki piękny doktorek...

- Julien, z łaski swojej zbastuj! - Rozłączyłam się i po-

patrzyłam na Laurenta. - Ledwo skończył rozmawiać z Mathiasem, a już się przymierza do jakiegoś doktora. Co mamy z nim zrobić?

- To samo, co do tej pory - odrzekł Laurent. - Bierzemy go takim, jaki jest.

Pokiwałam głową i zobaczyłam, że Gabriel się uśmiecha.

Gabriel pomagał mi w kuchni wypakowywać mnóstwo sushi, które przyniósł Julien.

- Sushi zawsze mnie uspokaja - stwierdził i zaczął wyjmować kolejne pojemniki oraz butelki sake.

- Jest nas tylko czworo - zauważyłam.

- Mhm... no tak. Siła wyższa?

- Myślisz o panu Vandale czy o swoim życiu uczuciowym? - spytał Laurent.

- Wiesz - powiedziałam do Gabriela - jeżeli nie chcesz, to nie musisz z nami czekać.

W ten głupi i dziecięcy sposób chciałam go zapytać, z jakiego powodu wciąż tu z nami jest.

- No wiesz... - zaczął. Kładł po odrobinie wasabi na każdym talerzu - chcę poczekać - potem, jakby rozumiejąc, o co naprawdę chciałam zapytać, dodał: - Wiesz, jeszcze zanim cię poznałem osobiście, widywałem was wszystkich razem i było w was coś takiego, co mnie przyciągało. Podobały mi się wasze relacje i teraz widzę, że się nie pomyliłem. Może dlatego, że jesteście trochę inni niż ja. A ponadto dobrze się czuję, kiedy jestem tu z tobą. Może to mój egoizm. Myśl, co chcesz, ale jeśli nie przeszkadzam, to zostanę.

Nie wiedziałam, co mam powiedzieć. Co za facet mówi tak do kobiety, którą ledwo poznał? Co za facet w ogóle mówi takie rzeczy? Byłam tak przyzwyczajona do niedomówień, do nieprzyznawania się do uczuć. Czyżbym teraz miała do czynienia z przerostem szczerości?

- *Oh My God!* - zreflektował się nagle - za bardzo się wpraszam? Chciałaś mi to powiedzieć, tak? Ze pewnie wolisz zostać sama z kumplami?

No, wreszcie odrobina niepewności co do własnej osoby, Gabrielu! Dzięki.

Zaśmiał się, a ja zaraz powiedziałam:

- Ale skądże! Nie chciałam, żebyś wychodził. Przy tobie czuję się pewniej. Poza tym...

Boże! Żle mi szło ze słowami. Zawsze wydawały mi się za ciężkie i nieporadne. Zbyt przyziemne, kiedy właśnie odlatywałam w marzenia.

- Mnie również jest dziwnie dobrze, że tu jesteś. I jest to trochę dla mnie przerażające.

- Ale czy to źle?

- *Smatte**, na razie wystarczy. Wolałabym, żebyś się zmieścił w drzwiach, kiedy nadejdzie pora udać się do szpitala. I tak już puchniesz od komplementów.

Zaśmiał się serdecznie, a ja pomyślałam, że może sobie puchnąć z dumy, ile chce, byle tylko nadal był, jak mi się wydaje, że jest, mną zainteresowany.

- Miałeś dużo dziewczyn w swoim życiu? - Pytanie było dość obcesowe i natychmiast pożałowałam, że je zadałam.

- Co rozumiesz przez „dziewczyny”?

Witamy w XXI wieku, pomyślałam. Rzeczywiście trudno było się połapać w tych wszystkich określeniach. Dziewczyny, kochanki, narzeczone, kumple, przygody jednej nocy, łóżkowi kumple, wielkie miłości... było tego sporo.

- Nie wiem. Odpowiedz, jak chcesz.

- No dobrze - zaczął się zastanawiać - byłem żonaty, miałem wielką miłość. Miałem wiele kochanek, nawet bliźniaczki. Nigdy się nie hamowałem, jeśli o to ci chodzi - potem jakby się domyślając, że mógł zostać źle zrozumiany, dodał: - Chociaż to nie znaczy, że spędziłem życie na miłostkach, zdradaniu żony i kolejnych romansach. Zdradziłem żonę raz, już ci mówiłem. To był błąd. To straszne uczucie zdradzić kogoś.

- Tak, wiem.

- Wiesz?

*** *Smatte* - idiom używany przez frankojęzyczną część ludności Quebecu. Oznacza coś podniecającego, fajnego, sprytnego - w zależności od kontekstu. W tym wypadku: interesującego.**

- Tak. - Kiwnęłam głową w kierunku Laurenta.
- Nie...
- Raz. To naprawdę straszne uczucie. Nie wiem, czemu to robimy. Zwłaszcza że naprawdę nie było warto.
- Wie o tym?
- Nie. Nie, na Boga! Nie chcę, żeby się kiedykolwiek dowiedział. Wprawdzie to i tak niczego by już nie zmieniło. On nadal jest dla mnie kimś, kogo kocham pod pewnymi względami najbardziej na świecie.
- Myślisz, że on również?
- Nie wiem. I nie chcę wiedzieć. Co by to dało?
- To prawda. - Wyjął ostatni pojemnik z torby. - Ogólnie nie jest łatwo, co?
- Nie. I nie sądzę, żeby komukolwiek było. Tak już jest. Wyglądał na zaskoczonego moimi słowami. Przez chwilę przyglądał mi się niepewnie.
- Ja też tak uważam.
- Mogłam się tego spodziewać.
- Zapadła cisza. Może zbyt wiele rzeczy zostało powiedziane tak szybko? Starałam się wymyślić jakiś żart, coś, co rozładowałoby trochę napiętą atmosferę, kiedy Julien ryknął na całe gardło: „Telefon!”. Zupełnie jakbyśmy mogli nie słyszeć. Po chwili zerwał się na równe nogi, przeskoczył przez Laurenta i podbiegł odebrać telefon.
- Ha... - nie dokończył nawet „halo”. Patrzyłam na niego nieruchomo jak sparaliżowana. Czułam pustkę w głowie i serce mi zamarło. Widziałam, że stara się coś powiedzieć, wtrąca jakieś „no ale”. Wreszcie się rozłączył.
- No...
- Co?! - wrzasnęłam. Gabriel złapał mnie w talii, ale odepchnęłam jego rękę. - Co się stało?!
- To była Ariane. Twoja matka do niej dzwoniła. A ona zadzwoniła do Elodie. Nie są zadowolone. Jadą tu.
- To wszystko? Tylko tyle! - zaczęłam płakać, bo chyba poczułam ulgę. - Julien, do licha! Dlaczego mi tego od razu nie powiedziałaś? Myślałam, że tata umarł... One tu jadą?
- Tak. Twoja matka im powiedziała, gdzie jesteście. Sama widzisz, że trzeba było kupić więcej sushi.

Trochę chciało mi się śmiać, ale łzy leciały mi ciurkiem. Gabriel znowu objął mnie i tym razem przytuliłam się do niego, bo czułam się przy nim bezpiecznie i dobrze.

- Cicho... - mówił szeptem - no cicho...

Potem otworzyły się drzwi wejściowe. Odwróciłam głowę, żeby zobaczyć, kto wchodzi. Policzek wciąż miałam przyciśnięty do piersi Gabriela. Zauważyłam najpierw Jeffa, zaraz za nim Elodie, a za Elodie - Flavie.

Do: Freda

Od: Marinę Vandale

Temat: Cisza po burzy

Ufff. Nie uwierzysz, ale dzisiaj po raz pierwszy od tygodnia znalazłam chwilkę, żeby do ciebie napisać. Kiedy do ciebie nie piszę, czuję się taka samotna.

Do: Marinę

Od: Frederica Vandale

Temat: Względna samotność

Naprawdę byłaś sama?

Do: Freda

Od: Marinę Vandale

Temat: Może to tylko przenośnia?

Jak na pisarza, nie jesteś zbyt błyskotliwy. Nie miałam chwili dla siebie. No, może jedną. Nie wiedzieć czemu, siedziałam wtedy w wannie z książką w ręku.

Do: Marinę

Od: Frederica Vandale

Temat: Czytelnia

Co czytasz?

Do: Freda

Od: Marinę Vandale

Temat: Przyszłego laureata Nagrody Goncourtów

Pierwsze rozdziały pierwszej powieści jakiegoś Frederica Vandale.

Do: Marinę

Od: Frederica Vandale

Temat: To nieładnie się naśmiewać

Oficjalnie zabraniam ci żartować na ten temat. OK? Bo kiedy w swojej naiwności zapytałbym cię, czy ci się to podobało, a ty byś odpowiedziała „tak” tylko po to, żeby mnie zbyć albo żeby mnie wyśmiać, to nie chcę cię znać. Musiałbym wtedy pytać Ariane lub Elodie. Kocham je bardzo, czułbym jednak pewien niedosyt.

Do: Freda

Od: Marinę Vandale

Temat: Papieska powaga

Fred! To jest błyskotliwe. Podwójnie, bo - zdziwisz się pewnie - znam cię dość dobrze i wiem, ile cię kosztowało napisanie tego wszystkiego. Nigdy nie umiałeś się całkiem odsłonić. Chyba wiesz, co chcę powiedzieć?

Do: Marinę

Od: Frederica Vandale

Temat: Człowiek w masce

I pomyśleć, że byłem do tej pory przekonany, że zawsze odsłaniam się przed tobą. Mogłabyś przynajmniej docenić ironię tej sytuacji.

Do: Freda

Od: Marinę Vandale

Temat: Banał?

Nie chciałabym popadać w żałosne banały, ale wiesz przecież, że nigdy nie jesteśmy tak transparentni, jak nam się wydaje. Każdy kłamie również przed sobą samym, i to nie rzadziej niż wobec obcych. A w twojej książce dostrzegam wyłącznie przejrzystość i prawdę. To piękne i smutne. Ale jeśli wolisz, to wstrzymam się z komentarzami, aż przeczytam całość. Może wtedy będę bardziej wypoczęta.

Do: Marinę

Od: Frederica Vandale

Temat: Odpoczynek głowy i serca

Mama informowała mnie o sytuacji w szpitalu, więc powiedz, co u ciebie? Jak serduszko siostruni, a potem jak mózg taty. Trochę się pogubiłem w zeznaniach mamy. Ostatnim razem, kiedy do ciebie dzwoniłem, miałaś w domu cyrk. Były tam nasze siostry, współlokator, przyjaciółka, ciota cudzołożnik i doktorek - a twoja zdolność kojarzenia utonęła gdzieś w rumie.

Do: Freda

Od: Marinę Vandale

Temat: Circus maximus

Kiedy się spotkamy osobiście, to w jakieś dwie, trzy godziny może ci nawet zdołam to wszystko opowiedzieć. Wciąż nie mogę się po tym pozbierać. A zeszły tydzień wcale mi w tym nie pomógł, bo większość czasu spędziłam w szpitalu u taty. A wiesz przecież, kto jeszcze tam był? Mama.

Do: Marinę

Od: Frederica Vandale

Temat: Współczucie

Mogę to sobie wyobrazić. Nie uspokoiła się, kiedy się okazało, że tata wyzdrowieje i nie będzie powikłań?

Do: Freda

Od: Marinę Vandale

Temat: Opieka matczyna

Kiedy mama mówi „bez powikłań”, oznacza to naprawdę, „że sądzi, że nie będzie prawie żadnych powikłań”. Tata się obudził, rozpoznaje nas, ale trudno powiedzieć, że jest gadatliwy czy w szczytowej formie. To nie takie proste, Fred.

Do: Marinę

Od: Frederica Vandale

Temat: Już biegnę. Lecę!

Zostawisz mnie z tymi swoimi przesadami, jeśli ci zdradzę, że znalazłem bilet za trzysta dwadzieścia euro i przylatuję za dziesięć dni?

Do: Freda

Od: Marinę Vandale

Temat: Przybiegnij. Przyleć.

Nie tylko nie zostawię cię z moimi przesadami, ale nawet rozłożę ręce na przywitanie, jak nikt nigdy tego nie zrobił. Przyjeżdżaj, bracie. Tata na pewno będzie się czuł lepiej. No i u nas już wiosna.

Do: Marinę

Od: Frederica Vandale

Temat: Sprawy sercowe

Przyjadę. Tylko wolałbym się przygotować wcześniej na najgorsze. Jak się przedstawiają sprawy ze współlokatorem i doktorem.

Do: Freda

Od: Mariny Vandale

Temat: Niepewny grunt

Doktor pracuje. Współlokator spędził cztery dni w Quebecu. Jeszcze trochę i chyba zamieszkać w szpitalu. Ale, jak ci już mówiłam, tutaj jest już wiosna.

Rozdział 14

To, co pisałam Fredowi o wiosnie, było prawdą. Przyszła jak zwykle niezapowiedziana i bez żadnych wstępnych oznak. Któregoś ranka wyszłam z domu opatulona jak zwykle w szalik i grube palto i znalazłam się w pełnym słońcu. Stałam po kostki w topniejącym śniegu, a ciepły łagodny wiaterek targał moją czapkę. Serce skoczyło mi z radości, a właściwie powiększyło się w piersi. Natychmiast zawróciłam i biegiem wpadłam do domu, potykając się o mały schodek przed progiem.

- Jeff! - krzyknęłam. - Już wiosna!

Drzwi od jego pokoju otworzyły się i stanęła w nich zaspana Marie-Lune, ubrana oczywiście w koszulę Jeffa. Kiwnęła mi głową na powitanie.

- Cześć, Marinę.

- Cześć, Marie-Lune. *Long time no see**.

- Mhm... - Ten dźwięk oscylował między ziewaniem a uśmiechem. Triumfalnie zdejmowałam z siebie czapkę, rękawiczki i szalik, kiedy z pokoju Jeffa dobiegł mnie jego głos:

- Nie napalaj się tak, Marinę. Jeszcze nie skończył się mróz i śnieg.

Nie odpowiedziałam mu, tylko wyszłam na dwór ubrana w lekki płaszcz.

Od tego pamiętnego dnia atmosfera w domu był dziwna. Wszystko zbiegło się jednocześnie. Moja przygoda z Jeffem.

* *Long time no see* - Dawno cię nie widziałam - ang.

Choroba ojca. Pogodzenie Julienu z Mathiasem. Rozmowa Laurenta z Carole. Znerwicowane siostry. I wreszcie wizyta Gabriela. Wszystko to zaburzyło nasze wolno toczące się życie, ale w zamian uporządkowało trochę nasze sprawy sercowe.

Od tamtej pory Jeff dużo pracował. Miałam wrażenie, że się mnie boi i dlatego ucieka w jakieś podróże do Quebecu i pisanie głupich reportaży o nieinteresujących go sprawach. Godzinami dyskutowałam o tym z Juliennem, kiedy razem odwiedzaliśmy mojego ojca w szpitalu. Czy Jeff boi się mnie, nas czy może rozmowy, której jeszcze nie odbyliśmy? Unikał mnie, co bardzo mocno odczuwałam, bo mnie to raniło. Ale nie chciałam go ponaglać, zwłaszcza że większość czasu spędzałam w szpitalu i do domu wracałam wykończona, z pustką w głowie.

- Nie naciskaj go - powtarzał mi Julien. - Sprawy same się ułożą. Nasze sprawy zawsze się układają. Jesteśmy w tym mistrzami.

Też tak kiedyś uważałam, ale po tym wieczorze, kiedy wszyscy znaleźliśmy się w salonie i wykrzykiwaliśmy coś jednocześnie, zaczęłam w to wątpić. Teraz raczej skłaniałam się do myśli, że może nadszedł już czas, by przestać liczyć, że coś się ułoży. Może nadszedł czas, żebyśmy wreszcie spróbowali porozmawiać o sprawach, które nie dają się ułożyć.

Ledwo wyszłam z szoku na widok Jeffa z Flavie (co ona tu z nim robi? - kołatało się gdzieś w moim otumanionym mózgu, zanim uświadomiłam sobie, że sama tkwię w objęciach Gabriela). Wyszłam z jego ramion i zaczęliśmy się witać. Raczej niezręcznie, bez śladu dawnej szczerości.

- Cześć! Cześć! O, Flavie! Czołem, chłopaki! O, Marinę! Myślałam, że jesteś w szpitalu. Gabriel!? Nie pojechałeś do Quebecu? Julien, sądziłam, że jesteś z Mathiasem - itd., itd., itp.

Nikt oczywiście nie zadawał najważniejszego pytania, które wszystkim cisnęło się na usta. Potem Julien poderwał się na nogi, a ja spojrzałam na Laurenta spanikowaną. Julien

był gotów poinformować wszystkich, że Jeff i ja spaliśmy ze sobą, żeby dodać odrobiny pikanterii temu spotkaniu. A zaledwie dwadzieścia cztery godziny wcześniej siedział przecież z nami. Patrzyłam na Laurenta, który z kolei spoglądał na Juliana, zastanawiając się najwyraźniej, czy ma się na niego rzucić i zatkać mu usta, czy po prostu go ogłuszyć.

- Mathias dał mi jeszcze jedną szansę! - wykrzyknął Julien. - Jeszcze jedną!

Po czym zamarł na chwilę z rękami uniesionymi z radości do góry (ubrany w jasnozielony golf i turkusowe spodnie), oczekując najwyraźniej jakiejś reakcji z naszej strony. Ale wszyscy milczeli. Jeff skrzywił się po swojemu, co oznaczało, że słyszał, ale mu to wisi. Laurent westchnął z ulgą. Gabriel i Flavie zaczęli się śmiać, bo faktycznie scena była śmieszna. Julien natomiast powtarzał co chwila: „No? No?“, domagając się od Flavie i Jeffa podskoków radości, ale spotkał się tylko z grymasem na ich twarzach, który w niczym nie przypominał uśmiechu. Julien nie zdążył jeszcze opuścić rąk, kiedy zza pleców Jeffa dobiegł głos Elodie.

- Chodź tu, mówię ci! Nie jest aż tak gruba, żeby zabarykadować drzwi! Przecież my nie mamy nawet kluczy, cholera! A te cioty, jej kumple, mają. To granda! Własnej siostrze...

Stanęła w progu, a za nią wbiegała Ariane, która wpadła prosto na Elodie i z dużym impetem obie znalazły się w salonie. Elodie odzyskała równowagę i pierwsza zaczęła coś mówić, ale gdy zobaczyła Gabriela, zamilkła z lekko wybałuszonymi oczami. Julien na jej widok opuścił ręce i powiedział:

- No co?

Potem dopiero dostrzegła Jeffa.

- Cześć, Jeff - powiedziała, uśmiechając się porozumiewawczo.

- Czołem, czołem.

- No, no, no... proszę... - Tak zareagowała Elodie na widok Flavie. Chyba zdała sobie sprawę, że nie było to zbyt subtelne, bo widzieliśmy, że nie wiedziała, jak dalej się zachować i co właściwie można jeszcze powiedzieć.

- Nie jestem ciotą - oznajmił Laurent.
- Co? - Wszyscy spojrzeli na niego, nie bardzo rozumiejąc, dlaczego w ogóle z tym wyskoczył.

- Nie jestem ciotą - powtórzył - a mam klucze. „A te cioty, jej kumple, mają”. Ktoś tu to powiedział?

- No wiesz - wtrącił się Julien - ja jestem, to prawda, ale zabrzmiało to jakoś obraźliwie w twoich ustach, pani Elodie Vandale.

- Ja... nie chciałam... - Zrobiła tę swoją znaną mi nie-
szczęsną minkę o nazwie „uosobienie niewinności”. Drżała na samą myśl, że może się komuś narazić albo nie spodobać. Zalałyby się rzewnymi łzami, gdyby potrafiła łokciem na ulicy nieznanego czy bezwiednie niezbyt grzecznie odezwała do sprzedawczynie w sklepie. - Po prostu, byłam...

- OK. Starczy! - zawołała Ariane, zasłaniając ją sobą. Ubrana była w szare martensy, czarne dziurawe pończochy nałożone na zielone legginsy i w co najmniej trzy swetry (jeden większy od drugiego). Na białym miała przypięty czerwony prostokąt oznaczający poparcie dla studentów. W tej mnogości swetrów wyglądała na tak malutką, że nawet rozczulił mnie jej widok. I choć stała z miną obrażonego niewiniątka, miałam dla niej same ciepłe uczucia.

- Lepiej, żebyś wymyśliła dobry powód, Marinę. Chociażby dobry powód.

- Chciałam zaczekać, aż będzie wiadomo coś więcej. Nie chciałam, żebyście się zamartwiały bez...

- Mój tata leży w szpitalu w śpiączce i nikt mnie o tym nie powiadomił. I to ma mi pomóc według ciebie? - Elodie na słowo „śpiączka” zaczęła płakać. - Kiedy wreszcie przestaniesz nas traktować jak małe dziewczynki?

To było dobre pytanie.

- Nigdy - odrzekłam stanowczym tonem - mogę nie wiem jak się starać, ale i tak zawsze pozostaniecie moimi małymi siostrzyczkami. - Elodie rzuciła się na kanapę obok Laurenta. Przez jej szloch przebijało jedno słowo - „Taaato...”. Spojrzałam wymownie na Ariane z nadzieją, że przynajmniej ona rozumiała, dlaczego niekiedy nadal traktuję je jak małe dziewczynki.

- A poza tym, co ty tu właściwie robisz, skoro tata jest w szpitalu? - zapytała powoli, akcentując każdy wyraz, jakbym mogła nie rozumieć, co to jest szpital. - W szpitalu! - powtórzyła dobitnie.

- Ja jej doradziłem, żeby teraz wróciła do domu - wtrącił Gabriel.

- A to kto?

- Ariane, pozwól, przedstawiam ci Gabriela. Gabrielu, to moja siostra, Ariane.

- Gab... Och!

Miałam ochotę ją udusić. Zerknęła na Elodie, szukając u niej pomocy, ale Elodie wcisnęła twarz w sweter Laurenta, który niezdarnie starał się ją uspokoić, powtarzając: „Ciii... dobrze, już dobrze...”.

- Pani ojciec z tego wyjdzie - powiedział Gabriel - ale teraz przygotowują go do operacji i przez dłuższy czas nikt nie będzie mógł się z nim widzieć. Siedzenie i czekanie w szpitalu nic by nie dało. Przesiadujące rodziny bardzo źle znoszą tamtejszą atmosferę, ludzie wariują z niepewności. Stąd do szpitala jest przecież tylko kilka minut piechotą i pani siostra może tam w każdej chwili wrócić.

- Niech wraca, kiedy zechce - odparła - ja tam idę natychmiast.

- Mama tam została - powiedziałam, a Ariane zatrzymała się jak wryta w progu.

- Jak ona się czuje? Rozmawiałam z nią tylko przez chwilę przez telefon.

- Czego nie załapałaś z informacji, że „ludzie tam wariują”?

- Hmm... - mruknęła niepewnie. Jeff, który stał wciąż przy wejściu, nagle jakby się ocknął.

- Ja idę do Lulli - poinformował wszystkich - ponieważ...

- No właśnie. Idź sobie znowu! - palnęłam, nie wiedząc dlaczego.

- Nooo... - spojrzał na mnie nieco urażony - zwracam ci uwagę, że to nie ja znikam ostatnio...

- O czym on mówi? - spytała Ariane.

- Niech idzie! - odrzekli jednocześnie Julien z Laurentem.

Flavie, która do tej pory milczała, westchnęła głośno i zdjęła swój czerwony płaszcz i czarny beret z wielkim, białym kwiatem. Następnie szybko podeszła do baru.

- Jeżeli mamy tu zostać - powiedziała - to przynajmniej trzeba się napić. - Jedną ręką sięgnęła po sake, drugą wyciągnęła w stronę Gabriela. - Czołem! Jestem Flavie. Bardzo, ale to bardzo się cieszę, że cię poznałam. - Potem cmoknęła z uznaniem, patrząc w moją stronę, co trudno było uznać za szczyt wytwornego zachowania. - Jeff! Czego się napijesz? - krzyknęła.

- Niczego. Wychodzę.

- Zostań. Twoja współlokatorka cierpi, a ty uciekasz? Odbiło ci czy co? Nigdzie się nie ruszymy, Marinę.

- A ruszcie się, co tam! - Miałam ochotę im krzyknąć, na Boga, idźcie sobie!

Gabriel przyglądał się wszystkiemu w milczeniu i wiedziałam, że powoli w myślach układa sobie w całość poszczególne kawałeczki tej łamigłówki. Od samego początku naszej znajomości cierpliwie wszystko obserwował i zapewne miał już jakiś obraz, choćby zielone pojęcie o moim najbliższym otoczeniu.

- Tataaaa! - jęczała dalej Elodie.

- Zamknij się wreszcie, mała. Czas wydorośleć.

- To nieee fair - jęknęła.

- No już... spokojnie - powiedział Laurent z lekkim zniecierpliwieniem.

- Czy ktoś wreszcie mógłby się ucieszyć ze mną tym, że Mathias dał mi jeszcze jedną szansę?

- Boże! - wtrącił Jeff. - Chociaż ty mógłbyś się na chwilę zamknąć. Jej ojciec leży w szpitalu.

- No wiesz!? Myślisz, że jeżeli się...

- Dobra. Dobra. Starczy już tego. - O mało nie przeskoczyłam barku i nie wepchnęłam Julienowi w usta z tuzin sushi, żeby się wreszcie zamknął. Jeff natomiast podszedł, nalał sobie resztkę Iced Tea zrobionej przez Laurenta i wypił wszystko jednym haustem. Popatrzył na mnie spode łba i odstawiając pustą szklaneczkę, wyciągnął rękę do Gabriela,

- Czołem, *man* - powiedział, nie patrząc mu w oczy.

- Założę się, że Frederic już wie - stwierdziła Ariane.
- Mama dzwoniła do niego z samego rana - odpowiedziałam. Na tym etapie nie było sensu cegokolwiek zatajać.
- Nawet mama jest przeciwko nam - jęknęła, a ja głowę bym dała sobie uciąć, że teraz rozmyśla, jak założyć nowe stowarzyszenie do walki o prawa młodszych siostr. Była w tym doskonała. Jeff, który najwyraźniej poczuł się tym wszystkim zmęczony, podszedł i położył jej dłoń na ramieniu, żeby skupiła na nim całą swoją złość. Julien zaczął się ubierać i robił wrażenie obrażonego po tym, co usłyszał od Jeffa. Natomiast Gabriel nalał dwa kieliszki sake i z miłym uśmiechem podsunął mi jeden z nich.

- Miałaś rację - stwierdził Jeff, wchodząc do mojego pokoju.

Podsłoczyłam z wrażenia niemal pod sufit. Od pewnego czasu często tak podskakiwałam. Sama nie wiedziałam, czy było to spowodowane zmęczeniem, ciągłym napięciem z powodu taty i szpitala, czy może bałam się rozmowy z Jeffem. Skończyłam właśnie pisać do Frederica - było już po północy - i miałam zamiar położyć się wreszcie. Rano znowu musiałam iść do szpitala.

Ariane i Elodie trochę się uspokoiły i przestały histeryzować. Zanocowały u mnie. Jedną położyłam na kanapie, drugą w fotelu Jeffa. Reszta gości poszła sobie trochę przed północą. Gabriel odebrał jeszcze telefon z informacją, że operacja odbędzie się w nocy, a pacjent zostanie przewieziony z powrotem na oddział dopiero około ósmej rano. Na pożegnanie przytulił mnie serdecznie; prawie że chciałam go poprosić, żeby nigdzie nie szedł i zanocował u mnie. Gdyby tak chociaż posiedział przy mnie blisko, z całą pewnością mniej bym była przerażona całą tą sytuacją.

Nazajutrz zjawiłyśmy się we trzy w szpitalu, ale tata był jeszcze nieprzytomny. Głowę miał owiniętą kilometrami białych bandaży. Bardzo zmęczony chirurg tłumaczył nam, że musiał otworzyć czaszkę, żeby usunąć skrzep i przemyć... nie zrozumiałam dokładnie co. Jego słowa zupełnie do mnie nie docierały. Powtarzałam sobie, że Gabriel wszystko mi wy-

jaśni później. W jego ustach te szczegóły brzmiały jakoś mniej groźnie.

Ariane zaczęła płakać na widok bandaży i tylko Elodie - o dziwo - zachowała spokój.

- OK - powiedziała zdecydowanym tonem, dotykając ramienia taty - zajmiemy się nim. Proponuję robić to na zmianę.

- Co?

- No bo nie ma sensu, żebyśmy tu siedziały wszystkie trzy jednocześnie.

- Cztery - dodała mama, wchodząc do pokoju. Była zmęczona i wyglądała, jakby się postarzała o dziesięć lat. Jaka ona malutka, pomyślałam. Przytuliłam ją do siebie i nie wiedziałam już, kogo bardziej mi szkoda. Ojca, który leżał nieprzytomny po operacji mózgu, czy mamy od ponad doby zmagającej się z wizją życia bez niego. To najwyraźniej ją wykańczało. Ariane gładziła tatę po policzku, płacząc bezgłośnie. Pomyślałam o Fredzie, któremu doradziłam, żeby nie przyjeżdżał, ale teraz bardzo mi go brakowało.

- Nie zostawimy go samego - ciągnęła Elodie.

Słuchałyśmy jej zgodnie, kiedy ustalała godziny dyżurów. Dopiero wracając do domu wieczorem, uświadomiłam sobie, że dałam się podejść. Zemsta Elodie polegała na tym, że miałam przychodzić codziennie o ósmej rano. A przecież z całej naszej trójki ja najbardziej nienawidziłam rannego wstawania.

Od tamtej pory siedziała w szpitalu prawie na okrągło. Czy miała zmianę czy nie. Zjawiała się zaraz po mnie i wychodziła dopiero wieczorem. Zmieniła się w odpowiedzialną pielęgniarkę. Czytała tacie książki i rozmawiała z nim, kiedy czuła, że to go nie męczy. Adriane i ja przyglądałyśmy się temu ze zdumieniem i wzruszeniem. Nasza siostrzyczka, którą zawsze uważałyśmy za egoistkę niezdolną do myślenia o kimkolwiek innym niż ona sama, okazała się najbardziej skłonna do poświęceń z nas wszystkich. Czułam wstyd, bo widziałam w zmęczonych oczach taty błyski radości na jej widok.

- Elodie to dobra dziewczyna - powtarzał mi na okrągło,

choć chociaż czułam, że jest równie zdziwiony, co ja - gdybym wiedział, to chorowałbym częściej - dodawał z lekkim uśmiechem.

- Jak to, miałam rację? - spytałam.

- Z tą wiosną - odparł z uśmiechem, ubawiony moim podskokiem.

Ja również uśmiechnęłam się do niego. Musiałam wyglądać jak Jennifer Beals w filmie *Flashdance*. Miałam na sobie stary sweter naciągnięty na kamizelkę, legginsy i grube skarpety do połowy łydki. Brakowało mi tylko przepaski na oku i trwałej ondulacji.

Jeff zawahał się przez moment, potem podszedł i usiadł na łóżku z głośnym westchnieniem.

Czeka, aż coś powiem, pomyślałam i usiadłam na krześle za biurkiem. Jeff nie patrzył na mnie, przyglądał się w skupieniu fałdzie kołdry, która pochłaniała całkowicie jego uwagę.

- Posłuchaj...

- Wiesz...

Roześmialiśmy się, bo zaczęliśmy mówić jednocześnie.

- Ty pierwsza - powiedział.

- Nie, ty zacznij.

Dalej zajmował się fałdą, ugniatając ją swoimi ogromnymi łapskami.

- Posłuchaj - zaczęłam - nie będziemy się chyba obwiniać...

Spojrzał na mnie i zaproponował:

- A może poszlibyśmy do Lulli?

Zaczęłam szybko myśleć. Chciałam wstać o siódmej rano. Mogliśmy przecież porozmawiać tutaj. To byłoby tchórzostwo, bo powinniśmy umieć rozmawiać ze sobą bez uciekania w tłum. To nie miało sensu.

- Zgoda. Dobry pomysł - zgodziłam się jednak.

Dwieście metrów dzielące nas od baru pokonałyśmy prawie biegiem. Zaczął padać deszcz, chociaż powietrze było

nadał dość ciepłe. Szyby Lulli świeciły ciepłym blaskiem, który zawsze kojarzył mi się z Paryżem. Nie wiedziałam dlaczego. Może dlatego, że Frederic uwielbiał tu przesiadywać, a wszystko, co się z nim wiązało, kojarzyło mi się teraz z Paryżem i na odwrót (zapach pieczonych kasztanów też przypominał mi Freda).

Weszliśmy, zawołaliśmy głośno „cześć” do Andrew, który na powitanie pomachał nam wysoko uniesioną ręką.

To jednak był dobry pomysł, pomyślałam, może trochę tchórzowski, ale dobry. Teren neutralny, a atmosfera swobodna.

Podeszliśmy do baru, żeby coś zamówić, ale niepotrzebnie, bo Andrew już ustawił przed nami białe wino i gin z tonikiem. Jeff wziął kieliszki i wskazał na stolik przy oknie.

- Może być tam? - spytał.

- *Oh, come on, guys!* - poprosił Andrew. - *It's a slow night**. Nudzę się, siadajcie u mnie.

Jeff nie odezwał się, ale dostrzegłam, jak rzucił wymowne spojrzenie. Andrew spojrzał na mnie ze zdumieniem.

-*Oh... Oh... Tonight is the talk* *...* - powiedział.

- No nie! Czy ty wszystko mu wygadałeś?! - oburzyłam się.

- O... *sorry, man* - przeprosił Andrew.

Jeff spojrzał na niego, jakby właśnie chciał człowieka zabić.

- *Dude! What the fuck* * *?*

- Powiedziałeś mu?

- Nie miałem dwóch ciot do zwierzeń.

- Laurent nie jest ciotą.

- Nieważne.

- Słuchajcie - zaczął Andrew - jestem barmanem. To funkcja społeczna. Wysłuchiwanie zwierzeń klientów to moja rola i nie jest moim zadaniem oceniać kogokolwiek. Nie oceniam nikogo, uwierz mi.

* *It's a slow night* - Ludzie! Ta noc mi się dłuży - ang.

* * *Tonight is the talk* - Och, nocne rozmowy - ang.

*** *Dude! What the fuck* - Facet! Odbiło ci?! - ang.

- Cholera...
- Wybacz - powiedział Jeff.
- W porządku. Niech będzie. Siądziemy?
- *The drinks are on me** - dodał Andrew.
- Lepiej, żeby były - stwierdził Jeff, ale uśmiechnął się do niego.

Usiedliśmy pod oknem. Na stole paliła się świeczka. Deszcz stukał o szybę i kiedy Jeff wreszcie się usadowił, wiedziałam, że będzie dobrze. Było mi dobrze i cieszyłam się, że jest ze mną. Po raz pierwszy od wypadku taty poczułam się odprężona i myślałam o czymś innym niż szpital. W głębi duszy wiedziałam, że obecność Jeffa nie jest bez znaczenia. Zawsze czułam się różnie przy moim Shreku i uspokoiłam się, że chociaż w tym względzie nic się nie zmieniło.

- Halo! - powiedział.
 - Halo.
- Uśmiechnęliśmy się do siebie i wziął mnie za rękę.
- Jak się czuje twój ojciec?
 - Tata? - Zupełnie nie spodziewałam się takiego pytania.
- Tata... czuje się...
- Nie rozmawialiśmy ze sobą już tydzień.
 - Wiem. Dziwne.
 - Więc powiedz.

O tacie? Czy nie przyszliśmy tutaj porozmawiać o różnych sprawach z wyjątkiem taty? Przecież Jeff był dla mnie kimś o wiele ważniejszym niż ojciec. Pod wieloma względami. Postanowiłam mu jednak odpowiedzieć i w miarę, jak mówiłam, czułam, jak uchodzi ze mnie napięcie. Opowiadałam mu stare dzieje (sprzed tygodnia) i zrozumiałam, że tego właśnie mi brakowało. Rozmów z Jeffem. Przecież zawsze opowiadaliśmy sobie o wszystkim. Opowiedziałam mu więc o operacji, o Elodii, która odnalazła się jako Matka Teresa, o mamie, u której byłam już dwa razy, żeby zrobić jej coś do jedzenia. O tym, że żałowałam mamy chyba bardziej niż ojca.

* *The drinks are on me* - Drinki są na koszt lokalu - ang.

- A Gabriel? - nagle zapytał Jeff.
 - Co Gabriel?
 - Często go widzisz?
 - No... w szpitalu owszem. Wpada czasami, kiedy mam dyżur przy tacie.
 - A poza?
 - Jak to, poza?
 - No... czy często się widujecie?
 - Na mieście? Co za idiotyczne pytanie! Gdzie mielibyśmy się spotykać? W niebie? W piekle? W snach?
 - Nie! W świecie realnym.
 - Dobra, to było idiotyczne pytanie. Ale nie.
 - Co nie?
 - No nie. Nie widzimy się na mieście ani w świecie realnym.
 - Nie? Myślałem, że...
 - Tak...? - Jak mógł tak myśleć?
 - Sam już nie wiem. Kiedy wszedłem do domu, byłaś do niego przyklejona. Pomyślałem więc, że...
 - No tak, kiedy przywlokłeś się do nas z Flavie. Widujesz się z nią?
 - Czasami... właściwie raz.
- Miałam ochotę wrzasnąć, że szlaja się z nią, ale uznałam, że byłoby to nie tylko wulgarnie, nie na miejscu, ale i bez sensu, zważywszy na okoliczności.
- No... - powiedział poważnie Jeff - chyba nie zaczniemy się szpiegować jak tropiciele śladów?
 - No nie. Nie powinniśmy. - Przypomniałam sobie Marie-Lune wychodzącą z jego pokoju w jasnoniebieskiej koszuli i zacisnęłam zęby.
 - Nie, ale... - Chciałam być uczciwa. Miałam już dość tych wiszących między nami nieustannych niedopowiedzeń. Na uniwersytecie mówili nawet, że ja i Jeff jesteśmy obdarzeni zdolnościami telepatycznymi i znamy nawzajem swoje myśli.
 - Ale co? - Widziałam w jego oczach, że myśli o tym samym co ja. Czy było rozsądne składać sobie takie obietnice? I potem ciągle się zastanawiać, czy nasze wzajemne uczucia wciąż są czysto przyjacielskie? Wiedziałam, że żadne

z nas nie przyzna się otwarcie do błędu, bo takie przyznanie byłoby krzywdzące dla drugiego.

- Cieszę się, że nie jesteś z Gabrielem - powiedział, patrząc w kieliszek.

- Cieszę się, że nie jesteś z Flavie - odparłam, obserwując krople deszczu spływające po szybie.

- To raczej śmieszne - uznał.

- Bardzo śmieszne - przytaknęłam.

- Przecież masz prawo...

- Ty też.

- Myślisz, że to nam minie?

O Boże! Zbliżaliśmy się niebezpiecznie w tej rozmowie do ostrego zakrętu, którego nie byłam jeszcze gotowa wziąć. Myślałam o Gabrielu, jaśniejącym jak słońce za każdym razem kiedy wchodził w nieskazitelnie białym fartuchu do sali, gdzie leżał tata. Nigdy nie zapytał, czy mam ochotę napić się czegoś - wina, kawy albo chociaż wody mineralnej. Wiem, że Julianowi popuchły już uszy od słuchania moich wyjaśnień o tym, że Gabriel nie chce mieć ze mną nic wspólnego prywatnie. Julien już mnie nie słuchał i za każdym razem, nie podnosząc głowy znad gazety, powtarzał monotonicznie:

- Sama go zaprosz.

Spojrzałam na Jeffa. Co mu miałam powiedzieć? Że nie wiem, czy nam to minie, i że nie jestem pewna, czy tego właśnie chcę? Z Laurentem trwało to wiele lat. Chociaż oboje zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że się nie kochamy, i tak każdy następny romans jednego z nas niemiłosiernie ranił to drugie. Więc co miałam zrobić? Niebieskie oczy Jeffa wpatrywały się we mnie, przypominając mi sytuację, o której chciałam zapomnieć. Westchnęłam ciężko, próbując pozbyć się z głowy tych myśli. Nagle coś niebieskiego przylgnęło do szyby i zaczęło w nią walić, przyprowadzając mnie prawie o zawał.

- Co jest? - wrzasnęłam.

- A co on tu robi o tej porze?

Julien pomachał nam wesoło przez szybę, po czym radośnie wkroczył do środka.

Spojrzeliliśmy z Jeffem na siebie z ulgą.

- *Saved by the fif** - powiedziałałam i oboje parsknęliśmy śmiechem.
- Kto ma jutro randkę? - spytał radośnie Julien.
- Ja nie. A ty, Jeff?
- Nie.
- No! Kto ma jutro randkę? - powtórzył Julien.
- Andrew?
- Nie...
- Twoja sąsiadka z dołu? Ta, która zawsze nosi za krótkie spodnie?
- Nie.
- Twój kolega? Ten, co się trochę jąka?
- Nie.
- Twoja ciotka, która niedawno straciła męża?
- Nie...
- Pewnie ten staruszek, który zawsze samotnie zjada luncha w naszej knajpce i gapi się na tyłki kelnerka?
- Długo jeszcze będziecie się zgrywać?
- Och! Cała noc przed nami! - Jeff i ja zachichotaliśmy bezlitośnie i stuknęliśmy się kieliszkami.
- Wkurzacie mnie nieprzytomnie. Randkę mam jaaa. Jutro, z Mathiasem! Prawdziwą randkę. Jadę po niego po pracy, a potem jedziemy coś zjeść. Sushi. Wyjazd o dziewiątej.
- O dziewiątej.
- O dziewiątej?
- Przecież powiedział, że o dziewiątej.
- A co tam. Mam randkę.
- Cieszę się - powiedział Jeff i poklepał go po plecach. Potem dał znak Andrew, żeby przygotował scotcha. - I jeżeli *wolno* mi coś dodać, to mądrze robisz, działając w ten sposób. *Baby steps* * *.
- Zastosowałam się do rad Gabriela - stwierdził Julien, puszczając do mnie oko.
- To Gabriel udziela teraz porad matrymonialnych? Założył biuro porad?

* *Saved by the fif* - uratowani przez ciotę - ang.

** *Baby steps* - drobnymi kroczkami, powoli, krok po kroku - ang.

- To Louise Deschatelets* w środowisku szpitalnym - stwierdził Julien.

Nagle zastygł nieruchomo, wpatrując się w drzwi wejściowe, jakby zobaczył ducha. Obejrzałam się i zobaczyłam przystojnego sześćdziesięciolatka w eleganckim beżowym palcie, który składał mokry parasol. Następnie skinieniem ręki zachęcił do wejścia młodszego, może trzydziestoletniego, chłopaka w skórzanej kurtce. Chłopak miał jasne włosy i mógł być jego synem. Uśmiechnął się do starszego mężczyzny i obaj ruszyli do baru, kompletnie na nas nie zwracając uwagi.

- Czy będzie można jeszcze dostać coś do jedzenia? - zapytał starszy jegomość nienaganną francuszczyzną, ale z lekkim śladem obcego akcentu. Kiedy usłyszał od Andrew twierdzącą odpowiedź, bardzo się ucieszył, jednocześnie poskarżył na inne zamknięte w okolicy restauracje. Poprosił, by jego znajomy wybrał stolik.

- To on - szepnął poblady Julien.

- Jaki on? - zapytał Jeff, a ja trochę się domyślałam.

Położyłam dłoń na rękę Julienu.

- Nawet mnie nie zauważył... - wyszeptał ten po cichu do siebie. Andrew podszedł do niego z napełnionym kieliszkiem, który Julien gwałtownie złapał i wypił do dna, nie odrywając wzroku od drzwi.

- Może przydałby się jeszcze jeden kieliszek - stwierdził Jeff. - Julien, kim jest ten gość?

- Jego dawna miłość - poinformowałam go - to właśnie on złamał mu serce. I to nawet dwukrotnie.

- Aha - Jeff próbował powoli i dyskretnie się odwrócić, ale powstrzymał go silny kuksaniec pod żebro.

- Nawet nie drgnij - zasyczał Julien i nareszcie oderwał wzrok od drzwi wejściowych. - Dwadzieścia lat... Cholera, to już dwadzieścia lat minęło.

Patrzyliśmy na niego w milczeniu. Cóż można było powiedzieć? Niektóre rany się nie goją. Obydwoje coś na ten temat wiedzieliśmy. Nawet kiedy miłość już całkiem wygasła,

*** Louise Deschatelets - popularna kanadyjska aktorka grająca w serialach.**

to blizny potrafią nadal bardzo boleć. Niby nie było to dla mnie nic odkrywczego, ale po raz pierwszy zobaczyłam tak wymowny tego przykład. Julien prawie leżał na stoliku z twarzą ukrytą w dłoniach.

- Czy ja robię to samo Mathiasowi?

-No...

Podniósł głowę i spojrzał mi w oczy.

- Marine, powiedz prawdę, czy ja robię dokładnie to samo? Przecież dobrze wiemy, że nawet kiedy się pogodzimy, to i tak zacznę go zdradzać.

- Nie, tak nie... - nie wiedziałam, co mam mu powiedzieć. Ja chyba naprawdę wierzyłam w możliwość odnowienia ich relacji i rozpoczęcia wszystkiego od nowa. Czyżbym była aż tak naiwna?

- Gdybym go naprawdę kochał - mówił dalej Julien - to usunąłbym się z jego życia.

- Przestań.

- Wy w to wierzycie? *If you love somebody, set them free*?

- Ja w to wierzę - odrzekł natychmiast Jeff - natomiast mam wątpliwości, czy istnieje wiele takich osób, które są na tyle silne, żeby tak się zachować. Jesteśmy tylko ludźmi. Kiedy kogoś kochamy, to się go uczeplamy. Nie ma świętych *icitte* * *.

- Ależ są - powiedziałam.

- OK, może, ale kto ich widział?

- Nikt i nikt nie jest pewien, że kogoś takiego kiedykolwiek spotka - stwierdziłam - a może nawet nie chciałby spotkać - dodałam, żeby jakoś rozweselić Juliena.

- Pojdę z nim porozmawiać - zdecydował.

- Co? Nie rób tego! - Złapałam go za rękę. - Julien, tylko rozdrapiesz stare rany.

- Nie. On ma rację. Powinien z nim pogadać. Jeżeli to trwa już dwadzieścia lat, to chyba lepiej przeciąć ten wrzód.

- Dobra, dobra - Julien zaczął głęboko oddychać, zupełnie

*** // *you love somebody, set them free* - Jeżeli kogoś kochacie, to go uwolnijcie - ang.**

**** *icitte* - dosłownie: tutaj, w tym miejscu - slang z okolic Quebecu.**

jak zawodnik szykujący się do jakiegoś wielkiego wyczynu. Potem wypił następny kieliszek, również jednym haustem. - Dobra - powtórzył tym razem z większym przekonaniem. Jednakże w chwili, kiedy się wreszcie zebrał w sobie, żeby wstać od stolika, obaj mężczyźni ubrani w palta minęli nas i byli już przy wyjściu.

- *We'll just get room service** - usłyszałam, jak mówił starszy mężczyzna.

Andrew, który akurat podszedł do nas napełnić kieliszki, wyjaśnił, że chłopak miał nagły i nieodparty apetyt na ciastko, a tego w pomniejszonym na noc menu Andrew nie miał.

Julien znów zaczął się gapić na drzwi. Jeff i ja milczeliśmy, od czasu do czasu wymieniając tylko spojrzenia.

- Julien - powiedziałam wreszcie. - Tak musiało być. To wszystko. Wiedziałaś przecież, że on gdzieś żyje, chodzi po świecie. Teraz jesteś silniejszy.

- Do diabła! Tak bardzo chciałem, żeby on też mnie zobaczył.

- Julien, minęło dwadzieścia lat.

- Co ty możesz wiedzieć? Nikt nigdy nie złamał ci tak bardzo serca, jak on mnie.

Jeff wzruszył ramionami, uznając oczywistość tego stwierdzenia.

- Byłem wtedy taki naiwny. Miałem dwadzieścia lat. I nie próbujcie mi niczego wmawiać, bo to nie ma nic wspólnego z tym, kim jestem dzisiaj. Byłem taki naiwny, pochodziłem z małej miejsciny i bardzo chciałem się zakochać. I zakochałem się naprawdę w Haroldzie. Był piękny, wykształcony i zabierał mnie do teatru. Dosłownie otworzył przede mną cały świat, a potem naprawdę... chciałem się zabić... Czy wy to rozumiecie?

Jeff unióśł wysoko brwi i wymownie spojrzął na Juliana.

- Wiem. Dzisiaj to brzmi absurdalnie... sam nie wiem... To chyba wspomnienie tego, jaki wtedy byłem, tak mnie wytrąciło z równowagi... no i jest jeszcze Mathias.

- Kochasz go?

* *We'll just get room service* - *Zadzwońmy po serwis hotelowy*
- ang.

- Jasne, że kocham. Ale sądzę, że Harold też mnie kochał. Po swojemu.

Mhm... - znowu milczeliśmy przez dłuższą chwilę. Nie mieliśmy właściwie nic do powiedzenia. Przecież trudno mi było robić wyrzuty Julienowi, że dziś zbyt trzeźwo podchodzi do spraw sercowych. Dziesięć lat temu ja też inaczej myślałam o tych sprawach, ale nie dzisiaj. To mnie trochę zasmuciło. Mimo naszych wyobrażeń przecież jednak się starzeliśmy. Dorastaliśmy z każdym rokiem i traciliśmy te drobne radości życia, związane z poznawaniem go.

- Jeszcze jeden się przywłókł - burknął Jeff. Zobaczył przez szybę, jak Laurent zmierza do drzwi lokalu. Gdy wszedł, natychmiast nas zobaczył i ruszył w naszym kierunku.

- To prawdziwe zrzędzenie losu - oświadczył, nie zdejmując palta. - Nie miałem odwagi dzwonić do was o tej porze. Powiem krótko: Carole wyrzuciła mnie z domu.

- Z twojego domu?

- No... technicznie rzecz biorąc, to był nasz dom.

- Co się stało? - spytałam, całując go w policzek. Jeff z Julienem również się przywitali. Mimo nocnej pory w obu tych niespodziewanych spotkaniach - i Laurenta, i Juliana - było coś naturalnego.

- Pokłóciliśmy się - wyjaśnił Laurent - o to, co zwykle. Byłem bardzo niemiły. Powiedziała, że nie chce mnie już więcej widzieć, a ja jej, że skoro tak chce, to zgoda. Dopiero na ulicy kapnąłem się, że jestem śmieszny... Pomyślałem, że najpierw wstąpię na drinka, a potem wrócę do domu. A wy? U was wszystko w porządku?

- W porządku - powiedział szybko Jeff, ale bez przekonania.

- Jakoś leci - dodałam.

- Spotkałem człowieka, który przed dwudziestu laty złamał mi serce.

Znowu zapadło milczenie. Andrew wykorzystał ten moment, żeby wszystkim dolać wina, ale nawet on nie ośmielił się nic powiedzieć. Lokal był właściwie pusty i tylko nasza czwórka tkwiła przy oknie jak dekoracja wystawy sklepowej.

- Fred przyjedzie za tydzień - odezwałam się ja.
- To bardzo dobra wiadomość, powiem więcej, to dobry znak - stwierdził Laurent, a Jeff i Julien najwyraźniej też się z tego ucieszyli.

- Znak? Czego?

- No, nie wiem. Może zmiany na lepsze?

Spojrzeliliśmy na niego, bo chyba sam nie wiedział, co do nas mówi.

- No co? - zapytał z lekką pretensją w głosie.

- Masz rację - stwierdził Julien, podnosząc kieliszek. - W gruncie rzeczy może dzięki niemu coś wreszcie pójdzie nam lepiej? Wiele spraw mogłoby się trochę polepszyć.

- Chcesz powiedzieć, że coś jeszcze może się pogorszyć?
- zapytał Jeff.

- Nie. Chcę powiedzieć, że teraz może być już tylko lepiej.

Wszyscy unieśliśmy kieliszki do góry i stuknęliśmy się nimi w milczeniu.

Tydzień później zadzwoniłam do Julienu, w pełnym amoku, żeby mu powiedzieć, że sam nie wie, ile było racji w tym jego przekonaniu. Prawie przepowiedział przyszłość.

Do: Freda

Od: Marinę Vandale

Temat: (brak)

O Boże! O Boże! O Boże! O Boże! O Boże! Ooooooo Bo-
ooooźźzeeee!

Do: Marinę

Od: Frśderica Vandale

Temat: O mój Boże

Mam paszport w zębach, walizkę w rękę, czapkę na głowie i laptopa na kolanach. Krótko mówiąc, właśnie czekam na samolot i z tej to przyczyny nie mogę poświęcić wiele czasu siostrzyczce, którą złapał atak, jeszcze nie wiem czego. Autyzmu?

Do: Freda

Od: Marinę Vandale

Temat: Poprawność polityczna

Nie należy się śmiać z autyzmu, bo to nie jest śmieszne. Zważ, że od ośmiu lat staram się wyleczyć Laurenta z jego prób udawania Dustina Hoffmana z filmu *Rain Man*.

Do: Marinę

Od: Frederica Vandale

Temat: Problemy z zachowaniem

Mogłabyś być bardziej spójna w swoich wypowiedziach? Kiedy mówię, że mam paszport w zębach, to wcale nie

zartuję. Za dwie godziny mam lot, a wciąż jeszcze siedzę w domu. Więc bądź grzeczna i się streszczaj.

Do: Freda

Od: Marinę Vandale

Temat: Zarządzanie czasem

To co jeszcze robisz w domu, skoro za dwie godziny masz samolot? To pachnie autodestrukcją! Nie chcesz przylecieć? Tak? Tata czeka na ciebie i dobrze wie, kiedy wylatujesz. Poza tym odzyskał już całkiem świadomość. Zaraz mi pewnie powiesz, że bywają różne stopnie świadomości. Ale uprzedzam cię, że tata słyszy, rozumie, odpowiada na pytania i zachowuje się rozsądnie.

Do: Marinę

Od: Frśderica Vandale

Temat: Istota świadomości

Naprawdę chcesz dyskutować o świadomości? Uprzedzam, że analiza naszych ostatnich mejli nie stawia cię w szeregu mistrzów w tej materii. Powiesz wreszcie o co chodzi?

Do: Freda

Od: Marinę Vandale

Temat: (brak)

Zgadnij.

Do: Marinę

Od: Frederica Vandale

Temat: re: (brak)

Zgadywanka? OK. Jeśli poszperasz pamięcią w czasach, kiedy obydwójce byliśmy mali i próbowałaś mnie wciągnąć w te swoje „zgadnij”, to przypomnisz sobie, jak zwykle reagowałem.

Do: Freda

Od: Marinę Vandale

Temat: Zaprzeczam

Tylko nie rób mi tego tym razem. Przez dwadzieścia lat próbuję zapomnieć, jak mi wtedy napłułeś w ucho. Okrutne. Tym gorzej dla ciebie.

Do: Marinę
Od: Frederica Vandale
Temat: Wilgotne ucho

Naplułem ci w ucho?

Do: Freda
Od: Marinę Vandale
Temat: Opluta duma

Właśnie tak. Potem nawet zamknąłeś mnie w walizie, obiecując ptysia, jeżeli wytrzymam pięć minut. Dopiero mama mnie z niej wyciągnęła po godzinie.

Do: Marinę
Od: Frederica Vandale
Temat: Kiepski interes

Za ptysia? Marinę, nie umiałaś negocjować.

Do: Freda
Od: Marinę Vandale
Temat: re: Kiepski interes

Jasne. Powinnaś była zażądać co najmniej dwóch balonowych gum do żucia. © Fred. Tęsknię za tobą. Wsiadaj w ten samolot.

Do: Marinę
Od: Frederica Vandale
Temat: Skandal

Poczekaj. Zalewasz mnie tymi swoimi „O Boże!”, a teraz próbujesz się wymigać zwykłym „Wsiadaj w ten samolot”. Odbiło ci czy co?

Do: Freda
Od: Marinę Vandale
Temat: Śpiący mężczyzna

Skoro tak nalegasz. Śpi. Na razie. Tuż obok mnie. No... jakieś dwa metry ode mnie, żeby być już superdokładną. I pewnie sam wydedukujesz, że skoro teraz jestem dwa metry obok śpiącego mężczyzny, to nieco wcześniej byłam na nim.

Do: Marinę

Od: Frederica Vandale

Temat: Duch walizki

Igrasz z ogniem. Jeżeli zaraz mi nie powiesz, kim on jest, to po przylocie znów zamknę cię w walizie i wyślę na Cypr. To doktor. Na pewno. Bo chyba nie znowu Jeff? Mimo wszystko nie palnęłabyś takiego głupstwa po raz drugi. Nie. Nie byłabyś taka wesoła. Wiem, że jesteś wesoła, bo stajesz się wtedy oszalałą wariatką. To w sumie miłe. Z drugiej strony o doktorku powiedziałaś mi chyba od razu, ale... Marinę. Samolot odlatuje za dwie godziny!

Do: Freda

Od: Marinę Vandale

Temat: Płyś

Żałosny jesteś. Udzielę ci odpowiedzi za balonówkę o smaku rodzynekowym. Po przylocie.

Do: Marinę

Od: Fredśrica Vandale

Temat: (brak)

Nie jesteś już moją siostrą.

Rozdział 15

Zamknęłam delikatnie laptopa, starając się robić jak najmniej hałasu. Chociaż chyba nie potrafiłam się powstrzymać od nerwowego chichotu. Chyba naprawdę nie byłam zbyt spójna, jak twierdził Fred. Wstałam w środku nocy, kiedy zdałam sobie sprawę, że nie uda mi się już zasnąć.

Gabriel szybko zasnął, obejmując jedną ręką moją talię, drugą trzymając na mojej piersi. Słyszałam, jak jego oddech stawał się coraz bardziej równomierny, a ciało powoli coraz cięższe i cieplejsze. Jak u małych dzieci, które zasypiają na rękach. Ja miałam oczy otwarte i gapiłam się w biały sufit jego sypialni. Miałam również świadomość, że rano będę miała mnóstwo skurczów mięśni. Bałam się poruszyć, żeby go nie obudzić i nie zepsuć delikatnej równowagi tej pięknej chwili. Powiedział: „Zostań”, i zostałam, szczęśliwa z takiego słodkiego rozkazu.

Po dwóch godzinach zrozumiałam, że nie zasnę. Potrzebowałam kolejnych dwudziestu minut na delikatne wyswobodzenie się z objęć Gabriela, bez obudzenia go, i prześlizgnięcie się do salonu, w którym wreszcie znalazłam telefon. Była trzecia rano, chodziłam kompletnie naga i wreszcie za blatem kuchennym znalazłam miejsce, które wydawało mi się najbardziej oddalone od łóżka. Usiadłam na podłodze i zadzwoniłam do Julienu. Oczywiście nie odbierał telefonu. Więc zadzwoniłam jeszcze raz. Po piątym sygnale zabrzmiał wreszcie w słuchawce jego histeryczny bełkot.

- Co się dzieje? Marinę? Co się dzieje? Gdzie jesteś? Marinę, musisz tu przyjechać. Już wiosna. Wszyscy tańczą... co? Daj spokój! Mam prawo krzyczeć na ulicy Sainte-Catherine,

jeżeli mam na to ochotę. Przecież już wiosna!.. Jak to? Już trzecia? Nad ranem?... Piękny zegarek. Już trzecia! Marinę, gdzie jesteś? Wszystko w porządku? Skąd dzwonicz? Nie znam tego numeru...

- Bateria mi się kończy...
- Ale gdzie jesteś? Przecież jest wiosna!

Od czasu jego „niespotkania” z Haroldem (tak je nazwaliśmy) Julien spał może ze dwadzieścia minut na dobę. Pozostały czas spędzał na tańcach w barach dla gejów, przytulony do młodszych o połowę od siebie chłopców.

- Żadnego nawet nie tknąłem! - Chwalił się z taką dumą, że aż było mi go żal. Ani ja, ani Laurent czy Jeff nie mieliśmy odwagi powiedzieć mu, że takie absurdałne demonstrowanie wierności było nie tylko żałosne, ale - co gorsza - niewiele miało wspólnego z prawdziwą miłością. Trwało to jednak tylko tydzień, co podkreślałam w rozmowach z chłopakami.

- Przyjeźdź! - wrzasnął do słuchawki.
- Julien, jest trzecia nad ranem. Tańce się skończyły.
- Idziemy do jeszcze jednego klubu, po godzinach.
- Zachowywałam się tak, kiedy miałam dziewiętnaście lat, ale nigdy mi się to nie spodobało.

- Ale to takie *cool*! Ja mam trzydzieści dwa lata i wciąż za tym przepadam...

- Kochanie! Zaraz ci stuknie czterdziestka.
- Cicho. Ciii... Ciii, bo Rod to usłyszysz.
- Rod? - Mieć na imię Rod i chodzić do klubu dla gejów pachniało, według mnie, bądź czymś cudownym, bądź oszustwem.

- No... Rod. Piękny chłopak. Bardzo piękny. Ale nic z tego nie będzie. Mówiłem ci, że jestem wierny. Nawet jeżeli formalnie nie jestem z Mathiasem, to i tak go kocham....

- Julien... co sobie wstrzyknąłeś?
- Miłość, Marinę, miłość!

Spojrzałam w sufit i zaczęłam się śmiać. W sumie to nie miało znaczenia, czy Julien był trzeźwy, czy pijany, czy też na haju, skoro to miłość.

- Julien, pamiętasz, jak powiedziałeś, że teraz może już być tylko lepiej?

- Owszem...
- Miałeś rację. Miałeś cholerną rację.
- To znaczy, że przyjedziesz zatańczyć z nami?
- Nie.
- Jesteś szczęśliwa?
- Tak... sądzę.

On również zaczął się śmiać. Rozłączyłam się. Siedziałam sama, na podłodze wyłożonej pięknymi pomarańczowymi kafelkami, u mężczyzny, którego ledwo znałam. Śmiałam się dalej, żałując, że nie ma ze mną kota. Tej nocy byłby świetnym słuchaczem. Mogłabym go trzymać na rękach, całować w szyję i przytulać się do jego futerka. Cztery sekundy później zadzwonił telefon. Złapałam słuchawkę spanikowana, że Gabriel zaraz się obudzi.

- OK - zabrzmiał całkiem trzeźwy głos Julienu - zadałem złe pytanie. Co się stało? Skąd to szczęście?
- Rod cię wystawił?
- Całkowicie. Niech spada! *Shoot**.

No więc wszystko mu opowiedziałam. O pierwszym pocałunku.

Tego dnia miałam wieczorny dyżur u taty. Ariane zajęta była wycinaniem z jakiegoś materiału czerwonych kwadracików na znaczki poparcia dla studentów.

- Chwalebny wysiłek - powiedziałam, zastanawiając się, w jaki sposób te skrawki mogły komukolwiek pomóc - jutro mnie zastępujesz.
- So-li-dar-ność - odparła.

Zostałam więc z tatą, który spał równie spokojnie, jak aktywny wulkan przed wybuchem. Jego chrapanie było poezją, zjawiskiem samym w sobie i nawet pielęgniarki - z którymi miałyśmy do czynienia od dwóch tygodni, a które widziały już wiele - uważały je za wyjątkowe.

Zasnęłam, trzymając tatę za rękę, i obudziłam się, czując czyjaś dłoń na plecach. To był Gabriel, który wpadł zobaczyć, jak się czuje mój ojciec.

*** *Shoot* - gadaj - ang.**

- Dobrze? - odparłam z tym niedopowiedzianym znakiem zapytania, który prześladował mnie od początku jego choroby.

- Bardzo dobrze - odpowiedziała Elodie. Nie zauważyłam jej, bo stała za plecami Gabriela. - Przyniosłam książki, które tata lubi.

Były to same stare kryminały o zużytych i podartych okładkach. Na ich widok zachciało mi się płakać.

- Poczytam mu przez chwilę - powiedziała - przejdź się trochę i odpocznij.

- Elodie - byłam ledwo obudzona i nie bardzo jasno myślałam - co się stało z prawdziwą Elodie? Kiedy zamieniłaś się w kogoś zupełnie innego?

Zaśmiała się troszkę zaskoczona, troszkę zażenowana.

- Sama nie wiem, wariatko. Ale zrób sobie co najmniej godzinę przerwy, dobrze? Ja tu posiedzę.

Ucieszona poszłam do poczekalni, gdzie mogłam sobie kupić wspaniałe łakocie w stylu batoników Mars, twarde jak skała herbatniki, lekkostrawne chipsy, jakieś torebki o nazwie Mieszanka Podróżnika, przeterminowane jogurty lub zielone albo nadgniłe banany. Stała tam nawet mała mikrofalówka do podgrzewania potraw, jeśli ktoś był na tyle sprytny, żeby coś przynieść ze sobą. Jarzeniówki dawały zieloną, ponurą poświatę i zastanawiałam się, co lub kto zmusiło projektantów tego przybytku do urządzenia tego pomieszczenia w taki właśnie sposób.

Wahałam się między suszonymi morelami a odżywczym batonem proteinowym o konsystencji kamienia, kiedy wszedł Gabriel. Uśmiechnął się do mnie i podszedł prosto do automatu z kawą. Wrzucił monetę i ponownie spojrzął na mnie, uśmiechając się nadal. Ubrany był w swój fartuch i nawet w tym zielonkawym świetle, które wszystkim nadawało trupi wygląd, wyglądał pięknie. Kilka niesfornych czarnych pukli opadało mu na czoło. A w jego uśmiechu dostrzegłam to, co chciałam usłyszeć.

Nie potrafię przed nim niczego ukryć, pomyślałam, przyglądając mu się w milczeniu. Nie wiedziałam już, co jest prawdą, a co mi się ubzdurało. Może po prostu był mistrzem dwuznacz-

nych uśmiechów. Jasne dla mnie było tylko jedno - to było strasznie sexy. Kiedy tak na mnie patrzył, czułam się naga. Nie fizycznie, ale tak, jakby mi zaglądał do środka duszy, co wydawało się jeszcze bardziej intymne. Niektórzy nienawidziliby takiego uczucia, a mnie ono doprowadzało do szaleństwa.

- W porządku? - spytał.

- W porządku - odparłam. Stałam wciąż przed automatem ze słodyczami, a on przed swoim z kawą.

- Właściwie możesz już iść - powiedział - twoja siostra zostanie tu na noc. Zawsze tak robi.

- Nie... Przecież była już rano...

Wzruszył lekko ramionami, jakby chciał powiedzieć: „zrobisz, jak będziesz chciała”, i podszedł do mnie.

- Mars.

- Co „Mars”?

- To prawdopodobnie najbezpieczniejszy wybór.

- Zastanawiałam się nad przepyszną Mieszanką Podróżnika.

- To już lepszy jest Spacerowicz. W Mieszance są głównie suszone papaje i ananasy, a w Spacerowiczu jabłka i banany.

- A jest jakiś zestaw dla domatorów?

- Nie, ale możesz go zrobić sama. Ja na przykład lubię marsa i orzeszki.

Spojrzałam na niego i zaśmiałam się. Te uśmiechy stale przepływały między nami. Teraz stał obok mnie. Czułam jego klatkę piersiową przy moim ramieniu. Potem przysunął się jeszcze bliżej. Myślałam, że chce mi coś powiedzieć, ale nie. Jakby się nad czymś zastanawiał. Wtedy uśmiechnął się naprawdę. I właśnie tam, przed automatem z batonikami, w migającym świetle jarzeniówek, kilka metrów od łóżka mojego chorego ojca, pocałowałam Gabriela Champagne.

- Ty go pocałowałaś?

- No.

- Zaczęliście się całować.

- Nie. Ja go pocałowałam. Dosłownie. Złapałam go za fartuch i pocałowałam. Nigdy tego nie robię.

- Wiem. Od dziesięciu lat powtarzam ci, że powinnaś zacząć. A teraz sama widzisz, że to nie jest złe.

- Spokojnie. I tak czułam, że pocałowałyby mnie lada chwila. Po prostu moje czekanie na to trwało za długo.

- Ze dwie sekundy?

- Nieskończoność.

Widziałam tylko jego oczy. Nefrytowe tęczówki, gęste jak u kobiety czarne rzęsy i to spojrzenie, te oczy wpatrzone tylko we mnie. Zaraz to robi, pomyślałam. Zaraz się stanie. Czułam się lekka, prawie niematerialna. Wystarczył jeden ruch w stronę jego piersi, żebym mogła ponownie odzyskać kontrolę nad ciałem. Swoim i jego. To było nieuniknione i odruchowe jak jedzenie czy kąpiel podczas upału. I tego właśnie chciałam. Przez te dwie nieskończone długie sekundy uświadomiłam to sobie z przerażającą jasnością.

- I...?

- Co i...?

- Marinę, jest trzecia nad ranem. Siedzę na jakiejś rozwalającej się ławce na ulicy. Podejrzewam, że ty schowałaś się ze swoją komórką za fotelem albo pod biurkiem. Więc nie męcz mnie dłużej.

- A co byś chciał wiedzieć? Jak było, czy jakie ma ciało?

- Marinę... Twoja naiwność czasami przyprawia mnie 0 rozpacz. Ja nie żartowałem, kiedy ci opowiadałem, że mam rentgen w oczach, jeżeli chodzi o pięknych chłopców. Wiem, że ma piękne ciało. Ale jak się...

- Nie. O tym nie rozmawiam.

- Nie możesz się doczekać...

- Nie. Poważnie. - Jeżeli coś mogło go doprowadzić do szaleństwa z pożądania, to było to właśnie to, co robiłam w tej chwili.

- No już, zacznijmy od tyłeczka. Potem tors. Chyba nie jest owłosiony, co?

- Bo zaraz się rozłączę. Poza tym, nie. Nie jest owłosiony. I wszystko ma w porządku. Zadowolony?

- Miauuu. Wiedziałem. A... A? Jak tego używa?

Wiedziałam, że oczekuje ode mnie pikantnych szczegółów, ale nie miałam zamiaru dzielić się z nim żadnymi takimi historiami. Dlatego pozwoliłam mu dalej cierpieć z ciekawości i opowiedziałam, jak się czuły nasze ciała

w tym momencie. Złączyły się w jedno w tej smutnej poczekalni szpitala. Opowiadałam Julienowi o jego dłoniach na mojej twarzy, o jego ustach na mojej szyi i jego rękach w moich włosach.

- Wiedziałam, że tak będzie - oznajmiłam Gabrielowi, trzymając jego piękną twarz w dłoniach.

- Wiedziałaś?

- Wiedziałam. -I powiedziawszy to, uświadomiłam sobie, że tak było naprawdę.

A przecież nie byłam przesadna. Kochałam czarne koty, nie bałam się zakonnic i naśmiewałam się z Flavie, która godzinami siedziała u wróżek. A mimo to byłam przeświadczona, że tak się musi stać. Dawało mi to teraz poczucie pewności siebie, chociaż jednocześnie napawało strachem.

- Mogłaś wyjść. Wiesz przecież - powiedział Gabriel. Znowu widziałam tylko ten jego wieloznaczny uśmiech i oczy, które chciały mnie pożreć.

- Tak - odpowiedziałam - mogłam wyjść.

Pięć godzin później siedziałam w kuchni Gabriela, gapiąc się w ciemność i analizując w myślach każdy nasz ruch. Złapałam pośpiesznie palto pod zmęczonym, ale - o dziwo - aprobującym wzrokiem Elodie. Kierowca taksówki rzucał nam rozbawione spojrzenie przez wsteczne lusterko, obserwując nasze uściski godne nastolatków. Nasze niezręczne wejście do mieszkania Gabriela. Ciała przyciśnięte do ściany. Pośpiesznie ściągane ubrania. Dłonie trzymające się framugi, kiedy brał mnie na ręce. Potem jego ciało przyciśnięte do mojego, jego usta całujące moje ramię, moje usta na jego skórze i oczy patrzące na mnie z miłością, kiedy to się stało.

Zasłoniłam sobie twarz dłonią, mając świadomość, że uśmiecham się jak idiotka i że wcale nie chcę tego zapamiętać. Wprost przeciwnie. Chciałam, żeby ta chwila nigdy się nie skończyła.

Rozważałam właśnie pewien szczególnie pikantny szczegół naszej nocy, kiedy zdałam sobie sprawę, że jest mi zimno. Musiało mi być zimno już od pewnego czasu, ale znajdowałam się w stanie takiego upojenia, że nie byłam zdolna

odbierać jakichkolwiek nieprzyjemnych wrażeń (a nawet myśli o takich wrażeniach).

- Jakbyś była pijana w dym? - powiedziałyby zapewne Laurent.

- Dokładnie tak - odparłabym.

Bo bałam się poranka jak nigdy dotąd.

Wstałam, żeby poszukać swojego swetra, kiedy zauważyłam na oparciu fotela Inianą marynarkę. Przez chwilę jej się przyglądałam i mało nie zaczęłam do niej mówić. Chciałam ją zapytać, co sądzi o swoim właścicielu, czy nie mogłaby mi opowiedzieć kilku anegdotek na jego temat albo zdradzić dwóch lub lepiej trzech tajemnic człowieka, na którego ramionach często się znajdowała. To była stara ciemnozielona marynarka w rodzaju tych, które większość mężczyzn trzyma gdzieś w zakamarkach szaf. Ta miała wystrzępione mankiety, przetarte łokcie i tylko dwa guziki. Była cieplutka i miękka. Złapałam ją i włożyłam jednym ruchem. Potem kontynuowałam przechadzkę po mieszkaniu, starając się nie dotykać niczego, nie brać do ręki żadnej książki ani czasopisma i szukałam bardziej osobistych śladów właściciela tego miejsca.

Mieszkanie było piękne i zupełnie inne niż w moich wyobrażeniach. Niektóre ściany pokrywał szary piaskowiec, sufit był wyłożony drewnem między belkami wzmocniającymi. Wszędzie leżało pełno staroci mówiących coś o właścicielu, którego tak mało znałam. Jakaś walizka z początku XX wieku, służąca za pojemnik na DVD i CD. Ciężkie kanadyjskie regały wypełnione książkami, wielki stół na wysoki połysk, kinkiety na ścianach najwyraźniej pamiętające wiele pokoleń. Wszędzie widać było ślady prawdziwego życia, różne jego etapy, i zrozumiałam, że byłam głupia i naiwna, sądząc, że Gabriel żyje wyłącznie teraźniejszością, a przed moim pojawieniem się jego życie praktycznie nie istniało.

Przyglądałam się książkom na regałach. Nasze książki wiele o nas mówią, a ja chciałam wiele wiedzieć o Gabrielu. Na półce widniały tylko angielskie tytuły. Te po francusku znajdowały się w różnych częściach mieszkania oraz w bibliotece w jadalni. Część z nich była ułożona w kufrze, jakby

specjalnie przeznaczonym do przechowywania skarbów. Gabriel miał sporo klasyki. Forster, Waugh, Kipling, Faulkner, Fitzgerald i Hemingway, Woolf, Joyce, Miller. Potem cała półka książek współczesnych (których odpowiedników nie mogłam znaleźć po francusku. Zupełnie jakby literatura francuska u Gabriela zatrzymała się na Sartrze): Zadie Smith, Jonathan Franzen, Paul Auster, Mordecai Richler, Michael Ondaatje.

- Och - mruknęłam z dumą - biorąc do ręki „Angielskiego pacjenta”. To przynajmniej czytałam. Egzemplarz *Barney’s Version*, wyraźnie zużyty, miał dedykację. Pokiwałam głową z uznaniem. Potem dostrzegłam swoje odbicie w wielkiej okiennej szybie.

Wyglądałam jak Marie-Lune, pomyślałam, patrząc na siebie w męskiej marynarce. Przypomniały mi się wszystkie te chwile, kiedy wychodziła z pokoju Jeffa w którejś z jego koszul. Oczywiście pomyślałam o Jeffie i jego silnych dłoniach, o wspólnie spędzonej nocy i o tym, jak naprawdę się znamy. A co wiedziałam o tym mężczyźnie? Że namiętnie czytał, ratował życie ludzkie i kochał morze. Zrozumiałam, że Marie-Lune tak uparcie nosi koszulę Jeffa, bo chce w ten magiczny sposób być nadal blisko niego.

Poczułam się nagle bardzo mała w tym mieszkaniu, w tej za dużej marynarce i w tym życiu, o którym niczego nie wiedziałam oprócz tego, że pełne było starych kufrów, książek i...

Więcej nie mówił mi nic o kobiecie, z którą się umawiał, a której istnienie tak mną wstrząsnęło kilka tygodni wcześniej. Czy wciąż zajmowała jakąś część jego tajemniczego życia? Gabriel miał taki specyficzny sposób mówienia o sobie. Odnosiło się wrażenie, że całkiem się odkrywał, a właściwie nie wiedziało się o jego życiu prawie nic (jak to do mnie w tym momencie dotarło, myślałam, że popadam w paranoję). Nie wiedziałam kompletnie nic o jego trybie życia, o jego wieczorach i nocach ani o szarych porankach. Nie wiedziałam, jaki jest na co dzień. Dopiero ta myśl sprawiła, że poczułam strach.

- Sama sobie wyszukujesz powody do strachu - powie mi później Laurent (ja w odpowiedzi się tylko skrzywię).

Pewnie z powodu późnej pory lub zmęczenia skumulowanego przez ostatnie tygodnie poczułam nagłą chęć ucieczki do siebie, gdzie mogłabym się schronić przed tymi wszystkimi problemami. Przed chorobami, pożądaniem i miłością. Odkładałam właśnie na miejsce Richlera, kiedy usłyszałam głos Gabriela.

- Co się stało?

Drgnęłam. Stał po drugiej stronie salonu, oparty o ścianę, ze zmierzwionymi włosami i zaspanymi oczami, całkiem nagi.

- Nic - odparłam. - Nie mogę spać, to chyba z powodu ojca.

Uśmiechnął się grzecznie. Obydwoje wiedzieliśmy, że wcale nie chodziło o mojego ojca.

- OK.

Pokazał mi dłonią, żebym zaczekała i zniknęła w sypialni. Po chwili wrócił, ale już w spodniach od pidżamy.

Cwaniaczek, pomyślałam, żeby wiedział, jak jest przy stojny bez tego dodatku. Usiadł na kanapie, opierając się wygodnie i wyciągając swobodnie nogi. Potem skinął ręką w moją stronę.

- No dobra. Chodź do mnie - powiedział.

- Co?

Zaśmiał się cicho, jakby wzruszony moją nieśmiałością.

- Chodź.

Usiadłam między jego nogami. Objął mnie jedną ręką, a drugą sięgnął po pilota do wielkiego plazmowego ekranu. Po chwili pojawiła się jakaś siatka, która nic mi nie mówiła (płaciliśmy z Jeffem za podstawową kablówkę podłączoną do starego osiemnastocalowego telewizora. Razem nasze zdolności techniczne nie przewyższały wiedzy średnio inteligentnego szympansa). Gabriel nacisnął jakieś guziki i odłożył pilota z zadowoloną miną.

- Nie ma to jak dobry, stary film na bezsenność - stwierdził.

- Na ekranie pojawiła się jakby znajoma czołówka. Gabriel objął mnie, splatając dłonie na moim brzuchu, i szepnął mi do ucha, jakby chciał się wytłumaczyć.

- To przez te nocne dyżury. W którymś momencie zawsze diabli biorą normalny rytm snu. Lepiej wtedy mieć w zapasie jakieś filmy.

Wreszcie rozpoznałam po muzyce i po pierwszych scenach, o jaki film chodzi. *Cztery wesela i pogrzeb*. Spojrzałam na niego z rozbawieniem. Z wyjątkiem Laurenta nie znałam dotąd żadnego mężczyzny, który przyznawał się, że lubi ten film. Wiedziałam, że wielu innym się podobał, ale wszyscy udawali, że wolą oglądać *Gladiatora*, *Szminkę* czy *Stalowe magnolie*. Wszystko zależało od tego, czy chcieli pozować na męskich, zabawnych czy inteligentnych.

- Cóż - powiedział Gabriel z lekkim zażenowaniem w głosie - jest po trzeciej. Przecież nie będziemy oglądać *Szklanej pułapki*.

- Oczywiście - odrzekłam, leciutko go całując. Z ekranu dochodziło wielokrotne *fuck* powtarzane przez Hugh Grania i jego przyjaciół. A Gabriel całował mnie w skroń.

Jesteś świetny, pomyślałam, zabawnie i niewyobrażalnie świetny.

Potem poczułam skurcz strachu i podniecenia.

- Wiem, wiem, wiem - powiedziałam, wchodząc do domu - wiem, spóźniłam się. Dajcie mi jeszcze dziesięć minut.

Jeff z Laurentem opierali się o barek, taksując mnie wzrokiem od stóp do głów. Mieli wyraźnie obrażone miny.

- Byłam...

- Wiemy, wiemy - przerwał mi Jeff.

- Wiecie?

Wtedy usłyszałam dźwięk spuszczonej wody i Julien wszedł do salonu, kończąc zapinać spodnie.

-*Da*- powiedział. - Nie mogłem się powstrzymać.

- Zważywszy na fakt, że wychodzisz stamtąd - zauważył Laurent - może masz ochotę sformułować to trochę inaczej.

Jeff zaśmiał się bezgłośnie.

- Co tu robisz? - spytałam.

- Naprawdę sądziłaś, że puszczę was samych na lotnisko? I tracę całą przyjemność?

- Chciałeś tylko popaplać trochę.
- No! Wydawałaś się całkiem zadowolona, że masz z kim popaplać o trzeciej nad ranem.
- No... tak.
- Dobra, dość tego - wtrącił się Jeff - musimy ruszać najdalej za kwadrans.
- Wskoczę tylko pod prysznic.
- Rzuciłam palto na podłogę i lekkim krokiem pobiegłam do łazienki.
- Możesz przy okazji przelecieć również Juliena. Póki jesteś w transie - odezwał się złośliwie Laurent, kiedy go mijałam, choć w jego ustach nie brzmiało to obraźliwie. Gadał do mnie już gorsze rzeczy.
- Jesteś po prostu zazdrosny - odparłam.
- O doktora?
- Nie. O mnie. Bo też byś chciał zrobić numerek z kimś, o kim marzysz.
- Trafiony! - Usłyszałam głos Jeffa, kiedy wchodziłam do łazienki.
- Odwal się - rzucił Laurent.

- Za każdym razem jest tak samo - jęknął Jeff.
- Mówiłem, żebyśmy wzięli mój samochód - Julien opierał się o dach wozu Laurenta. - Tu nie ma miejsca. To twoje bajeranckie audi może pomieścić z tyłu najwyżej dwóch hobbitów.
- Też tak sędzę - powiedział Laurent. - Karły do tyłu, Jeff obok mnie, z przodu.
- Ejże - krzyknęłam obrażona - jakie znowu karły?
- Masz nogi dłuższe niż metr trzydzieści? Nie sędzę. Mierzysz ponad metr dziewięćdziesiąt? Nie sędzę. Jeff i ja mamy po metr dziewięćdziesiąt wzrostu. Siadamy więc z przodu. Poza tym to ja prowadzę.
- Za każdym razem jest to samo - westchnął Jeff i kopnął ze złości jakąś górkę śniegu, która wciąż opierała się wiosennej aurze.
- No dobra. Niech będzie - zgodziłam się. - A Fred? Gdzie go zmieścimy? W bagażniku?

- Może na dachu? - zaproponował Julien.
- Jeśli już ktoś będzie jechał na dachu, to ty. Zwracam uwagę, że wcisnąłeś się w ostatniej chwili. Klaun Bozo.
- A poważnie? - zapytałam.
- Siądzie z tyłu - wrzasnął Jeff wyraźnie zirytowany. - Dobrze, że nie rozdzielacie miejsc w kinie. Już by was zlin-czowano. To nie jest takie skomplikowane. Marinę siądzie pośrodku. A Bozo i Fred po bokach.
- Odkąd to przezywacie mnie Bozo?
- Fred ma jednak ponad metr osiemdziesiąt - przypo-mniałam.
- Dobrze już, dobrze - powiedział zniecierpliwiony Jeff, a do Laurenta rzucił: - Siadaj. Zostawiamy tę dwójkę na chodniku. Są za grubi.
- Co?!

Dziesięć minut później siedzieliśmy już w samochodzie na tych samych miejscach co zawsze.

- Ktoś zna może jakąś piosenkę? - zapytał Julien.
- Trzymajcie mnie! - mruknął Jeff, podczas gdy ja z Lau- rentem wybuchnęliśmy śmiechem.

Byłam kompletnie wykończona, ale jednocześnie czułam się tak silna, że gotowa byłabym biec w maratonie, tańczyć flamenco albo improwizować jako majoretka. Miałam ochotę podskakiwać z radości i w pewnym sensie to właśnie robi-łam, siedząc na tylnym siedzeniu za Jeffem. Zauważyłam w lusterku wstecznym, że mi się przygląda.

- W porządku? - zapytał.

Miałam ochotę powiedzieć mu, że dawno już nie było mi tak dobrze. Że wręcz się boję, bo wszystko dookoła widzę tylko w różowych kolorach. Stan mojego ojca się polepszał. Elodie okazała się dojrzałą i odpowiedzialną kobietą. Trzech moich ukochanych chłopaków siedziało razem ze mną w sa-mochodzie, a za godzinę miałam znowu uściskać swojego najukochańszego brata. Wreszcie dopiero co Gabriel tulił mnie w ramionach podczas oglądania filmu, zanim zasnęłam (gdzieś po pogrzebie, ale przed czwartym ślubem). Czułam się kochana i niewinna jednocześnie, wydawało mi się, że mam wigor jak wtedy, gdy byłam szesnastolatką.

Ale był tu Jeff, który mimo moich starań, miałam takie wrażenie, oddalał się ode mnie. Jakby oddzielała nas ściana jakichś niedopowiedzeń i niepostawionych pytań.

- W porządku - odpowiedziałam. Zobaczyłam w lusterku, jak uśmiechnął się i zrobił ruch głową, który oznaczał, że nie jest do końca przekonany.

Zawsze musi być jakaś rysa na szczęściu, pomyślałam.

Trudno. Wiedziałam, że takie chwile cudownej szczęśliwości nie trwają długo i nie miałam najmniejszego zamiaru pozwolić, żeby moja działka przepłynęła mi między palcami zbyt szybko.

Pal diabli rysę, pomyślałam. Zajmiemy się nią później.

Czekałam przy wyjściu w pawilonie przylotów, przestępując z nogi na nogę. Fred miał się pojawić lada moment. Nie mogłam się już doczekać i ze zniecierpliwienia nie wiedziałam, co mam zrobić z rękoma. Laurent w końcu nie wytrzymał i zaczął się ze mnie śmiać.

- Uspokój się wreszcie!

- Źle spałam.

- To wiedzą wszyscy. - Odwrócił głowę, żeby nie patrzeć mi w oczy. Zawsze tak robił, kiedy rozmowa go onieśmiewała. - Jak... poszło... z doktorkiem?

- Loulou...

- Co?

- Naprawdę chcesz wiedzieć?

- Mhm... - zawahał się. - Nie. Chyba nie.

- Jak to, chyba? - oburzył się Julien. - Jasne, że tak. Chcemy wiedzieć!

- Chciałabyś, żeby zżarł ten kretyński szalik? - spytał Jeff.

- Nie... wystarczy, jak go nim zakneblujesz... albo... Fred!!!

Złapałam za barierkę i zaczęłam się pod nią przesuwając. Starałam się przy tym zachować maksimum elegancji, a przy najmniej minimum śmieszności. I tak potrafiłam jakąś starszą kobietę z dwójką dzieci, wpadłam na wózek z walizkami Freda i wreszcie wskoczyłam na niego.

Zarzuciłam mu ręce na szyję i przytuliłam się do niego. Słyszałam jego radosny śmiech i poczułam, jak mocno przyciska mnie do siebie. Potem ucałowaliśmy się w policzki i wreszcie spojrzeliśmy na siebie. Uniósł mnie w ramionach i przez chwilę byłam wyższa od niego.

- Włosy - powiedziałam, głaszcząc dłońią jego jasną czuprynę - masz za długie.

Kiedy już postawił mnie na ziemi, musiałam zadzierać głowę do góry. Puścił do mnie oko, a potem pocałował głośno w czubek głowy.

- Hej! - zawołał na widok chłopaków. Potem nastąpiła długa seria powitań. Z Julienem dali sobie buzi w policzki, a Julien znalazł jeszcze sposób, żeby pogłaskać go po włosach. Potem pokleпали się po męsku z Laurentem, a z Jeffem uściskali „na niedźwiedzia”, tak że Jeff poderwał Freda do góry, a stawiając na ziemi, dał mu takiego kuksańca w plecy, że mój brat zachwiał się i wpadł na tę samą kobietę, którą wcześniej potraçałam.

- No dobra, czas, by się czegoś napić - zdecydował Laurent.

- A może byśmy tak zaczekali z tym do przyjazdu do domu...

- Coś ty? Na głowę upadłaś? Trzeba to uczcić zaraz. W barze na lotnisku! Prawda, braciszku?

Jeff, Laurent i Fred mówili zawsze do siebie „braciszku”, z akcentem charakterystycznym dla przedmieść Quebecu.

- Dobrze mówi - poparł go Fred - dla mnie jest już ósma wieczorem. Najwyższy czas na drinka. Ruszajmy, bracia!

- On jest jeszcze piękniejszy niż w moich wspomnieniach - szepnął mi do ucha Julien.

- Zamknij się, braciszku - odparłam.

Godzinę później Jeff po raz kolejny dawał znak kelnerce, że powtarzamy kolejki. Kelnerka, chociaż już niemłoda (pewnie miała gdzieś w okolicy sześćdziesiątki), nie mogła oprzeć się urokowi Jeffa. Zresztą tak jak inne kelnerki w różnych lokalach.

- Jeszcze jedna kolejka, piękna Adelo - powiedział.

- Piękna Adelo? - odparła. - Adela już nie taka piękna, złociutki.

Wszyscy ryknęli śmiechem. Byliśmy bardzo szczęśliwi, że wreszcie jesteśmy razem. Łączyły nas lata wspomnień z Lulli i z innych barów i restauracji, wspólne życie w tuzinie wynajmowanych mieszkań, wspólne podróże po wybrzeżu, wspólne śpiewanie przy ogniskach. Byliśmy zachwyceni możliwością wypicia kilku kolejek w tym bezosobowym barze zapełnionym podróżnymi, bo wszystko tu wydawało nam się śmieszne, a jednocześnie czarujące. Z nami na czele. Mogłabym tu siedzieć całą wieczność, byleby tylko nie stracić tego wspaniałego uczucia radości ze wspólnego przebywania z najdroższymi dla mnie osobami.

- No to wreszcie złapałaś tego swojego doktora - powiedział Fred - dobra robotą, siostrzyczko.

- Spokojnie, chłopie. Spędziłam raptem jedną noc z człowiekiem. Nie dzielmy skóry na niedźwiedziu.

- Daj spokój... znam cię przecież. Wiem, że już wyobraziłaś sobie ze szczegółami miłość, małżeństwo, dzieci, a nawet spacerować pod rękę po parku.

- Wcale nie... - Usiłowałam powstrzymać śmiech, ale mi się nie udało.

Jeff zaczął się mi przyglądać z wyrazem twarzy, jakiego jeszcze nigdy u niego nie widziałam. Ani gorzki, ani obrażony, raczej pytający. Jakby chciał uzyskać potwierdzenie, że Fred mówił prawdę. Jakby chciał się upewnić, że naprawdę o tym myślę. Przystałam się śmiać i dostrzegłam, że Fred również przygląda się Jeffowi.

- Nie słuchaj jej - powiedział Julien, który niczego nie zauważył - ona jest napalona. Mówię ci, Fred, napalona jak nigdy.

- A co u was? - spytał Fred. - Wciąż z Carole, braciszku?

-No... tak.

- Zawsze taki elokwentny - Fred się roześmiał - pytam poważnie. Co u niej?

-No..

- Loulou...

- No dobrze. Wszystko w porządku.

Laurent wrócił do siebie po pamiętnym wyrzuceniu go z domu przez Carole i po prostu powiedział jej, że jest już

zmęczony, że nie wytrzymał ciągłego napięcia i złośliwości. Ale kiedy zapytała go, czy chce, żeby się wyprowadziła, odpowiedział, patrząc jej głęboko w oczy, że nie chce. Wiedziałam o tym wszystkim z pierwszej ręki, ponieważ Carole sama mi opowiedziała. Nazajutrz po awanturze zadzwoniła do mnie. Było to tak nieoczekiwane, że o mało nie zakrztusiłam się płatkami. Zaproponowała, żebyśmy poszły razem na kawę. Z początku wzbraniałam się, bo nie miałam na to ochoty, podejrzewając jakieś głupie rozmowy o niczym. Kiedy jednak zobaczyłam, że jest naprawdę zdenerwowana, a do mnie przyjaźnie nastawiona, zrozumiałam, że wyciąga rękę do zgody.

Gadałyśmy prawie dwie godziny. Uspokajałyśmy się nawzajem, lekko podśmiewałyśmy z Laurenta („Już ci przygotował te swoje słynne omlety? Biedaczek, jest z nich taki dumny” albo „Ostatnio odkrył przepis na *frittatas**. Już trzecią sobotę z rzędu muszę to jeść”). Żadna z nas nie powiedziała tego wyraźnie, ale obie zrozumiałyśmy, że nic do siebie nie mamy, że nie musimy być o siebie zazdrosne i że żyjąc w zgodzie, możemy tylko zyskać. Wychodziłam z tego spotkania podniesiona na duchu i powtarzając sobie, że musimy być naprawdę dziwną bandą plotkarzy, skoro czekałam aż tak długo na tak prostą i skuteczną rozmowę.

Laurent natomiast zdecydował już wcześniej, że szczęście w miłości najlepiej podsycą zdrowy optymizm. Ponieważ jednak jego pesymizm był właściwie nieuleczalny, więc przy każdej okazji zmuszał się teraz usilnie do udawania optymisty, co oczywiście było trochę komiczne i musiało dawać mierne rezultaty. Nikt jednak nie mógł nie docenić jego wysiłków, a przede wszystkim dobrej woli. Czasami wręcz zadziwiał mnie tym swoim darem komplikowania najprostszyczych rzeczy. Był przecież z piękną i inteligentną kobietą, która z pewnością miała jakieś wady, ale któż ich nie ma. A czy tak naprawdę chcemy idealnego partnera? Kocha się kogoś przecież nie tylko za zalety, ale pomimo wad.

****Frittatas* - włoski omlet z jarzynami i mięsem.**

Carole go kochała i on również ją kochał, mimo że głośno się tego wypierał.

- Wszystko się zmienia, ale wy jesteście tacy sami - powiedział Fred. - A co u ciebie, Julien?

Kopnęłam go w kostkę pod stołem. Nie bałam się, że Julien wpadnie w zakłopotanie (nic na świecie nie mogło go wpędzić w zakłopotanie), tylko że zacznie wszystko opowiadać od początku. Nasza trójka nie miała już siły tego słuchać po raz setny.

- Ja biorę go za nogi - powiedział Jeff do Laurenta - a ty za ręce, Marinę...

- Wiem, wiem - zawołałam - powinnam się zgodzić, kiedy proponowałeś, że udusisz go szalikiem!

- Nie to nie, a to przecież takie piękne - obraził się Julien. - Tym gorzej dla was. Mówiąc krótko, uwierz mi, Fred, tracisz przepyszną opowieść, Mathias mnie rzucił, bo...

Popatrzyliśmy na siebie z Laurentem i wybuchnęliśmy śmiechem.

- To rzeczywiście przepyszna opowieść - stwierdził Laurent. I wszyscy zaczęliśmy opowiadać, jak to było, nie szczędząc detali, nawet tych dodawanych od siebie. Fred zwiżał się ze śmiechem.

- No a ty? - zapytał Julien - jak tam bara-bara?

- Bara-bara?

- No, jakieś łupu-cupu?

- Co?

Julien westchnął zrezygnowany.

- Cholera! Masz kogoś?

- Ach, o to ci chodzi!...

- No przecież mówię bara-bara. Wszyscy chyba wiedzą, o co chodzi?

- Najgorsze w tym jest to - włączył się Jeff - że doskonale wiemy, co on chciał powiedzieć.

- Właśnie... - I wszyscy znowu ryknęli śmiechem.

- No dobra - powiedział Fred - w ostatnim czasie miałem mnóstwo roboty...

- Jak ci idzie pisanie? - spytałam.

- Przywiozłem ci ciąg dalszy...

- Mów dalej - mruknął Laurent przez zęby - chcemy szczegółów o Francuzeczkach. Żądamy szczegółów o Francuzeczkach.

- No... powiedzmy, że się nie nudziłem. Nie wiem, może to przez ten akcent... Ale, chłopaki, przysięgam, że przez pewien czas zaliczałem cztery tygodniowo. I to nie zawsze te same.

- OK, starczy! Nie wszyscy są zainteresowani wysłuchaniem akurat takich szczegółów z życia mojego brata.

- W ustach kobiety, która dwanaście godzin w tygodniu poświęca na wysyłanie mi mejli z akurat takimi szczegółami z własnego życia, ta uwaga jest raczej dziwna.

- Może - zrobiłam zrezygnowaną minkę, a Fred przytulił mnie i pocałował w czoło. Jeff siedział naprzeciwko mnie i milczał. - Dobra, braciszku - dodałam - może teraz wreszcie pojedziesz odwiedzić tatę?

- A potem doktora. Chyba go zobaczę?

- Nie bądź taki ciekawski - powiedziałam i wstałam od stołu. Julien zaś zaczął swoją stałą sprzeczkę z Jeffem na temat tego, kto i gdzie będzie siedział w samochodzie.

Wychodząc z lotniska, Fred spojrzał na niebo. Było całe błękitne. Ze wszystkich stron dolatywał szum wody. Spływała brudna po asfalcie, zbierała się w kałużach na pożółkłych trawnikach, głośno spadała do studzienek kanalizacyjnych.

- Wiosna - powiedział Fred - do licha, jak bardzo za tym tęskniłem.

Patrzyłam na niego z rozrzewnieniem. Od czasu jego wyjazdu do Paryża brakowało mi go okropnie. Dopiero teraz zdałam sobie sprawę, jak bardzo. Przyglądałam się jego twarzy z profilu. Nic się właściwie nie zmienił. Te same oczy koloru moich, jasne włosy, które układały się zawsze w ten sam sposób. Włosy miał naprawdę dobre. Wiem, że niektóre kobiety bardzo mu ich zazdrościły. Szeroki płaszcz i zawinięty wokół szyi szalik sprawiały, że swoim wyglądem przywodził na myśl młodego romantycznego poetę.

- W takim przebraniu musiałeś mieć niesamowite powołanie na Saint Germain - stwierdziłam z przekonaniem.

Pochylił się i znowu pocałował mnie w głowę.

- Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że znowu cię widzę.

Serdecznie przytuliłam się do niego. Mój brat znowu był z nami. Chłopcy szli przodem i słyszałam, jak gadają cały czas na te same tematy, aż do znudzenia („Trzeba było wziąć większy samochód”, „Wiecie co, na pewno robimy wrażenie jakiejś komuny”, „No nie, jak Carole usłyszysz, że my to komuna, wściekniesz się jak nigdy dotąd”, „Nie mam nic przeciwko komunie, byleby była bawełniana pościel i likier bananowy”, „Likier bananowy?... Co ty? Tak nisko upadłeś?”, „A więc jednak mnie kochasz...”. „Wprost przeciwnie! Wcale nie kocham!”, „Dasz mi buziaka, Jeffie Murphy, przecież wiem, że masz na to ochotę?”). Wtedy Jeff gwałtownie złapał Julię, podniósł go do góry i tak głośno cmoknął w czoło, że aż się echo rozniosło. Julia zamurowała z wrażenia, a Laurent zaczął się związać ze śmiechu.

Przyglądałam się im, idąc obok Freda, i pomyślałam o Gabrieli. Byłam szczęśliwa. Bałam się do tego przyznać nawet sama przed sobą, bo przecież ogólnie wiadomo, że z najwyższej góry, jak się na nią wdrapiesz, najłatwiej zlecieć na łeb na szyję.

Nie teraz, pomyślałam, nie teraz, później zaczną się prawdziwe sprawy, jakieś codzienne wydarzenia, może nieporozumienia, kłopotliwe pytania. Na razie niech trwa niczym niezakłócone szczęście! O katastrofach będę myślała, kiedy nastąpią. Ale byłam taka szczęśliwa, że nie brałam kompletnie pod uwagę możliwości jakichkolwiek katastrof.

Do: Gabriela
Od: Marinę Vandale
Temat: Do jabłka z wyżyn
Jak tam w Nowym Jorku?

Do: Marinę
Od: Gabriela Champagne
Temat: Od jabłek do małżży
Właściwie to wylądowałem w Bostonie. Mieliśmy tu przy-
lecieć dopiero jutro, ale udało nam się wcześniej skończyć,
więc przylecieliśmy wcześniej.

Do: Gabriela
Od: Marinę Vandale
Temat: Jabłka kontra małżże
Chcesz powiedzieć, że mając wolną chwilę, zrezygnowałeś
z jabłka na rzecz oślizgłych małżży?

Do: Marinę
Od: Gabriel Champagne
Temat: Frajer 101
Fakt, że chodzimy ze sobą zaledwie od dwóch tygodni, ale
musiałaś już chyba dostrzec, jakim jestem frajerem. Jeżeli
nie, to pozwolę sobie zwątpić w twoją spostrzegawczość.
Mam tu przyjaciół. No i jest Harvard z jego wytworną at-
mosferą. Przed nudą sympozjum medycznego jest to nasz
odpowiednik przyjęć „Playboya”*.

* „Playboy” - aluzja do słynnych przyjęć organizowanych przez
właściciela miesięcznika „Playboy”.

Do: Gabriela
Od: Marinę Vandale
Temat: (brak)

Uważaj, co do mnie piszesz. To wygląda na plan doprowadzenia Hugh Hefnera do zawału serca. Przynajmniej będzie w dobrych rękach. Opowiedz mi o Nowym Jorku. Możesz o Bostonie, jeśli wolisz. To znaczy, jeśli się przy tym upierasz.

Do: Marinę
Od: Gabriela Champagne
Temat: Życie zakonne

Choćbym nie wiem, jak się wysilał, nie bardzo umiem opisać w interesujący sposób te dwa dni spędzone między lekarzami w centrum kongresowym. Nawet jeżeli to centrum znajduje się w Nowym Jorku. Twój brat pewnie by potrafił. Mogę tylko powiedzieć, że jedzenie jest iście królewskie, jakby organizatorzy chcieli zrekompensować nudę obrad jakością potraw. Wożą nas po niesamowitych lokalach, w których przygotowanie każdej potrawy wymaga więcej pracy i wiedzy niż zaliczenie pierwszego roku medycyny.

Do: Gabriela
Od: Marinę Vandale
Temat: Cholera!

Uprzedzałam, że mogę być zazdrosna, więc nie musisz mnie dobijać. Codziennie jestem w szpitalu u taty. I chociaż moja miłość córki jest wielka, jak wiesz, jednak moje zadanie jest o wiele mniej atrakcyjne niż twoje eskapady gastronomiczne. Szczęście, że Fred już wrócił. Bo inaczej rodzicielski duet (mama, która się zamartwia, i tata, który najwyraźniej dalej chce być chory, bo dzięki temu może uniknąć rozmów z mamą, która się zamartwia) by mnie chyba wykończył.

Do: Marinę
Od: Gabriela Champagne
Temat: Braciszek
Uwielbiam twój brata.

Do: Gabriela

Od: Marinę Vandale

Temat: BRAT!

Wiem. Zobaczyłam to wyraźnie, kiedy zaczęliście otwierać piątą butelkę wina. Ale uprzejmie proszę, nie nazywaj go nigdy braciszkiem. Może tego nie zauważyłeś, ale to słowo działa na mnie jak płachta na byka.

Do: Marinę

Od: Gabriela Champagne

Temat: Tak jest!

Jak sobie pani życzy, mademoiselle Vandale.

Do: Gabriela

Od: Marinę Vandale

Temat: Panna ciekawska

A co robisz dzisiaj wieczorem?

Do: Marinę

Od: Gabriela Champagne

Temat: Pan niezdecydowany

Jeszcze nie wiem. Może pójde na kolację ze starą przyjaciółką. Albo przejdziemy się po pubach z dwoma kumplami ze szkoły. Mówię ci, w Bostonie jest mnóstwo możliwości.

Do: Gabriela

Od: Marinę Vandale

Temat: (brak)

Kiedy wracasz?

Do: Marinę

Od: Gabriel Champagne

Temat: Powrót do Montrealu

We wtorek lub w środę. Jeszcze nie wiem. Ale obiecuję, że przylecę wielkim niebieskim boeingiem.

Rozdział 16

- Julian, bądź poważny! Stara przyjaciółka? Nawet nie wie, kiedy wraca!

Julien leżał na swojej wielkiej kanapie, czytając wydruk mojej korespondencji z Gabrielem.

- Wciąż nie mogę uwierzyć, że to wszystko wydrukowałeś. Marinę, udało ci się podnieść poziom żalosości naszej małej grupki na sam szczyt.

- Jeff kiedyś powiedział jakiejś dziewczynie, żeby mu pożyczyła ćwierćdolarówkę, bo matka kazała mu zadzwonić natychmiast, gdy tylko spotka kobietę swego życia.

- Ale wtedy to zadziało.

- Laurent spędził kiedyś trzy godziny, siedząc za barem w Lulli, żeby tylko nie zauważyła go jakaś dziewczyna, z którą kiedyś się raz przespał.

- No... - Julien zaczął się zastanawiać - to z pewnością nie było gorsze... No i przy okazji mógł sobie podglądać Andrew od dołu. Chociaż chyba tego... Nie... Ty dzierzysz palmę pierwszeństwa w żalosości.

- Jak chcesz. Zmuszasz mnie, żebym ci przypomniała, że sam kiedyś wysłałeś ze dwadzieścia listów erotycznych do dwudziestolatka, który miał cię w nosie.

- To były piękne listy.

- To była nędzna pornografia.

- Nawet ich nie czytałeś.

- Mylisz się, młody człowieku. Wydrukowałeś je na drukarce Jeffa...

- Czytaliście je?

- I to jak! Niektóre nawet na głos. Koktajl i erotyka. Hit sezonu.

- Ale nie były żałosne.

- „Mój ciekawski język wolno brodzi po napiętym członku...”.

- Niech ci będzie. Remis.

Wzięłam się pod boki i z uniesionymi brwiami popatrzyłam na niego wymownie.

- No dobra. Ja dzierzę palmę żałosności. Ale i tak jesteś blisko. Powinnaś podchodzić do tego spokojniej.

- Ty mi to mówisz?

- Przestań ciągle się odszczekiwać. Stajesz się dziewczynką, której nikt nie lubi.

- Może i masz rację.

Złapałam się za głowę i chodziłam przed nim w tę i z powrotem. Miał rację. Stałam się dziewczyną bez wiary w siebie, rozdieraną emocjami, niepotrafiącą się wycofać, która czepiała się każdego faceta po czterdziestu ośmiu godzinach znajomości i od razu wyobrażała sobie dzieci, dom i wspólną starość. Usiadłam na kanapie obok Julienu, który odruchowo unióś rękę, żeby mnie przytulić.

- Sama nie wiem, co się ze mną dzieje. Nie wiem, czy to z powodu Gabriela, który działa na mnie jak nikt od wielu lat, czy myślę to z miłością. A może naprawdę jestem zakochana? A może po prostu stałam się zdesperowaną wariatką... Nie zachowywałam się tak, kiedy miałam dwadzieścia pięć lat.

- Naprawdę?

- Co, naprawdę?

- Naprawdę to zawsze lubiłaś mocno przesadzać - aż się wyprostowałam, tak mnie to dotknęło. Udawałam, że się bardzo obraziłam, ale właściwie tylko częściowo udawałam.

- Ale za to cię kochamy. Przyznaj jednak, że...

- Wariuję?

- Dopiero od dwóch tygodni. Wiem, że to nie jest twój zwykły stan...

- Ty wiesz? Ty wiesz! Też coś!

- Spróbuj spojrzeć na siebie z boku, Marinę.

Spojrzałam. Musiałam mieć podobną minę, jaką miała moja przyjaciółka Melania, kiedy oglądałyśmy w piżamach po raz pierwszy *Diny Dancing*, mając po jedenaście lat. Za każdym razem, kiedy na ekranie pojawiał się Patrick Swayze, turlałyśmy się po podłodze.

- Julien, musisz mi pomóc. Obiecaliśmy sobie, że wydorostujemy, ale teraz stałam się chyba za bardzo dorosła.

- Pomogę ci, biedaczko. Jeżeli chcesz, żeby miłość trwała zawsze, to nie strasz go cierpieniami duszy na samym początku.

- Albo umawiając się z facetem przez Internet, pomyśl, że to może być twój facet, tylko pod pseudonimem.

- Właśnie.

Stosunki między Julienem i Mathiasem ulegały poprawie. Widywali się od czasu do czasu na kawie lub na kolacji. Ale Mathias wciąż był obrażony. Podejrzewałam, że udaje wyniosłego i spokojnego, chociaż w rzeczywistości chciałby się szybko pogodzić. Podziwiałam jego dumę i silną wolę. Ja natomiast byłam w gorącej wodzie kąpana, pakowałam się w różne sytuacje bez chwili namysłu i pozwalałam sercu wymyślać niestworzone historie, w które wierzyłam wbrew logice i zdrowemu rozsądkowi.

- Ale mówimy o tobie - ciągnął Julien - a idąc jeszcze dalej, o naszych uszach, które powoli tego nie wytrzymują. Musisz wreszcie przestać analizować wszystkie szczegóły, jakby od nich zależało twoje życie - otworzyłam usta, żeby odpowiedzieć - i nie mów mi, że zależy, dobra?

- Dobra.

- Marinę, to wspaniały facet. Widujecie się prawie codziennie od dwóch tygodni. Powiedz mi wreszcie, co cię niepokoi?

Co mnie tak niepokoi? Wiedziałam, że Julien ma rację. Ale wieczne niepokoje i ciągłe doszukiwanie się drugiego dna stały się dla mnie tak naturalne, że nie potrafiłam już postępować inaczej. Gdybym nagle zaczęła się zachowywać normalnie, to nie wiem sama, co mogłabym zrobić.

Przez te dziesięć dni otworzyłam się przed Gabrielem jak przed nikim dotąd. W gruncie rzeczy zdawałam sobie sprawę,

że stało się tak dlatego, że nie znałam go zbyt dobrze. Pewne sprawy łatwiej przychodzą, kiedy się je opowiada ludziom, którzy nas za dobrze nie znają. Nie umiałam tak postępować z Laurentem czy z Jeffem. Opowiadając mu o swoich różnych przeżyciach, nie musiałam się wysilać. Mówiłam po prostu, jak było, nie analizując niezliczonych powiązań, jak to się działo w wypadku zwierzeń kierowanych do chłopaków. To był dziewiczy teren, na którym się czułam sobą i byłam zadziwiająco swobodna. Może wynikało to z olbrzymiego zaufania, jakie we mnie wzbudzał Gabriel, z jego solidności, sama nie wiem. Przy nim byłam po prostu sobą, a w jego zielonych oczach widziałam swoje niedoskonałe odbicie, które było naprawdę mną, a nie kimś udawanym.

Spędzaliśmy razem całe dni. Zaniedbywałam ojca i wmawiałam sobie (głupio, jak to zwykle czynią zakochani), że przecież tata pragnie mego szczęścia, że nie można pomóc innym, jeżeli samemu nie jest się szczęśliwym.

Próbowałam jakoś nad tym zapanować, jakoś okiełznać tę nieracjonalną błogość towarzyszącą każdemu naszemu spotkaniu i równie nieracjonalny strach, kiedy nie miałam z nim kontaktu przez cały dzień. Razem leżeliśmy na wielkiej wełnianej narzucie kładzionej na łóżko codziennie dla wygody i było nam ze sobą tak dobrze, że w ogóle nie chciało nam się wstawać.

Nasze ciała pozostawały splecione razem i układaliśmy listy, nikomu niepotrzebne listy różnych rzeczy. Na przykład naszych największych pasji czy spraw, które najbardziej zaprzatają nasze myśli. Morze, książki, samotny spacer po mieście, chwila, w której uświadamiasz sobie, że możesz uratować komuś życie, moment, w którym uświadamiasz sobie, że się zakochujesz - to były tematy Gabriela. Samotność w ogólności, oddanie ciała i serca, obcowanie z ludźmi, dążenie do szczęścia, polot - to moje. (Kłóciliśmy się co do „samotnego spaceru po mieście”, ale odpuściłam mu w zamian za „samotność w ogólności”).

Inne zestawienia obejmowały nasze ulubione smaki, osoby, które chcielibyśmy zaprosić na kolacje w zaświatach (on wybrał Brillant-Savarina, Ritę Hayworth i Mordecka

Richlera, a ja Walta Whitmana i Prousta jako gości i Baudelaire'a i Nezvala jako kelnerów); najlepsze anegdoty z życia i fragmenty książek, które nas najbardziej wzruszały. Było to pretensjonalne i naiwne, ale i wspaniałe. A kiedy nie byliśmy razem, każde z nas *starło się* wymyślić kolejną listę do zrobienia. W ten sposób poznawaliśmy nawzajem nasze charaktery, nasze gusty i przyzwyczajenia i sprawdzaliśmy, czy będą pasowały do siebie.

Wyznaczał mi spotkania w kawiarniach lub w małych knajpkach, a ja przybiegałam dosłownie na każde jego wezwanie. Serce za każdym razem biło mi jak oszalałe, nie mogłam złapać tchu i traciłam nawet swój wilczy apetyt. Siadaliśmy naprzeciw siebie, a ja zatapiałam się w jego oczach, słuchając poważnego i ciepłego głosu, i nigdzie się nie śpieszyliśmy, mogło to trwać wiecznie. Wychodziliśmy z tych spotkań w stanie nieznanego mi dotąd upojenia, które nie mijało, gdy znajdowaliśmy się już w domu na wełnianej narzucie.

Potem następowały chwile rozłąki, kiedy on pracował, co jakoś znosiłam, oraz chwile, kiedy nie wiedziałam, co właściwie robi. Czyta, spaceruje samotnie po mieście, spotyka się z przyjaciółmi? Ta niewiedza była dla mnie torturą, bo ja pragnęłabym przebywać z nim nieustająco. Któregoś wieczoru mówił mi o potrzebie niezależności i wolności w jego życiu. Czułam, że nie chodzi mu o jakieś ostrzeżenie, ale raczej o coś oczywistego, o czym powinnam wiedzieć, tak jak i o innych zwyczajnych sprawach, które składały się na jego osobowość. O ile jednak wszystko w nim mnie zachwycało, o tyle ta wolność i niezależność budziły we mnie lekki niepokój.

Wszyscy cierpliwie mi przypominali (to znaczy Julien, Laurent i Jeff), że znamy się z Gabrielem zaledwie dwa tygodnie i jeśli stracę panowanie nad swoją zaborczością i przestanę się kontrolować, to Gabriel z całą pewnością weźmie nogi za pas i nasz piękny związek skończy się, zanim jeszcze się naprawdę zaczął. Mieli rację, oczywiście, ale mój umysł był wyjątkowo oporny na takie rozsądne tłumaczenia. W końcu byłam kompletnie i nieprzytomnie zauroczona Gabrielem, mogłam sobie nawet zdawać sprawę, że nie jest to jeszcze

prawdziwa miłość, ale - jakkolwiekby je nazwać - to uczucie wszystko pomieszało i poprzestawiało mi w głowie. W krótkich chwilach rozsądku dostrzegałam u siebie z poważne symptomy oderwania od rzeczywistości.

- Dzięki - powiedziałam Flavie, kiedy usiadła ze mną przy barku w Lulli.

- Znowu... - Westchnął Andrew, który miał już dość mojego gruchania i bajdurzenia na temat Gabriela.

- Nie ma za co, kurczaczku.! - Miała dzisiaj na sobie normalną dzinsową kamizelkę, a pod nią białą sukienkę z nadrukowanymi czereśniami zaczynającymi się w talii i ciągnącymi przez całą szeroką spódnicę, mającą dobry metr średnicy. Nosiła buty na olbrzymich obcasach obciągniętych ładną zieloną skórą. Wydawało mi się to nieco pretensjonalne, jako że i tak była wysoka i nawet bez tych obcasów przewyższała mnie o głowę.

- No więc - powiedziała, poklepując jednocześnie Andrew po plecach - co się dzieje?

- Muszę porozmawiać wreszcie z jakąś dziewczyną.

- Słucham? - Roześmiała się, odrzucając głowę do tyłu i przytrzymując jedną ręką słomiany kapelusz. - Ty? Z dziewczyną? Wiedziałam, że któregoś dnia wrócisz do swoich, Marinę Yandale.

- No dobra. Miałaś rację.

- Zakochałaś się? Prawda?

- Co? Nie. - Musiałam wyglądać jak dziecko przyłapano na podbieraniu słodyczy.

- Znam cię przecież. Zawsze wszystko omawiałaś ze swoimi kumplami lub bratem. Jesteś za dumna, żeby przyznać, że niekiedy kumpelki potrafią lepiej poradzić niż ci wszyscy twoi faceci.

- No dobra, teraz już masz rację.

- No i dobrze wiem, że kiedy dziewczyna najbardziej potrzebuje porady przyjaciółek, to znaczy, że jest zakochana albo... - Przez chwilę zastanowiła się i dodała chichocząc - ... potrzebuje szczerzej opinii na temat nowego rozmiaru czy fasonu biustonosza. No więc o co chodzi? Zapomniałaś,

czy nosisz B, czy C, czy raczej jesteś zakochana w Gabrielu? Śmiało! Nie będziemy przecież tu sterczeć całą noc! - Zdażyła już wypić cały kufel piwa i dała znak Andrew, żeby jej dołał. W jej dłoniach kufel robił wrażenie małej szklaneczki.

- Więc słuchaj, czy to normalne, że po dwóch tygodniach chodzenia z facetem dziewczyna dosłownie wariuje, kiedy facet nie dzwoni przez dobę albo kiedy wygłasza długi *speech* na temat swojej potrzeby niezależności?

Flavie przyłożyła palec do ust i zamyśliła się bardzo głęboko.

- Chcesz wiedzieć, czy jest to normalne w sensie „zalecane”, czy chodzi ci o definicję?

- Jedno i drugie.

- Chwilę! Wiesz, że to złe podejście do facetów?

- Tak, tak, wiem. Ale czy powinnam się martwić, że nie potrafię inaczej odczuwać?

- Nie. Wszystkie tak czujemy.

- Naprawdę??? - Ucieszyłam się, jakbym właśnie wygrała milion w totka.

- Ale... - kontynuowała Flavie - dla większości z nas oczywiste jest, i ty też musisz zdać sobie z tego sprawę, że jakiegokolwiek pretensje pod adresem faceta na temat wolności i niezależności to chyba najlepszy na świecie sposób, żeby takiego gościa kompletnie do siebie zniechęcić, zwłaszcza jeżeli już ci zrobił wykład o niezależności.

- Więc się hamuję.

- I postaraj się, kurczaczku, uspokoić, na ile oczywiście potrafisz.

- To wykonalne?

- Szczerze? - Wypiła wielki łyk piwa. - Bardzo trudne, ale wykonalne. - Zaczęłyśmy się głośno śmiać. Flavie wzięła mnie za rękę i poważnym głosem powiedziała: - Witaj, kochaniutka, w krainie o nazwie Girlland.

- No tak...

- Dla twojej informacji ja nigdy stąd nie wychodziłam, zawsze tu żyłam.

- Wiem...

- Twoja siostra Elodie również.

- Moja siostra Elodie jest gubernatorem krainy o nazwie Girlland.

- Przynajmniej tak jej się wydaje, kruszynko. Ty jesteś jak ktoś, kto zawsze sobie wmawiał, że pochodzi z Boyco-untry, ale przecież to nie jest twój prawdziwy świat. Musisz przestać żyć złudzeniami, Marinę, jesteś kobietą.

- Cholera, marnie...

- O nie! - zrobiła potwornie obrażoną minę - nie pozwolę ci obrażać współmieszkanek Girllandu. Więcej szacunku, złotko.

- Przecież zawsze się śmiałam z Francuzek...

Walnęła mnie w bok łokciem, tak że prawie spadłam ze stołka.

- Kretynka - odgryzła się, ale z uśmiechem.

- Pytam poważnie, Flavie. Miałaś już coś takiego?

- Jasne. Czytałam kiedyś we Francji listy mojego chłopaka.

- Co? - Złapałam się za głowę, autentycznie wstrząśnięta.

- Flavie, to okropne!

- Mogę ci podać nazwiska co najmniej dwudziestu dziewczyn, które robiły to samo. A jak się dobrze zastanowię, to dorzucę kilku facetów.

Pomyślałam o Mathiasie i przytaknęłam głową, przyznając jej rację.

- Ty nie musiałaś tak postępować z Laurentem - ciągnęła Flavie - bo... bo... wasz związek był taki prosty. Ale teraz, jeżeli chcesz, żeby wam się udało z Gabrielem, kurczaczku, musisz dać mu trochę swobody.

- Ale mówiłaś, że większość dziewczyn zachowuje się tak samo!

- A teraz mówię ci, że większość dziewczyn, które myślą rozsądnie, również rozsądnie postępuje. Żaden facet na świecie nie chce się wiązać z przewrażliwioną wariatką.

- Hmm... - potarłam ręką czoło - to bardzo skomplikowane. Jeżeli zacząć to robić, to będzie znaczyło, że uprawiam jakąś grę, że oszukuję.

- Nie. To znaczy, że wreszcie przejrzałaś na oczy. Że zaczynasz normalnie oddychać. Oddychaj, Marinę! Oddychaj.

Odruchowo wzięłam głęboki oddech i od razu poczułam się lepiej. Miała niestety rację. Przypomniałam sobie słynną teorię Juliana, według której im bardziej nie układa nam się w życiu prywatnym, tym lepszych udzielamy rad.

- A ty Flavie? Czy u ciebie wszystko w porządku?

- Tak, w porządku.

- Flavie...?

- OK.

- Flavie!

Spojrzała na mnie z uwagą i podstawiła mi pod nos palec z paznokciem pomalowanym na strażacką czerwień.

- Jeżeli coś ci powiem, to mi przyrzekniesz, że nikomu, ale to nikomu nie powiesz ani słowa?

- No, to zależy...

- Marinę! Cholera! Girlland!

- Co?

- To jedne z zasad obowiązujących w tym świecie - milczenie i tajemnica. Nie zdradzamy swoich tajemnic.

- Zawsze uważałam, że to dziewczyny mają tendencje do zdrady, a chłopcy...

- No to chcesz wiedzieć czy nie?

- Jasne, że chcę. Morda w kubeł.

- Przysięgasz?

- Tak.

- Przysięgasz?

- No, tak!

- Przy-się-gasz?

- Taaak!

- Na zdrowie swojego taty?

Miałam jej właśnie odpowiedzieć, gdy nagle Andrew walnął pięścią w blat baru i zasyczał:

*-Jesus, girl, she said she sweared**

Flavie spojrzała na niego, mrużąc złowrogo oczy (wyglądała jak złośliwy bohater komiksu) i odwróciła się z powrotem do mnie.

*** *Jesus, girl, she said she sweared* - Jezu! Dziewczyno! Przecież powiedziała, że przysięga! - ang.**

- Przysięgam! Pluję za siebie. Krzyżuję palce, jeżeli kłamię, to niech szczenę w piekle, na Jeffa, Julię, Laurenta, Freda, Claude'a-Francois, moje siostry i moich rodziców, na stary sweter z kaszmiru, Gabriela i nawet na Jerry'ego Seinfelda*.

- No wiesz. Wolałabym, żebyś jednak przysięgła najpierw na swoją głowę, a nie na Jerry'ego, ale niech będzie.

- No to powiedz wreszcie. Wal!

Otworzyła usta - siedziałyśmy obie oparte o bar, twarz przy twarzy - ale zawahała się i obie spojrzałyśmy, żeby zobaczyć, czy Andrew nie podsłuchuje. Oczywiście prawie położył się na bacie, żeby lepiej słyszeć.

- Zjeżdżaj!!! - wrzasnęłam i natychmiast znalazł się na drugim końcu baru. Widać trochę się przestraszył, ale myślę, że bardziej bał się mocno zbudowanej Flavie niż mojego tonu.

- Chodzi o Jeffa - powiedziała Flavie.

- ???...

- Nie przejmuj się. Nic nie było.

- Czemu miałabym się przejmować?

- Bo wiem, do czego między wami doszło. I wyobrażam sobie, jak możesz czuć się po czymś takim. I wiem jeszcze, że żadna kobitka na ziemi nie ma ochoty, żeby jakaś przyjaciółka zaliczała jej byłego kochanka.

- To on ci opowiedział? - spytałam zdruzgotana.

- Coś ty, kretynko. Sama się domyśliłam. Tylko ślepy by się nie domyślił.

- Och, myślisz, że Gabriel...

-Tak.

- Och, ale... czekaj, co ty chciałaś właściwie mi powiedzieć?

- Twój współlokator, pacanko! - szepnęła. - Myślę tylko o nim!

- OK, byłoby mi łatwiej pojąć, gdybyś dodała coś jeszcze oprócz jego imienia.

*** Jerry Seinfeld - znany amerykański komik i satyryk. Ostatnio występował wraz z Billem Gatesem w reklamie Windows dla Microsoftu.**

- Ja... myślisz, że mam u niego jakieś szanse?

- No...

- Po raz pierwszy od wielu tygodni przestałam myśleć wyłącznie o Gabrielu. Zaczęłam sobie wyobrażać sielankowy obrazek - Flavie z Jeffem trzymają się za ręce, śmieją się, obejmują czule na kanapie itp. To by było cudowne, powtarzałam sobie w myślach, starając się uwierzyć, że naprawdę im tego życzę. Daremnie. To mnie niepokoiło. Spojrzałam na Flavie i nie mogłam niczego wymyślić w odpowiedzi. Obie siedziałyśmy więc w milczeniu przez dłuższą chwilę, patrząc badawczo na siebie nawzajem. Wreszcie nie mogłam tego wytrzymać i parsknęłam śmiechem, a Flavie zaraz za mną.

- Obie jesteście żałosne, co?

- I co z tego. Jesteśmy żałosne, trudno. Ale jak sądzisz?

- Myślę, że tak. Masz szanse.

- To cię nie wkurza?

- Phi... - starałam się pomyśleć - wiesz co? Przeżyję to jakoś.

- Na pewno?

Uśmiechnęłam się i przytuliłam ją, a właściwie wpadłam w jej wielkie ramiona.

- Nie, ale będę musiała jakoś z tym żyć. Bo to mnie wkurza. Ty i Jeff razem. - Sama nie wierzyłam, że to powiedziałam. Była to jednak prawda, ale ulżyło mi, że to jednak powiedziałam na głos.

- Wiesz co? - powiedziała Flavie, ściskając mnie - damy sobie radę.

- Na pewno?

- Na pewno. Coś wymyślimy.

- Flavie...

- Słucham?

- Naprawdę myślałaś, że noszę rozmiar C?

Starałam się nie czekać na niego. Było już po północy, a ja jeszcze nie spałam, bo jego samolot lądował o jedenastej trzydzieści w nocy i nie bardzo wiedziałam, co mogłabym innego robić poza czekaniem. O jedenastej trzydzieści pięć

zaczęłam chodzić nerwowo po mieszkaniu, tylko Claude-Francois wodził za mną wzrokiem, ale chyba musiał mnie rozumieć, bo jako rasowy kot opanował do perfekcji sztukę chodzenia po mieszkaniu bez celu.

- Siostrzyczko... - powiedział Frederic, wchodząc do pokoju. - Przestań!

- Nie umiem. Poważnie. Nie potrafię - wreszcie dotarła do mnie absurdalność mojego zachowania i zaczęłam się śmiać. - Daję ci słowo - dodałam.

- Przestań - wykrztusił Fred, również się śmiejąc - to nie jest śmieszne.

- Sam się śmiejesz!

- Wiem, ale to nienormalne...

- Zdaję sobie sprawę z absurdalności swojego zachowania, ale nie potrafię... absolutnie nie potrafię się pohamować. Nie umiem myśleć rozsądnie. Nie potrafię się skupić na niczym innym. Fred. Nawet nie mogę już oglądać seriali.

- Oooo...

- Cholera. Dotąd byłam nieznośna. Teraz zwariowałam - znowu zaczęłam się śmiać nerwowo.

- Napijesz się wina? - spytał Fred rzeczowo.

- Beczkę wina. Ale nie chcę się upić, bo jeśli zadzwoni...

- Znam cię na tyle, żeby wiedzieć, że kieliszek wina ci nie zaszkodzi. Jeżeli jednak zaczniesz rezygnować z wszystkiego tylko dlatego, że Gabriel „może zadzwoni”, to zacznę się o ciebie niepokoić. Naprawdę chcesz dołączyć do tych dziewczyn, które przestają dzwonić do znajomych i kompletnie odseparowują się od wszystkich, ponieważ poznały nowego faceta?

- No... nie... - zrobiłam żalostną minę i wyciągnęłam rękę po kieliszek, który mi przygotował - cholera... Sądziś, że mi to minie?

- Mam nadzieję!

Usiadł na kanapie, a ja usiadłam obok, opierając nogi na jego kolanach. Claude-Francois, zadowolony, że wreszcie zaprzestałam wędrówek po mieszkaniu, usadowił się na oparciu kanapy, tuż za moją głową. Chrapał tak potężnie, że drgania przenosiły się na obicie kanapy.

- On już nie może głośniej chrapać?
- Nie wiem, a mówiąc szczerze, to naprawdę nie wiem, czemu tak się zachowuję...
- No nie! Czy naprawdę nie potrafisz już rozmawiać o niczym innym?
- Nie. Myślisz, że to by znaczyło, że naprawdę go kocham?
- Marine! Znacie się od dwóch tygodni! - zawołał, po czym zastanowił się chwilę i dodał. - Posłuchaj. To na pewno coś oznacza, ale zanim mówiłbym aż o miłości, na twoim miejscu najpierw starałbym się trochę spokojniej do tego podchodzić. Zwłaszcza że facet jest przywiązany do swobody...
- No właśnie. To błędne koło. Powtarza mi, że lubi swobodę. Korzysta z niej, nie dając znaku życia przez dzień lub dwa, a ja z miejsca świruję, czepiam się go i denerwuję coraz bardziej... to katastrofa.
- Daj spokój... - zaśmiał się trochę lekceważąco - spotkałem się z nim, widziałem was razem, rozmawiałem z nim o tobie i mogę przysiąc, wygląda na to, że jest skłonny z tobą zostać, jeżeli oczywiście go nie wystraszysz.
- Jak mogę go nie wystraszyć, Fred? Stałam się przewrażliwioną wariatką.
- Dobrze więc. - Delikatnie odsunął moje nogi, wstał i podszedł do fotela - mam pewną teorię, ale wolę przekazać ci ją z pewnej odległości. Dla własnego bezpieczeństwa. Czy nie może być tak, że umyślnie starasz się przekonać samą siebie, że ten związek nie ma szans, bo... bo ty zawsze tak robisz?
- Zaraz potem schował się za fotelem, w ostatniej chwili unikając ciosu poduszką, którą w niego rzuciłam.
- To tylko teoria - zapewnił mnie zza fotela.
- Głupia teoria. Naprawdę. Ja chcę, żeby nam wyszło.
- Na pewno?
- Jeżeli chcesz zdążyć na samolot do Paryża, to lepiej mi uwierz.
- No dobra. Wierzę. Chcesz, żeby wam wyszło - powiedział, machając białą chustką do nosa.
- No dobra, wyłaź już - zawołałam, śmiejąc się z niego.

Wtedy zadzwoniła moja komórka.

- Marine! Nie! - wrzasnął Fred, kiedy przefruwałam ponad stołem, żeby natychmiast odebrać telefon. - Nie może myśleć, że nie robisz nic innego poza czekaniem z telefonem w rękę, aż on zadzwoni, chociaż to prawda.

- Co? - Stanęłam na środku salonu, ciężko dysząc. Czuję się kretyńsko. Oczywiście miałam wlepione w telefon, który właśnie przestał dzwonić.

- Brawo, siostruniu! - pochwalił mnie Fred. - Tak trzymać.

- Och... - Teraz całkiem spokojnie wzięłam do ręki komórkę i zobaczyłam, że to rzeczywiście dzwonił Gabriel. Podskakiwałam, piszczałam, wrzeszczałam, jednym słowem, zachowywałam się jak niedorozwinięta.

- OK - powiedział Fred, próbując mnie uspokoić - teraz, być może nadludzkiem wysiłkiem, ale postarasz się do jutra rana do niego nie telefonować.

- A jeżeli chce się ze mną teraz spotkać?

- To zadzwoni jeszcze raz albo dziś, albo jutro.

Potrząsnęłam głową, starając się oprzytomnieć. Głębokie wdechy, zalecane przez Flavie, zdecydowanie pomagały. Uśmiechnęłam się do Freda.

- Dziękuję, że tu jesteś. Dziękuję, że tu jesteś i że jesteś sobą i że nie oceniasz mnie, kiedy naprawdę jestem sobą.

- Och, nic z tych rzeczy. - Akurat przełykał wino i zdążył tylko zrobić ruch palcem. - Nie, nie - usłyszałam, kiedy przełknął - właśnie cię oceniam. Nie miej złudzeń.

Walnęłam go pięścią w klatkę piersiową.

- Nie wyjeżdżaj.

- Muszę.

- Możesz pisać gdziekolwiek...

- Może, ale jeszcze nie skończyłem z Paryżem. Wiesz, o czym mówię? Jestem dziko zakochany w tym mieście, jak wariat.

- Przekłete podfruwajki...

- Może i podfruwajki, ale wiesz, że zawsze byłem łatwym chłopcem...

- Popapraniec... - na chwilę przytuliłam się do niego - przyślesz mi dalszy ciąg swojej książki?

- Nikomu innemu jej nie wysyłam. Przyjedziesz do mnie?

- Jasne.

Milczeliśmy przez chwilę. Fred odsunął mnie trochę od siebie, żeby na odległość lepiej mi się przyjrzeć.

- Czy już sobie wyobrażasz, jak spacerujecie z Gabrielem po moście artystów?

-Jasne...

Uśmiechnął się ze zrozumieniem, a potem mnie zapytał, czy zaopiekuję się tatą. Dziwne pytanie, bo przecież i tak to robiłam. Oczywiście, że się zajmę tatą. I oczywiście, że obydwójce byliśmy przekonani, że tacie może się już tylko polepszyć. Byliśmy młodzi i pełni optymizmu i nie potrafiliśmy się przejmować na wyrost nawet takimi poważnymi sprawami. Tata miał się coraz lepiej. Był już w stanie przejść kilka kroków, a nawet powiedzieć to, co chciał (powoli, z wysiłkiem, ale wyraźnie). Gabriel twierdził, że oprócz niewielkich uszkodzeń mózgu miał zdrowie trzydziestolatka, co u człowieka, który przez pięćdziesiąt lat wypalał po trzy paczki papierosów dziennie, zakrawało na cud.

I przede wszystkim odzyskiwał pamięć. Dotąd coś uciśkało mu mózg i nie potrafił sobie przypomnieć wielu rzeczy. A teraz przypominał sobie wszystko, co było dużo wcześniej, i pamiętał sprawy sprzed kilku dni, co dodawało mu sił.

Mama natomiast dochodziła do siebie o wiele wolniej. Czasami miałam wrażenie, że czuje wręcz do ojca jakąś ukrytą pretensję, że był przyczyną jej silnej depresji, że ją naprawdę potwornie przestraszył - a teraz, proszę, spokojnie wyleguje się w łóżku.

- Przejdzie jej to - uznał Fred.

- Wiem. - Wierzyłam w to. Wierzyłam tak bardzo, że nie próbowałam nawet wybiegać w przyszłość. W porywie nagłego entuzjazmu powiedziałam: - Nigdy nie uwierzysz, czego się dowiedziałam od Flavie.

Gabriel zadzwonił i poczułam się wyzwolona. Wreszcie mogłam zacząć myśleć o innych sprawach. Fred uśmiechnął się znacząco. Jakkolwiek by to było infantylne i absurdalne,

miałam wrażenie, że ważę z dziesięć kilo mniej. Byłam szczęśliwa.

- Czego?

- Ona ma chętkę na Jeffa. Dokładnie mówiąc; „myśli o nim bez przerwy”.

- Sądzisz, że się ucieszy, jeśli się dowie, że mi o tym powiedziałaś?

- Nie, ale przecież nie powiesz nikomu. Więc nic się nie stanie.

- Dziwna logika.

- Babska logika.

- A więc zakładasz, że jesteś kobietą?

- Nie mam wyboru - odparłam i oboje się roześmialiśmy.

- Przejmujesz się tym? - spytał Fred.

- Nie wiem. Z początku owszem, zabolało mnie... ale co tam! Powtarzam sobie, że nie mam prawa się tym przejmować. Stałam się na pół wariatką z powodu Gabriela, więc jak mogłabym się oburzać na myśl, że dwoje moich najlepszych przyjaciół chce być szczęśliwych razem.

- *My God...* możesz to sobie wyobrazić? Flavie i Jeff razem?

- Właśnie... Będę mieli metrowe noworodki!

Śmialiśmy się znowu, kiedy wrócił Jeff.

- Czołem, braciszku - powiedział radośnie, a jego twarz rozjaśniła się szerokim uśmiechem, który mi sprawił wielką przyjemność.

Pomyślałam, że bardzo bym chciała, żeby był szczęśliwy. Nawet zaczęłam to sobie wyobrażać i poczułam się jeszcze bardziej szczęśliwa. Miałam ochotę podejść i go przytulić. Właściwie miałam ochotę uściskać cały świat w idiotycznym napadzie miłości do wszystkiego i wszystkich.

Potem jego mina spoważniała, jakby się bał, że znowu z czymś wyskoczę. A przecież nie było już między nami napięcia. Przynajmniej kiedy byliśmy sami albo w gronie chłopaków. Nauczyliśmy się rozmawiać ze sobą jak dawniej, chociaż trochę to przypominało naukę chodzenia po ciężkim złamaniu nogi. Kiedy się spotykaliśmy i był z nami Gabriel,

Jeff zachowywał się grzecznie. Nic ponadto. Ale ja również w takich sytuacjach starałam się być w stosunku do niego delikatna i miła, ale tak, aby nie urazić Gabriela.

- Twój mężczyzna chyba miał dzisiaj wrócić? - spytał Jeff, nalewając sobie wina.

- Tak, ale wolę spędzić trochę czasu z przyjaciółmi i moim bratem. Przecież odlatuje za dwa dni.

- Jesteś przewrotna... - zaśmiał się Fred.

- No dobrze już. Ja właśnie... staram się po prostu dać mu chwilę spokoju... żeby się nie zraził.

- Dziwne podejście - stwierdził Jeff. - Sądzę, że gdybym zakochał się w jakiejś dziewczynie, to chciałbym z nią być bez przerwy.

- Kłamca - powiedział Fred - ty ze wszystkich ludzi najprędzej ześwirowałbyś od tego. Dystans to najważniejsza forma każdej relacji, mająca same zalety nie do przecenienia.

- Byleby nie przesadzić z tym dystansem.

- Tak, należy zachować umiarkowany dystans, czyli złoty środek.

- Który z was może zna dokładną długość tego dystansu w centymetrach?

- To zależy - odparł Jeff - bo faceci mierzą dystans z reguły w kilometrach, a kobiety w milimetrach.

- Jesteście dupki! - zawołałam, a on zaśmiał się i zasłonił twarz ręką, spodziewając się, że rzucę w niego poduszką, która niestety wciąż leżała za fotelem. Musiałam poprzestać na wykrzywionej minie.

- Rozmawialiście ostatnio z Laurentem? - spytał Jeff.

- Nie, a co się stało?

- Spotkałem go w sklepiu na dole, ale się śpieszył. Powiedział mi tylko, że ma dla nas ważną wiadomość.

- I nie spytałeś, o co chodzi?

- Jasne, że spytałem. Ale chce to zachować na jutrzejszy brunch. To chyba dotyczy nas wszystkich. - Popatrzył na mnie uważnie z wyciągniętym palcem. - Tylko nie próbuj się wymigać jakimś głupim tłumaczeniem, że Gabriel zaprosił cię gdzieś tam. Fred wylatuje pojutrze.

- No wiesz... - Zrobiłam urażoną minę. Jak zwykle czytał w moich myślach.
- Myślicie, że chodzi o ten jego nowy film?
- Skądże. Jeszcze nie skończył poprzedniego... w tym tempie skończy za dziesięć lat.
- Może Carole jest w ciąży?
- Coś ty! Braciszku! To przecież Laurent. Nie oczekiwaliśmy cudu.

Julien, Jeff, Fred i ja patrzyliśmy na Laurenta z tak ogłupiałymi, baranimi minami, że zaczął się z nas śmiać. Musieliśmy wyglądać komicznie. Jeden Jeff, któremu nawet nie drgnęła powieka, usłyszawszy nowinę, przytomnie kiwnął na przechodzącą kelnerkę i wymamrotał:

- Szampana! Będziemy potrzebowali butelkę szampana.
- Naprawdę powiedziałeś jej „kocham cię”? - upewnił się Julien - no, no „kocham cię”?
- Prędzej bym się spodziewał, że Carole jest w ciąży - przyznał Fred.
- Nie mogę w to uwierzyć - powtarzałam w kółko.
- A myślisz, że ja mogę? Nikt nie może - odparł Jeff.
- Dobra! Starczy tego! - uciał Laurent. Stojąca obok niego kelnerka Julia otwierała nam bardzo powoli butelkę, chcąc się zapewne dowiedzieć, o co chodzi. - A więc oznajmiłem swojej dziewczynie: „kocham cię”, a ona zrobiła wielkie oczy i powiedziała: „Nie”.

Sympatyczna Julia przysłuchiwała się naszym rozmowom od lat i najwyraźniej ta wiadomość ją również zdziwiła.

- No, najwyższy czas - rzuciła odruchowo. Potem zorientowała się, że nie wypada wtrącać się do rozmów klientów i pośpiesznie uciekła.
- Przestaniecie wreszcie - warknął Laurent - i tak mam kłopot z przetrwaniem tej sytuacji, a wasze spojrzenia mi w tym nie pomagają. Jakbym co najmniej wygrał milion na loterii.
- Bylibyśmy o wiele mniej zaskoczeni, gdybyś wygrał ten swój milion - odezwał się Julien, wywołując energiczne potakiwania głową u pozostałych.
- Poważnie - potwierdziłam.

- A tobie o co chodzi? - spytał Laurent. - Obraziłaś się, że tobie tego nie powiedziałem, kiedy byliśmy razem? Przecież wiesz, że cię kocham. Po prostu...

Mówił coś dalej, ale go nie słuchałam. Nie byłam obrażona. Po prostu mu zazdrościłam, że miał to komu powiedzieć. Od dawna już nie mówiłam „kocham cię” do nikogo. Przynajmniej nie do kochanka. I teraz zrobiło mi się nagle źle i smutno.

Tylko Gabriel miał ten nadzwyczajny dar zarażania mnie swoim optymizmem, w momentach kiedy sama nie umiałam go w sobie wykrzesać. Teraz niespodziewanie pojawił się koło naszego stolika.

- Wiedziałem, że cię tu znajdę - odezwał się, patrząc mi w oczy.

Poczułam falę ciepła rozchodzącą się od serca do głowy, od głowy do palców rąk, od palców rąk do palców nóg; a serce biło mi jak szalone. Wszystkie inne sprawy straciły nagle znaczenie. On był tutaj i wszystko stało się wspaniałe.

Pocałował mnie dyskretnie i dosiadł się do stolika, poklepując się po plecach z chłopakami. Wszyscy prześcigali się w próbach wyjaśnienia mu sytuacji. Dostrzegłam spojrzenie Freda i wyczytałam w nim to samo, co podświadomie czułam. Ze ten radosny żar w moim sercu jest piękny, ale zarazem niebezpieczny. Mój nieopanowany brak dystansu zamieniał mnie w narkomankę przewracającą oczami na widok upragnionego narkotyku.

- Wiesz co, jedź już do tego swojego Paryża - powiedziałam zaczepnie, a brat w odpowiedzi uśmiechnął się ze smutkiem.

Niecałe dwa miesiące później brakowało mi strasznie jego uśmiechu, kiedy po raz setny powtarzałam znudzonym chłopcom:

- Wszystko skopałam. Wszystko. Wiedziałam, że wszystko zepsuję.

Do: Marinę

Od: Frederica Vandale

Temat: Paryż się martwi

Jak się czujesz, piękna?

Do: Freda

Od: Marinę Vandale

Temat: Montreal wywołuje depresję

Pamiętasz taki film Disneya o kojocie? Kiedy przejeżdżał po nim buldożer, robił się taki płaski. Ja czuję się mniej więcej tak samo. Całkiem jednowymiarowa, pusta i niezdolna do najmniejszego ruchu. Jeżeli tak dalej pójdzie, to wtopię się w oparcie kanapy.

Do: Marinę

Od: Frederica Vandale

Temat: Kanapa kanibal

Jeff już mi wspominał, że wybrałaś życie na kanapie i niedługo możesz się z nią zintegrować całkowicie. Nie jestem pewien, czy pomysł oglądania wszystkich odcinków *Chirurgów* na okrągło należy do najlepszych. Dostrzegam pewien związek między twoimi problemami a zawodem bohaterów serialu i zastanawiam się, czy aby nie jesteś masochistką?

Do: Freda

Od: Marinę Vandale

Temat: Babska psychologia

Mam w nosie, o czym to jest. Chcę po prostu popatrzeć na kogoś, komu się nie wiedzie w miłości jeszcze bardziej niż mnie. Ponieważ na moje nieszczęście coś takiego zdarza się tylko w filmach, a nie w życiu, to teraz już nie mogę się ruszyć z kanapy.

Do: Marinę
Od: Frederica Vandale
Temat: Babska paranoja

Marinę, wiesz przecież, że on wróci. Daj mu po prostu trochę czasu. To wszystko.

Do: Freda
Od: Marinę Vandale
Temat: Oczywista oczywistość

Posłuchaj. Już dwa razy wywinęłam mu różne numery. Za pierwszym razem udał, że nie zauważył. Coś mi jednak mówi, że tym razem zauważył. Żądać dwa razy od faceta zaangażowania i miłości, mimo że wcześniej wyraźnie podkreślał, że tego nie robi, tylko dlatego że się od niego tego żąda, to najpewniejszy sposób, żeby facet uciekł, gdzie pieprz rośnie.

Do: Marinę
Od: Frederica Vandale
Temat: Męska intuicja

Dlaczego nie słuchasz, co się do ciebie mówi. A powtarzamy ci to całą czwórka. Skoro wrócił za pierwszym razem, to wróci i teraz. Przypominam, że nie widziałas się z nim raptem tydzień, a w tym czasie dwa razy do ciebie dzwonił.

Do: Freda
Od: Marinę Vandale
Temat: Dom na podsłuchu

Czy kazałeś zainstalować kamerę na suficie, czy też masz bezpośrednią linię do Jeffa?

Do: Marinę
Od: Frederica Vandale
Temat: Czerwona linia

To Jeff. I nie udawaj zdziwionej. Dobrze wiesz, że oni martwią się o ciebie równie serdecznie, jak ja. Masz w sumie czterech braci, Marinę.

Do: Freda

Od: Marinę Vandale

Temat: Ładni mi bracia

Ta trójka, która mi została, zajmuje się swoimi ukochanymi. A wiesz, co ja myślę na ten temat.

Do: Marinę

Od: Frederica Vandale

Temat: Starajmy się być życzliwi

Bądź delikatna dla zakochanych. Poza tym Jeffjeszcze nie zwariował do końca na punkcie Flavie, więc nie musisz się denerwować.

Do: Freda

Od: Marinę Vandale

Temat: Samotność

Nie martw się, jest na dobrej drodze. Wiem, że jest grzeczny i powstrzymuje się przed polewaniem mojego nieszczęścia sosem swojej radości, ale doskonale widzę, że wpadł po same uszy. Siedzę biedna na tej swojej kanapie i życzę mu w skrytości ducha, żeby mu się popieprzyło. Bo jeśli zostanę sama w tej krainie bez miłości, to chyba wstąpię do karmelitanek.

Do: Marinę

Od: Frederica Vandale

Temat: Biedne karmelitanki

Marinę! Karmelitaneki składają śluby milczenia. I czystości! Nie rób więc sobie złudzeń, że zostaniesz do nich przyjęta. Co nie znaczy, że cię nie rozumiem. To niemoralne, ale normalne.

Do: Freda

Od: Marinę Vandale

Temat: (brak)

Okropnie się czuję, Fred, bo wszystko spieprzyłam. Nigdy niczego w życiu nie żałowałam, a teraz czuję gorycz, której nie potrafię się pozbyć. Nawet nie mogę go winić za cokolwiek, rozumiesz?

Do: Marinę

Od: Fredśrica Vandale

Temat: re: (brak)

Rozumiem. Nie chcę cię dobijać, ale masz rację. On był szczerzy. Ale uwierz mi, proszę, kiedy ci powtarzam, że wróci. I na Boga, dziewczyno, zachowaj wtedy spokój!

Do: Freda

Od: Marinę Yandale

Temat: Wątpliwości i obietnice

Nie martw się. Przyrzekam to sobie każdego wieczoru w czasie samobiczowania. Jeżeli jakimś cudem znów się u mnie pojawi... jeżeli będzie jakiś cud, bo ja w to nie wierzę. W nic już nie wierzę.

Do: Marinę

Od: Frederica Vandale

Temat: Wiara

Zawsze wierzyłaś w cuda. Śmieszyło mnie to, kiedy byliśmy dziećmi, martwiło, kiedy dorośliśmy. Uważam, że wiara w cuda to najprostsza droga do rozczarowania. Więc nie wmawiaj mi, że już nie wierzysz w cuda, bo ci nie uwierzę.

Do: Freda

Od: Marinę Vandale

Temat: Ateistka

Przecież ci mówię, że już nie wierzę. Zrób mi tę grzeczność i przestań wierzyć za mnie. Bo nie zniosę kolejnej płonnej nadziei.

Do: Marinę

Od: Frśderica Vandale

Temat: re: Ateistka

Przykro mi. Jestem superwierzący. Właściwie to stałem się dewotem. Poczekaj. Sama się przekonasz.

-)

Rozdział 17

Ze swojego stanowiska na kanapie słyszałam, jak Jeff rozmawia przez telefon.

- Wiem... to też wiem, ale tu chodzi o moje zdrowie... Już sobie wyobrażam ciebie w domu z beksą na kanapie... Ale u nas kanapa stoi pośrodku salonu, nie mam jak jej schować... To jednak moja kumpela... przecież nie siądę na niej, udając, że jej nie ma... Dzięki, Elodie...

Tylko tego mi brakowało, pomyślałam, To właśnie Elodie stała się teraz mediatorem w naszej grupie!

Obróciłam się jakoś na kanapie i oparłam głowę o boczną poręcz.

- Chyba nie ściągniesz tu Elodie?

- Ściągnąłbym samego diabła, gdybym wierzył, że to coś pomoże.

- Ale Elodie... Jestem aż taka okropna?

Jeff zamiast odpowiedzieć, spojrział na mnie wymownie.

- Wiesz, na czym polega twój problem? - odrzekł. - Pławisz się w tym swoim niby-nieszczęściu, bo nie masz nic do roboty. Do licha! Przecież to nie koniec świata. Zresztą wiem, że ty wiesz, że to nie jest koniec. Po prostu uwielbiasz powtarzać żałosne „to kooniec"... Nie rozumiem. Aż tak bardzo się nudzisz?

Odwrócił się do mnie plecami, a ja przyjęłam ten cios i nawet nie mrugnęłam. To była najbardziej wariacka i najbardziej prawdziwa diagnoza, jaką usłyszałam od tygodnia. Nawet nie mogłam się obrazić, bo mówił prawdę. Usiadłam

nagle - ta pozycja wydała mi się dziwna po kilku dniach leżenia - i przetarłam twarz dłońmi.

- OK - powiedziałam ugodowo. - Dobrze, masz rację.

Jeff stał przy barze, minę miał niedowierzającą, ale widziałam również ulgę w jego oczach, prawie jak u faceta z wyrokiem śmierci, który dowiaduje się, że go ułaskawiono.

- Mam rację? - wykrztusił z niedowierzaniem, co mnie rozśmieszyło.

- Przecież wiesz o tym. Zawsze masz rację, cholera...

Podszedł i usiadł obok mnie. Milczeliśmy przez chwilę, siedząc nieruchomo ze spuszczoneymi głowami.

- Musisz się wziąć w garść - powiedział.

- Jeff - poczułam się dotknięta do żywego - słyszałeś może takie zdanie: „łatwo powiedzieć”? Wiem, że muszę wziąć się w garść, ale nie mam siły kopnąć się w tyłek, żeby z tym ruszyć.

- Marinę, nawet gdybyś była bez pamięci zakochana...

- Jak to „nawet”?

- Bo nikt nie zakochuje się w drugiej osobie po dwóch miesiącach. To tak nie działa.

- Co ty możesz o tym wiedzieć? Gówno wiesz i tyle!

Wstałam. Byłam potwornie urażona i nie umiałam się pohamować. Nawet nie miałam zamiaru się hamować. Byłam obrażona, bo wiedziałam, że nikt nie wierzy w moją nagłą miłość. I to do tego stopnia, że czasami sama w nią wątpiłam. Kiedy siedziałam na kanapie, patrząc w sufit, często zastanawiałam się, czy przypadkiem nie wymyśliłam sobie i nie wyolbrzymałam tego wszystkiego. Może z powodu samotności i żalu przeceniam coś, co w rzeczywistości było zwykłym romansem. Potem przypomiinałam sobie Gabriela, jego błyszczące radością oczy, kiedy coś do niego mówiłam, jego twarz, kiedy (tak mi się zdawało) moja osoba robiła na nim wrażenie. Powtarzałam w myślach nasze długie rozmowy; *znowu czułam* zapach jego ciała, jego pierś na moich plecach, nasze splecione palce, jego oddech na mojej szyi. Miałam wtedy ochotę walić głową w stół, żeby poczuć cokolwiek innego niż tę pustkę, która teraz całą mnie wypełniała. Byłam porażona rozmiarami swojej porażki. I to z własnej winy.

- Jak możesz tak mówić? - spytałam Jeffa.

- Posłuchaj... - zaczął pojednawczym tonem, choć raczej nieszczercze. Zwykle mówimy takim tonem do osób, którym udało się wyprowadzić nas z równowagi, ale jeszcze nie chcemy dać tego po sobie poznać. - Może masz rację. Wszystko możliwe.

Spojrzałam mu w oczy. Obydwoje doskonale wiedzieliśmy, że wszystko jest możliwe.

- Chodzi o to... - odwróciłam głowę, żeby na niego nie patrzeć - chodzi o to, że mam uczucie, jakbym straciła coś, co... i to przez własną głupotę. Posłuchaj. Nie twierdzę, że mogłam spędzić z Gabrielem całe życie. Może wytrzymałibyśmy razem rok czy dwa. Może wszystko by się pochrzaniło już po kilku miesiącach. Ale przynajmniej miałabym szansę się o tym przekonać. A tak... sama nie wiem, co mnie napadło.

I to była prawda. Miałam głowę pełną głupich i płaskich tłumaczeń: „to problem trzydziestki na karku”, „bo naprawdę go kocham”, „bo tak naprawdę wysyłał mi wszystkie możliwe sygnały o swojej miłości i miałam nieszczęście w nie uwierzyć” (w to akurat prawie sama uwierzyłam). A w chwilach napadów złości, kiedy przestawałam być smutna, przestawałam sobie roić mrzonki, pocieszałam się powtarzaniem, że to jego wina, i oskarżałam Gabriela o wszystko, co złe. Że za dobrze grał miłość. I zamęczałam wszystkich wokół - począwszy od Claude'a-Francois, poprzez roślinki, aż po tych biedaków, którzy byli akurat pod ręką - zadawaniem pytania, jak zdrowy psychicznie mężczyzna może być tak przekonujący, a potem udawać niewiniątko?

To nieskrywane uczucie dostrzegałam w jego spojrzeniach, uśmiejkach, w tych porywach, kiedy brał mnie w ramiona, w restauracji lub na tarasie kawiarni. Jakby nie mógł się powstrzymać. Widziałam to w książkach, które mi pożyczał, które były pełne poezji i tęsknoty za erotyzmem. Widziałam to w jego żywej ciekawości, co lubię jeść, czytać, oglądać, odkrywać, jakbym była najbardziej fascynującą istotą na ziemi. Słyszałam to nawet w jego głosie, kiedy powiedział mi któregoś wieczoru:

- Zawsze jest mi z tobą tak dobrze.

Później miałam napady cynizmu i smutku. Powtarzałam sobie, że pewnie flirtował tak z każdą. Nawet z tą swoją psycholożką, o której mi wspomniał, a później już nie mówił ani razu, jakby nigdy nie istniała. Starałam się przekonać siebie wtedy, że do tej pory chciałam widzieć miłość tam, gdzie było tylko miłe zachowanie i flirt. Wtedy przypominałam sobie nasze ostatnie spotkanie, które stanowiło dla mnie ostateczny dowód jego obojętności.

Rozmawialiśmy spokojnie, siedząc na kanapie, która teraz stała się moim stałym azylem. Opowiadałam mu jakąś historię, teraz nawet nie mogłam już sobie jej przypomnieć. Rozśmieszyła go i prowokowała do pocałunków z wesołą miną. Ja też musiałam mieć taką samą minę (łatwo to było wydedukować, bo cała byłam wówczas radosna). Potem zamilkłam, gubiąc się w tym jego spojrzeniu, jakby chciał mnie zjeść, połknąć tymi swoimi zielonymi oczami.

- Gabrieliu... - powiedziałam.

Chyba zrozumiał po moim tonie, wyczuł jakoś, że znów go poproszę o coś, czego naciskany przeze mnie nie był w stanie ofiarować pod przymusem. Pokręcił przecząco głową. Na twarzy miał ten charakterystyczny dlań smutny i współczujący uśmiech. Rozpłakałam się. Tego było dla mnie za wiele. Przez te ostatnie miesiące mojej emocjonalnej huśtawki w naszym związku (nigdy nie czułam się z kimś tak blisko po tak krótkim czasie) nie potrafiłam już czekać. Nigdy nie byłam cierpliwa, wiedziałam o tym, ale po tym współczującym uśmiechu miałam wrażenie, że nigdy już nie odzyskam równowagi. Miałam wrażenie, że ziemia pode mną usuwa się i że wiecznie już będę tak spadać bez celu i bez jakichkolwiek związków z inną osobą. A fakt, że on właśnie tego chciał od życia, był dla mnie nie do zniesienia.

Popatrzył na mnie przez chwilę, potrząsnął głową i wstał.

- Wychodzisz? - spytałam przez łzy, a on mruknął coś bez związku. Jakby „nie mogę... ty nie możesz...” i wyszedł.

- Marinę - spytał Jeff - nigdy nie pomyślałaś, że może to ty go wystraszyłaś?

- A ty myślisz, że ja się nie boję? - wrzasnęłam. Wiedziałam, że za chwilę zacznę płakać.

- To akurat wiem doskonale.

- Przepraszam - wstałam nagle - ja się boję?

- Do licha! Marinę! Przespaliśmy się raz, a ty prawie zwariowałaś. Nie umiesz już nawet normalnie ze mną rozmawiać. Teraz „zakochujesz się” - poruszał palcami, pokazując mi, że to tylko kolejna moja mrzonka - w pierwszym lepszym.

Otworzyłam usta, żeby go zwymyślać, ale słowa uwięzły mi w gardle. Zupełnie nie wiedziałam, co mam powiedzieć. Byłam obrażona, zraniona, rozkojarzona, wybita z rytmu, poniżona i zdobyłam się tylko na standardowe:

- I kto to mówi?

Po raz pierwszy to zdanie nie zabrzmiało zabawnie i żadnego z nas nie rozśmieszyło. Jeff spojrzał na mnie poważnie.

- Proszę? - spytał, cedząc sylaby.

- Powiedziałam wyraźnie. I kto to mówi?

- Zaczekaj. Chyba nie zrobisz mi sceny z tego powodu, że chodzę z Flavie? Bo od czasu do czasu spotykamy się na drinka. I ona jest przynajmniej fajna, inteligentna i normalna.

O mało mu nie wykrzyczałam, że Flavie jest prawie tak samo stuknięta jak ja. Ze wiem to z najlepszego źródła, bo od niej samej. A jedyna różnica między nami polegała na tym, że ona potrafiła jakoś opanować swoje namiętności (to zasadnicza różnica, zdążyłam pomyśleć. Może właśnie na tym polegała różnica między wariatami i osobami nadpobudliwymi a ludźmi normalnymi, właśnie na umiejętności panowania nad sobą).

- Nie robię sceny. To ty robisz scenę.

- O nie. Ty robisz scenę, tkwiąc na tej swojej kanapie, i to od tygodnia.

Nie wiedziałam, co mam powiedzieć. Uważałam, że jest niemiły i, co gorsza, też chciałam być niemiła. Chciałam mu wykrzyzczeć coś, co go zrani.

- Sam widzisz! - odparłam. - Sam widzisz! Mówiłeś mi: „W porządku, Marinę. Między nami nic się nie zmieniło. To, że się przespaliśmy, niczego nie zmienia”. To teraz popatrz!

- Sama popatrz na siebie.
- OK. Wiesz co?
- Co?
- *Fuckyou!* Naprawdę pieprz się! Wściekasz się, bo jesteś obrażony, że nie zakochałam się w tobie po jednej nocy. Wal się, dupku.

- No rzeczywiście! Obrzyliś mnie! Cha, cha! Marzę wprost, żeby dziewczyna, która deklaruje miłość po dwudziestu sekundach znajomości, zakochała się również we mnie. Twoja miłość jest właśnie tak głęboka, Marinę.

Chciałam coś mu odpowiedzieć, ale kiedy sobie pomyślałam o tej swojej miłości, to zaczęłam płakać (może to nie była jeszcze głęboka miłość, może nie miała trwać całe życie, ale na pewno we mnie tkwiła). Stałam przed nim, ubrana w pareo i kamizelkę, w okrutnym świetle połowy czerwca i płakałam z dłonią przyciśniętą do policzka. Powietrze było mokre. Nie było ani grama wiatru. Nagle lato stało się wprost nienawistne. Wolałam już zimę, kiedy siedzieliśmy pozamykani w mieszkaniach rozłożonych światłami, opatuleni w grube swetry i chronieni ścianą śniegu. Przypomniam sobie Gabriela w takim śniegu i prawie znienawidziłam słońce, które wszystko popsuło, stopiło mój rozum i jakby jednym zamachem również moją miłość, która przecież mogła tak pięknie rozkwitnąć.

Wciąż płakałam, kiedy Jeff wstał z kanapy.

- Powinnaś teraz być zadowolona - powiedział. - Możesz już zwalić winę na kogoś innego zamiast na siebie.

I wyszedł. Słyszałam, jak coś mruczał w drzwiach do Elo-die, która od razu do mnie podeszła, żeby mnie przytulić.

- Biedactwo... - powiedziała.

Tuliła mnie przez jakiś czas, a ja mamrotałam coś bez sensu. Jeff jest zły. Jestem odrażająca i szalona i wystraszałam wszystkich mężczyzn. Wszyscy wokół są zakochani z wyjątkiem mnie. Zostanę starą panną. Wszystko zepsułam. Na Boga, do czego to doszło, żeby młodsza siostra mnie pocieszała.

- Cholera... jeszcze sześć miesięcy wcześniej to ja ciebie uspokajałam, kiedy cię rzucił ten cały Felix-Antoine-Frederic Beaubien-Dumouchel...

- Tak to już jest... - powiedziała Elodie. - Teraz to ciebie rzucił...

- Nikt mnie nie rzucił! - Znowu zaczęłam ryczeć.

Wiedziałam, że Elodie wznosi nade mną oczy do nieba. Ale było mi dobrze w jej ramionach. Czułam zapach malinowych perfum mojej siostry i ponieważ wiele razy przytulałam ją płaczącą do siebie, nie było mi wstyd, że teraz to ja sama becze jej w rękaw i wygaduję stosowne do okoliczności bzdury w nadziei, że ktoś mi zaprzeczy. Te wszystkie: „dlaczego mnie się nigdy nie udaje?”, „jestem okropna”, „nigdy nie miałam szczęścia”, „jak on mógł mi zrobić coś takiego?”, „jeszcze tego pożałuje”, „na pewno ma kogoś innego” i nieśmiertelne „dlaczego on/ona mnie nie kocha?”.

Zawsze kpiłam i naśmiewałam się z takich zdań, a nawet odczuwałam pewną złośliwą przyjemność, że niektórzy byli na tyle słabi, żeby wygadywać takie rzeczy na głos. A teraz, trzymając głowę na kolanach siostry, zaczęłam odczuwać przyjemność, że sama je wygaduję. Nie wierzyłam w nie, ale przynosiły mi ulgę, jak placebo chorym z urojenia.

Po godzinie kołysania Elodie wstała i poszła otworzyć butelkę wina.

- Idź się ubrać - powiedziała - bo się spóźnimy.

- Spóźnimy? Gdzie?

- No do taty i mamy. Przypominam, że dzisiaj są urodziny Ariane.

- Och... - zwinęłam się w kłębek. - Nie. Poważnie. Dzisiaj nie mogę.

Postawiła kieliszek na stoliku przede mną.

- Możesz. Posłuchaj, od dwóch miesięcy sama opiekuję się tatą, bo ty się mizdrzysz do tego swojego doktora.

- Doktor odszedł...

- I co z tego? Nie twierdzę, że nie lubię się opiekować tatą, ale ty też możesz coś wreszcie zrobić dla rodziny.

- Noooo.... nawet własna rodzina mnie nienawidzi... - Jakaś maleńka część mnie wiedziała, że jestem śmiesznie żałosna i miała ochotę wybuchnąć śmiechem. Pomyślałam, że chyba zaczynam udawać sama przed sobą. Usiadłam więc. - OK. Niech ci będzie. Cholera! Nie mam prezentu!

- Kupimy jej jakieś drzewko. Albo zasadzimy w jej imieniu jakąś sosnę na północy. Jeżeli nasz certyfikat zostanie wydrukowany na papierze ekologicznym, to będzie zachwycona. A poza tym. Chyba powinnaś wiedzieć, że Ariane jest lesbijką.

- OK. - Pokiwałam głową. - Co?

- No... Nie wiem, czy tak będzie zawsze, ale od kilku tygodni chodzi z jakąś dziewczyną.

Przez chwilę gapiłam się na Elodie z rozdziawionymi ustami, a potem usiadłam na kanapie.

- Noooo... sama widzisz. Nawet moja najmłodsza siostra jest zakochana.

Telewizor stojący od zawsze na blacie za moją mamą pokazywał jakiegoś kucharza uśmiechniętego od ucha do ucha, prezentującego się na tle nienaturalnie czystej kuchni. Towarzyszyła mu równie uśmiechnięta kobieta, której główną zaletą była niewiarygodna gotowość do zachwycania się czymkolwiek. Ziemniakami (Polane oliwa! Są takie lśniące! Jakie cudowne!). Filetami z soli (Boże, to nawet nie smakuje jak ryba!). Obydwoje ogłaszali z triumfem, że wyszukana kuchnia jest w zasięgu ręki dla każdego. Na dowód przygotowali filet z piersi kaczki z ziemniakami (krwisty!!!).

Jeff i ja często ich przedrzeźnialiśmy w naszej własnej kuchni, gotując obiad czy kolację. Wpadaliśmy w superzachwyty nad przygotowywanymi specjałami, takimi jak spaghetti czy rosół.

- To naprawdę niewiarygodne, Jean-Francois. Wystarczy dodać maleńkie tajemnicze coś...

-1 na tym właśnie polega sztuka, Marinę. Zdradzimy ją teraz naszym widzom?

- Och! Jean-Francois! To takie pyszne!

- No więc na jedno opakowanie kupionych w supermarkecie wybornych domowych klusek dodajemy pomidory krojone w kostkę *i...*

- ...i czosnek!!!

- Czosnek, koniecznie czosnek!!!!

- Właśnie czosnek. Wystarczy jeden ząbek i już poczujecie się jak we Włoszech!

Przesadzaliśmy odrobinę, ale niewiele. I właśnie teraz u mamy w kuchni wspomnienie Jeffa stopiło mi serce. Akurat w tym samym momencie, w którym partnerka kucharza dostawała amoku na widok karmelizowanej cebuli. Z salonu dochodził głos Ariane opowiadającej z przejęciem o planach podróży do Indii razem z Julie, jej dziewczyną. (Ariane podkreślała co chwilę, że to jej dziewczyna. Podejrzywałam, że jest z tego dumna. Uważała pewnie, że to świadczy o jej ekscentryczności i otwartości umysłu. Zastanawiałam się tylko, czy Julie miała tego świadomość).

Elodie była uprzedzająco grzeczna. Chciała pewnie pokazać, że chociaż jest heteroseksualna, nie ma jednak nic przeciwko innym orientacjom. Tata był w najlepszej formie od wielu lat. Siedział niemy jak karp i spoglądał to na Ariane, to na Julie, zastanawiając się, w jaki sposób ktoś mógł z dnia na dzień zostać lesbijką. Kiedy tylko weszliśmy do domu, wziął mnie na stronę, żeby zapytać: „czy to na zawsze?”.

- Nie mam pojęcia, tato - odparłam zmęczonym tonem.

- Nie mam nic przeciwko takim ludziom - oznajmił.

- Wiem, tato.

- Ten twój przyjaciel Julien... bardzo go lubię...

- Wiem...

- Tylko... po prostu nie wiem, o czym oni mogą myśleć...

Przyjrzałam mu się przez moment. Włosy dawno mu odrosły, wzrok odzyskał dawny blask i nie był już przyćmiony lękiem wywołanym utratą pamięci, który go męczył przez dwa lata. Nigdy mi tego nie powiedział i chyba nigdy nie cowie, ale wiedziałam, że widmo alzheimera go paraliżowało. Świadomość, że się od tego uwolnił, wprost go uskrzydlała. Uniknął czegoś gorszego od śmierci. Dla człowieka czynu, jak mój ojciec, świadomość nadchodzącej śmierci pamięci, zapominanie imion, wydarzeń, powolna dezorientacja były gorsze niż wszystko inne. Nie potrafiłam postawić się na jego miejscu, ale chyba go rozumiałam.

Wzruszył lekko ramionami. Oczywiście, że nie pojmował takich ludzi. Spędził czterdzieści lat w ciężarówce, a potem w warsztacie samochodowym, gdzie każdy centymetr ścian był wyklejony zdjęciami z „Hustlera Penthouse'a” i innych podobnych czasopism.

- Wiem... - powiedziała, obejmując go ramieniem. Nie osądzał Ariane. Ta nagła zmiana orientacji seksualnej jego córki tak go zakłopotowała, że prawie chciało mi się śmiać.

- A ty też miałaś... no... takie...

- Tato!

- No co? Sam już nie wiem...

Tata nie należał do osób, którym można było powiedzieć: „Wiesz, że dwa razy na uniwersytecie”. Sama myśl o tym przyprowadziła mnie do dreszcze. Uciekłam więc do kuchni, gdzie mama pogrążona była w lekturze jakiejś książki kucharskiej. Przygotowywała dania wegetariańskie dla Ariane.

- Możesz mi wytłumaczyć, dlaczego teraz niektórzy ludzie nie chcą jeść mięsa... zupełnie tego nie rozumiem - westchnęła.

Mama mogła się pogodzić z tym, że jej córka jest lesbijką, ale była naprawdę zszokowana wegetarianizmem Ariane. I tu zgadzałam się z nią całkowicie.

Mając wciąż w pamięci obraz Jeffa i siebie w kuchni, podeszłam do lodówki, aby nalać sobie wina.

- Marinę! - powiedziała mama - jeszcze nie ma nawet szóstej.

To był tekst numer trzydzieści pięć z katalogu dobrych manier naszej mamy: nie wolno pić alkoholu przed siedemnastą. Tekst numer trzydzieści pięć a): piwo było do przyjęcia po siedemnastej. Wino - nigdy przed osiemnastą. Uważała to za jedno z przykazań, na równi z „nie zabijaj”. Innym przestępstwem było bekanie przy stole. To akurat tysiące razy popełniliśmy ja i Fred. Czasami organizowaliśmy nawet zawody w bekaniu, ku uciesze siostr i wywołując gniew mamy.

-Mamo... pokłóciłam się z najlepszym przyjacielem i udało mi się w sposób wyjątkowo kretyński odstraszyć faceta, który był genialny. To i tak cud, że jeszcze nie piję od dziesiątej rano.

To było zwykłym łągarstwem, bo od tygodnia wypijałam rano niejednego koktajl.

- A co mu powiedziałaś?

- Co?

- No co powiedziałaś Gabrielowi?

Mówiła o nim „Gabriel”, chociaż nigdy go nie widziała na oczy. Był lekarzem, a mama tak gorąco pragnęła mieć lekarza w rodzinie, i to najpóźniej do końca roku. Ponieważ tata wyzdrowiał, mogła się teraz skupić na tym projekcie.

- Powiedziałaś... ach, daj spokój.

- Nie. Powiedz mi! Jestem mężatką od czterdziestu lat, moja droga. Chociaż całe życie spędziłam w kuchni, to jeszcze nie znaczy, że nie znam się na mężczyznach.

Uśmiechnęłam się. Naprawdę często jej nie docenialiśmy. Zupełnie jakbyśmy byli pierwszym pokoleniem mogącym pretendować do miana ludzi znających się na miłości. Opowiedziałam jej najszczerzej, jak umiałam, co się wydarzyło między mną a Gabrielem.

- Mhm - mruknęła, kiedy skończyłam swoją opowieść - głupio zagrałaś.

- Co?

- Marinę, chyba nie muszę ci tłumaczyć, że wszyscy faceci boją się rozmów o uczuciach. Myślisz, że twój ojciec należał do tych, co to śpiewają ci *La Vie en rose*, kiedy miał dwadzieścia pięć lat? - Obraz taty śpiewającego *La Vie en rose* mnie rozśmieszył i głośno parsknęłam. - Wiem, że istnieją romantycy, ale to rzadkie ptaki.

Przez chwilę dostrzegłam błysk w jej oczach i pomyślałam, że ona też musiała marzyć, oglądając telenowele lub przewracając stronicę harlequinów, które kiedyś pochłaniała namiętnie. Wyobrażała sobie inne życie, u boku mężczyzny mówiącego z południowoamerykańskim akcentem, macho, który przysyłał jej róże i mówił „kocham cię” równie naturalnie, jak tata „jestem głodny”.

- Posłuchaj - zwróciła się do mnie - wiedziałam, że twój ojciec mnie kocha, ale też wołałabym mężczyznę bardziej... powiedzmy ekspresyjnego. Jednak czy mamy jakiś wybór? Zakochujemy się i już. Tego się nie wybiera, to na nas spada.

Ja zakochałam się w bracie mojej przyjaciółki Lorraine, bo był bardzo przystojny i poza tym, kiedy z nim chodziłam, to... och. Marinę, byłam taka dumna, że z nim chodzę. Żaden inny chłopak nie ośmielił się do mnie podejść. Poza tym umiał mnie rozśmieszyć. Boże, jak on mnie rozśmieszał...

Wyobraziłam ich sobie, idących gdzieś i trzymających się za ręce. Tata w marynarce i mama w krótkiej spódniczce i w białych kozaczkach, które zachowała do dzisiaj i w których próbowałam chodzić, kiedy byłam mała. Nie bardzo umiałam sobie wyobrazić to miasteczko, w którym wtedy mieszkali, w 1967 roku. Wyobrażałam je sobie jako mieszkankę stylów. Coś pośredniego między Elvisem a Jimim Hendriksem.

- Ale wiedziałam, jaki on jest - ciągnęła mama - wiedziałam, że „kocham cię” nie przechodzi mu przez gardło. Więc nie próbowałam tego z niego wyciągać siłą. Rozumiesz?

To było dokładnie to, co mi powiedział Gabriel. Nie mówimy komuś „kocham cię” tylko dlatego, że ten ktoś tak chce. Mówimy wtedy, kiedy sami chcemy powiedzieć. To oczywiste. Zgadzałam się z nim w stu procentach. Ale sama tak nie potrafiłam i nie mogłam, a teraz było już za późno.

- On wróci - powiedziała mama.

- Wszyscy tak mówią.

- Może dlatego, że wszyscy patrzą na to spokojnie z wyjątkiem ciebie...

- Pfff...

Wzruszyła ramionami, najwyraźniej zniecierpliwiona moim pesymizmem, i zajęła się wegetariańską kuchnią, do której miała stosunek więcej niż niechętny.

- Nie umiem być inna, mamó. Nie potrafię udawać, że to mnie nie obchodzi.

- Posłuchaj więc swojego Gabriela. Ucz się od niego. Jesteś inteligentna i nie trzeba ci chyba wszystkiego wbić w głowę. Od dwóch miesięcy męczysz go o deklarację, a on nawet wrócił do ciebie po tym, kiedy ci odbiło po raz pierwszy.

- Nic mi nie odbiło!

- Ależ tak, córeczko. Jeff mi wszystko opowiedział.

Przeklęty Jeff i przeklęta jego zażyłość z moją matką.

- Zaczynj wreszcie odczytywać znaki, które ci dają ludzie. Pozwól, aby sprawy rozwijały się ich własnym rytmem. Uspokój się. Co nagle, to po diable.

- Też mi przysłówie!

- Nie duś go, Marinę. Jeżeli ma się w tobie zakochać, to daj mu trochę czasu, żeby mógł to zrobić. Ale przecież tego w żaden sposób nie możesz przyspieszyć.

Byłam zszokowana. Moja matka, wielka kontrolerka rządząca naszym światem i życiem ojca ze swojej kuchni, mówiła mi, żebym wypuściła zdobycz. A na dodatek miała rację.

Wróciłam do salonu, oddychając głęboko i próbując się uspokoić. Jeżeli miałam nie dusić Gabriela, to sama też musiałam zacząć swobodnie oddychać. Wchodząc, zderzyłam się z wybiegającą Elodie. Uderzyłyśmy się głowami dość mocno i przez chwilę każda z nas masowała sobie bolące miejsce. Za nami słychać było śmiech taty.

- Gdzie tak biegniesz?

Elodie bez słowa podała mi moją komórkę. Spojrzałam na wyświetlacz, wciąż masując głowę. W połączeniach nieodebranych numer Gabriela był na samym początku.

- Właśnie dzwonił - powiedziała Elodie.

Niesamowita radość, pragnienie podskakiwania, chęć bycia teraz samą i jednocześnie bycia ze wszystkimi, żeby się móc pochwalić.

- Oddychaj! - wrzasnęła mama z kuchni.

Popatrzyłyśmy na siebie z Elodie, a potem wzniosłam oczy do nieba. Dobra, zacznę oddychać.

- Zadzwonisz? - spytała Julie, kiedy weszłam do salonu i usiadłam obok niej.

Musiała być jakieś trzy, cztery lata starsza od Ariane. Spotkały się podczas jakiejś manifestacji pokojowej przeciw czemuś tam (albo za czymś tam). Dzieliły identyczne poglądy (niezmierzone pokłady poglądów. We dwie były w stanie przykryć cały świat zielenią i poglądami ekologicznymi).

- Nie wiem - odparłam - chyba nie od razu.

Popatrzyła, kiwając głową, jakby zastanawiała się nad właściwą odpowiedzią. Miała olbrzymie zielone oczy, które wyglądały, jakby były zrobione ze szkła.

- Ja chyba bym zadzwoniła od razu. Jeżeli oczywiście masz zamiar zadzwonić. Wydaje mi się, że takie podchody... nie popłacają. Przez trzy lata prowadziłam różne gierki z powodu dziewczyny, która sama nie wiedziała, czego chce. I...

Tata zaczął się wiercić na krześle, nie wiedząc, jak się zachować.

- A ten twój chłopak wie, czego chce?

- To nie jest mój chłopak.

Czy w ogóle mogłam go tak nazwać? Nie. Dziwne, prawda? Praktycznie nie rozstawialiśmy się przez dwa miesiące, ale nie miałam uczucia, że jest moim chłopakiem. Może to był jakiś znak.

Julie machnęła ręką, pokazując, że nie chodzi jej o niuanse semantyczne.

- OK, ale czy on wie, czego chce?

- Nie wiem, czego on chce. Nie mam pojęcia. Wiem, czego ja chcę.

- Na pewno?

Miałam ochotę jej nawymyślać. Za kogo ona się uważa? Za moją psychoanalityczką? Irytowała mnie, ale nie chciałam przerywać naszej rozmowy, bo w jakiś sposób mi pomagała. Było coś rozkosznego w rozmawianiu o Gabrielu z zupełnie obcą osobą.

- Ja po trzech latach wariowania zdecydowałam, że wreszcie muszę uporządkować swoje życie. Teraz nie twierdę, że wszystko już wiem, ale przynajmniej wiem, czego chcę.

- Uśmiechnęła się szeroko do Ariane i pogłaskała jej udo. Tata nie wytrzymał tego, wstał i poszedł do kuchni.

Ja także wątpiłam na początku. Bałam się tego pośpiesznego zaangażowania, tej nagłej wspólnoty dusz z Gabrielem. Też sobie zadawałam różne pytania, kiedy stwierdziłam, że uosabia to, czego pragnęłam. Był wykształcony, miał poczucie humoru i potrafił mnie rozbawić, miał polot i wspaniały dar opowiadania, dobrze się kochał (lepiej niż dobrze, mogłam to robić z nim dwadzieścia razy na dobę). Lubił ciszę i samot-

ność, dogadywał się z moimi przyjaciółmi, był przystojny. Był niezwykle miły. Nigdy nie przywiązywałam do tej cechy zbytnej wagi, ale jego miły sposób bycia po prostu mnie uwiódł. Był ponadto niezwykle seksowny. Jego poczucie niezależności, uczciwość w sprawach uczuć i poglądy raniły mnie, ale je szanowałam i lubiłam. Nawet tę jego trzeźwość sądów. Było coś wręcz podejrzanego w tym, że tak doskonale uosabiał moje wyobrażenia. Może to zbyt piękne, żeby było prawdziwe. Może po prostu było zbyt piękne, żeby mogło trwać wiecznie. Może podświadomie sama to zepsułam, bo nie wierzyłam w trwałość tego wszystkiego.

- Wiesz - powiedziałam - masz rację. Chyba nie wiem, czego chcę. Mam pewne wyobrażenie, ale... byłam zbyt nerwowa, żeby się nad tym zastanowić głębiej. On jest naprawdę niesamowity i to mnie chyba trochę zaślepiło. Sama już nie wiem. To takie pogmatwane. Mam wrażenie, że na pewno go chcę, a jednocześnie w tym względzie ufam sobie tylko w połowie.

- Może jednak nie powinnaś do niego dzwonić - powiedziała Ariane.

- Tak uważasz? - spytała Julie.

- Może dobrze by ci zrobiło, gdybyś odpoczęła od tego wszystkiego przez jakiś czas? Poczekaj, co z tego wyniknie, i dopiero potem się zastanowisz, co należy zrobić. Może wtedy lepiej to wszystko zrozumiesz? Zresztą nie wiem.

Ariane nie umiała doradzać w sprawach sercowych i wyglądała na trochę zakłopotaną.

- Tak - stwierdziłam - chyba masz rację.

Uśmiechnęła się do mnie radośnie, dumna z siebie, a Julie znowu ją pogłaskała po udzie. W tej samej chwili do salonu wpadła Elodie z okrzykiem „Telefon!”. Zabrała moją komórkę idąc do kuchni, i teraz trzymała ją przed sobą w dwóch palcach jak jakiś niebezpieczny przedmiot.

- Tele... - spojrzała na wyświetlacz. - Och, to Julien.

- Halo?

- To najgorszy wieczór w moim życiu - wyszeptał.

- Co tam znowu?

- Mamy randkę w parach z Laurentem i z Carole.

Przekłęty typ randek. Parami. Nienawidziłam randek parami, bo mi przypominały, że nie mam pary. Poza tym były nudne jak flaki z olejem i przewidywalne do bólu. Stawiałam je w tej samej kategorii, co beżowe rajstopy, dając pod miastem, pracę od ósmej do szesnastej i picie porto i czekolady tylko po posiłku. Ale przede wszystkim byłam zazdrosna. Nie nosiłam beżowych rajstopy, ale trafiały mi się randki parami i zakochani przyjaciele.

- No i..? - zapytałam.

- Sam nie wiem. To takie marne. Nie wiem, czy to dlatego, że Carole i Mathias doskonale wiedzą, że ja i Laurent mówimy sobie o wszystkim... ale w powietrzu wisi coś niezdrowego... Poważnie! Przyjedź po mnie. Zrób coś! Sam nie wiem.

- Rozmawialiśmy przecież o tych randkach parami. Ustaliśmy, że nawet kiedy spotykamy się z ludźmi, których kochamy, jest to zaprzeczenie dobrej zabawy.

- Wiem... Miało być całkiem inaczej. Ty nie odbierałaś telefonu, a wielkolud jest nieosiągalny całe popołudnie.

- Pokłóciłam się z nim. Poważnie.

- Och, powiedz, co się stało?

- Nie teraz. Ty masz swoją randkę, a ja jestem na urodzinach Ariane...

- Gabriel się odezwał?

- Dzwonił do mnie, ale nie oddzwono... Poczekaj chwilę.

Właśnie przyszedł SMS od Gabriela. „Wolna wieczorem? Może kieliszeczek w Lulli około 19.00?”

-*Omy God!* - krzyknęłam do dziewcząt - chce, żebyśmy spotkali się w Lulli.

Dziewczyny zaczęły piszczeć i przekrzykując się, udzielały sprzecznych rad. Wciąż trzymałam telefon przed oczami i słyszałam, jak Julien się wydzierał:

- Kto to? Co się stało?

- To Gabriel - powiedziałam do słuchawki - chce, żebym przyszła do Lulli o dziewiętnastej.

- *O my God!* Jest za piętnaście siódma.

- Wiem, za piętnaście siódma. I tak nie mogę tam iść. Muszę konsekwentnie trzymać się swojego postanowienia,

zresztą sama muszę się uspokoić. Jeżeli tam polecę natychmiast, to wyjdę na wariatkę.

Ariane kiwała potakująco głową.

Jednak Julien najwyraźniej już mnie nie słuchał.

- To Marinę, wygląda na to, że Gabriel chce się z nią spotkać - powiedział do reszty, a później usłyszałam jakies trzaski i wreszcie rozległ się głos Laurenta: - Chyba nie zamierzasz iść?

- Nie. Nie. Oczywiście, że nie - a miałam ochotę tam biec. Usłyszałam głos Carole. - No... chyba powinna iść... - A potem jeszcze Mathias coś mówił.

- Marinę? - powiedział Laurent.

- Co?

- A może jeżeli pójdziesz, to poczujesz się lepiej?

- Odkąd to stałeś się taki rozsądny?

- No wiesz? Przecież powiedziałem Carole, że ją kocham. Wbrew wszystkiemu, co dotąd uważałem za słuszne. Wygląda na to, że powinnaś to zrobić, żeby się uspokoić i znowu stać się normalną i miłą... no wiesz... lepiej jest koch... - to słowo najwyraźniej jeszcze nie przyjęło się na co dzień w jego słowniku, ale było widać, że się starał. - Chcę powiedzieć, że... no wiesz... to trochę jak przy depilowaniu, im szybciej zerwiesz plaster, tym mniej będzie bolało.

- Świetnie rozprawiasz o miłości, Loulou. - Zaczęłam się śmiać.

- No, przynajmniej zrozumiałaś. Idź tam, posłuchaj, co ma ci do powiedzenia. Potem zobaczysz. Jeżeli to ma cię uleczyć i przestaniesz nas zamęczać całymi tygodniami, to jestem za.

- Życzysz mi szczęścia z innym mężczyzną czy martwisz się o was? - drażniłam się z nim, choć w głębi duszy byłam szczerze zadowolona.

- Nie, ale chciałbym, żebyś przestała nas zamęczać. Zresztą niech ci będzie. Tak, chcę, żebyś była szczęśliwa, bo... cię... Powiedziałem ci już. Możemy teraz przejść do innych spraw?

- Sądzę, że powinnaś jechać. - Tata stał w drzwiach salonu. - Jeżeli nie pojedziesz, będziesz żałowała.

Mówił powoli i niepewnie. To nie był jego teren i poruszał się po nim ostrożnie. Byłam w szoku.

- Powinnaś jechać, Marinę - powtórzył.

- Raymond... - z tyłu za nim pojawiła się mama.

- Nie, Monique. Powinna jechać. Jeżeli chcesz, to mogę cię zawieźć do Montrealu. - Miał zdecydowaną minę i mówił to, co chciałam usłyszeć. Przekonał mnie natychmiast. - Chcesz, żebym cię zawiózł, Marinę?

Spojrzałam na ojca, a potem na Ariane, która energicznie potakiwała głową.

- To prawda - powiedziała. - Jeżeli masz potem tego żałować...

Miałam już zgodzić się na propozycję taty, kiedy zorientowałam się, że wciąż trzymam w ręku telefon i Laurent coś krzyczy.

- Co mówisz, Loulou?

- Mówię, że po ciebie przyjedziemy.

- Co?

- Marinę - ściszył głos - nudzimy się tutaj jak mopsy. Poza tym dopiero skończyliśmy aperitif. I tak nie wytrzymałbym kolacji. Przyjeżdżamy. - Słyszałam, jak przechodzi do innego pokoju. - Jadę zabrać Marinę od rodziców - powiedział.

Z oddali dobiegały mnie głosy Carole, Mathiasa i Juliana. „Tak, tak, dobry pomysł, zabawimy się w Kupidyna!”.

- Nie macie własnego życia? - spytałam.

- Żadnego - odparł triumfalnym tonem Laurent.

- Czy oni nie mają własnego życia? - spytała Elodie.

- Żadnego, proszę pani.

Tata spoglądał na mnie uśmiechnięty. Podeszłam i uściskałam go. Spojrzałam mu przez ramię i zobaczyłam, jak mama uśmiecha się i maniakalnie powtarza „Oddychaj głęboko!”. Przesłałam jej buziaka. Potem odpisałam Gabrielowi: „Jasne. Czemu nie? Będę”.

Do: Freda

Od: Marinę Vandale

Temat: Niezgłębione serca mężczyzn

Możesz mi przypomnieć imię kretyna, który wymyślił, że kobiety są skomplikowane? Zapewniam cię, że bijecie w tym względzie wszelkie rekordy.

Do: Mariane

Od: Frederica Vandale

Temat: Zbiorowy kretynizm

Myślę, że to opinia wszystkich mężczyzn żyjących na Ziemi od czasów prehistorycznych.

Do: Freda

Od: Marinę Vandale

Temat: re: Zbiorowy kretynizm

Ten wasz zbiorowy kretynizm jest bardziej skomplikowany niż wszystkie dziewczyny, które znam, razem wzięte. Może zechcesz mi wytłumaczyć sens zachowania Gabriela albo postępowanie Jeffa. Ani ja, ani Flavie nic z tego nie rozumiemy. Gabriel zachowuje się, jakby kochał platonicznie, a Jeff zwiął do Gaspésie* dziesięć dni temu.

Do: Mariane

Od: Fredórica Vandale

Temat: Serce mężczyzny

Jeżeli ci powiem, że serca mężczyzn są delikatne i kruche, to pewnie każesz mi spadać.

* Gaspésie - znany kurort nadmorski w Quebecu.

Do: Freda

Od: Marinę Vandale

Temat: re: Serce mężczyzny

No tak. A ty sądzisz, że nasze serca nie są delikatne? Muszę się zachowywać jak szurnięta, gdyż boję się stracić Gabriela. Chodzimy więc dwa razy w tygodniu na cudowne kolacje, a potem porzuca mnie na rogu i jeszcze daje buzi w policzek. Tyle że się pięknie przy tym uśmiecha. A mama i siostry powtarzają mi bez przerwy, że on wróci. Pb prostu nie wolno mi go jeszcze raz przestraszyć. Fred, zaczynam się buntować.

Do: Mariane

Od: Fréderica Vandale

Temat: Metody buntowników

Pięknie. Pięknie. Wciąż nie masz informacji od Jeffa?

Do: Freda

Od: Marinę Vandale

Temat: Wygnańcy z Gaspésie

Nie. Wyjechał nazajutrz po naszej sprzeczce i zostawił tylko zagadkową karteczkę o kempingu w Forillon i potrzebie samotności. A wczoraj się dowiedziałam, że dzień wcześniej robił bara-bara z Flavie. Wszystko to sprawia wrażenie ucieczki.

Do: Mariane

Od: Fredéria Vandale

Temat: re: Wygnańcy z Gaspésie

Bara-bara?

Do: Freda

Od: Marinę Vandale

Temat: re: re: Wygnańcy z Gaspésie

Bara-bara.

Do: Mariane

Od: Frederica Vandale

Temat: Zaskoczenie i konsternacja

To ci dopiero! A mnie nawet słowem nie powiedział. Masz rację, Marinę. To pachnie ucieczką. Zapach dochodzi aż tutaj. Od kiedy to Jeff zrobił się taki strachliwy?

Do: Freda

Od: Marinę Vandale

Temat: Serce mężczyzny, część 2

Odkąd jego delikatne serduszko poznało Flavie, która jest, jak wiesz, mocno materialna. O wiele bardziej niż wszystkie te jego Marie-coś-tam.

Do: Mariane

Od: Fróderica Vandale

Temat: Zawstydzony

Ciężko mi to wyznać, ale tych dwoje psuje nam wszystkim reputację.

Do: Freda

Od: Marinę Vandale

Temat: I kto to mówi

Nie chcę niczego insynuować, ale jeśli chodzi o zaangażowanie sercowe, to ty nie odbiegasz od średniej. Kiedy byłeś z jakąś dziewczyną dłużej niż pół roku?

Do: Mariane

Od: Frederica Vandale

Temat: Chwyć poniżej pasa

W liceum. Z Caroline Julien. Zgadzam się, że to trochę stara sprawa. Ale wyciąganie teraz tej sprawy wygląda mi nieco na obłudę. To nie ma nic wspólnego ze strachem, a raczej z moim legendarnym pragnieniem niezależności.

Do: Freda

Od: Marinę Vandale

Temat: Faceci są ślepi

Właśnie. Jestem pewna, że Gabriel i ten drugi popapraniec z parku Florillon też sobie opowiadają historyjki o niezależności.

Do: Mariane

Od: Fredsrica Vandale

Temat: Prawa mężczyzn

Nie twierdzą, że nie masz racji, ale my też mamy prawo trochę - powtarzam ze zwykłą sobie swadą „trochę” - bać się od czasu do czasu.

Do: Freda

Od: Marinę Vandale

Temat: Obowiązki mężczyzn

Miejcie sobie prawo, do czego chcecie. Czy jednak przyznanie się do słabości od czasu do czasu zabiło już kogoś?

Do: Mariane

Od: Frederica Vandale

Temat: re: Obowiązki mężczyzn

Czy muszę ci przypominać o męskiej dumie? To śmierć.

Do: Freda

Od: Marinę Vandale

Temat: Dumne zwierzaki

Chyba wiem, o czym mówisz. Ale Fred, to paranoja, jeżeli Gabriel do mnie nie wraca tylko z tego powodu. Moją miłość trzeba podlewać, inaczej biedactwo całkiem zwiędnie. A nie chcę, żeby zwiędła, bo go kocham i cokolwiek by inni mówili na ten temat, jest to prawdziwa miłość. Poza tym, jeżeli ta miłość nie wypali, to mama gotowa mnie sprzedać do Tajlandii. Przysięgam. Ona uważa, że lepiej mieć córkę prostytutkę w Tajlandii niż starą pannę w domu.

Do: Mariane

Od: Fréderica Vandale

Temat: Matczyna misja

Chyba masz rację. Szykuje się nawet, żeby mi wystać Fedeksem swoją sąsiadkę z przeciwka, bo podobno „jesteśmy stworzeni dla siebie”. A propos, jaka ona jest, ta sąsiadka?

Do: Freda

Od: Marinę Vandale

Temat: Porada

Wystarczy, jeżeli będziesz wiedział, że w razie nadejścia stukiogramowej przesyłki z Fedeksu masz niczego nie podpisywać i prosić o odesłanie przesyłki z powrotem do nadawcy.

Do: Mariane

Od: Frederica Vandale

Temat: re: Porada

Zapamiętam. Teraz ci coś poradzę. Nie wpadaj w desperację. Jeżeli twojego faceta paraliżuje strach, to w końcu go przezwycięży. Tacy już jesteśmy. Po prostu wolno działamy.

Do: Freda

Od: Marinę Vandale

Temat: Banda leniwców

Właśnie to do mnie dociera. Ale nie przejmuj się. Nie umiem wpaść w desperację, nawet gdybym chciała. To chyba wrodzone. Od dwóch miesięcy stanowimy jedność z hrabią Monte Christo: czekamy i nie tracimy nadziei.

-)

Rozdział 18

Odstawiłam laptopa obok fikusa, którego Jeff wystawiał na balkon każdego lata. Była już prawie siódma wieczorem, ale słońce wciąż jeszcze dawało jasne światło. Na moment zamknęłam oczy.

-Czekać i nie tracić nadziei - powtórzyłam sobie na głos.

Było to zwykłe pocieszanie się, ale naprawdę miałam wewnętrzne przekonanie, że w tej chwili tak należy zrobić. Znalazłam się na skraju wyczerpania. Stałam się bezwolna, apatyczna i kompletnie pasywna. Elodie i Julien mieli mi za złe, że tak łatwo się poddam i kapituluję jak przed jakąś fortecą nie do zdobycia, którą w tym wypadku był Gabriel. Ja uważałam, że tylko taka postawa pomoże mi wreszcie powrócić do normalności. Jeżeli mi pisane, że Gabriel do mnie wróci, to wróci. Postanowiłam wreszcie się tym nie przejmować, bo i tak nic na to nie mogłam poradzić.

- Mamusia nic nie może zrobić, rozumiesz? - powiedziały do Claude'a-Francois, który rozkosznie się przeciągał na słońcu. - Mamusia jest kompletnie bezsilna.

Wypiłam łyk wina z róży i zamknęłam oczy, żeby zająć się jedyną możliwą czynnością, do której byłam zdolna od wielu dni. Mianowicie wyobrażałam sobie powrót Gabriela do mnie. Scena poprzedzająca miała być słodka i promienna, potem miały nastąpić magiczne i niezapomniane wyznania. Pomysłów na nie zgromadziłam całe tysiące. Wszystkie wygładzałam i dostosowywałam do naszych ostatnich rozmów. Skupiałam się również na miejscach, na ubraniach, które

mieliśmy włożyć, na intonacji i poszczególnych słowach, które miały paść, na spojrzaniach, na ludziach, którzy będą świadkami odrodzenia naszej miłości.

- Naprawdę stałaś się śmieszna - twierdził Laurent.

- Wiem - odpowiadałam - ale to lepsze niż być szalącą wariatką. Teraz jestem wariatką pasywną. Mam tylko urojenia. To bezpieczniejsze.

Śmiał się wtedy i szedł po następną butelkę białego wina, które piliśmy zwykle na tarasie na tyłach mojej pracowni.

Przyjechał do domu moich rodziców na urodziny Ariane uśmiechnięty od ucha do ucha, z butelką wina w dłoni. Wino kupili gdzieś po drodze, żeby nie przychodzić z pustymi rękami.

- Mamy również... - powiedział Julien, grzebiąc w wielkiej torbie - chipsy, sok z gujawy... wydawało mi się, że pasuje do ciebie... lubisz sok z gujawy, prawda?... nowy numer „Adbustera”*... skarbonkę w kształcie kangura - Ariane przyjmowała prezenty z uśmiechem, Julie przyglądała się torbie podejrzliwie, zastanawiając się, jaką jeszcze głupotę Julien z niej wyjmie - ..i jeszcze kilka erotycznych fotografii dla lesbijek. Mrugnął do niej. - Witaj w klubie - dodał, co wywołało z ust mojego ojca cichy jęk.

- Bardzo mi przykro - powiedział Laurent - nie mieliśmy wiele czasu i wszystko kupowaliśmy w jednym sklepie, żeby było szybciej... Myśleliśmy jeszcze o kleeneksach z serduszkami, ale były na białym papierze, który...

Kiedy zaczął się sadowić na kanapie, Carole przypomniała wszystkim, że pierwotny pomysł polegał na podwieszeniu mnie do Lulli na dziewiętnastą trzydzieści. To było i tak problematyczne, zważywszy, że zrobiło się już dziesięć po dziewiętnastej. Pięć minut później bieглиśmy do samochodu z Laurentem na czele, który krzyczał: „Naprzód!”, jakby prowadził oddział do szturm. Ja zostałam wciśnięta z tyłu między Carole i Mathiasa, a Julien, pękający z dumy, usiadł na miejscu pasażera, obok kierowcy.

* „Adbuster” - czasopismo alterglobalistów z Quebecu.

- Gotowi? - zapytał Laurent. - To naprzód...
- Czy mi się wydaje, czy on jest wstawiony? - spytałam Carole.

- Owszem, jest wstawiony - odpowiedziała.

- Gdybyś musiała pić te aperitify jak my - powiedział Mathias - to też skakałabyś z radości, że możesz pojechać po kogoś do Laval*.

- Bomba!

- Bomba?

Nastąpiły głośne przekrzykiwania się, mające mi udowodnić, jak wielką radość dla wszystkich stanowił wyjazd po mnie. Było to dla nich prawdziwe wybawienie.

- Myślę, że to może stać się teraz dla nas rodzajem barometru - oznajmił Laurent. - Od tej pory, jeżeli mi się będzie gdzieś nudzić, to natychmiast zadam sobie pytanie: czy nie wolałbym pojechać do Laval? Jeżeli odpowiedź wypadnie twierdząco, to będzie znaczyło, że pora się zbierać i uciekać z takiej marnej imprezy.

Dyskutowali jeszcze na temat źródeł i przyczyn potwornej nudy, która zapanowała tego wieczoru. Mathias dodał:

- Było aż tak źle, że atmosfera bardziej niż randkę przypominała teatr czarnego humoru.

- Zjemy coś? - zapytał Laurent.

- Dobrze, chyba że znowu dopadnie nas nuda.

- To wrócimy do Laval.

- Kretyn...

- Naprawdę chcecie coś jeść?

- Możemy coś przekąsić w Lulli.

- Julien! - wykrzyknęliśmy jednocześnie z Mathiasem.

- No co?... myślałaś, że cię tam zostawimy i nie skorzystamy z naszych praw? Przyjechaliśmy po ciebie do Laval, narażając życie.

- Właśnie. Stale są jakieś napady, na przykład na sklepy -

- Nie czytasz gazet?

- Mathias, każ mu się zamknąć!

* **Laval - nazwa dzielnicy w Montrealu.**

- Mogę się zamknąć, ale i tak zjemy w Lulli. Jesteś nam to winna. Mamy prawo do *front row tickets**.

-Julien... nie...

- Daj spokój!

- Nie! - krzyknęliśmy wszyscy.

- Dobra... jedzcie sobie, gdzie chcecie...

- Żeby cię tam nie znalazła w jakimś kącie.

- Dobrze, już dobrze. Nikt mnie nie rozumie...

Mathias pogłaskał go po włosach. Byliśmy prawie na miejscu.

- Ale poważnie - zapytałam - myślicie, że dobrze robię? Może wyjdę na potwornie żalostną idiotkę...

Poczułam paznokcie Carole na udzie.

- Uważam, że dobrze robisz - powiedziała - idziesz za głosem serca.

Spojrzałam na nią ze zdziwieniem, ale nic nie powiedziałam. Dawno temu zdecydowałam, że zdanie „idź za głosem serca” było największym bełkotem, jaki człowiek mógł wygłosić w swoim życiu. Brzmiało to mądrze i śmiało, ale mogło oznaczać wybór nie najlepszy z możliwych. I nic nie pomogłoby potem tłumaczenie sobie, że słuchało się tego wprawdzie szlachetnego, ale szalenie zawodnego podszepetu serca. O mały włos nie wyrwało mi się, że idę nie tyle za głosem serca, ile za radą ojca, ale Carole uśmiechała się z taką wiarą we mnie, że tego nie powiedziałam. Wiem, że ona sama z całą pewnością musiała niejednokrotnie tłumić w sobie porywy serca, bo tego wymagało dzielenie życia z kimś takim jak Laurent. Odpowiedziałam jej uściśnięciem ręki i wysiadłam z samochodu.

Stałam przed Lulli dziwnie spokojna. Kiedy się odwróciłam, Julien wykrzywił się do mnie niemiłosiernie i dawał znaki, żebym potem zadzwoniła.

- Bądź cierpliwa, Marinę - krzyknął Mathias - to się zawsze opłaci!

*** *Front row tickets* - bilety w pierwszym rzędzie - w oryginale po angielsku.**

Równie dobrze mógł namawiać łakomczucha do ścisłego postu. Przeszłam przez ulicę z lekkim sercem i pustką w głowie. Jestem tu. Przyszłam i teraz pozostało mi tylko słuchać. Piłka była po jego stronie.

Kiedy weszłam, zobaczyłam, że Gabriel zapisuje coś w notesie. Zatrzymałam się w progu, korzystając, że mnie nie widział. Znałam go przecież tak krótko. Zaledwie pięć miesięcy. Cóż to znaczyło w skali całego życia? Ale zdążyłam już polubić zarys jego pleców, które teraz wydawały mi się znajome od zawsze. Przez chwilę widziałam go z profilu. Patrzyłam, jak się nachylił, jak trzymał pióro, jak ulokował swoje długie nogi pod stołem i poczułam, że jest mi naprawdę bliski. To, co z nim przeżyłam, było tak wspaniałe... pomyślałam, nie powinnam sama z tego rezygnować. Ale myśl, że to jednak może być koniec, że on może chcieć tylko, żebyśmy byli zwykłymi przyjaciółmi i nikim więcej, nie dawała mi spokoju, chociaż przy tym jakoś nie bolała. Uważałam, że szkoda by było zmarnotrawić taką znajomość i nieważne, w jakiej postaci miałyby ona przetrwać.

Najpierw zobaczył moje odbicie w szybie, odwrócił głowę i uśmiechnął się.

Wróć do mnie, chciałam mu natychmiast powiedzieć, kiedy usiadłam przy stoliku.

- Miło cię widzieć.

- Mnie również. - Dotknęłam jego notesu. - Pisziesz?

Pokręcił głową i wzruszył ramionami, dając mi do zrozumienia, że to tylko takie nic nieznaczące hobby.

- Wprawdzie nie umiem pisać, ale lubię - powiedział.

Znajdowałam się na takim etapie zauroczenia nim, że wszystko, co robił, uważałam za wspaniałe, mądre i właściwe. Zazdrościłam mu, że mógł tak spokojnie pisać coś sobie w czarnym notesiku, gdy ja jeszcze do niedawna czułam się na przemian to zrozpaczona, to obojętna, to oszalała.

Zapadła cisza, rzucaliśmy na siebie tylko ukradkowe spojrzenia. Kiedy nasze oczy spotykały się na krótko, nie wiedziałam, czy jego spojrzenie bardziej mnie urzeka, czy kompletnie dekoncentruje.

- Co tam u wszystkich? - spytał, podpierając się łokciami o blat.

Lody zostały przełamane. Zaczęliśmy rozmawiać jak dawniej, miło i długo, może odrobinę nerwowo i czasami za głośno, kiedy dawaliśmy się ponieść emocjom. Chyba trochę za bardzo skakaliśmy z tematu na temat, co przy wymianie myśli zawsze powoduje lekkie zamieszanie. Przesunął nieco krzesło i usiadł bokiem do mnie, plecy miał oparte o szybę wystawową. Przez otwarte okno wpadał lekki wiatr, słychać było, jak szumią liście. Gabriel od czasu do czasu poprawiał dłonią włosy i śmiał się, odchylając głowę. Takie drobne gesty zauważamy u wszystkich ludzi, ale zapamiętujemy dokładnie tylko u osób, które są nam naprawdę bliskie. Sama już nie potrafiłam się rozeznać, czy uważałam, że jest przystojny, bo taki naprawdę był, czy dlatego, że byłam w nim ewidentnie zakochana.

Zamówiliśmy następną butelkę wina, a Gabriel odwrócił się teraz twarzą do mnie. Spojrzał mi poważnie w oczy. Oczekiwałam, zupełnie spokojna, że teraz, właśnie teraz, padną te wyśnione przeze mnie słowa, ale Gabriel powiedział:

- Umarł mi dzisiaj pacjent na dyżurze.

Wzdrygnęłam się odruchowo. Śmierć stanowiła stały element jego życia, ale nie mojego. Pojawiła się teraz między nami tak nagle. Była niespodziewanym kontrastem w stosunku do naszej dotychczas żywej i wesołej rozmowy, do baru pełnego młodych, wesołych ludzi i tego pogodnego letniego wieczora. Siedziałam całkowicie zmrożona.

- Z tym problemem nigdy się nie oswoję, nie uporam - dodał.

- Nigdy?

- Nigdy. Nie znam lekarza, który się tym nie przejmuje.

- Masz poczucie, że był jakiś błąd?

- Nie, już nie można było nic zrobić. Wypadek samochodowy. Facet miał pękniętą wątrobę, zmiądzony cały brzuch. Siedział obok kierowcy i drzwi z jego strony zostały tak wgniecione, że praktycznie całe wbiły się w tego nieszczęśnika. Za to głowę miał w porządku i był cały czas wszystkiego świadomy - zamilkł i dodał po chwili coś, czego

akurat się spodziewałam: - Był w moim wieku. To zawsze robi wrażenie, kiedy ktoś umiera tak młodo.

Zastanawiałam się, czy to dlatego właśnie chciał się ze mną zobaczyć. Było mu źle i chciał się ze mną zobaczyć. To by dobrze wróżyło, pomyślałam potwornie egoistycznie.

- Dziękuję, że przyszłaś - dodał - naprawdę dobrze mi zrobi oderwanie się od tego.

Aha. Tylko chciał się oderwać od szpitala. Jestem więc przyjaciółką, której można się pozalić.

Za dużo kombinujesz, skarciłam się w myślach, za dużo myślisz i za dużo analizujesz. Przestań. Oddychaj głęboko, jak powiada mama.

Mama była jednak daleko, aż w Laval, gdzie mordowała się nad wegetariańskimi daniami dla Ariane, a ja siedziałam w centrum przy butelce wina, z mężczyzną, z którym było mi przecież lepiej niż z kimkolwiek dotąd. Dlatego powiedziałam:

- Gabrielu... czuję się jak pijane dziecko we mgle...

I kiedy zastanawiał się, żeby mi odpowiedzieć, wyobraziłam sobie, że błądzą ulicami pośród gęstej mgły i nie mogę znaleźć drogi do domu. Pomyślałam, że może to jest jeszcze głębsze sformułowanie niż „słuchaj głosu serca”.

Gabriel poprawił się na krześle, popatrzył przed siebie, spojrzał poważnie na mnie i powiedział:.

- Ty masz... jakieś plany, Marinę.

-Co?

-Przecież widzę, wiem o tym. Masz plany... chcesz... masz swoje plany...

- Jakie plany? Nie rozumiem.

- Plany na przyszłość. Coś zamierzasz, jakoś sobie wyobrażasz przyszłość...

Spadłam z obłoków na ziemię.

- Oczywiście, że wyobrażam sobie przyszłość. Śmieszny jesteś. Każdy to robi.

- Ja nie. Uznałem, że dużo lepiej mi się żyje z dnia na dzień...

- Żartujesz sobie?

- No co? Źle nam było?

- Gabriel, do diabła, jesteś jednak inteligentniejszy...
- Ja nie myślę o przyszłości. Kiedyś planowałem i dostawałem w łeb.

- Ale to tylko moje marzenia...

Co ja właściwie mówię? Wyobraziłam sobie z jego *strony* tysiące możliwych wypowiedzi, ale nie taką. Mogło być na przykład: „Jesteś zaborcza”, „Nie jestem jeszcze gotowy”, „Kocham inną kobietę”, „Nie chcę się angażować”, „Jestem transseksualistą i kocham mężczyzn” - nic by mnie bardziej nie zdziwiło. I tak oto znalazłam się w środku lata z ciężkim zarzutem o to, że wyobrażam sobie przyszłość, że coś planuję...

Kompletnie nie wiedziałam, co mu odpowiedzieć. Czy naprawdę wyobrażałam sobie przyszłość? Nagle bardzo pożałowałam, że zabroniłam Julienowi przyjść do Lulli. Gdyby tu był, mogłabym przeprosić Gabriela na chwilę i pójść poradzić się, przedyskutować wszystko z Julienem. Przynajmniej miałabym okazję porozmawiać z kimś, kto mówi moim językiem, a nie z tą dziwną, nieodgadnioną istotą mówiącą o zmarłych i o swoim strachu przed przyszłością.

- Ja... - Nie byłam zdenerwowana. Nawet nie chciało mi się płakać. Byłam po prostu zmęczona i zbyt rozkojarzona, żeby próbować myśleć konstruktywnie. - Nie sądzę, żebym mogła ciągnąć to dalej... - nie dokończyłam zdania, które zawisło i unosiło się przez chwilę nad nami. Dostrzegłam wyraźny żal w oczach Gabriela i serce mi zamarło...

- No cóż, rozumiem - powiedział.

Najwyraźniej nie rozumiał, bo dalej się spotykaliśmy. Były następne kolacje, kawy, moje nadzieje, których nie potrafiłam słumić, i jego dziwna potrzeba spotykania się ze mną i rozmawiania o swoich sprawach.

- To absurd - powiedziałam Julienowi - utrzymuję z Gabrielem idealnie platoniczną znajomość. Możesz mi wytłumaczyć, dlaczego nie możemy pójść do łóżka jak dawniej i wrócić do tamtego układu?

- Bo nie można wrócić do starego układu - odparł zrezygnowanym tonem. Przeglądał się w lustrze, oceniając

nowy T-shirt w kolorze fioletowym, który włożył do zielonych dżinsów. - Nigdy nie można wrócić do tego, co było. Nie chciałyby cię dobijać, ale sama w tej kwestii spaliłaś za sobą wszystkie mosty. Tym, co powiedziałaś. Nie możecie już zacząć znowu być ze sobą jak dawniej, nie wiedząc, czy jesteście parą czy tylko kochankami, po tym, co mu powiedziałaś. Teraz możecie już tylko iść do przodu. A tam jest miłość, o której mu mówiłaś, a także przyszłość, której on się boi, zresztą ty też.

- Mniej niż on.

- Nie bądź śmieszna. Każdy inaczej reaguje na przepowiadanie, marzenia i plany.

- Nie robię żadnych planów.

Plany po dwóch miesiącach umierania ze strachu. Nikt nie żąda czegoś takiego od faceta - czy od dziewczyny - o ile nie zamierza go usadzić. Wiedziałaś, że to go wystraszy.

- Nie.

- Tak. Wiedziałaś. Ale mniej się tego bałaś niż niepewności.

- Chcesz mnie zniszczyć.

- Zawsze chcę cię zniszczyć, kiedy mówię prawdę.

- Teraz mnie dobijasz podwójnie.

- A tam. Chodź ze mną. Zobaczymy, jakie wrażenie zrobię w nowym T-shircie na tarasie w Unity.

Tym razem, wychodząc, zawrócił jeszcze, żeby mi powiedzieć:

- Wiesz, że Mathias i ja również nie możemy wrócić do przeszłości. Nasze mosty też są zerwane. Ja też czuję czasami zimny pot na myśl, że nie ma drogi powrotu. Ale to najlepsza rzecz, jaka się może przytrafić takim jak my. Jest tylko jedna możliwość - pruć do przodu. *Adelante* To infinity and beyond***

- *To infintiy and beyond* - powiedziałaś do kota, który siedział na wprost i wpatrywał się we mnie z uwielbieniem.

* *Adelante* - naprzód, dalej - wł.

** *To infinity and beyond* - w nieskończoność i dalej - ang.

Potem podniosłam pięść go góry i wykrzyknęłam na całe gardło: - *To infintiy and beyond!*

- Hej, ty tam na górze! Wszystko w porządku? - Przechyliłam się przez poręcz i dwa piętra niżej zobaczyłam Flavie gapiącą się na mnie. - Odbiło ci czy co?

- Przynajmniej coś by się działo, nie?

- Skoro tak mówisz. - Wyciągnęła w moją stronę butelkę wina Rose. - Można na górę?

Półtorej butelki później obie stałyśmy na balkonie, wykrzykując w niebo: *To infinity and beyond!* Robiłyśmy to z takim entuzjazmem i tak głośno, że pies z naprzeciwka zaczął szczekać.

- Chyba powinnyśmy się uspokoić - powiedziałam do Flavie.

- Chyba tak. Wciąż nie wiesz, *co z Jeffem?*

Unikałyśmy tego tematu od początku. Ona go nie poruszała, a ja uważałam, że jej milczenie wymaga ode mnie tego samego.

- Nie. Cisz jak makiem zasiał.

- To jednak wkurzające.

- Zgadzam się, że nietypowe. Zgadzam się, że nawet dużo więcej.

- Wiesz, co mnie naprawdę wkurza? Przez tego dupka bez jaj zaczynam wątpić w siebie!

- O, nie, nie, nie! - Pomachałam jej palcem przed nosem. - Nie, nie, nie. Nie ty. Oficjalnie zabraniam ci wątpić w siebie, jasne? To on się przestraszył, to on uciekł tak, że tylko dym było widać...

- Kurz...

- Wszystko jedno. To on uciekł do Gaspesie jak płochliwa panienka. Tak więc kategorycznie protestuję przeciwko wątpieniu w siebie tylko dlatego, że obie zakochałyśmy się w tchórzach.

- A ty się nie boisz?

- No... boję, ale jestem tutaj, nie?

- Sama nie wiem - Flavie potrząsnęła głową. - Po prostu nie rozumiem. Widywaliśmy się tygodniami, podrywaliśmy się nawzajem w oczywisty sposób, wreszcie poszliśmy do łóżka

i było nam dobrze. To było naprawdę udane. Wierzysz mi, Marine?

- No... wiesz... - Takie omawianie szczegółów życia seksualnego najlepszemu przyjacielowi było jednak trochę krępujące. - Tak, z pewnością.

Zwłaszcza że zaczęłam ich sobie wyobrażać. Byli stworzeni dla siebie. Choć oczywiście zawsze można się było mylić. Oboje byli ponad miarę rośli i uważałam, że ich przeżycia łóżkowe musiały być równie ponad miarę, musiało temu towarzyszyć trzęsienie ziemi, przesuwanie płyt tektonicznych, a może nawet i potężne tsunami.

- Uważam, że z całą pewnością - dodałam zadowolona, że nie muszę wdawać się w szczegóły. - Nie uciekałyby, gdyby wam było źle w łóżku. Mówię ci. Nawiał, bo się przestraszył, że go na dobre usidlisz. Wierz mi, Jeff boi się tylko jednej rzeczy, tego, że się zakocha.

- Ta twoja teoria jest chyba trochę naciągana.

- A ty sądzisz, że dlaczego spędza życie z pięknymi pannami, które wszyscy, ale przede wszystkim on sam, uważają za głupie? Bo może się z nimi zabawić bez ryzyka, że się zakocha. Nigdy się do tego nie przyzna, ale...

- A może uciekł, ponieważ się pokłóciliście? Może boi się zakochać w tobie?

- Co? Nie. Nie ma szans...

- Teraz sama widzisz, dlaczego wątpię w siebie. Cholera! Wdepnąłam w gówno...

- *drink to that**. - Stuknęliśmy się kieliszkami, które błysnęły w zachodzącym słońcu.

Nie bardzo było jeszcze co dodawać do naszej rozmowy. Najwyraźniej czekałyśmy na jakiś cud, bo obawiałyśmy się, że nasze oczekiwania zbyt szybko się nie spełnią. Oni *ze swej strony* bardzo się bali właśnie spełnienia tych naszych oczekiwań.

Wszystko jest potwornie poplątane, pomyślałam, opróżniając duszkiem swój kieliszek.

*** *I'U drink to that* - wypijmy za to - ang.**

- To absolutnie rewelacyjne - powiedziałam, kładąc na stole wydruk książki Freda. - Naprawdę nadzwyczajne.

- Nie uważasz, że ty właśnie możesz być kompletnie nieobiektywna? - rzeczowo zapytał Julien.

- Jasne, że mogę być nieobiektywna, ale to nie znaczy, że nie znam się na książkach... gdyby to było gówno, to udawałabym, że mi się podoba, bo kocham Freda. Ale mówię wam, że jest nad-zwy-czaj-ne.

- A o czym to jest? - spytał Laurent, pobieżnie kartkując tekst i popijając koktajl.

- Może to zabrzmieć niezbyt ciekawie, jeżeli będę ci streszczać, i to własnymi słowami. Ogólnie jest to historia pisarza, który pewnego dnia postanawia...

Laurent położył głowę na książce i zaczął ostentacyjnie chrapać.

- W porządku, znawco. To nie twoja wina, że w życiu niczego nie byłeś w stanie przeczytać...

- Co roku czytam „Przewodnik auto...”.

Spojrzeliśmy na siebie z Julienem, parszając śmiechem. To był dyżurny numer Laurenta. Swoją alergię do książek podniósł do rangi cnoty. Swoją fobię wyrażał chrapaniem, ziewaniem lub w skrajnym wypadku próbą duszenia się.

- Mówię ci, że jest super - powiedziałam do Juliana - powinieneś ją przeczytać.

- Z przyjemnością! No, no, będę miał przedsmak przyszłego Goncourta!

- Może przesadzasz, jednak... mówię ci... sama nie wiem... rozmawiałam z Fredem ostatnio i czułam się prawie onieśmielona. Jakbym nagle odkryła, że ktoś, kogo znam niemal tak dobrze jak siebie... nie wiem, jak to powiedzieć... to tak, jakbyś znalazł nagle ukryty pokój w domu, w którym mieszkałeś całe życie.

- Jak na siostrę potencjalnego wielkiego pisarza masz duże kłopoty z wystawianiem się...

- Odczep się!

Laurent uśmiechnął się i klepnął mnie po ramieniu. Prawie skończył swój film o Maine. Pierwsze fragmenty po montażu były doskonałe. Sam twórca prywatnie był pokręcony

i trudno było za nim nadażyć, ale umiał robić proste filmy o czytelnym przesłaniu, inteligentne i bez niepotrzebnych uduziwnień. Pocałowałam go w policzek.

- Jak sądzicie, co zamówić? Wędzonego łososia czy łososia z rusztu? - radził się nas Julien.

- A co? Jesteś na diecie?

- Postanowiłem zrobić się na bóstwo na plaży. Lepiej będzie, jeśli zacznę już teraz.

- Wynajmujemy domek na lato? - spytał Laurent.

Od pięciu lat, co roku, spędzaliśmy lato w Republice Dominikany w olbrzymim domu, który Julien dostał od jakiegoś klienta w formie zapłaty. Skład osobowy na tych urloпах był zawsze inny. Jednego lata jechaliśmy tam sami, innym razem każdy ze swoją miłością. Zestaw stały zawsze stanowiła nasza czwórka. Na wzmiankę o domu spojrzeliśmy na siebie niepewnie. Co z Jeffem? Czy w tym roku pojedzie z nami? A przede wszystkim, czy powinniśmy tam jechać bez niego? Taki pomysł trącił zdradą graniczącą ze świętokradztwem. Było tam morze i białe plaże, ryby, które Jeff piekł na grillu, ścieżki za domem prowadzące do uśpionych wiosek, gdzie małe dzieci grały w sero i bawiły się starymi oponami samochodowymi. Z tych wiosek dochodziły spokojne, kojące odgłosy zwyczajnego życia. Był rum wlewany do skondensowanego mleka i przede wszystkim soczysta zieleń o najrozmaitszych odcieniach, otaczająca wszystko dookoła. Nagle wszystkie te wspomnienia zbladły i straciły znaczenie.

- Dalej się nie odzywa? - spytał Julien.

- Nie. Do was także?

- To naprawdę dziwne, bardzo dziwne, naprawdę...

- OK, Marinę. Zrozumieliśmy.

- Od miesięcy marzy o Flavie. A kiedy zjawia się w jego życiu, to nawiewa. A przecież o tym właśnie rozmawialiśmy tej zimy, pamiętacie? Siedzieliśmy w domu, pijąc Bloody Ceasara. Obiecaliśmy sobie, że przestaniemy się zachowywać jak nastolatki i znajdziemy swoją miłość... Wam się udało! Nawet Lamentowi się udało!

- Nie musisz mówić tego takim protekcjonalnym tonem, jakbym był debilem.

- No... jeżeli chodzi o twoje życie emocjonalne, to doszedłeś zaledwie do poziomu ameby. Faktem jest, że jeżeli nawet tobie się udało, to wszystkim nam powinno się udać.

- A skoro Julienowi udało się nie zdradzić swojego chłopaka przez trzy miesiące...

- Właśnie.

- To na co ty czekasz?

Spojrzałam na Laurenta. Julien obserwował nas uważnie z miną człowieka gotowego na wszystko, który właśnie zobaczył odbezpieczony granat.

- Czekam...

Na co właściwie czekałam? Na Gabriela oczywiście. Ale jeszcze na coś. Czekałam, aż oduczę się wszystko planować, nauczę się żyć teraźniejszością. Czekałam, aż nauczę się nie czekać.

- Nie wiem - powiedziałam - naprawdę już nie wiem.

Miałam coś jeszcze dodać, ale Julien zrobił nagle ogromne oczy i zanim zdążyłam się obrócić, usiadł przede mną Jeff.

Dwie minuty potem mimo moich protestów Laurent z Julienem wstali i rzucili się do ucieczki. Laurent przypomniał sobie, że zapomniał o spotkaniu z montażystą. Juliana nagle olśniło, że umówił się z Mathiasem na drugim końcu miasta.

Jeff miał śmieszoną, pięciodniową brodę, z którą było mu nawet do twarzy. Gestem dał znak kelnerce, że prosi o wino.

- Nocowałeś w Forillon*? - spytałam.

- Nie byłem w Forillon.

- To gdzie byłeś?

- W Quebecu.

- W Quebecu?

- Tak.

- Dwa tygodnie spędziłeś samotnie w Quebecu?

- A co w tym dziwnego? Forillon czy Quebec, jaka różnica?

* Forillon - nadmorski park narodowy w Kanadzie.

- No... taka, że to dwie godziny jazdy od nas. Poza tym doskonale wiesz, że byłam tam tydzień temu z Julienem... Poza tym, kto spędza dwa tygodnie w Quebecu?

- Ktoś, kto chce zrobić sobie *break*?
- Przerwę? Od czego? Nic mi nie przychodzi do głowy.
- Naprawdę?
- Chciałeś odpocząć od Flavie? Tak szybko?
- Myślisz, że to przez Flavie?
- Naprawdę chcesz mi wmówić, że chodzi o coś innego?
- No...

- Dobra! Starczy tego! - powiedział kelner, stawiając przede mną talerz z sałatką z pomidorów z sosem winegret.
- Od dziesięciu minut zasypujecie się pytaniami. Może dla odmiany zaczęlibyście ze sobą rozmawiać?

Jeff i ja zamilkliśmy na chwilę, obserwując, jak kelner powoli ułożył na właściwym miejscu talerz i sztućce, a potem dolał mi wina. Popatrzyliśmy na siebie i poczułam, że jest między nami ledwo wyczuwalna (ale jest) nić wyjątkowego porozumienia, jakiejś silnej wspólnoty. Jeff uśmiechnął się niepewnie, a potem każde z nas spuściło oczy, on na swój kieliszek, ja na talerz z sałatką.

- To, co zrobisz Flavie ...
- Wiem...
- Ale czy...
- Sama wiesz... czy...

- Nie umiecie skończyć zdania? - mruknął kelner, obsługując sąsiedni stół.

- Hej! - odparł Jeff, pokazując na niego palcem. - Nie przesadzasz pan?

Zaśmiałam się cicho.

- Jeff... mówię poważnie. Nie będę ci prawiła morałów, ale Flavie... nic z tego nie rozumie, jeśli wiesz, co mam na myśli. Ja również nie bardzo wiem, dlaczego schrzaniłeś to coś, na co miałeś ochotę od dawna, i dlaczego wyjechałeś po drobnej kłótni i nikomu nic nie powiedziałeś. Nawet Fredowi...

- Miałem... za dużo spraw. Potrzebowałem chwili spokoju. Po prostu. Nigdy nie miałeś ochoty na... *break*?

Przerwa? Potrzebowałam jej od pięciu miesięcy. Od kiedy postanowiłam nie być już nastolatką. Ale czy każdy musi tak robić? Trzeba być twardym, jak mawiali Anglicy. Trzeba było żeglować samotnie po trudnych wodach młodości, zanim wreszcie znalazło się miejsce, w którym można rzucić kotwicę. Dopiero wtedy można sobie zrobić tę słynną przerwę.

-Jeff...

- Przykro mi, że wyjechałem.

-Nie... mnie chodzi o Flavie... ona naprawdę nic nie rozumie. I szczerze mówiąc, ja, będąc na jej miejscu, też bym niczego nie rozumiała.

- Wiem... wiem - napił się wina i spojrzał mi w oczy, unosząc brwi - myślisz, że mam jeszcze u niej jakieś szanse?

O mało nie zakrztusiłam się winem.

- Masz tupet, kolego. Nie wiem, czy masz jakieś szanse, ale nawet jeśli tak, to będziesz musiał się namęczyć... Flavie nie wygląda na szczęśliwą.

- Tak myślę, ale...

- Nie, nie i nie - podniosłam do góry rękę - żadnych usprawiedliwień. Dosłownie zwiąłeś do Gaspesie, które zamieniło się w kryjówkę w Quebecu, i nawet ani razu nie zadzwoniłeś do dziewczyny po tym, jak się z nią przespałeś. Jeff! To jest nie do obrony.

Złapał się za głowę.

- Posłuchaj - powiedziałam - czy... ty... czy naprawdę chcesz, żeby ci się z nią udało?

- Słucham? Nie wiem...

- Cholera! Jeff! Dwa tygodnie o tym myślałeś...

- Wiem... i co z tego? Myślę, że tak. Tak myślę, ale nie mam pewności, bo przypominam ci, że jeszcze nigdy nie znalazłem się w takiej sytuacji - zamilkł na chwilę, szukając odpowiednich słów. - Kurcze, nie jestem w tym dobry. Chcę powiedzieć, że mam trzydzieści sześć lat. Dłużej nie mogę tak żyć. Nie chcę tak żyć... ale nie wiem, jak to zrobić. Rozumiesz?

Miał tak zrozpaczoną minę, tak szczerze zdesperowaną, że nie potrafiłam się powstrzymać od śmiechu. Był to śmiech

czuły i serdeczny. Wzięłam Jeffa za rękę. Uśmiechnął się do mnie trochę żałośnie, a trochę z autoironią.

- Cholera, nawet Laurentowi się udało... - dodał.

- Wiem... wiem.

- A twój doktor...

- Daj spokój... To się zrobiło śmieszne. Wręcz absurdalne.

Widujemy się dwa razy w tygodniu, dzwoni do mnie prawie codziennie, ale najwyraźniej nie chce niczego więcej. Myślę, że woli, żebyśmy byli kumplami. Tak naprawdę, to sama już nie wiem, co mam o tym sądzić.

- Jednego jestem pewny. Na pewno nie chce, żebyście byli kumplami. Uwierz mi.

Zaśmiałam się.

-Wtedy... nie byłem sobą... wiem, że ty... właściwie nie wiem, czy go kochasz, ale wiem, że w to wierzyłaś.

Zamyśliłam się. Mogłam się znowu obrazić. Mogłam zacząć krzyczeć, że z całą pewnością kocham Gabriela, ale nie miałam już na to siły ani chęci. Poza tym być może miał rację. Ostatnio zresztą wszyscy wokół mieli na ogół rację z wyjątkiem mnie.

-Jeff?

-Mhm?

- Myślisz, że ja planuję?

- Planujesz?...

Wytłumaczyłam Jeffowi, na czym polega teoria Gabriela. Opowiedziałam mu wszystko. O tym, że Gabriel uważa, że wszystko sobie planuję, układam przyszłość, i robi mi z tego powodu wyrzuty. O przyszłości, którą sobie jakoś wyobraziłam, o czekaniu, którego nie mogłam już dłużej znosić. Jeff słuchał i od czasu do czasu zamawiał kolejny kieliszek wina.

- Marinę - powiedział, kiedy skończyłam - czy potrafisz spojrzeć na swój związek z Gabrielem bez wybiegania w przyszłość?

-Tak.

- Nie jestem pewien.

- Nie zaczynajmy znowu. Nie możesz prawić mi morałów. Nie masz prawa. Bo jeżeli ktoś naprawdę i odpowiedział-

nie myśli o przyszłości, to właśnie ty. Gdybyś nie patrzył w przyszłość, to nie nawiałbyś tak od Flavie po tym, jak się z nią przespałeś.

Przyglądał mi się przez chwilę z nieco urażoną miną.

- Może lepiej, żebyśmy nie rozmawiali na takie tematy.

Nie sądzisz?

- Może i nie.

- To co robimy?

- Nie wiem... poprosimy o rachunek?

- Poprosimy o rachunek - powtórzyła Elodie, pijąc sobie paznokcie. - Pięknie.

- A co niby miałam mu powiedzieć? Pójdźmy na terapię małżeńską? To już trzy dni, a on zachowuje się, jakby nic się nie stało.

- Bo nic się nie stało.

Przenosiłam właśnie dziesięć rulonów papieru i próbowałam ich nie upuścić na podłogę. Były to rysunki zebrane od początku roku, plakaty, dwa czy trzy szkice.

- Poza tym - kontynuowała - on ma trochę racji...

- Co? - Jeden z rulonów właśnie zaczynał się wysuwać w prawą stronę. Usiłowałam go złapać, przechylając się w lewo. W rezultacie wszystko zważyło się na podłogę z głośnym szelestem.

- Auu! - krzyknęła Elodie, zasłaniając uszy.

- Przypominam ci, że masz tu płacone za pomaganie mi. A z jakiegoś powodu, którego nie mogę pojąć, to ja męczę się z tymi rulonami, a ty spokojnie piłujesz sobie paznokcie.

Spojrzałam na nią. Wzięła się pod boki i stała tak przez chwilę jak przekupka. Zaczęłyśmy się głośno śmiać.

- Jesteś najgorszym, ale to naprawdę najgorszym pracownikiem w historii świata pracy. Nawet jeżeli przez sekundę uwierzyłam, że się bardzo zmieniłaś, widząc twoją postawę w czasie choroby taty, to teraz widzę, że się myliłam. W pracy jest, jak było.

- Nie śmieć się ze mnie. Mam interview na stanowisko asystentki w „Cherie”.

- Co to takiego?

- No wiesz... to najlepsze na rynku pismo dla dziewczyn.
- Pokazała mi okładkę jakiegoś pisma z czternastoletnią modelką szczerzącą do nas zęby w otoczeniu najprzeróżniejszych napisów: „Wasz horoskop na jesień”, „Co zrobić, żeby zwariował z tobą w łóżku?”, „Gwiazdorski makijaż niewielkim kosztem”.

- Naprawdę? - spytałam mocno zaciekawiona.

- Tak.

- Miałabyś normalny etat, a ja pozbyłabym się ciebie wreszcie z pracowni?

- Taaak!

- O Boooooże! - Złapałam ją w ramiona i zaczęłyśmy podskakiwać, dopóki nie zaczął dzwonić telefon.

- Elodie - przypomniałam jej po kilku sygnałach - jeszcze nie pracujesz w „Cherie”, o ile dobrze zrozumiałam. Może łaskawie odbierzesz telefon?

Ale było już za późno. Wzruszyła lekko ramionami. Kilka tygodni wcześniej postanowiła wrócić do samotności i celibatu i było jej z tym wyjątkowo dobrze. Uwolniona od ciągłych obaw związanych z facetami, którzy nigdy nie zostawali na dłużej i od początku do niej nie pasowali, zaczynała odzyskiwać formę. Widać to było choćby po mniej obfitym makijażu. Ale wciąż pozostawała małą księżniczką, co mnie dziwiło, lecz jednocześnie uspokajało. Jeżeliby się za bardzo zmieniła, to chyba bym tego trochę żałowała.

- Halo - odebrałam swoją komórkę.

- To ja. - Usłyszałam głos Juliana.

- To ty telefonowałeś przed chwilą do pracowni?

- Nie. To był Jeff. Oddzwon do niego jak najszybciej.

- Nie mogę powiedzieć przez telefon - oświadczył Jeff.
- Po prostu przyjeżdż, OK?

Ponieważ to był Jeff i wierzyłam mu bardziej niż komukolwiek innemu (mimo naszych kłótni ostatnimi czasy), wskoczyłam w taksówkę i ruszyłam do domu. Po drodze zastanawiałam się, co takiego się stało, że mógł mi to powiedzieć tylko osobiście. Laurent również do mnie dzwonił, a ponieważ nie odbierałam telefonu, nagrał się na automa-

tyczną sekretarkę: „Ech... to ja... posłuchaj... nie chcę się mieszać w nie swoje sprawy, ale właśnie dzwonił Jeff i... po prostu jedź tam, OK?”.

Przed drzwiami naszego mieszkania zatrzymałam się na chwilę. Było coś ważnego w tych wszystkich telefonach i nagłym wezwaniu od Jeffa. To nie w jego stylu. Nie mogłam powstrzymać głupiego odruchu i zapukałam do drzwi, jakbym nie miała własnych kluczy. Po kilku sekundach Jeff podszedł i otworzył drzwi.

- Co jest? - spytałam. - O co chodzi?

Popatrzył na mnie bez słowa, a potem odsunął się lekko, a wtedy zauważyłam za jego wielkimi plecami Gabriela.

Dłuższą chwilę stałam tak w drzwiach, patrząc to na jednego, to na drugiego, wyduszając z siebie jakieś bełkotliwe „ochy”, które już wtedy wydawały mi się całkowicie idiotyczne. Wreszcie Jeff się odezwał.

- No dobra... zostawiam was samych... mam coś... do załatwienia.

Ponieważ takie sytuacje zawsze powodowały, że zamieniałam się w nierozgarniętą idiotkę, zapytałam:

- Ale co? Co masz do załatwienia?

Jeff spojrzał na Gabriela i w ich spojrzeniach widać było zmieszanie. Bez namysłu bardzo szybko powiedziałam:

- A to! Już wiem!

Gabriel nie wytrzymał i roześmiał się. Jeff puścił do mnie oko, wskazał palcem drzwi i wyszedł. A miałam do niego mnóstwo pytań. Spojrzałam za nim, bo chciałam jeszcze coś powiedzieć, ale nie miałam zielonego pojęcia, co właściwie. Potem spojrzałam ponownie na Gabriela, który wciąż przyglądał mi się z uśmiechem na twarzy.

- O rany! - powiedział wreszcie. - To było... jakby to powiedzieć. Piękne przedstawienie.

Wzięłam się pod boki i przekrzywiłam głowę, patrząc na niego groźnie, co go tylko jeszcze bardziej rozśmieszyło.

- Przepraszam. Po prostu... - Teraz już śmiał się na cały głos.

- No dobra - powiedziałam. - Co się... skąd tu...

Gabriel najwyraźniej świetnie się bawił, bo kiwał zachęcająco głową i powtarzał za mną: „co się...”, „skąd tu...”.

- Nie będę zgadywać, do diabła! - wrzasnęłam, udając prawdziwą złość.

- Zgadywać? Co?

- Przeszaniez wreszcie mnie przedrzeźniać?

- Sam nie wiem. To takie przyjemne...

Miał na sobie stary, trochę przyciasny T-shirt, podkreślający jego kształtną klatkę piersiową, którą tak już polubiłam. Tak chciałam podskoczyć, przytulić się do niego i znowu poczuć jego ramiona wokół siebie i jego usta na szyi. Stałam jednak jak sparaliżowana i wreszcie uświadomiłam sobie, że umieram ze strachu.

- Jeff mnie zaprosił - oznajmił wreszcie.

- Jeff do ciebie zadzwonił?

- Tak. - Kiwnął głową. - Sam byłem trochę zdziwiony.

- Ooo... - już chciałam go zapytać, co takiego Jeff mu powiedział, ale za bardzo się bałam, że mi odpowie: - Ja... chcesz *coś do* picia?

- Myślałem, że już nigdy mnie o to nie zapytasz.

Poczułam ulgę, że wiem, co mam zrobić przynajmniej w najbliższej chwili. Podeszłam do barku z alkoholami. Znalazłam stojącą na widoku butelkę dżinu i oparte o nią dwa plasterki ogórka. Pochyliłam głowę, uśmiechając się do siebie. Omal się rozpłakałam.

- Co? - spytał Gabriel.

Wzięłam kawałki ogórka w jedną rękę, a butelkę w drugą i pokazałam Gabrielowi. Jego reakcja była podobna do mojej.

- Posłuchaj - powiedziałam.

- Nie, to ty posłuchaj.

- Dobrze. - Gdy ja szykowałam drinki, Gabriel zaczął mówić.

- Nie chcę układać żadnych planów. Nie chcę też myśleć, że ty cokolwiek planujesz. Ostatnią rzeczą, którą chciałbym ci zrobić, to rozczarować cię, Marinę. Od czasu swojego rozvodu zrobiłem to wielu kobietom. Taki już się stałem.

Jestem facetem, który rozczarowuje dziewczyny. Czasami nawet byłem wobec nich bardzo nie w porządku. Tobie nie chcę kłamać...

- Nie robię sobie żadnych planów, Gabrielu. - Podałam mu szklaneczkę. - Wiem, że tak myślisz. Ja sama długo się nad tym zastanawiałam... Cholera... właściwie nic innego nie robię, od kiedy nam nie wyszło... nie układam żadnych planów... ja tylko marzę... po prostu mam marzenia.

- Na jedno wychodzi.

- To nie jest to samo... Poczekaj chwilę, chcesz mi powiedzieć, że nie masz marzeń? Każdy o czymś marzy lub śni.

- Nie mówię o marzeniach w tym sensie. Mówię o marzeniach...

- Nie powiesz mi chyba, że teraz będziemy się spierać w kwestii semantyki?

Wszystko zdecydowanie podążało w złym kierunku. Na zewnątrz akurat zaczęło lać jak z cebra i odgłosy kropel walących o dach stawały się coraz silniejsze.

- Przepraszam - powiedziałam - przepraszam, ale posłuchaj mnie przez dwie sekundy. Marzę. Zawsze marzyłam. Jestem marzycielką. Takie mam nastawienie do życia, Gabrielu. Snuję marzenia, kiedy idę ulicą, kiedy czytam, kiedy maluję, kiedy spoglądam przez okno przed snem i kiedy się obudzę.

- Wiem, ale...

- Daj mi skończyć. To są tylko marzenia, rozumiesz? To nie są żadne plany. Marzenia się zmieniają, przekształcają... Czasami stanowisz ich część, czasami jestem w nich sama, gdzieś na plaży w Tasmanii... Cholera. To tylko marzenia. Jak myślisz, dlaczego nieraz czujesz się taki samotny? Dlaczego czasem coś cię ciągnie, by być ze mną? Może dlatego, że sam boisz się marzyć? Nie marzysz, bo boisz się rozczarowania.

Było to wystąpienie trochę melodramatyczne i mocno poniżej pasa. Gabriel tylko raz mi wspomniał o samotności, która go męczyła, pomimo że miał rodzinę, kolegów i przyjaciół. Ale było mi źle i chciałam, żeby jemu też było źle.

Gabriel zaczął jeszcze spokojniejszym tonem. Jak zwykle, kiedy czuł się obrażony.

- Po prostu nie chcę... nie chcę, żebyś mnie o coś prosiła, OK? Bo jeśli mam ci coś ofiarować, to chcę, żeby to było...

- Przestań mi to ciągle powtarzać! To bzdura! Jeżeli masz takiego cykora, to znaczy, że nic nie chcesz o mnie wiedzieć. I byłabym wdzięczna, żebyś miał na tyle charakteru, by mi o tym powiedzieć, chociaż raz.

- Hej! Spokój!

Cofnęłam się lekko. Nigdy nie słyszałam, żeby Gabriel podniósł głos. Stał po drugiej stronie baru. Wyciągnął palec w moim kierunku.

- Możesz na moment przestać oskarżać innych?

- Nikogo nie oskarżam.

- ... Proszę? Właśnie mi powiedziałaś, że po pierwsze, nie mam charakteru, a po drugie, że mam cykora.

- A masz charakter?

Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale go ubiegłam. Nalałam sobie nowego drinka i patrzyłam w podłogę, żeby nie patrzeć na niego. Bałam się, że się rozpłaczę.

- Nie wiem, po co tu przyszedłeś, Gabrielu - powiedziałam dosyć nieprzyjemnie.

- Proszę?

- Powiedziałam, że nie wiem, po co tu przyszedłeś.

- Ja chyba też nie wiem.

Znowu milczeliśmy przez chwilę. Byłam przekonana, że zaraz zabierze się i wyjdzie i wiedziałam, że jeśli tak zrobi, to nie zdołam go zatrzymać.

- Co ci powiedział Jeff? - spytałam po chwili, koncentrując się na wszystkim, co nie było Gabrielem. Na szklankach, książce leżącej obok deski do krojenia, na Claudzie-Francois, który ocierał mi się o nogi.

- Nawymyślał mi od idiotów, jeśli chcesz wiedzieć. Powiedział, że jestem największym kretyńcem na świecie, jeżeli wypuszczę z rąk taką dziewczynę jak ty i że byłoby lepiej, żebym się opamiętał, zanim cię stracę.

- A nie chcesz mnie stracić?

- Nie. Nie chcę cię stracić.
- A czego ty chcesz? Być moim kumplem, lekarzem, moim...

- Przestań! Marinę, przestań! Czy naprawdę musimy ustalać warunki umowy? Czy naprawdę najpierw musisz zobaczyć plan działania na przyszłość?

- Nie-mam-pla-nów, rozumiesz?!!

- Możliwe, ale odpuść sobie na moment. Wciąż tu jestem i nie chcę być niemity, ale większość facetów już dawno by dała nogę.

- Co ty powiesz?

- No właśnie. Widzisz? - znowu wyciągnął palec w moim kierunku. Odruchowo dolałam sobie do kieliszka - właśnie o to chodzi. Za każdym razem, kiedy rozmowa dochodzi do tego momentu, mam wrażenie, że zaczynasz mi prawić morały, bo nie jestem wystarczająco podobny do tego twojego rycerza na białym rumaku. Tylko ten twój rycerz nigdy nie nadjedzie. W przeciwieństwie do niego ja jestem tutaj. Ale to tylko ja. I musiałybyś zaakceptować mnie takim, jaki jestem.

- Jak możesz mnie o to prosić? Ty nie chcesz mnie zaakceptować takiej, jaka jestem. Nawet nie chcesz mnie zrozumieć i pogodzić się z tym, że marzę,

- Przestań mi prawić morały, Marinę. Nie praw mi morałów, bo w przeciwieństwie do ciebie ja już w swoim życiu coś takiego zrobiłem. Wziąłem kogoś takim, jaki był. I wiem, jakich to wymaga poświęceń, jakie niesie ze sobą ryzyko i jaką cenę trzeba za to zapłacić. I nie mów mi, że mam cykora, bo ja już byłem tam, gdzie ty dopiero chcesz dojść.

- Może więc spróbowałbyś być choć odrobinę bardziej pobłażliwy?

Prawie zaczął krzyczeć.

- Nie mam innego wyjścia, jak być pobłażliwy, Marinę. W ogóle mnie nie słuchasz! W tej samej sekundzie, w której zaczynam ci mówić coś, czego nie chcesz usłyszeć, ty przestajesz mnie w ogóle słuchać! To ma być utwór na cztery ręce, rozumiesz? To jest dialog!

- Co?

- Miłość.

Znowu milczeliśmy. Słyszałam tylko krople deszczu i to ostatnie słowo, które odbijało się we mnie echem. Miłość. Gabriel powoli obszedł stół i stanął przede mną. Spojrzałam w twarz, która była wszystkim, czego chciałam. Ale widziałam więcej. Widziałam jego rozum, serce, widziałam też to, czego wolałabym, żeby w nim nie było. Ale było, bo nie był mężczyzną doskonałym. I zrozumiałam, że chcę, żeby właśnie taki pozostał.

- Nie przestanę marzyć, Gabrielu.

- W porządku.

- W porządku?

- W porządku.

Zasłoniłam sobie usta ręką. Chyba nigdy w życiu nie patrzyłam nikomu tak intensywnie w oczy. Powoli ujął mnie za nadgarstki i pocałował. Kiedy wreszcie puścił moje dłonie, objęliśmy się, nie przerywając pocałunku. Moje palce wplotły się w jego włosy, oddychałam ciężko do jego ucha i czułam jego wargi na swojej szyi, kiedy szeptał:

- Daj mi szansę, OK?

Epilog

- Ale upał! Nie wytrzymam.
- To włącz pod parasol.
- To jak się opalę?
- Jeżeli jeszcze raz usłyszę, jak głądzi o opaleniznie, to przysięgam, że wsadzę mu parasol w tyłek.
- Parasol... - Julien uśmiechnął się z rozmarzeniem i lubieżnie dodał: - tyłek...
- Rzygnę! - krzyknął Laurent przez T-shirt osłaniający mu głowę. - Po prostu się porzygam.
- Ma rację - powiedziałam. - Julien powinien wejść pod parasol, bo się spalisz na raka.
- Plażowe koteczki nie boją się słońca. *El minetto de la playa no tiene miedo del sol.* - Napiął muskuły jak kulturysta. - Widzisz? Jak na czterdziestolatka, całkiem nieźle, prawda?
- Gabriel też ma czterdziestkę, ale nie spędza całego czasu na pokazywaniu nam swoich muskułów - wymamrotał Laurent spod swego T-shirtu.
- Właśnie widzę - odrzekł Julien - och, naprawdę ładny widok... sami popatrzcie... Miauuu.
- Przestań - powiedziałam ostro, a obok mnie Laurent mamrotał swoje „rzygnę”. - Nigdy nie interesowali cię chłopcy po trzydziestce.
- Cóż... kiedyś trzeba zacząć... albo zrobić wyjątek...
- Zamknij się...
- Zdjęłam okulary, żeby spojrzeć na nadchodzącego Gabriela. Za nim widać było migocący i oślepiający ocean.

Plaża ciągnęła się w kształcie półksiężyca, zakończonego po obu stronach górami o kształtach, w których dopatrzeć się można było jakichś dziwacznych twarzy.

- Cześć - powiedział, przysiadając na końcu mojego leżaka.

- Cześć - powtórzyłam, mrużąc oczy od słońca.

- Ciepła woda? - spytał Laurent, który i tak wolałby umrzeć, niż zamoczyć sobie kawałek nogi w morzu.

- Idealna - odparł Gabriel. Podniósł moją lewą nogę, żeby ją czule ucałować, po czym podstępnie zwałił mnie z leżaka.

- Nie! - wrzasnęłam jak nastolatka. Lubiłam takie wygłupy na plaży. Położył się na mnie, a ja walczyłam i udawałam, że jestem zagniewana, krzycząc, że jest mokry, zmoczy mnie całą i jeszcze książkę. Słowem, wariowaliśmy. Wrzeszczałam, wiedząc doskonale, że pobyt na plaży i tak kończy się zamoczeniem, a książki, które tam czytaliśmy, nigdy nie wracają do domu w stanie, w jakim były na początku.

- Kocham cię - powiedział, całując mnie. Jego język miał słony smak.

- Ja... - nie skończyłam zdania, bo z domu dobiegły do nas głosy Jeffa i Flavie (choć budynek stał dobre piętnaście metrów od plaży). Słowa były niezrozumiałe, ale ton był jednoznaczny. Kłócili się. I to nie odrobinę, ale jak przekupki na bazarze.

Gabriel usiadł ostrożnie, żeby mnie nie przygnieść, i wyciągnął rękę do Julienu.

- Trzysta pesos. Wisisz mi trzysta pesos.

- OK. Postawię następną kolejkę w barze na górze.

Bar na górze składał się z płóciennego dachu przymocowanego do czterech betonowych słupów. Chodziliśmy tam co wieczór, bo rodzina, która go prowadziła, była szalenie sympatyczna. Poza tym był pięknie położony, rozciągał się z niego widok na wielki obszar morza, w którego falach cudownie odbijało się zachodzące słońce, wprowadzając nas w prawie mistyczny nastrój.

- Mimo wszystko - stwierdził Julien - można było założyć, że choć jeden dzień się obejdzie bez...

- Odwal się! - doszło do nas z domu i wszyscy wybuchnęli śmiechem.

„Daj mi szansę” - powiedział pięć miesięcy temu, a ja zastanawiałam się, czy to czasem nie jest tak, że to on mi daje szansę. Przez kilka pierwszych tygodni przebywaliśmy razem i na początku ostrożnie nawzajem upajaliśmy się naszym towarzystwem. Wreszcie doczekałam się. Pewnego wrześnieowego ranka leżałam w łóżku i usłyszałam cichutkie „kocham cię”. Wzięłam jego dłoń i przytuliłam do policzka, Gabriel objął mnie i leżeliśmy tak w milczeniu długie chwile. Opierając głowę na jego ramieniu, patrzyłam, jak słońce mieni się w liściach drzewa stojącego naprzeciwko. Przyciskałam rękę Gabriela tak mocno, aż w końcu poczułam, że rozboleły mnie policzki.

- Czy to czasem nie twoja kolej, żeby pójść po drinki? - Laurent zdjął z głowy swój T-shirt, żebym widziała, że to właśnie do mnie się zwraca.

- O nie. Ja tam nie wchodzę. Nie ma mowy. Boję się ich. Może Julien.

- Nie. Zawsze ja... nie, tym razem buntuję się. Wczoraj już chodziłem... poza tym przypominam wam, że ona chodzi z gołymi cyckami i...

- Jest Francuzką. To normalne.

- Cycek to cycek! - wrzasnął Julien.

- Może poczekamy, aż wrócą Carole i Mathias? - zapytałam.

- Żartujesz - odparł Julien - zawsze kiedy jadą po zakupy, nie ma ich co najmniej trzy godziny.

Carole z Mathiasem odkryli niedawno wspólną pasję do czegoś, co nazwali wycieczkami gastronomicznymi. Brali mały skuter Carole i wspomagani znajomością hiszpańskiego Mathiasa objeżdżali okolicę, wyszukując rybaków, rolników i małe farmy. Przywozili nam świeże, ociekające wodą ryby, jagnięcinę, ośmiornice, owoce, których francuskich nazw nawet nie znaliśmy, i kury, jeszcze nieoskubane. Dlatego nasze posiłki były niezwykle wykwintne i ciągnęły się do późnej

nocy. Na zakończenie każdej uczty wchodziliśmy na dach, żeby policzyć gwiazdy, dopić wino i śpiewać stare piosenki, przy których Flavie tańczyła w swoich długich letnich sukienkach, wirując na tle czarnego nieba.

- Dobra - stwierdził Gabriel ponurym tonem. - Ja pójdę.
- Jesteś pewny, kochanie? Na pewno?
- Ktoś musi.

Podniósł się z miną wielce dostojną, a ja go pocałowałam.

- Mój bohater...
- Musisz wiedzieć - powiedział Laurent, zanim usiadł na leżaku - że jeśli tak by się zdarzyło, że nie wróciłbyś, to i tak pozostaniesz w naszej wdzięcznej pamięci.
- Będę wiedział - odparł Gabriel.

Julien również podniósł się i uroczyście mu zasalutował.

- Facet naprawdę ma jaja - stwierdził.
- Wiem...

Pięć minut później na plaży pojawił się Jeff. Usiadł na skraju mojego leżaka, klnąc na cały regulator.

- Cholerna wariatka! Porąbana do bólu.

Chciałam mu coś odpowiedzieć, ale ważył dwa razy więcej ode mnie i leżak prawie stanął dęba. Poleciałam prosto na Jeffa przy akompaniamencie rozbawionych głosów Laurenta i Julienu.

- Do licha, Jeff!
- Piękne bikini - powiedział uprzejmie, kiedy mój biust znalazł się na jego twarzy.

-Jeff!

- Wariatka. Mówię wam, że to wariatka. Ona kiedyś doprowadzi mnie do szaleństwa.

- Może najpierw nas upewnij, że jeszcze tak się nie stało... - zaproponował spokojnie Laurent.

- Co ty wygadujesz? Jesteście stworzeni dla siebie - powiedziałam, poprawiając stanik.

Po swoim powrocie Jeff nie rozmawiał z Flavie przeszło miesiąc. Na pewno miał bzika na jej punkcie, natomiast ona

zadawała sobie tyle trudu, żeby mnie przekonać, że ma go w nosie, że byłam pewna, że myśli tylko o nim. Więc weszłam w rolę Jeffa i jak on wcześniej nam, tak teraz ja im zorganizowałam całkiem „przypadkowe” spotkanie. Od tamtej pory nie rozstawali się ze sobą. Kłócili się co najmniej osiem godzin na dobę, resztę czasu spędzali w zgodzie i miłości. Każdej nocy (a niekiedy i popołudniami) znikali przed nami w wielkim białym domu nad morzem. Spoglądaliśmy na siebie rozbawieni i trochę zaskoczeni wielkością i siłą ich uczuć.

- Jak myślicie, czy ich historia będzie miała happy and?
- pytała nas czasem jak zwykłe pragmatyczna Carole.

- Nawet jeżeli nie - odpowiedział jej kiedyś Julien - to i tak będą mieli wspaniałe wspomnienia.

- Kurcze - odezwał się Jeff po dwudziestu minutach - co oni tam robią?

- Rozmawiają, wariacie...

Skrzywił się. Jeff przy Flavie stał się innym człowiekiem, jakby odrobinę bardziej przystępnym, i kochałam go za to jeszcze mocniej. Spędziliśmy kiedyś wspólnie wieczór, tylko we dwoje (już po moim zejściu się z Gabrielem). Powiedział mi o sobie tak dużo tak istotnych rzeczy, że mogłam tylko pokochać go jeszcze bardziej.

- Kiedy byłem w Quebecu - mówił - myślałem tylko o jednym. Chcę być szczęśliwy. Myślałem też, że nie mogę być szczęśliwy, jeżeli ty nie będziesz szczęśliwa...

- Ja też nie potrafię być szczęśliwa, jeżeli ty nie jesteś szczęśliwy.

- Tak się bałem, że się na mnie obrazisz za to, że wtedy ściągnąłem do nas Gabriela.

- To był najhojniejszy dar, jaki kiedykolwiek w życiu dostałam.

Usłyszałam, że Carole parkuje skuter na podjeździe do domu.

- Kucharze nadjechali - oznajmił Julien.

Wylegiwali się na leżakach, gapiąc się w morze.

- Mama dzwoniła rano - powiedziałam.

- I...?

- Och, *Same old, same old**. Siostry mają się dobrze. Elo-die zakochała się w jakimś chłopaku, który ma dwa imiona i trzy nazwiska. Ariane rzuciła Julie dla jakiejś Mathilde... a rodzice wystawili dom na sprzedaż.

- Co?!

- Nic. Chcą się przenieść na Florydę.

Chłopcy zaczęli żartować. Koło nas przebiegło po plaży czworo dzieci. Trzech chłopców i dziewczynka. Najstarszy trzymał w ręku linkę latawca, który wznosił się wysoko i fru-nął po błękitnym niebie. Patrzyliśmy za nimi, aż zniknęli na horyzoncie. Postanowiłam wstać z leżaka.

- Okropnie gorąco, idę popływać - oznajmiłam wszystkim.

Szłam powoli plażą w stronę morza, rozkoszując się gorącym piaskiem pod stopami i promieniami słońca, które mocno grzało mnie w plecy. Odwróciłam się, by stąd popatrzeć na Jeffa, Laurenta i Julię wylegujących się bez troski na gorącym słońcu i wesoło o czymś rozprawiających. Gabriel schodził akurat po schodach z butelką wina w ręku. Zobaczył mnie z daleka i pomachał ręką.

- Kocham cię - wyznałam mu na odległość.

Zanurzyłam się w morzu, którego fale w tym świetle były pięknego turkusowego koloru. Szłam dalej i kiedy powoli traciłam grunt pod nogami, pomyślałam, że w moim życiu tak nie jest, bo wreszcie mam grunt pod nogami, niczego już się nie boję i mogę pewnie stąpać po ziemi.

* *Same old, same old* - po staremu - ang.

Do: Freda
Od: Marinę Vandale
Temat: Test

Jak tam?

Do: Marinę
Od: Frederica Vandale
Temat: Oczywistość

W porządku. A jak ma być?

Do: Freda
Od: Marinę Vandale
Temat: Nieustanne zwątpienie

Po pierwsze, nie uwierzyłybyś, gdybym ci powiedziała, na jakim sprzęcie do ciebie piszę. Po drugie, nigdy nie wiadomo. Mówi się, że niektórym pisarzom po udanym debiucie całkiem odbija.

Do: Marinę
Od: Frederica Vandale
Temat: Krótka piłka

A gdybym ci odpowiedział, że niektórym osobom, kiedy tylko zaspokoją swoje potrzeby serca, również odbija?

Do: Freda
Od: Marinę Vandale
Temat: Zwarcie

Sugerowałabym, żebyś wyjrzał przez okno. Nie pisałeś mi, że kasztany już zakwitły w Paryżu.

Do: Marinę
Od: Fredsrica Vandale
Temat: re: Zwarcie
Chwileczkę. Skąd piszesz?

Do: Freda
Od: Marinę Vandale
Temat: Otwórz okno

Jesteśmy w kawiarni na dole. Wysoki brunet w golfie ko-
ru kości słoniowej i mała blondynka w szarej czapce. Sam
zgadnij, o kogo chodzi. Złaż, Fred. Czekamy na ciebie.

-)